

HALINA RUDNICKA

KRÓL AGIS



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA WARSZAWA 1965

PIERWSZA PODRÓŻ

Z prawej strony horyzont zamknęły niebosiężne, skrzące się śniegiem na szczytach góry Tajgetu, z lewej rozsiadły się szeroko, wygodnie, kopulaste wyniosłości Parnonu. A w rozległej, przytulnej dolinie prześwieca zza gęstwiny drzew powoli toczący swe wody Eurotas o złotym dnie, czasem granatowy od cienia pochylonych nad nim dzikich oleandrów, czasem różowy od laurów lub niebieski od lilii wodnych. Małe białe domki, przykucnięte pod rozłożystymi platanami, zagubione wśród gajów oliwnych i rozkwitłych sadów, są jak klocki rozrzucone ręką Heraklesa * na tę ziemię niezrównanej urody, ziemię lakońską. Bezchmurna, gładka, błękitna kopuła niebios nakryła ten barwny krajobraz przezroczytym kloszem. Godzinami można patrzeć, podziwiać i nigdy nie być sytym tego widoku. A dziś trzeba go zabrać z sobą, zapamiętać na długie miesiące.

To już dziś....

Agis odetchnął głęboko, radośnie. Cudownie jest żyć. Bogowie, jakim niebiańskim darem jest życie, gdy ma się dwadzieścia lat i przed sobą daleką, wyśnioną podróż! Ulubiony Wicher kręci się niecierpliwie, kopytami grzebie ziemię, potrząsa grzywą, rży. To dobra wróżba. Poklepać go w kark dłonią, a poniesie z tego wzgórze w dolinę, w zgrabnym kłusie, lekki jak dziewczyna tańcząca na cześć Artemis. Na drodze, za bramą, czekają już towarzysze podróży, stoją naładowane wozy. Tylko Mandroklejdas się spóźnia. Przed odjazdem miał jeszcze wstąpić do eforejonu po ostatnie rozkazy — czyżby go zatrzymał złośliwy efor Orsippos, który sprzeciwiał się ich wyjazdowi do Aten? A może eforowie cofnęli zezwolenie? Agis przygryzł wargi — nie, to niemożliwe. Mimo wszystko eforowie liczą się z ojcem, nie zechcą zadrażnień, kłótni. Zapewne Mandroklejdas, jak każdy dyplomata, nie lubi się spieszyć. Agis zawrócił koniem przez dziedziniec ku domowi, gdzie na tarasie, stanowiącym dach głównej sali domu, megaronu, stała matka, królowa Agezystrata. Już wcześniej Agis pożegnał się z rodzicami, ale wiedział, że matka będzie patrzyła za nim, odjeżdżającym, tak długo, aż zniknie w tumanie kurzu na drodze.

Uśmiechnął się, podniósł dłoń, zawołał serdecznie:

— Bądź zdrowa, mammo!

— Niech cię bogowie mają w swej opiece, synu. Pamiętaj uczcić godnie Pana Delf.

I królowa błagalnym gestem wzniosła obie ręce ku niebu. Stojąca za swą panią stara piastunka Agisa, Persina, wylała ze specjalnie w tym celu przygotowanego dzbanuszka mleko na ziemię. Libacja dla bogów, a szczególnie dla Hermesa — niech się opiekuje młodym królewiczem udającym się w daleką, długą podróż.

— Dobrze, mammo. Będę pamiętał o ofiarach dla Pana Delf — i Agis skierował się ku bramie. Z grupy jeźdźców wysunęli się ku niemu jego najbliżsi przyjaciele: długonogi Lizandros o męskiej, pięknej twarzy, przenikliwym spojrzeniu wyczepionym spod czupryny kruczonych, kędzierzawych włosów, znakomity jeździec, ulubieniec kobiet i dziewcząt spartańskich. Obok niego niezdarnie trzymający się na kasztanku Amfares, utalentowany śpiewak, hulaka i namiętny gracz w kości. Jego szeroką twarz o wystających kościach policzkowych poszerzały jeszcze uszy i szerokie usta, zawsze skłonne do śmiechu, drwiny, zjadliwej ironii. Trzeci z przyjaciół to olbrzym Damochares o wielkich silnych pięściach, dla których nawet maczuga Heraklesa nie byłaby zbyt ciężką bronią. Małomówny, a nawet ponury, nie lubił towarzystwa ludzi wesołych, unikał zabaw i hulanek. Istniał dla niego tylko jeden człowiek godny miłości i uwielbienia: Agis. Na każdym kroku manifestował te swoje uczucia.

* Objaśnienia na końcu książki.

Mandroklejdas w dalszym ciągu nie było widać, więc ruszyli w drogę. Czekał na nich przed głównym wejściem na agorę, w cieniu portyku, rozmawiając z niskim, siwiejącym na skroniach mężczyzną, ubranym w szary, prosty płaszcz.

Agis, zobaczywszy ich, zeskoczył z konia i zbliżając się żywo, zawołał radośnie:

— Ksenares! Cieszę się, mistrzu, że mogę jeszcze raz uściskać cię przed odjazdem!

Były wychowawca i nauczyciel Agisa, Ksenares. filozof i poeta, był duchowym przywódcą swiatlejszej młodzieży spartańskiej. Pod naciskiem wszechwładnych eforów, ojciec Agisa, król Eudamidas, zwolnił Ksenaresa z obowiązków wychowawcy następcy tronu, ale Agis nie zerwał serdecznych więzów łączących go z filozofem. Spotykali się nadal, prowadzili długie dysputy na tematy historyczne, filozoficzne czy też omawiali najświeższe dzieła literackie, w tajemnicy przed eforami przemycane z Aten i Aleksandrii. Eforowie przez swoje „oczy i uszy” byli informowani o każdej nowości przywiezionej do Sparty, ale udawali, że o tym nie wiedzą. Ostatecznie, zamorskimi nowinkami interesowała się młodzież stanowiąca nieznacznym procentem z owej setki rodzin arystokratycznych stojących na świeczniku społecznym. To niegroźne — można przymrużyć oko i pozwolić młodym filozofować. Na starość staną się nieodrodnymi synami swych ojców, dbającymi o majątki i przywileje z tym związane. Agis oburzał się na tę konspirację, ale nie miał odwagi wystąpić jawnie. Nie zależało mu na eforach ani na opinii społeczeństwa, bał się o spokój ojca, nie chciał mu przyczyniać zmartwień. Dlaczego eforowie, tak drażliwi w sprawie książek, są obojętni na przesadny zbytek, który rozpanoszył się wśród bogaczy Sparty? Płaszcz z kosztownej, słynnej milezyjskiej wełny, złote tkaniny z Pergamonu, przezroczyście jedwabie z Kos, złote ozdoby, dzieła mistrzów korynckich, egipskie drogie kamienie, nawet perły z Indii — to tylko mały rejestr kosztowności, w jakie ubiera się bogata Spartanka. Nikt, nawet mędrzec Ksenares, nie potrafił mu wytłumaczyć tolerancji eforów.

Mistrza Ksenaresa nie interesował dzień dzisiejszy. Dla niego wielkość Grecji skończyła się razem z Platonem. Młodzi wysłuchiwali wywodów filozofa, czytali głośno Platona, recytowali wyuczone na pamięć fragmenty jego dzieł i marzyli o idealnym państwie, które dałoby się urzeczywistnić gdzieś na wyspach szczęśliwych, o których opowiadają legendy. Agis pragnął zabrać ze sobą do Aten, a potem do Delf ukochanego mistrza Ksenaresa, ale eforowie ostro przeciwstawili się temu. Nie pomogło nawet osobiste poparcie króla Eudamidas.

— Pilnie uczęszczaj do Akademii, Agisie, rób notatki z wykładów, a po powrocie opowiedz mi wszystko dokładnie — mówił Ksenares.

— Wątpię, mistrzu, czy będę miał dość czasu. Ćwiczenia na hippodromie i oficjalne przyjęcia wypełnią mi zapewne całe dni...

— Nie jedziesz, Agisie, sposobie się na zawodowego aurigę, tylko zdobywać doświadczenie potrzebne dla przyszłego władcy. Pamiętaj odwiedzić grób Platona i złożyć ofiary należne temu geniuszowi myśli ludzkiej i wielkiemu herosowi.

— Tak jest, mistrzu. I niech łaska bogów świeci jak najdłużej nad moim ojcem, dostojnym królem Eudamidąsem — odpowiedział poważnie Agis, wznosząc oczy ku niebu. — Szczęśliwe są dla Sparty jego rządy, oby żył wiecznie.

— Wszyscy tego pragniemy — po suchej, szczupłej twarzy filozofa przebiegł jakiś cień — ale pamiętaj, chłopcze, że wiedzy nigdy nie jest za dużo. Im więcej jej pochłoniesz, tym szersze horyzonty otworzą się przed tobą. Wiedza jest jak morze bezkresne: płyniesz, płyniesz i coraz nowe, coraz inne widoki otwierają się przed tobą. Im lepiej poznajesz świat, tym bardziej zachwycasz się jego różnorodnością, zdumiewasz się jego tajemnicami, których nie zgłębisz, choćbyś trzy życia miał przed sobą.

— Jedźmy już — przerwał niecierpliwie Mandroklejdas. — Eforowie tyle mi dziś nakładli do głowy wskazówek, mieli tyle wątpliwości... bałem się, że odwołają naszą podróż...

— Wracaj szczęśliwie — Ksenares objął Agisa. — Bardzo mi cię będzie brakowało,

chłopcze.

— Bądź zdrow, Ksenaresie — Agis pocałował mistrza w czoło i ramię — mnie też będzie smutno bez ciebie.

— Daję ci na drogę ten rulonik. Niech maksyma mojego wielkiego Mistrza będzie dla ciebie wskazówką i nicią Ariadny w tej podróży.

Wręczył Agisowi mały rulonik pergaminu związany czerwoną tasiemką. Ruszyli. Ksenares stał długo w tłumie gapiów, którzy zgromadzili się przed agorą i patrzył za odjeżdżającymi.

Agis jechał na czele orszaku, z jednej strony towarzyszył mu Mandroklejdas, z drugiej Damochares.

Szybko podjechał ku nim Amfares.

— Popatrzcie, Gilippos ukończył już budowę nowego domu — wskazał ręką na dziedziniec otoczony niewysokim murem, w którego głębi jaśniało bielą świeżo malowanych ścian obszerne domostwo. — Podobno kosztowne dywany sprowadził z Ajolis, z Pergamonu wielobarwne zasłony, meble zaś z Koryntu...

— Ten ma złota! — powiedział z zawiścią Damochares. — Biedny spartiata nie ma tylu wszy w podartym płaszczu, ile on talentów złota w swoich skrzyniach.

Nikt nie podtrzymał rozmowy. Damochares zwrócił oczy, gdzie patrzyli przyjaciele, i też zaniemówił. Po lewej stronie dziedzińca mienił się w porannym słońcu sad w bogactwie kwitnących jabłoni, grusz i śliw. Tuż za parkanem na wysokim postumencie stał posąg bogini Artemis-Agrotera, opiekunki rolników i zasiewów, patrzącej na południe, ku żyznym polom lakońskim. Ale nie posąg pospolitej miejscowej roboty przykuł uwagę młodzieńców. Na postumencie stała młoda dziewczyna. Wieńczyła stopy bogini girlandą z wiosennych kwiatów. Krótki, biały peplos, otwarty na bokach, odsłaniał przy każdym ruchu smukłe dziewczęce uda, które zaraz niby złoty królewski płaszcz zasłaniały rozpuszczone długie włosy, przewiązane nad czołem barwną opaską i swobodnie spadające na plecy. Twarzy dziewczyny nie widzieli, bo zwrócona była w stronę bogini, ale i tak każdy z nich wiedział, kto to jest.

— Agiatis — samymi wargami szepnął Lizandros, który znalazł się niespodzianie obok Agisa najbliższej sadu.

— Tak — odpowiedział Agis, zwracając roześmiane oczy na przyjaciela — popatrz, jak ta mała urosła od zeszlorocznych Gymnopediów. Tańczyła z grupą najmłodszych nagich dziewcząt... a teraz panna się z niej zrobiła... A ty czegoś się tak zaczerwienił?

Agiatis właśnie odwróciła się i spostrzegłszy strojny orszak młodych mężczyzn na koniach, krzyknęła cicho, lekko zeskoczyła na ziemię i znikła w gęstwinie drzew. Z ramienia bogini ześliznęło się maleńkie, zwinne, kasztanowate zwierzątko i pobiegło za dziewczyną.

— Łasiczka Agiatis! — zawołał Amfares. — Zawsze ze swoją panią! Ależ cudo wyrosło z tej dziewczyny! Nawet boska Helena mogłaby jej pozazdrościć urody. Wyglądałaby przy tej dziewczynie jak handlarka suszonych ryb.

— Nie obrażaj boskiej Heleny — z udaną powagą powiedział Lizandros — bo to się może źle skończyć.

— Źle? Dlaczego?

— Słyszałeś historię poety Stezychorosa?

— Nie.

— Ówże Stezychoros napisał wesołą i złośliwą piosenkę o Helenie. Za karę oślepl. I kiedy po uroczystych oczyszczeniach i ofiarach odwołał obelgi, odzyskał wzrok.

— Musiał być ładnym chłopcem, dlatego Helena mu przebaczyła — wtrącił Mandroklejdas. — Ty, Amfaresie, nie miałbyś szans...

— O — szczerze oburzył się Amfares — mówię wam, że gdybym zaśpiewał Agiatis kilka moich pieśni, straciłaby dla mnie głowę!

— Możliwe, ale nie jej ojciec — drwiąco uśmiechnął się Mandroklejdas. — Gilippos dobrze się rozpatrzy, zanim wyda córkę za mąż. Jemu nie zaimponuje byle śpiewak.

— Jedźmy — gwałtownie przerwał Lizandros — za długo tu marudzimy.

— Jedźmy — zgodził się Agis. — Ciekawe, w jaki sposób obłąskawiła tę łasiczkę, że biega za nią jak cień?

— Podobno znalazła ją gdzieś w polu we wnykach tak osłabłą, że nawet się nie broniła, kiedy Agiatis ją uwalniała — Amfares pominął milczeniem zaczepkę Mandroklejdas. — Zabrała ją do domu, odkarmiła, oddechowała i zwierzątko przywiązało się do niej.

— Nawet dzikie i drapieżne zwierzę zmienia swą naturę pod wpływem dobroci — powiedział Agis — a wy twierdzicie, że dobrocią nie można zmienić złego człowieka.

— Trudne to i niewdzięczne zadanie — z odcieniem smutku w głosie zauważył Mandroklejdas, a Damochares zahuczał basem:

— Według mnie, to najlepsza twarda pięść. Dobrocią daleko nie zajedziesz.

— A ja twierdę — z uporem powtórzył Agis — że dobroć jest najsilniejszą bronią. Tylko ludzie nie umieją jeszcze rozumnie posługiwać się nią.

— Ciekawe, czy tą bronią zdobyłbyś najlichszą twierdzą — uszczypliwie uśmiechnął się Amfares.

— Potępiam wszelką przemoc, a więc i zdobywanie cudzych miast! — żywo zawołał Agis. — Zarówno pojedynczy człowiek, jak i całe państwa powinny zadowolić się tym, co posiadają. Wyciągnięcie ręki po cudze zawsze jest grabieżą.

Nie podtrzymywali tej rozmowy. Nie rozumieli swego młodego, dostojnego stanowiskiem przyjaciela. Dziwne zasady, jak na następcę tronu. Czy to młodzieńcza przekora każe mu wygłaszać poglądy sprzeczne z rozumowaniem każdego człowieka? W świecie, w którym się liczy tylko silna pięść i złoto, jaką rolę może odegrać człowiek głoszący chwałę dobroci? Nawet jeśli tym człowiekiem jest przyszły król, współrządca małego państewka?

Milcząc ruszyli w dalszą drogę. Minęli świątynię Dioskurów, boskich bliźniaków, protoplastów królewskich rodów spartańskich, rozsiadłą na wzgórzu, potem hippodrom Posejdon, uczczonego tu świątynią, posągami i wielkim ołtarzem dla ubłagania go, by nie zsyłał trzęsienia ziemi. Gaje oliwne dawały słaby cień, od rozkwitłych sadów szły upajające zapachy i świergot ptaków. Agis rozglądał się, jakby notował w pamięci spotykane obrazy, choć znane, ale zawsze nowe. Znał tu każde drzewo, krzew przydrożny, kamień leżący na drodze, i nawet gdy przymykał oczy, widział to wszystko. Tylko oświetlenie zmieniało się zależnie od pory roku i dnia.

Małomówny Damochares jechał z miną jak zwykle trochę tępą i ospałą, mrużąc swe małe, lekko skośne oczy. Mandroklejdas patrzył na niego z niechęcią: co sobie upodobał delikatny, wrażliwy Agis w tej zwalistej górze mięśni olbrzyma o ptasim mózdzku? Lubi go, to fakt, przebacza grubiańskie zachowanie, broni przed złośliwością Amfaresa, który nieraz strzępi swój ciężki język dla ośmieszenia siłacza. Mandroklejdas westchnął. Trzeba go jednak tolerować, bo to poważny kandydat do wieńca z wawrzynu na zawodach pytyjskich. Przecie po to jadą, aby rozślawić Spartę swymi zwycięstwami. Eforowie liczą, że ekipa spartańska przywiezie trzy albo nawet cztery wieńce. Stawiają na Damocharesa w pentatlonie i pankrationie, na Amfaresa w agonie śpiewaczym, na Lizandrosa w wyścigach kwadryg. Tylko Agis wydawał się im niepewny, poruczyli nawet tajną instrukcję Mandroklejdasowi, aby odwiódł Agisa od osobistego stawania do zawodów w wyścigach. Można wynająć któregoś ze znakomitych aurigów, bo przecie zwycięstwo przypada temu, czyj zaprząg zdobył pierwsze miejsce. Mandroklejdas skrzywił się. Niemiły to obowiązek tłumaczenie Agisowi, że eforowie nie mają zaufania do jego zdolności jako aurigi. Chyba nie wywiąże się z tego zadania. I tak za dużo obowiązków i misji zwalili mu eforowie na głowę: nawiązanie rozmów dyplomatycznych z Atenami, które choć nie liczą się jako siła polityczna, wciąż jeszcze przodują w całym świecie jako ognisko nauki, filozofii i sztuki; odświeżenie trochę przyschłej w ostatnich

latach przyjaźni z Delfami; troska o całą ekipę, kierowanie nią dyskretne i umiejętne, aby nie obrazić Agisa, który jako następca tronu jest zwierzchnikiem i kierownikiem. No, ale jego młody wiek...

Eforowie, co nie było w ich zwyczaju, powiedzieli przy tej okazji parę komplementów Mandroklejdasowi: mimo swoich trzydziestu lat ma rozum i takt doświadczonego męża, śmiałość młodzieńca, delikatność i opanowanie mędrca. Te więc zalety pozwolą mu wywiązać się szacownie z misji dyplomatycznej, jaką mu z pełnym zaufaniem powierzono. Mandroklejdas nie mógł dociec, co się za tymi pochlebstwami kryło.

— Dołożę wszelkich starań — powiedział głośno, jakby jeszcze nie skończył rozmowy z eforami.

— Mówisz coś, przyjacielu? — ocknął się z zadumy Agis.

— Ciekaw jestem, co za maksymę wypisał dla ciebie niezrównany Ksenares.

— Przeczytamy na okręcie.

— Dobrze — odpowiedział Mandroklejdas.

Jechali stępa, ale taka jazda niecierpliwiła Wichra. Strzygł uszami, potrzasał łbem, niepokoił się. Agis rozumiał swego konia. Nie dla nich ten powolny spacer, kiedy serce wypełnia zew swobody, mięśnie wypoczęte rwą się do wysiłku, dusza łaknie przestrzeni. Pozwolił Wichrowi przejść w lekki klus, wysunął się na taką odległość, by nie słyszeć powolnego kłapania kopyt końskich i monotonnego skrzypienia wozów. Mandroklejdas i Damochares pomknęli za nim, nie zbliżając się jednak więcej niż na odległość dwustu, trzystu kroków. Do czuwania nad królewiczem ta odległość wystarczy, wystarczy również, by Agis nie czuł natręctwa tej opieki.

Królowa Agezystrata, matka Agisa, i jego babka, dostojna królowa Archidamia, ubóstwiająca wnuka, w poufnej rozmowie nałożyły na Mandroklejdasą troskę o następcę tronu. Aby jak najgorliwiej czuwał nad jego zdrowiem, osłaniał przed złym wpływem rozpustnej złotej młodzieży ateńskiej, szczędził mu widoków nędzy, chorób i brzydoty ateńskich przedmieść.

„Ukrywano przed nim nędzę i rozpustę Sparty — myślał Mandroklejdas, patrząc w zamyśleniu na zgrabną sylwetkę jadącego przed nim królewicza — wychowywano go jak we wnętrzu kielicha lilii. Chłopak nie wie, co to nędza, głód, cierpienie. Szedł do tej pory przez życie jak po kobiercu z płatków róż. Czy to źle, czy dobrze? Jest czysty i szlachetny jak blok marmuru z Pentelikonu, cóż z niego wykuje Tyche, bogini losu? Oby bogowie dali długie życie jego ojcu, Eudamidasowi! Król ostatnio źle jakoś wygląda. Wychudł, przygarbił się, unika oficjalnych wystąpień. Gdyby jednak rzeczywiście było z nim źle, czy wysyłałby Agisa na daleką, długą wyprawę? Sam przecież nalegał na eforów, sam wysunął projekt tej podróży i wystawienia spartańskiej teorii na igrzyska delfickie. Kosztowna to podróż, zarówno dla skarbu państwa, jak i dla królewskiej szkatuły, więc widocznie królowi bardzo na niej zależało”. Mandroklejdas skarcił się w duchu: „Czy warto się gnębić na zapas?”

Słodka cisza i pogoda wiosennego ranka legły nad słonecznym krajobrazem. Czasem spod nóg koni, płosząc je, wyskakiwał lekkomyślny szarak, czasem wzbijała się w górę kakubis, mała krewniaczka kuropatwy, a wśród zielonej runi łąnow nawoływały się przepiórki. Wbrew woli Mandroklejdas wrócił myślami do wspomnień. Raz — Mandroklejdas dobrze pamięta tę scenę, choć miał wtedy zaledwie siedemnaście lat — Agis zetknął się z okrucieństwem ludzi. Stał się mimowolnym świadkiem gorszącej sceny, jaka się rozegrała w domu królewskim.

Siedział w ogrodzie pod cienistym orzechem z królem Eudamidasem i omawiał sprawę uczestnictwa swojej grupy młodzieży w uroczystościach ku czci Apollina, kiedy na dziedzińcu rozległ się jakiś hałas i krzyk. Po chwili do ogrodu przybiegł siedmioletni Agis i płacząc głośno, skierował się ku ojcu.

Król Eudamidas zerwał się z ławki i zawołał wzburzony:

— Agisie, spartiata nie płacze nigdy! Przestań zaraz!

Agis ocierając twarz skrawkiem swego krótkiego, zakrywającego za ledwie pół uda chitonu powiedział urywanym głosem:

— Na agorę... na agorę... prowadzą helotę, aby go ukrzyżować. Ratuj go, ojcze!

— Został skazany na śmierć przez eforów — powiedział surowo król — widocznie zasłużył na to.

— Ja go znam. To stary ogrodnik Migdona. Dobry człowiek — powiedział Agis już bardziej opanowanym głosem. — On nie mógł zrobić nic złego. Ratuj go, ojcze!

— Nie mogę nic zrobić. Wyroku eforów nikt nie ma prawa zmienić.

Wtedy z ust małego Agisa padły bluźniercze słowa:

— Więc ma cierpieć niewinny? Helota to też człowiek!

Król Eudamidas zapowiedział ukaranie syna, ale do tego nie doszło, bo Agis dostał gorączki i trzy dni matka i babka drżały o jego życie. Chociaż Agis jako następca tronu nie miał obowiązku przejścia surowej szkoły wychowania państwowego, agoge, król postanowił oddać go pod opiekę pajdonoma, ale stanowczo sprzeciwiły się temu obydwie królowe: matka i babka. Po kilkudniowej zaciętej walce domowej król ustąpił. Nie na próżno mówiono w Sparcie, że władza w państwie spoczywa w rękach kobiet, choć wykonują ją mężczyźni.

Mandroklejdas był dyskretny i o całym zajściu nie pisał nikomu ani słowa, ale przez niewolników i służbę sprawa rozgłosiła się szeroko. Mężczyźni gorszyli się ustępliwością króla, kobiety stały murem za starą i młodą królową.

— Słusznie zrobiły. Byłoby to wbrew tradycji, gdyby następca tronu musiał przejść agoge. Zresztą to takie śliczne, udane dziecko. Wyrośnie z niego piękny król. Bogowie przychylniej spojrzą na ofiary przez niego składane i ludzie będą szczęśliwsi. Nawet żołnierzom na polu bitwy lżejsze wydadzą się rany i śmierć, gdy będą umierać pod okiem takiego króla.

Od owego dnia szczególnie piękne dary w dniu urodzin otrzymywał Agis od periojków ze wszystkich miasteczek lakońskich i od helotów.

Mandroklejdas uśmiechnął się. Który to z mędrców powiedział, że najpierw ciało musi mieć prawo do władzy? Żaden kapłan nie może być chromy, ślepy, odrażający — ten pośrednik między bóstwem a człowiekiem — tak każe prawo i zwyczaj grecki. Pociągająca powierzchowność — to połowa sukcesu w dążeniu do panowania, obojętne czy nad jednostką, czy nad całym społeczeństwem. Bogowie byli łaskawi dla Agisa nie szczędząc mu ujmującej powierzchowności i daru zjednywania sobie ludzi. Choć szczupły i niewysoki, ale wdzięczny jak Ganimedes, ulubieniec Zeusa i podczaszy bogów. Teraz jest to tylko wrodzony dar, ale podbudowany doświadczeniem i rozumnym działaniem...

Mijali słynne Platanistas, place wojskowe ocienione platanami położone w rozwidleniu Eurotasu. Rojno tam było. Jak zwykle wiosną, w miesiącu Artemisios, poświęconym ulubionej bogini młodych, Artemidzie, miały się odbyć wkrótce zawody gimnastyczne i taneczne ku jej czci. Młodzież gorliwie ćwiczyła pod okiem wytrawnych gimnazjarchów od świtu do nocy wykorzystując ostatnie wolne dni przed świętami.

— Pięknie ćwiczą, prawda, Mandroklejdasie? — Agis z zainteresowaniem śledził zwarte i zwinne szeregi młodzieży. — Wiesz, nieraz żałuję, że matka i babka obroniły mnie przed agoge.

— Nic na tym nie straciłeś. Władasz mieczem i włócznią lepiej niż gimnazjarchowie, którzy tu uczą. Ćwiczyłeś przecie w domu pod kierunkiem najlepszych mistrzów i oni uznali twoje postępy za bardzo dobre.

— Tak myślisz? — ucieszył się Agis. — Ale wierz mi, często mierzi mnie to perfumowane życie. Przespać się na gołej ziemi, jeść żołnierski twardy, jęczmienny placek, zagryzając główką cebuli lub ząbkiem czosnku...

— Nasza podróż dostarczy ci tych wrażeń.

— Przecie do Aten droga krótka i nieuciążliwa.

— Z Aten jedziemy do Delf. Łądem, a więc długo. Eforowie, jak zwykle, mieli węża za pazuchą, kiedy przydzielali nam zaopatrzenie. Mamy niewiele wina, oliwy, mąki. A w drodze zapasy szybko się kurczą. Pieniądzy też wieziemy niewiele.

— Mam jeszcze swoje prywatne zasoby. Od matki, od babki.

— Te zachowaj na ostatek. Najpierw nas skubać będą chciwi Ateńczycy, potem jeszcze skuteczniej sładzy Apollina.

— Nie wygaduj na świętych mężów. A co do mnie... Lubię trud i zmaganie się z własnym, zleniwiałym ciałem. Nieraz, pamiętam, gdy byłem jeszcze dzieckiem, matka lub babka obdarzały mnie łakociami i kosztownymi zabawkami. Uszy miałem pełne nauk Ksenaresa o życiu, jakie zalecał Likurg. Starłem się być wstrzemięźliwy. Łakocie, chociaż z ciężkim sercem, oddawałem dzieciom służebnych helotek. Albo, kiedy ścielono mi do snu miękkie poduszki, usuwałem je i próbowałem spać na twardej macie łoża. Co prawda nigdy mi się to nie udawało. Męczyłem się, liczyłem stada owiec, nieraz do pierwszych kurów, aż wreszcie przepraszałem wzgardzone poduszki. Zabawne, co?

Agis roześmiał się. W jego czarnych, głębokich oczach pojawiły się jasne iskierki. Łagodny owal twarzy rozjaśnił się uśmiechem, na policzkach i brodzie zarysowały się dołki. Patrzącemu nań Mandroklejdasowi Agis wydał się niedorośłym, piętnastoletnim chłopcem. Wrażenie to pogłębiała szczupła budowa ciała i ciemne, o orzechowym odcieniu włosy spadające swobodnie na kark. I czoło jasne, gładkie jak u dziecka.

— Uciekajmy stąd, nauczyciele duszę wygnają z tych młodzików, jeśli dłużej tu zabawimy — z udanym niepokojem przerwał mu Mandroklejdas. — Już stąd widać, jak się zlewają potem.

— Nędznie wyglądają ci chłopcy — z twarzy Agisa znikł ostatni cień uśmiechu — skóra i kości. Za dużo chyba ćwiczą ciała i umartwiają ducha.

— Eforowie twierdzą, że tłuszcz zaciemnia umysł — drwiąco odpowiedział Mandroklejdas — więc, żeby nie dopuścić do zaciemniania umysłu, jak mogą, odchudzają ciała. Pamiętam, jak nieraz głodowałem w gimnazjone, szczególnie jeśli się nie udało polowanie. Miało się ochotę zjeść własny palec. Ze strachem patrzyłem, czy tego nie zrobi starszy ejren któremuś z moich rówieśników, jeśli ten, zapytany, pomylił się w odpowiedzi. Po chudej wieczerzy, kiedy chłopcy byli źli i roztargnieni, szczególnie trudno było odpowiadać na pytania w sprawach publicznych i ejren kolejno gryzł za karę palce pytanych...

Chociaż jechali najżyźniejszą doliną Lakonii, okolica wydawała się pusta i nie zamieszkała. W miarę oddalania się od Sparty coraz mniej było domów czy dworków, nawet szałasów, choć pola były starannie uprawione. Zieleniła się jasno ruń łąnów pszenicznych, niebieskawe pasy jęczmienia podchodziły pod łagodne wzgórza, na których rozwijała się z pąków szlachetna winorośl. Gdzieś tam spozstrzegali pracujących helotów, którzy kryli się za oliwki na widok strojnego orszaku.

— Pola żyzne, pola uprawne — w zadumie powiedział Agis — i plony bogate, a wczoraj słyszałem, jak dwóch spartiatów błagało moją matkę o pożyczenie kilku miarek jęczmienia, bo dzieci ich głodem przymierają...

— Te wszystkie pola, które mijamy, należą do kilku obywateli: Gilipposa, Megistonusa, Pollisa, twego wuja Agezylaosa, twojej matki i babki, i króla Leonidasa — wyjaśnił Mandroklejaas. — Pamiętam, że ostatni kleros jaki tu istniał, niejakiego Pantaklesa, znikł za mego dzieciństwa.

— Jak to: znikł?

— Zagarnął go Pollis po śmierci Pantaklesa.

— Pantakles nie zostawił spadkobierców?

— Zostawił nieletniego syna. Pollis skłonił eforów, aby oddali mu pod opiekę chłopca i jego nadziei. Eforowie przystali na to. W dwa lata później chłopiec zmarł w gimnazjone z powodu ran, jakie odniósł w czasie ćwiczeń, a Pollis przywłaszczył sobie kleros.

— Chłopiec nie miał bliższej rodziny?
— Była siostra Pantaklesa i jej dziewięcioletnia córka.
— Więc czemu one nie otrzymały nadziei?
— Myślisz, Agisie, że w sporze o pieniądze biedny wygra przeciw bogatemu?
— Chyba cię pamięć zawodzi, przyjacielu. Przecie sprawy dziedziczenia i małżeństwa spadkobierczyń rozstrzygają królowie. Dlaczego więc mój ojciec...
— Twego ojca eforowie wysłali wraz z wojskiem bodajże na pomoc Achajom czy też do Olimpii, dobrze nie pamiętam. Pozostał drugi król, Leonidas, a jak zapewne wiesz, te sprawy nic go nie obchodzą, zostawił decyzję eforom.
— Eforowie popełnili bezprawie, więc mój ojciec...
— Wyroki w Sparcie wydane przez króla, eforów czy innych urzędników są ostateczne, nawet gdy są niesprawiedliwe.
— Nikczemni. Przypominasz może sobie imiona tych eforów?
— Nie. O eforach, Agisie, należy mówić albo bardzo dobrze, albo nie mówić wcale. Lepiej nie mówić wcale, zapamiętaj to sobie, przyjacielu.
— Czy to prawda, Mandroklejdasie, że Ateńczycy myją się w ciepłej wodzie? — zahuczał nagle Damochares. — Opowiadali mi o tym, ale wierzyć nie chciałem.
— Nie w ciepłej wodzie, tylko w ciepłym mleku — sprostował Mandroklejdas, uśmiechając się kącikami ust. — Doszli już dawno do przekonania, że woda, a szczególnie zimna, niszczy skórę. Tak samo zresztą zimne mleko.
— Coś takiego... — w niepomiarowym zdumieniu zasapał Damochares. — A jakie to musi być mleko?
— Ptasie — odpowiedział z powagą Mandroklejdas.
Damochares otworzył usta, aby zadać jeszcze jakieś pytanie, ale spostrzegłszy, że Agis się śmieje, warknął gniewnie, że nie życzy sobie głupich kawałów i smagnął konia do szybszego biegu.
Amfares skorzystał, że lewa strona obok Agisa jest wolna i podsunął się.
— Czy w Atenach będziemy mieszkać obok gimnazjonu Kynosarges?
— Będziemy mieszkać w dzielnicy Skambonidai, skąd bliżej do Akademii niż z Kynosarges.
— To świetnie. Słyszałem, że to najbogatsza dzielnica Aten. Zobaczymy tam pewno najładniejsze i najlepiej ubrane Atenki.
— Nie licz na to. Atenki rzadko opuszczają domowe progi. Takiej swobody jak u nas nie mają żadne inne greckie kobiety — powiedział Mandroklejdas. — Uczty odbywają się bez kobiet, tak samo większość uroczystości państwowych.
— Szkoda. A ja myślałem, że uda mi się zawrócić w głowie paru ładnym dziewczynom. Miałbym powodzenie jak Sylen.
Amfares odwrócił się twarzą ku Agisowi, zmarszczył czoło, poruszył spiczastymi uszami, co jego twarzy nadało wyraz rozbawionego fauna.
Agisa zawsze śmieszyła i bawiła ta niezwykła sztuka Amfaresa. I tym razem wybuchnął śmiechem.
— Ty lepiej kłopot się tym, byś nie stracił głosu na hulankach i zabawach. Gdy przyjdzie do popisu w Delfach... — surowo rozpoczął Mandroklejdas, ale Amfares przerwał zarozumiale:
— Bądź pewny, że nie zawiodę. Dyrygent chóru chłopięcego, Megillos, powiedział, że tak cudowny głos jak mój zdarza się raz na sto lat.
— Nie przesadzajmy — Mandroklejdas nie lubił i tego przyjaciela Agisa. — Głos masz niezły, ale go nie szanujesz.
— Niezły?! — oburzył się Amfares. — Jak Orfeusz mógłbym czarować zwierzęta, gdybym tylko zechciał. Tylko takie barbarzyńskie uszy jak twoje nieczułe są na piękno boskich

tonów moich pieśni.

— Samochwała w kącie stała — pogardliwie odpowiedział Mandroklejdas. Dziwił się, że Agis toleruje przy sobie tego kościstego, złośliwego człowieka. Że pięknym głosem czarował kobiety, temu się Mandroklejdas nie dziwił, jak również temu, że matka Agisa, pani Agezystrata, tak często przyjmuje w swoim domu tego zarozumiałego śpiewaka. Miała ona słabość do lutnistów, flecistów i poetów. Często na uczty, które lubiła urządzać dla znakomitych dam Sparty, zapraszała na popisy Amfaresa, muzykantów i pieśniarzy.

Wykwintny światowiec, Mandroklejdas, skrzywił się rozmyślając o najbliższych przyjaciółach Agisa. Jak będą na nich patrzeć kulturalni, wybredni, pełni oglądy i taktu ateńscy arystokraci? Znów powiedzą, że gbury z Lakonii najechały Ateny. Jeden Lizandros, oczywiście poza Agisem, bardziej okrzesany, syn arystokraty, potomek znakomitego wodza spartańskiego, Lizandra, zwycięzcy spod Aigospotamoi, nie będzie raził wykwintnych paniczeków ateńskich. Świetny jeździec, zawołany koniarz, zyska u nich poklask. Wybaczą mu jego przesadną elegancję, pewność siebie oficera kawalerii, hałaśliwy śmiech i nadmierną gestykulację. Mandroklejdas obejrzał się. Ciekawe, dlaczego Lizandros taki ponury wlecze się na końcu orszaku, jakby jechał nie do Aten, ale do ponurej świątyni Tanatosa, boga śmierci, aby mu złożyć ofiarę. Lizandros, ten wesoły kompan do kielicha, polowania, zabawy.

— Bogata jest ziemia lakońska — Agis głośno wrócił do swoich poprzednich myśli — bujny plon zapowiadają pola, wielki urodzaj kwitnące sady. Jak myślisz, zbiory w tym roku będą lepsze niż zwykle?

— Myślę, że takie same.

— Jeśli co roku są takie same zbiory, to powiedz, czemu w Sparcie są ludzie głodni? Czemu tylu spartiatów nie może złożyć prawem wymaganych udziałów na wspólne wieczere, syssitie?

— Jeździłem już sporo po świecie, Agisie. Byłem parę razy w Atenach, Olimpii, Koryncie, Delfach, w wielu innych miastach greckich, a nawet w Egipcie. I wszędzie widziałem bogatych, wszędzie widziałem biednych. Widocznie tak już musi być świat urządzony.

— To jest źle urządzony! — zawołał porywczo Agis. — Nie powinni jedni mieć za dużo, a inni nic.

— Nikt tego nie potrafi zmienić, Agisie. Przynajmniej nikt do tej pory nie zmienił.

— Likurg zmienił — sprostował Agis. — Ale gdy zabrakło jego ręki, wszystko wróciło do dawnego stanu.

— Kto wywołał twój gniew, Agisie? — zapytał Damochares, który usłyszał podniesiony głos następcy tronu i spieszenie zawrócić. — Słyszę, że się na coś czy na kogoś gniewasz. Powiedz, o co chodzi, a zmiążdżę śmiałka.

— Ech, nic — pospieszył z odpowiedzią Mandroklejdas. — Agis cieszy się, że zapowiada się taki piękny urodzaj.

— Agis się cieszy na myśl o dochodach? Nie żartuj, panie pośle.

— Nie wtrącaj się, kiedy cię nie pytają — odpowiedział Mandroklejdas.

„Dlaczego nie lubią się wzajemnie moi przyjaciele? — pomyślał z żalem Agis. — Staram się być jednakowo serdeczny dla nich, nie wyróżniam jednego ze szkoda dla drugiego, a oni zawsze na siebie wilkiem patrzą”. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie się nienawidzą, czyniąc sobie przykrości, zadając ból. Świat jest piękny, życie jest wspaniałym darem bogów, dlaczego je sobie zatruwać niepotrzebnymi swarami? „Mój ojciec nigdy nie wyrządził nikomu krzywdy. Jest surowy, wymagający, ale sprawiedliwy. Dlatego lud zwie go Eudamidą Sprawiedliwym. Jeśli karał kogoś, karał słusznie, ale bez okrucieństwa. Nie stawia nigdy spraw na ostrzu miecza. Jeśli ma wybrać między zwycięską wojną, a umiarkowanym pokojem, wybiera pokój. Stąd jego wieloletnie starania o sojusze, przymierza, paktów przyjaźni. Zawsze mówi, że wojna to ostateczność. Być gotowym do odparcia napaści, zmiążdżyć wroga, jeśli uderzy, ale pierwszemu nie rozpoczynać kroków wojennych. To słuszne. I mnie

wysłał w tym celu. Szukać nowych przyjaźni, odnowić stare sojusze. Nikt łatwo nie wyciąga miecza w stronę tego, kogo się gościło pod swoim dachem, komu dano możliwość złożenia ofiar bogom domowego ogniska. Mądry jest ojciec i szlachetny. Oby żył jeszcze długie lata!”

Agis znów popadł w namyślenie. Ale nie były to już myśli pogodne. Ciągłe mu stawała przed oczyma zmizerowana twarz ojca. Od paru miesięcy coś ojcu dolega, choć tai to przed wszystkimi. Dlaczego się nie leczy? Bał się rozmawiać z ojcem na ten temat, bo widać było, że sobie tego nie życzy. „Ale kiedy wrócę, a ojciec będzie jeszcze ciągle niedomagał, pomówię z nim, nakłonię do leczenia” — postanowił Agis.

W miarę posuwania się na południe ku morzu, ruch na trakcie wzrastał. Ciągnęły do portu skrzypiące wozy kupieckie z lakońskim winem, oliwą, pszenicą, z portu wieziono zamorskie towary, na które czekały bogate domy spartiatów. Poganiacze, świstając rzemiennymi batami, pędzili grupki niewolników do kamieniołomów i kopalń żelaza w Tajgecie. Krótko ostrzyżeni, w brudnych exomis, z wypalonym piętnem na prawym ramieniu, byli bezimiennym stadem, dla którego pozostał tylko trud i praca do końca głodnych dni.

Ten widok sprawił, że ogarnęły Agisa jeszcze smutniejsze myśli. Litował się nad niewolnikami jak nad mułami obciążonymi zbyt ciężkim jarzmem, jak litował się nad każdym chorym czy udręczonym zwierzęciem. Okrutne są prawa ziemskie. Bogowie je stworzyli czy wymyślili ludzie? Może na to pytanie dadzą mu niedwuznaczną odpowiedź w mieście filozofów, w Atenach, które się uważają za mózg świata. Ale czy najlepsze nawet wyjaśnienia poprawią dolę człowieka? Dobrze jest ludziom, których nie trapią pytania bez odpowiedzi.

Krajobraz zmienił się. Po lewej stronie ciągnął się pas ciemnej zieleni nadmorskich bagien, zza których dochodził jednostajny szum morza, na prawo nieliczne pola uprawne przecinały gaje pinii o pniach pokrzywionych i pokręconych od wiatrów i burz idących od morza.

Nieduży port Gytion wrzał życiem. Port wojenny Sparty i stocznia okrętowa usadowiły się obok siebie, z dala od miasteczka, które znalazło naturalne oparcie w porcie handlowym. Jeźdźcy minęli położoną na wzgórzu białokamienną świątynię Posejdona, ołtarz Zeusa, gimnazjon i miejskie łaźnie, parę uroczych willi zamożnych kupców, potem ugrzęźli na agorze. Wśród różnobarwnych kramów i straganów panował hałas i ruch niesłychany. Pomiedzy tłumem przekupniów i miejscowej ludności kręciło się sporo cudzoziemskich marynarzy i żołnierzy, różnych kolorów skóry. Zamożnie wyglądających jeźdźców obskoczyły tłumy sprzedawców i pośredników, ofiarowując przeróżne towary i usługi. Mandroklejdas nie stracił głowy, krzyknął groźnie, ruszył naprzód w sfalowany tłum, który rozprysł się na boki, dając jeźdźcom i wozom wolny przejazd. Posypały się za nimi okrzyki zrazu gniewne, ale gdy rozpoznano godła króla spartańskiego, Eudamidasa, nastrój się zmienił. Ktoś krzyknął, że to Agis, syn i następca Eudamidasa Sprawiedliwego, i od tej chwili wśród owacji i przyjaznych okrzyków dojechali do portu wojennego.

Dwa królewskie trójrzędowce czekały już na przybycie gości. W tym czasie, gdy ładowano na statki konie i sprzęt, Agis ze swą swiutą udał się do pobliskiej małej świątyni Posejdona, gdzie złożył przepisane obyczajem ofiary. Wróżby wypadły pomyślnie, wiatr wiał od rufy, ruszono więc od razu w dalszą drogę. Morze było spokojne i ciche, dlatego wbrew tradycji, która nakazywała rozpoczynać żeglugę morską dopiero po letnim przesileniu dnia z nocą, zdecydowano w Sparcie wysłać młodych ludzi tak wcześnie, jak również dlatego, że bardzo nalegał na to król Eudamidas. Zatoka Lakońska migotała gładka i lśniąca jak tarcza polerowana przez Hefajstosa. Młodzi spartiaci po raz pierwszy w życiu zetknęli się z tym ruchliwym, nieznanym żywiołem. Urzekał ich, ale też napawał lękiem. Milcząc stali na pomoście statku i rozglądali się trochę bezradnie.

Na prawo, ku południowi, granatowa, spieniona woda wysokimi słupami biła w prostopadłą ciemną i wyniosłą skałę. Statki spartańskie umykały ku wschodowi, aby nie wpaść między te miażdżące potęgi.

— To przyładek burz — wyjaśnił Agisowi dowódca statku, zauważywszy, z jak wielkim zainteresowaniem młody królewicz przygląda się groźnemu widowisku.

— Zdawało mi się, że to przyładek Tenaros — zdziwił się Agis.

— Tak, ale my, żeglarze, nazywamy go przyładkiem burz. Niejeden statek ma ta skała na sumieniu. Przyjrzyj się, panie, tej szalonej kipieli.

— W głowie mi się kręci — odparł Agis. — My, ludzie lądu, źle się czujemy, kiedy mamy chwiejną podstawę pod nogami.

— Czy nie zechciałbyś, Agisie, wrócić do kajuty? — wtrącił Mandroklejdas. — Chyba masz już dość widoku morza?

— Kto pierwszy raz wsiada na statek, powinien być ostrożny — powiedział oficer. — Lepiej będzie, panie, kiedy wyciągniecie się wygodnie na łożu. Choroba morska chwyta nawet najsilniejszych ludzi.

— Do choroby morskiej jeszcze daleko — uśmiechnął się Agis — ale rzeczywiście lepiej odpoczniemy w kajucie. I wreszcie przeczytamy, jakiej rady udzielił nam na drogę Ksenares. Chodźmy, przyjaciele.

Z dziobu statku zesli na śródokręcie, skąd idąc trochę w górę, weszli na pokład rufowy, gdzie znajdowały się kajuty. Dla Agisa przeznaczona była najobszerniejsza i najwygodniejsza, wysłana grubym kobiercem, na którym rozesłane były wezglówki wypchane trawą morską. Odsunęli matę zawieszoną u wejścia. Słońce i powietrze wdarło się do wnętrza, wymiotło zasiedziały zaduch smoły, którą konserwowano statki. Agis usiadł, Damochares podsunął mu pod plecy wezglówek i położył się obok niego. Pozostali przyjaciele usadowili się ciasno obok siebie, bo kajuta była maleńka. Agis wydobył z torby podróżnej rulonik Ksenaresa, przebiegł pismo oczyma poruszając przy tym wargami i zamyślił się.

— Co napisał mistrz Ksenares? — zniecierpliwził się Amfares. — Obiecałeś, Agisie, przeczytać nam.

— Tak. Więc posłuchajcie. To są słowa Platona: „Dopóki bądź filozofowie nie będą dzierżyli rządów w państwach, bądź ci, co teraz nazywają się królami i możnowładcami, nie wezmą się uczciwie i gruntownie do filozofii, dopóty ani przewidzieć nie można końca nieszczęść dla państwa, ani w ogóle dla rodzaju ludzkiego”.

— Pitos wina temu, kto zrozumie te mądrości — mruknął Damochares.

— Za dużo byś przegrał — zaśmiał się Mandroklejdas. — Wystarczy mi amfora. Zaraz ci wytłumaczę, ale stawiasz amforę dla nas wszystkich?

— On i małego kubka nie postawi — Lizandros wyciągnął swoje długie nogi aż za próg kajuty — drachmy nie lubią się trzymać Damocharesa, a Damochares nie lubi trzymać drachm.

— Nie stawiam, rozmyśliłem się — burknął Damochares.

Agis poruszył się niecierpliwie. Mandroklejdas zrozumiał od razu jego niezadowolenie i sprowadził rozmowę do zasadniczego tematu:

— Zdaje się, że Platon tę myśl wyraził jeszcze prościej: „Albo filozofowie będą królować, albo królowie filozofować”.

— Cała ta filozofia nie warta jednego obola — pogardliwie mruknął Damochares. — Dla mnie cała filozofia życiowa mieści się, o, tu... — Ścisnął swoją potężną pięść i podsunął w stronę Mandroklejdas: — Jaki filozof oprze się mojej pięści?

— Powtarzasz się — odpowiedział z niesmakiem Mandroklejdas. — Gdyby wół potrafił mówić, powiedziałby to samo. I tobie nie radzę zabierać głosu w sprawach, o których masz takie pojęcie, jak osioł o Akropolis.

— Osłem mnie nazywasz?! — zerwał się zaperzony Damochares.

— I tego nawet nie rozumiesz — wzgardliwie uśmiechnął się Mandroklejdas — że to tylko porównanie, czyli mowa ozdobna.

— Żaden szanujący się spartiata nie używa ozdobnej mowy — Damochares z głębokim

zadowoleniem powtórzył słowa efora Okyllosa. — Słynie na całym świecie z prostej, zwyczajnej, surowej mowy lakońskiej. Zaraziłeś się cudzoziemskimi zwyczajami, czcigodny pośle.

— Mówisz mądrze, jak efor Okyllos, Damocharesie — Amfares znał również ulubione maksymy efora. Wiedział, że to pochlebi Damocharesowi, a podrażni Agisa, którego każda wzmianka o eforach wyprawiała z równowagi. Jak mu się uda zużytkować pogłębianie niechęci między następcą tronu, a eforami, Amfares jeszcze nie wiedział. Rozumował tylko, że gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta. Rad był, że ułagodził Damocharesa, któremu przedtem dogryzał.

— Wróćmy na pokład — Agis wstał i natychmiast podnieśli się z kobierca jego przyjaciele. — Widzę, że dziś nie jesteście usposobieni do dysputy. Nawet mój drogi Mandroklejdas mnie zawodzi.

Statki minęły wyspę Kyterę, słynną z pradawnego kultu Afrodyty, u której w strapieniach miłosnych szukali ratunku nie tylko zakochani ze Sparty, ale z wielu innych miast Grecji. Stacjonował tu garnizon spartański, strzegący wejścia do zatoki i na Peloponez. Hoplici na widok statków z emblematami rodu Eurypontydów wylegli na wybrzeże i wymachując kwitnącymi gałęziami pozdrawiali Agisa.

Z zatoki wypłynęli na pełne Morze Myrtońskie. Mijały ich żwawe statki handlowe, łodzie rybackie, ciężkie statki towarowe, z wolna sunęły uzbrojone okręty wojenne, patrolujące brzegi. Budziły powszechne zaciekawienie spartańskie trójrzędowce, pozdrawiano je okrzykami i wymachiwaniem rąk. Łagodny, zachodni wiatr sprzyjał żaglom, wioślarze odpoczywali przy wiosłach. Nie spieszyli się. Przyjazd do Pireusu zapowiedziany był na następny dzień, trzeba przenocować w pobliżu, aby w dobrej formie i na czas zawinąć do portu.

Kapitan zaproponował Agisowi mały port Kalauria na wysepce tej samej nazwy, słynny ze świątyni i ołtarza Posejdona, którego żaden statek przejeżdżający w pobliżu nie pominął, by nie złożyć dziękczynnych lub błagalnych ofiar.

W przystani stało zakotwiczonych kilka różnorodnych statków, przeważnie handlowych.

— Wiesz, Agisie — Mandroklejdas nieraz potrafił błysnąć swoją uczonością — tu, na tej nędznej wysepce, prawie osiemdziesiąt lat temu zażył truciznę najznakomitszy mówca wszystkich czasów, Demostenes z Aten, syn właściciela warsztatu broni, Demostenesa. Niezlomny to był mąż. Całe życie walczył o niepodległość swoich Aten. Przestrzegał przed zaborczością Filipa Macedońskiego, gromił obywateli za lekceważenie niebezpieczeństwa. Nawet po klęsce pod Cheroneą podtrzymywał w Ateńczykach ducha oporu. Po śmierci Aleksandra Macedońskiego wydało mu się, że błysnęła iskra nadziei. Zorganizował powstanie przeciw Macedonii. Niestety powstanie nie powiodło się. Demostenes musiał uchodzić z Aten. Ścigany przez siepaczy macedońskich otrął się, aby nie wpaść żywy w ich ręce.

— Ja też nie umiałbym przeżyć hańby niewoli — zawołał żywo Agis — podziwiam czyn Demostenesa i jeszcze bardziej go cenię. — Pamiętam, Ksenares czytał mi fragmenty jego mów, nazywał je filipikami. Piękna jest taka niezłomność szlachetnych przekonań...

— Gdyby się ukorzył przed Macedończykami — rozpoczął Amfares — nie poniósłby tej ostatecznej klęski, jaką jest śmierć...

— Demostenes przez śmierć swoją odniósł osobiste zwycięstwo nad macedońskim barbarzyńcą. Tak właśnie to rozumiem — powiedział Agis.

— Klęski bywają przejściowe. Dziś klęska, jutro zwycięstwo. Człowiek nie powinien poddawać się śmierci — odpowiedział z namysłem Mandroklejdas. Tak rozogniła ich dyskusja na temat śmierci i prawa wolnego człowieka do decydowania o jej wyborze, że nie zauważyli, kiedy trójrzędowce przybiły do brzegu.

Amfares pierwszy wybiegł na ląd, by, jak twierdził, zasięgnąć języka, i od razu skierował się do portowej oberży. Nie wracał dość długo, więc Damochares i Lizandros pospieszyli

sprawdzić, co się stało. Dla bezpieczeństwa Agis dodał im dwóch silnych helotów-wioślarzy.

Zastali Amfaresa grającego w kości z marynarzami z Sycylii. Przegrał już swoje wypożyczenie za uczestnictwo w poselstwie do Aten i postawił jedyną ceną rzecz, jaką posiadał: srebrny pierścień ze szmaragdem, dar królowej Agezystaty za jedną, szczególnie pięknie wykonaną pieśń, podczas którejś z biesiad. Lizandros i Damochares użyli sprytnego wybiegu, aby wyrwać niefortunnego gracza z rąk przygodnych kompanów. Lizandros odwołał Amfaresa, bo w pilnej sprawie wzywa go królewicz, Damochares zaś pobrzękując woreczkiem ze srebrem przysiadł do graczy i udał wielki zapał dla hazardu. Kiedy przyjaciele zniknęli w cieniach wieczoru, Damochares wstał, wyciągnął niedźwiedzie łapy i powiedział:

— Zabawić się z wami mogę, ale na pięści. Oddajcie pieniądze i pierścień mojego przyjaciela, bo jak nie, to zrobię polewkę z waszych nosów.

Zakotłowało się. Marynarze zerwali się z wrzaskiem. Najbystrzejszy z nich porwał miseczkę z pieniędzmi i rzucił się do ucieczki. Część pobiegła za nim, bojąc się o swoje stawki. Trzech pozostało na miejscu, ale Damochares nie miał z nimi kłopotu. Pchnął pierwszego z brzegu tak silnie, że ten padając podciął nogi kompanom. Zanim oprzytomnieli i zerwali się z ziemi, Damochares był już daleko. Szedł wielkimi krokami, ściskając pod pachą spory tłumok, którego przedtem nie miał. Jeden z helotów rozpoznał po żółtym kolorze płaszcz sycylijskiego żeglarza, tego, co ograł Amfaresa.

Epizod ten skończył się żalną skargą poszkodowanego:

— Taki płaszcz! Bogowie, taki płaszcz! Kupiłem go w Koryncie za trzy miesiące żołądu! Mówili mi, że Spartanie to sami złodzieje, a ja głupi nie wierzyłem temu! Całe szczęście, że oszukiwałem w grze tego spiczastouchego fauna! Ale za srebrny pierścień takiego płaszczka nie kupię! I nawet nie mogę dochodzić swojej krzywdy, bo ten ponury olbrzym zmiażdżyłby mi kości.

Kiedy Damochares przybiegł do przystani, gdzie stały ich żaglowce, zobaczył na brzegu Lizandrosa i Amfaresa, kłócących się zawzięcie. Amfares wymyślał Lizandrosowi za to, że odwołał go od gry. On umyślnie przegrywał, aby rozpalić durnych Sycylijczyków i potem ich ograć. Lizandros krzyczał, że to właśnie on uratował głupiego Amfaresa od dalszych przegranych i za to należy mu się nagroda. Kiedy Damochares pochwalił się „zdobytym” płaszczem, Amfares zażądał od niego zwrotu przegranej. Ale teraz wyśmiali go obydwaj, Damochares i Lizandros. Zawrzała nowa kłótnia. Wreszcie Lizandros rozstrzygnął spór: sprzedadzą płaszcz w Atenach, podzielą zarobek na trzy części. Amfares będzie miał zwrot przegranej, Lizandros dostanie za sprytnie wyrwanie Amfaresa z rąk oszustów, Damochares zaś za udany rabunek. Damochares zasapał z niezadowolenia, ale zgodził się. Wiedział, że ten wyszczekany Amfares sprzeda płaszcz trzykrotnie drożej, niżby on to potrafił. Zarobek więc będzie ten sam.

Pogodzeni i uśmiechnięci wrócili na pokład. Błahym kłamstwem wykręcili się przed Agisem. Nie dopytywał się. Ojciec uczył go, aby nie był dociekliwy w sprawach małej wagi.

W jakiś czas potem Agis, przechadzając się po pokładzie, podsłuchiwał mimo woli opowiadanie helotów o przygodzie w oberży i kłótni przyjaciół na przystani. Serce jego wezbrało goryczą. Aż do tego stopnia są nieszczerzy najbliżsi przyjaciele? Powiedzieć im o odkryciu prawdy? Zemszczą się na niewinnych helotach, nie uwierzą, że przypadkiem usłyszał całą historię. A więc najlepiej będzie przemilczeć. Mają różne słabostki jego przyjaciele, ale w gruncie rzeczy, Agis wierzył w to najmocniej, są dobrymi chłopcami. Ich wypaczone charaktery, to błędy wychowania państwowego. Przecież tam każą kłamać i kraść, tylko nie wolno dać się złapać na przestępstwie. Skutki tych nauk sięgają w wiek dojrzały. Inne wychowanie zalecał jego wielki przodek, boski Likurg. Wypaczyła się jego idea przez wieki, zwyrodniała metoda. Należałoby ją oczyścić z tych niepożądanych naleciałości, przywrócić do pierwotnego stanu. Czy znajdzie się człowiek, który podejmie ten trud Heraklesa czyszczącego stajnię Augiasza?

Długo w noc Agis samotnie przemierzał wąskie deski pokładu. Nie męczyły go takie

noce pełne burzliwych, płonących myśli, przeciwnie — uskrzydlały.

Nagroda za nieprzespaną noc był wschód słońca. Z błękitnej wody, zza dalekich różowych wysepek wyłonił się ogromny, czerwony rydwan promiennego Heliosa. Rozmigotało się morze, w blasku stanęły wzgórza Attyki, wyraziste, niemal dotykalne na długość wyciągniętej dłoni. Agis stał i patrzył. Nie słyszał głosów komendy, nie zauważył, że trójrzędownce odbiły od przystani i sunęły teraz wprost ku wznoszącemu się nad horyzont słońcu. Z głębiny morskiej wynurzyły się nagle delfiny, święte zwierzęta Posejdona. Całe stado. Bijąc płetwami i preżąc grzbiety, wywijają koziołki jak gromada rozdokazywanych dzieci. Agis przyglądał się urzeczony, pełen radosnej nadziei. Może równie nagle w srebrzystej łodzi ukażą się wdzięczne Nereidy, piękna Galatea, szlachetna Tetyda, matka Achillesa? Gdy statki podpłynęły, delfiny znikły tak nagle, jak się ukazały. I tylko morze ciche, ogromne, rozmigotane niosło spokój, wytchnienie i radość.

Kiedy wypłynęli na Zatokę Saronką, naprzeciw nich pojawiły się trzy statki.

— Patrz, Agisie, ten idący środkiem, o purpurowych żaglach, to słynny „Paralos”, który zawsze wita dostojnych gości — wskazał na morze Mandroklejdas i stanął po lewej ręce królewicza, tak jak nakazywała etykieta. Za nimi ustawili się pozostali przyjaciele i dowództwo statku. Wszyscy w kosztownych zbrojach, wysokich, złotych butach lakońskich z wykładanymi wyłogami, w błyszczących szyszakach. Herold zatrąbił sygnał powitalny.

Na „Paralosisie” spostrzeżono stojącego na dziobie okrętu znakomitego gościa, choć on jeden stał bez zbroi, skromny, łagodnie uśmiechnięty, w białym płaszczu o purpurowym szlaku. Uderzono w bębny, zagrali fleciści.

Kiedy statki zbliżyły się bokami na dogodną odległość, marynarze przerzucili mostek, po którym weszli na spartański trójrzędowniec gospodarze: dowódca floty ateńskiej, Eteonik, dowódca sił lądowych, strateg Tydeus, i prytan, Kleofon. Po wyszukanych przemówieniach powitalnych, w których mówiło się o wielkiej przeszłości Sparty i Aten, prytan założył Agisowi i Mandroklejdasowi wieniec ze świeżych kwiatów na głowę i zaprosił na „Paralos”. Poczęstowano ich pucharem wina, wszyscy stracili po parę kropli do morza na libację bogom morskim. Stali na pokładzie, a na spotkanie im szła ruda, ciężka skała. Na jej szczycie w barwach tęczy mieniły się przepiękne świątynie bogów. Akropolis. Agis westchnął głęboko jak człowiek, który z krainy rzeczywistości wkracza w świat baśni.

— Cóż to tak błyszczy na Akropolis jak piorun Zeusa zastygły w locie? — zapytał po chwili, choć domyślił się, na co patrzy.

— To włócznia opiekunki Aten, Ateny Promachos, Przodownicy Szeregów — odpowiedział uroczyście dowódca floty Eteonik — wskazuje naszym okrętom drogę do domu.

NAD BRZEGAMI STYKSU

Zatrzymali się na obszernym placu przed teatrem. Na lewo wycięta w zboczu góry Kinortion wznosiła się amfiteatralnie obszerna niecka najslynniejszego teatru Hellady, znakomite dzieło Polikleta, zwanego Młodszym. Fioletowe cienie załamywały się na pustych w tym dniu stopniach teatralnych z szarego piaskowca. Zadrzewiony szczyt góry z przeświecającymi różowo ścianami świątyni Apollina Maleatas, mienił się purpurą i złotem. Smukłe, jońskie kolumny proscenium grały wszystkimi barwami, jakie potrafił wymyślić twórczy mózg ludzki.

Po prawej stronie placu, w obszernym gaju oliwnym zamienionym w miasteczko namiotów, kłębił się wielotysięczny tłum pątników, pielgrzymów, obieżyświatów, wróżbitów,

wykładczy snów, zaklinaczy węzów i straganiarzy. W nikłym cieniu drzew leżeli na noszach ciężko chorzy. Odpoczywali po trudach podróży lub czekali na miejsce w świętym hieronie. Nieraz wypadało czekać i kilkanaście dni, chyba że chory był na tyle zamożny, by przekupić kapłana spisującego na tabliczce kolejność zgłoszeń.

Największy ścisk i gwar panował wokół straganów, gdzie sprzedawano figurki z brązu, marmuru lub gliny, wyobrażające boga Asklepiosa z węzami, statuetki jego żony, Epiony, kojącej bóle, jego sławnych synów — lekarzy Machaona i Podalejriosa, córek Hygiei i Napakei — bogiń zdrowia i lecznictwa, żywe święte węże, specyfiki poświęcone przy ołtarzu Asklepiosa, amulety, talizmany, których moc okazywała się niezawodna w leczeniu niedomagań nie tylko ciała, lecz duszy i serc.

Król Eudamidas skinieniem ręki przywołał dowódcę oddziału królewskiej jazdy, która mu towarzyszyła cały czas podróży.

— Zawiadom, Kleasie, o moim przybyciu. I znajdź miejsce wygodne na obozowisko. Pospiesz się, bo jestem znużony.

Kleas klepnął konia w kark i pociągnął za cugle. W asyście trzech jeźdźców na karych, pięknych koniach argiwijskich ruszył przez tłum ku niewidocznemu zza drzew świętemu obwodowi Asklepiosa.

Król Eudamidas na wpół leżąc w swoim dwukołowym wózku-noszach, przymknął oczy, osłonił twarz połą płaszcz. Odizolował się od widoku handlarzy, ale z tym większą siłą wdzierały się do jego uszu piosenki i okrzyki reklamujące niezawodne leki.

— Ziele bohaterskie, ziele cudowne przeciw wszelkim niemocom, przeciw węzom i skorpionom zbierane w noc świętych Boedromion! Lek oczyszczający, lek odmładzający! Cudowne ziele bohaterskie! Kupujcie na wrzody, na liszaje, na kamienie nerkowe, na porost włosów, przeciw gadom i myszom!

— Sory kupujcie, sory egipskie! Dla bezpłodnych, dla paralityków, dla ślepych i głuchoniemych! Ślepi widzą, głusi słyszą, bezpłodne rodzą, paralitycy chodzą. Sory to sprawia, błogosławione sory egipskie!

— Asklepios pomoże! Figurki poświęcone w boskim tolosie! Nie lęka się chorób, kto nosi przy sobie Asklepiosa!

Z pobliskich łąk dochodził ostry kwik gryzących się koni, drażniący ryk osłów, z dala pianie kogutów, z drzew oliwnych zmieszany chór ptasich świegotów. Eudamidas zatkał uszy palcami. Teraz słyszał już tylko jednostajne donośne buczenie, jakby się znalazł wiosną wśród moczarów nad Eurotasem, kiedy tokują baki.

„Asklepios pomoże — rozmyślał nabierając znów otuchy. — Gdyby chciał pomóc...” Wiedza ludzka okazała się bezsilna. Uczciwy Damiades przyznał się do swojej kłeski. Twierdził wprawdzie, że król pożyje jeszcze kilka, a może nawet kilkanaście lat, ale wyleczyć go nie jest w stanie. Tylko jak żyć ze świadomością, że znów przyjść może atak niehumanitarnego bólu i powali jak ścięte drzewo... Król Eudamidas postanowił obronić się przed spodziewanym bólem i przedwczesną śmiercią.

— Usnął — usłyszał szept obok siebie — usnął znużony daleką drogą.

Eudamidas odrzucił połę płaszcz, spojrział. Przed nim stał Kleas w towarzystwie dwóch młodych kapłanów.

— Nie śpię — odpowiedział. — Osłoniłem twarz przed słońcem. Oczy się męczą jasnością dnia.

— Witaj, najszlachetniejszy, najdostojniejszy Eudamidasie, królu Lacedemończyków — skłonili się obaj kapłani i kładąc rękę na serce wyrecytowali formułkę powitalną:

— Asklepidzi zapraszają do hieronu Boga Uzdrawiciela. Kończą właśnie składanie ofiar i za chwilę będą na twe usługi, panie. Czekają na ciebie gościnne pokoje. Zaszczyt to dla nas, sług Asklepiosa, twój przyjazd, dostojny królu. Zechciej podjechać do propylei, najznakomitszy basileusie — powiedział jeden z kapłanów.

— Pójdę pieszo — zdecydował Eudamidas.

Kleas ostrożnie i z szacunkiem pomógł wsiąść z dwukółki swemu panu.

Poprzez starte podeszwy sandałów Eudamidas wyczuł ostrokanciasty żwir placyku, ogarnęła go gorąca fala idąca od rozprężonej słońcem ziemi. Wydało się, jakby stopy zanurzył w misie z wrzątkiem.

— Daleko? — zapytał kapłana.

— Będzie ze dwa stadiony, dostojny panie.

„Czy nie przeceniłem swoich sił?” — pomyślał król i postąpił dwa kroki w przód. Z obu stron ustawili się przy nim kapłani.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni i trzymając je za uzdy uczynili szpaler, którym posuwał się król. Szli w milczeniu, dostojnie, i ta cisza podziałała na hałaśliwych Greków. Tłum kłębiący się na placyku i w gaju uświadomił sobie nagle, że jakiś znakomity gość zaszczycił swą obecnością święte Epidauros. Umilkły nawoływania przekupniów, ucichły pieśni żebraczy, przerwano na chwilę wszelkie transakcje i czynności. Zwarci, głowa przy głowie ustawili się wszyscy wzdłuż drogi wiodącej do świętego obwodu i patrzyli.

— Król — informowali szeptem jedni drugich. — Król Sparty.

Żaden najdrobniejszy szczegół jego powierzchowności nie uszedł uwagi patrzących. Skromnie ubrany. Zwyczajne, żołnierskie, dobrze już zniszczone sandały, żołnierski purpurowy płaszcz hoplitów spartańskich. Tylko biała wstążka opasująca czoło, której luźne końce obszyte frędzlami spadały na plecy, mówiła o jego godności. Średniego wzrostu, szeroki w barach, patrzący surowo ciemnymi oczyma spod nawisłych kruczoczarnych brwi. Usta zaciśnięte, wąskie, skrzywione grymasem bólu czy też pogardy. Wysunięta dolna szczęka nadaje twarzy wyraz stanowczości i uporu. Nie maskuje tego krótka, czarna broda, gęsto przetykana siwizną, choć zasłania trochę chudość zapadłych policzków. Skóra na skroniach sucha, zmarszczona. Chociaż idzie taki dumny, nieprzystępny, nie widzący nikogo, po królewsku niedbały, cieszą się, że oto zrównał się z nimi w cierpieniu. Bo w tych zaciśniętych wargach jest ból. Przeorał już całą twarz, wyrzeźbił ją w maskę tragiczną.

— Musiał to być kiedyś piękny mężczyzna — szepcze do ucha producentowi dywanów z Koryntu golibroda z Megary, Korybolos.

— Ba — odpowiada zagadnięty — u nich nie ma ludzi brzydkich i słabych. Od czego przepaść w Tajgocie i spartańskie wychowanie? To taki wiatr, co odsiewa wszelkie plewy.

Koryntianin popisuje się wiedzą o Sparcie. Słuchają chętnie. Sparta. Dumna, niepoko-nana, której nigdy nie dotknęła stopa najeźdźcy. Sparta, w której nic się nie zmieniło od czasu pierwszej olimpiady do dopiero co minionej, sto trzydziestej trzeciej. Niezmienny, tajemniczy kraj o najlepszym ustroju. Tylko wybrańcy spośród obcokrajowców mogli przekroczyć jego granice, tylko najlepsi spośród nich mogli się tam osiedlić. Sparta — zazdrość i duma innych państw greckich. Czy o jej wielkości nie świadczył nawet ten mały oddział jeźdźców, kroczących teraz za swoim królem? Dorodni, smukli, w krótkich purpurowych chlamidach, które wystarczająco odsłaniały ciała, aby pokazać mocne mięśnie i smagłość spalonej słońcem skóry. Posuwali się krokiem równym, marszowym, jak na uroczystej procesji prowadząc swego króla ku propylejom hieronu. Wszyscy jednakowi wzrostem i urodą jak synowie jednej matki.

Do uszu Eudamidasa dochodziły strzępy rozmów i wykrzykniki pełne uznania. Prosto-wał się wtedy jeszcze bardziej i szedł krokiem żołnierskim, choć ból przyczajony gdzieś pod żebrami jak zły pies nagłym szarpnięciem dawał znać, że czuwa uparcie na swoją zwykłą porę. Eudamidas z przerażeniem myślał o nocy, która nadejdzie. Zimny pot okrył mu skronie i cienkimi strużkami spływał po plecach.

Pod kolumnami propylei czekali już kapłani w uroczystych białych chitonach jońskich, obfitymi fałdami spadających ku ziemi. Na głowach mieli wieńce.

Na przedzie stał Archelas, najwyższy godnością, corocznie wybierany spośród prastarego rodu Asklepiadów, arcykapłan.

— Bądź pozdrowiony najwyższy kapłanie Sparty, Eudamidasi, królu Lacedemończyków — podniósł obie ręce ku górze gestem powitalnym arcykapłan Archelas. — Witamy cię w progach świętego przybytku naszego najłaskawszego Boga Uzdrawiciela.

— Witajcie, dostojni i świątobliwi mężowie — odparł Eudamidas. — Z dalekiej Sparty przybyłem tu, aby pokłonić się Bogu Cudotwórcy.

— Chętnie cię przyjmie pod swe opiekuńcze ramię.

Po wymianie jeszcze kilku grzecznościowych formuł skierowali się w głąb świętego obwodu. Świta Eudamidasą oddaliła się, jeźdźcy dosiedli koni i wrócili do gaju, gdzie im wyznaczono miejsce na obozowisko.

Eudamidas ożywił się, poczuł się lepiej, jakby już nań powiał uzdrawiający dech Asklepiosa. W cieniu portyku panował miły przewiew, pachniało pieczonym mięsem, kadzidłem, jakimiś ziołami. Z pobliskiego stadionu dochodziły dźwięki fletu, widocznie odbywały się tam ćwiczenia czy zawody gimnastyczne.

— Zbliży się pora wieczornego posiłku — odezwał się Archelas — pozwól, dostojny gościu, że pod świętą fontanną kapłani obmyją kurz z twoich stóp, namaszczą cię i przyniosą do prythaneum. Tam będę na ciebie oczekiwać.

Młodzi kapłani powiedli Eudamidasą pod fontannę, gdzie go obmyli strumieniem najpierw ciepłej, potem coraz chłodniejszej wody. Wymasowali mu lekko całe ciało, nacierając oliwą pachnącą ziołami. Eudamidas ze zdziwieniem spostrzegł, że ból uciszył się. Była to pierwsza chwila spokoju od kilku miesięcy. Położyli go na wygodnym łożu przenośnym, ustawili je w cieniu płatanu, okryli ciepłym pledem. Pozostał przy nim jeden z kapłanów. Eudamidas miał odpoczywać tak długo, dopóki trzykrotnie nie przepłynie woda w klepsydrze ustawionej na stopniu posągu Epiony, kojącej bóle.

Młody kapłan powiedział królowi, że nazywa się Lyzon. Był to sympatyczny młodzieniec o oliwkowej cerze i migdałowej barwy oczach. Wtajemniczył króla w zwyczaje i pracę Epidaurus, które było nie tylko miejscem kultu Asklepiosa, ale też sanatorium i stacją klimatyczną.

— Leczymy — chwalił się Lyzon — kąpielami w gorącej wodzie, mocą Asklepiosa wytryskającej ze skał. Leczymy kąpielami słońca, które jest tu wyjątkowo łaskawe. Dajemy chorym pić słonawą, ożywczą wodę, płynącą ze świętego źródła. Takiej wody nie ma nigdzie indziej w całej Helladzie. Mamy różne cudowne leki. Skórę ze świętych węży rozpuszczoną w winie, kantarydy rozarte z miodem na ołtarzu Asklepiosa, kadzidło ze świątyni egipskiego Ammona, zioła przeróżne. Pół dnia zajęłoby mi wyliczanie wszystkich cudotwórczych maści i leków. Leczymy tak, jak rozkaże w proroczych snach Asklepios. Czasem to trwa jeden lub dwa dni, czasem nawet wiele miesięcy. Gdy łaska Asklepiosa spłynie na wybranego, wystarcza jedna noc, którą chory spędzi w świętym Abatonie. Człowiek kładzie się do snu chory, wstaje uzdrowiony.

— Czyż to możliwe? — ze zdziwieniem, ale i z nadzieją w głosie zapytał Eudamidas.

— Będziemy przechodzili obok świątyni Asklepiosa, tam zobaczysz i własnymi oczyma przeczytasz, dostojny królu, tabliczki dziękczynne cudownie uzdrowionych.

— Chciałbym wierzyć, jakże bardzo chciałbym wierzyć — westchnął Eudamidas.

— Kiedy się przychodzi do Asklepiosa, trzeba zwątpienie i niewiarę zostawić poza bramą świętego obwodu — odparł patetycznie Lyzon — w przeciwnym razie można obrazić boga.

— Nie chciałbym go obrażać. Jutro złożę mu hekatombę z białych kogutów. Piękne, roczne koguty, przywieźliśmy je ze Sparty. I złożę mu złote wota z kosztownych łańcuchów i pierścieni zdobytych kiedyś na Etolach.

— Nie mówmy jeszcze o tym, królu Sparty — powiedział Lyzon. — Kiedy przedstawisz swoją sprawę arcykapłanowi, on zdecyduje, jakie i kiedy mają być oczyszczenia i ofiary.

— Czy zawsze najwyższy kapłan decyduje w tych sprawach?

— Skądże. Tu przepływa miesięcznie kilka tysięcy chorych i ludzi, którzy przyjechali w imieniu chorych. Ze wszystkich miast Hellady, z Wielkiej Grecji, z Azji, Egiptu, Rzymu, słowem, z całego świata. Dla wszystkich kapłanów, wieszczów, lekarzy jest dosyć zajęcia. Dostojny Archelas przyjmuje tylko nielicznych i najznakomitszych pątników.

Lyzon spojrział na klepsydrę.

— Czas już, królu. Czy zechcesz sam pójść, czy mamy cię zanieść na łożu?

— Pójdę. Pokażesz mi po drodze tablice dziękczynne.

— Tak jest, dostojny basileusie.

Zatrzymali się przed główną świątynią hieronu poświęconą władcy tego miejsca, Asklepiosowi. Na kolumnach otaczających świątynię i na jej ścianach Eudamidas zobaczył niezliczone wota: ręce, nogi, oczy, lane ze złota i srebra, z marmuru, całe figurki z terakoty lub brązu, obok zaś lub pod nimi tabliczki z brązu. Eudamidas czytał:

„Nikanor, kulawy. Gdy siedział w świątyni, jakiś chłopiec porwał mu, czuwającemu, szcudło i uciekł z nim. Wówczas Nikanor zerwał się, pobiegł za nim i odtąd był zdrowy.”

„Arete, Spartanka, puchlina wodna. Zamiast niej, ponieważ została w Sparcie, spała jej matka w świątyni i miała sen następujący: zdawało się jej, że bóg odcina jej córce głowę i zwiesza ciało zwrócone karkiem w dół. Gdy wypłynęło dużo cieczy, bóg zdjął ciało i z powrotem nasadził głowę. Po tym śnie matka wraca do Sparty i zastaje córkę, która miała taki sam sen, zupełnie zdrową.”

„Agestratos, ból głowy. Cierpiał na bezsenność z powodu bólów głowy. Gdy usnął w sanktuarium, miał taki sen: zdawało mu się, że bóg leczy jego ból głowy, potem stawia go nagiego i pokazuje przy ataku w walce na pięści. Gdy rozedniało, odszedł uzdrowiony i wkrótce potem zwyciężył w pankrationie podczas Nernejów.”

„Uleczony z paraliżu, z kamieni nerkowych, ze ślepoty, z podagry” — Eudamidas przebiegł oczyma jeszcze kilkanaście tabliczek, szukając opisu cierpienia, które go tu przyznało, ale nie znalazł. Chwilę tylko traził go zawód, wiara przemogła. Kto wie, może jutro, może za kilka dni też zawisnie jego tabliczka z opisem choroby i cudownego wyleczenia.

— Ufunduję złotą tablicę wagi jednego talenta. Nie będę skąpił dla Asklepiosa, niech się tylko zlituje nade mną.

W prytaneum, budynku przeznaczonym zawsze dla najdostojniejszych gości, już na niego czekali. Podsunęli mu honorowe łoże, obok łoża arcykapłana. Pozostałe miejsca zajęli kapłani poszczególnych świątyń hieronu, goście zagraniczni i inni dostojnicy.

Kapłani-niewolnicy, wnieśli gliniane misy pełne mięsiwa, koszyki z pszennym pieczywem i kratery z winem i wodą.

— Wybacz, dostojny Archelasie — powiedział Eudamidas — od dawna już nie jadam mięsa. Budzi we mnie niepohamowany wstręt. Wystarczy mi kawałek bułki rozmoczony w wodzie zaprawionej mlekiem.

Pożywiali się przez pewien czas w milczeniu. Gość nie odzywał się, a dobry obyczaj nakazywał uszanować jego zadumę i nie pytać, jeśli sam nie zacznie rozmowy. Dyskretnie przyglądali się, jak Eudamidas żuje starannie swoją bułkę, popijając drobnymi łykami wody. Jedli również wstrzemięźliwie, bo dzień był skąpy w ofiary, mięsa było mało, a musiało jeszcze starczyć dla chorych, którzy przebywali dłuższy czas na kuracji.

— Pięknie u was — odezwał się Eudamidas wypijając ostatni łyk wody — powietrze wydaje się lekkie i wonne.

— Chyba i w Sparcie nie możecie narzekać na zły klimat — odparł Archelas. Mimo bujnej siwej brody i srebrnych pukli włosów spadających na ramiona twarz miał młodą, pulchną i żywe czarne oczy. Budził sympatię i szacunek.

— Oczywiście. Ale jak wiecie, dostojni, cień Tajgetu zabiera nam jedną godzinę dnia. U nas szybciej niż gdziekolwiek indziej w Grecji robi się zmierzch i gwałtownie spada temperatura. Po upalnym dniu następuje rzeźwy wieczór i chłodna noc.

— Oto jedno ze źródeł waszej wytrzymałości na chłód, trud i niewygody.

— To bardzo daleka przyczyna — uśmiechnął się Eudamidas. — Nasze wychowanie państwowe hartuje ciała i rzeźbi twarde charaktery. Nawet siedmioletni wilczek z gimnazjonu nie przyzna się nigdy, że jest głodny lub że mu zimno, choćby najokropniej cierpiał z tego powodu.

Archelas pochwalił wychowanie spartańskie, które daje państwu znakomitych wodzów i niezwalczonych żołnierzy. Prowadząc lekką, wyszukaną rozmowę arcykapłan badał sytuację wewnętrzną Sparty, sprawdzał to, co wiedział od kapłanów Asklepiosa urzędujących w Sparcie, z tym, co mówił jeden z królów spartańskich. Tego króla i jego ród znał, znał jego uczciwość, prostolinijność, lakońską skromność i wstrzeźliwość. Co do drugiego króla, Leonidasa, współrządcy Eudamidasa, krążyły tak sprzeczne i bałamutne opinie, że nawet on, wytrawny dyplomata i znawca nie tylko organizmu, lecz i duszy człowieka, nie mógł sobie wyrobić ustalonego zdania.

Eudamidas grzecznością i serdecznością starał się zjednać Archelasa. Kierowała nim troska nie tylko o własne zdrowie, które pragnął tu odzyskać, ale też w równym stopniu o sprawy Sparty. Przychylność Epidaurus dla Sparty to ważny sojusznik w rozgrywkach z trzęsącym całym Peloponezem Związkiem Achajskim, skupiającym w swych szeregach wszystkie prawie miasta i państewka Peloponezu.

Ta ostrożna rozmowa, o wyważonych słowach, kosztowała Eudamidasa sporo wysiłku. Chwilami czuł zamęt w głowie i paraliżujące zmęczenie obejmowało całe ciało. Archelas zauważył to.

— Czas, królu Eudamidasie, abyś odpoczął po trudach podróży i przed wysiłkiem, jaki cię czeka jutrzejszego dnia.

— A co mi obiecujesz na jutro?

— Obrzędy oczyszczające, ofiary, wróżby, masaż różnymi maściami, wreszcie sen w Abatonie.

Król Eudamidas uśmiechnął się blado:

— Najtrudniej będzie o ten sen w Abatonie.

— Czemu to, królu Eudamidasie?

— Nie sypiam. Już od dłuższego czasu Hypnos opuścił progi mej sypialni.

— Tu będziesz spał. Dziś jeszcze dostaniesz kubek ziół, które sprowadzą sen spokojny, bez cierpień i złych majaków.

— O dzięki ci, najdostojniejszy. Na myśl o nocy spokojnej już czuję się zdrowszy.

Dano Eudamidasowi pokój w prytaneum. Była to maleńka ciupka bez okna, zamiast drzwi wisiała przejrzysta tkanina, która nie hamowała dopływu powietrza, a chroniła przed moskitami i ćmami nocnymi. Siennik wypchany sianem i kwadratowa poduszeczka stanowiły jedyne wyposażenie izdebki. Na podłodze stał gliniany dzbanek ze świeżą wodą i kubek. Kiedy Eudamidas położył się i przykrył własnym płaszczem, wszedł Lyzon z garnuszkiem parującego płynu. Zapachniało miętą, rumiankiem i makówkami. Eudamidas małymi łykami, tak jak go pouczył Lyzon, wypił gorzkawy płyn. Usłyszał lekkie dzwonięcie w uszach, poczuł szum w głowie i zapadł w upragniony, spokojny sen, jak mu obiecał arcykapłan.

Rano obudził się wypoczęty, choć z ociężałą nieco głową. Kiedy wyszedł z prytaneum, na marmurowych stopniach przed wejściem siedziało dwóch kapłanów. Wstali i skłonili się Eudamidasowi.

— Czekacie na mnie?

— Tak, najdostojniejszy królu. Czy zechcesz poddać się obrzędowi oczyszczania?

— Oczywiście. Oddaję się całkowicie pod władzę Asklepiosa i jego kapłanów.

— Będziesz dziś, dostojny panie, pierwszy przy świętym źródle. Arcykapłan rozkazał wstrzymać wszystkich pątników, zanim twoje stopy nie dotkną świętego basenu.

Eudamidas nie odpowiedział, choć mile go polectało to wyróżnienie. Mówiono mu, że

między znakomitymi gośćmi są dwaj stratedzy króla Pontu, jeden strateg ateński, senator rzymski, bankier z Aleksandrii, a nawet podobno jakiś król z Azji. A jednak muszą czekać w kolejce, zanim Asklepios nad nim, królem Sparty, nie okaże swej łaski.

Płyty z białego, gładkiego marmuru tworzyły wygodny chodnik, którym szli w kierunku świętego basenu. Na lewo Eudamidas widział wielki ołtarz Asklepiosa z niebieskawego marmuru, za nim wznosił się przepiękny, okrągły, złotawy obelisk tolosu, dzieło Polikleta. Mimo swych potężnych rozmiarów tolos wydawał się lekki i zwiewny dzięki smukłym, jońskim kolumnom. Wielka świątynia Asklepiosa jaśniała bielą marmurów.

Po dobrze przespanej nocy Eudamidas odkrył piękno hieronu. Wydało mu się, że widzi je po raz pierwszy, bo poprzedniego dnia szedł jakby z zamkniętymi oczyma. Biel, czerwień, złoto, błękit, bogactwo barw polichromii na fryzach świątyń i na kolumnach, bogactwo odcieni marmurów, ołtarzy i posągów w oprawie czarnozielonych pinii, siwych oliwek, zieleni dębów i bzów.

„Ileż pogody i szczęścia w tym krajobrazie — pomyślał — jakaż harmonia i ukojenie spływa na tych, którzy przychodzą z chorobami duszy, niepokojem, trwogą i nieznanymi chorobami ciała”.

Przy fontannie czekała już grupa kapłanów w uroczystych szatach. Na drodze świętej, wytyczonej lasem kolumn, stał cichy, przejęty ważnością mających się rozpocząć uroczystości tłum pątników i chorych.

Kapłani podprowadzili Eudamidasa do fontanny. Arcykapłan Archelas wznosił ręce w górę ruchem błogosławiącym i modlitewnym. Rozległ się dźwięk fletów i lir. Jeden z kapłanów hieratycznym ruchem zdjął płaszcz z ramion Eudamidasa, drugi sandały. Eudamidas zupełnie nagi wszedł do basenu, do którego spływała woda z fontanny wyobrażającej boginię zdrowia, Hygieię, trzymającą na wzniesionych dłoniach węża, symbol odradzającego się życia. Z paszczy węża tryskała ożywcza woda, oczyszczająca nie tylko ułomności ciała, lecz i duszy. Eudamidas z uczuciem ulgi i radości stanął w basenie. Pod stopami swymi w wodzie zobaczył barwny kobierzec z kwiatów i zdziwił się, że ten kobierzec jest twardy. Nie widział nigdy w swoim życiu mozaiki i różnokolorowy basen wydawał mu się jednym z cudów Asklepiosa. Obmywanie w wodzie oczyszczającej nie trwało długo. Kapłani wzięli pod ręce Eudamidasa, wyprowadzili z basenu, zarzucili mu na plecy gęstą płócienną chlamidę, na nią purpurowy płaszcz, na głowę włożyli mu wieniec z kwiatów i poprowadzili ku świątyni.

Eudamidas stanął twarzą w twarz z bogiem Asklepiosem. W tej samej chwili usłyszał chór chłopięcy śpiewający uroczysty hymn. W półmroku świątyni Eudamidas ujrzał siedzącego starca o bosko łagodnej i mądrej twarzy. Starzec opierał się jedną ręką na kiju, drugą dłonią dotykał głowy węża wspartego na jego kolanach. U stóp boga przywarował pies.

Z góry, przez otwór w dachu, padały na głowę Asklepiosa promienie słoneczne, ożywiały srebrzyste kędziory i brodę, grały życiem w oczach z ogromnych turkusów, migotały na złotem inkrustowanej szacie, która choć z kości słoniowej, układała się w miękkie fałdy, jakby z cienkiego, sydońskiego płótna. Eudamidas stał bez ruchu, pełen podziwu i pobożnego skupienia. To nie dzieło rąk ludzkich, to bóg przybrał postać posągu. Gorąco, wkładając w tę modlitwę całą duszę, Eudamidas zaczął prosić boga o zdrowie. Nie dla siebie — dla Sparty i dla umiłowanego syna, Agisa, potrzebne jest, aby żył. Mądry starzec powinien to zrozumieć.

Kapłan za plecami Eudamidasa chrząknął dyskretnie. Eudamidas przypomniał sobie, że czas pójść do ołtarza ofiarnego. Hekatomba z białych kogutów spartańskich. Dymy ofiarne powiedzą wieszczkom, czy bóg przyjął ofiarę.

Przy głównym ołtarzu arcykapłan Archelas śpiewnym głosem recytował modlitwy do Asklepiosa. Refren powtarzali wszyscy. Potem arcykapłan skropił ołtarz oczyszczalną wodą, Eudamidas przytknął podaną mu pochodnię do przygotowanego stosu. Dwaj młodzi niewolnicy, pełniący służbę w świątyni, przynieśli olbrzymi kosz z białymi kogutami. Każdy kogut miał przewiązaną na szyi czerwoną wstążkę i gałązkę mirtu.

Kapłan-rzezak chwycił najokazalszego koguta, gdaczącego przeraźliwie, co poczytano za dobrą wróżbę, i jednym cięciem ostrego noża przeciął mu gardło.

Buchnęła gorąca krew aż na ołtarz. Drugi kapłan-wieszczek, rozpruł brzuch koguta, wyjął wnętrzności, oddzielił wątrobę i serce mruczając modlitwy. Potem wyrwał garść pierza, wnętrzności wraz z tłuszczem rzucił w płomienie, koguta do stojącej obok ogromnej beczki z gliny.

Dym zgęstniał, zmieszana woń palącego się tłuszczu, drzewa i piór ptasich, powiała po twarzach. Ofiara spełniała się sprawnie. Rzezak rzucał przepisane zwyczajem części na ołtarz, wieszczkowie badali wnętrzności. Śpiew chóralny nie milkł ani na chwilę. Drgające ciała kogutów szybko wypełniały beczkę. Była to prawdziwa hekatomba — ofiara ze stu sztuk. Eudamidas czekał. Minęło pobożne skupienie; był znudzony, znów pełen zwątpienia, choć starał się je odpędzić.

— Ofiarę twoją bóg przyjął — oświadczył wieszczek Babylos — wróżby wypadły pomyślnie, Eudamidasiu. Jeśli nie obrazisz niczym boga, wielkiego syna Apollina, możesz się spodziewać wszystkiego najlepszego.

— Nie obraziłem go nigdy dotąd, nie obrażę go nigdy w przyszłości — odpowiedział Eudamidas. — Czcic go będę stokroć więcej, jeśli wróci mi zdrowie.

Hekatomba dobiegła końca. Podano Eudamidasiu trójnog, by odpoczął nieco.

— Dziś w nocy bóg objawi sposób twego leczenia — powiedział arcykapłan. — Prześpisz noc w Abatonie. Ale musisz cały dzień pościć, aby się należycie przygotować na przyjęcie boga. Możesz pić tylko wodę ze źródła i przepisane zioła.

— Nie przyjdzie mi to z trudnością — odparł Eudamidas.

Dzień cały odpoczywał. Po południu, kiedy słońce mniej prażyło, zwiedził okrąg święty, dokładnie przejrzał tablice uzdrowień, rozmawiał z kuracjuszami. Dziwne, ale tu wszyscy byli pełni nadziei, każdy wierzył w swoje wyzdrowienie. Czy łagodny klimat to sprawiał, powietrze kojące jak balsam, czy też cudowną wiarę zsyłał Asklepios? A może była ta wiara w orzeźwiającej słonawej wodzie, którą kapłani polecali pić? Pił ją i stwierdził, że takiego smaku nie ma żadna rzeka ani źródło we wszystkich znanych mu częściach Hellady. Inna to była woda niż deszczowa czy nawet z głębokiej studni: kryształowo czysta, nad podziw smaczna i gasząca pragnienie, choć lekko słonawa, z banieczkami powietrza, które się w niej perliło jak w fermentującym moszczu winnym.

Po krótkich wieczornych ofiarach i modłach, w uroczystej procesji zaprowadzono Eudamidasa i innych chorych, którzy dostąpili tego szczęścia, do Abatonu, gdzie w czasie snu bóg miał objawić chorym swą wolę.

Była to długa, przedzielona kolumnami sala bez okien, z dwójgciem drzwi znajdujących się naprzeciwgle, w jej węższych bokach. Pod ścianami stały dwa rzędy łóżek, dalej zwykłe drewniane ławy, przykryte słomianymi matami. Na podłodze również leżały maty.

Eudamidasa kapłani przeprowadzili przez całą salę do łóżka osłoniętego kotarą.

— Tu będziesz spał, dostojny królu. Łóżko jest wygodne, kotara oszczędza ci widoku innych. Jesteś najbliżej drzwi, przez które przychodzi bóg. Jest to najlepsze miejsce w Abatonie. Połóż się i staraj się zasnąć. I zapamiętaj, co bóg rozkaże.

Eudamidas położył się, nakrył swoim płaszczem. Od dość twardej poduszki szedł zmieszany, przyjemny zapach ziół, kojący i usypiający.

„Wszystko tutaj nastawione na to, aby człowieka uspokoić, uciszyć, wprowadzić w półsen, półjawę — pomyślał Eudamidas. — Jeśli cisza i spokój, słodczy łagodnego klimatu, zapachy, muzyka i śpiew zdolne są wyleczyć człowieka, to rzeczywiście są tu najlepsze warunki dla chorych. Szkoda, że to nie sezon teatralny, sztuki wystawiane w takim teatrze muszą wywierać niezapomniane wrażenie.”

Słyszał na sali ciche przesuwanie się bosych stóp, stłumione westchnienia, czasem szept, szelest łóżek i słomianych mat, na które układali się chorzy. Zabrzmiały przyciszone,

słodkie tony fletu, wydało się królowi, że u jego stóp przy łóżku przykucnął jakiś niezrównany artysta, by wyśpiewać jego prośbę do boga. Usiadł na łóżku, by zobaczyć boskiego flecistę, a wtedy muzyka rozległa się za plecami. Wyciągnął rękę za siebie, dotknięciem wyczuł chłodny i równy marmur ściany. Jednocześnie zamknęły się z obu stron drzwi, przez które padało światło na salę. Zapanowała ciemność. Muzyka przycichła, aż wreszcie zamilkła w ostatnim akordzie. Powiało po twarzy ciepłym żywicznym powietrzem jak w upalny dzień w lesie sosnowym.

Eudamidas leżał z otwartymi oczyma i słyszał miarowe tętno własnej krwi. Naraz spostrzegł, że na przeciwległej ścianie przesuwają się jakaś świetlista smuga. Wydłużała się, nabierała coraz więcej jasności, zwiężała się w długi, świecący pas, i Eudamidas zobaczył złoty cień sunącego po ścianie świętego węża Asklepiosa. Eudamidas wstrzymał oddech. Wydało mu się, że jego sąsiad za kotarą sapnął krótko, jak człowiek, który zdołał powstrzymać rwący się z ust niespodziewany okrzyk. W napiętej ciszy sali rozległ się nagle pełen radości, wzruszenia i zachwyty głos:

— Bogowie! Ja widzę! Widzę! Widzę świętego węża! O, dzięki ci, Asklepiosie Uzdrowicielu!

Otworzyły się drzwi. W kwadratach światła stali kapłani w swoich obrzędowych szatach.

— Kto tu czyni hałas — zapytał surowo jeden z nich — przerywa świętą ciszę boga?

— To ja, Tespis z Megary! Zaniewidziałem pięć lat temu, a teraz widzę! Widzę! Zobaczyłem złoty cień świętego węża, a teraz widzę was, o, kapłani boga cudotwórcy!

— Złożysz jutro dziękczynną ofiarę. W jaki sposób bóg przyszedł do ciebie?

— Ułożyłem się do snu szepcząc modlitwę do Asklepiosa. Przykryłem twarz połą płaszczą, bo tak zawsze najłatwiej zasypiam. Nagle poczułem, że coś bardzo chłodnego i śliskiego okręca mi się wokół nóg. Jak dotknięcie węża. Usiadłem, by chwycić to, wyciągnąłem ręce i zobaczyłem złoty cień na ścianie. Zobaczyłem!

— Bóg okazał ci swą łaskę, Tespisie, synu Kleona — ozwał się znowu głos kapłana. — Opuść teraz Abaton, bo tylko w ciszy bóg przychodzi do wzywających go. Śpijcie z ufnością — powiedział do zamarłej w osłupieniu sali — i do was bóg przyjdzie. Pamiętajcie, że ta noc musi być milczeniem. Nawet najcichszy szepot któregoś z was może obrazić boga.

Szczęśliwy Tespis z Megary wyszedł. Kapłani zamknęli bezszelestnie drzwi. Zapanowała niczym nie zmacona cisza i ciemność.

Eudamidas wycęzał wzrok, ale już nie zobaczył świetlistego cienia. Wydało mu się naraz, że na ścianie wirują małe punkciki jak zielonkawe robaczki, które znaleźć można czasem w wilgotnym lesie na spróchniałych pniach drzew. Punkciki wirowały nużąco, jednostajnie. Czekał, że ułożą się w kształt węża i że on za chwilę będzie mógł krzyknąć:

— Bogowie, jestem zdrów! Nie czuję już bólu pod żebrami, nie czuję słabości. Jestem silny i zdrów jak młody ejren w gimnazjonie.

Punciki wirowały, gasły chwilami i znów zaczynały swój obłądny taniec. Eudamidas znużony przymknął powieki i nieoczekiwanie zapadł w twarde sen. Obudziły go głośnie rozmowy. Otworzył nieprzytomne oczy. Do Abatonu przez otwarte drzwi płynęło szeroką smugą światła dnia. Przy jego wezglówiu stał kapłan Lyzon.

— Wyspałeś się, dostojny panie?

— Tak, spałem twardo. Dopiero teraz się obudziłem. Nie pamiętam, co mi się śniło. Widocznie nic. Czy to źle?

— Nie wiem. Tę sprawę wyjaśnią wykładacze snów.

— Jakżeż mogą wyjaśnić to, co mi się śniło?

Kapłan nie odpowiedział. Pomógł wstać, założył mu sandały, płaszcz i poprowadził go do małej świątyni Panakei, gdzie czekał już wykładacz snów.

— Widziałem tuż przed zaśnięciem świetliste punkciki na ścianie, jakby wirujące muszki czy robaczki. A potem już nic. Nic nie pamiętam, nic nie śniłem.

— W jaki kształt układały się te robaczki?

— To była jakby płynąca litera alfa, która zmieniała się w kształt sigma. Ten znak sigma dwa razy się pojawił i zniknął...

Tłumacz snów zamyślił się.

— Alfa... antropos... sigma, sofia, stergo — szeptał przymykając oczy, po czym zamilkł na dłuższy czas.

— Bóg objawił — powiedział wreszcie wznosząc ręce ku niebu — że miłuje każdego prawego człowieka.

— No, dobrze, ale jaki to ma związek z moją chorobą — zapytał niecierpliwie Eudamidas.

— Dalsze wyjaśnienia otrzymasz, dostojny panie, od Atambosa, wróżącego z lotu ptaków.

„Znowu trzeba będzie płacić — pomyślał Eudamidas. — Jednak kapłani szybciej wysuszają sakiewkę niż choroba ciała. Przecie od wczoraj wypłaciłem już kilkanaście złotych areusów, a to dopiero początek.”

Głośno zaś powiedział:

— Słuchałem już ciebie i wieszczków badających wnętrzności zwierząt ofiarnych i nic jeszcze nie wiem. Nawet tego, czy moja choroba jest uleczalna.

— Zbyt szybko chciałbyś, królu, wszystko wiedzieć. Żarna Zeusa wolno mieć.

— Bogowie są nieśmiertelni, mają czas — uśmiechnął się żałośnie Eudamidas. — Gdybym ja też miał dość czasu!

— Twoja choroba szła do ciebie wolno i tyś się nie spieszył z szukaniem pomocy Asklepiosa. A teraz chcesz pozbyć się jej natychmiast.

— Każdy chory tego pragnie. Myślałem, że sama przejdzie. Nigdy przedtem nie chorowałem. Dla Spartanina każda choroba to wstyd. Moi dziadowie i pradziadowie umierali z ran, które zdobyli w pełnych chwały bojach.

Surowa twarz wieszczka złagodniała.

— Sławne jest męstwo Sparty. Przez wiek wieków sława waszego męstwa będzie szła przez świat i rosła.

Eudamidas westchnął. Sława. Już tylko sława przebrzmiałego męstwa pozostała Sparcie. Ale nie zostało nic z dawnej siły, z dawnej bitnej armii. Stara sława trzyma straż u granic Sparty.

Lot ptaków też nic nie wyjawiał. Atambos dał mętne i dwuznaczne wyjaśnienie. Eudamidas opadło zwątpienie, nawrót bólów zupełnie go wyczerpał. Zwrócił się o radę do arcykapłana Archelasa. Archelas powiedział, że boski syn Apollina wybrał dla Eudamidasa dłuższą drogę: musi przejść wtajemniczenia. Tego zaszczytu może dostąpić po odpowiednim przygotowaniu się przez posty, modły i pobożne rozmyślenia. Po dziewięciu dniach przygotowań nastąpi pierwszy stopień wtajemniczenia, a jeśli bóg zezwoli, po następnych dziewięciu dniach może dostąpić łaski wtajemniczenia w najwyższym stopniu. Skrócenie okresu przygotowawczego i stopni wtajemniczenia Eudamidas zawdzięcza temu, że należy do miłego bogom królewskiego rodu Heraklidów, w innym wypadku musiałyby to trwać dziewięć miesięcy.

Eudamidas zdecydował się wykorzystać i tę szansę. Wdzięczny był bogu i kapłanom za wyróżnienie. Myślał, wybierając się do Epidauros, że kuracja jego potrwa zaledwie kilka dni, a tu nie można się spodziewać, że będzie krócej niż miesiąc, mimo rzeczywistej przychylności i starań kapłanów. Olbrzymie wydatki, jakie pociągało wyżywienie jego przybocznej świty i służby w znanej ze zdzierstwa świętej miejscowości, rujnujące ofiary i dary wotywnie dla boga i jego kapłanów gnębiły oszczędnego Eudamidas. Dochody z dóbr królewskich i z przedsiębiorstw, jakie prowadzili zarządcy królowej Agezystraty wydawały się tam, w Sparcie, czymś nadzwyczajnym, a były w rzeczywistości skromniejsze niż wyższego urzędnika

króla egipskiego czy zarobki ateńskiego bankiera lub przemysłowca z Koryntu. Zwiedzając skarbiec Asklepiosa król Eudamidas przeżył gorzkie chwile upokorzenia: jak ubogie były wota, które składali jego ziomkowie, a nawet on sam w porównaniu z ilością złotych kraterów, posążków, łańcuchów, naszyjników i diademów wysadzanych drogimi kamieniami, które złotym potokiem płynęły tu ze wszystkich stron świata.

Wtajemniczenie pierwszego stopnia, jak też i przygotowanie do tego, nie zaznaczyły się w przeżyciach króla Sparty niczym szczególnym. Posty, które dla większości adeptów były czymś przykrym, nie sprawiły mu żadnej trudności. Jadł bardzo mało, wystarczał mu dziennie jeden pszenny suchar rozmoczony w rozwodnionym mleku. Widok mięsa budził w nim wstręt, nie czuł żadnej ochoty na wino, choćby najbardziej rozcieńczone wodą. Sam jego zapach, tak zresztą jak zapach smażonego czy pieczonego mięsa, wywoływał nudności. Kapłani poili go naparami z ziół, które uśmierzały bóle, i polecali pić jak najwięcej ożywczej wody ze źródła.

Nadszedł wreszcie dzień wielkiego wtajemniczenia. Po kąpieli rytualnej, która odbyła się przy świętej fontannie przed brzaskiem słońca, Eudamidas sam, jako kapłan, złożył ofiary ze zbóż i ziół na ołtarzu Higiei. Potem, w uroczystej procesji, zaczynając od propylei świętego okręgu, przy wtórze fletów i syringi ruszył pochód na czele z kapłanami, niosącymi święte węże, posąg Asklepiosa, srebrnego koguta z rozpostartymi skrzydłami. Śpiewając hymn na cześć boga, okrążyli wielką świątynię i ołtarz, przy którym procesja zatrzymała się, by złożyć krwawe ofiary, a gdy wiatr wznoszący wysoko dym oznajmił, że ofiary miłe są bogu, arcykapłan zaintonował hymn dziękczynny.

Kiedy dogasały już dymy nad ołtarzami, pobożny pochód ruszył ku tolosowi. Tylko wtajemniczeni wyższego stopnia wiedzieli, co znajduje się wewnątrz tej okrągłej świątyni, wśród zwykłych wiernych krążyły różne sprzeczne wieści. Ten nimb tajemnicy, której żaden wtajemniczony nie śmiał zdradzić nawet za cenę życia, bardzo podniecał pątników przybywających ze wszech stron świata. Do wtajemniczeń mógł być dopuszczony każdy. Kapłani nie uznawali różnic narodowościowych ani stanowych, mógł być przyjęty zarówno Grek jak Egipcjanin, król i niewolnik. Trzeba było tylko wykazać się nienagannym życiem. Nikt, na kim ciążyła zmaza krwi niewinnie przelanej, nie mógł dostąpić tego zaszczytu, by znaleźć się wśród wybrańców Asklepiosa.

Dość łatwo kapłani dopuszczali do pierwszego stopnia wtajemniczenia, do drugiego dochodzili tylko nieliczni, przeważnie lekarze i kapłani. Innym, ubiegającym się o przyjęcie wyznaczano najodleglejszy termin dziewięciu miesięcy, i rzadko się zdarzało, by znajdował się chętny, który z dalekich stron mógł przyjechać po raz drugi w tym samym roku do Epidauros. Szczególnie wielu chętnych zgłaszało się w czasie świąt Asklepiejów. Świątynie pęczniały wtedy od bogatych wotów, kapłani tuczyli się na ofiarach, dorabiali się przekupnie i mieszkańcy niewielkiego miasteczka Epidauros, którzy specjalizowali się w wyrobie świętych wotów, figurek i hodowli kogutów.

Ze śpiewem dotarli do miedzianych drzwi tolosu. Kapłani wręczyli dziewięciu adeptom wyższego wtajemniczenia zapalone pochodnie i sami, również z pochodniami, poprowadzili ich do wnętrza tolosu. Weszli do sali świątynnej — nie różniła się od wielu innych. Pośrodku tron z siedzącym bogiem, na ścianach wota, na trójnogach wspaniałe amfory — wszystko dary wiernych.

Pachniało kadzidłem. Od marmurowej posadzki szedł ziąb i drażnił bosc stopy. Kapłani śpiewając i przyświecając pochodniami skierowali się ku białej balustradzie, która biegła w dół osłaniając schody z czarnego marmuru, wiodące do podziemnej części tolosu. Zeszli do wąskiego korytarzyka i wolno, ciągle śpiewając zaczęli zbliżać się do najświętszego miejsca — siedziby świętych węży. Pochodziły one, według twierdzeń kapłanów, w prostej linii od węży hodowanych przez samego Asklepiosa, gdy jako małe dziecko mieszkał na wzgórzu Tittion w Epidauros porzucony przez swą matkę Koronis, córkę króla Orchomenu. Jego bo-

ski, ojciec, Apollo, nie zapomniał o swym synku i dał mu moc czynienia cudów i uzdrawiania chorych, a nawet wskrzeszania zmarłych. I od tych zamierzchłych czasów poszła w świat sława Epidauros i powiększała się ciągle, obrastając dziejami cudownych uzdrowień.

Pośrodku okrągłej podziemnej sali biło źródło. Na obramowaniu basenu, na kamieniach wystających znad wody, wylegiwały się tłuste, ogromne, święte węże. Eudamidas drżał cały. Od stóp szło wilgotne zimno, podchodziło pod piersi i odzywało się szarpiącym bólem pod żebrami. Jeden z ogromnych węży zsunął się z ocembrowania, podpełzł do stóp Eudamidas, zasyczał i owinał się wokół jego nogi. Eudamidas krzyknął. Lęk, obrzydzenie i straszliwy ból, który zakręcił nagle w piersiach, odebrał mu przytomność. Eudamidas padł zemdlony.

Kiedy się ocknął, leżał na ławie w górnej sali tolosu. Przy nim stali dwaj kapłani. Milczeli. Wokoło też panowała cisza, widocznie uroczystości wtajemniczenia skończyły się.

Eudamidas szepnął:

— Zaraz wstanę.

— Leż spokojnie — odpowiedział kapłan — teraz nie wolno ci się ruszać.

— Co to się stało? Skąd ten nagły ból? Ostatnie dni czułem się znacznie lepiej. Myślałem, że dzięki Asklepiosowi choroba moja mija. Teraz nie czuję bólu, tylko senność i osłabienie.

— Czasem bóg zsyła ból, aby okazać tym większą swoją moc — szepnął kapłan — a potem daje zdrowie.

„Dziwny bóg — pomyślał przytomniejąc zupełnie Eudamidas — nie pilnuje własnych wskazań. Przecież nad drzwiami Abatonu, na ocembrowaniu wodotrysku i w paru innych miejscach zauważyłem napis: «Przed wszystkim nie szkodzić». To jest podstawowy obowiązek lekarzy. A więc nie sprawiać bólu. I tak uwierzę w jego moc, jeśli mnie wyleczy, nie potrzebuje mnie przekonywać o swojej mocy takim nieludzkim cierpieniem.”

Przeleżał w tolosie do późnego wieczoru. Parę razy dostawał do picia zioła, po których zapadał w krótkotrwały sen. Nocą kapłani przenieśli go do budynku szpitalnego, dając mu oddzielną izbę.

Nazajutrz rano przyszedł do niego młody kapłan o ujmującej powierzchowności i łagodnej, myślącej twarzy,

— Nazywam się Dion, syn Kritona. Pochodzę z Kos — przedstawił się Eudamidasowi. — Jestem lekarzem. Czy pozwolisz, dostojny królu, że zbadam twoje ciało? Chciałbym dociec źródła twojej choroby.

Eudamidas zdziwił się. Tak nie przemawiał do niego żaden z leczących go kapłanów. Zbadać ciało?

— Nikt do tej pory nawet mnie nie zapytał, co mnie boli — odpowiedział król. — Sam mówiłem, że mam bóle, ale żaden z kapłanów nie zastanawiał się nad tym. Chcesz badać moje ciało? To bardzo dziwne. Wszyscy leczą wszystkie choroby bez badania.

Dion uśmiechnął się smutno.

— Jak sądzisz, dostojny panie: Czy człowiek, który nie zna sztuki żeglarskiej poprowadzi szczęśliwie statek przez morze? Albo człowiek, który nie zna sztuki złotniczej, zrobi piękny naszyjnik?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Eudamidas.

— Tak, dostojny królu, to jest oczywiste, jeśli chodzi o żeglarstwo czy złotnictwo. Sprawy leczenia wyglądają inaczej. Każdy nieuk może ogłosić się lekarzem i oszukiwać ludzi. A leczenie jest bardzo trudną sztuką. Trzeba znać i rozumieć organizm ludzki, trzeba wiele wiedzieć, aby móc leczyć.

— Nie wierzysz w cudowne właściwości świętych miejsc i cudowną moc kapłanów lekarzy?

— I tak, i nie. Są choroby, które potrafi uleczyć wiara, wstrząs, jakiego doznaje chory w miejscu słynącym jako cudotwórcze. Ale to są choroby wypływające z niedomagań duszy.

Takie wyzdrowienia zdarzają się, oczywiście bardzo rzadko. Kapłani leczą również innymi środkami: ziołami, maściami, kąpielami. Leczą nie badając organizmu, jednakowo różne choroby, z różnym skutkiem. Jeśli chory po ich zabiegach nie umrze, a zdarza się nawet czasem, że wyzdrowieje, tym większej wiary nabierają w moc leku, tym częściej nim szafują.

— Zadziwiasz mnie — szepnął Eudamidas. — Czy kapłani znają twoje zapatrywania?

— Nie. Sądzę, że wypędziliby mnie jeszcze dziś, gdyby podsłuchali naszą rozmowę. Jest jeden mądry człowiek w tym gronie, to arcykapłan Archelas. Z nim rozmawiam odważnie i szczerze. Zgadza się ze mną, ale mówi, że Epidaurus to nie miejsce, w którym można głosić nową teorię. Radził mi jechać do Aten. Usprawiedliwia swoich kapłanów. Oni wierzą w to, co czynią.

W czasie rozmowy rozpoczął badanie. Smukłymi, długimi palcami badał całe ciało Eudamidas — od stóp aż do głowy. Najpierw nogi, potem opukał klatkę piersiową, zajrzał nawet do gardła i do oczu. Te badania nie sprawiły Eudamidasowi żadnego bólu ani nawet przykrości. Dopiero gdy Dion nacisnął palcami brzuch, Eudamidas jęknął. Ból pod wpływem ucisku to wzmagął się, gdy lekarz wędrował palcami bliżej prawego podżebrza, to malał, gdy palce naciskały lewą stronę. Wreszcie skończył badanie; przykrył Eudamidas płaszczem i usiadł na trójnogu obok łóżka. Milczał. Król patrzył wyczekująco. Milczenie przedłużało się. Widocznie, lekarz nie miał ochoty mówić.

— Wiesz? — szepnął wreszcie król.

— Wiem.

— Co to?

— Masz, dostojny panie, bardzo twardą wątrobę. I guz wielkości pięści silnego mężczyzny.

— Guz w brzuchu? Co też ty wygadujesz! — powiedział niedowierzająco Eudamidas.

— Może się myłę — niepewnie odpowiedział Dion — może to tylko stwardnienie wątroby.

— Tylko? — powtórzył drwiąco król. — Czy to nie dosyć, jeśli sprawia aż taki ból? Czy z tego można się wyleczyć?

— Myślę, że można — odpowiedział ostrożnie Dion.

— Więc dobrze, zabiorę cię do Sparty. Obsypię cię złotem, jeśli mnie wyleczysz.

— Nie mogę, dostojny panie, choć wielkim jest dla mnie zaszczytem twoja propozycja. Za mało jeszcze umiem. Chcę zwiedzić kawał świata, poznać słynnych lekarzy, poznać różne metody leczenia. Wielka to odpowiedzialność leczyć ludzi.

— Z tego wniosek — powiedział po namyśle Eudamidas — że jesteś człowiekiem uczciwym i nie wierzysz w moje wyzdrowienie. Powiedz, jaki lekarz odmówiłby leczenia króla, gdyby miał nadzieję, że go wyleczy? Królewska wdzięczność nie jest nigdy do pogardzenia, nawet gdy król nie jest egipskim Ptolemeuszem.

Na szczerzej, wyrazistej twarzy Diona odmalowała się przykrość.

— Nie powiedziałem tego, panie, że nie wierzę w twoje wyzdrowienie. Ja tylko nie mogę się podjąć leczenia. Nie sądź, dostojny, że dla mnie najwyższą wartością w życiu jest złoto. Znam inne, cenniejsze wartości. A jeśli nabiorę przekonania, że mogę już leczyć, obojętne mi będzie, kim jest mój pacjent — niewolnikiem z ergastuli czy bogaczem leżącym na złotym łożu w marmurowej komnacie.

— Nie obraża mnie to, co mówisz. W tym świecie przeżartym żądzą bogactwa i używania, radością dla duszy jest spotkanie takiego jak ty człowieka — powiedział cicho Eudamidas — ale ja muszę odnaleźć zdrowie, muszę.

Lekarz milczał. Wiedział, że król Sparty jest skazany. Z tej choroby nikt nie wychodzi. Znał jej nazwę, przebieg, koniec. Nie wiedział tylko jak się zaczyna, z jakiego powodu. Lecz ani bogowie jej nie zsyłają, ani czary złego człowieka. Bierze się może z powietrza, może z wody, może z ziemi. Gdyby ktoś ręką sięgnął do przyczyn, usunąłby skutki.

— Słuchaj, gdybym mógł od Tyche wytargować cztery, pięć lat życia — znowu szepnął Eudamidas — więcej mi nie potrzeba, abym mógł odejść w spokoju... Nawet tego nie możesz się podjąć?

— Porozmawiam z arcykapłanem, dostojny panie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby cię ratować. Sparta i jej królowie są w wielkim poważaniu w Epidauros.

— Dziękuję ci. A teraz zostaw mnie samego.

Dion skłonił się i wyszedł. Eudamidas popadł w ponurą zadumę. Oto on, dumny Spartanin, król i wódz naczelny, zebrze o litość jakiegoś ubogiego kapłana lekarza, zebrze jak pierwsza lepsza baba. Co sobie o nim pomyślą? Że boi się śmierci? Dla Spartanina równą ujmą jest choroba, jak lęk przed śmiercią. Czyż wypada tłumaczyć im, dlaczego nie chce umierać przed czasem? Dlaczego zdecydował się na tę długą, kosztowną i męczącą podróż? Wykorzystać musi każdą, najdrobniejszą możliwość, każdą szansę, którą mu da los, bogowie, ludzie. Los, bogini Tyche... Dotarł jej kult do Sparty, zakorzenił się tym silniej, im słabsi stają się dawni, tradycyjni bogowie. Niewiara w moc bogów, w ich życzliwość dla ludzi, nawet zwątpienie w ich istnienie nie oszczędziło również Sparty, która przez tyle wieków oporna była wszelkim wpływom, wszelkim nowinkom. Szczególnie młodzież jawnie podkpiwa sobie z bogów, choć bardzo garnie się do wszystkich świąt, obchodów, uroczystości, choć z zapalem uczy się pieśni, tańców i pantomin potrzebnych na święta. Jak pojąć tę dwoistość natury ludzkiej? Zwątpienie nie oszczędziło i jego, króla Sparty. Ale trwało to krótko. Przemógł się. Filozofowanie do niczego nie doprowadzi. Czym zastąpić pustkę, jeśli zwali się Olimp? Bogowie innych ludów nie są ani lepsi, ani doskonalsi od tych, których czcić uczył Homer, ojcowie, gimnazjarcha. Wielka jest siła tradycji i żaden rozsądny władca nie zrywa łączących z nią więzów.

Eudamidas początkowo wysiłkiem woli zdecydował się podporządkować nakazom tradycji spartańskiej. Ale w miarę upływu lat wracało przywiązanie do bogów dzieciństwa, wracała wiara. Codziennie, jako głowa domu, czcił ich przy domowym ognisku. Systematycznie, w ustalonych zwyczajem okresach, składał im ofiary jako król, kapłan najwyższy, dziękując za łaskę już zesłaną, prosząc o dalszą przychylność. I błogosławili mu bogowie przez wiele długich lat jego szczęśliwego pożycia małżeńskiego i szczęśliwych rządów. Zdrowo chowali się obaj synowie: zdolny, mądry Agis, oczko w głowie matki i babki, i drugi, młodszy o lat kilka, wesoły jak szczygieł Archidamos. Gospodarna żona Agezystrata umiała pokierować olbrzymim majątkiem własnym, który wniosła w posagu, i dobrami królewskimi. Dochody rosły, pomnażając majątek rodzinny. Agezystrata, prawdziwa Spartanka według najszlachetniejszych wzorów: dumna, a zarazem skromna, łagodna dla męża i dzieci jak gołębica, a surowa i sprawiedliwa pani dla służby — stworzyła mu to, co się pospolicie nazywa szczęściem rodzinnym, a co było pasmem nie kończącej się radości i pogody. I lata jego rządów w Sparcie też były pomyślne. Drugi współrządca, Leonidas, mało troszczył się o sprawy państwowe, brał udział tylko w tych uroczystościach, gdzie można było zabłysnąć wspaniałym strojem, pięknym gestem, kwiecistą mową. Eudamidas całe swe życie poświęcił dla sprawy pokoju: każda wojna mogła sprowadzić ostateczną klęskę na Spartę, wyniszczenie nielicznej kadry spartiatów, unicestwienie państwa. Wojnę o pokój Eudamidas wygrał — za jego rządów nie było żadnego zbrojnego zatargu ani z bliskimi, ani dalszymi sąsiadami. Tylko wewnętrznych spraw Sparty nie udało się rozwikłać pomyślnie. Przepaść dzieli bogatych spartiatów od biednych. Stała się między nimi nienawiść, niby mur najeżony ostrymi palami. Nienawiść, która wybuchnie kiedyś jak para ze zbyt szczelnie przykrytego garnka. Eudamidas westchnął.

Ból, ćmiący stale jak zepsuty ząb, odezwał się teraz silniejszym szarpnięciem. W tej samej chwili wszedł kapłan, który mu trzy razy dziennie przynosił napar z ziół. Eudamidas chciwie wyciągnął rękę. Z utęsknieniem czekał zawsze na ten moment. Zioła przynosiły ulgę w cierpieniu i zsyłały zbawczy sen. Skończyły się noce bezsenne, kiedy to leżał z otwartymi

oczyma, godzinami bólu mierząc leniwie pełznący czas.

Minęło kilkanaście dni. Żadnej widocznej poprawy, choć Eudamidas twierdził, że czuje się znacznie lepiej. Chciał pozostać jeszcze jakiś czas, ale kapłani raczej go odwozili od tej myśli. Czynili to ostrożnie, taktownie, ale dawali do zrozumienia, że lepiej, by wracał do domu.

Arcykapłan Archelas odwiedzał go często i pocieszał nadzieją wyzdrowienia. Asklepios powstrzymał rozwój choroby, dał nawet pewną poprawę, co sam król Eudamidas potwierdza, dobrze byłoby, gdyby jeszcze poprosić o łaskę możniejszego boga.

— Radzę ci pokłonić się Zeusowi? Złóż mu ofiary.

Ta rada natchnęła Eudamidasza szczęśliwą myślą.

— Dzięki ci, Archelasie, za życzliwość i opiekę. Dobrze mi radzisz. Złożę ofiary Zeusowi w Olimpii. Tam on mnie przedzej usłyszy.

— Słusznie — gorliwie przytaknął arcykapłan. — Damy ci na drogę zapas ziół i kapłana, który będzie się tobą opiekował.

Następnego dnia król Eudamidas złożył ofiary pożegnalne i opuścił Epidauros.

ZEUS WSZECHMOGĄCY

Majestat Gromowładnego nie objawiał się tu w grozie poszarpanych skał i ziejących śmiercią przepaści ani też w potędze morza bijącego wściekle o urwiste brzegi, ani w głuchych pomrukach wulkanów ciskających gorącą lawą i rozpalonymi kamieniami na struchlałą ziemię.

Była to kraina ciszy, spokoju i ukojenia. Kiedy wędrowiec minął pasma gór Arkadii czy Achai lub dopłynął statkiem przez modry bezkres Morza Jońskiego, przed oczyma jego otwierała się wdzięczna dolina obramowana pasmem zielonych wzgórz, rozśpiewana chórami ptaków, pachnąca wiecznie kwitnącymi różami, falująca łanami dorodnych zbóż. Szum odwiecznych dębów w rozlicznych lasach głosił chwałę Zeusa. Tu wszystko mówiło o trwałości i niezniszczalności świata, o boskiej mądrości władcy nieba i ziemi, który ten zaciszny przedświeciek raj wybrał przed wiekami na miejsce swego kultu, na miejsce zgody i pojednania wiecznie zwaśnionych i swarliwych plemion greckich. Stąd na wszystkie ziemie greckie, na wszystkie strony świata, gdzie tylko rozlegała się dźwięczna mowa grecka, szło rozkazujące wezwanie boga: „Eufemeite” — uciszcie się, odłóżcie miecze i wszelką broń, bo oto nadchodzi moje dni, dni rozejmu bożego. I jak daleko sięga pamięć ludzka, odkąd trwają ryte na marmurze imiona bohaterów olimpijskich, mało było śmiałków, którzy wyłamali się z rozkazów boga. A jeśli ktoś nie uszanował woli boga, ośmielił się zakłócić rozejm boży, nie uniknął kary ani boskiej, ani ludzkiej. Milkł szczęk oreża, cała słoneczna ziemia grecka rozbrzmiewała radosnymi peanami, szły dziękczynne dymy ofiarne ku pogodnemu niebu, po miastach i miasteczkach stawiano posągi nie wodzom i królom, którzy się wsławili rzeziami na polach bitew, ale zdrowym, młodym i pięknym jak bogowie zwycięzcom olimpijskim.

Na igrzyskach olimpijskich czczono harmonię, zręczność i siłę ludzkiego ciała, tu sławiono potęgę ludzkiej duszy i myśli. Z proscenium teatru spływały na zasłuchanych widzów najpiękniejsze strofy poetów, tu współzawodniczyli o laur olimpijski najlepsi śpiewacy, muzycy, mówcy, tu swoje dzieło czytał oczarowanym słuchaczom nieśmiertelny dziejopisarz, ojciec historii, Herodot.

Wiosna się miała ku schyłkowi, na Olimpie senną i tęczową spływał biały żar wczesnego lata. Eudamidas pamiętał ją gwarną, podnieconą, przeladowaną tłumem krzykliwych piel-

grzymów, spoglądających z zachwytem na smukłych, obojętnych zda się na poklask tłumów zawodników.

Do igrzysk jeszcze daleko, wolno wloką się przygotowania do tego panhelleńskiego święta. Robotnicy wolni i niewolnicy świątynni pracują przy naprawie stadionu, odświeżaniu budynków przeznaczonych dla zawodników i znakomitych gości, oczyszczaniu wodociągów i budowie dróg prowadzących do Olimpii. W samym świętym okręgu widać już gromadki pątników i turystów, Greków i „barbarzyńców”, nawet z dalekiego Rzymu.

Stary przyjaciel Eudamidas, arcykapłan Hierokles z prastarego rodu Lamidów, słynnego rodu olimpijskich „teokoles” — kapłanów i wieszczów, przyjął Eudamidas z wielką radością. Zmęczony i zmizerowany Eudamidas, którego Hierokles pamiętał jako smukłego, pełnego życia ejrena, ujeżdżającego po mistrzowsku swoje konie na hippodromie olimpijskim, a potem jako pełnego majestatu i taktu młodego króla, wzruszył go i zaniepokoił. Wieloletnia praktyka kapłańska i wróżbiarska nauczyła go panowania nad swą twarzą, której radosny i życzliwy uśmiech powitalny nie zdradził żadnego cienia niepokoju czy zaskoczenia.

— Jakże się cieszę, przyjacielu, że widzę cię po tylu latach — powiedział serdecznie całując Eudamidas w ramię. — Jakie dobre bogi tu cię sprowadzają?

— Raczej złe — odpowiedział Eudamidas — jadę z Epidaurus. Byłem tam na leczeniu. Asklepios i jego lekarze nic pomogli mi, arcykapłan poradził mi zwrócić się do Zeusa Wszchemogącego. Dlatego tutaj jestem. Poza tym chciałem się z tobą zobaczyć... pewno ostatni raz w życiu... I poradzić się w trudnych dla mnie sprawach.

— Ludzie pielgrzymują tu raczej, aby usłyszeć z ust boga przepowiednię o swoich dalszych losach, zasięgnąć rady w sprawach osobistych czy państwowych — odpowiedział ostrożnie Hierokles. — Po uzdrowienie ciała rzadko kto się wybiera. Ale bywały wypadki cudownych uzdrowień, bywały... Sam pamiętam takie zdarzenie, opowiem ci któregoś wieczoru. A co słyszać w Sparcie? Ostatni raz byłem u was chyba ze dwadzieścia lat temu, kiedy jako spondefor przybyłem oznajmić datę rozpoczęcia igrzysk i wezwać pielgrzymów do uczestnictwa. Zawsze żałowałem, że nie wysyłacie swoich zawodników. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie Sparta. Bardzo się zmieniła od tych czasów?

— Sparta nie zmienia się podobno od wieków — z dwuznacznym uśmiechem odpowiedział Eudamidas. — Równych ubyło, bo ubyło klerosów, rozmnożyli się niżsi, bo jak wiadomo, biedacy szybciej się mnożą.

Hierokles nie podtrzymał tego tematu. Głaskał w zamyśleniu swoją piękną, srebrzystą, falującą brodę i ciemnymi, inteligentnymi oczyma wpatrywał się w kościstą twarz przyjaciela. Nie do wiary, jak choroba może zmienić człowieka. Gdyby nie uprzedzono o przybyciu Eudamidas, nie poznałby go.

— Dobrze, że przyjechałeś w tak spokojnym dla Olimpii czasie. Odpoczniesz, nabierzysz sił, wrócisz do zdrowia. Czy chciałbyś zamieszkać w moim dworcu na górze Kronion? W prythaneum są wprowadzić gościnne pokoje, ale część zajmuje hałaśliwa delegacja rzymskich barbarzyńców. Drażliwa to dla nas sprawa. Lubią pić, śpiewać żołnierskie piosenki. Dlatego proponuję ci Kronion.

Widząc przyzwalający uśmiech Eudamidas, dodał z przechwałką w głosie:

— Z Kronion będziesz miał cudowny widok na cały święty okręg Altis, a nie usłyszysz gwaru pątników, nie poczujesz dymu ofiar. Powietrze cudowne, balsamiczne. Twój orszak pozostanie w namiotach u stóp góry. Ilekroć zechcesz, słudzy świątynni przyniosą cię w lektyce do świętego Altis. Czynią to łagodnie, bez wstrząsów, są zaprawieni do tej pracy.

— A ty i twoja rodzina? Nie będę ci przeszkadzał?

— Żona zmarła przed ostatnimi igrzyskami. Syn ożenił się, jest kapłanem Apollina, córka wyszła za mąż, mieszka w mieście, w Olimpii. Jestem więc samotny. Z łatwością zmieścimy się tam obydwaj. Jeśli mnie obowiązki nie zatrzymają na dole, w Altis, jestem zawsze na Kronion. Lubię śpiew ptaków i panoramę, jaka się stamtąd roztacza. Dlatego chętnie zdra-

dzam nasze dostojne Teokoleon, wtłoczone w gęste zabudowania Altis, zostawiam je dwom moim współzrądom.

Góra Kronion była raczej dość okazałym wzgórzem, porośłym piniami i drzewami liściastymi, przeważnie topolami i dębami. Wygodna, szeroka ścieżka, którą mogli iść swobodnie, nie tylko niosący lektykę, ale także mulnicy prowadzący wózki wyładowane potrzebnym sprzętem, wiła się zakosami ku górze. Czterech krzepkich niewolników świątynnych bez wysiłku niosło na ramionach lektykę, zbudowaną w kształcie łoża ze skórzanym baldachimem, w której wsparty na poduszkach spoczywał Eudamidas.

Odsłonił białe firanki i patrzył stęsknionymi oczyma na zieleń zbitą i gęstą, bujną jak nad brzegami Eurotasu. Zapach kwitnących ziół i nagranych słońcem pinii wypełniał przestrzeń. Rzeczywiście powietrze tu było jak nektar orzeźwiający.

Dworek na wzgórzu Kronion był niewielkim, uroczym budynkiem z obszernym tarasem, wspartym na białych kolumnach o złożonych kapitelach. Krzaki pąsowych róż oplatały dom aż do połowy kolumn. Na tarasie, w suchym basenie — widocznie czasami była tu czynna fontanna — stał niewielki posązek Pana grającego na syrindze. Niewolnicy ułożyli Eudamidasą na miękkim leżaku o wysokim wezgiłowiu, nogi przykryli mu lekkim futerkiem zajęczym.

Młody kapłan przyniósł mu kubek wody zaprawionej aromatycznym, malinowym sokiem, zapytał, czy król ma jeszcze jakieś życzenia. Gdy Eudamidas podziękował, kapłan położył na trójnogu stojącym obok wezgiłowia srebrny dzwoneczek, aby w razie potrzeby król mógł wezwać czekających na jego rozkazy służebnych.

Eudamidas zaspokoił pragnienie i ułożywszy się wygodnie, zapatrzył się na Altis, ścielące się u stóp Kronionu. Drzewa nie przysłaniały widoku — widocznie Hierokles kazał przerzedzić las, bo z góry aż do drogi biegła przesieka porośła niewysokimi, kwitnącymi różnobarwnie krzewami.

Altis... Święte sanktuarium całej Hellady, gdzie każde greckie plemię znajdowało wspomnienia swoich dni chwały, miało archiwum swojej historii, pisane pomnikami zwycięstw wznoszonych dla ich uczczenia, świątyniami i ołtarzami ku chwale bogów. Nierozzerwalnie sprzęgły się dzieje Olimpii z dziejami Sparty, która była zbrojnym ramieniem sanktuarium.

Raz, w chwili niemocy Sparty, znieważyły i obrabowały Olimpię zbrojne bandy Arkadyjczyków. Osłabiona stratą Mesenii, zniszczona przez najazd Epaminondasa, Sparta nie była w stanie obronić świętego Altis. Elejczycy, władcy i opiekunowie świętego okręgu, byli za słabi, by sami odeprzeć wroga. Od tamtych czasów upłynęło kilkadziesiąt lat i lęk przed Spartą znowu trzyma straż nad Olimpią, jej Altis i świątyniami bogów.

„Nie zdają sobie sprawy, że Sparta jest słaba, tak słaba, jak nie była nigdy, jak słaby jestem ja, dotknięty śmiertelną chorobą” — Eudamidas poruszył wargami, jakby smakując gorzki smak tego strasznego słowa.

Na dole, w Altis, przy głównym ołtarzu zagrały flety, buchnął dym. Rozproszeni po całym obwodzie świętym pątnicy skupili się teraz w jednym miejscu. Tworzą jasne, barwne skupiska. Przy wielkim ołtarzu wyglądają jak duże żuki. Lekki wiatr rozprasza dym bijący wysokim słupem z ołtarza i rozsnuwa niby przejrzystą zasłonę na świątynie, ołtarze i posągi sanktuarium. W świetle zachodu ta zasłona mieni się opałowymi barwami, czerwonawą na świątyni Hery, Metroonie, rudawą na Filipeionie, złotawą nad dalszą, wyniosłą, ogromną świątynią Zeusa, srebrzystą na budowlach w głębi, które otula już zmierzch wstający z ziemi. Jak małe wydało się Eudamidasowi sanktuarium Asklepiosa w porównaniu z ogromem Altis, bogatym w posągi bóstw, herosów i bohaterów greckich! Górują one teraz nad tłumem pątników jak wschodni władcy nad klęczącymi niewolnikami.

Wschodni władcy. Tak się mówi obrazowo, a przecie Eudamidas nigdy nie widział żadnego z nich. Jak każdy Grek miłujący wolność i mający duże poczucie godności osobistej pogardzał służalczością i wschodnią tyranią. W Sparcie znał człowieka, który się zhańbił

służbą u wschodnich tyranów. Leonidas, niegodny imiennik bohaterskiego Leonidasa spod Termopil, a obecnie jego współrządca w Sparcie, syn Kleonimosa, potomek królewskiego rodu Agiadów, nie mając dostatecznych środków do wystawnego życia, opuścił żonę, szlachetną Kratezykleję, z trojgiem dzieci i uciekł na dwór perski Seleukosa Pierwszego. Tam związał się z Azjatką, córką dowódcy jazdy królewskiej, miał z nią dzieci. Azjatka była kobietą popędliwą i gwałtowną. Niejeden puchar wina rozbiła na głowie greckiego najmity z królewskiego rodu. Kiedy wieść o śmierci Akrotatosa, drugiego króla Sparty dotarła do Leonidasa, śpiesznie uszedł do Sparty ze zrabowanymi skarbami. Dzięki przekupieniu eforów został opiekunem maleńkiego Areusa, synka Akrotatosa. Nie wysła dziecka na zdrowie ta opieka, zmarło wkrótce w tajemniczych okolicznościach. I tak Leonidas zdobył władzę królewską. Kratezykleja ze względu na przyszłość i dobro swych dzieci pogodziła się z Leonidasem. A przecież nie należała do kobiet, które można kupić wschodnią jedwabną szatą, etiopskimi klejnotami czy egipskimi pachnidłami.

O zmroku krótko strzyżeni niewolnicy przynieśli w lektyce Hieroklesa i paru innych dostojników sanktuarium. Dowódca świty królewskiej, Kleas, uprzedzony o wizycie zdążył przygotować przyjęcie: wino z wodą, owoce i ciastka, zakupione u cukiernika mającego swój zakład w pobliżu Altis.

Niewolnicy umyli gościom stopy, podali wieńce. Wygodne łoża rozstawiono w sali biesiadnej, megaronie. Na ścianach zapłonęły lampki oliwne wydzielające miłą woń kadzidłaną. Kiedy Eudamidas krótko, po lakońsku, powitał dostojnych gości i podziękował za zaszczyt, jaki mu sprawili przybywając w tak dostojnym gronie, zabrał głos Hierokles. Mówił o miłości i szacunku, jakim od wieków Olimpia darzy Spartę, mówił o przykładzie stałości, męstwa i dumy, jakim świeci Sparta w tym ciężkim dla całej Hellady okresie. Potem wzniesiono toast na cześć Sparty, wypito za zdrowie jej króla i jego rodziny. Choć wino, zwyczajem greckim rozcieńczone wodą, nie było mocne, jednak rozwiązało języki. Dyskutowali o tym, co Eudamidas zaobserwował w Sparcie: o powszechnym upadku starych obyczajów, starej wiary w bogów, o niemoralności młodzieży. Eudamidas był przerażony swobodą, z jaką o tych bolesnych sprawach rozmawiali kapłani. I co najgorsze — nie widzieli środków zaradczych.

Dostojni goście nie przeciągali zbyt długo wizyty, mimo to, gdy się pożegnali życząc mu dobrej nocy, był zadowolony. Hierokles, zanim poszedł do swojej sypialni, rozmawiał jeszcze chwilę z przyjacielem.

— Chciałbym, Eudamidasiu, abyś się tu czuł zupełnie zadowolony. Może masz jakieś życzenia?...

— Bardzo ci wdzięczny jestem, Hieroklesie. Niczego mi nie brak, oprócz twego towarzystwa. Jeśli masz czas i ochotę, posiedź ze mną jeszcze z pół godziny.

— Z przyjemnością, Eudamidasiu. Chciałem ci to właśnie zaproponować, ale obawiałem się, że jesteś zbyt zmęczony.

— Nie zasną od natłoku myśli, jakie we mnie wywołała rozmowa kapłanów. Przerażający jest obraz Hellady widziany ich oczyma.

— Przeczernili go trochę, Eudamidasiu. Oprócz rozpustnej, złej, mamy młodzież szlachetną, ideową. Błądzą poszukując, ale poszukują nowych praw, nowych ideałów. Zdaje mi się, że tak zawsze było. Nie wszyscy też stracili wiarę. Często kpiąc ze swoich bogów, Grek wierzy w nich. Mamy niezliczone dowody, że nie ciekawość, nie chęć obejrzenia zgromadzonych tu dzieł sztuki gna tysiące ludzi do Olimpii. Powiem ci szczerze, że mnie panteon greckich bogów również nie wystarcza...

— Jak to? — przeraził się Eudamidas. — Czyżbyś nie wierzył?

— Wierzę. Moja wiara jest inna. Mój bóg wypełnia cały wszechświat, jest jeden, wieczny, nieomylny.

— Jak to godzisz ze swymi obowiązkami kapłana Zeusa?

— Zeus to nasze niedoskonałe wyobrażenie Jedynego.

— Może to i słuszne, co mówisz, ale ja pozostanę przy naszych starych obyczajach. Służyłem starym bogom, zżyłem się z nimi i przed śmiercią nie będę szukał innych.

— Nie myśl o śmierci.

— Staram się, ale nachodzą mnie chwile zwątpienia. I to jest straszne. Rozpaczam wtedy nad Spartą, nad moją rodziną...

— Przecie w Sparcie spokój. Nikt też jej nie grozi. Nawet Macedonia żywi dla was szacunek, nie wtrąca się.

— Tak — przyświadczył Eudamidas. — Jak mogłem, starałem się całe życie, aby Sparcie zapewnić pokój. Niełatwe to w naszych czasach. Pozyskałem dla Sparty potężną opiekę Ptolemeuszów, może dlatego Macedonia nas nie napada. Co innego mnie gnębi. Sprawy wewnętrzne Sparty.

I Eudamidas zaczął opowiadać o przewrotnych, żądnych władzy eforach, o powolnej, składającej się ze dziecięcych starców radzie — geruzji, o gwałtownym ubytku obywateli pełnoprawnych, o nędzy rzeszy spartiatów, o chciwości tych, którzy byli ostoją i dumą Sparty — starych, zasłużonych rodów.

Hierokles słuchał w skupieniu. W ciszy wieczornej daleko niósł się beztroski śpiew piewików, czasem wśród drzew ćwierknął rozbudzony ptak, zahuczała sowa, święty ptak Ateny. Na niebo wschodziły pierwsze gwiazdy. Hierokles znał te sprawy, o których z takim bólem mówił Eudamidas, znał słabość Sparty, choć jeszcze w świecie greckim niezmiennie trwała legenda, o jej tężyznie i sile oręża. Czuł, że nie tylko to chciał mu powierzyć Eudamidas, że to tylko wstęp do innych nurtujących go trosk. Słuchał. Pilnował, by niewczesnym, niebaczny pytaniem nie spłoszyć nastroju zwierzeń. Nie pomylił się.

— Teraz, kiedy już stanąłem nad brzegami Styksu...

Hierokles poruszył się, ale nie pospieszył z łatwym pocieszeniem ani wymówką.

— Kiedy stanąłem tam — powtórzył Eudamidas, który zauważył poruszenie Hieroklesa — wiele spraw widzę jaśniej. Zrozumiałem te najprostsze prawdy, do których człowiek dochodzi najpóźniej. Dlatego mój niepokój stał się jeszcze większy, stał się drugą, bardziej nękającą mnie chorobą. Mój syn i następca Agis...

— Słyszałem, że jest wyjątkowo roztropny i udany — wtrącił Hierokles.

— Tak. Jest zdrowy, zgrabny, zręczny i silny, jak na Spartanina przystało. Jest pięknym młodzieńcem, ale...

— Lubi zabawy, wino, dziewczęta?

— Nie. Stroni od dziewcząt, nie upija się, nie hula.

— Sztuka wojenna?

— Dobrze włada mieczem, dobrze strzela z łuku, pięknie ujeżdża konie.

— Nie widzę wad tego młodzieńca.

— Jest zbyt dobry. Łagodny i ufny jak jagnię. Nie dba o żadne dobra świata.

— To jeszcze nie są wady.

— Dobroć u króla to nie wada? Król nie może być dobrym, bo poczytają mu to za słabość. Król musi być surowy, sprawiedliwy. Dobry król nie utrzyma się na tronie.

— Przesadzasz, Eudamidasi. Wy, Spartanie, słynęliście z męstwa, twardości charakterów, a nawet z okrucieństwa. Jak sądzisz, czy nie byłoby to chwałą dla Sparty, dla twego rodu, by Agis przeszedł do historii pod mianem króla-dobroczyńcy swego narodu? Wiem, że ty cieszysz się miłością nie tylko spartiatów, ale periojków, a nawet helotów. Rzadko się zdarza, by wszystkie grupy społeczne jednakową sympatią darzyły swego władcę. Ta miłość, którą zyskałeś, opromieni i twego syna. A gdy on sam okaże się godnym miłości, będą go kochać jeszcze bardziej. To dobry przykład dla ludu: szlachetny król o wielkim sercu.

— Nie wiem, nie wiem... Mój współrządca, Leonidas, jest złym człowiekiem. Boję się go. Był opiekunem małego Areusa, który zmarł tak dziwnie. Plotkom nie było końca. Leonidas złotem przekupił największych krzykaczy, inni, nastraszeni, umilkli. Liczył się ze mną,

więc nie pokazywał pazurów, ale gdzie mógł, sącył jad. Wydaje mi się, że on będzie nie-
szczęściem dla Sparty, dla ludu, dla Agisa.

— Przedwcześnie się trwożysz. Masz przecie niewiele ponad pięćdziesiąt lat.

— Ale jestem chory. Moja wyprawa do Epidauros skończyła się niepowodzeniem.

— Nasi lekarze zajmą się tobą. Mamy dwóch o rozległej wiedzy, obaj ze szkoły Hipokratosa.

— Jechałem tu z wiarą, że Zeus uczyni cud.

— Zeus pomoże lekarzom, natchnie ich dobrą myślą.

— Dzięki ci, wracasz mi ufność i nadzieję. Jeszcze cztery, pięć lat życia... więcej nie
pragnę. Zanim Agis nie osiągnie wieku męskiego.

— Szkoda, że go nie przywozłeś z sobą. Porozmawiałbym z nim, dał dobre rady. Ale
powiedz mi, w czym się objawia jego dobroć?

— Księgi by można pisać na ten temat. Od dziecka był taki. Rok temu wysłałem go do
naszych majątków, które dzierżawią periojkowie, aby sprawdził, czy rzeczywiście był neuro-
dzaj, który ich zrujnował. Pojechał, obejrzał, umorzył im wszystkie długi i rozdał zboże z
naszych spichlerzy. Kiedy się gniewałem, powiedział: „Nie mogę patrzeć na nędzę, na ludzi
głodujących. Możesz mi, ojcze, zabrać moje roczne dochody na spłatę za periojków”. Kiedy
mu powiedziałem, że to za mało, nie pokryją nawet połowy straty, chwilę dumal i westchną-
wszy szepnął: „Sprzedaj moje konie wyścigowe”. Rozumiesz ty takie stanowisko? A trzy
miesiące temu... Eforowie pojмали jakiegoś helotę i mieli zamiar go ukrzyżować. Dawno już
nie było w Sparcie wyroków śmierci, więc postanowili tak dla przykładu... dla zastraszenia
innych. To on każdego z eforów czymś obdarował, najchciwszego Atambosa zaprowadził do
babki i ta dała mu w dzierżawę piękną winnicę. Helota wyszedł cało z Dechas, tego strasznego
więzienia.

— Robi to może dla sławy, dla uzyskania popularności?

— Tak by wyglądała sprawa periojków. Ale poza eforami nikt nie wiedział o tej historii
z uwięzionym helotą.

— Ożeń go — poradził Hierokles. — Żona, dzieci, obowiązki rodzinne...

— Stroni od dziewcząt. Nie będzie chciał się żenić.

— A twoje ojcowskie prawo? Rozkażesz, musi usłuchać. Tylko znajdź mu interesującą
dziewczynę.

— Jest taka. Piękna, dobrze wychowana, skromna. I bogata, bardzo bogata, jedynaczka.
Godna być żoną Heraklidy.

— Córka Gilipposa?

— Tak. Agiatis. Słyszałeś o niej?

— Nie. Ale znam Gilipposa. Wiem, że to najbogatszy człowiek Sparty.

— Rozmawiałem z Gilipposem. Zgodził się dać Agiatis za żonę Agisa. Tylko na razie
trzymamy to w tajemnicy, dopóki Agis nie wróci z podróży. Wysłałem go z Mandroklejda-
sem, naszym posłem, do Aten. A potem teoria spartańska jedzie do Delf na igrzyska pytyj-
skie. Mamy kilku kandydatów do wieńca laurowego. Przełamałem opór eforów, niechętnych
wyjazdowi naszych zawodników na igrzyska ogólnogreckie. Uważam to za zwycięstwo.
Bardzo tego pragnąłem. Niech zostanę w jego pamięci człowiekiem pełnym siły, o żelaznym
zdrowiu i niezłamanej woli. Kto wie, co zrobi ze mnie choroba za kilka miesięcy. Jeśli wy-
zdrowieję, to Agis nie będzie wiedział o tych strasznych dniach, które przecierpiałem.

— Eudamidasię, mimo choroby jesteś człowiekiem niezłamanym, nieulekłym. Słusznie
zrobiłeś, wysyłając Agisa. Niech pozna świat. Przyszły król jak orzeł powinien obejmować
wzrokiem szerokie horyzonty. Kto blisko patrzy, mało widzi.

— Tak. Niech zobaczy świat, jego pychę, fałsz, chciwość, okrucieństwo. Może to go
uleczy.

— Okrucieństwo świata — jak echo powtórzył Hierokles. — Czyż to ma być lekar-

stwem na dobroć? I czy z dobroci trzeba człowieka leczyć?

ATEŃSKIE NIESPODZIANKI

Beztroski program pobytu Spartan w Atenach ułożył się sam przez się już następnego dnia. O świcie, po zjedzeniu placków jęczmiennych, moczonych w nie rozcieńczonym winie, z serem owczym, poszli do miejskiego gimnazjonu, gdzie uczęszczać mieli przez parę następnych miesięcy. Szczególnie zależało im na obejrzeniu ćwiczeń zapaśników i zaangażowaniu najlepszego nauczyciela dla Damocharesa. Za najlepszego należy uważać tego, którego uczniowie zdobyli najwięcej wieńców na poprzednich zawodach. Dawny, surowy zakaz zapaśców dla zawodników spartańskich został już w Sparcie złamany. Choć oficjalnie nie wprowadzono zapaśców do agoge, jednak młodzież ćwiczyła i zdobywała umiejętności w walkach zapaśniczych. Bogacze spartańscy sprowadzali nawet dla swoich synów mistrzów z innych miast i popierali zdolnych młodzieńców z uboższych rodzin. Damochares, syn równego, średniozamożnego spartiaty miał takiego protektora, który łożył na jego naukę, bogatego Sfordriasa. W Sparcie nie było nikogo, kto mógłby się zmierzyć zwycięsko z Damocharesem. Eforowie ocenili, że można zaufać temu osiłkowi, jeśli oczywiście pozna tajniki wszystkich chwytów, ciosów, uników. Taką wiedzę może mu dać jedynie nauczyciel o światowej sławie, a znaleźć go można tylko w Atenach. Ten wzgląd przeważał w decyzji wysłania młodych Spartan do Aten.

W gimnazjonie panował, mimo wczesnej pory, ożywiony ruch. Minęli palestrę, gdzie w cieniu portyków ćwiczyli biegi młodzi chłopcy i stanęli niezdecydowani, w którą stronę się skierować, aby znaleźć arenę zapaśników. Gimnazjon wydał im się zaczarowanym ogrodem. Wśród przepięknych drzew jaśniały posągi Hermesa, opiekuna sportu. Kwietniki jak barwne dywany otaczały fontanny i natryski, wyźwirowane alejki przecinały gimnazjon we wszystkich kierunkach. Zbliżył się ku nim mężczyzna ubrany w purpurowy płaszcz — pedotriba, widocznie mający przerwę w ćwiczeniu młodzieży.

— Kogo szukacie?

— Areny, gdzie odbywają się ćwiczenia zapaśnicze.

— Prosto. Idźcie główną aleją. Chcecie się ćwiczyć w zapaśach?

— Tak — huknął Damochares.

— W takim razie zostawcie wasze szaty w południowym portyku palestry. Na arenę wolno wchodzić tylko nago.

— My nie będziemy ćwiczyć — sprostował Mandroklejdas i wskazał na Damocharesa — szukamy tylko dobrego mistrza dla niego.

Pedotriba spojrzął z uznaniem na siłacza.

— Idźcie do Faillosa. On zrobi Heraklesa z tej góry mięśni.

Poczytali to porównanie za dobrą wróżbę. Silny, niezwyciężony Herakles — oto dobry opiekun dla Damocharesa. Podziękowali pedotribie; spieszenie poszli w stronę areny. Zobaczyli ją już z daleka. Na złotym piasku obszernego kwadratu walczyło dwóch nagich zapaśników. Prawidłowości gry pilnował mężczyzna ubrany jak pedotriba w purpurowy płaszcz. Poza linią areny stało kilkunastu nagich młodzieńców śledząc uważnie zmagania osiłków. Kiedy spostrzegli zbliżających się cudzoziemców, krzyknęli coś do mistrza, który natychmiast kazał przerwać grę. Skorzystali z tego posługacze i zaczęli piasek areny zlewać wodą z dużych konwi.

— Pozdrawiamy was, szlachetni młodzieńcy — odezwał się Mandroklejdas podnosząc

prawą dłoń gestem powitalnym.

— Pozdrawiamy was, Spartanie — uśmiechnął się mistrz.

— Czy mamy zaszczyt rozmawiać ze znakomitym Faillosem?

— Tak jest. Skąd znacie moje imię?

— Sława twoich zwycięstw i sztuki twojej nauki na arenach dawno przekroczyła granice Aten — odparł dwornie Mandroklejdas.

W czarnych oczach Faillosa błysnęła duma.

— Czego szukacie?

— Ciebie. Pragniemy, byś przygotował do igrzysk pytyjskich tego oto młodzieńca, Damocharesa, syna Hieraksa.

Faillos uważnie spojrzął na Damocharesa.

— Zdejm płaszcz — powiedział krótko. Podeszedł do nagiego młodzieńca, klepnął go w plecy, pomacał mięśnie ramion, kazał mu unieść najpierw prawą, potem lewą nogę, zrobić kilka przysiadów, kilka wyrzutów ramion.

Krew nabiegła do policzków Damocharesa. Ateńczycy uśmiechają się złośliwie, widocznie Faillos naigrawa się z niego. Bo i po co ten błazen ogląda go jak konia na targu?

„Dam mu w zęby” — pomyślał Damochares i czekał na następne polecenia. Ale Faillos zrezygnował na razie z dalszych oględzin. Kandydat na zawodnika wygląda zachęcająco, można byłoby z niego zrobić niezłego zapaśnika. Ateny tym razem nie wysyłają swojej teorii na igrzyska pytyjskie. Rezerwowano siły i talenty na przyszłą pytaidę, uroczystość delficką połączoną z igrzyskami i przedstawieniami dramatycznymi, więc też nie trzeba obawiać się konkurencji. Warto go uczyć. Wpadnie za to niezła sakiewka złota. A gdy Damochares weźmie pierwszą nagrodę, rozsławi imię swego nauczyciela. To też warto coś niecoś. Jeśli nie Ateńczycy, niech zwyciężą Spartanie, a nie tępi Beoci czy Delfijczycy, Faillos słyszał, że Beoci mocno liczą na swych zawodników. Pokazać im figę? Faillos uśmiechnął się i spojrzął przyjaźnie na Spartan.

— No cóż, możemy poprobać. Chodźmy do palestry, zobaczymy, co umiesz.

Damochares wygiął pogardliwie wargi. Ani mu się śni. Cóż on sobie myśli, ten ateński kogut, że mistrz Sparty ma demonstrować, jak się ćwiczy, na skórzanych workach z piaskiem?

— Nie pójdę do palestry. Chcesz sprawdzić, co umiem, mogę zmierzyć się kolejno z twoimi uczniami. Rozłóż wszystkich po kolei, tych cherlaków.

— Takiś pewny — rozgniewał się Faillos. — Wiedz, że pierwotna siła musi się ukorzyć przed techniką i sztuką.

— Znam waszą technikę.

— U kogoś się uczył? U trzecio- i czwartorzędnych pedotribów, takich jakich w Atenach nawet dla dwunastolatków nie biorą, więc muszą szukać chleba gdzie indziej.

— Uczyłem się u czwartorzędnych, ale biję pierwszorzędnie.

Buta i wygadanie Damocharesa zrobiło wrażenie nawet na jego przyjaciółach.

— Nie do wiary — szepnęła Agis do Mandroklejdas — jak mu się język rozwiązał, niczym retorowi.

— Zadziwiająco — przytaknął głośno Mandroklejdas — taki pyskacz!

Lizandros i Amfares roześmieli się. Tak, Damochares zadziwi ludzi jeszcze nieraz.

— Więc dobrze — zgodził się Faillos i zwrócił do swoich pupilów — chłopcy, który chce dać naukę w pankrationie temu spartańskiemu byczkowi?

Z grupy zapaśników wyskoczyło pięciu.

— Nie wszyscy na raz — łaskawie powiedział zadowolony Faillos. — Może ty, Linosie? Jeszcze dziś nie ćwiczyłeś, będziesz miał dobrą zaprawę.

Damochares i Linos stanęli na arenie. Przyglądali się sobie uważnie, jakby chcieli wypatrzeć słabe strony przeciwnika. Linos był szczuplejszy od Damocharesa, niższy, ale wyda-

wał się zręczniejszy, inteligentniejszy. Pod jego gładką, ciemną, naoliwioną skórą drżały mięśnie jak u konia gotowego do kłusa. Faillos skinął na jednego z uczniów i ten przyniósł Damocharesowi oliwę. Potem podano obu zawodnikom miałki, starannie przesiany piasek, aby się natarli.

— Czy wiesz, Damocharesie, że zakazane jest wbijanie palców między oczy? Poza tym wszystkie chwytaki dozwolone.

— O tym każde dziecko wie — mruknął Damochares — nie potrzebujesz mnie pouczać.

— Ależ z ciebie pyszałek — skrzywił się Faillos. — Jeszcze mi się nie zdarzyło spotkać podobnego.

— Więc spotkałeś — odparł Damochares. — Wiadomo powszechnie, że jestem wybitnie utalentowany.

Wszyscy się roześmieli z zarozumiałstwa Damocharesa, Faillos tylko się skrzywił i podniósłszy do góry swój długi, rosochaty bat, strzelił.

Z głowami pochylonymi do przodu, z rękoma wyciągniętymi zapaśnicy rzucili się na siebie. Damochares chciał chwycić Linosa wpół, ale ten wywinął się jak piskorz, uderzając Damocharesa w szczękę. Damochares uchwycił go za rękę i wykręcił do tyłu. Ale prawa dłoń Linosa była wolna, ścisnął więc za gardło Damocharesa, zręcznym ciosem nogi podbijając mu kolano. Słabszy przeciwnik nic wytrzymałby zapewne bólu, ale Damochares nie należał do słabych. Puścił rękę Linosa i obłapił go wpół, ściskając jak w kleszczach. Linos stracił na chwilę panowanie nad sobą i to go zgubiło. Damochares cisnął nim o piasek areny, aż zadudniło. Linos nie podniósł mimo to dłoni na znak poddania. Najpierw usiadł, potem powoli, jakby odurzony, zaczął wstawać, Faillos nie pozwolił mu jednak dalej walczyć.

— Dość — rozkazał krótko. — Idź, Linosie, pod fontannę. A ty, Damocharesie, spróbuj się teraz z Kleofonem.

Ta walka była trudniejsza. Kleofon walczył przebiegle, ostrożnie, a był cięższy i silniejszy od Linosa. Damochares zmęczył się porządnie, zanim go położył na arenę. Trzeci przeciwnik nie dorównywał Damocharesowi, mimo to zadał mu parę niespodzianych ciosów. Zmagali się więcej tarzając na piasku niż stojąc. Damochares bił się zaciekle, choć widać było, że słabnie. I tym razem Faillos przerwał grę.

— No cóż, spartiaty, uznaj się za pokonanego.

— Tylko śmierć może mnie pokonać — odparł Damochares i splunął krwią. Miał przeciętą wargę i ta krwawiła obficie.

— A więc zgoda. Dwie walki zwycięskie, jedna nie rozstrzygnięta. Na dziś starczy. Podobasz mi się. Teraz możemy omówić warunki nauki. Chcesz się ćwiczyć we wszystkich rodzajach walk zapaśniczych?

— Tak.

Faillos odszedł ze Spartanami na bok, usiadł na stopniach posągu Hermesa i gestem zaprosił, by usiedli obok. Położył przyjacielskim ruchem dłoni na ramieniu Damocharesa i uśmiechając się powiedział:

— Dobrze. Możesz przychodzić od jutra. Zaczynamy o świcie. I nie obrażaj się, jeśli kiedy każe ci ćwiczyć na workach. Pewność ręki i uderzenia w ten sposób najlepiej się wyrabia. Sam płacisz?

— Za mnie płaci Sparta — odparł dumnie Damochares.

Mandroklejdas dość długo targował się z Faillosem. Zaproponował mu czwartą część sumy, której ten zażądał. Mistrz obraził się, ale ustąpił parę drachm. Mandroklejdas też dodał kilka. Ugoda stanęła, kiedy dobili do połowy sumy żądanej przez mistrza. Było to dziesięć drachm złotem, co stanowiło niemały zarobek.

Niezmiernie zadowolony z dokonanej transakcji pożegnali znakomitego mistrza i udali się do łaźni miejskich.

Łaźnie ateńskie miały ustaloną sławę. Tam codziennie na nie umawianych spotkaniach zbierał się elegancki i próżniaczy świat miasta. Znani poeci, mówcy, politycy, mistrzowie areny, kupcy, właściciele warsztatów — wszyscy mężczyźni Aten, których stać było na takie wydatki, brali natryski, masaże, kazali się golić, trefić włosy, często nawet różować twarz i czernić brwi, szlifować paznokcie rąk i nóg. Posługi czynili umalowani, krygujący się jak hetery łaźiebni, gotowi za opłatą do wszelkich świadczeń. Tu zawierano potrzebne znajomości, omawiano najświeższe wydarzenia polityczne i plotki miejskie. Kto miał czas, całe przedpołudnie spędzał w przestronnych i chłodnych salach łaźni.

Amfares i Lizandros znaleźli się od razu w swoim żywiole. Zawarli szybko znajomość z grupą ateńskiej złotej młodzieży, dogadali się do gry w kości i posłali po wino do pobliskiej winiarni. Damochares stronił od wesołej kompanii i milczał ponuro, bo nie mógł przeboleć nie rozegranej walki z trzecim zawodnikiem. Zbyt łatwo zgodził się na jej przerwanie. Ale to nic, on jeszcze pokaże, co potrafi. Ta świadomość jednak nie przynosiła ulgi i Damochares ponuro sączył kubek wina, którym częstowali Ateńczycy.

Wśród nagusów poddających się masażowi Mandroklejdas zobaczył dowódcę floty Eteonika, tego który ich witał na wodach ateńskich, i pociągnął Agisa w jego stronę. Obydwaj byli już po natryskach, więc za przykładem Eteonika poddali się zręcznym palcom masażystów. Wymieniali wprawdzie tylko grzecznościowe uwagi o pogodzie, zbliżających się zniwach, urokach Aten, ale Mandroklejdas był niezmiernie zadowolony. Trudno przy plotkarskich-masażystach mówić o sprawach poważnych, przyjdzie czas na to na ucztach, które teoria spartańska wyda dla znakomitych Ateńczyków i na ucztach, na które zaproszą ich Ateńczycy. A bliższa zażyłość z dowódcą sił morskich bardzo się przyda. Na wczorajszym przyjęciu w prythaneum mało było okazji do porozmawiania. Uroczyste przemówienia i toasty wypełniły ten nudny wieczór. W kwiecistych przemówieniach ateńskich dostojników utonęły treść i sens. Mandroklejdas zastosował się do miejscowych zwyczajów: mówił długo, szpikując każde zdanie wyszukanymi metaforami, cytatami ze sławnych poetów i filozofów, no i oczywiście przede wszystkim Homera. Oklaskom nie było końca.

Wystąpienie Agisa było wstrząsem dla tych wyrafinowanych polityków i mówców. W kilku krótkich, prawdziwie lakońskich zdaniach Agis wspomniał dawną chwałę Aten i Sparty, wspólne zwycięstwa, bratobójcze walki, które były nieszczęściem dla całej Hellady. Obecny ciężki okres w dziejach Grecji nie jest zakończeniem historycznej, pełnej chwały drogi plemion greckich. Przed Atenami i Spartą otworzy się jeszcze wspaniała przyszłość. A przyszłość ta leży w rękach obecnego pokolenia.

Nie powiedział wprawdzie, czego spodziewa się po obecnym pokoleniu i jak według niego będzie wyglądać ta przyszłość, ale nikt tego nie żądał. Klaskano i wiwatowano na cześć młodego królewicza spartańskiego i jego kraju.

Z łaźni poszli na agorę. To było drugie miejsce w Atenach, gdzie skupiało się życie towarzyskie miasta, już nie tak ekskluzywne jak w łaźniach, ale za to barwniejsze i ruchliwsze. Na targowisku tym można było kupić wszystko: od skromnych placzków jęczmiennych do najbardziej wyszukanych potraw zamorskich, od lichych sandałów z wołowej skóry do wykwintnych czerwonych czy złotych, wyszywanych drogimi kamieniami sandałów, od szorstkiego płaszcza z grubej, owczej wełny, do cienkich i miękkich jak płatki róży płaszczy z wełny milezyjskiej.

Znajdowały się tu kramy z cudownymi lekami, z klatkami przeróżnych ptaków, z glinianymi figurkami bogów i bogiń, były też kramy, gdzie można było zaopatrzyć się w najnowocześniejszą broń i naczynia domowe, sklepy złotników, biura wymiany pieniędzy.

Agorę otaczały z czterech stron kolumny portyków i budynków władz miejskich. W cieniu portyków stały posągi bóstw, a szczególnie często powtarzał się posąg Ateny Polias, opiekunki miasta, i Hermesa, boga kupców. Agisa zainteresowała tylko jedna strona agory, gdzie znajdowały się kramy z księgami. Tu można było nabyć kompletne zbiory dzieł wszy-

stkich wielkich mistrzów słowa i myśli Hellady.

— Dla Ksenaresa muszę kupić *Gorgiasza* i *Ucztę* do kompletu dzieł Platona, dla matki Safonę, dla siebie... — i lista zaczynała się tak niepomiernie wydłużać, że Agis musiał przeprowadzić gruntowną selekcję. Sprzedawca, sam widocznie wytrawny znawca i miłośnik literatury i filozofii, umiał zachwalać swój towar.

— Tu — pokazał osiem okazałych zwojów, przewiązanych kosztowną wstążką — krytyczne wydanie *Polityki* Arystotelesa. Idealne dzieło dla władców, które uczy, jak rządzić. To dzieło powinno się znaleźć w bibliotece każdego władcy, każdego miłośnika wiedzy. Albo popatrz, dostojny panie, na najnowsze wydanie pieśni Pindara. Czyż to nie rozkosz w długie wieczory zimowe mieć taką księgę w domu?

Pewno by Agis utopił w przepastnych skrzyniach sprzedawców wszystkie pieniądze, w które go w tajemnicy przed ojcem zaopatrzyła szczerze królowa-matka Agezystrata, gdyby nie czujna troskliwość Mandroklejdas. Niemal siłą odciągnął go od kramów.

— Daj spokój, Agisie. Na dzisiaj dosyć. Przed nami kilka miesięcy pobytu w Atenach. Może się zdarzyć w tym czasie jakaś wyprzedaż po niewypłacalnym dłużniku czy inna okazja, i kupimy całą bibliotekę taniej, niż tu płacisz za jedno dzieło.

Zwoje papirusów były ciężkie i nieporęczne do niesienia, Agis przyznał słuszność przyjacielowi. Na dziś dosyć. Warto jeszcze popatrzeć na popisy kuglarzy, posłuchać swawolnych piosenek wędrownych śpiewaków, obejrzeć wystawę malarstwa w Pinakotece. Dość zajęć aż do wieczora. A wieczorem znów trzeba pójść na nudną wieczerzę do prytaneum. Ateńczycy poważnie traktują swoje obowiązki gospodarzy i ani rusz się wykręcić od ich gościnności.

Całe szczęście, że Mandroklejdas jeszcze przed ich wyjazdem zamówił listownie uroczy domek na Skambonidai i nie muszą mieszkać w ciasnych gościnnych pokoikach prytaneum, pod nieustającym, czujnym okiem miejskich dygnitarzy.

Po paru dniach wżyli się w atmosferę Aten. Wcześniej zaczynał się ich dzień, przed świtem. Damochares spieszył do gimnazjonu, Agis z Lizandrosem na hippodrom, gdzie pod kierunkiem trenera ujeżdżali swoje konie. Mandroklejdas pochłaniały sprawy polityczne, tylko jeden Amfares wylegiwał się do późnych godzin rannych. Potem wstawał, brał kąpiel, nacierał się wonnymi olejkami, wypijał, ku uciesze usługujących Spartanom niewolnic służebnych, dwa surowe jajka i przygrywając sobie na lirze, ćwiczył się w śpiewie. Często jajka nie pomagały. Kiedy wieczorem przeholował w picu wina, głos mu chrząkał. Amfares z wściekłością targał swą czuprynę i przysięgał na patrona Muz, że więcej pić nie będzie. Nieszczęściem, przysięga traciła swą moc w miłym towarzystwie już po paru kubkach wina. Mandroklejdas ostrzegał, że jeśli z tej przyczyny Amfares przegra na zawodach, niełatwa przeprawa czeka go z eforami. Widmo eforów wywierało pożądany efekt, ale nie na długo. Na agorze wśród sprzedawców win topniały zasoby Amfaresa.

Młodych Spartan uderzyła przede wszystkim nieobecność kobiet w życiu Aten.

— Popatrzcie, oprócz paru starych, brzydkich jak ropuchy przekupek, nie uświęcisz na agorze żadnej kobiety — dziwił się Amfares, kiedy po wesoło spędzonym dniu odpoczywali na tarasie swojej willi. — Czyż wszystkie są tak brzydkie, że boją się pokazywać na ulicy?

— Są i ładne — odpowiedział Mandroklejdas — ale u nich taki zwyczaj, że nawet sprawunki u piekarza czy rzeźnika załatwiają mężowie, bracia lub niewolnicy. Przyzwoita kobieta nie śmie samotnie pokazywać się na ulicy.

— Urody jej przez to ubędzie czy cnoty? — drwił Amfares. — Nasze dziewczęta na pewno cnotliwsze od nich, a nie boją się chodzić po ulicy w króciutkich chłajnach...

— Ateńczycy przezywają nasze dziewczęta „gołoude” — roześmiał się Mandroklejdas.

— To i co z tego? Alboż mają brzydkie uda, żeby je kryć? Tylko brzydota unika blasku dnia. Podczas procesji i świąt jedynie wieńce na głowie chronią nasze dziewczęta przed palącymi promieniami Heliosa...

— Nie przesadzaj — mruknął Damochares. — Starsze nie tańczą nago...

— W gimnazjonach też ćwiczą nago — upierał się Amfares.
— Ale poza gimnazjarchą nikt nie ma prawa wstępu do żeńskich gimnazjonów.
— Wiecie — powiedział milczący dotąd Lizandros — kiedy wracałem wczoraj z hippodromu, zatrzymałem się z koniem koło tej willi z żółtymi kolumnami.
— Wiem, jakieś dwa stadiony stąd na prawo! — zawołał Amfares.
— Właśnie. Usłyszałem w ogrodzie za domem śmiech i wesołe okrzyki. Podjechałem do żywopłotu, zajrzałem...
— No i co? — krzyknął Amfares.
— Zobaczyłem trzy dziewczyny grające w piłkę. Były bardziej kuso ubrane niż nasze Spartanki. Ale były chyba ładniejsze.
— Ładniejsze od Agiatis? — oburzył się Amfares.
— Nie mówię o Agiatis — zaprzeczył Lizandros — ale te dziewczyny... Nie mogę zapomnieć ich widoku.
— Czemu ciebie interesują inne dziewczyny, jeśli chcesz się żenić z Agiatis — wtrącił milczący do tej pory Agis. — Mówiłeś, że oddałbyś wszystkie dziewczyny Sparty za nią jedną.
— Oddałbym, gdybym miał — odparł ze śmiechem Lizandros — ale tak bardzo bym się nie spieszył z tą wymianą... Agiatis jeszcze młoda, może poczekać.
— Aż ktoś inny sprzątnie ci ją sprzed nosa?
— Nie sprzątnie. Mój stary miał się teraz, w czasie mojej podróży, rozmówić z Gilipposem.
— Gilippos nie odda ci córki — powiedział Amfares. — Jemu potrzebny na zięcia człowiek rozsądny, poważny, który będzie umiał uszanować posag Agiatis.
— Jakie zarzuty mi stawiasz? — oburzył się Lizandros.
— Ja? Żadnych. Ale stary kutwa wie, żeś ty hulaka, babiarz, koniarz. Jak takiego brać za zięcia? W mig roztrwonisz złoto Agiatis...
— Agiatis mi sprzyja — mruknął Lizandros.
— I co z tego? Albo kto się liczy ze zdaniem dziewczyny w takich sprawach? Małżeństwo — to sprawa handlowa, a nie romans.
— Twoja sprawa przegrana — zahuczał Damochares. — Z Agiatis ja się ożenię.
— Ty? — wykrzyknęli jednocześnie wszyscy trzej przyjaciele.
— Ja. Kto mnie przewyższy w sławie? Nie ma na całej ziemi greckiej człowieka, który dorównałby mi siłą. Sam Faillos mi to powiedział. Tylko technika trochę kuleje, ale to nic, wyrównam. Być żoną najznakomitszego zapaśnika Hellady to zaszczyt nie tylko dla Agiatis, ale nawet dla córki królewskiej.
— W żyłach Agiatis płynie krew królewska — powiedział nieoczekiwanie Mandrokleidas.
— Jak to? — zdziwili się przyjaciele. — Przecie stary Gilippos...
— Tak, stary Gilippos jest Spartaninem z krwi i kości, ale matka Agiatis, Nanno, była branką, córką króla Trerów, barbarzyńskiego ludu z północy. Gilippos kupił ją na targu w Tessalonice, gdzie załatwiał jakieś sprawy, zlecone mu przez eforów.
— Dziwne rzeczy opowiadasz — Agis słuchał z zainteresowaniem wyjaśnień przyjaciela. — Nieraz się zastanawiałem, skąd u niej te złote niby dojrzała pszenica włosy.
— Gilippos ożenił się z Nanno, ale niedługo byli szczęśliwi. Nanno zmarła przy urodzeniu drugiego dziecka, synka, który też zmarł. Agiatis miała wtedy dwa lata. Gilippos nie ożenił się po raz drugi, został wdowcem. I całą miłość przelał na Agiatis, która jest bardzo podobna do matki. Dlatego radzę wam wstrzymać wasze zaloty. Gilippos nieprędko wyda córkę za mąż.
— Myślałem i ja swaty ślać — nieszczerze zażartował Amfares — ale kiedy moi przyjaciele już mnie ubiegli w gorących chęciach...

— Mówcie, co chcecie — z uporem powiedział Damochares — ale ja tak łatwo nie zrezygnuję z Agiatis.

— Głupiś — syknął gniewnie Lizandros. — Wybij to sobie z durnego łba.

— Ty sobie wybij!

— Obaj sobie wybijcie! — zawołał Amfares.

— Jak wy mnie nużycie — z niesmakiem odezwał się Agis. — Zachowujecie się jak trzy zaciętrzewione koguty bijące się o jedną cieciorkę. A tymczasem może ją uprowadzić czwarty.

— Niech spróbuje — warknął Damochares.

— Nie będziesz miał nic do gadania — rozstrzygnął spór Mandroklejdas. — O losie dziewczyny decyduje ojciec i nikt więcej. Więc po co wygadujecie głupstwa?

— Mnie tam nie w głowie żeniaczka — powiedział Amfares. — Ożenię się nie prędzej jak za pięć, sześć lat, po trzydziestce. Żaden rozsądny mężczyzna nie żeni się wcześniej.

— Pierwsze mądre słowa dzisiejszego wieczoru — ucieszył się Agis. — Ja nie myślę żenić się wcześniej niż za jakieś dziesięć lat. I was wolałbym widzieć przy sobie jako kawalerów. Co wam strzeliło do głowy z tą Agiatis!

— Ja tak mówiłem na złość Lizandrosowi — zaczął się również wycofywać Damochares. — Wiem, że on się podkocha w Agiatis, więc nigdy nie laźłbym w drogę przyjacielowi. Ale pożartować można, no nie?

Tylko Lizandros milczał. Agis nie żądał odpowiedzi. Rad był, że wreszcie przyjaciele przestali się swarzyć i nie zakłócają ciszy wieczoru. Na czystym granacie nieba zaczęły rozbłyskać pojedyncze gwiazdy jak drogie kamienie na peplos Ateny Promachos. Agis podszedł do balustrady tarasu, popatrzył w stronę Akropolis. We mgle wieczornej zniknęła ruda skała, a świątynie Akropolis jaśniały zawieszane między niebem i ziemią w perłowym powietrzu piękne i pełne majestatu. Spoza kolumn Partenonu wypłynęła nagle ogromna czerwona tarcza księżycy.

— Witaj, Seline — szepnął Agis.

— Co mówisz, mój drogi? — zapytał Mandroklejdas, który stanął za plecami Agisa.

— Ech, nic. Chodźmy już spać. Czy na jutrzejszy wieczór organizujesz to przyjęcie, Mandroklejdasio?

— Tak.

— Pamiętaj, żeby nie zabrakło jadła i wina.

— Warto by ich tak uraczyć, jak oni nas w prytaneum — powiedział gniewnie Damochares, który usłyszał rozmowę. — Siada człowiek głodny i wstaje jeszcze głodniejszy, bo rozdrażniony tymi ochłapkami, co mu podadzą.

— Porcje w prytaneum obliczone są dla normalnych ludzi, a nie dla olbrzymów — zakpił Amfares.

— Ich olimpijczycy też przychodzą na posiłki do prytaneum. Mają to zagwarantowane prawem. Rozmawiałem z takim jednym, co wziął pierwsze miejsce w pentatlonie na ostatnich igrzyskach olimpijskich. Tak samo stękał na skape żarcie.

— Skape, ale darmowe. A poza tym zaszczytne. Duma każdego tak rozpiera, że aż tyje z tego państwowego wikt. Widziałeś brzuszki archontów? — złośliwie drwił Amfares.

Byliby dłużej obgadywali skapstwo Ateńczyków, ale Agis nakazał, aby poszli spać. Położyli się na drewnianych, wysłanych trzciniowymi matami łóżkach, nakryli własnymi płaszczami i po paru minutach zgodnie zachrapali. Przyzwyczajeni byli do twardych łóżek już w Sparcie.

Następny dzień, jak zwykle, spędzili w palestrze i na hippodromie, potem w łaźni i na agorze. Zaraz po południu wrócili do domu, bo Mandroklejdas ponaglał, pełen obaw, czy służba przygotowała ucztę, tak jak polecił.

Wielki świat Aten miał gościć dziś u Spartan. A więc dwóch strategów, dowódca floty

Eteonik, archontowie, kilku prytańców i parę znakomitości ze świata kulturalnego. Zaproszenie przyjął „latający filozof”, Bion z Borystenes, Kerkidas — piosenkarz i wybitny mąż stanu ze Związku Achajskiego, poeta i dramaturg Tymon z Fliuntu, wódz „zezowatych”. Nie udało się, ku zmartwieniu Agisa, zaprosić najznakomitszego człowieka Aten, sławnego filozofa i mędrca Chryzypa, bo leżał chory po zatruciu się rybą. Mówiono Agisowi, że to najwybitniejszy uczeń Zenona, filozofa, którego ze czcią wspominali Ateńczycy. To o nim w pośmiertnej pochwalie powiedziały Ateny: „Uczył on swe życie wzorem dla innych, gdyż stosował się do zasad swej własnej nauki”.

Szli spiesznie, Agis z Mandroklejdasem, a za nimi trzech pozostali przyjaciele: Lizandros, Amfares i Damochares.

Agis robił wymówki swemu dyplomacie, że niepotrzebnie zamówił na wieczór flecistki, ucztą straci przez to swój poważny charakter. Należało pokazać Ateńczykom, że Spartanie nie pochwalają tego zwyczaju. Mandroklejdas tłumaczył cierpliwie, że trzeba uszanować miejscowe zwyczaje, czy im się to podoba, czy nie. Uczta u Ateńczyków nie może obyć się bez muzyki, a muzyka bez kobiet. Ten zespół to miłe i ogładzone dziewczyny, w braku elokwentnych mężczyzn umieją poprowadzić wesołą rozmowę i nadać tempo zabawie. Stuk sandałów za plecami Agisa i Mandroklejdasę nagle ucichł. Agis obejrzał się. Trzech przyjaciele zatrzymali się i przyglądają się czemuś obok drogi.

— Chodź, zobaczmy, co oni znaleźli.

— Szkoda czasu — odpowiedział Mandroklejdas, lecz Agis nie słuchał.

Przyjaciele stali nad wysypiskiem śmieci, które Agis minął przed chwilą przyspieszając kroku z powodu straszliwego fetoru, jaki tam panował.

— Popatrz, Agisie, „wysadzone” dziecko.

— Co takiego?

— Mówimy ci właśnie. „Wysadzono” dziecko, bo było niepotrzebne w jakiejś rodzinie.

— Wyrzucono?

— No, właśnie.

— Na śmietnisko, aby zginęło?

— Nie inaczej — powiedział Lizandros. — Umrze z głodu albo szczury je zjedzą, jeśli go ktoś nie zabierze.

— Okrutni są ci Ateńczycy — oburzył się Agis. — Wyrzucać dziecko na straszną śmierć? Tego nie robi żadne zwierzę, nawet wilk.

— U nas to się odbywa bardziej humanitarnie — roześmiał się Amfares. — Nadliczbowe dzieci ciska się w przepaść ze skały Tajgetu.

— Usuwa się dzieci wątłe, niezdatne do życia — sprostował Agis — albo kalekie... Jest to również okrutne, ale jeśli się chce, by naród zachował tężyznę...

— Mylisz się, Agisie. Wyrzuca się te dzieci, których rodzice nie chcą chować. Pokazywanie eforom noworodków to tylko formalność. Eforowie każą „wysadzić” każde dziecko, którego rodzice nie chcą.

— Nie wiedziałem o tym. Wierzyłem, że usuwa się dzieci niezdatne do życia — ze smutkiem powiedział Agis i wstrzymując oddech, pochylił się nad wysypiskiem, gdzie w pleconym koszyku kwiliło niemowlę. Ujął ręką kabląk.

— Co ty chcesz zrobić, Agisie? — wystraszył się Lizandros.

— Zabrać to małeństwo. Nie pozwolę, aby zginęło z głodu.

— Daj spokój, to nie nasza sprawa.

— Co z nim zrobisz?

— Zabiorę do Sparty. Wychowa się w naszym domu.

— Agisie, przed nami droga do Delf. Jak ty sobie wyobrażasz podróż z niemowlęciem — zaczął perswadować Mandroklejdas, który właśnie nadszedł.

Agis nie odpowiedział. Uniósł koszyk i szybkim krokiem zaczął się oddalać.

— To twoja wina -r warknął Amfares do Lizandrosa. — Mówiłem ci, chodź, nie ma się na co gapić. Nieszczęście spłynie z tym bachorem na nas. Na pewno jest nieczyste, bo kto dba o oczyszczenia, jeśli „wysadza” swój pomiot...

— Twoja też — odciął Lizandros. — Ty pierwszy zatrzymałeś się nad tą kupą gnoju.

Zgnębieni ruszyli za Agisem, który skręcił na ścieżkę wiodącą do ich willi.

Kiedy stanęli w drzwiach sali gościnnej domu, zobaczyli, że Agis, wyjąwszy niemowlę z koszyka, obszedł z nim wokoło ołtarz, na którym żarzyło się ognisko domowe, a potem położył je w popiele ołtarza. Ogień na to ognisko przywieźli ze Sparty i pilnie baczyli podczas całej podróży, aby im nie wygasł. Cała pomyślność wyprawy, wedle wróżb, zależała od tego, czy uda im się zachować ogień z rodzinnego domu.

— Bogowie, on przyjmuje tę znajdę do swojej rodziny — przeraził się Lizandros.

— Eudamidas i Agezystrata uszyją nam ładne sandały — mruknął ze złością Amfares.

— Zawołajcie starą Penele — Agis odwrócił się do przyjaciół, jakby dopiero teraz ich spostrzegł. — Popatrzcie, niemowlę ma całkiem czyste i ładne pieluszki. Widocznie z bogatego domu je „wysadzono”. Nie wiem, co się takiej kruszynie daje jeść? Mleko? Wino z wodą?

— Kiedy się urodziłem, wykapano mnie w winie — powiedział Amfares. — Chcieli sprawdzić, czy jestem zdrow i zdatny do chowania. Ale czym mnie karmili, pojęcia nie mam. Może mamka piersią? Dziwne, ale ta pierwsza kąpiel nie obrzydziła mi wina, a mleka nie znoszę. I bardziej mnie pociągają piersi młodych dziewcząt niż mamek.

Stara Penele stwierdziła, że owszem, dziewczynka jest ładna, ale lepiej było pozostawić ją swemu losowi. Co ją bowiem czeka? Dola niewolnicy? Lepiej się dla takiego losu nie rodzić. Napoiła dziecko naparem z rumianku i zabrała do izby kobiecej, jak polecił Agis.

Wkrótce nadeszli pierwsi goście. Sala biesiadna była przygotowana. Rozstawiono łoża, stoliczki, wieńce, we drzwiach, w czterech rogach sali kraterę z winem i wodą, lampki oliwne na ścianach. W przedsionku do megaronu słudzy czekali z misami ciepłej wody i kawałkami glinki z Kimolos, znakomicie czyszczącej skórę, gotowi do mycia stóp przybywającym gościom. Do sali biesiadnej wchodziło się boso. Tu tak samo, z misami wody i ręcznikami, czekali chłopcy służebni strojnie odziani, by na każde skinienie umyć ręce gości. Na stolikach leżały wieńce, którymi goście mieli wieńczyć swe skronie. Subtelny zapach przywędłych kwiatów i dobrego wina unosił się w powietrzu.

Agis był niespokojny. Co o nim, prostym chłopcu ze Sparty, powiedzą ci mędrcy. Może wyda im się nieokrzesanym ciołkiem, on, następca tronu? W Atenach nieraz nawet pospólstwo podkpiwało z nieuctwa spartiatów, mając zresztą do tego podstawy. Czym można zadziwić mędrców, którzy wszystkie rozумы świata pozjadali? Że zna na pamięć Homera, czytał Tukidydesa, Ksenofonta, słyszał o Sokratesie, zna niektóre dzieła Platona? Nic nie wie o najnowszych poetach, filozofach, którzy w Atenach i Aleksandrii zdobywają sławę. Niektórych poznał ze słyszenia, a właściwie z plotek w łaźni czy na agorze, nie zna ich dzieł ani poglądów.

Mandroklejdas dokonywał cudów dyplomatycznej zręczności, aby gości właściwie usadowić, aby nikt nie poczuł się urażony zbyt skromnym miejscem. Drażliwość pod tym względem była wielka i nieraz niewłaściwe rozmieszczenie gości przy uczcie przyczyniało się do ochłodzenia lub zerwania stosunków towarzyskich, czy nawet ważnych spraw politycznych. Rozmieszczał więc Mandroklejdas po dwie osoby na łoża, prawiąc komplementy i wysławiając znakomite rodowody gości. Mile połączani w dumie rodowej i patriotycznej goście w wyśmienitym nastroju zajmowali wyznaczone im miejsca.

Szczególnie uhonorował Mandroklejdas archontów i strategów, sadowiąc ich z obu stron Agisa, który odetchnął z ulgą. Ci z pewnością nic grzeszą zbytnią erudycją.

Herold stojący w drzwiach głośno anonsował przybywających.

— Bion z Borystenes — usłyszał nagle Agis i drgnął ze wzruszenia. Bion był to człowiek w średnim wieku, łysy, o oczach czarnych, patrzących surowo i przenikliwie spod

nawisłych, gęstych brwi. Już wcześniej Mandroklejdas zdążył opowiedzieć Agisowi, że Bion to syn hetery i wyzwoleńca, a więc człowiek z nizin, że dzięki bogatemu opiekunowi zdobył wykształcenie, a następnie odziedziczył jego majątek. Zwiedził dużo świata, a potem, osiadłszy w Atenach, oddał się nauczaniu młodzieży za pieniądze, przez co powiększył jeszcze bardziej swoją fortunę. Choć posiada w Atenach ładną willę, winnicę i ogród, często wędruje do innych miast, aby szerzyć swą naukę i zbierać drachmy. Dlatego nazwano go „latającym filozofem”. Agis pomyślał, że gdyby miał taką wiedzę i umiał przekazać ją innym, czyniłby to za darmo jak Sokrates.

Bez wrażenia przeszło przybycie Kerkidasa, małego, szczupłego, prawdziwego kościannego dziadka. Rozłożył się na wyznaczonym mu przez Mandroklejdasę łożu, pił i jadł słuchając uważnie skąpych wypowiedzi i żartów. Dopiero po pierwszej części uczty, składającej się z mięsa i pszennych bułek, kiedy przechodzono do picia wina i jedzenia słodczy, rozpoczęła się zwykle część artystyczna albo uczone rozmowy i dyskusje. Tego letniego wieczoru goście nie byli nastrojeni poważnie, chcieli się śmiać, śpiewać i żartować.

Strateg Tyndeus, któremu przyznano jednomyślnie honorową funkcję gospodarza uczty, decydował o dolewaniu ilości wody do wina, a że jak każdy wojak wołał wino niż wodę, kazał oszczędzać wodę, co od razu wpłynęło na nastrój i humor biesiadujących. Wszyscy domagali się muzyki i pieśni, więc Tyndeus poprosił Amfaresa, by wykazał swe umiejętności.

Amfares chętnie zaczął popisywać się śpiewem, a ponieważ wybierał pieśni powszechnie znane, Anakreonta, Alceusza, Mimnerma, flecistki akompaniowały mu. Słuchacze mieli nie lada koncert. Jego głos i siła Damocharesa, który jedną ręką unosił trójnog z siedzącą na nim flecistką, oszołomiły Ateńczyków. Zazdrościli Sparcie takich zdolnych młodzieńców. Zresztą i dla pozostałych spartiatów żywili niekłamany podziw. Delikatny, poetyczny Agis, błyszczący światowym polem Mandroklejdas, skrzący się wesołością i dowcipem Lizandros — taka delegacja może dużo dobrego zdziałać dla swego kraju. Kiedy zmęczony Amfares skończył swój koncert, strateg Tyndeus wyznaczył do następnego popisu Lizandrosa.

— Powiedz nam jakiś aforyzm o kobietach, Lizandrze.

Lizandros odpowiedział bez namysłu:

*Kobieta jest bez złości — dwa razy, zważ sobie,
Kiedy wychodzi za mąż i gdy leży w grobie.*

— Wspaniale, brawo! — wołali biesiadnicy.

— A teraz powiedz mi, jakiego konia kupiłeś w Atenach?

Lizandros odpowiedział:

*Obiecał sprzedać konia, ręką swoją łapą,
A przyprowadził ogon z wiszącą nań szkapą.*

— Świetnie! — klaskali w dłonie biesiadnicy.

— A co sądzisz o swoim znakomitym rodaku, Amfaresie?

Lizandros i tym razem odpowiedział natychmiast:

*Śpiewakowi rozumu dał bóg wprowadzić mało,
Ale ze śpiewem i to trochę wyleciało.*

Goście śmieli się, Amfares zaś chlusnął na przyjaciela resztką wina z kubka, Lizandros nie został mu dłużny. Więc Tyndeus klasnął w dłonie i rzekł z udaną surowością:

— Obaj dacie fanty, biesiadnicy zaś wyznaczą wam kary, jakie macie wykonać, jeśli będziecie chcieli je wykupić.

— Zgoda! Brawo gospodarz!

Tyndeus nie zwolnił jednak Lizandrosa z egzaminu bystrości i postawił następane zadanie:

— Dwa aforyzmy o lekarzach, Lizandrosie.

Chwilę namyślał się Lizandros, zanim dał odpowiedź:

*Został lekarz, Dyaul, grabarzem w potrzebie
I pod zmienioną firmą jak grzebał, tak grzebie.*

— Udane, brawo, Lizandros! — wołali biesiadnicy.

Lizandros zadowolony z pochwał zdobył się i na ostatni epigram:

*Lekarza we śnie ujrzał Diefont, niestety,
I już się nie obudził, choć miał amulety.*

Amfares jako fant oddał swoją lirę, Lizandros zaś pierścień. Wyznaczono kary: Amfares musi na rękach przejść całą salę, Lizandros zaś ma się rozebrać do naga i przenieść na ramionach jedną z flecistek. Amfares nie umiał utrzymać się na rękach, więc dwaj chłopcy służebni trzymali go za nogi, gdy biedak przemierzał salę w tak niezwykły sposób. Ten widok sprawiał ogromną radość zebrany, śmieli się do łez. Amfares był wściekły, ale kiedy dobrnął do drzwi i wstał, też zaczął pisać z radości, widząc rozbierającego się Lizandrosa.

Agis był zdumiony swawolą dostojnych mężów. Pamiętał nadętą powagę i górnolotne przemowy w prytaneum, i nie mógł się nadziwić, że ci sami ludzie potrafią tak swawolić, jak chłopcy w gimnazjonie. Jak wiele spodziewał się po tej biesiadzie! Liczył, że nie skrepowani etykietą oficjalnych przyjęć dostojni mężowie dadzą popis swej erudycji, nowoczesnych poglądów na sztukę i literaturę, na sprawy polityczne, społeczne, filozoficzne. Jakże się zawiodł! Znakomity Bion zaśmiewa się z dowcipów Lizandrosa i kar nałożonych na poważionych przyjaciół, druga znakomitość, ponury Kerkidas, popija w milczeniu, jakby w pucharze chciał utopić wszystkie swoje troski. Jeden gość nie dopisał: Tymon z Fliuntu. Zaproszenie przyjął, obiecał przyjść, ale choć uczta zbliżała się ku końcowi, nie zjawił się ani nie przysłał usprawiedliwienia.

Przed domem wszczął się hałas. Jakieś głośne śmiechy, śpiewy, pokrzykiwania. Na salę wbiegł jeden z odźwiernych i pochyliwszy się do ucha Mandroklejdas oznajmił, że przybył człowiek, który twierdzi, że jest zaproszony. Nazywa się Tymon z Fliuntu.

— To go wpuść, głupcze — powiedział Mandroklejdas — przecie podawałem ci jego imię.

— Tak, panie. Ale on nie jest sam. Przybyła z nim grupa młodych ludzi dziwnie ubranych i hałaśliwych. Kiedy ich zapytałem, kogo mam zameldować, powiedzieli, że „zezowatych”, choć żaden z nich zezowaty nie jest.

Mandroklejdas strapiiony poinformował Agisa o sytuacji i poprosił o radę. Zezowaci, czyli sceptycy, tak się nazywa ta szkoła filozofów.

— Wpuść ich — ożywił się Agis. — Może zacznie się ciekawa dyskusja. Znudziły mnie już te piosenki i żarty.

Do sali biesiadnej wszedł mąż w szarym tribonie z szorstkiej wełny, siwy, postawny, o pogodnie uśmiechniętej twarzy. Towarzyszyło mu kilku rozwichrzonych młodzieńców.

— Wybacz, dostojny Agisie — Tymon skłonił się wytwornie — że sprowadzam ci nie oczekiwanych gości i że się tak haniebnie spóźniłem. Na dzisiejszym moim wykładzie wynikł ostry spór i dyskusja przeciągnęła się nad miarę. Ponieważ nie uzgodniliśmy stanowiska, moi chłopcy odprowadzili mnie aż do wrót twego domu. Dyskusja trwa.

— Czy wolno wiedzieć, jaka kwestia tak was rozogniła? — zapytał Agis.

— Oczywiście. Chodzi o pojęcie bóstwa. Ja twierdzę, że pojęcie bóstwa jest pełne sprzeczności, oni zaś, że nie ma żadnej sprzeczności.

— Dlaczego sądzisz, że jest pełne sprzeczności?

— Pomyśl tylko: jeśli bóstwo jest doskonałe, to jest nieograniczone, jeśli nieograniczone, to nieruchome, jeśli nieruchome, to bezduszne, a jeśli bezduszne, to niedoskonałe.

— To brzmi przekonująco — powiedział Agis — ale... dlaczego to, co nieograniczone, musi być nieruchome?

— Takie jest moje założenie.

— Założenia mogą być różne. Nie dziwię się, że twoi uczniowie sprzeczą się z tobą. Więc według ciebie Zeus jest niedoskonały?

— Nie mogę tego twierdzić — odpowiedział Tymon — bo nie wiem, czy Zeus istnieje.

— Sądzisz, że go nie ma?

— I tego nie mówię. Mogę ci przytoczyć tyle samo dowodów za istnieniem Zeusa, jak za nieistnieniem.

— Więc co istnieje?

— Nie wiem. Moim prawem jest wątpliwość.

— Powiedz, jak żyć w ciągłym z wątpliwością? Nie ma bóstwa, nie ma boskiej opatrności, nie ma do kogo zwrócić się w ciężkiej chwili, nie ma komu złożyć ofiar z prośbą o pomoc. Poradz, jak żyć.

— Tyle problemów poruszyłeś, że trudno byłoby odpowiedzieć na nie w dziesięciu wykładach. A mnie już w gardle zaschło od dyskusowania.

Mandroklejdas klasnął w dłonie. Służebni wnieśli półmiski z mięsiwem i kosze z chlebem, puchary do wina.

Tymon i jego świta zajęli wolne miejsca, rozsiedli się na ławach, a nawet na podłodze. Posilali się z zapalem zgłodniałych tragarzy, a nie filozofów. Pozostali goście przyglądali się im ze złośliwą ciekawością.

Flecistki przygrywały na swoich aulosach, jedna z nich śpiewała swawolną piosenkę Tymona o schadzce Afrodyty z Aressem. Kiedy skończyły pieśń i zapadła chwilowa cisza, skorzystał z tego milczący do tej pory Bion.

— Nie trzeba dręczyć się zagadką, czy bogowie są, czy ich nie ma — odezwał się nieoczekiwanie — raczej należy przyjąć, że ich nie ma. To ludzie stworzyli sobie bogów, niedoskonałych, bo sami są niedoskonali, na obraz i podobieństwo swoje.

I Bion zaczął uzasadniać swoje twierdzenia cytatami z poetów, filozofów, dodając od siebie różne anegdoty, dowcipne powiedzonka-apoftegmaty, a wszystkie w wyszukanej formie, w zrytmizowanej prozie. Słuchacze byli zaskoczeni i oczarowani. Agis był zdumiony. Mówiono mu w łaźni, że Bion to człowiek o niewyparzonemu języku, sprośny, ordynarny efekciarz gotów dla dobrego żartu sprzedać prawdę. A ten Bion, siedzący naprzeciw, mówi pięknie, nie wtrącając żadnego wulgarnego słowa, jak natchniony poeta. Forma kunsztowna, ale treść?

Agis nie zgadzał się z filozofem, buntował się, chciał zaprzeczyć, ale nie śmiał. Nie potrafił mówić tak wytwornie, obawiał się, że wyśmieją go za jego lakoński akcent, lakoński dialekt, którym się mimo woli posługiwał, gdy był wzburzony, zapominając o ogólnogreckiej mowie ludzi wykształconych, „koine”. Dlaczego ci filozofowie tak pragną obalić bóstwa? Co im z tego przyjdzie? Czy ludzie bez bogów będą szczęśliwsi? Bogowie dla słabych ludzi są jak dłoń matczyzna dla dziecka, jak laska dla starca. Bez podpory — upadną. Któż mieni się tak silny, że może stać równo, gdy burza targa okrętem? Agis czekał, że drugi filozof, Tymon, zabierze głos i przeciwstawi się wywodom Biona, ale się zawiódł. Tymon podczas całej dysputy jadł spokojnie, udając, że nie słucha, prawdopodobnie chciał dać tym do zrozumienia, jak mało ceni swego przeciwnika. I Agis nagle zrozumiał wstrzemięźliwość uczonych mężów w zabieraniu głosu już od początku biesiady. Unikają jawnych starć, chociaż nie lubią się,

choć istnieje między nimi zawzięta rywalizacja o uczniów, sławę, o wpływy i dochody.

Bion zauważył, że zainteresowanie jego wywodami słabnie i umilkł. Niezawodne flecistki znowu zagrały pieśń, dając gościom wytchnienie i tym miłym akordem kończąc nieco teatralne wystąpienie Biona. Tymon i jego uczniowie skończyli wieczerzać, zaśpiewali chóralną pieśń przy akompaniamencie flecistek. Zaczął powracać wesoły nastrój. Lizandros z Amfaresem już pogodzeni ustawili na stole dużą wazę, do której nalali wody. Na wodę puścili kilka małych glinianych kubeczków. Zaczynała się zabawa w popularnego kottabosa. Każdy z uczestników miał okazję wypróbować swoją zręczność — kto resztką wina z pucharu chluśnie tak zręcznie na pływające kubeczki, że zatopi ich najwięcej, zostanie mistrzem wieczoru. Czekają go nagrody w postaci nowych sandałów, które zakupił w tym celu Mandrokleidas. Agis nie chciał się zabawiać w ten sposób wyszedł do ogrodu przed willą. Po chwili zjawił się obok niego Tymon. Bez żadnego wstępu, jakby kończąc rozpoczętą przed chwilą rozmowę, zaczął z powagą:

— Masz kłopot z boską opatrnością, Agisie? Zastanów się: gdyby opatrność miała czuwać tylko nad niektórymi istotami, to byłoby niesprawiedliwe, więc powinna czuwać nad wszystkimi. Taką powszechną, ogólną opatrność bóstwo rozaczać albo chce i może, albo może i nie chce, albo chce — a nie może, albo nie chce i nie może. Trzy ostatnie możliwości są niezgodne z naturą boską, a pierwsza — niezgodna z istniejącym stanem rzeczy, mianowicie z istnieniem zła.

— To według ciebie zło istnieje? — ożywił się Agis.

— Nie ma nic, co by przez wszystkich uznane zostało za dobro. Jedni określają dobro jako pożytek, inni — jako szczęście. Sam wiesz, że to pojęcie różni ludzie różnie tłumaczą i rozumieją. Powiedz, czy istnieje coś w naturze, co byłoby dobre, tak jak ogień jest gorący, a lód zimny?

— Dziwne mi rzeczy mówisz, Tymonie. Ja wiem, że są ludzie dobrzy i źli.

— To tylko ty ich za takich uważasz, Syn uważa, że jego ojciec jest dobry, bo zapisał mu cały majątek, córka natomiast mówi, że ten sam ojciec to najgorszy człowiek na świecie, bo wydał ją za skąpego i lubieżnego starca. Czy potrzeba więcej przykładów? Tysiące ich codziennie dostarcza nasze życie. Ale nie odpowiedziałeś mi, co ty sądzisz o boskiej opatrności.

— Nie wiem — odpowiedział Agis. — Do tej pory uczono mnie, że opatrność istnieje. Jeśli słaby pastuszek potrafi ustrzec przed niebezpieczeństwem stado owiec, to bóstwo, które jest nieskończenie potężniejsze, potrafi ustrzec na przykład przed potopem cały rodzaj ludzki i potrafi ustrzec ufego człowieka przed upadkiem na przykład w przepaść. Nie jestem filozofem, nie potrafię mówić tak jak wy, uczenie i niezrozumiale, więc wybac mi moje prostackie pytania i rozumowanie. Ja chciałbym usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie: jak żyć, aby ludziom ze mną było dobrze. Jak żyć, aby ludzie mówili o mnie: oto jest człowiek sprawiedliwy i proste są ścieżki jego żywota.

— Filozofia to co innego niż praktyka życia codziennego — odpowiedział Tymon. — Choć, Agisie, nie uważasz za potrzebne posiadanie wiedzy, radzę ci jednak, przyłóż się do pracy nad zdobyciem wiedzy filozoficznej. To naprawdę pasjonujące zajęcie. Gdy poznasz różne szkoły filozoficzne, wybierzesz jedną, tę która ci się wyda najlepszą, i znajdziesz wtedy odpowiedź na dręczące cię pytania. Chcesz, przychodź od jutra do mnie na wykłady. Wierz mi, nie szczędzę żadnego filozofa i o każdym mówię, co myślę. Będziesz miał się nad czym zastanawiać i z czego wybierać.

Agis jednak nie poszedł do żadnego z ateńskich filozofów. Teoretycznych rozważań, oderwanych od życia codziennego, nie rozumiał. Uważał je za nieszkodliwą zabawę uczonych mężów w starszym wieku. Więc na to miał jeszcze czas.

Od tego wieczoru dom Agisa otworzył gościnne podwoje dla ateńskich znakomitości. Agis nie żałował otrzymanych od matki pieniędzy na wino, więc też skory do wypicia za

darmo ateński świątek artystyczny ciągnął co wieczór na Skambonidai jak stado żurawi. Mało na tych biesiadach było dysput filozoficznych i popisów uczoności, za to dużo śmiechu, żartów i śpiewu. Młodzi Spartanie czuli się jak motyle wylęte nagle z poczwerek — już im nie ciążyły zakazy i nakazy surowej dyscypliny spartańskiej, nie podpatrywało ich swawoli argusowe oko eforów lub ich donosicieli. I Agis uległ tej atmosferze swawoli i zabawy, odrzucił wszystkie troski i pytania, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Mandroklejdas też się bawił, ale nie zatracił nigdy miary i nie pozwolił swoim przyjaciołom na upijanie się.

Wszak każdego ranka przyszli uczestnicy igrzysk jechali do gimnazjonu i na hippodrom, gdzie ćwiczyli po parę godzin.

Mandroklejdas rozwiązał znakomicie problem znajdy. Sobie tylko wiadomymi drogami wynalazł na wsi pod Atenami bezdzietne małżeństwo, któremu oddał dziecko suto wyposażone przez Agisa. Od tego dnia gorliwie pilnował, by Agis w myśl zaleceń królowej Agezystaty nie stykał się z nędzą i krzywdą.

Agis zresztą nie szukał takich okazji. Zajmowały go całkowicie jazda konna, biegi na kwadrygach, wesołe towarzystwo w łaźni. Rozdokazywany, błyskotliwy świątek artystyczny Aten stał się jego światem. Bawił się z oddaniem i zapalem swoich dwudziestu lat.

IGRZYSKA PYTYJSKIE

Upalne dni sierpnia dobiegały końca. Pobyt w Atenach stawał się coraz dokuczliwszy. Nad miastem za lada powiewem wiatru, unosiły się tumany żółtego pyłu, biały, kłujący żar spływał z wypłowiałego nieba. W bardziej zadrzewionej Sparcie upał nigdy tak nie doskwierał. Młodzi Spartanie godziny południowe spędzali w domu, wylegając się na matach, drzemiąc, bądź prowadząc leniwe rozmowy, w których najczęściej powtarzał się refren: u nas w Sparcie... Mimo beztróskiego życia tęsknota dokuczała im nie mniej niż upał. Wieczorami ożywiali się nieco, choć już nie prowadzili tak towarzyskiego życia, jak na początku. Do prythaneum przestali uczęszczać, przyjaciele ateńscy rozproszyli się. Niektórzy wyjechali do rodzin na wieś, inni — do miejscowości nadmorskich. Wieczorami ochładzało się trochę, ale spadała za to plaga komarów, przed którymi nie było ucieczki. Wciskały się przez drzwi i zasłony. Amfares twierdził, że wylażyły ze szpar ściennych, a nawet z mat łóżkowych.

Z radością powitali dzień wyjazdu. Na prośbę prythana Kleofona zgodzili się, że towarzyszyć im będzie grupa Ateńczyków: pątników, kupców, aktorów. Ze względu na bezpieczeństwo wygodniej było podróżować gromadą. Drogi greckie mimo upływu wieków nie były bezpieczniejsze niż w heroicznym czasie, kiedy to Tezeusz uganiał się za rozbójnikami i gromił ich bezlitośnie. Pątnicy wieźli dary Aten dla Pana Delf, kupcy bogate towary, Spartanie też mieli niezłe bagaże i znakomite konie wyścigowe — ponętna gratka dla rozbójników. Ateńczycy przez specjalnych posłańców zawiadamiali przyjazne miasta i wsie o dniu przybycia, a te pomagały im, dawały asystę, często dołączały swoje teoryje. Grasowali wśród podróżników drobni wydrwigrosze i złodziejaszki, ale biada temu, którego złapano na gorącym uczynku. Sprawiedliwość była wymierzana szybko i bezlitośnie. Zmasakrowanego nieszczęśnika grzebano na rozstajnych drogach, przywalając grób kupą kamieni.

Z Aten wyruszyli o świcie, kiedy z mgieł różowych wylaniało się Akropolis, a cienie nocy kryły jeszcze brzydotę śpiących u stóp góry domków i ciasnych uliczek.

„Miasto małych kramarzy, pustych filozofów, krzykliwych mówców, skąd u ciebie to natchnione dzieło bogów” — myślał Agis, wylawiając wśród świątyń i posągów Akropolis majestat kolumn Propylei, harmonię Partenonu i niby klejnot rzucony na cypel skalny —

małeńką świątynię Nike. „Miasto, któreś mnie zadziwiło, olśniło, ale którego pokochać nie mogłem. Dziwne miasto pozorów i blichtru, zakłamanie, nadęte, a tak prawdziwie doskonale w niepowtarzalnym pięknie. Twoje Akropolis przez wieki świadczyć będzie o twoim małym, a tak wielkim narodzie. A cóż my, Sparta?”

Agis zachmurzył się. Co Sparta zostawi pokoleniom, które przyjdą? Przemineła wielkość Sparty, skończyła się bohaterska historia, czy pamięć o Sparcie zniknie wraz z nią? Wicher niecierpliwie przebierał kopytami i rżał lekko, zachęcając swego pana do jazdy, bo oto minęli go już ostatni jeźdźcy, tylko smuga kurzu wlecze się za nimi. Przycwałował do niego zaniepokojony Mandroklejdas.

— Czemu się zatrzymałeś, Agisie?

— Zegnam się z Akropolis — uśmiechnął się trochę smutno Agis. — Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek tu wrócę.

— Rzuć obol przez prawe ramię.

— Po co?

— To zaklęcie dla Tyche. Zawsze tak czynię, gdy chcę wrócić do miejsc, z których wyjeżdżam.

Rzucili obaj po obolu i ruszyli kłusem, aby wyprzedzić karawanę i znaleźć się na czele kolumny.

— Jak myślisz, czy to maleństwo dobrze trafiło? — zapytał przyjaciela, kiedy zwolnili kłusa.

— No, pewnie. Tak wyposażyłeś tę znajdę, że nawet jej rodzice przyjęliby ją chętnie z powrotem. Wieśniacy byli uszczęśliwieni i dzieckiem, i posagiem. Żona tego wieśniaka powiedziała, że radość i błogosławieństwo bogów spłynęło na ich pusty dom,

— Nie mogę się pogodzić z tym nieludzkim „wysadzaniem”. Wiesz, kiedyś w Sparcie przeprowadzimy ustawę zakazującą wyrzucania niemowląt w przepaść. Jeśli rodzice nie będą chcieli chować dziecka, wychowamy je na koszt państwa. Gdybyśmy wracali z Aten do Sparty, nie oddałbym tej małej. Tak zawsze pragnąłem mieć małą siostrzyczkę.

Agis raptem urwał. Ze strachem pomyślał o swoich rodzicach. Przecie, gdy był kilkuletnim chłopcem, piastunka mówiła mu o siostrzyczce, której nie zobaczył nigdy. Więc?

— Często rodzice uważają pozbycie się dziecka za ciężką konieczność — odpowiedział Mandroklejdas, spojrzawszy uważnie na zmienioną twarz Agisa. — Boleją nad tym, ale cóż mają robić, jeśli nie chcą lub nie mogą dzielić majątku i zapewnić dziecku znośnej przyszłości... Jak mają postąpić?

Agis nie odpowiedział. Bogowie, na ile jeszcze pytań nie znajdzie odpowiedzi? Pełen wątpliwości, rozterki i smutku opuszczał Ateny. Zachwiały w nim dziecięcą wiarę w bogów, w dobroć ludzką, w mądrość świata. Zachwiały w nim wiarę w siebie. Pełen niesmaku myślał o swoich zabawach i hulankach I dziwne, przez te Ateny zmaląła w jego oczach Sparta. Inaczej ją widzi niż w dniu wyjazdu. Mała duchem, mała dążeniami, chciwa bogactw, żadna używania. Sparta rządzona przez stu „najlepszych” — aristoī — arystokratyczne rody, chlubiące się starożytnym pochodzeniem, które je rzekomo uprawnia do pełnienia władzy. Jak podobni są ci „najlepsi” Sparty do „najlepszych” Aten, miał okazję przekonać się w ciągu tych kilku miesięcy spędzonych wśród nich.

Po obu stronach lichej, wyboistej drogi rosły gaje oliwne, pięły się po zboczach winnice obciążone dorodnymi gronami. Lepianki wieśniacze, a czasem zamożne dworki bogaczy urozmaicały krajobraz. W miarę oddalania się od Aten krajobraz pustoszał, na wzgórzach pasły się kozy i owce, podzwaniały ich dzwoneczki, czekały na podróźnych zły, półdzikie psy pasterskie.

Podróż była powolna i męcząca, bo jechali ciągle w górę. Ukazywały się przed ich oczyma urwiste wyniosłości Parnasu, chwilami wydawało się, że tuż pod zboczem skały kończy się droga i trzeba będzie iść na przełaj poprzez te zjeżone szczyty, ale w miarę jak się

zbliżali, droga przedłużała się, biegła nieśmiało pod skalną ścianą, potem otwierała się szerzej kamienistym wąwozem jak koryto rzeki wyschłej przed wiekami.

Do Delf przybyli piątego dnia podróży. Spartanie zakwaterowali się niedaleko przedmieścia Thyiae, gdzie wyrosło już całe miasteczko namiotów dla pielgrzymów i wszystkich przybywających na igrzyska. Spartanie mieli swoje namioty, zapłacili tylko dzierżawę za plac leżący między dwiema drogami na zboczu wzgórza, skąd roztaczał się wspaniały widok na sanktuarium delfickie z jednej strony, a z drugiej poprzez pola i winnice Krysy i Kirry na lśniącej wodzie Zatoki Korynckiej. Wprawdzie przyjaciele, a szczególnie Amfares, grymasili, że za wysoko, że lepsze byłoby obozowisko położone niżej, ale Agis nie dał się przekonać. I dla ludzi tu przestronniej, i lepiej dla koni, które mogą skubać trawę na nieużytkach.

W dole, na szerokiej płaszczynie u stóp wzgórza, panował ścisk, wykorzystano każdą piędź ziemi, tylko wąskie ścieżki dla pieszych wiły się między miastem namiotów, szałasów trzciniowych, byle jak skleconych bud z gałęzi i mat słomianych. Również prowizoryczne kramy ustawiły się ciasno wzdłuż drogi wiodącej do świętego obwodu. Pobliska wioska Kastri, żyjąca w cieniu sanktuarium, rozplynęła się niemal wśród tysięcznych rzesz pielgrzymów i ludzi, których tu przywiodła nadzieja zysku. Mieli tu swe budy pogromcy zwierząt, zaklinacze węzów, tancerze, tancerki, kuglarze, błazny. Obok nich pętał się tłum wszelkiego rodzaju wróżbitów, lekarzy, sprzedawców ziół. Dla stałych mieszkańców wioski wraz z falą przybyszów płynęła rzeka złota. Każdy kąs do spania, każda deska, piędź ziemi, garść bobu, miarka wina miały swą wygórowaną cenę. Handlarze wotów, zwierząt ofiarnych, wina i produktów żywnościowych nie nadawali z dostarczaniem towaru.

Przed źródłem Kastri, z którego płynęła lodowata, o wybornym smaku woda, ustawiały się długie kolejki z kubkami, bukłakami i amforami.

Spartanie najpierw zasycili głód i pragnienie, potem poszli do sączącego się wąskim strumieniem Plejstosu, gdzie doprowadzili do czystości swoje ciała, włożyli czyste, odświętne płaszcze i udali się do kapłanów hieronu Apollina. Złożyli wstępną ofiarę w złotych drachmach, po czym odesłano ich do kierującego zawodami i opiekującego się sportowcami helladonika. Ten zapisał Agisa i Lizandrosa do wyścigów kwadryg, Amfaresa do agonu śpiewaczego, Damocharesa do pentatlonu i pankrationu. Damochares musiał od razu zamieszkać w budynkach przeznaczonych dla kandydatów do wieńca, gdzie stał się członkiem ogromnego zespołu zawodników. Mistrze poszczególnych dyscyplin przez dni dzielące od zawodów mieli obserwować kandydatów, eliminować słabszych, ćwiczyć pozostałych, aby nie wypadli z formy.

Agis z Lizandrosiem w określonych godzinach dnia ćwiczyli swe konie na hippodromie. Amfaresowi zostawiono całkowitą swobodę. Korzystał z tego włócząc się po winiarniach, gdzie popisywał się śpiewem. Szybko znajdował kompanów chętnych do stawiania wina. Wracając do namiotu pijany i wszelkie wymówki Mandroklejdas zbywał zapewnieniami, że w dzień popisu postara się być trzeźwy. Śpiewając zaś różnym ludziom, zyskuje popularność i sławę. Już niektórzy nazywają go „słowikiem Lacedemonu”. Mandroklejdas był na niego wściekły i w duchu życzył mu przegranej. Niech się później wije jak piskorz przed eforami. Spełniając zalecenia eforów Mandroklejdas zaproponował Agisowi, by sam nie stawał do zawodów, by zgodził się na wynajęcie zawodowego aurigi. Agis oburzył się, więc Mandroklejdas nie nalegał.

Dzień świąteczny rozpoczął się przed brzaskiem dnia. Uroczysta procesja z pochodniami ruszyła drogą świętą, śpiewając hymn do Apollina, ku głównemu ołtarzowi Pana Delf.

Pochód kroczył wolno po marmurowych stopniach ku wysokiemu ołtarzowi, śpiewając pieśń przy dźwięku fletów. Boczną ścieżką biegnącą wzdłuż drogi świętej słudzy świątynni prowadzili zwierzęta ofiarne: woły o pozłacanych rogach, przybrane w wieńce i wstążki, barany i kozły, niewielką częścią, przeznaczoną na pierwszy dzień świąt, z tysiąca wołów, dziesięciu tysięcy baranów, owiec i kóz przysłanych na igrzyska przez miasta wszystkich

państw greckich. W pierwszym dniu igrzysk miano złożyć Apollinowi hekatombę, czyli ofiarę ze stu zwierząt.

Przy każdym stopniu drogi świętej wznosiły się posągi bogów i ludzi zasłużonych dla Hellady. Za nimi stały zgrabne, niewielkie budynekzki, skarbcce wszystkich państw greckich, gdzie poszczególne państwa przechowywały pamiątki narodowe szczególnie drogie i święte. Poprzedniego dnia pod kierunkiem kapłana-przewodnika Agis z przyjaciółmi zwiedził okręg Apollina, teraz idąc w gronie przedstawicieli zagranicznych z łatwością rozpoznawał skarbcce, posągi i świątynie. Choć już raz oglądane, nic nie utraciły ze swego piękna. Agis odkrywał je po raz drugi. W sercu legła się zazdrość. W całej Sparcie nie znajdzie się nic, co mogłoby się równać z najskromniejszym z tych budynków. Dlaczego? Czy pradziadowie i dziadkowie pozbawieni byli zmysłu piękna? Dlaczego nie zaprosili Polikleta, Fidiasza, Skopasa, Lizypa, by tworzyli na chwałę Sparty i świadectwo wiekom? Nieprzebrane złoża marmuru leżą w Tajgocie, czemu nikt nie sięgnął po nie? Dumna jest Sparta ze spiżowego domu Ateny, ale czymże jest ta świątynia, przypominająca kształtem koszary, w porównaniu ze wspaniałą harmonią świątyni Apollina, do której zbliża się teraz czoło procesji? Eforowie tępiłi u Spartan każde indywidualne dążenie do piękna, które nazywali zbytkiem. Może w ten sposób zabili potrzebę piękna i wrażliwość na piękno? Jakże się zdziwili jego przyjaciele, kiedy im jednego razu pokazał, jak mieni się w promieniach zachodzącego słońca łagodny nurt Eurotasu.

— I cóż w tym osobliwego? Woda jak woda — powiedział Amfares — zacerwieniła się od zachodu, za godzinę będzie czarna.

— Niechby nie była taka kolorowa, ale za to trochę głębsza — dodał Damochares.

— I cieplejsza — uzupełnił Lizandros.

Podobnymi uwagami skwitowali wczorajsze zwiedzanie okręgu Apollina. Amfares zastanawiał się, które z państw wpakowało najwięcej złota w ozdabianie i wyposażenie Delf, Damochares wzdychał, że skarbiec świątynny by nie zubożał, gdyby zwycięzcom igrzysk zamiast zielonych wieńców z wawrzynu dawano wieńce z kutego złota. Lizandros zastanawiał się, ile ligijskich koni wyścigowych można by było kupić za brąz z posagu Aurigi. Kapłan-przewodnik niecierpliwie wzruszał ramionami i uśmiechał się ironicznie. Agis po raz pierwszy w życiu wstydził się za przyjaciół, chociaż ich usprawiedliwiał. On sam rozumienia i patrzenia na piękno uczył się od matki, mądrej królowej Agezystraty, jedynej kobiety w Sparcie, która podróżowała, zwiedziła Ateny, Olimpię, Delfy. Ona, opowiadając piękne baśnie i mity, karmiła go poezją, marzeniami o świecie, w którym zwyciężała prawda i sprawiedliwość.

Procesja zatrzymała się. Głośniejsze zagrały flety, rozległ się krótki, pełen bólu ryk wolu, buchnął wysoko w górę dym z ołtarza. Ofiara zaczęła się. Milczenie legło nad wielotysięczną rzeszą ludzką. Słyszeć tylko muzykę fletów, głos kapłana, recytującego przy ołtarzu rytualne modlitwy, i jęk zabijanych zwierząt. Czarny, smolisty dym wzniosł się ku pogodnemu niebu, w powietrzu zapach palonej sierści i tłuszczu.

Agis oderwał wzrok od świątyń i posągów, rozejrzał się. Na przejrzystym lazurze nieba rysował się szaro-fioletową łamaną linią łańcuch Parnasu, bliżej błyszczały w słońcu Fedriady, obok różowy Rodini. Na wschodzie płonęła Hyampeia. Na południu piętrzył się biały masyw gór Kirfisu.

Sfałdowane góry o urwistych zboczach niby ogromna muszla morska zamknęły w środku tę najpiękniejszą dolinę świata. Mieniło się wewnątrz przeogromnej konchy zielenią drzew wszelakich, błyskało bielą marmurów świątyń, skrzyło się tęczowymi i złotymi barwami polichromii na rzeźbach i płaskorzeźbach.

Niewiara posiana w duszy Agisa w Atenach spływała z niego w miarę jak rósł w nim zachwyt i pokora wobec cudów przyrody i dzieł rąk ludzkich — to bóg powołał z chaosu i nicości ten wymarzony zakątek ziemi, wybrał z tysięcy nieśmiertelnych artystów i dał im moc tworzenia piękna.

— Prowadź mnie, Twórczo Piękna i Opiekunie Muz — żarliwie błagał Agis — swoimi drogami. Spraw, bym mógł kiedyś, w przyszłości, zbudować moją Spartę nie mniej piękną i doskonałą. Równie bogatą i majestatyczną oprawę dali bogowie mojej ojczyźnie. Niech zapełnią ją wspaniałe świątynie, teatry, stadiony, posągi, dzieła rąk najbogiejszych. Niech moja Sparta nie wstydy się brzydkich świątyń, kłocowatych bogów, straganiarskiej agory, drewnianego teatru. Wysłuchaj mnie, najpiękniejszy z bogów. Oto błąkałem się, wątpilem, byłem zrezygnowany i pełen smutku, a teraz znalazłem swoją drogę. Nie opuszczaj mnie, Promienny. Przy pierwszej zbudowanej dzięki mnie świątyni złożę ci hekatombę z białych wołów. Daję ci na to słowo królewskiego syna.

Nagle wysoko pod błękitem rozległ się krzyk chrapliwy, jeden, drugi, trzeci. Stado orłów nad hieronem krąży, wiruje, głosi jakąś wróżbę. Wróżbę pomyślną, szczęśliwą, bo kapłani podnoszą ku górze ręce gestem dziękczynnym i radosnym. Orły szybują długim sznurem na południowy-wschód ku niedalekiemu okręgowi Ateny, strażniczki świętego miejsca, Ateny boskiej Opatrzności.

Kapłani zaintonowali pieśń, pean dziękczynny ku czci Apollina-Heliosa.

Cześć sakralna uroczystości dobiegła końca.

Teraz, gdy bóg Helios przejedzie połowę swej dziennej wędrówki, wszyscy udadzą się na odpoczynek, na posiłek. Znakomici goście zasiądą razem z kapłanami, gdzie spożyją część mięsa ze zwierząt ofiarnych. Resztę mięsa kapłani podzielą między pątników, bo nikt, kto pragnie swej części ze zwierząt ofiarnych, nie może odejść z pustymi rękoma.

Następnego dnia o świcie rozpoczynały się zawody muzyczne na gitarze i na flecie. Po nich miał się odbyć turniej śpiewaczy solistów i chórów. Amfares, tak jak obiecał Mandroklejdasowi, cały dzień poprzedni nie wypił ani kubka wina. Po wieczery, na którą kazali służbie przyrzadzić czarną polewkę spartańską, ostro zaprawioną octem i korzeniami, poczuł gwałtowne pragnienie. Namówił więc Lizandrosa na pójście do źródła Kastri, gdzie długo gąsili pragnienie orzeźwiająca, lodowatą wodą. Ponieważ wieczór był gorący, Amfares wymoczył nogi w korycie stojącym nie opodal źródła. Nad ranem Amfares obudził się z bólem gardła. Z przerażeniem, które mu zjeżyło włosy na głowie, spostrzegł, że ochrypl. Nie poszli więc, tak jak zamierzali, posłuchać muzyki, ale zajęli się leczeniem przyjaciela. Jego rozpacz mogła wzruszyć kamienie, a cóż dopiero życzliwe serca przyjaciół. Lizandros wybiegł z namiotu i wkrótce sprowadził zaklinacza chorób. Ten starannie zabrał się do kuracji. Okadził najpierw Amfaresa duszącymi ziołami, od których wszyscy dostali kaszlu, potem pluł mu na język mrucząc straszliwe zaklęcia, sypał do gardła sproszkowane serce żaby, ale nic nie pomagało. Wreszcie zastosował najradzykalniejsze lekarstwo: stonogi rozpuszczone w winie, które kazał pić przez trzcinę. Bezskutecznie. Amfares mógł mówić tylko świszczącym szepcieniem, o śpiewie mowy nie było. Nieszczęsny jęczał:

— Gdybym pił wino! Czemu ja głupi nie piłem! Pięć pitosów spartańskiego wina nie zaszkodziłoby mi tak, jak ta woda! We wszystkich winiarniach nazywali mnie słowikiem Lacedemonu... O Febie, Opiekunie Muz i artystów, jak mogłeś dopuścić do tej klęski! Słowik Lacedemonu zaniemówił... O, Tyche okrutna, nie dopilnowałaś mnie! Obiecywałem wam dary, ale teraz nie dam nawet obola!

Amfares płakał rzęsistymi łzami. Nie umieli znaleźć słów pociechy. Mandroklejdas chodził markotny. Może rzeczywiście, gdyby Amfares nachlał się wina, nie doszłoby do tego nieszczęścia?

Zgnębieni poszli do teatru, Amfares owinał zbolące gardło kawałkiem zajęczego futerka, bo ciepło sprawiało niejaką ulgę. Przy wejściu do teatru spotkała ich druga nieprzyjemność. Honorowe miejsca w pierwszych rzędach przy orkiestrze przeznaczone dla Spartan przydzielono wskutek zamieszania delegacji z Sikionu. Z powodu nieszczęścia Amfaresa spóźnili się, kończyła się właśnie przerwa po popisach gitarzystów i trzeba było spieszyć zając jakiegokolwiek miejsca. Teatr wykuty był w skale, zdobny w marmurowe stopnie-siedzenia,

pięknie rzeźbione balustrady, posągi Muz i Charyt. Agis z przyjaciółmi wspinali się po stopniach w górę, na galerię, na miejsca przeznaczone dla sportowców. Przynajmniej ta pociecha, że zobaczą się z Damocharesem. Teatr o pięciu tysiącach miejsc wypełniony był po brzegi. Szumiał jak olbrzymi ul od rozmów, śmiechów, nawoływań. Młodzi sprzedawcy roznosili chłodną wodę z winem, lemoniadę, owoce, ciastka, bób prażony. Któryś z widzów rozpoznał Amfaresa i krzyknął rozradowany:

— Słowik Lacedemonu! Brawo!

— Gdzie się wspinasz! Zejdź do zawodników!

Blady, z czołem zroszonym potem Amfares spuścił głowę i szedł w górę jak skazaniec nad przepaść Kaiadas, z której w Sparcie strącano złoczyńców. Ulitował się nad nim Mandroklejdas i najbliższych sąsiadów poinformował o jego nieszczęściu. Teatr zresztą wyciszał się, bo na scenie pojawili się fleciści.

Damochares ucieszył się zobaczywszy przyjaciół, ale zła nowina zachmurzyła mu czoło. Nieszczęście Amfaresa poczytał za zły omen dla siebie.

Kiedy usiedli na wynajętych przy wejściu do teatru poduszkach, bo zimne stopnie marmuru przykre były do siedzenia, Mandroklejdas pochylił się nad uchem Agisa i zaczął go objaśniać, kim są dygnitarze siedzący w pierwszym rzędzie. A więc naprzeciw ołtarza Dionizosa siedzi jego kapłan, bo żadne przedstawienie teatralne nie może odbyć się bez jego uczestnictwa. Obok siedzą najwyżsi kapłani Delf, których Agis widział w procesji, dalej przedstawiciele państw, które otrzymały prawo reprezentacji w igrzyskach, tak jak je otrzymała Sparta, a niesłusznie zajęła delegacja Sikionu, która nie otrzymała prawa reprezentacji.

— Musimy uważać — dodał Mandroklejdas. — Jeśli w przerwie opuszczą nasze miejsca, pospieszymy je zająć.

— Wszystko mi jedno — mruknął Agis, zgnębiony klęską Amfaresa. Mandroklejdas spojrział na niego i nic nie odpowiedział. Sprawa miejsca to sprawa prestiżu Sparty, czyż Agis nie rozumie tak prostej rzeczy? Co powiedzą eforowie, gdy im będą składać raport z wyników podróży?

— Tam, na miejscach otoczonych girlandami laurów, siedzi dziesięciu sędziów zawodów — objaśniał dalej Mandroklejdas — wybranych spośród najznakomitszych rodów Delf.

— Nie będą stronniczy? — zapytał Agis.

— I tak się zdarzało. Ale nie masz pojęcia, co się wyprawia w teatrze, gdy sędziowie ogłoszą niesprawiedliwy wyrok. Straż porządkowa ma dużo roboty z uśmierzaniem tłumu. Czasem oberwą i oni, i sędziowie, nie mówiąc o widzach, bo tym się dostaje najwięcej.

Agis roześmiał się. Gorącą krew mają Grecy, łatwo się zapala.

— Na czyj koszt organizuje się te konkursy?

— Na koszt chorega. Rada miasta Delf długo się zastanawia, zanim spośród zgłaszających się wybierze kandydata.

— To pociąga za sobą olbrzymie koszty?

— Oczywiście. Ale to jest wielki zaszczyt. Imię chorega zapisuje się w księgach delfickich, zyskuje on sławę, uznanie, popularność. Starają się o to mężowie stanu, bogacze, królowie. Choregiem obecnych igrzysk jest bankier z Lydii.

— Nie słyszałem o nim.

— W ciągu najbliższych dni jego imię będzie na ustach wszystkich. A jeśli w dodatku okaże się szczodry i urządzi poczęstunek dla widzów, zobaczysz, co się będzie działo.

— Poczęstunek dla pięciu tysięcy osób?

— Już się to zdarzało. Bankier z Lydii, to ten barczysty mężczyzna ze złotą opaską na głowie, siedzi pośród „świętych”.

Agis rozglądał się po teatrze. Była to najlepsza okazja do obejrzenia wszystkich znakomitości, które zjawily się na igrzyska. Popisy flecistów trwały dość długo, ale nikt się nie nudził. Rzadko zdarzała się okazja usłyszenia od razu tylu mistrzów, zobaczenia tylu nowych

ludzi ze wszystkich stron Hellady. Amfares niecierpliwie oczekiwał rozpoczęcia agonu śpiewaków. Stracił już nadzieję na pozbycie się chrypki, a śpiewacy innych krajów budzili zazdrość i zaciekawienie.

Najpierw występowali soliści. Śpiewali znane piosenki ludowe, wesołe piosenki Anakreonta, pieśni własnych okolic. Niektórzy akompaniowali sobie na lirach, inni śpiewali tańcząc. Słuchacze bili brawa po każdym występie i wywoływali imiona ulubieńców, ale sędziowie nie pozwalali nikomu śpiewać więcej niż trzy pieśni.

Spośród słuchaczy jeden Amfares był niezadowolony.

— Co to za głosy — świszczą do przyjaciół — za wilkami im wyć, a nie w teatrze występować... Który z nich śmiałyby się równać ze mną?

Przytakiwali mu gorliwie. Niech przynajmniej ma tę satysfakcję, że w pełni uznają jego talent.

Następne trzy dni poświęcone były na wystawianie sztuk teatralnych. Po trzy tragedie i jeden dramat satyrowy dziennie jednego autora. Stawało do współzawodnictwa trzech dramaturgów: Likafron, Sositheos i Moschion. Tragedie mówiły o losach bohaterów mitycznych i rzeczywistych, bądź też dotyczyły wielkich wydarzeń z dziejów Grecji. Dramaty satyrowe opisywały perypetie bogów olimpijskich i ich ziemskich wybranków.

Agis pilnie uczęszczał do teatru. Marzył, że podobny zorganizuje w Sparcie. Będzie w nim wystawiać nowoczesne sztuki, będzie popierać twórczość poetów, którzy zechcą zamieszkać w Sparcie. Dopiero tu zobaczył i zrozumiał, co to jest prawdziwy teatr. Trochę go niepokoiła myśl, z czego będzie pokrywał wydatki na ten cel i czy będzie w stanie wypłacać biednym ludziom uczęszczającym do teatru zasiłek pieniężny, teorikon, tak jak to robią w Atenach. Na uroczystość wieńczenia laurem zwycięzców w zawodach muzycznych i teatralnych Spartanie nie poszli, bo następnego dnia czekały ich nie lada emocje: wyścigi konne i wyścigi kwadryg. W całych Delfach nie było człowieka, który by nie interesował się tymi pięknymi popisami koni i jeźdźców. Już na kilka dni przed zawodami znawcy i wielbiciele przychodzili na hippodrom przyjrzeć się kandydatom. Niektórych zawodników i konie znano już z innych zawodów, wiedziano, co o nich sądzić. Nowi byli wielką niewiadomą. Do nowych zaliczali się Spartanie. Rosły, o ruchach kawalerzysty Lizandros budził dużo uznania. Szczupły, delikatny, jakby nieśmiały Agis nie liczył się. Dziwiono się, że władze spartańskie zgodziły się, by następca tronu stawał do wyścigu. Mógł go przecież zastąpić w doskonałym spartańskim zaprzęgu zawodowy auriga.

Nad ranem rozszalała się burza. Gwałtowne strugi wody spadające z gór przemieniły się w dolinie w rwące potoki. Zalało niektóre namioty i szałas, inne rozniósł wiatr. Kwiczały przerażone konie, rozbiegły się owce i kozy z ogrodzonego chrustem koszar, czyniąc jeszcze większe zamieszanie i popłoch wśród wyrwanych nagle ze snu ludzi. Lęk gnał ich do hieronu boga, gdzie znaleźli schronienie pod portykami i kolumnadami świątyni.

Nawałnica przeszła ze świtem. Wyścigi rozpoczęły się z opóźnieniem. Hippodrom rozmiękł, w kałużach wyłobionych przez ulewę skrzyła się woda w pierwszych promieniach słońca. Niewolnicy świątynni zasypywali żwirem i piaskiem miejsca najbardziej uszkodzone. Ale najlepszym robotnikiem okazało się słońce.

— Helios szybciej wysuszy hippodrom, niż oni rozsypią piasek — mówili ludzie, których żadna siła nie zdołałaby odciągnąć od oglądania wyścigów.

— Z Fedriadów urwały się ogromne odłamy skał i potoczyły się aż do sanktuarium Ateny. Szczęściem, nie wyrządziły żadnej szkody, zatrzymały się przy pierwszym stopniu świątyni Ateny Pronaja. Byłem tam, widziałem — opowiadał rosły Malijczyk przejętym słuchaczom.

— Apollo je zatrzymał — powiedział z przekonaniem stary, siwobrody mieszkaniec Delf. — Byłem małym chłopcem, kiedy Gallowie podnieśli bezbożną rękę na Delfy. Wódz ich, Brennus, obszedłszy ścieżką górską Termopile, ciągnął z wielką armią na Delfy. Wojska

delfickie, którym na pomoc pospieszyli Etolowie i Fokejczycy, gotowały się do nierównego boju. Potęga Gallów była ogromna. Zapytano wyrocznie, co robić. Bóg odpowiedział, że sam obroni swą własność. I kiedy zbliżyli się barbarzyńscy Gallowie, zatrzęsły się góry Parnasu, ogromnymi głazami rażąc wroga. Z nieba Zeus sypnął piorunami, wśród huku barbarzyńcy nie słyszeli rozkazów swych dowódców. A w nocy zrobiło się strasznie zimno, spadł gruby śnieg. Rano Grecy ruszyli do ataku. A wtedy zjawili się na polu walki czterej herosi delficy: Hyperodos, Laodokos, Pyrrhos i Phylakos. Brennus został ranny, Gallowie poszli w rozsypkę. Ale gniew boga ścigał ich dalej. Na pierwszym postoju, już z dala od Delf, w ciemnościach, które spadły nagle, nawiedził ich Fobos, bóg strachu. Dwie części wojska rzuciły się na siebie, myśląc, że to wroga armia, i wymordowały się. Tak bóg zawsze karał bezbożne ręce, które ośmieliły się podnieść na jego własność.

— Podobno i dawniej, bardzo dawno temu, bóg ukarał armię Kserksesa, zrzucając na nią ogromne złomy skalne z Fedriadów, które zmiażdżyły wielu wrogów — wtrącił jakiś młodzieniec.

Widzowie gwarzyli, opowiadali sobie najświeższe plotki, chwalili sztukę *Ferejczycy* Moschiona, który słusznie wziął pierwszą nagrodę, a tymczasem na hippodromie kończono gorączkowo porządki. Agis i Lizandros poszli do helladonika, który w przygotowanej na ten cel wazie miał ziarna fasoli z oznaczoną kolejnością startu. Najpierw wyścigi na koniach. Lizandros wyciągnął numer drugi, więc startował w drugiej czwórce.

Hippodrom miał dwa stadiony długości, więcej niż trzy czwarte stadionu szerokości. Środkiem usypany był wał, na obu końcach hippodromu wkopane były słupy, obok których jeźdźcy musieli przejeżdżać, skręcając w lewo. Dziesięć biegów po pięć koni, to była pierwsza faza wyścigu. Zwycięzca każdej piątki przechodził do następnego etapu. Teraz już współzawodniczyły dwie piątki. Z tych dwóch piątek stawało do rozgrywki o palmę pierwszeństwa dwóch zwycięzców.

Lizandros szczęśliwie przeszedł pierwszą eliminację i drugą. W trzecim biegu miał się ścigać ze znakomitym jeźdźcem Agatonem z Fliuntu, jadącym na pięknym białym koniu ligijskim, Pegazie. Koń Lizandrosa, Melanthios, zwany tak z powodu swej czarnej sierści, nie miał tak szlachetnego pochodzenia. Był to koń spartański z królewskich stajen, którego Lizandros otrzymał od Agisa w podarunku urodzinowym, kiedy skończył dwadzieścia pięć lat.

Trybuny gorączkowały się. Większość stawiała na Agatona, zakłady rosły. Mandroklejdas, który siedział z Amfaresem i Damocharesem był teraz spokojny. Nawet jeśli Lizandros nie weźmie pierwszej, to już i tak ma w ręku drugą nagrodę, co też jest nie do pogardzenia. Postawili na Lizandrosa, wprawdzie niewiele, bo Mandroklejdas nie chciał dużo ryzykować, ale nie wypadało nie stawiać, gdy sąsiedzi z trybun proponowali im zakłady.

Helladonik strzelił z bata i jeźdźcy ruszyli, jakby ich porwał wichur. Lizandros starał się trzymać lewej strony hippodromu tuż przy wale, bo wiedział, że skręcając w lewo przy słupie traci tak najmniej czasu. Melanthios biegł równo, strzygąc uszami, a gdy wrzask na trybunach potężniał, zdawało się, że płynie w powietrzu, jakby chciał uciec od tych hałasów. Konie szły obok siebie niemal jak w zaprzęgu, nie wychylając się nawet o stopę. Tak było przy pierwszym i drugim okrążeniu. Trybuny szalały. Zwolennicy Agatona skandowali jego imię. Przyjaciele Lizandrosa darli się jak opętani. Damochares ryczał jak bawół, klaszcząc w dłonie. Ogluszało to najbliższych sąsiadów, więc milkli po kolei. Przy trzecim okrążeniu koń Agatona wysunął się o pierś. Białe płyty piany kapwały mu z pyska, skóra parowała. Wydawało się, że Agaton ma już zwycięstwo w dłoni. Ale przy czwartym okrążeniu Pegaz potknął się, Agaton omal nie wypadł. Teraz Lizandros zdobył przewagę o długość konia. Słyszał za sobą chrapliwy oddech Pegaza i pokrzykiwania Agatona. Pomyślał, że na Melanthiosa nie trzeba pokrzykiwać, wystarczy tylko od czasu do czasu, pochylając się niemal do jego ucha, zachęcić półgłosem: „Szybciej, Melanthios, szybciej”. Przy następnym, ostatnim już okrążeniu Pegaz potknął się po raz drugi. Lizandros wpadając na metę nie słyszał już chrapliwego

oddechu Pegaza. Trybuny szalały, a ponad wszystko wybijał się huczący bas Damocharesa.

Wyścigi kwadryg rozpoczęły się po krótkiej przerwie. Stawało dwadzieścia cztery zaprzęgi po dwa konie. Najliczniej byli reprezentowani Etolowie, bo wystąpiło aż osiem ich zaprzęgów, pięć wystawiał bankier Lydii, Eubejczycy trzy, Spartanie dwa, inne miasta po jednym. Znow losem wyznaczono kolejność startu. Agis znalazł się w pierwszej czwórce. Na trybunach ponownie rozpętał się hazard. Stawiano na zwycięzcę pierwszego biegu. Najwięcej stawiano na Etola Niciasa, potem na Lydyjczyka. Agis nie był brany pod uwagę. Amfares i Damochares kręcili się niespokojnie.

— Nie wytrzymam, postawię na Agisa — powiedział Amfares i odwracając się do trybun zawołał: — Stawiam na Spartanina dziesięć przeciw jednemu!

— Co robisz? — szarpnął go za tribon Mandroklejdas. — Z czego będziesz płacił?

— Agis zapłaci — spokojnie odpowiedział Amfares. — Jeśli przegra, będzie jego wina. Chętnych znalazło się wielu.

— Patrzcie, słowik Lacedemonu odzyskał głos — śmieli się ludzie — ale zaraz go straci, jak zacznie płacić za swego faworyta.

Agis nieświadom burzy, jaką wywołał Amfares, spokojnie przygotowywał się do biegu. Sprawdził jeszcze raz konie: Wicher był w dobrej formie, wesoły, niecierpliwy. Strzała też. To najlepsze konie ze stajni królewskiej. Kwadrygi ustawiły się w jednym rzędzie, przy mecie. Helladonik podniósł w górę swój rosochaty bat, strzelił. Konie stuliły uszy, szarpnęły i runęły w szalonym pędzie. Bieżnia była jeszcze miękka, ale nie na tyle, by grzęzły w niej kopyta koni lub koła wozów. Szły równo, żaden zaprzęg nie wysunął się z szeregu. Piękny był ten równy bieg, piękne konie w rozpędzie i zgrabni jeźdźcy, stojący w kwadrygach. W tym momencie nie hazardziści, ale zakochani w pięknie i harmonii Grecy śledzili z trybun wspaniałą jazdę. Skrzyły się zachwytem oczy, stłumione westchnienia wyrwały się z piersi. Szczęśliwie przelecieli woźnice pierwsze okążenie.

Upajał Agisa ten pęd, ale ani na chwilę nie tracił chłodnej rozwagi. Uważał, aby nie zawadzić kołem o pędzący obok niego wóz Etola, umiejętnie skręcił w lewo przy słupie granicznym.

— Hej! ha! Wicher! — krzyknął na konia idącego prawą stroną i popuścił lejce. Lewy, Strzała, niemal otarł się o metę, ale szczęśliwie przeleciał. Agis strzelił z bata na wiwat. Konie zrozumiały go, zdwoiły bieg. Usłyszał za plecami trzask i krzyk, ale się nie obejrzał. Obok niego biegł już tylko jeden wóz, Etola.

A więc pozostali odpadli, musieli się zderzyć. Znowu meta i znowu ostry skręt. Etol również skręcił szczęśliwie. Pędzili znow razem. Etol raz po raz strzelał z bata. Agis wiedział, że jego konie nie potrzebują tego ponaglenia. Wystarczyło tylko krzyknąć od czasu do czasu: Hej, ha, Wicher, hej! Agisowi wydawało się, że jego konie i on to jedno ciało opanowane pragnieniem zwycięstwa. Trzask bata Etola ucichł nagle, za to na trybunach podniósł się wrzask. Agis czuł, że coś musiało się stać, bo jego zaprzęg wysunął się nagle o połowę długości wozu, potem o całą długość. Etol uparcie pędził za nim, ale już nie strzelał. Zgubił swój bat? Złamał? Trzecie okążenie, czwarte, piąte. I oto meta. Spienione konie Agisa wpadły pierwsze. Zwycięstwo!

Na trybunach Amfares zbierał żniwa. Woreczek jego pęczniał od drachm, Amfares z radości i dumy.

Lizandros stanął znowu w czwartej czwórce. Konkurencja była ciężka, Lizandros zajął drugie miejsce. Pierwszy był zaprzęg Etola.

Zwycięzcy stanęli potem do ostatnich rozgrywek. Na trybunach już nikt nie uległ pokusom Amfaresa stawiania dziesięć przeciw jednemu. Więc Amfares z bólem serca obstawiał Agisa jeden na jeden. Ale i tak niewielu chętnych się zgłaszało. Widocznie to dzień Spartan, sporo już przegrało stawiając przeciw Lizandrosowi. Ostatecznie pierwsze miejsce zajął Agis. Helladonik ogłosił imiona zwycięzców, którzy otrzymali wieńce z wawrzynu i nagrody: za

zdobycie pierwszego miejsca po czterdzieści amfor oliwy, za drugie po osiem.

Przyjaciele wrócili uszczęśliwieni do namiotu. Mandroklejdas wysłał do Sparty specjalnego „rączego”, gońca z pomyślną wieścią.

Nadszedł ostatni dzień igrzysk, poświęcony na zawody lekkoatletyczne. Dzień Damocharesa. Jego przyjaciele źle spali nocy poprzedzającej, strachem ich przejmowała możliwość przegranej. Tylko bohater przespał noc spokojnie.

Tym razem nie spóźnili się i zajęli należne im miejsca na trybunach. Na stadionie pojawili się zawodnicy. Przy dźwiękach fletów przemaszerowali stadion, podniesionymi rękami witając publiczność. Zawody, jak zwykle, rozpoczęły biegi. W tej konkurencji Damochares nie popisał się. Był zbyt ciężki, toteż zajął dopiero piąte miejsce. W skokach już było lepiej, bo wysunął się na drugie. Przytłaczającą przewagę zdobył w rzucie dyskiem i oszczepem. W mocowaniu się i pentatlonie nie było na stadionie równego mu przeciwnika, ani siłą, ani opanowaniem techniki walki. Poza tym Damochares walczył brutalnie i bezwzględnie i mimo uznania, jakie zyskiwał dzięki swej sile, parokrotnie go wygwizdano, a helladonik przerywał walkę. Nie mógł go zdyskwalifikować, bo Damochares nie stosował niedozwolonych chwytów. Pierwsze miejsce Damocharesa było bezsporne, ale Amfares nie dorobił się tego dnia, bo publiczność zdążyła już nabrać szacunku dla Spartan i każdy chętnie stawiałby na Damocharesa, a nikt nie kwapił się stawiać przeciw niemu. Obdarzony wieńcem i tabliczką przyznającą mu czterdzieści amfor oliwy, którą mógł odebrać już następnego dnia, Damochares przyszedł do przyjaciół dumny i szczęśliwy. Wyszowali mu z zapałem, a kiedy Lizandros zapytał, czy bał się przegranej, Damochares odpowiedział:

— Wiedziałem, że na mnie patrzy Agis i wy, więc starałem się jak mogłem. A jak przyszło do walki na pięści, to pomyślałem, że ci, z którymi walczę, są wrogami Agisa, i nie było siły, która by mnie zmogła.

— Przecież ci chłopcy nie są moimi wrogami — uśmiechnął się Agis. — Żadnego z nich nie znam nawet.

— Są — z uporem powtórzył Damochares. — Chcieli odebrać mi zwycięstwo, a przez to poniżyć Spartę. A ciebie bolałoby poniżenie Sparty!

— Zapewne — roześmiał się Agis. — A metody rozumowania i dowodzenia mógłby ci pozazdrościć niejeden sofista.

— Kto to taki?

— Filozof z ateńskiej agory — zakpił Lizandros. — Nie spotkałeś go?

— Cóż mnie obchodzą filozofowie — wzruszył ramionami Damochares — nędzni zjadacze placków jęczmiennych i czosnku, bo ich na więcej nie stać.

Wieczorem miała się odbyć w prytaneum uroczysta biesiada na cześć zwycięskich artystów i zawodników, więc Spartanie spieszyli do namiotów, by odpowiednio przygotować się do tej uroczystości. Mandroklejdas był zaproszony jako poseł, dla Amfaresa kapłani zrobili wyjątek i też go zaprosili. W czasie uczyt będzie śpiewał swoje pieśni przygotowane na zawody. Amfares był dumny i szczęśliwy. Wprawdzie nie przywiezie wieńca, ale takie wyróżnienie liczy się na równi z wieńcem. Kiedy wyszli na drogę wiodącą na ich wzgórze, zobaczyli jakieś zbiegowisko. Usłyszeli wzburzone okrzyki:

— Na szczyt Hyampej bluźniercę! Do przepaści z nim!

— Co się stało? — Lizandros zagadnął jakiegoś młodzieńca.

— A, chcą mieć zabawę. Jakiś filozof bredził o obojętności bogów i to wzburzyło ludzi.

— I za to chcą go strącić w przepaść? — zapytał przerażony Agis.

— Czy to nie wystarczy? Ezop nic nie był winien, a zrzucano go z Hyampej.

Agis już nie słuchał. Skoczył w sam wir zbiegowiska krzycząc:

— Damochares, za mną!

Roztrącając łokciami gapiów, znaleźli się w środku tłumu. Chwilowe oburzenie zamieniło się w podziw. Uwieńczeni pośród nich! Ktoś krzyknął:

— Niech żyją Spartanie, zawsze zwycięscy!

Tłum rozstał się, Agis ujrzał u swoich stóp sponiewieranego człowieka. Podarty, ubogi tribon słabo osłaniał pobite, pokrwawione ciało. Na siwą, długą, zmierzwioną brodę kapłała krew z rozbitego nosa. Człowiek leżał skulony, nie ruszał się. Agis pochylił się, dotknął jego ramienia.

— Słuchaj, starcze!

Spojrzały na niego oczy o tak czystym błękitcie, jak ten, który jaśniał nad ich głowami. Starzec milczał.

— Cóż ten człowiek wam zawinił? — Agis zwrócił się do ludzi stojących wokół. — Dlaczego się nad nim znęcaliście?

— Mówił, że nie ma bogów! — z oburzeniem powiedział jeden. — W świętym okręgu Apollina tak bluźnić!

— Wcale tego nie mówiłem — szepnął napadnięty. — Mówiłem im, że bogów nic nie obchodzi nasze ludzkie sprawy.

— To na jedno wychodzi! — zawołał ten sam człowiek. — Jeśli nie interesują się nami, to jakby ich wcale nie było! Bo niby za co składać im ofiary?

— Filozofowie zawsze filozofują — powiedział pobłaźliwie Agis. — Ich gadanie ani bogom pomoże, ani zaszkodzi. Powiedz, Damocharesie, co sądzisz o filozofii?

— Najlepsza filozofia to pięść — odparł niskim, grubym głosem Damochares. — A ja mam taką, o, patrzcie!

Ścisnął w kułak swoją potężną łapę i podniósł do góry.

— Ta oto prawica rozłożyła wszystkich na stadionie!

— Brawo, Spartanie! — krzyknął znowu ten sam wielbiciel Sparty.

Siła Damocharesa, wdzięk Agisa, elegancja Lizandrosa podbiły tłum. Zaczęto się śmiać. Agis postanowił wykorzystać tę zmianę nastroju.

— Słuchajcie, Hellenowie, bóg, jeśli zechce, sam ukarze śmiałka. Nie takim dawał radę... Pozwólcie, że tego starca zabiorę z sobą. Jeśli przekonam się, że to bluźnierca, oddam go w ręce „świętych”. Możecie wierzyć słowom Spartanina.

Mordercze instynkty opuściły tłum. Już się niektórzy wstydzili, że oni, młodzi, silni, poturbowali siwobrodego starca. Zaczęli się wycofywać.

— A bierz go sobie, jeśli chcesz — powiedział ktoś — co nam po nim.

Agis ujął pod ramię nieznanego.

— Chodź do naszego namiotu, odpoczniesz, pożywisz się.

— Dzięki ci, młodzieńcze. Skorzystam chętnie z waszej gościny, choćby do jutra. I tobie dziękuję, siłaczu.

Damochares wydał wargi:

— Nie dla ciebie to zrobiłem. Dziękuj Agisowi.

— Nazywaj mnie Agisem — wtrącił Agis. — A to są moi przyjaciele: Mandroklejdas, Lizandros, Amfares.

— A ja jestem Sfajros z Borystenes. Nazywają mnie Sfajros Borystenita. Szlachetność patrzy ci z oczu, Agisie. Szczęśliwy jestem, że was poznałem — powiedział filozof.

— Jesteś wędrownym filozofem?

— Nie zawsze. Czasem gdzieś goszczę dłużej.

— Po co tu przywędrowałeś, jeśli wątpisz w bogów?

— Kocham Delfy. Podziwiam dzieła sztuki tu nagromadzone. Nie lubię kapłanów, tych wydrwigroszy i nadętych purchawek. Ale mimo to od czasu do czasu przychodzę tu, aby się nasycić pięknem.

— I jednocześnie wygłaszasz swoje teorie?

— Uczę ludzi myśleć. Niestety, na świecie zawsze jest więcej wierzących niż myślących.

Agis roześmiał się.

— Trafnie to ująłeś. Chciałbym z tobą podyskutować dłużej. Jeśli ci to nie robi różnicy, zostań z nami do naszego wyjazdu.

— Prędko stąd wyruszacie?

— Zatrzymamy się jeszcze kilka dni. Mamy różne sprawy do załatwienia.

— Zostanę.

POSZUKIWANIA I WYROCZNIA

Siedzieli przed namiotem na rozesłanych matach i napawali się rzeźwością jasnej, gwiazdzistej nocy delfickiej. Po wzruszeniach i przeżyciach na stadionie, przygodzie z rozwścieczonym tłumem i uczcie w prythaneum łaknęli przyjacielskiej rozmowy i cichych godzin zadumy. Z namiotu dochodziło głośne chrapanie Damocharesa, rżały konie na pobliskim pastwisku.

Mimo namów Agisa filozof ocalony z rąk tłumu nie chciał wcześniej położyć się na odpoczynek.

— Mało potrzebuję snu, Agisie. W moim wieku można sobie życie przedłużyć skracając godziny snu. Tyle godzin dłużej żyję, ile mniej śpię. Kocham życie.

— Kochasz życie? — zdziwił się Agis. — Sądząc po twoim wyglądzie, mało korzystasz z uciech tego świata. W twoim położeniu ludzie przeklinają los. Sam mówisz, że nic masz domu, nie masz rodziny. Jedyne twoje majątek to ten lichy płaszcz, który ci dzisiaj podarła rozwydrzona tłuszcza.

— To prawda. Ale widzisz, że siła czy słabość, choroba czy zdrowie, bogactwo czy ubóstwo to są sprawy ciała, a sprawy ciała nie istnieją dla mnie. Mój mistrz i ukochany nauczyciel, Zenon z Kition, był człowiekiem wątłym i chorowitym, nieśmiałym i cichym, a jednak on wyznaczył nowe ścieżki ludzkości. Jego słowa to był błogosławiony deszcz w czas suszy i nieurodzaju, to była ożywcza woda dla ust spragnionych, która nam, jego uczniom dała nowe życie. On żył według zasad, które głosił. A zasady te były piękne, tak piękne, jak prawda i doskonałość. Rozeszliśmy się po świecie, by głosić jego prawdę... I przyjdzie dzień, w którym zwyciężymy.

— Czy to was nazywają stoikami? Słyszałem o takich filozofach jeszcze w Atenach, ale przyznam się, że nie zainteresowałem się waszą nauką — powiedział Agis i przypomniał sobie, jak kpili i żartowali, z tej szkoły filozoficznej jego goście.

— Mistrz nasz, Zenon, przemawiał pod kolumnadą w Malowanym Portyku, wiesz, który to portyk, powszechnie zwany Stoą.

— Wiem, tam są takie cudowne malowidła. U nas, w Sparcie malarstwo jest zakazane, więc wyobraź sobie mój wstrząs, kiedy pierwszy raz tam wszedłem. Wydało mi się, że znalazłem się nagle na zebraniu bogów Olimpu. Takie to wszystko piękne, pełne życia, wyrazu. Nie wyobrażałem sobie, że coś takiego może istnieć. Dzieła równe bogom... Mówisz, że twój mistrz, Zenon, był niepozorny, nieśmiały, chorowity. Czym więc przyciągał ludzi?

— Mocą ducha. Miał jeszcze jedną wadę. Jako Fenicjanin źle mówił po grecku. Młodzież ateńska przystawała w Portyku, kiedy on nieśmiało zaczynał przemawiać, aby zeń szydzić, ale po półgodzinnym słuchaniu gotowi byli pójść za nim w ogień. I ja też poszedłem tam, aby szydzić... I oto patrz, idę przez świat jak inni jego uczniowie i głoszę tę naukę, która jest samą prawdą i światłością.

— Czy to jest nauka, którą pojąć może i pokochać zwykły człowiek?

— Jest ona jednakowo dostępna dla króla, jak i niewolnika, dla mędrca, jak też dla zwykłego przekupnia, żołnierza czy rybaka...

— Wyłóż mi zasady tej nauki, Sfajrosie.

— Chciałbym, abyś przyjmował, to co mówię, umysłem niezmeńczonym. Wyczerpujące były dla ciebie ostatnie dni, Agisie. Mamy ich jeszcze kilka przed sobą, więc nie omieszkać wyłożyć ci mojej, a raczej mego mistrza teorii. Pewne jego myśli rozwinąłem, uzupełniłem, ale trzon pozostał ten sam...

— Jedź ze mną do Sparty, Sfajrosie. Czeka mnie w przyszłości, kiedyś, aby się to stało jak najpóźniej, tron królewski. Chciałbym być mądrym i dobrym władcą. Jeśli, jak twierdzisz, nauka twego mistrza zawiera najwyższą mądrość, pragnąłbym ją poznać.

— Dobrze, Agisie, pojedę. Mówiono mi, że lud twój ma wiele wrodzonych cnót, wiele zdobywa przez odpowiednie wychowanie. Bardzo ciekaw jestem słynnej Sparty. Może wy bliżsi jesteście prawdy stoickiej, niż sami to przeczuwacie?

Agis westchnął i nie odpowiedział. Wstał, aby pójść do namiotu. Podnieśli się również Lizandros i Amfares, którzy w milczeniu przysłuchiwali się rozmowie.

— Pozwolisz, Agisie — powiedział Sfajros — że zatrzymam tę matę, na której siedzę, bo nie chcę iść do namiotu. Lubię sen pod gwiazdami. Tyle wtedy skrzydlatych, promiennych myśli nawiedza człowieka. I Hypnos jest łaskawy i lekki...

— Dobrej nocy, Sfajrosie. Jutro o świcie idę do Pytii. Ty pewno nie wierzysz w Pytię?

— Przeznaczenie rządzi światem — odpowiedział poważnie Sfajros. — Ono jest najwyższą mądrością. Czasem pozwala Pytii spojrzeć w swoją boską, nieodgadnioną twarz. I niekiedy Pytia odczytuje trafnie, co jest tam napisane.

— Nie bardzo mnie pocieszyłeś. Wątpię, czy będę miał to wyjątkowe szczęście. Ale pójść muszę. Kapłani udzielili mi przywileju promantei, będę jutro pierwszy w świętym przybytku. Zresztą ojciec kazał mi zasięgnąć rady wyroczni. A za dwa, najdalej trzy dni wyruszymy do Sparty. Nasze okręty już są w drodze. Specjalny goniec czeka w porcie Kirra, aby nas zawiadomić natychmiast o ich przybyciu.

O świcie, w asyście swoich przyjaciół udał się Agis na ablucje do Źródła Kastalskiego. Cekał już tam na niego kapłan, aby dokonać obrzędu wedle ustalonych przepisów. Czekają również kilku tych, którzy wyznaczeni byli losiem na ten dzień do wysłuchania wyroczni w sprawach, leżących im na sercu. Po zlaniu wodą całego ciała i odmówieniu paru modlitw Agis w uroczystej procesji z kapłanami udał się do świątyni Apollina. Za nimi dreptał tłum pobożnych i ciekawych. Przyjaciele Agisa szli na czele tego tłumu. Na wielkim ołtarzu obok świątyni Agis złożył w ofierze białego byka ze złożonymi rogami. Dzień był pogodny, bezwietrzny, toteż słup dymu z ołtarza wzbił się równo i wysoko ku niebu. Tak pięknie płonący stos ofiarny świadczył, że bóg łaskawie spojrział na ofiarodawcę.

Teraz wolno już było wysłuchać wyroczni. Agis w towarzystwie dwóch kapłanów „świętych” wszedł do przedsionka świątyni. Kapłani zatrzymali się dyskretnie za Agisem, dając mu chwilę czasu na skupienie się i odczytanie zdań siedmiu Mędrców. Agis znał na pamięć niektóre z tych myśli. „Gnothi sauton — poznaj samego siebie” i „Meden agan — nic zanadto”, już jako dziesięcioletni chłopiec uczył się kaligrafować na woskowych tabliczkach, nie bardzo rozumiejąc zawartą w nich treść. Teraz te zdania stanęły przed nim w całej swej smutnej mądrości ludzi zrezygnowanych i ostrożnych. Przy drzwiach prowadzących do celli stał posąg Homera. Agis przyjrzał mu się uważnie i ciekawie. A więc ten wyrozumiały uśmiechnięty starzec jest wychowawcą dziesiątków pokoleń greckich? To on kształtował i kształtuje nadal umysły, serca i sumienia idących po sobie pokoleń. Wielką siłą jest dar słowa, który bogowie zsyłają na wybranych ludzi. Nad drzwiami prowadzącymi do celli ujrzał Agis święty i tajemniczy znak epsilon * z drzewa i brązu. Znak ten ma podobno moc otwie-

* epsilon E — piąta litera alfabetu greckiego

rania ust Pytii. Udziela jej łaski wieszczenia.

Agis dostąpił rzadko udzielanego pytającym przywileju. Kapłani wpuścili go do długiej, wąskiej celli, gdzie pośrodku potrójnej kolumnady płonął święty, wieczny ogień. Po jednej stronie kolumnady mieścił się ołtarz Posejdona, po drugiej posągi Mojr, trzech córek Zeusa i Temidy: Kloto, Lachesis i Atropos, bogiń losu człowieka, znających przyszłość. Trzymały w rękach symbole swej władzy: Kloto wrzeciono, Lachesis zwój nici, Atropos nożyce. Ponad nimi górował wysokością i okazałością posąg Apollina Mojragesa — Przywódcy Mojr. Stało tu też skromne, żelazne krzesło Pindara. Był to najwyższy hołd, jaki kiedykolwiek złożono poecie.

Jeden z kapłanów asystujących Agisowi podał mu srebrną szkatułkę. Agis otworzył ją i pozłacaną łyżką sypnął trzy razy kadzidło na wieczny ogień. Uniósł się lekki dym i przyjemny, trochę odurzający zapach wypełnił cellę.

— Bóg jest rad twojej ofierze, przyjął ją — szepnął kapłan. — Bóg wie, że nie splamiłeś swych rąk krwią niewinnego. Jesteś czysty, możesz pytać. Chodźmy stąd.

Teraz wprowadzono Agisa do oikosu — poczekalni, gdzie składano na tabliczkach lub też ustnie pytania dla Pytii. Tu petent czekał w ciszy i skupieniu na jej odpowiedź. Agis stanął pośrodku pustej, niedużej salki, ozdobionej posązkami Apollina. Kapłan-prorok, profetes Nikandros, zbliżył się do niego i powiedział cicho:

— Mów. Zaniesiemy twe słowa Pytii.

— Zapytajcie boga... — szepnął Agis — poproście go, aby mi wskazał drogę życia... Jak mam żyć?

Kapłan zniknął za drzwiami. Agis wiedział, że tajemnym przejściem udał się do adytonu, miejsca najświętszego w całym okręgu Apollina. Tam, w tej grozę budzącej sali, znajdowały się największe świętości: słynny omfalos, kamień-pepek oznaczający środek ziemi, starodawny, cudowny posąg Apollina i sarkofag drugiego władcy Delf — boga Dionizosa, który obejmował tu władzę, gdy Apollo opuszczał swą świątynię, udając się na północ do szczęśliwego kraju Hyperborejczyków. W adytonie, nad szczeliną skalną wydzielającą odurzające opary, stał obok krzewu lauru trójnóg Pytii. Pytia, starsza kobieta z ludu, przystrojona w szaty dziewczęce, odurzona zapachem palonych liści wawrzynu i mirry, potrząsa krzewem lauru, po czym podtrzymywana za łokcie przez kapłanów, siada na trójnogu nad świętą hasmą-szczeliną, wciąga szerokim wdechem kłęb dymu i natchniona przez Apollina zaczyna wieszczyć.

„Co mi powie? — myśli w rozterce Agis. — Czy Przeznaczenie pozwoli jej spojrzeć w swoje tajemne oblicze? Czy powie o rzeczach ważnych, czy też da błahe rady i nic nie mówiące dwuznaczniki? Sfajros jest mądry, a nie odrzuca wiary w Pytię, choć obwarował się zastrzeżeniami...”

Mimo że oikos nie miał bezpośredniego połączenia z adytonem, w powietrzu unosił się lekki zapach palonych liści lauru zmieszany z innym odurzającym, nieznanym. Agis czuł się jakby na czczo wypił kielich wina nie mieszanego z wodą. Czekanie trwało dość długo. Znużenie obezwładniało wszystkie członki, od posadzki poprzez bosc stopy szedł chłód aż do piersi. Można było wprawdzie usiąść na niewielkiej marmurowej ławce stojącej pod ścianą, ale Agis nie śmiał się ruszyć. Wydawało mu się, że wieszczy oddech Apollina wypełniał całą przestrzeń mrocznej salki.

Drgnął wystraszony, kiedy kapłan Nikandros suchą, pergaminową rękę położył na jego ramieniu.

— Oto, Agisie, odpowiedź Pytii — powiedział podając mu woskowaną tabliczkę. — Bóg był łaskawy, udzielił ci wyczerpującej odpowiedzi.

— Tu? — szepnął Agis patrząc zdumiony na pustą tabliczkę. — Przecie ja nic nie widzę...

— W oikos panuje mrok, Agisie. Mogę ci powiedzieć, co tam napisane. Słuchaj uwa-

źnie:

*Dumna jest Sparta, dzielna, niezwyciężona,
Gdy prawom Likurga posłusznie ulega.
Poprzez wieki, poprzez lądy i morza szerokie
Phynie jej chwała, cześć i lęk budząc u wrogów.
Posłuszny sprawom Sparty bądź, królu Agisie,
Prochy ojca uczcij ofiarą pokorną,
Wolę jego ostatnią spełń bez szemrania.*

Agis zachnął się. Prochy ojca? Ostatnią jego wolę? Pytia oszalała! Jakieś słowa szydercze biegły już na usta, ale kapłan powiedział, silniej opierając dłoń na jego ramieniu:

— To jeszcze nie wszystko, królu Sparty. Słuchaj uważnie:

*Weź czysty płomień na ognisko domowe
Z płonących ołtarzy boga Apollina.
Leć ku Sparcie jak orły, ptaki Zeusowe,
Pomnij tylko, że one, wysokosiężne,
Też nie dolatują pałaców Olimpu.
Ty, królu, nierozważnymi zamysłami
Nie mierz wyżej niż bogów wola i prawa.*

Kapłan umilkł. W ciszy, jaka zapanowała po jego słowach, rozległ się po chwili stłumiony, drżący głos Agisa:

— Dlaczego Pytia nazywa mnie królem? Wszak ojciec mój, król Eudamidas...

— Przyszedłeś, synu, aby pytać boga o daleką przyszłość, a nie chcesz uwierzyć, że Pytia widzi i rzeczy bliskie? Pamiętaj, że Pan, do którego należy wyrocznia, nie mówi i nie chowa niczego — on daje znaki.

Agis skłonił głowę.

— Dziękuję ci, dostojny sługo Apollina Delfiosa. Pozwól mi zachować tę tabliczkę, abym w skupieniu i ciszy ducha mógł rozważyć słowa Pytii do mnie wyrzeczone. Teraz jestem zbyt wzburzony i niespokojne jest serce moje...

— Pytia zezwoliła, abyś tę tabliczkę zabrał ze sobą, królu. I na daleką i trudną drogę, którą masz przed sobą, zabierz nasze słowa otuchy i pocieszenia. W złej i dobrej doli pamiętaj, że Delfy zawsze stały po stronie Sparty. Nie zapominaj, że Sparta to umiłowana córka bogów.

— Dzięki ci, dostojny Nikandrosie — Agis jeszcze raz pokłonił się z godnością i wdzięcznością. — Niech łaska Apollina opromienia to święte miejsce. Sparta zawsze stanie na wezwanie boga, pamiętaj również o tym, święty mężu.

Kiedy wyszedł na zalaną blaskiem słonecznym Świętą Drogę, zmrużył oczy przywykłe do mroku świątyni. Szedł nie widząc nic i nikogo. Przy wejściu do hieronu czekała jego świta. Agis minął ich i zaczął schodzić ku drodze. Popatrzyli na niego zdziwieni, zaniepokojeni dziwnym zachowaniem i ruszyli za nim.

— Czemu milczysz, Agisie? — odważył się zapytać Mandroklejdas, podchodząc do niego z boku. — Czyżby wróżby były niepomyślne?

Agis w milczeniu podał mu tabliczkę. Mandroklejdas przeczytał, spoważniał.

— A więc to już się stało...

— Wiedziałeś?

— Wiedziałem, że król jest coraz bardziej chory. Wiedziałem, że nie pomogło ani Epidaurus, ani Olimpia. I król ostatkiem sił wrócił do Sparty.

— Czemu milczałeś? — z wyrzutem zapytał Agis. — Sądziłem, że jesteś mi przyjacielem.

— Jestem, Agisie, i zawsze nim zostanę. Ale wola mojego króla była dla mnie święta. Król Eudamidas zabronił wspominać ci o jego chorobie. W każdej pocztce, jaka szła do nas ze Sparty, była tajna depesza z upomnieniem, bym milczał.

— I matka to kryła przede mną — powiedział z goryczą Agis. — Ani słówka nie wspomniała o chorobie ojca, chociaż w każdym liście pytałem o jego zdrowie. Ciągłe jeszcze uważają mnie za niedorosłego młodzieniaszka...

— Mylisz się, Agisie — gorąco zaprotestował Mandroklejdas. — Król Eudamidas wiedział, że to twoja ostatnia, spokojna podróż. Jako król, tylko w jednym wypadku będziesz miał prawo opuścić Spartę: udając się na wojnę. Poza tym, choć Sparta nie ma murów, pozostaniesz w jej granicach jak zamurowany. Mądrym człowiekiem był król Eudamidas i najlepszym ojcem, królu Agisie.

— Nie mów tak. Może jeszcze żyje. Dziś stąd wyruszymy, może jeszcze zdążę ucałować jego stygnącą rękę.

— Pytia nie mówiłaby tak stanowczo, Agisie, gdyby było inaczej.

— Każ przygotować się do drogi. Natychmiast wyruszymy.

— Zapewne nasze okręty jeszcze nie nadeszły. Gонец dałby znać.

— Wynajmiemy jakiś statek. Ruszymy obydwaj. Reszta może czekać na nasze okręty. Nie usiedziałbym spokojnie, kiedy tam...

— Stanie się wedle twych rozkazów, królu Agisie.

Kiedy skręcili na ścieżkę wiodącą do namiotów, spostrzegli biegnącego ku nim człowieka. Zadyszany dobiegł do Agisa, pokłonił się do samej ziemi i zawołał głosem zdyszonym:

— Oto pilna wiadomość od dostojnej pani Agezystraty, królu Agisie.

Agis wziął do ręki zapieczętowany, wąski rulonik pergaminu, rozwinął. Królowa Agezystrata donosiła, że król Eudamidas rozstał się ze światem i udał się do swych przodków w ostatni dzień Karneiów o wschodzie słońca. Zgodnie z jego rozkazem wysłał gońca, a z portu Gytion ruszyły już okręty do Delf. Zwłoki królewskie, jak zwyczaj każe, zostały oddane do balsamowania.

— W ostatni dzień Karneiów — powtórzył w zamyśleniu Agis. — To przecie trzy dni temu... przed moim wyścigiem na hippodromie...

Zwracając się do gońca zapytał:

— Czy od razu po śmierci króla ruszyłeś do Delf?

— Nie, panie. Król Eudamidas rozkazał, aby zatrzymać wszelkie złe wieści do czasu ukończenia zawodów pytyjskich.

— Pamiętacie, mówiłem wam — powiedział Amfares — że kiedy trzy dni temu wracałem wieczorem do namiotu, zobaczyłem sygnały świetlne dawane z portu Kirry do Delf. Mówiłem wam, a wyście mnie wyśmieli, że to nowy rodzaj pijackich białych myszy. A ja pomyślałem od razu, że kapłani przesyłają sobie jakieś ważne wiadomości. Skąd mogłem przypuszczać, że to nas dotyczy...

Agis ze wzgardą przypomniał sobie kapłana Nikandrosa. Nie przypuszczał, że w ten sposób wyglądają nieomyślne, wiarogodne wyrocznie. Czuł się nabrany i oszukany. I czyż można teraz ufać w tę przyszłościową wróżbę? Zresztą, co w niej jest więcej niż w nauce jednego z siedmiu Mędrców: „Nic zanadto?” Przestrzegać praw Likurga? Czy ktokolwiek w Grecji wątpi w to, że Sparta szanuje prawa Likurga i żyje według nich? Jako król będę składał przysięgę, że przestrzegać będę praw Likurga. Jako król... Nagły ból szarpnął za serce, aż Agis zbladł. Nie zobaczy już nigdy swego ojca, nie usłyszy jego głosu...

Mandroklejdas patrzył z troską na zmienioną twarz swego przyjaciela. Jakże może zmienić człowieka krótka chwila bólu. Jakiż był inny w dniu zwycięstwa na hippodromie!

Wyraz chłopięcej pustoty i radości zniknął już chyba na zawsze z tej drogiej, dobrej twarzy. Spod silnego, czarnego łuku brwi patrzyły teraz oczy dziwnie dojrzałe, smutne, stanowcze, kontrastując z łagodną, chłopięcą miękkością twarzy.

— Czy przekazałeś dla świątyni dary Sparty? — zapytał Mandroklejdas.

— Tak, Agisie.

— Więc wszystkie sprawy już załatwione. Każ zwijać obóz. Niech czynią to szybko.

Usiadł na pobliskim kamieniu zwrócony na południe, ku dalekiej, niewidocznej Sparcie. Mandroklejdas wydał rozkazy i podszedł do Sfajrosa, który siedział na trawie, przyglądając się gorączkowej krzątaninie służby.

— Czy wiesz już o śmierci króla, ojca Agisa?

— Wiem.

— Podejdz do Agisa, porozmawiaj z nim. Jako filozof, który głosi konieczność poddania się woli bożej, znajdziesz dla niego najwłaściwsze słowa pociechy.

Sfajros odpowiedział spokojnie:

— Nikt nie lubi patrzeć w oblicze nieszczęścia. Pozwól mu cierpieć w samotności.

Wkrótce ruszyli. Agis klepnął Wichra w kark i wysunął się na czoło orszaku. Żaden z przyjaciół nie ośmielił się zbliżyć do niego.

Kiedy dojeżdżali do portu, Damochares, który miał bystry wzrok, zawołał:

— Widzę nasze okręty! Czerwone żagle i królewskie barwy na maszcie!

Damochares nie mylił się. Trzy królewskie trójrzędowce przybiły do przystani. Dowódcy statków i żeglarze oddali honory wojskowe, witając Agisa jako króla. Pozdrowił ich podniesieniem ręki, ale nie odezwał się ani słowem. Mandroklejdas podszedł do niego i zapytał:

— Kiedy rozkażesz ruszyć w drogę?

— Zaraz.

— Może... — Mandroklejdas zawahał się. — Czy nie uważałbyś za stosowne odpocząć trochę? Jeszcze nic nie jadłeś dzisiaj.

— Dziękuję ci za troskliwość, przyjacielu, ale czyni, co rozkazuję.

Tyle było majestatu i godności w spokojnym głosie Agisa, że Mandroklejdas nie ośmielił się oponować.

Powtórzył dowódcom statków rozkaz królewski, by natychmiast, jak tylko załadują bagaż, ruszyli w drogę powrotną.

— Do nocy pozostało nam niewiele godzin — powiedział jeden z nich — czy nie lepiej byłoby ruszyć dopiero jutro, o świcie? Dziś daleko nie odpłyniemy.

— Może i lepiej — powiedział Mandroklejdas — ale ja nie pójdę do króla z tą propozycją. Może ty mu to doradzisz?

Dowódca popatrzył na Mandroklejdasę i nie odpowiedziawszy ani słowa odszedł, by wydać ostatnie rozkazy przed odbiciem od brzegu.

Wkrótce czerwone żagle królewskie załopotwały nad Zatoką Koryncką.

Agis stał na pomoście w milczeniu. Na zachodzie ukazała się szara, poszarpana wstęga gór Tajgetu, pierwszy znak dalekiej ojczyzny.

ŻAŁOBA

Kiedy stanęli na ziemi spartańskiej, wszędzie zobaczyli żałobę. Jeźdźcy na koniach zawieźli smutną nowinę do najdalszych zakątków kraju. Ulicami miast, miasteczek i wsi krążyły grupy żałobników. Płaczki przebiegały ulice rwąc włosy, drapiąc twarze i głośno zawo-

dząc przy wtórze ponurego, jednostajnego bicia w miedziane kotły. W każdym domu przynajmniej jeden mężczyzna i jedna kobieta przywdziali strój żałobny. Przed każdym domem wystawiono wagę, ardanion, z wodą oczyszczającą, przyniesioną ze świętych źródeł. Domy przybrano gałązkami cyprysu. Straż miejska, która przy podobnych okazjach chodziła po domach i nakazywała żałobę, tym razem nie miała roboty. Ludzie samorzutnie uzewnętrzniali swój żal. Umarł król, który nikomu nigdy nie wyrządził krzywdy, król, którego poczynania i wyroki były sprawiedliwe. Drogami i ścieżkami maszerowały do Sparty delegacje wszystkich stanów i warstw społecznych. Wszyscy ubrani w odzież szarą lub czarną.

Agis rozkazał zdjąć emblematy królewskie z ubrań swojej ekipy, jak również z uprzęży koni i wozów. Nie chciał, by go rozpoznano i czyniono owacje. Jechali kłusem, wymijając liczne poczty. Brano ich za jedną z delegacji na uroczystości pogrzebowe.

Sparta była pogrążona w ciszy i smutku. Świątynie zamknięte, opasane sznurem, na placach i ulicach skupione, milczące tłumy.

Przed bramą rodzinnego domu ujrzał Agis ścięty cyprys i ardanion z wodą. Brama była otwarta, na głównym dziedzińcu pełniła straż królewska drużyna. Kiedy Agis wjechał na dziedziniec, podbiegł do niego dowódca drużyny, Arkezylaos, i zameldował gotowość hoplitów do służby królowi.

— Dziękuję ci, przyjacielu — powiedział Agis zeskakując z konia — w tej chwili nie jesteście mi potrzebni. Ale będę pamiętał o waszej gotowości.

Arkezylaos wziął lejce z rąk Agisa i jeszcze raz zapewnił go o swojej gorliwości w służbie dla króla. Arkezylaos zawsze był taki przymilny i ugrzeczny, Agis przypomniał sobie, jak bardzo zabiegał o otrzymanie tego stanowiska w doborowym oddziale królewskiej jazdy, składającej się z synów arystokracji spartańskiej. Nawet jego, Agisa, prosił o wstawiennictwo do króla Eudamidas.

— Wolałbym człowieka o twardszym karku na to stanowisko — odpowiedział wtedy Eudamidas synowi — no, ale jeśli i twoja matka, i ty tak prosicie, nie ma rady.

Agis skierował się ku tolosowi, niewielkiemu okrągłemu budynkowi wspartemu na kolumnach, poświęconemu czci przodków. Zmarli znajdowali tu przejściowe pomieszczenie przed złożeniem w grobowcach rodzinnych. W małej, okrągłej sali bez okien, do której światło dnia docierało przez drzwi, na kosztownym łożu wśród kwiatów spoczywały zabalsamowane zwłoki króla Eudamidas. W czterech rogach łoża stali z obnażonymi mieczami nieruchomi jak marmurowe posągi czterej hoplici, pełniąc ostatnią wartę przy swoim królu. Na podłodze zlanej krwią ofiarnych zwierząt leżało kilka płaczków z głowami posypanymi popiołem. Jęczały cicho, zbyt już zmęczone, by szlochać.

Agis zwrócił się do idącego za nim Mandroklejdas:

— Każ im wyjść, chcę zostać sam z moim ojcem.

W trwożnym milczeniu usunęli się wszyscy. Agis podszedł do łoża, pochylił się. Pod wielkim, pozłaczonym hełmem ujrzał twarz maleńką, pomarszczoną, o zapadłych policzkach i skroniach, wyrzeźbioną bólem w tragiczną maskę śmierci. Tylko gęste łuki brwi i czarna broda przetykana srebrnymi nitkami przypominają ojca.

„Jakże cierpieć musiałeś, ojcze mój, jakże zmieniła cię straszna choroba i śmierć. Dlaczego mnie odsunąłeś w godzinach męki swojej? Śmiałem się i radowałem z płochych zwycięstw, kiedyś ty konał... Czy zdołam kiedykolwiek wybaczyć to sobie? Zawiódł mnie mój Dajmon i milczał, kiedy krzyczeć trzeba było na trwożę. Nie przeczułem nieszczęścia.”

Wielka jest cisza śmierci. Zapach wędnących kwiatów, rozlanej ofiarnej krwi i balsamów, którymi nasycono zmarłego króla, wypełnia przestrzeń tolosu. Tutaj, każdego roku w święto zmarłych Agis z ojcem składali libację z wina i miodu ceniom wielkich przodków: Likurga, Agezylaosa, Leonidasa i wszystkich królów ich rodu. Powtarzał za ojcem słowa modlitw, stojąc sztywno z rękoma opuszczonymi wzdłuż bioder, gdy ojciec lał wino z lecytów do wydrążonego w posadzce w głąb ziemi otworu. Teraz już sam będzie wypełniał ten święty

obowiązek. Sam. Nie poprowadzi go już nigdy rozważna, mądra ręka ojca. Musi go zastąpić we wszystkich trudnych sprawach, musi być godnym jego następcą. Czy potrafi? Władza przyszła przedwcześnie i nieoczekiwanie, kiedy jej wcale nie pragnął. Tak mało jeszcze wie i umie...

Gdzieś z ulicy dochodzi miarowy stuk kotłów, fleciści grają pieśń bojową. To przybyły oddziały z twierdz pogranicznych, wzywa króla ich marsz wojenny.

W sali śmierci jest tylko Agis ze swoim bólem i jego ojciec, który stał się już tylko cieniem, kolejnym imieniem w spisie zmarłych królów spartańskich. I tylko to imię przypominać będzie wiekom, które nadejdą, o jego istnieniu. Jeszcze żyjące pokolenie sławić będzie Eudamidasa, imię króla, który chociaż nie był ani znakomitym wodzem, ani prawodawcą, ale dobrze zasłużył się swemu krajowi. O jego dobroci mówić będą dzieciom i wnukom, o jego wielkim umiłowaniu sprawiedliwości. A potem przyjdzie zapomnienie. Zapomnienie, które jest drugą, ostateczną śmiercią.

I znów żal ogromny duszącą pętlą ścisnął gardło Agisa.

„Ojczy, czemuś mnie oddalił na czas męki swojej? Czemuś nie pozwolił, bym jak ty przez miesiące, długie noce i dni patrzył w twarz śmierci? Wiedziałaś, że umierasz dzień po dniu, że każde uderzenie serca zmniejsza liczbę tych niewielu uderzeń, które ci wyznaczyły Mojry. Wiedziałaś i nie chciałaś mnie mieć przy sobie, ojczy!”

Agis zasłonił twarz dłońmi i padł na kamienną posadzkę. Nie pozwolono mu jednak długo pozostać samemu. Rytuał pogrzebowy miał swoje żelazne prawa. Na dworze czekały delegacje z kwiatami i darami dla zmarłego. Trzeba im było pozwolić na złożenie ostatniego hołdu.

Łagodna dłoń dotknęła ramienia Agisa.

— Synu, chodź. Obowiązek cię wzywa.

Matka. Umiała znaleźć najpotrzebniejsze słowo. Obowiązek. Słowo to poderwie prawdziwego Spartanina nawet w godzinie śmierci. Agis wstał. Agezystrata ujrzała syna po wielu miesiącach rozłąki i zadrzała. To nie była już dziecięca, naiwna twarz chłopca, którą całowała przy pożegnaniu. Gładkie, miękkie rysy stężały, stały się twarzą mężczyzny pełną powagi i stanowczości. Oczy dojrzałe bólem ze skrywaną tkliwością objęły szczupłą, wysoką postać matki.

— Chodźmy do megaronu, synu. Zaprosiłam tam poselstwa państw, które przyjechały na uroczystości pogrzebowe. Nawet Olimpia i Delfy przysłały delegacje. Trzeba ich przywitac, ugościć.

— Kiedy ruszy kondukt żałobny?

— Dziś o północy. Złożyłam specjalne ofiary w świątyni boga Tanatos, aby przebłagać za te kilka dni zwłoki. Może duch Eudamidasa cierpiał, ale sam wiesz, wcześniej nie można było. Tyle kłopotów spadło na moją głowę.

— Dlaczego mnie, matko, nie wezwałaś?

— Ojciec zakazał. Powiedział, że do dnia wyścigów mam milczeć, choćby się nie wiem co wydarzyło. A ja zawsze byłam posłuszna jego woli.

— Bardzo cierpiał?

— Bardzo. I zawsze myślał o tobie. Wszystkie twoje listy odczytywałam mu po kilka razy. Leżały zawsze na trójnogu obok jego łoża. Nie pozwalał ich zabierać. Jakże się cieszył, że jesteś zdrowy, w dobrym humorze. Te wiadomości przynosiły ulgę w jego cierpieniach. Dobrze się stało, Agisie, żeś wyjechał, że nie było tu ciebie w tych strasznych dniach. Wierz mi, ojciec lżej umierał, wiedząc, że jesteś tam spokojny... że nie cierpisz.

— Wolałbym cierpieć tu razem z nim — szepnął Agis — nie dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia.

— Niepotrzebnie się dręczysz. Wypełniłeś wolę ojca, przywiozłeś mu zwycięstwo, na które tak czekał. Ostatni twój list, w którym opisywałeś cuda Delf, przyszedł w kilka godzin

po jego śmierci. Przeczytałam mu ten list głośno, wetknęłam między splecione dłonie.

— Dziękuję ci, matko.

Delegatami zajął się Mandroklejdas i eforowie. Agis przywitał ich tylko, podziękował im za przybycie i wycofał się do komnaty matki. Usiedli na obitych skórą trójnogach i wpatrywali się w siebie. Agis czytał w zaostzonych rysach twarzy matki nieprzespane noce spędzone u łoża umierającego, czytał rozpacz tak skrętnie ukrywaną pod maską spokoju i wyniosłej dumy. Królowa myślała z troską, jak udźwignie ciężar niełatwej władzy ten syn, marzyciel o duszy poety i wrażliwości dziecka, w twardej, bezwzględnej i gruboskórnej Sparcie. Agis ujął jej dłoń, pogłaskał i pocałował.

— Połóż się, matko. Odpocznij kilka godzin. A jak się czuje babcia Archidamia i braci-szek Archidamos?

— Dziś nie mogła wstać z łóżka. Ból w piersiach bardzo ją zmęczył. Damiades dał jej jakieś ziółka, po których poczuła się lepiej. Około północy przybędzie tu. A twój brat od kilku dni jest w domu. Prosiłam pajdonoma, aby go zwolnił z gimnazjonu na czas żałoby. Archidamos wychudł bardzo, bo jak wiesz, w gimnazjonie nędznie karmią. Posyłam często placki jęczmieńne dla jego grupy, ale cóż, przesyłka nie zawsze trafia do ich rąk.

— Jak to?

— Ejreni kradną przesyłki. Starsi chłopcy zawsze znajdą sposób, aby oszukać młodszych. Kradzież, to przecie uświęcony zwyczaj w naszej agoge. Kradnij, tylko nie daj się złapać...

— W Atenach wyszydzano nasze metody wychowawcze — przypomniał sobie Agis. — Na jednej z biesiad była cała dyskusja na ten temat. Muszę ci wyznać, że się wstydziłem i przyznałem słuszność krytykującym.

— Tyle jest u nas zwyczajów przestarzałych i szkodliwych — zaczęła królowa — dużo należałoby...

Zająknęła się i spojrzała z przestachem na syna.

— Tak, odpocznę trochę — powiedziała zmienionym tonem. — Może i ty pójdziesz do swego pokoju?

— Dobrze, matko.

Agisowi coraz trudniej przychodziło zachowanie spokoju. Czuł się zmęczony i wyczerpany. Pragnął samotności. Agezystrata wstała, wyprostowała się przepisowo, a potem skłoniła głęboko.

— Spotkamy się w tolosie, królu.

Agis zrozumiał. Matka tymi słowami i pokłonem przypomina o czekających go obowiązkach. To nie syn będzie grzebał ojca, tylko wstępujący na tron król odprowadza na drogę wieczności swego poprzednika. Lud musi w nim widzieć młodego króla, a nie może zobaczyć syna złamanego nieszczęściem.

W bocznym skrzydle dworu znajdowała się komnata Agisa, a obok mniejszy pokoik brata Archidamosa. Agis przystanął w progu jego pokoju, usłyszał głęboki, równy oddech śpiącego chłopca. W pierwszym odruchu chciał go zbudzić, ale po namyśle cofnął się do swego pokoju. Niełatwe życie ma chłopak w gimnazjonie, ciężkie były ostatnie dni w domu rodzinnym. Młody organizm pragnie odpoczynku, niech więc odpoczywa.

W swojej komnacie Agis położył się. Usiadł na trójnogu i oparł głowę na dłoniach. W kwadracie drzwi zamajaczyła niewyraźna sylwetka.

— Czy zechcesz, panie, wziąć kąpiel? — zapytał cicho stary sługa, Mys.

Agis bez słowa udał się do łazienki. W konwi stała czysta, źródłana woda. Agis zrzucił chiton i wszedł do wanny. Stary piastun chwycił jedną z konwi i zaczął go polewać silnym strumieniem. Woda była zimna, każde chluśnięcie zapierało dech w piersiach, ale też orzeźwiało. Potem Mys wytarł swego króla prześcieradłem, tarł skórę długo, mocno, aż krew żwawym, gorącym strumieniem popłynęła przez żyły.

Kiedy wrócił do swej komnaty, zastał na stole przygotowaną wieczerzę: pszenny placek, kilka fig, w kraterze wino zmieszane z wodą. Nalał sobie kubek, wypił jednym haustem, potem jeszcze trzy kubki. Uświadomił sobie, że choć to już wieczór, jeszcze dziś nic nie jadł ani nie pił. Po prostu nie czuł potrzeby. Odłamał kawałek placka, żuł przez chwilę, ale wydało mu się, że placek rośnie w ustach, nie da się przepchnąć przez gardło, więc wypluł. Położył się na łożu i leżał otepiały, apatyczny, jakby pusty wewnątrz.

Przed północą wstał, założył świeży chiton, na to szary tribon lamowany czarnymi pasami. Włosy zaczesał rogowym grzebieniem do góry, założył na głowę wieniec ze świeżego mirtu przygotowany przez Mysa i udał się do tolosu. Formował się tam już orszak pogrzebowy. Według hierarchii i z góry ustalonego porządku ustawiały się delegacje, oddziały wojskowe, kapłani, ejreni i grupy kobiet.

Ozdobny wóz, zaprzężony w cztery ciemne konie przystrojone w kwiaty i wstążki, stał na dziedzińcu.

Na ołtarzu Zeusa przed megaronem bez przerwy spełniały się krwawe ofiary.

— Idą już, idą — przeszedł szmer przez tłum. Pierwszy, w otoczeniu kilku młodzieńców ze świty królewskiej, szedł król Leonidas w stroju kapłańskim. Za nim dostojni, siwobrodzi członkowie Rady Starców, geronci, potem pięciu ministrów, eforów, dalej dowódca floty, nauarcha Arakos ze starszymi oficerami, strategowie wojsk lądowych, polemarchowie Gylis i Praksitos, delegacje państw obcych, kapłani wszystkich świątyń spartańskich, oddziały wojskowe, delegacje wszystkich miast Lacedemonu.

Król Leonidas, geronci, eforowie i dowódcy wojska weszli do środka tolosu. Stali już tam przy marach królowa Agezystrata, babka Archidamia, Agis i dwunastoletni Archidamos.

Głuchy, trzykrotny, miarowy odgłos kotłów przerwał napiętą ciszę, odbił się o ściany gór, wrócił zmieszany z jękiem płaczków. Ostatni akt ceremonii pogrzebowej rozpoczął się. Pieśń żałobną zaintonowała królowa Agezystrata:

*O, mężu mój, nazbyt wczesnie odszedłeś ze świata
I mnie wdową zostawiasz w samotnym swym domu.
O, panie mój, rozpacz me serce rozrywa,
Ciężki mi los przypadł z rąk okrutnej Atropos.*

Odpowiedział jej przeciągły jęk wszystkich obecnych i żalony szloch fletów. Królowa w śpiewnej recytacji opowiedziała o szczęśliwym pożyciu małżeńskim, o dobroci króla-małżonka, o błogosławieństwie bogów, którzy obdarzyli ich małżeństwo pięknymi synami. Po każdej zwrotce obecni odpowiadali jękiem i skargą.

Z kolei starczym, drżącym głosem zaśpiewała Archidamia:

*O, synu mój umiłowany, władco dumnej Sparty.
O, synu mój nieodżałowany, światłości oczu moich
Zgasła przedwcześnie. Czemuś mnie, matkę staruszkę,
Uprzedził w drodze ku wieczności, idąc zbyt pochopnie.
W nieukojonym żalu zostawiasz mnie do końca dni moich.*

Królowa Archidamia skarżyła się na okrucieństwo losu, który każe matce grzebać syna, kiedy prawa boskie i ludzkie przewidują, że dzieci powinny grzebać rodziców. Przeciwna naturze jest ta śmierć przedwczesna. Żałobnicy odpowiadali jej przeciągłymi jękami.

— Ojciec nasz ukochany, wychowawco, opiekunie i przyjacielu najdroższy, osierociłeś nas, synów twoich wiernych i posłusznych — skarżyli się Agis i Archidamos. — Już nie usłyszymy twych rad i życzliwych słów, już ręka twoja ojcowska nie wskaże nam dróg, którymi mamy iść...

Król Leonidas chwalił zgodne rządy i mądre decyzje, które wspólnie wydawali dla dobra ojczyzny, ku zadowoleniu ludu, i piękne ofiary, które tak chętnie składali bogom. Geronci oplakiwali przewodniczącego Rady Starców, eforowie króla, który szanował prawa i obyczaje przodków. I za każdą strofą płakały i jęczały rzesze żałobników, jak gigantyczny chór w tragedii Sofoklesa.

Dowódcy wyrecytowali raport o gotowości bojowej wiernych żołnierzy, których ich wódz naczelny, wielki potomek nieustraszonego Heraklesa, nie poprowadzi już na pole chwały.

Kiedy się skończyły pienia żałobne, król Leonidas jako najwyższy kapłan wziął z rąk młodego kapłana biały lecyt i wylał wino do przygotowanego przed drzwiami tolosu dołka na ofiarę bogom podziemnym.

Teraz można było wyprowadzić ciało nieboszczyka. Czterej młodzieńcy z drużyny królewskiej wynieśli łożo, ustawili je na wozie i umocowali. Wóz otoczyli kapłani z zapalonymi pochodniami.

Kondukt żałobny ruszył. Na czele szły kobiety niosące białe lecyty z winem, miodem i mlekiem, przeznaczonymi na libacje przy grobach królewskich, dziewczęta z kwiatami i wieńcami, potem dwaj spartiaci w wojskowych purpurowych płaszczach nieśli dwie belki, symbol boskich bliźniaków Tyndarydów, zwanych także Dioskurami. Belki były godłem bojowym wojsk spartańskich, niesiono je zawsze w pierwszym szeregu przed bitwą.

Za wozem postępowała najbliższa rodzina, dygnitarze państwowi, delegacje państw obcych, wojsko, fleciści i cytarzyści, fyle i oby Sparty, przedstawiciele miast lacedemońskich: rzemieślnicy i kupcy.

Droga na wieczny spoczynek królewski nie była krótka i najprostsza. Zmarły król-kapłan żegnał swoje świątynie, król-władca żegnał miejsca zebrań i posiedzeń rządu, król-sędzia żegnał agorę i budynki sądowe. Zatrzymywano się, kapłani śpiewali pieśni żałobne, składali ofiary.

Po paru godzinach dotarli do grobowców królewskich Eurypontydów, mieszczących się obok świątyni Dioskurów, boskich protoplastów rodu.

Od kilkunastu pokoleń zarzucono już zwyczaj palenia zwłok. Zmarłych składano do murowanych grobowców, składających się z przedsionka i właściwego grobowca. Króla Eudamidas na kosztownym łożu wnieśli do obszernej komnaty grobowej, pomalowanej na biało, ozdobionej popiersiami bogów i herosów. Obok łoża ustawiono lecyty z miodem, winem i pszenicą, wszystkie dary przyniesione przez żałobników i figurki zwierząt i ptaków, na które król lubił polować, jego ulubioną zbroję, miecz, naczynia stołowe, których najchętniej używał, figurki woskowe jego ulubionego konia i psa, owoce, kwiaty, ciastka. Niech dusza króla Eudamidas ma wszystko, czego zapragnie. Pilnie baczono, by czegoś nie przeoczyć. Bo niezadowolony z niewłaściwego pogrzebania jego szczątków duch mógł wrócić jako potężny, niszczący demon.

Znów złożono płynne ofiary bogom podziemnym, murarze zamurowali wejście do grobowca, przykryto je kwiatami i wieńcami.

Jutrzenka zaróżowiła już szczyty gór, zza Parnonu ukazał się złocisty rąbek wschodzącego Heliosa, czas najwyższy opuścić miejsce zmarłych.

Dostojnicy państwowi i delegaci wrócili do królewskiego dworu wraz z Agisem. Tak nakazywał obyczaj. Trzeba spożyć stypę pogrzebową, w której uczestniczy po raz ostatni we własnym domu duch zmarłego. On jest gospodarzem tej uroczystości, która nie powinna być ani smutna, ani ponura. Trzeba głośno chwalić zasługi zmarłego, mówić o nim dobrze, niech dusza się cieszy i w spokoju odejdzie do państwa zmarłych.

W domu, przygotowane przez służbę czekały niezliczone konwie i dzbany z wodą przyniesioną ze świętych źródeł. Wszyscy bez wyjątku, którzy stykali się ze zmarłym, musieli poddać się kąpieli oczyszczającej. Młodzież — w ogrodzie pod wodotryskiem, oczyszczonym

od zmyły głównią z ogniska domowego, starszyzna — w kilku łazienkach znajdujących się w męskiej części królewskiego dworu.

Królowa Agezystrata i babka Archidamia nie wzięły udziału w stypie. Poszły do komnat niewieścich, aby tam poddać się obrzędowi oczyszczania. Rozeszły się również kobiety i płaczki, które brały udział w ceremonii pogrzebowej. Wychodząc z dziedzińca dworu królewskiego skrapiały się gałęzią wawrzynu moczoną w ardanionie z wodą, gdyż w ten sposób tylko można oczyścić się ze zmyły przebywania w domu zmarłego.

Na stypie pozostali sami mężczyźni. Dostojnicy zebrali się w sali biesiadnej. Dwór królewski był bardzo starą budowlą, liczył już kilka wieków. W miarę potrzeby dobudowywano skrzydła, część środkowa pozostała nie zmieniona. I megaron pozostał nie zmieniony. Była to ogromna sala o litych trzech ścianach, bez otworów okiennych, w czwartej natomiast znajdowały się drzwi wejściowe z wysokim kamiennym progiem, osadzonym w futrynie z cyprysowego drzewa. Po obu stronach głównego wejścia znajdowały się drzwi zapasowe. Pośrodku megaronu żarzyło się ognisko na podmurówce z kamienia. Służba nakładła rozpalonych węgli drzewnych, na to sypano drzazgi z sandałowego drzewa. Dymu było niewiele, uchodził zresztą przez otwór w powale, w sali pozostawał przyjemny zapach sandałowca. Na stołach stały w koszyczkach niewielkie pszenne bułki. Wszyscy goście zasiedli twarzą do ogniska. Mandroklejdas z pomocą krojczego i podczaszego rozsadził gości stosownie do wieku i stanowiska. Przy Agisie, po prawej jego stronie, zasiadł król Leonidas, po lewej — najstarszy wiekiem geront i posłowie państw obcych. Dalej zajęli miejsca eforowie i geronci. Agis był spokojny, opanowany, skrupulatnie pilnował, aby nie uchybiono ani przepisom i zwyczajom, ani gościom. Wdzięczny był Mandroklejdasowi, że tak sprawnie, taktownie i mądrze załatwia wszelkie sprawy ceremoniału dworskiego. Dziwił się swojej obojętności i spokojowi. Ciągle miał uczucie, że się coś w nim przepaliło, wygasło, że w piersi rozszerza się zimna pustka, ogarnia całe ciało. Tylko umysł pozostał jasny, czujny i bystry. Zdawało mu się, że zza kolumny patrzą na niego uważne, troskliwe oczy ojca, który trwoży się, jak syn da sobie radę w pierwszym dniu swego królowania. Niemal namacalnie czuł obecność ojca, chwilami przymykał oczy i czekał, że na ramieniu spocznie jego sucha, ciepła ręka i usłyszy jego głos: „Trzymaj się dzielnie, Agisie”.

— Bardzo mnie cieszy, królu Agisie — usłyszał obok siebie przymilne słowa — że będę dzielić się władzą z tak miłym, młodym kolegą. Jesteś godnym następcą swojego ojca. Mam nadzieję, że będziemy iść zgodnie ramię w ramię, bo inaczej... jak wiesz, władza królewska ma zaciętych wrogów...

Król Leonidas spojrzał wymownie w stronę eforów.

— Jeszcze nie jestem królem — odparł Agis — i dziś nie chciałbym mówić o problemach władzy.

— Jesteś już królem, Agisie. Twoja przysięga przed eforami to czcza formalność.

— Tak sądzisz, królu Leonidasie? Myślałem, że każda przysięga do czegoś zobowiązuje.

— Oczywiście, oczywiście — skwapliwie przyświadczył Leonidas. — Nie chodzi mi o treść przysięgi, tylko o samą formalność. Znam przecie nasze prawodawstwo.

— Nie jestem tak subtelnym znawcą prawa i terminów prawnych — uśmiechnął się blado Agis. — Zapewne przy tobie, królu Leonidasie, wiele się nauczę.

Leonidasowi wydało się, że usłyszał drwinę w głosie Agisa. Spojrzał na niego przenikliwie, w jego oczach zamigotał gniew. Ale twarz Agisa była cicha, obojętna, wydawać się mogło, że choć siedzi przy stole, myślami przebywa gdzie indziej, z dala od zgiełku biesiadnej sali.

Uczta się zaczęła. Służba wniosła półmiski pełne pokrojonych pieczonych udźców baranich, wędzonych kawałów mięsa wołowego i wieprzowego. Goście brali mięso palcami, kładli na bułki i jedli. Resztki rzucali pod stoły, gdzie kręciło się kilka psów myśliwskich.

Chłopcy służebni stali z miskami wody i ręcznikami, aby w każdej chwili umyć ręce biesiadników. Po zaspokojeniu pierwszego głodu rozpoczęły się głośnie rozmowy. Najczęściej powtarzało się w nich imię króla Eudamidas. Każdy czuł się w obowiązku powiedzieć o nim coś miłego, serdecznego. Pewno przez całe swoje życie Eudamidas nie usłyszał tylu pochwał, ile teraz wysłuchiwała jego dusza uczestnicząca w uczcie.

Po daniach mięsnych przyszła kolej na słodycze i wino. Ciastka, świeże i suszone owoce, orzechy prażone w miodzie. Podczaszy dużą srebrną łyżką czerpał z krateru zaprawione wodą wino, chłopcy służebni sprawnie podawali je gościom. Król Leonidas wstał i podniósł złoty puchar w górę. Na ten znak podnieśli się wszyscy i za przykładem króla strącili z pucharów po kilka kropli na posadzkę: libacja dla bóstw domowego ogniska. Resztę wypili na chwałę zmarłego.

Fleciści zagrali nagle głośną, skoczną melodię. Któryś z biesiadników zanucił wesołą piosenkę. Melodię podchwycili inni i megaron zahuczał śpiewem.

Odpowiedziała mu śpiewem pozostała część gości, tych mniej znakomitych, dla których rozstawiono stoły pełne mięsiwa i jęczmiennych placków na głównym dziedzińcu przed megaronem.

Kiedy biesiadnikom dobrze zakurzyło się w głowach, zapanowała ogólna wesołość i swoboda, Agis wymknął się z megaronu i poszedł do ogrodu. Skrył się w cienistej altanie, gdzie nie dochodziły śpiewy i okrzyki żałobników. Uczta skończyła się około południa. Biesiadnicy kolejno opuszczali dwór królewski. Nawet najbardziej pijany Amfares nie zapomniał skropić się za bramą wodą z ardanionu.

Dopiero następnego dnia, kiedy cały dom zmyje się wodą ze źródeł Tajgetu i hyzopem, wykadzi mirrą, stanie się on znowu czysty, stanie się domem żywych ludzi.

Zanim nastąpi oczyszczenie, zmarły król jest tu gospodarzem.

Takie są prawa zmarłych, a żywi muszą je szanować.

PRZYSIĘGA KRÓLEWSKA

Żałoba państwowa trwała dziesięć dni. Przez ten czas życie państwowe w Sparcie zamarło: zawieszono wykonywanie wszelkich spraw urzędowych, ustał wymiar sprawiedliwości, nie odbywały się żadne zebrania i zgromadzenia. Dziesiątego dnia po śmierci króla Agis z matką i bratem złożyli libację z wina i mleka na grobowcu króla Eudamidas, w domu dla najbliższych członków rodziny i dla służby zastawiono skromną ucztę. W przeciwieństwie do stypy pogrzebowej była cicha, krótka i smutna.

Zbliżał się nowy rok spartański, obchodzony w drugim dniu października. W związku z tym zbliżały się wybory nowych eforów, którzy powinni objąć władzę w dniu noworocznym. Między możliwymi rodami Sparty szły przetargi i rozgrywki, kto ma objąć tak ważne stanowiska. Uzgodniono wreszcie kandydatów w porozumieniu z Leonidasem i Radą Starców. Do Agisa nie docierały echa owych przetargów, nawet nie poszedł na zebranie ludowe, apellę, gdzie ostatecznie rozstrzygnęła się ta sprawa. Wytłumaczył się żałobą po ojcu, więc uszanowano jego ból. Zaprzysiężenie nowych eforów miało się odbyć tego samego dnia, co Agisa, w pierwszym dniu nowego roku. Niedawne, corocznie tak hucznie i radośnie w miesiącu sierpniu i wrześniu obchodzone Karneie ku czci Apollina Karneiosa, opiekuna trzód i pastwisk, przeszły prawie niepostrzeżenie. Bez zwykłych w takie święta hałaśliwych i rubasznych zabaw i uroczystości, zakończono również zbiór winogron i wyciskanie moszczu na wino. Ciężka choroba i śmierć lubianego króla nie usposabiały do weselenia się. Odwołano zapo-

wiedziane zawody muzyczne i taneczne, kapłani wypełnili tylko sakralną część kultu.

Nowy rok, który przypadał na rozpoczęcie prac jesiennych w polu, zapowiadał się uroczyście i szczęśliwie. Po zaprzysiężeniu króla i nowych eforów miało nastąpić uczczenie bohaterów niedawnych igrzysk pytyjskich, uczty, zabawy i tańce na Platanistas.

Cieszyła się młodzież spartańska na czekające ich zabawy, cieszyli się starzy. Nowy rok zaczął się nadzwyczaj pomyślnie. Spadły już pierwsze wczesne deszcze, pługi łatwo mogły orać pola. Młody król w przeddzień nowego roku wyszedł w pole, ujął w rękę pług, odwalił pierwsze skiby. Trudno o pomyślniejszą wróżbę dla przyszłych urodzajów. W ostatni dzień starego roku w Sparcie zapanowała gorączkowa krzątanina.

Wieszczowie i wróżbici różnego rodzaju zawaleni byli pracą, dla nich właśnie w tym dniu rozpoczęły się żniwa. Stawiali horoskopy, wróżyli z płynów, dymu ofiarnego, nasion różnych roślin, z ziarna zbóż. Wykładacze snów rozłożyli się obozem przed świątynią Hypnosa i przyjmowali zgłoszenia chętnych. Szczególnie wróżebny był sen w nocy na przełomie starego i nowego roku. Należało z nastaniem świtu przybiec, nie oglądając się za siebie i nie rozmawiając z nikim, do tłumaczy snów, a oni wyjaśnią, co bóg raczył odsłonić wybrańcom w marzeniu sennym.

Z agory zmieciono mąkę, którą była posypana na dziesięciodniowy czas żałoby. Posągi bogów i herosów, kolumny portyku i gmachów publicznych przystrojono kwiatami, zielenią i wstążkami. Ozdobiono również świątynie i domy mieszkalne. Kobiety miały pełne ręce roboty: gotowały i piekły mięso z różnymi przyprawami, chleby jęczmienne i pszenne bułki, ciastka na miodzie. Święta noworoczne musiały być sute. Jakie będą święta, taki będzie cały rok. Wszyscy przygotowywali podarki, aby się wzajemnie obdarzyć.

Główne uroczystości miały się odbyć na agorze. Agis przed udaniem się na agorę poszedł złożyć życzenia matce. Już nie spała mimo wczesnej pory. Na tarasie przed jej komnatami czekali dzierzawcy, zarządcy, periojkowie i heloci. Przyszli złożyć życzenia, odnowić dzierzawy, zdać sprawozdania ze stanu dóbr powierzonych ich pieczy. Królowa Agezystrata sama, zwyczajem kobiet spartańskich, zarządzała nie tylko własnymi majątkami, ale też klerosami i dobrami królewskimi. Agis nieraz podziwiał matkę. Ta subtelna kobieta, która kochała poezję, sama układała elegie, urządziła bankiety ze śpiewami i muzyką, potrafiła zajmować się sprawami tak prozaicznymi i dalekimi od jej zainteresowań. I rządziła dobrze, bo okazały majątek królewski powiększał się coraz bardziej.

Królowa siedziała przed miedzianym zwierciadłem na wygodnym, wyściełanym krześle z oparciem, a służebna dziewczyna kończyła upinanie jej kruczych, bujnych włosów w kunsztowny modny „melon”.

Agis pocałował matkę w policzek.

— Witaj kochana. Przyszedłem złożyć ci życzenia.

— Witaj, synu — uśmiechnęła się radośnie i dała ręką znak służebnej, by się oddaliła.

— Przyniosłem ci, matko, prezent noworoczny. — I podał jej zwój poezji Safony.

— To krytyczne, najnowsze wydanie jej dzieł — dodał wyjaśniająco.

— Jakżeż ci mam dziękować, chłopcze, za dar tak wspaniały — ucieszyła się królowa — i za to, żeś pamiętał o mnie...

— Twoja radość jest dla mnie wystarczającą nagrodą.

Królowa wyjęła z malowanej skrzyni stojącej przy jej łożu małe złote pudełeczko.

— Ja też pamiętałam o tobie. Od dziś będziesz mógł ją nosić.

Była to biała, z jedwabiu tkana wstążka zakończona frędzlami. Opaska królewska na głowę. Od Aleksandra Wielkiego była oznaką władzy królewskiej. Przyjęło ją wiele państw, trafiła nawet do upartej, konserwatywnej Sparty.

— Dziękuję ci, kochana. Wierz mi, że jeśli przyjmuję godność królewską, to nie dla próżnej chwały, ale po to, by ludziom czynić dobrze. Ludowi mojego kraju...

— Tak myślałam — odpowiedziała królowa z ledwo uchwytnym odcieniem niepokoju

w głosie. — Spałeś dziś dobrze, Agisie?

— Doskonale. Twardym snem bez marzeń.

— Ja miałam dziwny sen. Śniło mi się, że układałam ciebie do snu. Byłeś dzieckiem, mimo to miałeś królewską, białą wstążkę na włosach. I byłeś dziwnie ciężki... Tak ciężki, jakbym cały świat dźwigała w ramionach. A potem, gdy ułożyłam ciebie, musiałam ułożyć babkę. I nakryłam was oboje białą chustą...

— Jak Terezjasz tłumaczy ten sen?

— Jeszcze go nie pytałam.

— Nie przejmuj się snem. Przyznam ci się, że zachwiała się we mnie wiara w te wszystkie wróżby, sny, przepowiednie, wyrocznie. W Delfach uległem na chwilę ogólnej psychozie. Przejąłem się wróżbą Pytii. Ona pierwsza powiedziała mi o śmierci ojca. To wstrząsnęło mną. Skąd Pytia wie? Okazało się, że kapłani wiedzieli o tym trzy dni wcześniej. Amfares opowiedział nam o światłach migających z Kirry do sanktuarium delfickiego, wyśmieliśmy go, że to przywidzenia pijaka. Ale kiedy obliczyłem dni, okazało się, że to była pierwsza noc po śmierci ojca. Sygnalizacją świetlną przesłali sobie tę wiadomość. Ordynarnie nabrali mnie. Tego nie mogę im darować. Czytałem potem parę razy ich wróżbę, umiem ją już na pamięć. Nie ma w niej nic, co mogłoby być dla mnie wskazówką, dobrą radą. Mam być posłuszny prawom Sparty i Likurga. Jakże dalekie jest jedno od drugiego... Co w prawach Sparty pozostało z prawodawstwa Likurga? Trochę zewnętrznych form? Eforowie zaprzepaścili jej treść, jej mądrość. Była wielkością i szczęściem Sparty, wypaczona przez nich staje się jej zgubą... Serce moje jest pełne zwątpienia i rozterki, matko. Wahałem się, walczyłem z sobą. Przyjąć godność królewską, czy zrzec się jej? Ateńscy filozofowie nauczyli mnie sceptycyzmu. Jako filozof — nie wierzę. Jako król — będę musiał nie tylko wierzyć, ale sam głosić wiarę w bogów, wiarę w sny, wróżby z dymu, lotu ptaków, wnętrzości zwierząt... To okropne. W Delfach wróciła moja zachwiana wiara, ukorzyłem się przed majestatem przyrody, przed pięknem dzieł ludzkiego geniuszu. Szalbierstwa kapłanów zabiły tę odradzającą się wiarę... Jak mam żyć z tym podwójnym obliczem?

— Zamilcz, synu! — zawołała pobladła królowa. — To niebezpieczne co mówisz. Każdy z nas przechodzi chwile zwątpień i wahań, wierz mi, każdy. I każdy musi przełamać w sobie tę niewiarę, bo inaczej nie mógłby żyć. Wiesz przecie, jaka jest nasza Sparta.

— Tak, wiem. Ostoja pięknych tradycji, twierdza czystych obyczajów, prostoty. Niezwyciężona w boju, mająca najlepszą armię świata. Taką pokazujemy oczom cudzoziemców, taką mamy na pokaz w dni świąteczne. Jesteśmy mistrzami pozorów, udawania.

— Nie poznaję cię, synu. Skąd tyle gorczy w słowach twoich? I to w dniu tak uroczystym?

— Tak, to prawda. Własne dziecko staje się pewnego dnia istotą nieznaną. Z miłości dla mnie staraliście się zakryć przede mną czarne strony życia. Miałem oczy otwarte, jednak wielu rzeczy nie rozumiałem, nie śmiałem pytać. Ale teraz... kiedy się przygotowywałem do mojej „mowy tronowej” przejrzałem spisy obywateli — pełnoprawnych spartiatów, przejrzałem tabliczki dłużników, zobaczyłem dochody skarbu, sprawdziłem, ilu mamy żołnierzy... O matko, to były najsmutniejsze chwile mego życia. Silna Sparta runęła w moich oczach w proch.

— Przemęczony jesteś, Agisie, stąd ten pesymizm i upadek ducha.

— To rzeczywistość dała mi maczugą po łbie.

Królowa nie znalazła odpowiedzi. Charakterystycznym dla niej ruchem przechyliła głowę na bok, przymknęła oczy. Tak zawsze czyniła w chwili słabości lub zmęczenia. Agis spostrzegł srebrne nitki na jej skroniach. Żal mu się jej zrobiło, zmienił temat rozmowy.

— Mam do ciebie prośbę. Chciałbym, abyś się zgodziła, by Sfajros Borystenita zamieszkał niedaleko naszego dworu, w małym domku w gaju oliwnym. Przydzielę mu do usług starą helotkę, Kinnę.

— Ten gaj to własność królów spartańskich. Należy do dóbr królewskich. Ja nie mam tu nic do gadania.

— Mylisz się, matko. Chciałbym, aby wszystko pozostało po dawnemu. Twojej pieczy i mądrej głowie pragnę powierzyć cały majątek, tak jak mój ojciec. Proszę cię, nie odmawiaj mi.

— Dobrze, Agisie. Ale będę musiała wyprowadzić się od ciebie. Na razie zamieszkać u babki.

— Dlaczego? To nie może być! — zaprotestował Agis.

— Tak musi być. Taki jest zwyczaj. Ożenisz się, wprowadzisz młodą żonę. Nie chciałabym być drugą damą na dworze królewskim.

— Nie! — krzyknął Agis. — Nie mam zamiaru się żenić.

— Kto wie — odpowiedziała królowa zagadkowo — czy nie będziesz musiał. Król musi być żonaty.

— Ale nie teraz. Za nic. Muszę cię pożegnać, matko. Na mnie już czas.

— Bądź zdrow, synu.

Na dziedzińcu, na kamiennej ławie pod murem ogrodzenia czekali już czterej najważniejsi przyjaciele Agisa: Amfares, Damochares, Mandroklejdas i Lizandros. Byli odświętnie przyodziani, w pięknych ateńskich sandałach. Był również z nimi Sfajros Borystenita, który pragnął zobaczyć tak ważną w życiu Sparty uroczystość, jak zaprzysiężenie nowego króla. Podnieśli się na widok Agisa, pozdrowili go, złożyli życzenia noworoczne.

— Dziękuję wam. Życzę wam również wszystkiego najlepszego. A tobie Sfajrosie, byś, jak zamierzasz, napisał piękne dzieło o Sparcie. Oby nasza przyjaźń przetrwała dobre i złe czasy. Przygotowałem dla was podarki, ale otrzymacie je później. Teraz chodźmy na agorę. Nie dajmy na siebie czekać.

— Chcesz iść? — zdziwił się Amfares. — Królowie zwykle jeździli na agorę.

— Byli starsi ode mnie. A ja mam nogi nawykłe do marszów.

— Arkezylaos przyprowadził twoją drużynę. Są na koniach, czekają na drodze — markotnie wyjaśnił Mandroklejdas. — Czyż mogą jechać, kiedy król będzie szedł pieszo?

— A jak wy chcecie dostać się na agorę?

— Mamy również konie.

— Więc dobrze. Damocharesie, tyś najmłodszy, skocz po mego Wichra. I dla Sfajrosa przyprowadź Strzałę.

Stajnie królewskie znajdowały się w głębi olbrzymiego dziedzińca. Po krótkim czasie Damochares przyprowadził wystrojonego we wstążki rumaka. A dla Sfajrosa chłopak stajenny łagodną Strzałę. Agis wskoczył na konia; przyjaciele poszli do bramy pieszo, do czekającej drużyny królewskiej. Gromkim okrzykiem jeźdźcy powitali swego króla. Arkezylaos, dowódca straży, podjechał do Agisa, podniósł w górę dłoń i krzyknął:

— Drużyna królewska melduje się na twoje rozkazy, królu Agisie!

— Dziękuję, chłopcy.

— Żyj nam sto lat, wodzu! — wyskandowali hoplici.

Zebrania ludowe i różne uroczystości państwowe odbywały się zwykle w budynku położonym obok agory, zwanym Skias. Jednakże tym razem, ze względu na dużą ilość uczestników uroczystości, przygotowano na agorze trybuny na podwyższeniu dla władz państwowych i gości zagranicznych. Dla zwykłych obywateli pozostał ogromny plac agory czysto zamieciony i zmyty wodą. Część przednią placu, najbliższą trybuny, odgrodzono czerwonym sznurkiem. Tu mieli prawo zasiąść spartiaci o pełnych prawach obywatelskich: równi. Dalej były miejsca dla spartiatów niższych stopni, dla motaków — synów spartiatów i helotek, dla periojków i dla zasłużonych na wojnie helotów. Osobne miejsce wyznaczono dla kobiet i dziewcząt, osobne dla młodzieży z gimnazjonu. Ludzie siadali wprost na kamiennych płytach agory lub na kawałkach belek czy poduszkach przyniesionych z domu.

Przed trybunami z obu stron ustawiono ołtarze, bo nie było w Sparcie takiej uroczystości, która nie rozpoczynałaby się od modłów i ofiar.

Zjawienie się Agisa powitali zgromadzeni powstaniem z miejsc, długotrwałymi oklaskami i okrzykami. Entuzjazm był szczery. Ludziom podobał się ten wysmukły młodzieniec o dobrej i szczerzej twarzy, zwycięzca z igrzysk pytyjskich. Lekko zeskoczył z konia i szedł ku trybunom sprężystym krokiem, odziany w purpurowy płaszcz żołnierski, z mieczem przy boku, w żołnierskich twardych sandałach. I tylko biała wstążka we włosach, której luźne końce rozwiewał wiatr, świadczyła o jego królewskiej godności. Manifestowano tym goręcej na jego cześć, im większą niechęć budził drugi król, Leonidas. Agis uśmiechał się i ręką pozdrawiał zebranych. Nim doszedł do swego królewskiego „tronu”, krzesła o rzeźbionych poręczach i oparciu, rozległ się dźwięk fletów. To na lekkiej, kunsztownie zdobionej kwadrydze zaprzęzonej w cztery piękne, białe konie o farbowanych na czerwono grzywach zajechał król Leonidas w otoczeniu swojej drużyny i oddziałka najemników. Wśród przycichłej nagle agory Leonidas zszedł z kwadrygi przy pomocy dwóch hoplitów, otrzepał jedną dłonią niewidzialne pyłki z kosztownego, lamowanego złotym pasem płaszcza i skierował się ku trybunom. Na nogach miał złożone sandały ozdobione drogimi kamieniami, które skrzyły się przy każdym jego kroku. Żółta zazwyczaj twarz zabarwiona była lekkim rumieńcem. Prostym, nienawykłym do kosmetycznych sztuczek Spartanom nie przyszło nawet do głowy, że twarz ta pokryta jest barwidłem i upudrowana, a kunsztownie trefione włosy są peruką. Skośne brwi i spiczasta, na wschodnią modłę przystrzyżona bródka były przyczernione. Głęboko osadzone oczy o przenikliwym, twardym wyrazie patrzyły bacznie na stojących Spartan. Wiedział, że jest niepopularny, nie lubiany, ale to tylko wzmagало jego pychę i nieprzystępność. Nie dbał o poklask tych nie domytych, gruboskórnych spartiatów. Stu spartańskich bogaczy liczyło się w jego ocenie obywateli i to było wszystko. Reszta to nawóz, który cudzymi, opłaconymi oczywiście, rękoma można rozrzucać i mieszać, jak się zechce.

Szedł spokojny, wyniosły, a za nim snuła się smuga wonnych olejków, którymi był namaszczoney. Skinął niedbale zebrany dostojnikom, unieśli się oddając mu ukłon. Tylko niedawno wybrani, a jeszcze nie zaprzysiężeni eforowie nie ruszyli się ze swych krzesel. Siedzieli sztywni, wyprostowani, jak wykute z piaskowca figury. Leonidas pomyślał, że nadejdzie taki dzień, kiedy eforowie wstaną, gdy raczy się do nich zbliżyć. Ale na razie trzeba niczego nie zauważać, udawać ich sprzymierzeńca i okazywać życzliwość tym pyszałkom.

Heroldowie głosem fletów dali sygnał rozpoczęcia uroczystości. Agis podszedł do ołtarza Zeusa Lacedemońskiego, Leonidas do ołtarza Zeusa Uraniosa. Towarzyszyło im kilku kapłanów. Ofiara Leonidasa była zwykłą, miesięczną, Agis składał hekatombę z dziewięciu baranów. Po ofiarach i ogłoszeniu wyniku wróżb, bardzo pomyślnych, Leonidas odebrał przysięgę od nowo wybranych eforów. Eforowie wylosowali między sobą, za pomocą ziaren fasoli, który z nich będzie eponymos, czyli od imienia którego zostanie nazwany nowy rok spartański. Białe ziarno fasoli wyciągnął z wazy nakrytej kawałkiem sukna Ajnejzjas, syn Faraksa. Teraz nadeszła najważniejsza część uroczystości — przysięga królów. Pierwszy zwykłą, co miesiąc powtarzaną przysięgę złożył król Leonidas. Potem efor Ajnejzjas wezwał Agisa do złożenia przysięgi. Agis wstał i trzymając podniesioną w górę prawą rękę ślubował, powołując na świadków Zeusa Lacedemońskiego, Zeusa Uraniosa, Atenę, Apollina Mojragelesa, Dioskurów, świątynie, gaje oliwne, winnice i pola Lacedemonu, że będzie przestrzegał ojczystych praw, nadanych za wolą bogów przez herosa Likurga, szanował ojczyście obyczaje, czcił bogów, wypełniał gorliwie swoje obowiązki i nie dążył do tyranii. W przysiędze eforów o tyranii nie było mowy.

Agis wolno powtarzał słowa przysięgi i zastanawiał się nad ich treścią i praktyką życiową. Przysięga. Czy to tylko zbiór formułek bez pokrycia, paplanych z ironicznym uśmiechem przez Leonidasa, z fałszywym patosem przez Ajnejzjas, mamrotanych przez pozostałych eforów? Któryż z nich wierzy w to, co mówi? Jak przestrzegać praw Likurga, kiedy one

już nie istnieją? Gdzież Likurgowa równość spartiatów i pogarda bogactw? A on, Agis, szanując treść przysięgi, czy zdoła ją spełnić? Lęk przed odpowiedzialnością ścisnął serce Agisa. Przebrzmiały ostatnie słowa przysięgi, na agorze zapanowała nagła cisza.

W pobliskich piniach i migdałowcach świergocą ptaki. Zarżał koń przed agorą, zawtórowały mu inne. W napiętej ciszy ludzie czekali, co powie młody król.

Agis ogarnął wzrokiem całą agorę, popatrzył na twarze, uparte twarze spartiatów, na lud w dalszych szeregach, aż po ostatnie rzędy, w których stali heloci. Pierwszy raz w życiu musi przemówić do takiej masy ludzi. Czy starczy mu odwagi i siły? Spojrzał ku grupie kobiet zajmujących na lewo skromną część agory. W pierwszym rzędzie siedzi matka, babka, królowa Kratezykleja, żona króla Leonidasa. Dalej inne, dostojne matrony Sparty. Agis zaczerpnął szerokim wdechem powietrza i zaczął:

— Dostojni mężowie, królu Leonidasie, Rado Starców, eforowie, waleczni spartiacy i ty, szlachetny ludu Lacedemonu!

Szmer, jak nagły poszum wiatru w lesie, przeleciał przez agorę. Lud Lacedemonu? Kogo ma na myśli ten młodzik?

Agis przeczekał chwilę i powtórzył mocnym głosem:

— Ludu Lacedemonu! Okrutna śmierć zabrała mi ojca, a wam dobrego i sprawiedliwego króla. Zabrała nam władcę, który rządził roztropnie i szczęśliwie. Na mnie spadł obowiązek przejęcia władzy. Wierzcie mi, władzy tej nie pragnęłam i nie pragnę. Jeśli ją przyjmuję, to tylko dlatego, by pracować dla dobra Sparty. Im większa władza, tym większe obowiązki, tym większa praca. Chciałbym podołać tej pracy. Przysięgam wam, że całe moje życie, wszystko mój czas i siły poświęcę dla dobra naszej ojczyzny. Dobro Sparty — to spokojne, dostojne życie jej obywateli. Dla uczczenia dnia tego, na chwałę bogów ogłaszam, co następuje:

umarzam wszystkie długi, jakie obywatele zaciągnęli wobec państwa, a łączna suma zaciągniętych długów wynosi osiemdziesiąt dwa talenty srebrem;

umarzam wszystkie długi tym, którzy zaciągnęli je u mego nieodżałowanego, szlachetnego ojca, króla Eudamidasa. Łączna suma tych długów wynosi trzydzieści sześć i pół talenta srebrem;

wpłacam udział na syssitie do nowych zbiorów za tych spartiatów, którzy w ciągu ostatniego roku nie byli w stanie uiścić wymaganych miar zboża i wina. Według prowizorycznych obliczeń spartiatów tych jest pięćdziesięciu siedmiu.

— Za zgodą obu królów i dostojnej geruzji uwalniam od kary śmierci tych, którym wyrok wstrzymano na czas świąt i późniejszej żałoby;

uwalniam z więzień tych, których wtrącono tam za długi;

zmniejszam karę więzienia o połowę tym, którzy jeszcze cierpią za jakieś przewiny.

— Ogłaszam dzień jutrzejszy dniem świątecznym. Rano na Platanistas rozpoczną się zawody gimnastyczne, po południu tańce i inne zabawy. Wieczorem w Domu Mężczyzn odbędzie się uroczysta syssitia, na którą zapraszam wszystkich równych, pełnoprawnych spartiatów.

— W ciągu całego miesiąca, od jutra poczynając, będę przyjmował w godzinach rannych w Domu Rady Starców tych, którzy potrzebują mojej rady lub pomocy.

— Taka jest wola moja!

Agis usiadł. Chwilowe oszołomienie hojnością nowego króla przerodziło się w entuzjastyczny krzyk i klaskanie. Ludzie zerwali się z miejsc, całowali się, rzucali kwiaty na trybuny, w stronę Agisa. Nieustanny okrzyk: „Żyj nam długo, Agisie” trwał aż do ochrypnięcia gardzieli. Agis uśmiechał się trochę bezradnie, uszczęśliwiony i zawstydzony jednocześnie. Gdy wrzawa nieco osłabła, przewodniczący zebrania, efor Ajnejzas, dał znak heroldom, by zagrali na fletach.

Uciszyło się. Ajnejzas podniósł się. Na jego mięsistej, bladej zawsze twarzy kwitły teraz ceglaste plamy rumieńców.

— Król Agis — powiedział suchym skrzypiącym głosem — hojnie obdarował obywateli. Okazał się godnym synem i następcą nieodżałowanego króla Eudamidasa. Hojnie, prawdziwie po królewsku, okazał swoje serce. Niechaj mu będzie za to chwała. Cały Lacedemon we wdzięcznej pamięci zachowa ten dzień. Ale hojność — za hojność. I my, królu Agisie, przygotowaliśmy podarki dla ciebie. Każdy w miarę sił swoich i możliwości. Przyjmij je tak życzliwie, jak my przyjęliśmy twoje.

Teraz zaczęły składać nowemu królowi życzenia i dary delegacje przybyłe nie tylko z całego państwa lacedemońskiego, ale również z obcych mocarstw. Pierwszy wystąpił poseł Egiptu, królewskiego domu Ptolemeuszów. Wrogość Sparty dla Macedonii, datująca się od czasów Filipa II, zawsze obciążała skarb egipski. Nic tak nie cementuje uczuć jak złoto, więc Ptolemeusze płacili za przyjaźń Sparty. Potrzebny był im ten wierny sojusznik w rozgrywkach z Macedonią. Poseł kładąc rękę na sercu życzył królowi Agisowi długich lat panowania i przyjaźni potężnego władcy Egiptu.

Po dość długiej i górnolotnej przemowie, wygłoszonej w poprawnej literackiej greczyźnie, poseł skinął ręką i z portyku okalającego agorę wyszli hebanowi niewolnicy ubrani w niebiesko-złote stroje, niosąc dzbany z mirrą, kadzidłem, amfory z wonnymi olejkami, na purpurowych poduszkach rozpięte złote ozdoby: naszyjniki, bransolety, diademy. Zebrani z westchnieniem zachwytu śledzili wspaniałe dary potężnego króla-boga.

Delegacja trzęsącego całym Peloponezem Związku Achajskiego złożyła życzenia i dary składające się z pięknej, złotem inkrustowanej tarczy, miecza i dwóch pięknych rumaków.

Olimpia przysłała dziesięć pucharów ze złota.

Delfy — marmurowy posąg Apollina dłuta Skopasa. Inne państwka greckie też składały dary i życzenia.

Delegacje przesuwały się, wóz Heliosa wędrował coraz wyżej po nieboskłonie, robiło się coraz goręcej, ale nikt nie myślał zrezygnować z niebywałego widowiska. Agora zrazu cicha, rozbrzmiewała teraz śmiechem i rozmowami. Szeroko omawiano wielkoduszność Agisa, dłużnicy cieszyli się, że pozbyli się ciężarów, wielu żałowało straconej okazji, czemu zamiast do bankierów i innych bogaczy spartańskich nie poszli prosić o pożyczkę pani Agezystraty? Zawistnie spoglądali na rozradowanych szczęściarzy.

Kiedy skończył się korowód delegacji obcych, wystąpili przedstawiciele spartiatów, mieszkańców czterech dzielnic Sparty: leżącej na północnym zachodzie Pitane, na południe graniczącej z nią Mesoa i dzielnic wschodnich: południowej Kynosury i północnej Limnai. Składali bogactwa ziemi spartańskiej: kosze świeżych i suszonych owoców, amfory miodu górskiego, pitosy słynnej spartańskiej oliwy, pitosy spartańskiego mocnego i gęstego jak miód wina, wędzone i pieczone udźce jeleni, drób, orzechy, migdały, korzenie i zioła do przypraw kuchennych.

Większość tych jadalnych darów jeszcze tego samego dnia miała się znaleźć na stołach podczas bankietu wydanego dla uczczenia nowego króla i zagranicznych gości. Reszta zasili królewskie spiżarnie i piwnice.

Miasta i miasteczka zamieszkiwane przez periojków przyniosły w darze wytwory swoich rąk: naczynia stołowe, szaty, wyroby snycerskie, dywany, pieczone ciasta i chleby. Heloci, podobnie jak spartiaci, składali plony pól i łąk, młode barany, jagnięta, świnie, woły.

Fala ofiarodawców przepływała przez agorę przed trybunami, zręczne ręce pisarzy miejskich i królewskich kierowały ten nurt ku dworowi królewskiemu, gdzie odbierał je główny zarządca dóbr królewskich przy pomocy kluczników i służby. Ilość i jakość darów zapisywał na tabliczkach jeden z pisarzy na agorze, to samo czynił na dziedzińcu królewskim pisarz króla.

Kiedy już przyjęto wszystkie dary, efor Ajnejzas zapowiedział na popołudnie sprawozdanie z podróży teorii spartańskiej do Delf i nagrodzenie zwycięzców.

Gości zagranicznych zaproszono na obiad do eforejonu.

Południowe godziny Agis spędził na odpoczynku w swojej komnacie. Matka przysłała mu przez Mysa dobry obiad, złożony z wybornie przyrządzonej spartańskiej czarnej polewki, zimnego mięsa, bułki pszennej, sera i wina, ale Agis jadł mało. Ciągłe przeżywał swoje wystąpienie i owację, jaką mu zgotowali Spartanie. Widział wiwatujący tłum, niezadowolone twarze eforów, zawistne spojrzenia Leonidasa. Eforowie nie lubili popularnych królów, bali się ich. Leonidas zazdrościł, tylko Agis nie mógł rozstrzygnąć czego: popularności, jaką zdobył swoim wystąpieniem, czy mnogości podarunków, które otrzymał. A może jednego i drugiego?

Uroczystość nagradzania zwycięzców zgromadziła jeszcze więcej widzów. Stawiła się bez wyjątku młodzież z gimnazjonu, wszystkie kobiety, cała Sparta i pobliskie wsie. Dziesięciotysięczny teatr wypełniony był po brzegi. Jak zwykle naprzeciw ołtarza Dionizosa zasiadł jego kapłan w otoczeniu innych dostojników, goście zagraniczni, starszyzna i znakomici spartiaci. Na scenie ustawiono stół i pięć krzeseł dla eforów, dwa „trony” dla królów i kilka krzeseł dla gerontów. Kapłan Dionizosa złożył swemu bogu ofiarę z kozłęcia, fleciści odegrali pieśń ku czci Dionizosa i uroczystość się zaczęła.

Mandroklejdas składał sprawozdanie. Opowiadał o Atenach, o wielkim wrażeniu, jakie na Ateńczykach wywarła skromność, szlachetność i postawa króla Agisa, siła Damocharesa, znajomość światowych manier Lizandrosa. Było to najlepsze poselstwo, jakie kiedykolwiek Sparta wysłała do Aten i dzięki temu udało się załatwić kilka ważnych spraw i osiągnąć porozumienie w sprawach państwowej wagi. Potem opowiadał o cudach Delf, wspaniałych ofiarach i uroczystościach, dzień po dniu, niemal godzina po godzinie. Ale słuchacze nie mieli mu tego za złe. Mandroklejdas miał zdolności aktorskie, był świetnym mówcą, opowiadał barwnie i sugestywnie. Można go było słuchać cały dzień, było to ciekawsze niż najciekawsza książka, bo dotyczyło ludzi wszystkim znanych i bliskich. Kapłani delficy przy każdej okazji dawali dowody wielkiego uznania i przychylności dla Sparty. Łaska bogów towarzyszyła teorii spartańskiej przez cały czas podróży — raz tylko i to bardzo boleśnie odwróciła się od nich — Amfares ochrypl i nie mógł wystąpić w agonie śpiewaczym. Potem opisał hippodrom i przygotowania króla Agisa i Lizandrosa do zawodów. Burza poprzedzająca wyścigi urosła w ustach Mandroklejdasza niemal do rozmiarów kataklizmu, ale tym jaśniej unaoczniał słuchaczom niebywałe zwycięstwo spartańskich koni. Oczywiście te wspaniałe konie w rękach słabszych aurigów nie dokonałyby niczego, ale Sparta może się poszczycić najznakomitszymi jeźdźcami, jakich posiada świat: Agisem i Lizandrosem. Sława tych zwycięstw nie przemienie prędko. Szczegółowo opowiedział o pilności, z jaką ćwiczył Damochares pod ręką najlepszego mistrza Aten, Faillosa, który nie szczędził pochwał dla tak chętnego i pojętnego ucznia. Zwycięstwo Damocharesa było w pełni zasłużone. Pokonał najstłynniejszych zawodników Hellady, został ulubieńcem stadionu delfickiego. Pięknie zasłużyli się Sparcie zwycięzcy pytyjscy i zdobywcy laurowych wieńców. Gdy Mandroklejdas skończył, wybuchła burza oklasków i okrzyków. Wszyscy wiedzieli o sukcesach swoich zawodników, ale dopiero barwne opowiadanie Mandroklejdasza ukazało im wagę i piękno tych zwycięstw.

Efor Ajnezjas wstał, by ogłosić nagrody dla zwycięzców, gdy nieoczekiwanie król Agis poprosił o głos. Efor skrzywił się niechętnie, ale nie śmiał królowi odmówić.

Agis podniósł rękę, teatr uciszył się.

— Nasz znakomity poseł, Mandroklejdas, świetnie i wiernie opisał wam naszą podróż, Ateny i Delfy. Nie mam tu nic do uzupełnienia. Słusznie też bolał nad nieszczęściem, które spotkało Amfaresa. Wieniec wawrzynowy dla niego był tak pewny, jak dla Damocharesa. Stało się inaczej. Ale Amfares też dobrze przysłużył się dla chwały Sparty. Śpiewał ludziom przy różnych okazjach, całe Delfy nazywały go „słowikiem Lacedemonu”. Został wyróżniony przez władze Delf, bo zaproszono go, by uświetnić swym śpiewem bankiet wydany na cześć zwycięzców. Niech to dostojna Rada Starców i dostojni eforowie rozważą przy rozdziale nagród.

Amfares, który siedział ponury jak noc, rozpogodził się. Spojrzał z wdzięcznością na Agisa. Jak to dobrze, że przypomniał „słowika Lacedemonu”. Amfares bał się, że eforowie surowo go ukarzą. Nie za to, że nie brał udziału w agonie, ale za to, że obraził boga, który zesłał na niego chrypkę. Doszły go słuchy, że eforowie tak tłumaczą jego nieszczęście.

Sporo musiało być w tym prawdy, bo eforowie byli trochę zakłopotani nieoczekiwaną obroną i naradzali się chwilę szeptem.

Wreszcie efor Ajnejas przemówił:

— Dumna jest Sparta ze swoich zwycięzców. W nagrodę za chwałę, jaką przynieśli Sparcie, Rada Starców wraz z eforami postanawia:

— wystawić na agorze posągi Agisa, syna Eudamidasa, Damocharesa, syna Hieraksa, Lizandrosa, syna Libisa, z wyrytymi na postumentach ich imionami i opisem zwycięstwa;

— podarować Agisowi dwa białe konie argolidzkie;

— Damocharesowi przyznać zaszczytne miejsce przy stole króla w czas wojny i srebrną zbroję;

— Lizandrosowi przyznać również zaszczytne miejsce przy stole króla w czas wojny i podarować zaprzęg, którym powoził na wyścigach.

— Tylko Amfares, syn Derkilidasa, zaprzepścił pokładane w nim nadzieje. Eforowie zapytali Apollina Pytyjskiego, czym Amfares obraził boga.

Ajnejas zawiesił na chwilę głos, słuchacze zamarli w oczekiwaniu. Amfares zbladł.

— Bóg odpowiedział: „Nieumiarkowanie w picciu Amfaresa dotknęło mnie. Dlatego poraziłem go chrypką”. Amfares musi przebłagać boga. Rada Starców i eforowie nakazują Amfaresowi złożyć bogu ofiarę, składającą się z dziesięciu owiec. Ponieważ jednak król Agis wstawił się za Amfarsem i opowiedział o sławie, którą zyskał Amfares wśród pielgrzymów jako „słowik Lacedemonu”, Rada Starców i eforowie postanowili dać mu w nagrodę dwie krowy i jednego wołu.

Burza oklasków nagrodziła roztropne postanowienie geruzji i eforów.

Nagrodzeni ustawili się na przedzie sceny przed widzami. Założono im wieńce wawrzynowe na skronie, a teatr bił oklaski i kolejno skandował ich imiona. Chór chłopięcy z gimnazjonu odśpiewał pean na cześć zwycięzców, ułożony przez filozofa i poetę Ksenaresa. Pean był rzewny i melodyjny, wzruszył widzów do łez.

Na tym się uroczystość w teatrze zakończyła.

Wracając z przyjaciółmi na swój dwór Agis powiedział:

— Teraz czas wam oznajmić, jakie podarunki dla was przygotowałem. Dla ciebie, mistrzu Sfajrosie, ciepły wełniany płaszcz. Dla ciebie, Amfariesie, piękną lirę, kupioną w Atenach, dla Damocharesa rumaka, dla Lizandrosa, piękną zbroję. Tobie zaś, Mandroklejdasie kupiłem zbiór mów Demostenesa. Wprawdzie jesteś znakomitym mówcą, ale nigdy nie zaszkodzi wiedzieć, jak to czynią inni.

Dziękowali mu wylewnie, oczarowani wspaniałymi podarkami. Szczególnie gorąco dziękował Amfares.

— Uratowałeś mnie przed gniewem eforów. Daliby mi łupnia, gdyby nie twoje wystąpienie. Wiem, jak się szykowali. A dzięki tobie dostałem dwie krowy i wołu. Przydadzą się w naszym klerosie. Mój stary ciągle wspominał, że za mało mamy bydła, teraz będzie rad. Sprzeda się jedną krowę i na te owce starczy.

— Chyba nie starczy — wtrącił Lizandros.

— Starczy. Myślisz, że będę kupował drogie owce? Apollo nie jest taki wybredny, weźmie, co mu się da.

Roześmieli się wszyscy. Ateny nauczyły ich sceptycyzmu.

We dworze przygotowywano bankiet wieczorny. Podczaszy i krojczy zażądali od kłucznika takich ilości win, owoców i mięs, że ten się oburzył. Chcąc ogołocić spiżarnie królewskie. Pokłócili się i obrażony kłucznik przybiegł na skargę do króla. Agis wysłuchał spo-

kojnie jego skarg i odpowiedział:

— Powiem ci jedną anegdotę, posłuchaj. Uczestniczył raz w uczcie spartańskiej mieszkaniec Sybaris. Leżał on, jak jego współbiesiadnicy na drewnianej ławie, zamiast na sofie jadalnej, jadł ich proste potrawy, a potem rzekł kiwając głową: „Dotychczas, gdy słyszałem o pogardzie śmierci Spartan w boju, wywierało to na mnie silne wrażenie. Teraz jednak, gdy was poznałem, nie widzę w tym nic osobliwego. Najgorszy tchórz wolałby umrzeć, niż żyć tak, jak wy”. Nie chciałbym, aby moi goście powiedzieli to samo o moim przyjęciu. Dlatego daj najdroższe wina, najlepsze potrawy. Niech wszystko będzie w obfitości na naszych stołach. A jutro wrócimy do spartańskiego prostego jadła. I wiedz o tym, że ono mi się najbardziej podoba i smakuje.

SYSSITIA

Budynki, zwane Domami Mężczyzn, położone jak wszystkie budynki miejskie w pobliżu agory, były to zwykłe szopy z ociosanych siekierą belek, kryte dachówką, wsparte na kamiennych kolumnach, prostych, a raczej prostackich jak wszystko w Sparcie. W nich właśnie odbywały się wspólne wieczerze, tradycyjne syssitie wszystkich pełnoprawnych spartiatów, którzy ukończyli dwudziesty rok życia. Mieli oni również obowiązek nocowania w tych koszarach i przestrzegano bacznie, by młodzież, nawet żonata, nie uchylała się od tego obowiązku. Starsi, mający liczne rodziny, mogli na noclegi wracać do domu, patrzono na to przez palce. Całe dni spartiaci spędzali na ćwiczeniach wojskowych, grach sportowych i na polowaniu. Innych obowiązków nie znali. Zarządzanie domem i pieczę nad klerosami pozostawiono kobietom. One pilnowały, by heloci, pracujący na klerosach-folwarkach, wywiązywali się ze świadczeń na rzecz swoich panów, jakie nałożyło na nich prawo. Spartiata nie mógł ani podwyższać, ani obniżać obowiązkowych miar zboża, oliwy, wina i owoców, jakie ustaliło raz na zawsze państwo.

Każda fyla zajmowała zwyczajowo ustalone miejsce za stołami w Domu Mężczyzn.

Umeblowanie tych domów stanowiły nie heblowane i nie malowane drewniane stoły i takie same ławy stojące z obu stron stołów.

W chwili gdy Agis obejmował władzę po ojcu, syssitie niemal prawie ustały. Z powodu powszechnego zubożenia wielu spartiatów nie mogło wnieść ani za siebie, ani za swych synów obowiązujących miar zboża, wina i sera, spadli więc do roli niższych obywateli. Tych niższych było ponad sześciuset, reszta — stu obywateli, byli to bogacze Sparty, ludzie, w których rękach wskutek dziedziczenia, małżeństw, a przede wszystkim wskutek przechodzenia zadłużonych klerosów w ręce wierzycieli, znalazła się prawie cała ziemia rolna. Im skromne syssitie nie wystarczały, mieli bogate domy i służbę umiejącą przyrządzać potrawy godne Sybarytów i Koryntian.

Szlachetny gest Agisa wpłacenia udziałów za spartiatów nie mogących się wywiązać z obowiązków wobec syssitii w ciągu ostatniego roku wywołał nie oczekiwany skutek. Paru bogaczy Sparty kończących sześćdziesiąty rok życia i ubiegających się o wybór do geruzji postanowiło tym niezbyt kosztownym gestem zdobyć popularność wśród wyborców. Rozpoczęły się prawdziwe łowy na chętnych do udziału w syssitii. Te manewry spowodowały tylko wzrost popularności Agisa, bo najbardziej tępy i zahukany spartiata wiedział, że bez inicjatywy młodego króla nie odżyłyby syssitie. Mówiono, że to tylko początek, bo jeśli jako młody człowiek Agis ma tyle poczucia obywatelskiego, to jako dojrzały mąż dokona czynów wielkich i chwalebnych. Efor eponymos Ajnezjas, były efor Okyllos, bogacze Astropos i Panta-

klos, ojciec Arkezylaosa, dowódcy królewskiego oddziału jazdy, oraz paru innych, zaniepokojeni rosnącą popularnością Agisa udali się do Leonidasa, by przedstawić mu powstałą sytuację i rozważyć, co czynić dalej.

— Niedobrze jest — Okyllos zabrał głos pierwszy — jeśli rośnie znaczenie i chwała jednego domu królewskiego na niekorzyść drugiego. Dom Eurypontydów od dłuższego czasu ma przewagę nad zasłużonym domem Agiadów. Król Leonidas nie powinien dopuścić do wzrostu tej przewagi. Oni, najznakomitsi obywatele Sparty, chętnie mu pomogą w rozgrywce z Agisem.

Niechęć, jaką Leonidas poczuł od pierwszej chwili do Agisa, wzrosła. Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, ile szkody wyrządził ten smarkacz. Rozzuchwał się nędzni spartiaci i może zechcą, aby się dzielić z nimi majątkiem.

Pozostali goście powtórzyli argumenty Okyllosa, tylko Astropos dodał, że to niemoralne, by taki młodzieniaszek uczył cnót obywatelskich sędziwych mężów. Czy nie należałoby szczodrobliwością króla Leonidasa i znakomitych rodów spartańskich przyćmić Agisa? Jeśli się opodatkuje wszyscy, Agis nie wytrzyma konkurencji.

Leonidas odpowiedział, że całkowicie zgadza się ze znakomitymi i godnymi zaufania mężami, Agis zbyt zuchwale sobie poczyną, co doprowadzić może do niepokoju w państwie i wzrostu niezadowolenia wśród niższych obywateli. Ale on, Leonidas, nie zamierza lekkomyślnie trwonić swego dobra, rozdając je spartiatom. Gdy zaistnieje rzeczywista konieczność, gotów będzie oddać cały swój majątek dla dobra Sparty, ale teraz nie widzi tej potrzeby. Czcigodni mężowie podziękowali za tak szlachetną postawę, godną króla, i wynieśli się wysoce zawiedzeni. Żegnając się z nimi Leonidas zapewnił, że, by przeciwdziałać zgubnemu wpływowi Agisa, pójdzie na tę uroczystą syssitię, choć jako król nie ma obowiązku.

Po zakończeniu zabaw i popisów na Platanistas młodzi spartiaci gromadnie udali się do Domu Mężczyzn. Ze wszystkich dzielnic Sparty wędrowały również gromadki równych, długowłosych brodaczy odzianych w krótkie chitony i grubo tkane wełniane tribony. Aby zmanifestować swoją gotowość bojową, wszyscy szli w hełmach, uzbrojeni jak na wojnę, z tarczami i mieczami, a ci, których nie stać było na własną broń, nieśli grube pałki ostro zakończone. Ta postawa bojowa budziła uzasadniony niepokój helotów. Może nowi eforowie ogłosili prawdziwą „świętą wojnę” przeciw helotom? Wprawdzie ogłaszali ją co roku, ale to była tylko czcza pogroźka, której obie strony nie traktowały poważnie. Spartiaci bali się wielkiej masy helotów, było ich kilkanaście razy więcej; heloci bali się okrucieństwa i podstępów spartiatów. Ten stan czujnej wrogości trwał od kilku stuleci, od podboju spokojnej ludności achajskiej przez wojownicze plemię Dorów, które nazwało się Spartanami.

Domy Mężczyzn, od dawna mało wykorzystywane, stare i zaniedbane chyliły się ku upadkowi. Posprzątano je pospiesznie, załatano najdotkliwsze braki deskami i przystrojono gałęziami. Pozbawionym nadziei na lepsze życie spartiatom wydało się, że uśmiechnęła się do nich Tyche dobrymi oczami króla Agisa.

Przybywających podoficerowie sadzali po piętnastu przy jednym stole. Starano się grupować razem dzielnice, ale nie było to regułą. Uczestnicy mogli się dobierać wedle swego uznania. Większość stanowili dawni członkowie syssitii, którzy wrócili po przerwie dzięki Agisowi. Przybyło też paru nowych, tych przyjmowano do społeczności przez głosowanie. Każdy ze starych uczestników syssitii rzucał do wazy, którą nosił na głowie służebny helota, gałkę z chleba. Kuleczka oznaczała przyjęcie, gałka spłaszczona odrzucenie.

Czekano na przybycie królów. Pierwszy, w otoczeniu przyjaciół, zjawił się Agis. Zebrani powitali go radosnymi okrzykami. Szedł ku swemu stołowi pogodnie uśmiechnięty, serdecznie witając zebranych. Był w płaszczu wojskowym, spod którego błyskał chwilami czerwony chiton. Przy boku miał krótki miecz z rękojeścią ozdobioną srebrnymi nabiciami, pochwa lśniła również inkrustacjami.

Po obu jego stronach szli przyjaciele: polemarcha Hippomedont, brat stryjeczny Agisa,

syn wuja Agezylaosa, Lizandros, Amfares, Damochares, dowódca drużyny królewskiej Arkezylaos oraz Sfajros Borystenita, którego Agis poprosił, by po wieczerzy wygłosił pogadankę o Likurgu i Solonie, prawodawcach spartańskim i ateńskim. Przy stole po lewej stronie króla zasiadł Sfajros, po prawej Hippomedont. Był on starszy od Agisa o czternaście lat i bardzo imponował młodemu królowi swoją umiejętnością rozkazywania ludziom i narzucania swej woli. Dumna, piękna twarz, wyniosła postawa, głos metaliczny i władczy onieśmiały i budziły szacunek. Chodził w sławie znakomitego wodza greckich oddziałów w armii Ptolemeusza i bohatera kilku wojen. Kiedy mu zbrzydła wojaczka i tułanie się po cudzych ziemiach, wrócił do Sparty i objął dowództwo jednej mory, czyli pułku.

Z rozpoczęciem wieczerzy czekano na zapowiedziane przybycie drugiego króla. Prości spartiaci ciągle zdumiewali się łaskawością i zainteresowaniem, jakie im nagle zaczęto okazywać. Czyżby rzeczywiście miało się coś zmienić w ich życiu?

Donośne granie fletów oznajmiło przybycie drugiego króla. Leonidas zawsze lubił pokazywać się wystawnie, otoczony hoplitami, flecistami w szafranowych strojach. Sam był ubrany z przesadną elegancją w himation z cieniutkiej wełny, spięty na ramionach cennymi agrafami, na kostkach nóg miał złote bransolety, na palcach pierścienie, a na głowie białą opaskę naszywaną złotymi listkami w kształcie liści dębu. Kosztowność jego stroju szczególnie raziła przy ubogich spartiatach i skromności stroju Agisa. Wszyscy wstali, kiedy Leonidas kroczył przez salę, ale nie powitał go żaden okrzyk.

Leonidas pozdrowił grzecznie Agisa, uprzejmie odpowiedział na pokłon dowódców, zaprosił do swego stołu polemarchę Pollisa, kilku innych oficerów oraz swych przyjaciół, Astroposa i Pantaklosa.

Kucharze wnieśli kotły z parującą czarną polewką, na półmiskach poćwiartowane na porcje mięso. Przed każdym spartiata chłopcy z gimnazjonu kładli jęczmienny placek, który mógł spełniać rolę talerza. Jednakże prawie wszyscy spartiaci przynieśli ze sobą gliniane lub cynowe miski, kubki i łyżki. Chłopcy z gimnazjonu zawsze pełnili służbę przy syssitiach dorosłych. Usługując, uczyli się szacunku dla starszych. Przy stołach zazwyczaj dyskutowano, rozprawiano na tematy polityczne, mężczyźni ćwiczyli się w krótkości i ciętości wypowiedzi. Taki sposób mówienia stał się na długie wieki synonimem lakonizmu.

Najpierw przed królami postawiono podwójne porcje — było to ich królewskim przywilejem — król miał prawo zjedzenia lub obdarowania dodatkową porcją któregoś z biesiadników. Nie lada zaszczyt stanowiło otrzymanie kęsa z porcji królewskiej, więc też wiele par oczu obserwowało ukradkiem, jak postąpią królowie. Leonidas zwlekał, swoją decyzję uzależniał od tego, co zrobi Agis. A on, nieświadomy sytuacji pełnej napięcia, prowadził żywą rozmowę z Hippomedontem, który wrócił poprzedniego dnia z Koryntu.

Leonidas uznał, że nie wypada dalej zwlekać. Ujął wypielegnowanymi dłońmi misę z jadłem i podsunął Pollisowi.

— Przyjm, Pollisie, tę dodatkową porcję. Jestem pełen podziwu dla twojej wiedzy wojskowej i kunsztu żołnierskiego.

Obdarowany zaczerwienił się z wrażeń i wybąkał słowa podziękowań.

Z napięciem czekano, jak postąpi Agis. Chyba obdarzy Hippomedonta, który jest jego stryjecznym bratem i z którym dawno się nie widział? Bardziej zasługuje na wyróżnienie niż Pollis.

W milczeniu, jakie zapanowało przy stołach, Agis wyczuł jakieś napięte oczekiwanie. Przerwał interesującą go rozmowę i zauważył, że przy stole Leonidasa wszyscy już się posilają, a dodatkowa porcja Leonidasa stoi przed Pollisem. Agis uśmiechnął się przekornie. Przy jednym z dalszych stołów spostrzegł Likambesa, jednego z tych, którzy dzięki niemu mogli zasiąść dziś do wspólnej uczty.

— Cieszę się, że cię widzę, Likambesie. A dlaczego twój syn, Kleondas, nie przybył na ucztę? — zawołał w jego kierunku.

— Został najemnikiem w wojsku egipskim, dostojny królu. W domu nie miał co jeść, a tam, jak mu szczęście dopisze, może uskładać na kleros. Mam jeszcze dwóch młodszych synów; jeśli zechcesz, staną na twoje rozkazy. Bliźniaki, Diades i Eperatos — zacinając się ze wzruszenia odpowiedział Likambes.

— Przyjmę ich usługi, Likambesie. Tymczasem zanieś im moje obydwie porcje.

Lekki szmer przeleciał przez salę. Co znaczy ten dziwny postępek króla? Dawać swoje porcje smarkaczom, którzy nawet nie są spartiatami, jako naturalni synowie Likambesa i helotki? Czy to wyzwanie rzucone Leonidasowi, czy tylko lekkomyślność młodzieńcza? Uhonorowany Likambes skłonił się do nóg Agisa.

— Będziemy ci wierni, dostojny, do ostatniej kropli krwi.

— Bądźcie wierni Sparcie — pogodnie odpowiedział Agis.

Kiedy Likambes wycofał się tyłem, ciągle wpatrzony w Agisa, Leonidas po raz pierwszy tego wieczoru zwrócił się do Agisa:

— Widzę, królu Agisie, że nie smakują ci spartańskie potrawy. Widocznie w czasie długiej podróży nauczyłeś się jadać lepsze rzeczy i gardzisz naszą polewką.

— W przeciwieństwie do ciebie, królu Leonidasie, nie nauczyłem się. W całej Sparcie budzi podziw twoja wytworna kuchnia. Nie interesują mnie te sprawy, ale słyszałem cuda o mistrzostwie twoich kucharzy. Jadłem dzisiaj spóźniony nieco południowy posiłek i dlatego nie jestem głodny. Ale ty nie dajesz, królu Leonidasie, dobrego przykładu. Zaledwie umoczyłeś łyżkę w swojej zupie i nie jesz więcej. Współczuję ci, że nie masz apetytu na naszą tradycyjną polewkę.

— W Atenach i Delfach często kazaliśmy sobie przyrządzać nasze potrawy — wtrącił Lizandros — dlatego nie wyszliśmy z wprawy.

Leonidas nie znalazł odpowiedzi, z wysiłkiem i hamowanym wstrętem zjadł kilka łyżek polewki. Pollis, aby załagodzić sytuację, opowiedział, znaną zresztą wszystkim, anegdotę o królu Edypie i sfinksie. Amfares miał w zapasie nowsze historyjki o Macedonii i jej królu, Antygonie Gonatasie. Ponieważ Sparta zawsze żywiła nienawiść do Macedonii i jej królów, więc złośliwe anegdoty Amfaresa zyskały ogólne uznanie.

Słuchając tych anegdot Agis już od dłuższego czasu przyglądał się jednemu z usługujących chłopców. Wysoki, szczupły, wyglądał na lat czternaście, a miał zapewne znacznie mniej. Głowę o wysokim gładkim czole i prostym, greckim nosie trzymał odrzuconą nieco w tył. Spod gęstych, czarnych brwi patrzyły orzechowe, bystre i czujne jak u dzikiego zwierzątka oczy. Zauważył, i to właśnie skłoniło go do obserwacji, że Leonidas również przygląda się chłopcu ukradkiem i marszczy czoło z tłumioną pasją. Chłopak parokrotnie zerknął w stronę królewskich stołów, ale spostrzegłszy zainteresowanie Leonidasa, odrzucił swoją hardą głowę jeszcze bardziej w tył i gorliwie zajął się usługiwaniem spartiatom. Kiedy chłopak znalazł się w pobliżu, Agis wyciągnął swój kubek i powiedział żartobliwie:

— Słuchaj no, wilczku, przynieś mi kubek wina.

Chłopak spojrział prosto w twarz Agisa, uśmiechnął się, w oczach jego zapaliły się złote iskierki.

— Rozkaz, dostojny królu.

Wziął kubek i podszedł do krateru, z którego ejren zaczerpnął łyżką na długim trzonku wina zmieszanego z wodą i nalał do kubka.

— Widzę, że nam obu podoba się ten chmurny chłopak — Agis zwrócił się do Leonidasa. — Musi to być czupurny kogucik.

Leonidas warknął coś gniewnie. Kiedy chłopak stawiał kubek przed Agisem, zapytał go po przyjacielsku:

— Jak się nazywasz, wilczku?

Chłopak drgnął, spojrział płochliwie na Leonidasa.

— Kleomenes — powiedział nieoczekiwanie Leonidas.

Agis zawstydził się swego pytania. Kleomenes, syn Leonidasa. Że też wcześniej nie domyślił się tego. Słyszał o niesnaskach rodzinnych w domu Leonidasa i o kłopotach z następcą tronu, Kleomenesem. Podobno krnąbrny i uparty chłopak nie poddał się wychowaniu, jakie narzucił mu ojciec. Leonidas kazał mu trefić włosy, ubrał go w kosztowne, haftowane złotem stroje, czerwone sandały. Chłopak obciął sobie włosy, stroje oddał siostrze, sandały matce i uciekł do gimnazjonu. Leonidas chciał go stamtąd odebrać i przykładowo ukarać, ale sprzeciwiła się temu stanowczo matka chłopca, a żona Leonidasa, królowa Kratezykleja.

— Twarda szkoła życia to najlepsze przygotowanie do rządzenia — powiedział nieopatrnie Agis i zaraz pożałował tego. Leonidas spojrział na niego z nienawiścią i odpowiedział:

— Sparta stała zawsze posłuszeństwem swych synów. Ten, kto nie umie w młodości słuchać ojca, nie potrafi rządzić w wieku dojrzałym.

— Chcielibyśmy nareszcie usłyszeć znakomitego mędrca Sfajrosa — Pollis znowu próbował ratować sytuację.

Sfajros zaczął mówić. Umiał budować piękne zdania, mówił ciekawie i porywająco. Ale więcej o Solonie niż o Likurgu. Wytłumaczył się, że jeszcze za mało zna historię Sparty, by mówić wyczerpująco o tak wielkim mężu, jak Likurg, ale to, czego się już dowiedział, jest warte najwyższej uwagi, postanowił więc napisać dzieło poświęcone jego reformie. Ma nadzieję, że mądrzy mężowie Sparty pomogą mu w tym zbożnym trudzie.

Dyplomatyczne przemówienie Sfajrosa przyjęto z wielkim zadowoleniem. Kilku biesiadników zaoferowało się opowiedzieć filozofowi różne wydarzenia z dziejów Sparty, które słyszeli od swoich ojców i dziadków. Może by znakomity mąż napisał również dzieło o historii Sparty? Sfajros obiecał się nad tym zastanowić.

Teraz przyszła kolej na mniej poważną część uczty. Fleciści zagrali kilka melodii, a potem Amfares zachęcony przez zebranych zaczął śpiewać przy dźwiękach liry podarowanej mu przez Agisa.

Uciszyli się wszyscy. Amfares przebiegł palcami po strunach i zaczął niskim, pełnym, o nieporównanej barwie i melodyjności głosem:

*Śpią gór wierzchołki i urwiska,
Przedgórze i dolina bliska.
Śpi ród pelzaczów, co się pleni
Na czarnym lonie matki ziemi,
Górska zwierzyna i pszczół roje,
Potworów morskich szczep obrzydły,
Śpi ptaków ród szerokoskrzydły.*

Od paru wieków twórca tej pieśni cieszył się nie słabnącą popularnością wśród śpiewaków i słuchaczy Sparty. Żadna biesiada, żadna uroczystość połączona z występami chórów nie mogła się obejść bez pieśni twórcy liryki chóralnej, Alkmana. I teraz, kiedy Amfares skończył wśród oklasków, kilka głosów podjęło pieśń *Do Artemidy w orszaku Dionizosa*, po czym bardziej bojowo nastroszeni zaśpiewali wezwanie do boju Kalliriosa. I tak na zmianę śpiewał Amfares jedną zwrotkę, odpowiadał mu zgodny męski chór drugą zwrotką, dopóki nie wyczerpali całego zapasu pieśni, śpiewanych od wielu pokoleń.

Agis śpiewał razem z chórem. Widział utkwione w siebie chmurne oczy Kleomenesa. Chłopak patrzył na niego uparcie, przenikliwie, jakby chciał poznać wszystkie jego myśli, a nawet uczucia. Agis uśmiechnął się do niego, ale Kleomenes nie odpowiedział uśmiechem. Po chwili Agis zrozumiał dlaczego: Leonidas też mu się przypatrywał. W twarzy jego były złość i nienawiść.

SĘDZIA

Dziesiątego dnia po zaprzysiężeniu Agis zasiadł na krześle sędziowskim w małym budynku sądowym, znajdującym się obok eforejonu i świątyni boga strachu, Fobosa. Sprawy, na których im zależało, przesunęli eforowie na czas urzędowania Leonidasa, bo z nim łatwiej się mogli dogadać. Sprawy błahe, bądź też niemile czy obojętne, podsunęli Agisowi.

Znalazły się dwa oskarżenia o bezbożność. Jeden ze spartiatów zabronił żonie złożenia ofiary Helenie trojańskiej, której to świątynia cieszyła się wielkim wzięciem u kobiet spartańskich, drugi zaś spartiat wyśmiewał Gelosa, boga uosabiającego śmiech. Agis skazał obu oskarżonych na niewielką grzywnę, którą mieli złożyć w formie libacji na ołtarzu Zeusa Lacedemońskiego. Potem była sprawa motaka, nieślubnego syna spartiaty i helotki, o adopcję. Sprzeciwiała się żona spartiaty, kobieta starsza już i bezdzietna. Chłopak przeszedł wychowanie państwowe, więc Agis powołując się na dobro Sparty, której potrzeba silnych i młodych mężczyzn, uznał adopcję.

Kolejną sprawą był spór o dziedziczenie. Jako oskarżona stanęła przed Agisem młoda, szesnastoletnia dziewczyna Proknis ze swym narzeczonym Migdonem. Oskarżał ich Megillos, starzec liczący ponad siedemdziesiąt lat.

Ojciec dziewczyny zaręczył ją z Migdonem, ślub wyznaczono w miesiącu małżeństw — Gamelionie. Tymczasem dwa tygodnie temu ojca narzeczonej rozszarpały dziki, kiedy z łukiem poszedł na polowanie w góry Tajgetu. Po jego śmierci jako kandydat na małżonka dziewczyny zgłosił się najstarszy brat zmarłego, sędziwy Megillos, wdowiec od lat dwudziestu. Według prawa spartańskiego miał prawo, jako najbliższy krewny zmarłego, do dziewczyny i do klerosu, który został w spadku. Dziewczyna szlochała, że nie chce takiego starca, chłopak stał, ponuro opuściwszy głowę, a stary skrzekliwym głosem domagał się uznania swoich praw.

— Czy masz jeszcze jakiegoś krewnego — król Agis zwrócił się do dziewczyny — którego chciałabyś na małżonka?

— Chcę tylko Migdona — odpowiedziała dziewczyna i rzuciła się do nóg Agisa z płaczem.

— Wstań — rozkazał surowo Agis. — Spartanka nie powinna klękać przed mężczyzną, nawet gdy to jest sędzia.

— Ma jeszcze dwóch stryjów, młodszych braci ojca, ale obaj żonaci. Ich synowie to chłopcy nieletni — wyjaśnił herold, którego obowiązkiem było wywoływanie oskarżonych i referowanie sprawy sędziemu.

— Panie, królu i sędzio nasz! — zawołała dziewczyna. — Będę miała dziecko z Migdonem. Nie odbieraj mu ojca!

— Eforowie na pewno uznają dziecko za niewydarzone — prędko powiedział staruch. — Nasze prawa mówią, że kleros nie może przejść w obce ręce.

Agis zamyślił się. Bezsprzecznie należy pomóc młodym. Takie miłe robią wrażenie. A ten staruch jest okropny. Ale jak im pomóc, nie łamiąc odwiecznych praw?

— Ilu masz synów, starcze?

— Jednego.

— Żonaty?

— Tak. I ma dwoje dzieci,

— Ile masz klerosów?

— Jeden.

— A twój syn?

Stary odpowiedział niechętnie.

— Też jeden.

— Więc widzisz, macie wystarczająco. A ty, młodzieńcze, masz kleros?

— Nie mam, dostojny sędzio. Mój ojciec należał jeszcze do równych. Ale zadłużył się, kiedy szedł na wojnę, gospodarka podupadła, bo matka ciągle chorowała. Kiedy ojciec wrócił, musiał oddać kleros. I umarł ze zmartwienia. A ja nie należę już do równych, nie miałem nawet tyle, by wnieść swój udział na syssitię. Dzięki tobie, dostojny królu, mogłem wziąć udział w uroczystej, pierwszej mojej syssitii, którą ty zaszczyliłeś swoją obecnością.

— A jaki jest twój kleros, dziewczyno?

— Bardzo dobry, panie nasz. Mój ojciec umiał obchodzić się z helotami. Szanowali ojca i dobrze pracowali. Myśmy mieli, co nam należne, heloci mieli swoje. I mego narzeczonego nauczył rządzić. Migdon na wiosnę skończył agoge i przyszedł do nas, bo nie miał gdzie mieszkać. I mieliśmy w Gamelionie brać ślub, ale spadło na nas to nieszczęście. Sądź, dobry panie, naszą sprawę tak, jakby bóg ją rozsądzał. Gdy byłam mała, bogowie zabrali mi matkę, teraz straciłam ojca. Jedyne bliski mi człowiek to Migdon.

Dziewczyna mówiła śmiało, rezolutnie, widać było, że o prawo do swego szczęścia walczyć będzie zajadle. Chłopak rzucał na nią ukradkowe, pełne podziwu i miłości spojrzenia. Staruch mełł bezzębnymi ustami, jakby połykał wyzwiska, których nie odważył się powiedzieć głośno.

Agis z zakłopotaniem przekładał z ręki do ręki krótką laskę ze złotą galką, oznakę władzy królewskiej i sędziowskiej. Czym kierowałby się jego ojciec, rozsądzając taką sprawę? Życzliwością dla młodych czy poszanowaniem starych praw? Dobrem państwa? Tak, to jest najważniejsze.

— Decydujemy — powiedział uroczyście — w imieniu Zeusa Lacedemońskiego, strażnika praw i opiekuna państwa, sprawę rozsądzić tak, by przyniosła największą korzyść Sparcie i była zgodna z prawem.

Staruch zasapał z zadowolenia. Z korzyścią dla Sparty i zgodnie z prawem? To oczywiście chodzi o niego. Chłopak spuścił jeszcze niżej głowę. Dziewczyna błagalnym gestem złożyła dłonie, zawisła spojrzeniem na ustach Agisa.

— Podstawą potęgi państwa jest zdrowa rodzina — mówił dalej Agis. — Fundamenty potęgi Lacedemonu założył Likurg, dzieląc wszystką ziemię lacedemońską na równe klerosy między równych spartiatów. Potęga państwa zachwiała się, kiedy zniknęła równość wśród spartiatów, kiedy kleros przestał być podstawową jednostką gospodarczą, na której opiera się byt równych. Dołożymy wszelkich starań, by kleros znów stał się podstawą bytu spartiatów. Chwałą Sparty było posłuszeństwo i szacunek dzieci dla rodziców. Starcze, wiesz dobrze o tym, że nikt, nawet sędzia, nie ma prawa zmieniać woli zmarłych, dlaczego więc wystąpiłeś przeciw zmarłemu bratu swemu? Czy nie boisz się Srebrny Łuk Dzierżącego Apollina, który ściga tych, co łamią świętą wolę zmarłych? Migdonie, rozkazuję ci w miesiącu Gamelionie zawrzeć śluby z twoją narzeczoną, stosownie do woli jej ojca. Tak zarządzam zgodnie z wolą bogów i świętymi prawami Sparty!

Szmer przeleciał przez salę. Szmer ulgi i zadowolenia. Agis wyczuł, że opinia zebranych jest po jego stronie, po stronie młodych, że aprobują wyrok królewski. Staruch klnąc i złorzecząc młodym wycofał się między małą grupkę niezadowolonych, widocznie członków swojej rodziny.

Dziewczyna i chłopak pochyłili się w podzięcie do nóg Agisa.

— Co robicie? — powiedział zmieszany. — Nie zapomnijcie zaprosić mnie na weselsko.

— O, królu! — zawołała radośnie dziewczyna. — Sam Zeus nie sprawiłby nam większej radości swoim przybyciem na nasz ślub, niż ty, dostojny! O, dzięki ci, jasny panie!

— Czy to już wszystko na dzisiaj? — Agis zwrócił się do herolda, który szeroko rozśmiany przyglądał się młodym.

— Tak jest, dostojny. Są jeszcze... — herold zawahał się, zawiesił głos. — Kilku młodych spartiatów prosi o posłuchanie...

— Niech przyjdą — rozkazał krótko Agis.

Z kąta sali podeszło do sędziowskiego stołu kilku młodych ludzi. Pokłonili się z godnością, przystanęli patrząc nieuleknie w oczy królewskie. Agis pomyślał, że wszyscy są od niego starsi, kto wie, może nawet czują nad nim przewagę swoich lat. Jakże gorąco pragnął mieć choćby o pięć lat więcej!

— Mówcie — rozkazał.

Z grupki, poszturchnięty przez współtowarzyszy wysunął się Klonas. Agis go znał, był to najlepszy łucznik wśród młodzieży spartańskiej.

— Królu nasz, sędzio i panie! — rozpoczął Klonas. — Z woli i łaski twojej wielu z nas miało szczęście zasiąść znowu przy wspólnej wieczerzy. Między innymi ja również. Ale to potrwa do nowych zbiorów, a my chcielibyśmy stale być pełnoprawnymi obywatelami, należąc do równych. Nie mamy klerosów. A tymczasem są wolne klerosy, które nam się należą.

— Wolne klerosy? — zdziwił się Agis. — Gdzież one są?

— W tymczasowym zarządzie eforów i króla Leonidasa.

— Jak to?

— Eforowie zdecydowali, że klerosy bez dziedziców pozostaną ziemskim funduszem dyspozycyjnym państwa.

— Tak zawsze było.

— Tak, królu. Ale nie przetrzymywano ich długo bez obsadzenia. Drogą losowania przydzielano tym, którzy mieli prawo ubiegać się o nie.

— Rozpatrzę tę sprawę — tłumiąc oburzenie powiedział Agis — i postawię na najbliższym posiedzeniu Rady Starców.

— Dziękujemy ci, dostojny panie.

Agis już chciał odejść, ale zgłosili się periojkwowie z prośbą o pomoc. Eforowie przerzucili na nich obowiązek dostarczania oliwy dla gimnazjonu. Przedtem tę oliwę dostarczały bogate domy Sparty, teraz uchyliły się od tego obowiązku. Oni, periojkwowie, zawsze są gotowi do wszelkich świadczeń na rzecz państwa, proszą jednak, by nie dorzucano im nowych, które są od wielu pokoleń sprawą spartiatów. Agis wytłumaczył im łagodnie, że nie ma prawa zmieniać decyzji eforów, porozmawia jednak z nimi o tych sprawach i jeśli oni uznają to za stosowne, zmienią swoje zarządzenie.

Wyszedł z budynku sądowego na zalany słońcem plac przed agorą. Jesień, jak zwykle w Sparcie, była ciepła i pogodna. Czasem przeleciała burza lub gwałtowny deszcz, poza tym niestrudzone słońce grzało spartańską ziemię. Agis szedł zamyślony, nie zawsze spostrzegając życzliwe uśmiechy i niskie ukłony mijających go przechodniów. W imię Likurga rozsądził dziś sprawę młodych. W imię Likurga walczyć będzie o przywłaszczone klerosy. To imię będzie jego zawołaniem, kiedy wystąpi z projektem zmian. Jakich zmian? Nie wiedział jeszcze. Czuł, że trzeba wiele zmienić, aby uchronić Spartę przed zgubą, ale ogarniały go bezradność i lęk.

Odsuwała się daleko wizja pięknej Sparty, zabudowanej wspaniałymi świątyniami, pełna dzieł sztuki. Twarde, szare i ciężkie zadania stoją przed nim. Odbudowa egzystencji, ludzkiego bytowania tych rzesz spartiatów, z których nędzą styka się co dnia. Z nędzą i krzywdą. Kto poprze go w tych zamiarach? Łagodny jak dziecko, żyjący w świecie złudy Ksenares? Jakże inaczej widział teraz swego mistrza przez pryzmat doświadczeń stawiającego pierwsze kroki młodego króla. Niech filozofowie rządzą światem albo niech królowie zaczną filozofować. Czy każda filozofia zdolna jest rządzić światem? Idealistyczna filozofia Ksenaresa dobra byłaby dla idealnych ludzi. Ale czy dla idealnych ludzi potrzebny byłby jakikolwiek rząd, jakikolwiek władza?

Zamiast do swego dworu, Agis skierował kroki do gaju oliwnego, gdzie w przydzielonym mu domku zamieszkał Sfajros. Filozof siedział na drewnianej ławeczce przed domem i wygrzewał się w jesiennym słońcu. Ucieszył się, zobaczywszy Agisa. Powstał na jego widok i zawołał:

— Witaj, królu Sparty. Myślałem, żeś już o mnie zapomniał.

— Byłem bardzo zajęty. I jestem bardzo zmęczony tymi kilkoma dniami królowania. Nie myślałem, że to będzie takie ciężkie.

Usiadł na ławeczce obok Sfajrosa, splótł dłonie i oparł je na kolanach. Sfajros spod oka obserwował jego zmęczoną, pobladłą twarz, cienie pod czarnymi, przygasłymi oczami. Milczał.

— Nic mi nie powiesz, Sfajrosie?

— Co ci mam mówić?

— Poradź mi. Gubię się. Wiem, że trzeba dla Sparty dużo zrobić. Wydaje mi się, że cała Sparta stoi jak skazaniec nad przepaścią Kaiadas. Niech silniejszy wiatr zawieje, zdmuchnie z karty dziejów Spartę. A ja jestem bezsilny. Sam.

— Czy nie przesadzasz, mówiąc o ciężkim położeniu Sparty?

Agis zaczął opowiadać o swoich odkryciach, kiedy się przygotowywał do „mowy tronowej”, o nędznym wyglądzie spartiatów, o chciwości eforów i bogaczy spartańskich.

Sfajros słuchał uważnie. Skinał na kręcącą się przy domu helotkę i ta po chwili przyniosła dwa kubki i dzban z wodą zaprawioną winem. Podał Agisowi napełniony kubek, sam wziął drugi.

— Upalną mamy jesień — wtrącił mimochodem i słuchał dalej uważnie, popijając małymi łykami. Siwe oliwki dawały słaby cień, od ziemi nagrzanej słońcem szedł zapach suszonych ziół. W powietrzu brzęczały pszczoły.

Kiedy Agis skończył, Sfajros zapytał:

— Ilu masz wiernych przyjaciół, Agisie?

Agis zdziwił się:

— Po co ci to potrzebne?

— Odpowiedz najpierw na moje pytanie.

— Znasz ich wszystkich — odpowiedział z uśmiechem Agis. — Bardzo mi oddany jest Damochares. Czasem mnie zawstydza jego bałwochwalcze uwielbienie, ale czyni to z naiwności. Poza tym Amfares... Też mi dużo zawdzięcza i mogę ręczyć za jego wierność. Lizandros... Również go mogę uważać za przyjaciela. Ale tak naprawdę szczerze to mnie kocha Mandroklejdas, bezinteresownie, bez wyrachowania, jak brata. Niestety zbyt często eforowie wysyłają go z poselstwem do różnych krajów. Sprzyja mi Arkezylaos, dowódca drużyny królewskiej, dość interesowny młodzieniec. Będzie się mnie trzymać, bo dobrze jest mieć króla przyjacielem.

— Niewiele — mruknął Sfajros. — Mówiąc szczerze, nie bardzo podobają mi się ci twoi przyjaciele. Mózg Damocharesa poszedł w mięśnie, Amfaresa w gardło. Nie tylko ładnie śpiewa, ale i dobrze pije. Lizandros, owszem, wydaje mi się wartościowym człowiekiem i chyba go nie doceniasz, Agisie. Poseł Mandroklejdas — tak, to wspaniały człowiek, ale cóż, może ci go zabraknąć w najważniejszym momencie... Ale chyba nie wymieniałeś wszystkich?

— Jest jeszcze Hippomedont, syn mego wuja, brata matki... No, ale to przecie rodzina...

— A wuj?

Agis skrzywił się i nic nie odpowiedział. Nieprzyjemnie jest mówić źle o swojej rodzinie. A o wuju Agezylaosie trudno powiedzieć choć jedno dobre słowo.

— Więc Hippomedont — powiedział Sfajros, jakby nie zauważył milczenia Agisa. — Czy to człowiek o szerokim umyśle?

— Polemarcha. Widziałeś go na syssitii. Młodzież go uwielbia, uważa za bohatera.

— To ważne — powiedział Sfajros. — To bardzo ważne. Słyszałem, że żyje w Sparcie

dość popularny filozof, Ksenares. Podobno to twój mistrz?

— Tak. To człowiek szlachetny i czysty. Ale głowę nosi w obłokach...

— „I ty, młody przyjacielu, choć starasz się iść po ziemi, głowę nosisz w obłokach — pomyślał Sfajros i spojrzał serdecznie na Agisa. — Wśród królów nie trafiają się tacy, jak ty”.

— Wypytywałeś się o moich przyjaciół — powiedział Agis i w głosie jego zabrzmiał zawód — ale żadnej rady mi nie udzieliłeś.

— Właśnie jej szukam. A gdybym ja tu założył szkołę filozoficzną? Co myślisz o tym, Agisie?

— Eforowie nie pozwolą. Mimo że jesteś moim gościem, mogą cię uznać za uciążliwego cudzoziemca i wydalą z Sparty. Zresztą spartańskie głowy za twarde do filozofii. Ale co to ma wspólnego z moimi planami?

— Widzisz, Agisie, trzeba pod jakimś pretekstem zebrać ludzi, którzy by chcieli zmian w Sparcie...

— Eforowie mogą to uznać za spisek.

— To musi być jak najbardziej legalne, Agisie. Może w takim razie wykłady z literatury? Zaczniemy od Homera...

— Homera do znudzenia wałkują w gimnazjonie. Niejeden ejren, nawet przebudzony o północy, mógłby wyśpiewać całe dwanaście ksiąg Iliady...

— W takim razie, Agisie, może się zgodzisz, że zaproszę na sympozjon ciebie, twoich przyjaciół i jeszcze paru najświetlejszych ludzi... Jak myślisz, eforowie znajdą w tym coś złego?

— Nie. Raczej uznają to za właściwy krok z twojej strony. Przyjechałeś, musisz dać się poznać.

— Ale — powiedział z wahaniem Sfajros — czy to cię zanadto nie obciąży? Chciałbym jakoś zarabiać...

— Obmyślimy coś. Nie jesteś dla mnie żadnym ciężarem. Było to szczęśliwe zrządzenie Tyche, żeśmy się spotkali.

— Szczególnie dla mnie szczęśliwe — uśmiechnął się Sfajros. — Gdyby nie ty, na pewno prowadziłbym uczone dysputy ze swymi wielkimi poprzednikami w Hadesie.

— Już mam! Będiesz moim doradcą w sprawach majątkowych.

— Nie znam się na tym.

— Nie szkodzi. To dla eforów. Dla mnie będziesz doradcą w sprawach reformy w Sparcie.

— Nie wiem, czy potrafię.

— Ja też nie potrafię. Ale jedno wiem: obudziłem nadzieję w sercach spartiatów. I drugie: muszę zrealizować swoje marzenie o pięknej Sparcie. Pięknej duchem. Ateny podbiły świat swoją sztuką i nauką, Sparta niech zwycięża szlachetnością swoich czynów. Na budowę pięknej Sparty nie starczyłoby mi środków. Budować może tylko zgodnym wysiłkiem bogate społeczeństwo. Więc najpierw trzeba usunąć nędzę ze Sparty.

— Nędza jest na całym świecie, Agisie.

— Kraj, który ma tak żyzne ziemie, rozległe lasy w Tajgocie, w bród dzikiej zwierzyny, powinien dostatnio wyżywić swoich obywateli...

Rozmawiali jeszcze długo, Agis powoli uspokajał się, nabierał otuchy. Sfajros umiał pocieszać, ukazywać jasne strony życia. Umówili się, że w najbliższym czasie Sfajros urządzi sympozjon.

W drodze do dworu Agis spotkał Lizandrosa. Przyjaciel był jakiś przygaszony, powitał Agisa bez zwykłej wesołości i siedł obok niego milcząc ponuro.

— Co ci doskwiera, przyjacielu? — zapytał Agis.

— Nic, królu.

— Czemuś taki ponury? Jeszcze w Atenach obiecywałeś wkrótce urządzić weselisko,

może teraz żałujesz kawalerskiej wolności?

— Nie mam zamiaru się żenić.

— O... nie chcesz już Agiatis?

— Jej ojciec odmówił. Powiedział, że Agiatis już zaręczona.

— Któż jest tym szczęśliwcem?

— Nie wiem. Gilippos nie chciał powiedzieć, ale ja się domyślam.

— Powiedz mi więc.

— Nie mogę — odpowiedział Lizandros.

— Szkoda. Może udałoby mi się wytłumaczyć tamtemu, by nie wchodził ci w drogę.

Lizandros przystanął, popatrzył dziwnie na Agisa i nie odpowiadając skłonił się i odszedł spiesźnie.

MATKA

Sympozjon u Sfajrosa, zgodnie z szeptaną opinią, był prawdziwą uczną pijaków. Podobno wszyscy się upili, a Sfajros i Ksenares tańczyli nago, dając gorszący przykład zebranej tam najznakomitszej młodzieży Sparty. Ubolewały nad tym dostojne damy spartańskie i czekały, że eforowie wystąpią z całą surowością niezłomnych stróżów moralności. Ale nawet efor eponymos Ajnejzas uśmiechał się pobłażliwie, gdy żona i jej przyjaciółki żądały ukarania rozpustników.

— Nic rozpustnego tam się nie zdarzyło — odpowiedział zgorszonym damom. — Na waszych babskich przyjęciach też nieraz sobie zanadto pozwalacie. Pamiętacie, jak się upiła Timea na urodzinach Chryze? Mężczyźni muszą czasem popić, aby wyładować nadmiar myśli i energii. Za naszą wiedzą i wolą ta uczta była tak wesoła, spełniła też pokładane w niej nadzieje.

Ajnejas nie wyjaśnił, dlaczego eforom odpowiadał ten pijacki charakter uczty i jaki cel osiągnęli, ale jego odpowiedź powtarzali jedni drugim i opinia jakoś się uspokoiła.

Co najdziwniejsze, pogłoski o wesołej uczcie rozpuścili najwierniejsi przyjaciele Agisa, Amfares i Damochares, którzy przechwalali się, jak to sobie zdrowo wszyscy popili. Opowiadali, że Sfajros i Ksenares też dali upust powszechnej wesołości, śpiewając i tańcząc, ale wcale nie nago, tylko w chitonach, które co prawda były dość krótkie i zbyt nie osłaniały rozswawolonych mężów.

Agis bardzo się rozgniewał, gdy doszły go te plotki i chciał skarcić obu przyjaciół, ale uspokoił go Mandroklejdas.

— To ja podsunąłem im ten pomysł o pijaństwie. Pod pozorem zabawy możemy się zbierać i omawiać ważne sprawy. Uspi to czujność eforów i Leonidasa. Twoja mowa tronowa bardzo im załazła za skórę. Obawiają się, że to dopiero początek twoich planów.

— Nie mylą się — uśmiechnął się Agis.

— Tym bardziej należy ich uspokoić. Podzielam twoje marzenia o zbudowaniu lepszej Sparty. Ale to bardzo trudna sprawa. Musimy wolno i z rozmysłem stawiać każdy krok. Plan nasz rozłożyć na długi czas...

— Cierpliwości mi nie starczy.

— Musi starczyć, drogi Agisie. Eforowie przystali kilku szpiegów na sympozjon do Sfajrosa i dobrze się stało, żeśmy tam nic nie mówili o naszych planach czy marzeniach. Teraz eforowie i Leonidas uspokoił się trochę. Myślą, że wrócisz do beztrudnego życia jak w Atenach i cieszą się.

— Tak, nie rozumiałem, dlaczego eforowie przychylnie wczoraj rozmawiali ze mną i zgodzili się rozpatrzyć sprawę tych nieprawnie wykorzystywanych przez Leonidasa i jego sojuszników klerosów.

— Nowi eforowie nie ciągną z tego korzyści, bo te klerosy zagarnęli ich poprzednicy, więc zgodzą się zapewne na odebranie i przydzielenie zasłużonym spartiatom. Ukartowali to już z Leonidasem. On sam na najbliższym zebraniu Rady Starców ma szlachetnym gestem zwrócić przez siebie zagarnięte klerosy.

— Cóż mu z tego przyjdzie? Przecie wszyscy wiedzą o delegacji młodzieży, która do mnie przyszła z tą sprawą.

— Tak, ale gdyby nie zechciał dobrowolnie zwrócić, sprawa nie byłaby łatwa do wygrania. Można wynaleźć tysiąc kruczków i odwlekać w nieskończoność. Zobaczysz, jak on pięknie opowie o swojej bezinteresowności, gdy brał klerosy pod opiekę. Ile one na tym zyskały!

— Raczej on zarobił — powiedział Agis z niesmakiem. — Nie mogę zrozumieć chciwości ludzkiej. Dlaczego ludzie zagarniają więcej, niż potrafią zużyć? Troska o zachowanie nagromadzonego bogactwa spędza chciwcom sen z powiek. Wybieram się teraz do matki, może pójdiesz ze mną?

Mandroklejdas popatrzył wyczekująco, więc Agis dodał:

— Dziś trzydziesty dzień od śmierci mego ojca. Pójdziemy złożyć libację na grobie, a potem zjemy wspólnie wieczerzę.

— Dobrze, ale przyjdę trochę później, mam jeszcze do załatwienia pewną sprawę w eforejonie.

Wyszli razem z dworu Agisa i rozstali się za bramą. Agis skręcił na ścieżkę wiodącą do domu matki. Na dziedzińcu ujrzał sporą gromadkę ludzi, wśród nich matkę. Agis zdziwił się. Do królowej zbliżył się stary zarządca majątków królewskich Manes i powiedział kłaniając się nisko:

— Dostojna królowo, przynieśliśmy libację dla króla Eudamidasa. Racz przyjąć od nas wino, oliwę i mleko.

— Dziękuję wam, moi drodzy.

Matka była wzruszona pamięcią wiernych sług. Agis stanął obok niej, popatrzył na twarze zebranych. Wszystkich ich znał. Pamiętał, że byli już starzy, gdy on był jeszcze dzieckiem. Wielu z nich było helotami, król Eudamidas oddał ich synów do gimnazjonu, dzięki niemu przeszli do klasy obywateli neodamodów, niektórzy nawet zostali równymi za zasługi poniesione dla państwa. Byli wierni, pozostaną wierni, do śmierci związani z królewskim rodem. Krąg przyjaciół jest znacznie szerszy, niż mówił Sfajrosowi, niestety nie odgrywają oni wielkiej roli w państwie.

— Ja wam również dziękuję za pamięć o moim ojcu, dostojnym królu Eudamidacie — powiedział Agis. — Przyjdźcie dziś wieczorem, ugoszczę was na cześć zmarłego ojca. A teraz żegnam was.

Agis z matką poszli do ogrodu, gdzie stary ogrodnik ściął wszystkie róże i ułożył w dużym koszu. Kazali służebnym helotkom zabrać kwiaty, lecyty z winem, oliwą i mlekiem, i pójść do grobowców królewskich. Królowa z młodszym synem, Archidamosem, pojechała kwadrygą, Agis na Wicherze. Ofiara nie trwała długo. Wylali płyny do dużego lecytu bez dna, który stał na grobowcu, umaili cały grobowiec kwiatami. Agis odmówił okolicznościowe modlitwy i wrócił do dworu. Archidamosa królowa odesłała do swoich komnat i kazała podać mu śniadanie. Do Agisa powiedziała:

— Chciałabym z tobą, synu, porozmawiać w megaronie. Jest to najodpowiedniejsze ze względu na swą szacowność miejsce w twoim dworze.

— Dobrze, matko, chodźmy.

Usiedli pod kolumną zwróciwszy twarzami w stronę domowego ogniska, na którym leżała

tylko kupka wygasłego popiołu. Jesień była ciepła, nie trzeba było dogrzewać domu.

— Słuchaj, synu, dziś mam ci przekazać ostatnią wolę ojca. Tak kazał — w trzydzieści dni od tamtych smutnych chwil. Wybacz mi, że muszę to uczynić, ale nigdy nie sprzeciwiałam się jego woli.

— Ja też, matko, zawsze go słuchałem pilnie. Nie przez przymus, ale z własnej woli, bo co ojciec postanowił, było słuszne. Tym bardziej chciałbym być posłuszny teraz.

— Lżej mi zacząć rozmowę słuchając tego, co mówisz. Otóż trzy dni przed swoją śmiercią Eudamidas wezwał mnie i zaczął wtajemniczać w trudne sprawy państwowe. Byłam wystraszona, że powierza mi takie tajemnice. Zauważył mój niepokój i powiedział łagodnie:

— Chcę, abyś wiedziała, jaka jest sytuacja Sparty. Tylko dobrze znając nasze położenie, będziesz mogła w ciężkiej chwili służyć radą Agisowi. A niejedną raz staną przed nim zadania przerastające siły jednego człowieka. Niech wie, że twoja miłość i moja stoją przy jego boku. Staraj się zjednać dla niego życzliwych ludzi. Szczególnie wśród najmożniejszych rodów Sparty.

— Ja chciałbym zyskać przyjaźń ludzi biednych — powiedział Agis — wydają mi się szczerzy, sprawiedliwi.

— Miłą jest przyjaźń ludzi biednych, ale słaba to podpora dla tronu.

— Tysiąc serc biedaków znaczy więcej niż poparcie jednego możnowładcy.

— Gdybyż tak było w istocie, synu. Otóż pozwól, że ci wyjaśnię ostatnią wolę ojca. W kilka dni po twoim wyjeździe do Aten ojciec udał się do Gilipposa.

— Tego bogacza?

— Tak. Nie wyjawiał mi powodu tej wizyty. Milczał, aż do tej pamiętnej rozmowy. Wtedy mi powiedział, że zawarł kontrakt przedślubny z Gilipposem, złożył mu podarki w twoim imieniu.

— Co? — Agis zerwał się wzburzony. — Mam się żenić?

— Tak, Agisie — powiedziała łagodnie królowa. — Ślub z Agiatis weźmiesz w miesiącu Gamelionie.

— Ależ ja nie chcę się żenić!

— Musisz. To wola ojca, Agisie.

Agis spuścił głowę. Wola zmarłego ojca. Czy w całym państwie znalazłby się syn, który odmówiłby spełnienia tej woli? Teraz rozumie zachowanie Lizandrosa, jego spojrzenie. Uważał go za hipokrytę. Przypomniawszy sobie rozmowę z przyjaciółmi w Atenach. Ten czwarty... Pomyślał, że już wtedy wiedział, że kpił z nich. Nie może poniżyć się do tłumaczenia, do wyjaśniania sprawy. Na bogi, jest przecież dorosły, jest królem, który decyduje o wielu sprawach państwowych, czyż nie ma prawa decydować o swoim osobistym życiu?

— A jednak, matko, nie mogę się żenić z tą dziewczyną. Kocha ją Lizandros, mój przyjaciel.

Królowa Agezystrata spojrzała twardo w oczy syna. Dolna warga jej ust wysunęła się nieco naprzód nadając jej twarzy wyraz stanowczości i surowości.

— Agiatis była wolna, kiedy król, twój ojciec, rozmawiał z Gilipposem. A teraz nie jest wolna. Nikt nie jest w stanie cofnąć tego, co się stało. Czy sądzisz, że Gilippos odważyłby się zerwać zaręczyny, odesłać podarki? Złamać słowo dane zmarłemu królowi? Dać córkę twojemu przyjacielowi, bo on ją kocha?

— Jak ja spojrzę w oczy Lizandrosowi? Co ja mu powiem?

— Nic nie potrzebujesz mówić, a on nie ma prawa pytać. O twoich zaręczynach ojciec uwiadomił gerontów. Przyjęli przychylnie ten związek.

— Agiatis jest mi obojętna.

— Nikt nie pyta młodych o uczucia. Jak wiesz, rodzice decydują o małżeństwie nawet synów królewskich. Pod rozwagę bierze się dobro rodu, dobro państwa, jeżeli to jest syn królewski. Ja też pochwalam ten związek. Dziewczyna piękna, pracowita, czystych obyczajów.

Pokochasz ją. Ojciec bardzo bogaty, to jest podpora dla tronu, lepszej żony w Sparcie nie znajdziesz.

— Mnie nie małżeństwo w głowie. Mam inne plany. Jeśli kogoś trzeba będzie żałować w tym stadle, to z pewnością nie mnie. Agiatis będzie nieszczęśliwa. Powiem o tym jej ojcu.

— Nie uczynisz tego, Agisie. Za miesiąc ogłosimy twoje zaręczyny. A za dwa miesiące, w zimie, w miesiącu Gamelionie weźmiecie ślub.

— Dusza moja wdryga się na myśl o ślubie. Ten mus czyni dla mnie Agiatis wstrętą.

— Agisie, król musi mieć żonę. Jeśli nie z Agiatis, musiałbyś się ożenić z jakąś inną dziewczyną. Wiesz dobrze, jak ośmieszani są w Sparcie nieżonaci. Czy chciałbyś, aby chłopcy i tobie przypięli do płaszcza ogon szczura i śpiewali złośliwe piosenki?

— Jeszcze nie jestem starym kawalerem — uśmiechnął się blado Agis — szurzy ogon nieprędko mi grozi, a małżeństwo już teraz. Spadło to na mnie jak grom Zeusa.

— Tak, musisz się oswoić z tą myślą, Agisie. Wspominałeś mi o swoich planach, w czym mogłabym ci pomóc?

— To jeszcze nic sprecyzowanego, matko — Agis skwapliwie zmienił temat rozmowy. — Myślę, poszukuję... Pytia powiedziała, bym szanował prawa Likurga, czyste i proste obyczaje pradziadów. Tylko kto mi powie, jakie w rzeczywistości były te prawa? Przecież każdy wyobraża je sobie inaczej. Eforowie tłumaczą tak, jak dla nich wygodnie, geronci inaczej, królowie jeszcze inaczej. Kto zna te prawa bezbłędnie?

— Nie wiem, synu. W pokoju ojca stoi ogromna rzeźbiona skrzynia z drzewa cedrowego, pamiętasz ją zapewne? Zamknięta jest stale, nikt oprócz króla nie miał prawa do niej zaglądać. Oto jest klucz od niej.

Królowa podała Agisowi ciężki, pięknie cyzelowany klucz z brązu, o rączce z kości słoniowej, szerniałej już ze starości.

— W skrzyni tej znajdują się wszystkie tajne pisma i dokumenty. Liczy ona ponad sto olimpiad. Zawsze miał ją pod swą pieczę, aż do śmierci, panujący król z rodu Eurypontydów, dziedziczył wraz z godnością królewską następcą tronu. Może w niej znajdziesz odpowiedź, jakie były prawa Likurgowe w swej pierwotnej postaci?

Tak, pamiętał tę skrzynię. Zawsze napawała go lękiem. Kiedyś ojciec mu powiedział, że znajdują się w niej listy boskiej Heleny, własnoręcznie pisane. Czy jest w niej także retra Likurga? Jeśli tak, to czemu jej nie pokazano ludowi? Może nie jest w rzeczywistości taka, jaką przekazano w tradycji?

Służący wniósł połączone kubki, dzban ciepłego mleka i świeże, pachnące bułeczki.

— Taki luksus — powiedział Agis, biorąc bułkę do ręki — nauczyłem się jeść na syssitiach placki jęczmienne.

Królowa nieznacznie się uśmiechnęła:

— Pamiętam, że zawsze lubiłeś te bułeczki.

Agis zauważył uśmiezek i zachmurzył się. Nawet u matki nie znajduje zrozumienia. Uważa za dziwactwo jego wyrzekanie się wygód, przyjemności. Przecież nie robi tego dla próżnej chwały. Jeśli tysiącom Lacedemończyków wystarcza twardy, ościsty placek jęczmienny, to dlaczego on ma mieć inne podniebienie?

Królowa poczuła, że syn jest urażony. Aby zatrzeć złe wrażenie, zaczęła opowiadać o kłopotach z dzierzawcami, o kłopotach ze służbą. Nie podtrzymywał tej rozmowy, zdawało się jej chwilami, że nie słyszy, co do niego mówi. Pił kozie mleko, jadł chrupiącą, jeszcze ciepłą bułeczkę, ale zdaje się, że i z tego nie zdawał sobie sprawy. Jakby myślami przeniósł się w inny, nieznaną świat. Królowa pomyślała z niepokojem, że drogi ich się rozchodzą. Wymykał się nieprzenikniony, nieodgadniony. Jakieś reformy mu się śnią, jakieś projekty niezrozumiałe.

— Gilippos to bardzo bogaty człowiek — powiedziała po chwili — jego pieniądze mogą być pomocne w twoich planach.

— Hm — mruknął Agis — co mi przyjdzie z jego bogactw?

Czyż matka nie rozumie, że taki teść to jeszcze jedna zawalidroga? Ludzie starzy i bogacze nie lubią zmian. Bo czyż każda zmiana nie zagraża ich zasiedziałym, ciepłym gniazdom? Bogaty teść jak narowisty koń będzie wierzgał przeciw wszelkim reformom, czując w tym, słusznie zresztą, zamach na własny majątek. Reforma, która ma przynieść korzyść biedakom, uderzy w szkatuły bogaczy. Czyż może być inne, trzecie wyjście? Ten sam spartański bochen chleba, który je sto rodzin, trzeba będzie podzielić na siedemset części. Nowe ziemie mogłyby nie naruszyć stanu posiadania dotychczasowych właścicieli. Ale skąd brać te ziemie? Sparta straciła dwie trzecie klerosów meseńskich, kiedy Meseńczycy podnieśli bunt i wywalczyli sobie wolność. Odtąd zaczęły się wszystkie trudności Sparty. Odebrać znów ziemię Meseńczykom? Sparta już od wieków nie prowadzi zaborczych wojen, tym bardziej teraz, gdy jest taka słaba, ich nie rozpocznie.

Teść — trudny orzech do zgryzienia. A dziewczyna? Wychowana w zbytkach, lekko-myślna zapewne jak inne dziewczyny z bogatych domów, kochająca przepych, złoto, klejnoty? To druga kłoda pod nogi.

— Matko, ja nie mogę ożenić się z tą dziewczyną — powiedział nagle, jakby odpowiadając głośno swoim myślom.

— Jaki wyrok wydałeś, synu, w sprawie Proknis i Migdona? Zdaje się, że sprawiedliwy wyrok oparłeś na woli zmarłego ojca. Czy jako sędzia jesteś innym człowiekiem, a jako syn innym?

— Okrutne jest to, co mówisz, matko — szepnął Agis pobladłymi wargami.

— Przebacz mi, Agisie. Ale to życie jest okrutne. Serce moje jest z tobą, chociaż cię nie rozumiem. Gdybym mogła za cenę własnego życia cofnąć to, co się stało, nie wahałabym się ani chwili, mimo iż wydaje mi się, że szczęście spłynie w dom twój razem z Agiatis.

— Boję się tego szczęścia, matko. Sparaliżuje wolę moją. To, czego chcę się podjąć, może dokonać tylko człowiek wolny, którego nic nie hamuje. Później mógłbym się zenić.

— Ożenić się będziesz musiał teraz, Agisie. W miesiącu Gamelionie. Taka jest wola ojca.

SKARB RODU EURYPONTYDÓW

Z głównej sali dworu, megaronu, jednoskrzydłowe drzwi wiodły do niedużej komnaty bez okien. Była to sypialnia królewska. Agis otworzył drzwi kluczem i wszedł trzymając w ręku zapaloną lampkę oliwną. Nie był tu od dnia wyjazdu do Aten, kiedy żegnał się z ojcem. Każdy szczegół tego pokoju znał na pamięć. Nic się tu nie zmieniło i nie mogło zmienić. Odszedł jej ostatni mieszkaniec, przyszedł następca.

Można było zamknąć oczy i pójść prosto, na prawo lub na lewo i bezbłędnie mówić, gdzie się co znajduje. Na wprost drzwi, na najszerszej ścianie, zbroje królewskie, od tych najstarszych, które przypominały protoplastów-bohaterów, od wielkiego Agezylaosa, aż po zbroję króla Eudamidasa. W megaronie rozwieszane były zbroje zdobyczne, tu zgromadzone były te najczęściej używane, częstokroć wyszczerbione w bojach, wysłużone stare tarcze i hełmy, zużyte miecze, ciężkie łuki. Wszystkie one mówiły o pełnym trudu i walki życiu królów spartańskich. Jedna zbroja w wieńcu laurowym wykutym z brązu wisiała osobno — to zbroja króla Kleombrotosa, który padł w walce z Tebańczykami. Pod tą samą ścianą umieszczony był mały ołtarzyk Dioskurów, synów Tyndareusa, boskich bliźniaków, protoplastów i opiekunów rodu. Po prawej stronie głównej ściany wisiały znaki i godła władzy kapłańskiej i

sędziowskiej króla, złota laska, łańcuchy i bransolety, tu też stały skrzynie zawierające skarbiec i archiwum królewskie. Pod lewą ścianą znajdowało się proste spartańskie łóżko przykryte żółtą narzutą ze skór lisich, nad łóżkiem rozmieszczone skóry dzików i rysi, rogi jelenie, trofea myśliwskie królów. Złożony stoliczek obok łóżka, na nim lampka oliwna, którą Agis również zapalił. Na łóżku nieduża poduszka, wgnieciona pośrodku w okrągły dołek — ostatni ślad spoczywającej na niej głowy króla Eudamidas. Agis stanął przed łóżem ojca, pochylił się i z rękami opuszczonymi wzdłuż bioder stał chwilę w milczeniu, w ten sposób oddając jeszcze raz hołd zmarłemu. Potem podszedł do ołtarza Dioskurów, sypnął na przygotowaną w tym celu tackę łyżkę kadzidła, zapalił od płomyka lampki oliwnej. Silny, przyjemny zapach wypełnił całą komnatę. Usłyszał lekkie kroki w megaronie.

— Wejdz, matko — powiedział nie odwracając się.

— Chciałam ci, synu, objaśnić znaczenie pewnych przedmiotów, które znajdziesz w skrzyniach.

— Którą otworzyć?

— Tę dębową.

Agis pochylił się, wsunął do zamku ciężki klucz. Zgrzytnęła wewnątrz zasuw, spust odskoczył lekko. W świetle migocącej lampki Agis ujrzał równo poukładane sztabki złota, elektronu, złote monety-areusy, nausznicę, naszyjnik, pierścienie, leżące w złotych kubkach i pucharach.

— Tu znajduje się złoty diadem na głowę, naszyjnik, pierścienie i nausznicę boskiej Heleny — szepnęła królowa wyjmując małą, z kości słoniowej rzeźbioną szkatułkę. — Małżonki królów spartańskich przystrajają się w te klejnoty w dzień zaślubin i przy innych uroczystych okazjach. Widziałeś nieraz te klejnoty — nosiłam je w ważnych chwilach — ale nie wiedziałeś, jaką one w sobie kryją tajemnicę. Tego nikt nie ma prawa wiedzieć poza królem i królową. Moc tajemna tkwi w tych klejnotach, choć tak skromnie wyglądają. Posłuchaj, co mówi podanie: Kiedy padła Troja, Menelaos zapowiedział, że srogo pomści swą zniewagę na Helenie. Wodzowie go uśmierzali i starali się załagodzić jego gniew, ale on srożył się jak podrażniony lew. Wprowadzono Helenę do jego namiotu, Menelaj zerwał się z łoża wzburzony, chciał jej zlorzeczyć i ubliżyć, ale spojrzał na nią i zaniemówił z wrażenia. Była tak olśniewająco piękna, tak boska i królewska, że Menelaj padł przed nią na kolana i błagał o przebaczenie za dotknięcie jej myślą obraźliwą. Miała na sobie owego dnia te właśnie klejnoty... I odtąd mają one cudowną moc wzbudzania wiecznej miłości dla kobiety, która je nosi. To prawda, Agisie. Od wielu pokoleń nie było w naszym rodzie rozwodów, nieszczęśliwych małżeństw, dramatów rodzinnych. Oddano mnie Eudamidasi wbrew mej woli, nie kochałam go... I wierz mi, Agisie, nie było w Sparcie szczęśliwszej pary, bardziej kochających się małżonków...

Głos królowej załamał się, uwiązał w gardle. Ręce jej drżały, kiedy wręczała Agisowi rzeźbioną szkatułkę.

Agis niechętnie wziął ją z rąk matki.

— Co mam z tym zrobić?

— Wręczyć Agiatis, gdy przywieziesz ją z domu ojca do swego dworu.

— Dobrze. Przekonałaś mnie, matko, że ten ślub musi się odbyć. I to wszystko. Całe szczęście, że nie wierzę w czary klejnotów Heleny. Mogę je wręczyć tej dziewczynie, jeśli taki jest zwyczaj w naszym rodzie. Za miesiąc ogłosimy zaręczyny, a w Gamelionie, tak jak to ustalił ojciec, ślub. Bardzo cię proszę, zajmij się niezbędnymi formalnościami i przygotowaniem uczytu weselnej.

— Dobrze, Agisie — królowa starała się ukryć radość, jaką wywołała decyzja syna. — Czy chciałbyś zobaczyć narzeczoną?

— To zbyteczne. Widziałem ją kiedyś tańczącą w czasie świąt i w dniu wyjazdu do Aten. Zresztą nie przyglądałem się jej zbyt... Nie interesuje mnie.

„Zobaczymy, co powiesz po kilku miesiącach — pomyślała królowa. To niemożliwe, byś jej nie pokochał. Wszystkie trzy Charyty mogłyby jej zazdrościć: jaśniejąca Aglaia blasku jej warkoczy, radosna Eufrozyne promiennego uśmiechu, kwitnąca Talia — cery jasnej jak kwiaty jabłoni”.

Ale głośno powiedziała:

— W tej skrzyni jest zaledwie mała część złota prywatnego skarbcza królewskiego, reszta w świątyni Ateny Alea w Tegei. Tak czynią królowie i bogacze Sparty.

— Ile mamy w świątyni?

— Pięćset talentów złota.

— I pomyśleć tylko, że są tacy spartiaci, którzy nie mają jednej drachmy...

— Nasze złoto to przeważnie dziesięcina ze zdobyczy wojennych. Wiesz przecie, że każdy król po zwycięskiej wyprawie przywoził ze sobą zdobycz wojenną. Poza tym mamy dochody z ziemi, z kopalń, danin od periojków, z dzierżaw...

— Po co nam tyle bogactw?

— Kto ma pieniądze, ten ma władzę.

— O królach spartańskich nie można tego powiedzieć. Władzę mają eforowie.

— Władzę ma kto inny. Eforowie to posłuszne ręce naszych bogaczy — odpowiedziała królowa. — A czym byliby królowie bez pieniędzy? Każdy dziecięciniały geront więcej by znaczył...

Agis nie chciał już patrzeć na skarbiec. Zatrzasnął wieko, zamknął skrzynię na klucz.

— W cedrowej skrzyni, jak ci już mówiłam, znajduje się tajne archiwum królewskie. Nie mogę ci dać wyjaśnień, co zawiera, bo nie wiem. Nie miałam prawa tam zaglądać. Sam najlepiej to zbadasz, a ja już odejdę.

Królowa Agezustrata wyszła, cicho zamykając drzwi. Agis przysunął trójnog do skrzyni, zapalił jeszcze jedną lampkę oliwną i zaczął przeglądać archiwum. Historia Sparty, historia własnego rodu, znana do tej pory z legend babki, opowiadań matki i skąpych wzmianek ojca, i ta oficjalna, której uczył się pod kierunkiem pedagoga, miała stanąć do konfrontacji z zawartością cedrowej skrzyni.

Agis wyjął kilka glinianych tabliczek zapisanych jakimiś dziwnymi znakami. Było to bez wątpienia pismo — regularność powtarzania się pewnych znaków na to wskazywała — ale pismo, którego już od wieków nikt nie znał. Listy Heleny? A może spis inwentarza dworskiego? Agis odłożył tabliczki, sięgnął po następne. Te znowu z brązu. Litery podobne do greckich, ale różniące się, może po starannym odczyszczeniu dałyby się odczytać. Nie wiadomo. Zapewne te tabliczki są starsze od pierwszej olimpiady.

Retra Likurga? Które z nich są listami Heleny? I na to pytanie nikt mu nie odpowie. Agis kolejno wyjmował tabliczki, zwoje pergaminu, zwoje papirusów. Były na nich krótkie zapisy wydarzeń, spisy kolejnych królów, spisy dóbr królewskich, tabliczki dłużników, zarządzenia królewskie, tajne rozkazy wojskowe. Kontrakty ślubne poprzednich królów, listy pisane z pola walki do żon. Najwięcej wśród dokumentów jest wyroczni delfickich. Jest ich setki. Powiązane sznurkiem po kilka czy kilkanaście sztuk. Każda taka paczka dotyczy jednego króla, jednego panowania. Trzeba je będzie przejrzeć uważnie. Czy z nich wyczyta prawdę o dziejach Sparty? Są tu i dzieła znakomite: Herodota *Dzieje*, Tukidydesa *Wojna peloponeska*, Ksenofonta: *Anabasis*, *Agesilaos*, *Hellenika*. Znał fragmenty tych dzieł, czytał je pod kierunkiem wychowawcy, Ksenaresa, *Anabasis* — o odwrocie dziesięciu tysięcy Greków z Azji do Grecji czytał parę lat temu, gdy był w wieku, w którym się marzy o dalekich i niebezpiecznych podróżach. Bardzo się wtedy entuzjazmował tą księgą. *Agesilaosa* odłożył na bok. Trzeba dokładnie przeczytać to dzieło. Ideał władcy, jak przedstawił Ksenofont opisując jego prapradziada Agezylaosa, chyba nie da się urzeczywistnić w obecnych warunkach, kto wie zresztą, czy jemu, Agisowi, ten ideał by odpowiadał. Księgi o dziejach Grecji, *Hellenika*, warto również dokładnie poznać. Agis rozwinął jeden zwój, zaczął czytać:

...Potem w radzie opowiadali strategowie o bitwie i o gwałtowności burzy. Kiedy jednak Timokrates oświadczył, że pozostałych strategów należy uwięzić i pod sąd oddać, rada i ich uwięziła. Następnie odbyło się zgromadzenie ludowe, na którym inni poczeli oskarżać strategów, a zwłaszcza Teramenes, że powinni się wytłumaczyć przed sądem z tego, że nie uratowali rozbitków...

„Aha, już wiem, to jest opis sądu nad zwycięskimi strategami po bitwie morskiej pod Arginuzami — pomyślał Agis. — Sparta poniosła tam klęskę, Ateny zwyciężyły dzięki zdolnym strategom, a lud ateński skazał ich na śmierć... Czyż podobna było uratować rozbitków w czasie szalejącej burzy? Okręty ateńskie musiały się cofnąć, bo inaczej zginęłyby nie uratowawszy tamtych...” Agis czytał gorączkowo, przeżywał odległe dni z takim wzburzeniem, jakie zapewne czuli ludzie uczeni, na oczach których działa się tamta zbrodnia.

Kiedy następnie niektórzy z prytanów nie zgadzali się dopuścić do głosowania wbrew prawu, Kalliksenos, wstawszy po raz drugi, począł ich oskarżać o to samo. Inni wołali, żeby wdrożyć oskarżenie także przeciw tym, co się nie godzili. Prytanowie, przestraszeni, wszyscy zgodzili się przeprowadzić głosowanie, z wyjątkiem Sokratesa, syna Sofroniska. Ten zaś twierdził, że on wszystko czynić będzie nie inaczej, jak tylko zgodnie z prawem.

— Trzeba mieć dużo odwagi — rozważał Agis przeczytane słowa — aby się przeciwstawić demagogom i poszczutemu przez nich ludowi. W całym zgromadzeniu jeden Sokrates miał odwagę powiedzieć bezprawiu: nie!

...a potem skazano na śmierć wszystkich strategów, którzy w bitwie morskiej brali udział. Było ich ośmiu, zginęło jednak sześciu obecnych. Niedługo potem Ateńczycy zdjęci skruchą, przeprowadzili uchwałę, aby wszyscy ci, którzy swój lud oszukali, postawieni byli w stan oskarżenia...

— To ten sam Sokrates, filozof, który głosił, że najwyższym dobrem człowieka jest cnota, która jest mądrością. Przeciwstawił się bezprawiu, które godziło w niewinnych, a przecież też był niewinny, kiedy go skazano na śmierć... Dlaczego zgodził się z wyrokiem na siebie, przyjął go spokojnie? Był samotny, gdy przeciwstawił się Ateńczykom, całemu ludowi, wszechwładnym demagogom, prytanom, wśród których — pięćdziesięciu — on jeden odważył się powiedzieć: nie! Czy ja będę też tak samotny, jak Sokrates, kiedy wystąpię do walki o słuszną sprawę?

Agis zadumał się, trzymając w dłoniach dzieło Ksenofonta. Potem rozwinął następny rulon *Ustrój Lacedemończyków*. Zaczął czytać, ale zaraz przerwał, wstał i zawołał uszczęśliwiony:

— Mam!

Zamknął komnatę, minął pusty megaron, wyszedł na dziedziniec i skierował się do ogrodu, skąd mała furtka wiodła do gaju oliwnego, gdzie mieszkał Sfajros. Zastał go pochyłego nad stołem i piszącego stylografem na woskowej tabliczce.

— Sfajrosie! Słyszysz, Sfajrosie! Już wiem, jak będziemy przemawiać do młodzieży spartańskiej i przekonywać ją bez obawy, że narazimy się eforom!

Sfajros podniósł wyczekująco oczy na Agisa.

— Rozumiesz, mistrzu? Będziesz pisał historię Lacedemończyków. Pomogę ci. Udośćnię archiwum, jakie posiadam. Do moich planów przekona ich i porwie twoja historia. Wielka była Sparta w przeszłości, mądra, sprawiedliwa. Miłość ojczyzny, a nie miłość złota, rządziła spartiatami. Ty im to pokażesz! Pokażesz naszej młodzieży, że nieszczęścia przyszły

na Spartę wraz ze złotem zdobytym w wojnie niesprawiedliwej, bratobójczej, w wojnie peloponeskiej... Złoto jest ludziom niepotrzebne.

— Ludzie muszą mieć jakiś miernik wartości. Dawniej do ustalania ceny i wartości służyły woły, dla Sparty żelazo stanowiło środek wymienny, ale jak wiesz, łatwiej wytapiać żelazo niż wydobywać złoto. Żelaza jest dużo, złota mało, dlatego cena żelaza spadała w miarę powiększania się jego zasobów. Żelazo niszczy pod wpływem wilgoci, złoto nie. Złoto jest wygodne jako środek wymiany, jako zabezpieczenie majątku.

— To wszystko nie uzasadnia uprzywilejowanej roli złota.

— Zgadzam się z tobą, Agisie, ale co proponujesz w zamian?

— Nie wiem.

— Drogie kamienie? To przecież to samo, co złoto, tylko mniej wygodne. A może niewolnicy? Arystoteles nazwał niewolników narzędziami mówiącymi. U was, w Sparcie, ten środek płatniczy byłby niemożliwy, bo prawie nie macie niewolników.

— Potępiam niewolnictwo — żywo odpowiedział Agis. — Boli mnie, że w Sparcie istnieje półniewolnictwo, bo jak inaczej nazwać helotów? Dola ich jest wprawdzie znacznie lepsza niż niewolników, ale dlatego, żeśmy zabrali im wolność, nienawidzą nas. Myślę, że należałoby ich stopniowo podnosić do kategorii obywateli. Najzdrowszych, najlepszych, wyróżniających się dzielnością podczas wojny. Ale to daleka sprawa... Trzeba najpierw odbudować byt spartiatów... Wszystkich uczynić znów równymi. Pomożesz mi w tym, Sfajrosie?

— Chętnie, Agisie, poświęcę wszystkie swoje siły i zdolności tym pięknym projektom. Mówisz, że trzeba zebrać ideową młodzież, przekonać do twoich planów? Tak, pisząc historię Lacedemończyków można dużo powiedzieć bez obawy narażenia się eforom. Od kiedy chcesz zacząć?

— Jak najszybciej. Dużo czasu zajmie ci pisanie?

— Trudno przewidzieć. Będę przygotowywał ustny wykład, po omówieniu w gronie słuchaczy, spiszę go. Na pewno dużo dowiem się jeszcze od nich samych.

— W każdym domu spartańskim są jakieś pamiątki, przechowuje się wspomnienia o dziejach rodu, zapiski o ważnych wydarzeniach. Wszyscy będą chcieli, by w twojej księdze znalazł się pełny obraz historii Sparty.

— Mam nadzieję, że eforowie nie tylko nam nie zabronią, ale będą pomagać — uśmiechnął się Sfajros. — Każdy z nich zechce dostać się na karty historii. Muszę ci powiedzieć, że jest więcej ludzi, którzy gnębią się losem Sparty. Zanim do mnie przyszedłeś, był u mnie jeden z twoich przyjaciół...

— Mandroklejdas? — żywo zapytał Agis.

— Lizandros. Mówił mi dużo o Sparcie. Prawdziwa troska była w jego głosie...

— Lizandros? — powtórzył Agis. — Nie wiem, czy pozostanie moim przyjacielem, gdy się dowie...

— O czym?

— Matka mi oznajmiła, że po moim wyjeździe do Aten mój ojciec, król Eudamidas, zaręczył mnie z córką Gilipposa, Agiatis. Taki jest zwyczaj w Sparcie, rodzice żenią dzieci nie pytając o ich zdanie... Uczyniono to wbrew mojej woli i chęci. Lizandros kocha tę dziewczynę i posadzi mnie, żem go ubiegł.

— Lizandros wie o twoich zaręczynach. Mówił mi o tym. I nie ma żalu do ciebie...

— Zainteresowani zwykle dowiadują się najpóźniej — uśmiechnął się gorzko Agis. — Ja usłyszałem tę nowinę dopiero dziś, a pewno w całej Sparcie huczy o tym od miesiąca. Teraz rozumiem dziwne zachowanie Lizandrosa.

— Bądź pewien, że nie ma on do ciebie żalu. Mówił o tobie z wielką miłością i szacunkiem, jak prawdziwy przyjaciel.

— Cieszę mnie twoje słowa, mistrzu. Bardzo się tym gnębiłem. Wierz mi, z wielkim trudem poddałem się ojcowskiemu rozkazowi. Nie mogłem postąpić inaczej, jestem przecie

Spartaninem.

KRÓLEWSKIE GODY

Kiedy dostojny Gilippos wezwał do siebie Agiatis i oznajmił jej wolę swoją i zmarłego króla Eudamidasa, dziewczyna stała chwilę nieporuszona jak zniecka wytropiona sarna. Zdało się Gilipposowi, że dusza w niej zamarła. Lekkie drżenie ramion zdradzało, że córka żyje i cierpi. Gilippos zaczął niespokojnymi palcami szarpać swoją długą, starannie wypielęgnowaną brodę. Wolałby, aby córka krzyczała, płakała. To przedłużające się milczenie jest straszne.

— I cóż, córeczko, czemu milczysz?

Podniosła na niego oczy pociemniałe, pełne łez.

— Jeśli jest taka twoja wola, ojczcze...

— Córeczko, zrozum mnie, musiałem. Nie chciałem się z tobą rozstać. Nigdy. Ale jak odmówić królowi? Zostaniesz królową... Czyż można odrzucić taki zaszczyt?

Przypadła do jego piersi, wtuliła złocistą głowę w fałdy jego himationu.

— Ojczcze, jak ja bez ciebie żyć będę w obcym domu?

— To będzie twój dom, Łasiczko.

— Boję się...

Nie tylko lęk przemawiał przez Agiatis. Smukła sylwetka Lizandrosa stała przed jej oczyma. Bogowie, z jakim zachwytem na nią patrzył! Inne dziewczęta uśmiechały się do niego, a on widział na procesji tylko ją, ją jedną! Jak on pięknie wygląda na koniu, jak wspaniale jeździ! Była pewna, że wkrótce ojciec Lizandrosa złoży jej ojcu podarki i prośbę o nią dla syna. Czemu zwlekał?

— Zebrałem informacje — mówił łagodnie Gilippos. — Agis jest naprawdę szlachetnym młodzieńcem. Jest przystojny, za kobietami nie lata. A przy tym król... Będiesz pierwszą damą w Sparcie, żadna nie będzie ci równa stanowiskiem, urodą, bogactwem. Będiesz szczęśliwa. Nie wyobrażam sobie, by mógł cię nie pokochać, ty moja złocista Łasiczko... Będę czuwać nad tobą. Jeśli działałaby ci się krzywda, dosięgnę nawet króla.

Groźba zabrzmiała w głosie Gilipposa. Agiatis wiedziała, że ojciec nie mówi słów na wiatr. Uśmiechnęła się przez łzy. Może niepotrzebnie się trwoży? Lizandros; jej się podobał, ale nawet ojcu nie śmiałyby się z tego zwierzyć. Taki już los dziewcząt, że muszą wychodzić za mąż za tego, kogo wyznaczą rodzice.

Gilipposa wzruszył ten bezradny, żaloszny, pełen rezygnacji uśmiech. Przygarnął czule córkę i gładził jej lśniące, bujne włosy. I jemu było ciężko. Trzeba oderwać od serca i oddać w obce ręce jedyny skarb, który go pogodził z życiem. Jakże pusty stanie się dom bez Agiatis! Gilippos westchnął. Kiedy ukochana nad wszystko żona zmarła przedwcześnie, wydało mu się, że razem z nią zgasła radość, zgasło słońce. I ta dwuletnia wówczas dziewczynka wróciła go życiu. Dziecko rozwijało się nad podziw pięknie, podbijając serca wszystkich domowników. Z dziecka wyrosła dziewczyna o niezwykłej urodzie. Z dniem każdym stawała się coraz bardziej podobna do zmarłej Nanno. Jej ruchy, głos, spojrzenie, cała postać, przepiękne włosy i dobra, łagodna twarz, w doskonalszej, jeśli być to mogło, formie. Jeśli zmarli wracają na ziemię, to ukochana Nanno wróciła w postaci Agiatis.

— Ożeń się — namawiali przyjaciele. — Żona w domu potrzebna. — I opowiadali mu o zaletach kandydatek.

— Ożeń się — nakazywali kolejno następujący eforowie. — Musisz zostawić syna-

dziedzica. Majątek ci rośnie z roku na rok i ścierpisz to, jeśli przejdzie w obce ręce? Nie masz przecie ani braci, ani bratanków.

Gilippos kręcił przecząco głową:

— Mam czas. Nie chcę macochy dla Agiatis.

Konkurenci zaczęli się zgłaszać, kiedy Agiatis skończyła trzynaście lat. Ale Gilippos potrafił zręcznie pozbyć się każdego, czasem dając w zamaskowanej formie odszkodowanie: dzierżawę któregoś ze swych majątków, zbroję na wyprawę do Azji czy Egiptu, gdzie niedoszły zięć jechał szukać na wojaczce szczęścia i pieniędzy w cichej nadziei, że kiedy wróci bogaty i sławny, chytry Gilippos nie odmówi mu ręki dziewczyny. Ostatnio najpoważniejszym kandydatem był Lizandros. Agiatis mu sprzyjała, Gilippos wiedział o tym i głowił się, jak postąpić, jeśli zgłosi się Libis, ojciec Lizandrosa. Rodzina szacowna, potomkowie sławnego zwycięzcy spod Aigospotamoi, dość majątni, ale... i tu zjawiały się zastrzeżenia. Lizandros lubi się bawić, wydaje duże sumy na utrzymanie stajni, lubi dziewczęta i w Sparcie dość głośno opowiadano o jego miłosnych podbojach. Czy Agiatis będzie z nim szczęśliwa?

Nieoczekiwanie sprawa rozwiązała się inaczej ku zadowoleniu, ale i zmartwieniu Gilipposa. Król Eudamidas poprosił o rękę Agiatis dla swego syna. Takiego zaszczytu nie potrafiłby się wyrzec nikt w Sparcie. Więc też Gilippos westchnął ukradkiem nad rychłym rozstaniem się z córką i podziękował za zaszczyt. Zawarli umowę w obecności dwóch świadków, eforów Orsipposa i Elatosa, jak zwyczaj każe, wymienili podarki, wyznaczyli datę ślubu. Król Eudamidas zmarł, ale umowa jeszcze w silniejszym stopniu zobowiązuje. Spróbuj tu stanąć na przekór woli zmarłego!

— Moja droga Łasiczko, zobaczysz, wszystko szczęśliwie się ułoży. Agis to miły chłopiec, będzie dla ciebie dobry, będzie cię kochał. Wierz mi, że dobrze się stało...

Agiatis nie odpowiedziała. Myślała, jak przyjmie Lizandros tę wiadomość. I czuła do niego cichy żal, że zwlekał z przysłaniem swatów.

Libis przyszedł w dziesięć dni później w imieniu swego syna, Lizandrosa. Był zgnębiony, gdy usłyszał, że Agiatis już zaręczona. Gilippos zobowiązał go do milczenia, bo taka była wola królewska. Agiatis nie dowiedziała się o tej wizycie.

Powoli pogodziła się z losem. Czekwała na narzeczonego, ale Agis po powrocie z Delf zbyt zajęty był sprawami państwowymi, by interesować się nią. Tak sobie tłumaczyła jego obojętność. Ale nic się nie zmieniło nawet po urzędowym ogłoszeniu ich zaręczyn. Agis nie pokazał się, nie pragnął zobaczyć swojej narzeczonej. Agiatis odczuła to boleśnie, ale nie okazała tego nikomu. Widocznie tak musi być. W dzień zaślubin zostanie porwana przez narzeczonego, tak każe obyczaj spartański. Może wtedy, kiedy ją będzie wiozł, przyjrzy się jej i pokocha? Podobno to bardzo ciężko być niekochaną żoną. Czemu Lizandros nie przysłał swatów? On na pewno nie zwlekałby z zobaczeniem jej. Wszystkie przyjaciółki jej zazdroszą. Młody, przystojny król, a ona taka nieszczęśliwa. I trzeba uśmiechać się, przyjmować życzenia i nie okazać ojcu, że jest smutna.

W przeddzień ślubu, jak obyczaj każe, Agiatis w towarzystwie swej starej niani File wybrała się do świątyni Artemidy Limnesia, stojącej nad Eurotasem wśród łąk, które wiosną, gdy rzeka wylewała, stawały się rozległym bagniskiem.

Mijani przechodnie uśmiechali się do niej, pozdrawiali ją, ale nikt nie pytał, dokąd idzie. I tak wiedziano. File w koszyczku niosła ofiary dla Artemis.

W małej świątyni kapłanka, widocznie uprzedzona o wizycie Agiatis, kończyła porządki. Agiatis wręczyła jej pszenne placek i ser, kapłanka usunęła się, zostawiając dziewczynę sam na sam z boginią. Agiatis postawiła koszyczek przy nogach, stanęła przed posągami bogini i wznosząc ręce ku górze, zaczęła śpiewnie recytować:

— Tobie, Artemido z Bagien, dziewczyna dziewczynie, jak to przystoi, Agiatis, ofiarowuje jako przyszła oblubienica swój bębenek, piłkę i przepaskę na głowę, swoje lalki i swoje stroje.

Wyjęła z koszyczka wymienione przedmioty i położyła u stóp posągu. Niektóre z zabawek już od paru lat leżały nie używane w skrzyni, nie było ich żal. Ale śliczna, na ostatnie urodziny otrzymana od ojca purpurowa przepaska na głowę i biały peplos tak pięknie wyszywany! A lalki! Choć już uważała się za prawie dorosłą, lubiła bawić się ukradkiem swoimi lalkami. Ulubioną lalkę Iris wyjęła z koszyczka ostatnią, pocałowała, pogładziła po jasnych włosach z owczego runa i posadziła na bosych stopach bogini.

Potem skłoniła się i śpiewnie zakończyła:

— O, córo Latony, wyciągnij nad Agiatis swe ramię i błogosław jej, i zachowaj ją czystą i bezpieczną od zła.

Sięgnęła do koszyczka po dwa małe lecyty i wylała na ołtarz bogini mleko i miód. W tej chwili z fałd jej himationu wyskoczyło małe zwierzątko i wbiegło na stopy bogini. Agiatis wystraszyła się, ale zaraz się opanowała i zaczęła zwierzać bogini swą największą troskę:

— Proszę cię, przeczysta Władczyni Bagien, pozwól mi zachować moją ulubioną łasiczkę, Lais. Ty masz swoje piękne charty, tobie podlega wszelkie żywe stworzenie, dziki, sarny, sokoły, jelenie, niedźwiedzie, wszelki zwierz leśny i z pól, mnie pozwól zabrać z domu ojca malutką Lais. Wiesz, jak ją kocham i jaka ona mądra. Jesteś, o córo Latony, opiekunką wszystkich zwierząt, zwróć więc łaskawe oczy na to mądre zgrabne zwierzątko. Wiem, że ci jest niepotrzebna, dlatego daruj ją mnie.

Ta część prośby nie była ustalona w ceremoniale, Agiatis wahała się, czy w ogóle rozpoczynać z boginią rozmowę na temat łasiczki. Czy to zabawka dziecinna, czy rzecz, którą wolno posiadać i dorosłej kobiecie? Zwierzątko to chyba jednak nie zabawka. I byłaby nie zgłaszała Agiatis tej prośby, gdyby łasiczka nie wyskoczyła. Może to Artemida jej kazała? Jeśli łasiczka wbiegnie na ołtarz, to znak, że bogini rości do niej prawo... Patrzyła z niepokojem, ale Lais ześliznęła się z posągu, obiegła i obwachała całą świątynię i skoczyła na ramię Agiatis.

W mroku świątyni wydało się dziewczynie, że bogini uśmiechnęła się do niej, mrugnęła przyzwalająco i przyjaźnie. Agiatis odetchnęła z ulgą.

— Dzięki ci, Artemido.

Bogini ofiarę przyjęła i nie chce łasiczki, to jasne. Wie, że z czystego serca złożona ta ofiara.

Trzeba teraz spieszenie wracać do domu, bo wkrótce przyjdą dziewczęta z chóru, do którego Agiatis należała, i spędzą z nią razem ostatni paniński wieczór na śpiewach, zabawie i tańcu. Agiatis sama piekła dla nich słodkie ciasteczka z oliwą i prażyła miód z makiem.

Kiedy mijała świątynię Dionizosa Kolonatas, nieoczekiwanie wyszedł zza kolumny Lizandros. Zrobił ruch w kierunku niej, jakby chciał jej coś powiedzieć. Agiatis wystraszyła się, krzyknęła i cofnęła do tyłu ku towarzyszącej jej niani.

— Co ci to, gołąbko? — zapytała File.

— Nic, nianiu — odpowiedziała Agiatis — potknęłam się o kamień.

Lizandros przeszedł obok ze spuszczoną głową, nawet jej nie pozdrowił. Wydało się Agiatis, że zeszczuła od czasu, jak go ostatni raz widziała w teatrze, kiedy zwycięzcom pytyjskim wręczano nagrody. Jaki jej się wtedy wydał piękny i dumny! A teraz jest to człowiek obcy i taki pozostanie na zawsze.

W domu czekały już przyjaciółki zabaw dziecięcych, chóru i tańców procesyjnych z uroczystości świątecznych. Głównią z ogniska domowego oczyściły stągiew do obrzędowej kąpieli dla panny młodej, potem, śpiewając pieśni, poszły z dwuuszcznymi hydriami do świętego źródła dziewcząt, aż do podnóży Tajgetu. Chłodny wiatr zawiewał od gór, bo Gamelion to pierwszy miesiąc zimy. Dalekie i, wysokie szczyty Tajgetu zasypane śniegiem skrzyły się w zachodzącym słońcu. Poniżej granatowiały lasy nieprzebyte, tajemnicze i pełne dziwów, straszne i pociągające. Dziewczęta śpiewały do Ateny, modląc się o szczęście i pomyślność dla Agiatis. Daleko po rosie niosły się ich świeże głosy i chwilami zdawało się, że to nie swawo-

Ina córka Eteru i Gai, nimfa Echo, odpowiada im z gór, tylko śpiewają chłopcy, przyjaciele Agisa, który razem z nimi czerpie wodę do swojej kąpieli.

Agiatis śpiewała razem z dziewczętami. Tyle dziś jeszcze miłych uroczystości! Obsypywanie się orzechami, daktylami, wróżby z ziaren, chrupanie smakowitych ciastek i miodowych makowników, picie wina, które specjalnie przyprawione i przechowywane czekało na ten dzień. Ale jutro...

„Straszny to będzie dzień — pomyślała Agiatis i marzyła, by nie nadszedł nigdy. — Opuścę mój dom, moje pokoje i znajdę się wśród obcych, gdzie mnie nikt nie kocha. Porwie mnie Agis, chociaż pewno tego wcale nie pragnie, ale tak zwyczaj każe... A może schować się, by mnie nie znalazł? Przywiezie mnie do swojego domu, jeśli mnie znajdzie... Każe mi ostrzyć włosy...”

I Agiatis nieoczekiwanie rozplakała się głośno.

— Agiatis, co się stało? — zawołała wystraszona przodownica chóru, Lampetia.

Dziewczęta umilkły i otoczyły ją kołem.

— Jutro mi zetną warkocze — odpowiedziała Agiatis i łzy jak grad posypały się po jej twarzy.

Zasmuciły się wszystkie, bo rozumiały jej rozpacz. Jasne warkocze, największe marzenie każdej Greczynki, pójdą jutro na ofiarę bogom.

— Nie płacz, odrosną ci. Za dwa, trzy lata będziesz miała takie same — pocieszyła ją Lampetia, chociaż nie była tego pewna. Która zameżna kobieta ma tak grube warkocze jak one, dziewczęta?

— Nie dam ściąć włosów, ucieknę — powiedziała Agiatis wycierając piąstkami oczy. — Bogowie nie powinni żądać aż tak wielkich ofiar.

Przyjaciółki popatrzyły na nią z podziwem, ale nie uwierzyły temu zapewnieniu. Która z dziewcząt odważyłaby się przeciwstawić odwiecznym zwyczajom? Nie słyszały o takim wypadku.

Siwy zmiersch otulał góry, śpiące pola i domy Sparty, kiedy dziewczęta wróciły z wodą oczyszczającą. Dom Gilipposa przybrany już był odświętnie wieńcami z liści lauru i oliwek, gałęziami pinii, wstążkami. Główny dziedziniec był czysto zamieciony i posypany igliwem. Dziewczęta zaniósły wodę do łazienki, napełniły stągiew i ciągle śpiewając wesołe, żartobliwe piosenki, poszły do komnat Agiatis. Ten wieczór należał do nich, żaden mężczyzna, nawet ojciec Agiatis nie miał prawa zakłócić im zabawy, śpiewów, tańców i wróżb, jakie będą czyniły. Przed snem pomogą umyć się Agiatis w wodzie ze świętego źródła i ze śpiewem odprowadzą ją do drzwi jej panińskiej komnaty. Życzyć jej będą pogodnego i szczęśliwego snu, aby Morfeusz zesłał jej widzenie senne, w którym odsłoni obraz przyszłych losów jej małżeństwa.

Następnego dnia o zmierschu, z szumem, trzaskaniem z batów i wesołymi okrzykami „Hymene! hymenaj!” dziesięć pojazdów zaprzężonych w białe konie z purpurowymi grzywami i ogonami zajechało przed dom Gilipposa, jaśniejący w blasku pochodni i ognisk, nad którymi obracały się różna z mięsiwem. Osobno płonęło ognisko na ołtarzu Zeusa, gdzie kapłan bez przerwy składał ofiary z baranów, kozłów i świń.

Młodzieńcy z kwadryg śmiejąc się i śpiewając skoczyli ku bramie, ale ta była zamknięta. Zachęcając się bojowymi okrzykami rzucili się na bramę, aby ją wyważyć. Brama nieoczekiwanie otworzyła się sama, uderzając skrzydłami atakujących *. Odskoczyli z żartobliwymi pogróżkami, ale zaraz posunęli się naprzód i wpadli na dziedziniec. Rozstawione tu były liczne stoły i ławy, przy nich krzątała się służba, kończąc ostatnie przygotowania.

Młodzieńcy ruszyli ku portykowi domu, reszta uczestników zatrzymała się przy stołach, gdzie ich zaczęto usadzać wedle godności i wieku.

* Bramy greckie otwierały się na zewnątrz.

W drzwiach wiodących do megaronu, skąd dochodziła muzyka flecistów, stał Gilippos odświętnie ubrany, połyskujący złotem pierścieni i bogatego łańcucha na piersiach.

Z grupy młodzieńców wysunął się Agis. Za nim szli Amfares, Damochares i Lizandros. Agis skłonił się ceremonialnie Gilipposowi.

— Witaj w domu moim, gościu upragniony — powiedział Gilippos.

— Bądź pozdrowiony, szlachetny Gilipposie — odpowiedział Agis.

Weszli do sali biesiadnej. Na honorowym miejscu za stołem spoczywał król Leonidas. Ozdobne łoże obok niego było puste. Dla Agisa. Dalej spoczywali wuj Agezylaos, jego syn Hippomedont, dwóch eforów, Mandroklejdas, kilku gerontów.

Po przeciwnej stronie były stoły dla kobiet.

Ściany megaronu ozdabiała kosztowne kobierce, między nimi wisały wieńce i girlandy z kwiatów i zieleni. Na stołach piętrzyły się na tacach góry pszonego pieczywa, służba podawała mięso i drób, z boku na osobnych stołkach stały amfory z wodą i winem.

Odźwierny przy drzwiach anonsował nowych dostojnych gości, Gilippos witał ich i sadowił na z góry ustalone miejsca. Muzyka fletów głużyła rozmowy, z dziedzińca dochodziły śmiechy i piosenki biesiadników.

Po stronie niewieściej w megaronie zrobił się ruch: wprowadzono pannę młodą w białej powłóczyściej szacie przybranej kwiatami mirtu. Muślinowa zasłona kryła jej twarz, dopiero w domu męża, przy ognisku domowym młoda małżonka ukaże swe oblicze. Ale to nie takie proste. Oblubienicę należało porwać z domu rodzicielskiego w czasie najgorętszej zabawy, aby nikt nie zauważył tego momentu. Oblubienice zazwyczaj ułatwiały porwanie. Osłaniane przez współbiesiadniczki opuszczały salę biesiadną i kryły się gdzieś w głębi domu, z dala od oczu biesiadników, skąd dawały się porywać. Ośmieszał się ten małżonek, który szukał nieumiejętnie i zbyt długo marudził przy porywaniu.

Agis nie brał udziału w ogólnej wesołości. Zamyślony, roztargniony nie słyszał, co do niego mówiono, nie tknął też żadnej potrawy, wypił tylko kilka pucharów wina. Współbiesiadnicy spostrzegli, że ani razu nie spojrział w stronę panny młodej. Drgnął i zmieszał się, kiedy wuj Agezylaos trącił go w ramię:

— A gdzie się podziała narzeczona?

Teraz wszyscy spostrzegli, że zakwefiona oblubienica znikła. Agis podniósł się, aby ją odnaleźć. A wtedy król Leonidas zawołał głośno, przekrzykując gwar rozbawionych biesiadników:

— Lizandros, czemu nie weselisz się razem z nami? Takiś dziś cichy, jakbyś wody nabrał w usta.

Nikt mu nie odpowiedział, goście nagle przycichli. Lizandrosa nie było pośród biesiadników. Kiedy wznoszono toast za zdrowie młodej pary, Lizandros wymknął się od stołu. Zauważył to tylko król Leonidas. Stało się to zaraz po zniknięciu panny młodej.

Agiatis wybiegła z sali biesiadnej przez wąskie drzwi do korytarzyka, który prowadził do jej komnaty. Zdjęła lampkę ze ściany i weszła do ciemnego pokoju. Na jej łóżku przykrytym barwną tkaniną spała łasiczka. Podniosła łepkę na widok wchodzącej i czarnymi paciorkami ślepków wpatrzyła się w swoją panią. Agiatis podeszła, odrzuciła na plecy welon, wzięła ją na rękę, przytuliła do twarzy nagrzanego delikatnego futerka.

— Lais, czy ty wiesz, że dziś moje wesele? Zostałam królową. Ale smutny to dzień dla mnie, Lais najmilsza, król jeszcze ani razu nie spojrział na mnie. O Lais, idę stąd do obcego domu, gdzie nikt mnie kochać nie będzie...

Agiatis zapłakała żałośnie, po dziecinnemu. Łasiczka niespokojnie poruszyła się w jej dłoniach, jakby chciała uciekać, Agiatis powiedziała z wyrzutem:

— Nawet ty chcesz uciec ode mnie, Lais.

Ale łasiczka po gołym ramieniu dziewczyny wbiegła na jej kark i zimny, wilgotny no-

sek zaczęła przesuwać po jej szyi. Zawsze Agiatis śmiała się z tego pieszczotliwego łaskotania i teraz też płacząc i śmiejąc się zaczęła strofować Lais:

— A ty łasicco przebiegła. Wiesz, jak mnie kupić. Już się nie gniewam na ciebie. Chodź, pożegnamy nasz dom.

Wyszła z Lais na dziedziniec i przemknęła się jego ciemną, pustą stroną ku oborom i stajniom. Niespokojnie poruszyły się senne owce, ale poznawszy swą panią, otoczyły ją kołem i szturchając nosami w kolana dopominały się pieszczot i kawałków chleba.

Agiatis pogłaskała je i pobiegła do krów. Te też ją poznały i przywitały przyjaznym porykiwaniem. Niedługo z nimi zabawiła — jeszcze tyle pożegnań ją czeka. Zajrzała do stajni, ale spał tam pastuch Eumenajos, więc nie weszła; nie chciała, aby ją zobaczył. Teraz czas iść do sadu. W środku sadu szumiało źródło. Agiatis podeszła, zanurzyła dłonie w zimną, orzeźwiająca wodę:

— Żegnam cię, dobre źródło, coś ożywcza wodą karmiło moje kwiaty, moje róże i anemony, moje jabłonie, grusze, śliwy i brzoskwinie. Byłś łaskawy dla mnie przez tyle szczęśliwych lat mojego życia. Żegnam cię i bądź zawsze przychylny dla domu ojca mego...

Wypiła kilka łyków wody, czerpiąc ją dłońmi. Zastanowiła się chwilę. Czy dość serdecznie pożegnała się ze źródłem? Czy ono się nie pogniewa?

Ale źródło wesóło dzwoniło na kamieniach, nucąc tę swoją nieustającą pieśń, którą lubiła od lat. Łasiczka zeskoczyła z jej ramienia, usiadła na kamieniu, umoczyła łapkę w wodzie, a potem zaczęła chleptać. Agiatis roześmiała się. Lais też żegna się ze źródłem.

Jeszcze tylko trzeba podziękować Artemis Agrotera, opiekunce pól i sadów, dawczyni czerwonych, pachnących jabłek, złocistych, słodkich grusz i śliw, różowych brzoskwiń.

Musi się spieszyć, bo może szuka jej król Agis, młody małżonek, który ją porwie, chociaż ona go nic nie obchodzi, chociaż jej nie kocha. Ożenił się z nią, bo taka była wola króla Eudamidasa, jego ojca, i jej ojca, Gilipposa.

Agiatis biegła wyżwirowaną alejką, za nią po grządkach Lais, szeleszcząc łapkami na zeschniętych liściach. Posąg bogini jaśniał przy końcu alei.

Lizandros wymknął się na dziedziniec, przebiegł wszystkie jego zakamarki, zajrzał nawet do obór i stajni, ale nigdzie nie zobaczył Agiatis. Kręcił się chwilę między uczującymi. Z trudem wyrwał się z grona młodzieży, która spostrzegłszy go, otoczyła kołem, wołając, by pił z nimi zdrowie Agisa i Agiatis. Wypił dwa kubki i wyrwał się wściekły, że ta zwłoka może przeszkodzić w jego planach. Skręcił do sadu, bo wydało mu się, że tam wśród posągów i drzew mignęła biała suknia oblubienicy. Przyspieszył kroku, zaczął biec na palcach. Przy końcu alei stał posąg Agrotery. Lizandros spostrzegł, że tam mignęła jasna sylwetka. W kilku susach dopadł posągu. Długa suknia

Agiatis zaplątała się w kolcach róż i zanim zdążyła się wyplątać, Lizandros chwycił ją w ramiona.

— Agiatis — szeptał zdyszany — Agiatis... tu za murem moje konie i zaprzęg... Uciekajmy ze Sparty... na dwór króla perskiego... tam zostanę wielkim wodzem... Agiatis... Kocham cię... najmilsza moja...

Zaczęła się szarpać i wrywać, ale trzymał mocno. Nie można krzyczeć, wołać pomocy, za nic. Byłaby zhańbiona.

Zarzucił jej na ramiona swój płaszcz żołnierski, owinął ją i zaczął nieść w stronę muru ogrodzenia. Niewysoko, łatwo ją wciągnie na mur, a tam z drugiej strony czeka wierny sługa, Chrestos, rzuci mu na ręce Agiatis i sam skoczy. Coraz silniejsze przerażenie ogarniało dziewczynę. Siły ją opuszczały. Pomyślała, że nie ma już dla niej ratunku. Niósł ją w ramionach bezwolną, zdrętwiałą. Osłabienie jej Lizandros poczytał za zgodę. Zaśmiał się cicho.

— Gołąbko moja... ty też mnie kochasz...

Agiatis spojrzała na mur ogrodzenia. Zdobyła się na ostatni wysiłek. Widocznie Lizan-

dros, aby ułatwić sobie przejście, ułożył poprzednio kilka kamieni i teraz, kiedy z ciężarem stanął na jednym z nich, kamień zachwiał się. W obawie, aby nie upaść z Agiatis, Lizandros postawił ją na nogi. Skorzystała z tego i schwyciła się rękami za pień rosnącego obok drzewka pistacjowego. Lizandrosa to zaskoczyło.

— Agiatis — zawołał cicho — co ty robisz? — I zaczął ją szarpać, aby oderwać jej dłonie. Kopnęła go, ale cóż to dla niego znaczyło takie uderzenie. Nagle krzyknął boleśnie i puścił ją. Agiatis nie zastanawiając się nad nieoczekiwanym zachowaniem Lizandrosa, uniosła poły płaszcza i suknię i pędem rzuciła się w stronę domu. Przebiegła nie więcej niż dwieście kroków, kiedy drogę zagroził jej jakiś mężczyzna, który nagle wysunął się zza rozłożystej jabłoni, rozkładając ramiona. Nie zdążyła się zatrzymać, w rozpędzie oparła się o jego piersi.

— Cóż to taka spłoszona mała Agiatis? — zapytał miękko, łagodnie. — Boisz się mnie?

Agis. Dobry i przyjemny wydał się jej ten głos, wzbudził zaufanie i spokój. Odetchnęła z ulgą. Oparła się silniej o niego, bo nogi jej drżały i bała się, że upadnie.

Agis wziął jak dziecko na ręce i skierował się do bramy. Pełna wstydu i obawy, aby ktoś nie zauważył jej wzburzenia, skryła twarz na jego ramieniu. Ale biesiadnicy na dziedzińcu rozweseleni śpiewem, rozgrzani winem i jadłem nie zauważyli wychodzącego Agisa. Dopiero tłum zgromadzony przed bramą wrzasnął triumfalnie na widok swego króla niosącego porwaną narzeczoną. Na drodze czekały przygotowane kwadrygi. Agis posadził dziewczynę do pierwszej, najpiękniejszej, sam siadł obok. Z tłumy posypały się na nich kwiaty, gałązki mirtu, przed kwadrygą zaczęli tańczyć mali chłopcy, rzucając w górę pęki kwiatów. Agiatis zasłoniła twarz rogiem płaszcza Lizandrosa.

Ktoś ze dworu zauważył jednak porwanie i doniósł biesiadnikom, bo krzycząc i śmiejąc się radośnie, spod portyku domu Gilipposa wybiegli tłumnie. Agis strzelił z bata, konie ruszyły pędem. Za nimi porwały się pozostałe kwadrygi i jeźdźcy na koniach ze świąty królewskiej.

Wzdłuż wozów biegli gońcy z pochodniami. Kobiety z koszami, ustawione co kilkadziesiąt kroków, sypały przed wóz nowożeńców kwiaty, orzechy, pigwy, które zbierały dzieci przepychając się i kotłując po przejechaniu kwadryg i koni. Fletniści grali weselną pieśń, okrzyki „Hymene! hymenaj!” nie milkły ani na chwilę.

Tak zajechali przed dwór Agisa. Czekala tam przed wejściem do megaronu matka Agisa, Agezystrata, z płonąca pochodnią, babka Archidamia i braciszek Archidamos. Wszyscy przystrojeni w wieńce mirtowe. Obie królowe ucałowały Agiatis, Agezystrata powiedziała serdecznie, wręczając jej ciasto weselne z miodu i sezamu:

— Witam cię, córko najmilsza, w domu syna mego.

— Witam cię, wnuczko kochana — powiedziała Archidamia, a mały Archidamos objął ją za szyję i zawołał radośnie:

— Siostrzyczko moja! — I sypnął na nią garść daktyli.

Agiatis wzruszyła się. Otwierają się przed nią serca bliskich Agisa, jak kwiaty pod ciepłą pieśczętą Heliosa. Może tu nie będzie tak obco, może też ją będą kochać?

Z następnych kwadryg wysiedli dostojni goście, ojciec Agiatis i przyjaciele Agisa, król Leonidas z synem Kleomenesem, eforowie, geronci, wuj Agezylaos, Hippomedont, Amfares, Mandroklejdas, Damochares. Tylko Lizandrosa Agis nie spostrzegł wśród zgromadzonych, choć wypatrywał go uważnie.

Druga część uroczystości weselnych rozpoczęła się od ofiar. Słudzy kapłańscy podprowadzili przed ołtarz Zeusa białego wołu, ze złożonymi rogami, uwieńczonego kwiatami. Młody kapłan z całej siły uderzył go obuchem w łeb, wół runął nie wydawszy nawet jęku, a kiedy następny kapłan przeciął mu jednym ruchem gardło, krew trysnęła aż na ołtarz. Podano Agisowi w złotym kubku tej parującej krwi, skropił nią ołtarz z płonącym ogniskiem. Wieszczyk królewski Koroibos stanął obok ćwiartowanego zwierzęcia. Podano mu na tacy

gorącą jeszcze wątrobę, wieszczek obejrzał ją dokładnie. Jasna, czysta gładka. Ale cóż to znaczy, bogowie? Jeden płat krótszy, mniejszy. Czyżby to znaczyło, że pożycie młodej pary będzie jasne i zgodne, tylko krótkie? Takiej wróżby nie można podawać królowi.

— Bogowie są przychylni temu związkowi, dostojny królu — powiedział zwracając się do stojącego obok Agisa.

— Przychylni? — zdziwił się Agis. — Czyż nie zbyt długo poszukiwałeś tych znaków łaskawości?

Fletniści nową skoczną melodią zagłuszyli odpowiedź wieszczka, a może nie odpowiedział on wcale? Ale oto bóg dawał drugi znak. Kapłan owinął w tłuszcz kości poćwiartowanego zwierzęcia i rzucił w ogień na ołtarz. Buchnął snop dymu, zakołował i uniósł się równo w górę. A więc ofiara miła jest bogu. Teraz bez przerwy podprowadzano ofiarne zwierzęta, bito je i ćwiartowano. Na roznach przy wielu ogniskach rozpalonych na dziedzińcu piekły się udźce wołów, combry baranie i z dzikiej zwierzyny, której dostarczyły polowania zorganizowane w tym celu przez gwardię królewską. Z dużych trójnogów parował smakowity zapach ulubionej spartańskiej potrawy, czarnej polewki, składającej się z krwi, mięsa świńskiego, przypraw korzennych i octu.

Tak samo jak u Gilipposa, na dziedzińcu królewskim rozstawione były długie, proste stoły z koszami chleba, glinianymi kubkami i miskami. Stołów tych przygotowano znacznie więcej, bo też znacznie więcej zaproszono gości na przyjęcie do królewskiego dworu. Z samej Sparty przybyli wszyscy spartiaci, królewscy zarządcy, urzędnicy państwowi, dowódcy z twierdz pogranicznych, przedstawiciele periojków z miast i miasteczek całej Lakonii. Agis znał apetyty swoich spartiatów, dziś nikt nie odejdzie z pustym żołądkiem do domu. Na ucztę przygotowano potrawy ze stu baranów, sześćdziesięciu wieprzy, piętnastu młodych wołów, kilku jeleni, dzików i wielu zajęcy.

Na wpół upieczone udźce parowały z brązowych mis, goście odcinali krwawe płaty długimi nożami i jedli chwając młodego króla i jego znakomity ród. Pospółstwu czekającemu za bramą służba podawała gorsze kęsy, którymi już wzgardzili szlachetni panowie, ale i tak nikt nie narzekał. Kości i resztki nie nadające się dla ludzi rozszarpywały psy, które zbiegły się z całej Sparty, a nawet chyba z osad periojków, bo w samym mieście nigdy ich tyle nie widywano. Najbiedniejsi chowali kawały chleba i mięsa do sprytnie wszytych pod płaszcami kieszeni, aby zanieść żonom i dzieciom. W dniu królewskiego wesela nikt w Sparcie nie powinien być głodny.

W megaronie ustawiono również stoły i ławy. Z powodu mnogości zaproszonych nieprzydatne okazały się łoża biesiadne, które zajmowały dużo miejsca. Tak samo jak u Gilipposa, większą część megaronu zajęli mężczyźni, mniejszą kobiety, było ich zresztą niewiele, bo tylko najdostojniejsze i najbliższe nowożeńcom mogły brać udział w uczcie.

Na honorowym miejscu wśród nich siedziała Agiatis, z jednej strony obok niej królowa Agezystrata, z drugiej babka Archidamia. Matka okazywała jej dużo serdeczności, starała się mnogością zajęć i kłopotów usprawiedliwić obojętność Agisa z okresu narzeczeńskiego. Niech mu Agiatis wybaczy i nie myśli nic złego. Słuchała wyjaśnień teściowej i zadowolona była, że welon jeszcze zakrywa jej twarz. Nikt nie zauważył, że boli ją obojętność Agisa. Właściwie nic mu zarzucić nie można, skrupulatnie wypełnia wszystkie obrzędy. Przyprowadził ją z kwadrygi do megaronu, stanął z nią przy ognisku domowym, obsypał figami i daktylami na ofiarę bóstwom domowym, ale wszystko to czynił obojętnie, nie patrząc na nią, nie obdarzając żadnym cieplejszym spojrzeniem.

Przy królach służbę honorową pełnili młodzi królewicze. Przy Leonidasie brat Agisa, Archidamos, przy Agisie syn Leonidasa, Kleomenes, który ponadto jako mający żyjących oboje rodziców był „amphithales”, czyli pełnił szaczną funkcję podawania gościom chleba. Wygłaszał przy tym słowa obrzędowe, mające cudowne, magiczne właściwości: „Uciekłem od zła, znalazłem lepsze”. Agis z upodobaniem patrzył na Kleomenesa, czuł do niego

żywą sympatię. Chłopiec podobno skończył jedenaście lat, a wyglądał najmniej na czterna-stolatka: wyrosnięty, dobrze zbudowany, twarz miał skupioną, wcale nie dziecinną. Agis pamiętał go z syssitii i dziwił się, że Leonidas teraz przychylniej patrzy na syna i że sprawia mu zadowolenie zainteresowanie Agisa. Dlatego starał się być dla Agisa wyszukanie uprzejmy, bawił go dowcipną rozmową. Leonidas wyglądał staro, chociaż liczył niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale wyczerpany był rozwiązłym życiem, jakie prowadził, i nikt nie wróżył mu długiego panowania. Agis przelotnie pomyślał, że gdyby Kleomenes został królem, to reforma, o której marzył, zyskałaby w chłopcu wielkiego sprzymierzeńca. Z oczu Kleomenesa patrzyła śmiałość i upór, twarz zdradzała szlachetność. Tak, to byłby godny sojusznik.

— Twoja małżonka, Agisie — doszły doń słowa Leonidasa — jest najpiękniejszą kobietą, jaką wydała ziemia lakońska.

— Uroda Heleny zasłynęła na cały świat — odpowiedział Agis — a też była Spartanką.

— Gdyby Kleomenes był starszy — powiedział Leonidas — ty, Agisie, byłbyś dziś gościem na jego weselu z Agiatis.

Kleomenes, który akurat podszedł z koszykiem chleba do królewskiego stołu, zaczewrwił się, niezręcznie przechylił koszyk, z którego posypały się kromki chleba na stół królewski, i powiedział hamując wzburzenie:

— Przebacz, królu, mnie i mojemu ojcu.

Agis przyjacielskim ruchem położył swoją dłoń na jego rękę.

— Rozumiem cię, Kleomenesie. Przyjm moją przyjaźń.

— Dzięki ci, królu. Zawsze będę nosił w sercu twoje słowa.

„Szczeniak — pomyślał gniewnie Leonidas. — Dopóki ja będę żył, nie dopuszczę do tej przyjaźni”.

Przy sąsiednim stole wuj Agezylaos prowadził wytworną rozmowę ze Sfajrosem. Wuj umiał błysnąć literackim odczytaniem i znajomością kierunków filozoficznych, zręcznie cytował złote myśli z dzieł, których nigdy nie czytał i potrafił zaimponować ludziom nawet więcej od niego umiejącym. Agis ciekawy był, czy Sfajros też podda się błyskotliwości Agezylaosa i starał się uchwycić treść ich rozmowy, ale ciągle przeszkadzała muzyka fletów.

Przy drzwiach megaronu wszczął się ruch i zamieszanie. To przybyły delegacje z podarkami dla młodej królowej. Od ojca, rodziny, od przyjaciół obu domów, przyjaciółek, spartiatów, od periojków, a nawet od helotów. Różne to były dary, w zależności od stanu majątkowego ofiarodawców: wschodnie makaty, amfory z wonnościami, drogie tkaniny, ozdoby kobiece ze złota lub srebra, dzbanuszki miodu albo symbole darów, które zostawiano na dziedzińcu: gliniane woły, jagnięta, kogutki.

Ofiarodawcy kłaniali się najpierw królom, potem przechodzili na drugą stronę megaronu i zginając kolano przed stołem Agiatis, kładli dary na posadzkę.

Agiatis zdjęła welon z twarzy. Zmieszana, zarumieniona, kiwała w podzięcie ręką.

Gwar umilkł. Piękność Agiatis objawiła się w takim blasku, że niewłaściwe wydawało się każde słowo.

„Doprawdy czarująca” — zdumiał się Agis i poczuł niepokój w sercu.

Wśród gości przy drzwiach stał Lizandros. Łatwo go było zauważyć, górował wzrostem nad innymi. Agis spostrzegł, że Lizandros jest blady, a oczy mu płoną jakby z gorączki. A może wypił za dużo wina?

Drugi z przyjaciół, Damochares, pił w ponurym milczeniu. Niepotrzebny mu już wie-niec laurowy z Delf. Tyle trudu — na nic. Agiatis jest już żoną innego, zwycięskiego aurigi z Delf, króla Sparty. Czy można się z nim mierzyć? Pocięcha w tym, że Lizandros jej nie dostał. Ten by się puszył!

— Niech mnie spróbuje teraz ukąsić swoim językiem, już ja mu odpłacę — mruknął patrząc z satysfakcją na Lizandrosa. — Wzięło go, pięknisia ateńskiego. Widzisz, ani ty, ani ja, cacusiu!

Kleomenes, syn Leonidasa, patrzył również na młodziutką królową z niedowierzaniem, niemal z lękiem.

Bogowie, czyż to możliwe, aby dziewczyna mogła być tak piękna? Gdybym mógł ręką dotknąć jej włosów, sprawdzić, czy prawdziwe... Albo malowane, albo utkane z nitki złoty...

Nymphetria, kobieta wybrana spośród matron Sparty do opiekowania się oblubienicą w dzień ślubu, podeszła do Agiatis z nożycami, śpiewając pieśń obrzędową. Agiatis obronnym ruchem wzniosła ręce do góry. .

— Nie! Nie dam!

— Agiatis — usłyszała z wielu stron zgorszony szept.

— Za nic! Niech najwyższy kapłan, król Agis, mój pan i mążnek rozstrzygnie, poddam się jego woli.

Spojrzała błagalnie w oczy Agisa i złożyła dłonie.

Agis wstał. W rękę trzymał małą szkatułkę z kości słoniowej.

— Ja, kapłan Zeusa Lacedemońskiego, najwyższy kapłan i sługa wszystkich bogów Lacedemonu rozkazuje: mają być obcięte, zgodnie z wolą bogów, włosy oblubienicy Agiatis.

Agiatis jęknęła. Szmer przeszedł przez salę. Agis nie chce oszczędzić tych cudnych włosów? Ma przecie prawo zmienić zwyczaj.

Agis mówił dalej:

— Jeden pukiel na ołtarz Zeusa Lacedemońskiego; jeden pukiel na ołtarz bogów domowego ogniska; jeden pukiel na ołtarz boskiej Heleny. Zbliź się Agiatis.

Kiedy drżąca wysunęła się na środek sali, Agis podszedł do niej, otworzył małą szkatułkę, wyjął z niej klejnoty. Włożył Agiatis naszyjnik, złoty diadem na włosy, nausznicę i pierścionki.

— Oto są klejnoty najcenniejsze z naszego skarbcza. Wszystkie królowe naszego rodu, od czasów boskiej Heleny, nosiły je w dzień zaślubin. Niech ci przyniosą szczęście.

Nymphetria obcięła trzy pukle włosów, wiążąc każdy z osobna czerwoną tasiemką. Niech spełnią swoje przeznaczenie.

Teraz Agis wziął za rękę Agiatis i powiodł z megaronu do swojej komnaty. Goście i przyjaciele zaśpiewali pean, by odstraszyć złe moce, które tej nocy czyhały na nowożeńców.

W sypialni królewskiej płonąła jedna lampka oliwna. Agis zapalił dwie inne, wiszące na głównej ścianie, i jedną stojącą obok łóża. W komnacie zrobiło się dość jasno.

— Siadaj, Agiatis — powiedział łagodnie.

Rozejrzała się niepewnie i usiadła na skraju twardego łóża okrytego skórą.

— Słuchaj, Agiatis, chciałem ci wyjaśnić pewne sprawy. Bardzo trudne sprawy. Otóż ożeniłem się z tobą wbrew mej woli, na życzenie ojca. Nie sądz, że myślałem źle o tobie, że miałem jakieś zastrzeżenia. Jesteś piękna, szlachetna, dobrze wychowana. To wszystko wiem, dlatego tak mi ciężko. Ja w ogóle nie chciałem się zenić. Niestety, musiałem. Tak jak ty... Ciebie też nikt nie pytał o zdanie. Może nawet byłaś przeciwna...

Poruszyła się niespokojnie, ale nie odezwała się ani słowem.

— Widzisz, Agiatis, ja nie powinienem nikomu zawiązywać życia, nie powinienem się zenić. Stanę niedługo do bardzo trudnej walki o cel, dla którego gotów jestem poświęcić życie. Żebyś dobrze zrozumiała, chcę ci powiedzieć, czym była kiedyś Sparta, a czym jest teraz. I wtedy może zrozumiesz i wybaczysz mi.

Urwał na chwilę, spojrzał przelotnie na Agiatis.

— Może ci zimno? W naszych komnatach, nigdy nie ogrzewanych, zimy są przykre. Otulę cię futrem, połóż się na łóżu, wyciągnij wygodnie.

Nakrył ją ciepłą lisiurą, podsunął pod głowę poduszkę.

Słuchała zrazu uważnie. Prawa Likurga, które dały Sparcie siły i sławę. Wieki zwycięstw, znakomici królowie, waleczni spartiaci, dumne Spartanki. Znała to. Przecie dziewczę-

ta też musiały się uczyć dziejów ojczystych, pieśni Tyrteusza, Alkmana. Coraz mniej słów docierało do jej świadomości, coraz mniej rozumiała. Podniecenie nerwowe ostatnich dni i zmęczenie przeżyciami dnia ślubu brało nad nią górę. Wstrząsnęła się, aby odpędzić podstępny sen, który nadchodził uparcie. Król Agezylaos... Leuktry... Mantinea... Słowa, jakieś trudne słowa i nazwy... Po co on to wszystko mówi, jak powiązać to z tym, że nie chciał się z nią żenić?

Agis zapalał się coraz bardziej. Mówił teraz o eforach, tych ciemnych, tępych uzurpatorach władzy. Powołani przez lud na obrońców i stróżów prawa, nagięli wszystko do własnych, egoistycznych celów. Łamią wszystko, co stoi im na drodze do bogacenia się, do zaszczytów. Zmniejsza się ludność Lakonii, ubożeje, coraz mniej spartiatów, coraz mniej obrońców jej granic. Jeśli dalej tak pójdzie, Sparta upadnie, zniknie. Nic po niej nie zostanie. Trzeba ratować Spartę.

— Rozumiesz mnie, Agiatis?

Odpowiedziało mu głębokie westchnienie. Podszedł do łoża, spojrzął. Agiatis spała podłożywszy jak dziecko dłoń pod policzek. Rozchyliła usta i oddychała równo, spokojnie. Na odsłoniętym ramieniu dziewczyny jakaś ciemna plama. Pochylił się i ujrzał wpatrzony w siebie dwa czarne jak paciorki śleпки. Czujne, ale nie wystraszone. Brązowy kształtny łupek z okrągłymi uszkami, brązowe, lśniące futerko. Łasiczka Agiatis. Wyciągnął rękę, aby ją pogłaskać, ale cofnął się. Podobno wszystkich gryzie, nie uznaje nikogo poza swoją panią. Zwierzątko ułożyło się wygodniej, nie spuszczać jednak wzroku z intruza. Więc podczas wszystkich uroczystości Agiatis miała ją przy sobie? I nikt nie zauważył? Skryła ją w fałdach sukni?

Agis chwilę stał, rozważał, potarł parę razy ręką rozpalone czoło. Potem zgasił lampki oliwne, zostawiając palącą się tylko jedną na stoliczku przy łożu i wyszedł zamykając cicho drzwi.

W megaronie ognisko przygasło, zarzyły się jeszcze osypane popiołem węgle. Na posadzce spali goście, ci wszyscy, którym za daleko było wracać po uczcie do domu.

Agis wyszedł na dziedziniec. Tu też dopalały się ogniska, przy stołach biwakowali ostatni maruderzy. Zapach pieczonego mięsa wisiał w powietrzu ciężki, mdlący.

Skierował się do ogrodu. Lubił wilgotny zapach niedawno skopanej ziemi, szmer wodotrysku na kamieniach. Prysło jedno złudzenie. Kiedy zaczął rozmowę z Agiatis, łudził się, że ona go zrozumie i nie potępi. Kto wie, może znajdzie w niej przyjaciela, powiernika jego myśli, jego idei. Zlekceważyła go, usnęła. O swoich gorących marzeniach mówił do ścian, do migocących lampek oliwnych. Pusta dziewczyna. Dziewczyna? Dziecko prawie. W sutych szatach weselnych wyglądała jak nierozkwitły pączek jabłoni. Podobno do niedawna bawiła się lalkami. I ta łasiczka... Niesłusznie ją potępił, niesłusznie czuje żal. Trzeba być sprawiedliwym.

— Innych sprzymierzeńców szukać muszę — powiedział prawie głośno.

— To ty, Agisie? — usłyszał zdumiony okrzyk.

— Lizandros? Co tu robisz?

— Dumam nad swoją samotnością.

— Popiłeś, przyjacielu, i czekasz, aż ci z czerepu wywietrzeje. Idź do megaronu, przepij się. Późno już i zimno. Przeziębienie się możesz.

— A ty, królu, czemu nie w sypialni?

— Przyszedłem podumać nad moją samotnością.

— Ty, Agisie? Myślałem, że jesteś najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Szczęśliwy król, szczęśliwy małżonek.

— Siadaj, przyjacielu. Porozmawiamy, jeśli nie chcesz spać.

— Nie wiem, Agisie, czy mam prawo nazywać się twoim przyjacielem. Chciałem porwać Agiatis.

— Głupstwa wygadujesz. Jeszcze ci wino szumi w głowie.

— Popatrz — Lizandros wyciągnął obandażowaną dłoń. — To łasiczka Agiatis tak mnie urządziła. Przecięła mi żyłę. Kiedy ciągnąłem opierającą się Agiatis do muru ogrodu, za którym były moje konie i zaprzęg, nie wiadomo skąd znalazł się ten zwierzak. Jak mnie capnęła, puściłem Agiatis. A ona uciekła.

Agis zamyślił się. Prawda. Przypomniał sobie zadyszaną wystraszoną Agiatis okrytą płaszczem Lizandrosa. Nie zastanawiał się, skąd ten płaszcz na niej, ale teraz...

— Czy zdawałeś sobie sprawę, na co narażasz Agiatis i siebie? — zapytał nieswoim, zduszonym głosem.

— Tak. Chciałem z nią uciec do Azji.

— A ona?

— Przecież ci mówiłem, że się broniła.

— Dlaczego to chciałeś zrobić?

— Kocham ją — jęknął Lizandros. — Gdy pomyślałem, że jeszcze dziś znajdzie się w twoich ramionach... A teraz oddaj mnie pod sąd — zakończył ponuro.

— Nie — odpowiedział krótko Agis.

Siedzieli w dłużącym się, ciężkim milczeniu, każdy myśląc o swojej niedoli.

Lizandros: „Straciłem ukochaną dziewczynę i przyjaciela. Co pocznę w tej Sparcie, która stała się dla mnie za ciasna? Jeśli ludzie dowiedzą się o wydarzeniach tego wieczoru, jakże się śmiać będą. I potępią”.

Agis: „Nie sądziłem, że rozsądny mężczyzna może tak zgłupieć dla kobiety. Pomyliłem się i straciłem przyjaciela, na którego liczyłem w czekającej mnie walce. Prysło drugie złudzenie. Jakże smutny jest dzień mego wesela...”

Noc była jasna, chłodna, bo przecie był to pierwszy miesiąc peloponeskiej zimy. W blasku gwiazd skrzyły się ośnieżone szczyty Tajgetu, płynął od nich rzeźwy powiew. Po rosie, która otuliła lasy i pola, szedł niski, daleki, ponury zew wilków. Wzywają się na żer, czy może na gody weselne? Odpowiadały im jazgotliwe, niezgrane poszczekiwanie psów ze wszystkich gospodarstw Sparty.

— Królu Agisie, ukarż mnie — powtórzył Lizandros — inaczej w świetle dnia nie będę śmiał spojrzeć ci w oczy.

Agis wyciągnął rękę, opasał ramieniem plecy Lizandrosa.

— Przyjacielu, powiedz sam, czy tak płoche stworzenie, jak kobieta, może poważnie prawdziwych mężów?

„Gdybyś kochał, gdybyś wiedział, co to jest zazdrość, nie wyciągnąłbyś ręki do zgody” — pomyślał Lizandros i pochyliwszy się, pocałował Agisa w ramię.

— Dzięki ci, że mnie nie odpychasz od siebie. Postaram się odzyskać twoje zaufanie i miłość. Przyrzekam ci, że na Agiatis już nie spojrzę. Postąpiłem podle i zawstydzam cię twoją wielkoduszością.

— Nie mówmy już o tych sprawach, przyjacielu. Są ważniejsze. Wiem, że rozmawiałeś ze Sfajrosem o Sparcie. Wiem, że cierpisz nad jej upadkiem.

— Tak, ale nie widzę ratunku.

— Ratunek znaleźć się musi. Nakreśliłem już zarysy reformy... Ty mi pomożesz, znajdziemy innych godnych zaufania ludzi.

— Eforowie mogą wywęszyć.

— Nie wywęszą. Obmyśliłem plan. Sfajros ma pisać dzieje Sparty. Będzie dyskutował z nami fragmenty swego dzieła.

— A co nam to dać może? — zdziwił się Lizandros.

— Historia nauczycielem życia — powiedział sentencjonalnie Agis. — Zobacysz, jak otworzą się oczy naszych przyjaciół, kiedy się dowiedzą, czym była Sparta, kiedy zrozumieją, skąd bierze się jej niedola. Prawdziwa rewolucja nastąpi w ich sercach i umysłach. A wtedy w

nasze plany wciągniemy najgorętszych, najszczerzych.

— Dzięki ci, Agisie. Myślałem, że świat stracił dziś dla mnie wszystkie barwy, a dzięki tobie uwierzyłem znów, że warto żyć.

— Chodźmy, zimno tu.

Wstali z ławki i poszli ku domowi. Na dziedzińcu tlił się jeszcze ołtarz Zeusa. Było pusto. W portyku, w przedsionku i w megaronie spali pokotem ludzie. Przyjaciele szli ostrożnie, aby kogo nie nadepnąć. Koło ogniska domowego znaleźli miejsce do spania. Mimo że było to najcieplejsze miejsce w megaronie, nikt nie śmiał go zająć. Wyłączne prawo do niego miał tylko pan domu lub nieszczęśliwy, szukający ratunku.

Zdjęli kilka skór, które przykrywały stołki i ławy, rozesłali przy ognisku i położyli się.

Po chwili ich równe oddechy i chrapanie włączyły się w zgodny chór reszty śpiących.

AGIATIS

Minęło kilka miesięcy. Agis królował — pełnił swoje funkcje kapłańskie i sędziowskie, tych ostatnich miał zresztą niewiele. Eforowie byli to ludzie z obozu bogaczy, mimo że dwóch spośród nich należało do uboższych spartiatów. Obawiając się wyroków wydawanych przez Agisa, które nazywali demagogicznymi, wszystkie trudniejsze skargi wpływające do sądu królów kierowali do Leonidasa, a on wydawał decyzje zgodnie z wolą eforów. Agis nie zastanawiał się, ani nie próbował dociec, dlaczego ilość spraw tak się zmniejszyła. Gnębiły go własne, osobiste troski i problemy, których nie umiał rozwiązać.

Był szczery i prostolinijny, brzydził się wszelką obłudą i fałszem. Jak pogodzić swoją niewiarę w bogów z wykonywaniem obowiązków najwyższego kapłana? Żyć w kłamstwie, udawać tego, kim się nie jest, to było ponad siły Agisa. Niewiara zrodziła się w Atenach, krótki odwrót sprawiły Delfy. Ukorzył się wówczas przed majestatem Apollina, choć jego kapłani wzbudzili w nim wstręt. A w Sparcie powoli, dzień po dniu zaczęły wracać wątpliwości. Bronił się przed nimi, bo zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji, jaka go czeka. On, kapłan najwyższy — niewierzący? Gdyby mógł dać ludowi coś innego, porywającego, zamiast ich bogów i uroczystości... Sprawa reformy, której kształt coraz jaśniej krystalizował się w jego umyśle, też tkwiła na martwym punkcie. Pomocą w tych trudnych sprawach nie był nawet Sfajros. Co drugi lub trzeci dzień zbierali się w jego gaju oliwnym najbliżsi przyjaciele. Sfajros wygłaszał kolejny wykład z historii Sparty, a potem toczyła się dyskusja. Była to okazja do wymiany poglądów na wszystkie zagadnienia interesujące młodych. Czasem padały słowa: Zeus, Opatrzność, bogowie. Agis zauważył, że Sfajros nie tylko nie obala tych pojęć, ale sam ich używa i są dla niego jednoznaczne. Czasem mówił: Natura, innym razem: Przeznaczenie lub Zeus. Agis postanowił wyjaśnić te niekonsekwencje. I raz, kiedy został z nim sam po odejściu przyjaciół, zapytał, czy według niego jest jeden bóg, czy wielu. Sfajros odpowiedział:

— Wszystko jest pełne bogów.

— Nie rozumiem cię, Sfajrosie. Wydawało mi się, że uznajesz tylko jednego boga, Zeusa, którego rozmaicie nazywasz, a teraz okazuje się, że uznajesz cały panteon olimpijski.

— Tego nie powiedziałem — sprostował filozof — twierdzę, że wszystko pochodzi od boga i w sensie potocznym jest bogiem. Iskra tkwiąca w naturze ludzkiej jest iskrą bożą.

— Więc jaki jest ten bóg?

— Istoty jego umysł ludzki nie zdoła określić dokładnie. Jest jedyny wśród bogów i ludzi, największy, niepodobny do ludzi śmiertelnych ani z postaci, ani w sposobie myślenia.

Takie jest moje mniemanie. Bo wiedz, że nie ma i nigdy nie będzie na ziemi człowieka, który by mógł powiedzieć prawdę o bogach.

— Trudne to wszystko, co mówisz. A ja nie mam daru do filozofowania. Powiedz mi, co ja mam robić, jeśli nie wierzę w bogów olimpijskich, a muszę codziennie składać im ofiary? Czy można żyć w takiej sprzeczności z samym sobą?

— A czy odrzucasz istnienie istoty wyższej od nas, obojętnie jak ją nazwiesz: Bogiem, Losem, Przeznaczeniem?

— Nie. Według mnie wszechświat jest dziełem planowym i bóg ustanowił prawa, które nim rządzą.

— Ująłeś swoje przekonanie w najbardziej filozoficzny sposób.

— To nie jest moja definicja. Tego mnie uczył Ksenares. Nie wiem, czy sam doszedł do tego, czy przejął od innych filozofów.

— Dlaczego Ksenaresa nie widzisz wśród twoich przyjaciół? Słyszałem o nim wiele.

— Rzadko się teraz udziela. Przeżył boleśnie usunięcie go ze stanowiska pajdonoma. Zacząłem już starania, aby go przywrócić do gimnazjonu, ale nie będzie to łatwe. Mieszka dość daleko, więc pošlę po niego konie, aby przyjechał na nasze następne spotkanie.

— Dobrze, Agisie, chętnie go poznam. Ale wracając do twojej kwestii: czy słusznie czynisz, spełniając ofiary bogom? Odpowiem ci: słusznie. Człowiek może widzieć tylko to, do widzenia czego dorósł. Twoi Spartanie widzą takich bogów, jakich ich cześć nauczone. Byliby nieszczęśliwi, gdybyś im tych bogów zabrał. Popełniłbyś zło. A popełnienie zła jest czymś najgorszym, bo zakłóca porządek boży. Dalej: czy będziesz zgodny z sumieniem swoim nie wierząc w bogów, a spełniając dla nich ofiary? Pamiętaj, że to są tylko różne postacie Jedyne, tego który jest Doskonałością i Mądrością, więc ukorzyć się przed nim możesz.

— Przemyślę to, Sfajrosie. Przyznam się, że nie jestem przekonany.

— Cieszę się, że niełatwo cię przekonać. Dowód, że lubisz myśleć i szukać własnych dróg. W ten sposób rodzą się nowe teorie i rozwija się nauka.

— Pochlebiasz mi, Sfajrosie — żartobliwie powiedział Agis. — No, na mnie już czas, muszę pójść na syssitię.

Ale tego wieczoru Agis nie poszedł na syssitię.. Wyszedł od Sfajrosa i skierował się w stronę agory. Minął swój dwór, spojrzął w stronę nowo wybudowanego domku matki. Królowa Agezystrata jeszcze przed ślubem Agisa wyprowadziła się z królewskiego domu do willi babki Archidamii, ale i tam nie chciała zamieszkać, choć bardzo się lubiły. Kazała zbudować niewielką willę między obu domostwami.

— Będę blisko was, a wy blisko mnie.

Domek królowej nie był jeszcze ogrodzony, Agis widział służebne kręcące się po dziedzińcu, słyszał ich śpiewy i śmiech. Pomyślał, że mimo tej bliskości ostatnio mało odwiedzał matkę. Widocznie czuła żal do niego, bo też się nie pokazywała.

— Odwiedzę ją, syssitię mogę dziś opuścić.

Ktoś ze służby zdążył uprzedzić królową o przybyciu syna, bo wyszła do portyku i wyciągnęła ręce na powitanie.

— Wieki cię nie widziałam, Agisie.

— Zasłużyłem na wymówki — odpowiedział, całując ją w oba policzki — wybac.

— Serce niecierpliwe zawsze jest pełne wymówek — uśmiechnęła się trochę smutno. — Dobrze trafiłeś, dziś na wieczerzę twoja ulubiona potrawa: kluski z makiem.

— Znów mnie chcesz psuć, matko?

— Tak jak ty psujesz swoich spartiatów. Słyszałam, że to nie syssitię, a uczy prawdziwe.

— Przesada. Wypędziłem tylko głównego zarządzającego, bo kradł, zmieniłem kucharki. I zamiast na ćwiczenia wojskowe, spartiaci częściej chodzą na polowanie. Ostatnio nam się wiodło. Nie licząc drobnej zwierzyny, upolowaliśmy pięć jeleni, osiem dzikich kóz, cztery

dziki.

— To rzeczywiście po królewsku zaopatrzona spiżarnia.

Szli pod portykiem ku jadalni królowej. Dom pachniał jeszcze świeżym drzewem i farbami.

Weszli do jadalni, przybranej girlandami kwiatów, amforami i wschodnimi makatami.

— Uroczycie dziś u ciebie, matko.

— To przygotowania na jutrzejszy dzień. Zaprosiłam babkę Archidamię. Byłam u ciebie, ale cię nie zastałam. Rozmawiałam z Agiatis. Bardzo lubię tę dziewczynę.

Położyła nacisk na słowie dziewczyna, ale Agis udał, że tego nie spostrzegł.

— Jaka to jutro uroczystość?

— Moje urodziny. Kończę czterdzieści lat.

— Wybacz mi, zapomniałem o tym.

— Tak, zapominasz o kobietach, które cię kochają.

— Jestem bardzo zajęty.

— To cię nie tłumaczy, Agisie. Daruj, że to, co ci powiem, nie będzie dla ciebie miłe. Długo walczyłam z sobą, ale przecie jestem twoją matką. Po całej Sparcie krążą plotki, że od dnia ślubu nie odwiedziłaś komnaty Agiatis, ani ona u ciebie nie była. Czy to prawda?

— Ona nic ci nie mówiła?

— Nic. Nawet próbowałam delikatnie ją wybadać. Wykręciła się od jasnej odpowiedzi. To mnie jeszcze bardziej utwierdziło w przekonaniu, że te plotki mają podstawy.

— Do moich osobistych spraw nikt nie ma prawa się wtrącać — powiedział ostro Agis.

— Mylisz się, synu. Małżeństwo króla to sprawa państwowa. Musi być ciągłość dynastii i prawowity następca tronu. Już raz ciebie o tym przekonywałam.

— Tak. I nie doszliśmy do porozumienia.

— Powiedziałeś, że to małżeństwo przeszkodzi ci w twoich planach. Więc nie zmieniłeś tych planów?

— Nie.

— Bardzo ogólnikowo mówiłeś o swoich zamiarach. Wspomniałeś Likurga.

— Tak. Moją reformę chcę oprzeć na jego retrze. To będzie zrozumiałe dla ludu. Ale w szczegółach musi być inna, bo inne teraz czasy.

— Nie rozumiem, w czym przeszkodziłaby ci Agiatis. Kobieta kochająca pójdzie zawsze za mężem, choćby go nie rozumiała. Agiatis zaś kocha ciebie.

— Jakże ona może mnie kochać! — zawołał popędliwie Agis. — Rzadko trafia się nam okazja zamienienia paru słów. Odniosłem wrażenie, że ona również mnie unika.

— Jest gorzej niż myślałam — szepnęła królowa. — A jednak ona cię kocha. Uwierz mi, że cię kocha.

— Nie wierzę — powiedział niepewnie Agis, ale poczuł jednocześnie głęboką, nieoczekiwaną radość. Agiatis go kocha. Nie zraziła jej jego obojętność. Dlaczego kocha, za co? Przecież nie zasłużył na to.

— Dość długo dzisiaj z nią rozmawiałam. Żebyś ty widział, z jakimi wypiekami na twarzy słuchała o twoim dzieciństwie, jak prosiła, żeby jej opowiedzieć, co lubiłeś, jak się bawiłeś, jak wyglądałeś. Agisie, kobieta, która nie kocha; swego męża, nie będzie się tak interesowała jego życiem.

— Zostawmy ją jej lalkom i łasiczce. Za młoda jest, aby mnie zrozumieć.

— Skończyła piętnaście lat. U nas dziewczęta szybko dojrzewają. Ona ma bogatego ojca. To człowiek wpływowy, może dużo zdziałać dla twojej sprawy.

— Tacy, jak on, za mną nie pójda.

— Dlaczego? Na kim chcesz się oprzeć?

— Chcę przywrócić Sparcie równowagę społeczną. Aby nie było skrajnej nędzy i przesadnego luksusu. Chcę, aby Sparta znów była silna. A siła Sparty — to dobrobyt wszy-

stkich jej obywateli. Siła Sparty może wyrosnąć tylko z własnej, licznej, ludowej armii. Dlatego wszyscy muszą mieć pod dostatkiem chleba.

— Mówisz o silnej armii. Po co? Przecie nam teraz żaden wróg nie grozi. Twój ojciec potrafił osobistym przykładem i namową skłonić eforów do zawarcia różnych sojuszów i umów z wszystkimi, którzy mogliby zagrażać Sparcie. Umiejętną grą stepił wszystkie miecze, wymierzone kiedyś w pierś Sparty.

— Ja też nie chcę wojny. Nienawidzę rozlewu krwi. Ale za zręczną dyplomacją musi stać silna armia.

— Słusznie, synu. Tylko z silnymi liczy się świat. Słabość Sparty widział również dobrze twój ojciec. Dlatego tak nie chciał umierać... Bał się o ciebie.

— Dlaczego bał się o mnie?

— Znał twoją wrażliwość na niedolę, na krzywdę ludzką. Obawiał się, że ludzie podle to wyzyskają, że nadużyją twojej ufności, twojej dobroci, a potem cię zmiążdżą.

— Ja wierzę w dobroć człowieka.

Służebne wniosły srebrne talerze, łyżki, potrawę w misie. Postawiły kubki, dzban świeżej wody i wina, koszyk owoców. Wyszły bezszelestnie.

Królowa nałożyła na talerz Agisa dużą porcję jego ulubionego smakołyku. Sobie wzięła tylko trochę, a i tego nie mogła zjeść. Spoglądała z troską i smutkiem na jedzącego syna. Kiedy się nasycił i wziął z koszyka jabłko, wróciła do poprzedniej rozmowy.

— W jaki sposób chcesz uczynić wszystkich zamożnymi?

— Po pierwsze, chcę znieść wszystkie długi. Jak wiesz, nawet te wolne jeszcze, pojedyncze klerosy są ogromnie zadłużone. Cała Sparta siedzi w skrzyniach garstki bogaczy. Uwolnienie od długów, jakie dałem, w dniu zaprzysiężenia, to kropla w morzu. Oczyścić hipotekę wszystkich obywateli; przyznasz, że to szlachetny czyn. Jeśli chodzi o wierzycieli, to oni nadmiernymi procentami dawno wyciągnęli zwrot pożyczonych sum. Będzie to dobra nauka dla lichwiarzy. Po drugie, co jest bardziej istotne, chcę przeprowadzić nowy podział gruntów.

Królowa zbladła. Wstała od stołu. Agis zauważył, że ręce jej drżą.

— Nie, Agisie, nie! — powiedziała twardym, schrypniętym głosem. — Tego nie możesz zrobić.

— Wyrocznia powiedziała Likurgowi: „Chciwość bogactw zgubi Spartę”. I moja matka chce znaleźć się wśród tych, którzy przyczynią się do zguby Sparty.

— Agisie, znieważasz mnie. Sam mówisz, że cała Sparta siedzi w skrzyniach paru bogaczy. Sfora wściekłych psów nie byłaby dla ciebie tak groźna, jak oni. Rozszarpia cię, zanim zdołasz przedstawić projekt na zgromadzeniu.

— Przesadzasz, matko. To są starzy ludzie albo kobiety. Za mną pójdą wszyscy młodzi, za mną pójdzie lud.

— I młodzi, i lud nic nie znaczą w Sparcie. Ich obowiązkiem jest słuchać i milczeć. I głosować: tak. Wpajano im to przez wieki kijem, pięścią, modlitwą.

— Przemówią i będą usłyszani.

— To, czego chcesz dokonać, to nie reforma, to rewolucja.

— Nie nazwa jest ważna. Chcę przywrócić wielkość i cześć Sparcie.

— Wielkość całej Grecji padła pod Cheroneą. I Sparty też, choć udziału w tej bitwie nie brała. W Munchii, twierdzy ateńskiej, stoi macedoński garnizon, Sparta cieszy się pozorami wolności.

— A w Sparcie bieda z nędzą. Jedna wolność została obywatelom: śmierć z głodu. Kiedy przechodzę przez agorę i widzę tłumy głodnych, złych i obdartych młodych ludzi, którzy dawniej byli chwałą i siłą Sparty, ogarnia mnie przerażenie. Pragnienie zmiany pali serce.

— Twoje wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie. Nikt dobrowolnie nie zrzeknie się tego, co ma. Myślisz, że z garstką swoich hołyszów pokonasz ludzi mających za sobą

władzę, pieniądze, zastępy sług i najemników?

— Myślę, że pokonam. Moi hołysze nie mają nic do stracenia poza swoją nędzą. A do zyskania wiele. Mam nadzieję, że nasi bogacze nie zatracili jeszcze poczucia wstydu. Gdy zobaczą, że inni dają, pójdą za ich przykładem.

— Kto to są ci inni?

— Przede wszystkim ja. Poza tym Mandroklejdas, Amfares, Lizandros, Damochares. Odwołam się do bogatych kobiet Sparty... Kobiety spartańskie nieraz w przeszłości dawały dowody wielkiego patriotyzmu...

— Mylisz się, Agisie. Bogate Spartanki przywykły do wygod i luksusu. Żadna z nich nie odda dobrowolnie nawet jednej opaski na włosy.

— I ty nie oddasz?

— Nie, bo nie chcę twojej zguby. I nie liczę na tych swoich przyjaciół. Jeden Mandroklejdas może rozporządzać swoim majątkiem, bo jego ojciec oddał mu część klerosów, pozostali nie mają nic.

— Więc w Sparcie nie znajdziemy ludzi zdolnych do ratowania ojczyzny?

— Znajdziemy. Gdyby wróg uderzył na Spartę, ta bezimienna rzesza, którą chcesz uszczęśliwić, stanie ramię przy ramieniu i zginie za Spartę. Pamiętaj tylko, że biedny człowiek łatwiej poświęca swoje życie niż bogacz swoje złoto.

— Sama, matko, w tych słowach oddajesz hołd tej bezimiennej rzeszy. I sądzisz, że nie warto, bym ja złożył im coś więcej niż hołd?

— Zarzucasz mi, Agisie, że mnie ogarnęła żądza bogactw, która ma stać się przyczyną upadku Sparty. Jeśli pracowałam całe życie dla powiększenia majątku, to tylko dlatego, byś ty, przyszły król Sparty, nie był nędzarzem. By nędzarzem nie był twój brat, Archidamos. Mnie te bogactwa niepotrzebne. Po śmierci mego małżonka żyję już tylko połową duszy. Wiem, co cię czeka — klęska. Zginiesz ty, zginie nasz królewski ród, w zamęt pograży się Sparta.

— Ta twoja niewiara to jeszcze jeden dowód, że Spartę trzeba odrodzić, wstrząsnąć sumieniami odpowiedzialnych za jej wielkość i istnienie.

— Twoja wiara tkwi w twoich dwudziestu latach. Twoje zamiary są ponad siły człowieka. Uzurpujesz sobie prawa boskie. Chcesz przekroczyć granice działania dozwolone człowiekowi.

— Przesadzasz, matko. Mało to było na świecie reformatorów?... I szczęśliwie dokonali swoich dzieł.

— Nie wiem, Agisie, nie wiem... I boję się... Jak ja się boję!

Królowa ścisnęła dłońmi skronie. Agisowi żal się zrobiło matki, podszedł, położył dłoń na jej ramieniu.

— To, czego ja chcę dokonać, jest słuszne i sprawiedliwe. Bogowie będą ze mną, a nie przeciw mnie. I ty pójdziesz za mną!

— Nigdy!

— Bądź zdrowa! Może to i lepiej, że tak rzadko się widzimy. Tyle ci sprawiłem bólu. Wybacz mi — Agis zdecydował, że najlepiej przerwać tę bolesną dla obojga rozmowę.

— Przyjdź jutro z Agiatis. I przyprowadź Sfajrosa. Chcę poznać tego człowieka — odpowiedziała królowa zmęczonym głosem.

— Bądź zdrowa, matko. Przyjdziemy.

Królowa opadła na fotel i długo jeszcze siedziała nieruchomo, przytłoczona ciężarem trudnych myśli. Szerokiego lotu ptakiem jest jej syn, wysoko się wzbił na skrzydłach marzenia. Gdybyż to były tylko marzenia! Znała upór Agisa. Wszyscy z rodu Eurypontydów byli tacy. Agis to nieodrodny syn Eudamidasa. Jeśli coś zamierzy, to idzie bez wahań i trwogi jak dzik, kiedy naciera na myśliwego.

Nazajutrz przyszli goście. Więcej niż się królowa spodziewała, bo również najbliżsi

przyjaciele Agisa: Mandroklejdas, Lizandros, Amfares, Damochares. Przybyła również babka Archidamia i brat królowej, Agezylaos, z synem Hippomedontem. Wszyscy przynieśli podarki. Najbardziej wzruszył królową szafranowy peplos utkany własnoręcznie przez Agiatis. Ucałowała synową i powiedziała z zachwytem:

— Jesteś niezrównaną prządką. Nie wszystkie dziewczęta w Sparcie potrafią tkać. Ludzie wolą kupować gotowe tkaniny.

Babka Archidamia również zachwycała się szatą, zachwycała się Agiatis, mówiąc jej wiele ciepłych, miłych słów.

Agiatis nie była już tym nieśmiałym dziewczątkiem, na poły dzieckiem, które ubrano wiele miesięcy temu w strój weselny. Twarz jej spoważniała, duże, podłużne oczy patrzyły spokojnie i poważnie. Usta uśmiechały się wdzięcznie, kiedy przechylała ku mówiącemu swą małą, kształtną główkę, ale z oczu nie znikał ani na chwilę bolesny wyraz zadumy.

„Dusza łagodna jak spokój morskiej toni” — myślał słowami Ajschylosa Mandroklejdas, przyglądając się Agiatis zajętej rozmową z babką.

Lizandros spoglądał na nią ukradkiem, za to Damochares wpatrywał się w Agiatis bez przerwy. Amfares stuknął go parę razy w bok, ale siłacz mruknął coś gniewnie jak niedźwiedz, któremu broniał garnka miodu. Agis zauważył to, poczuł, że mu się burzy krew. Byłby najchętniej wziął za kark przyjaciela i wyrzucił za drzwi. Sam nie wiedział, dlaczego tak go drażni niemy zachwył Damocharesa.

Agiatis była ubrana z wyszukaną elegancją w różowy peplos przepasany złotym paskiem i złote sandały. Na odsłoniętych ramionach miała bransolety, na szyi przepiękny naszyjnik boskiej Heleny, na głowie diadem wysadzany rubinami i szafirami. Agis przypomniał sobie wróżbę związaną z tymi klejnotami i zadrzał. Wróżba spełniła się. Urzekła go piękność Agiatis, choć tak się bronił przed tym niebezpieczeństwem. Robił jej w myślach wymówki, że jest lekkomyślna i próżna jak wszystkie Spartanki, że jest zalotna i stara się podobać wszystkim, ale każdy jej ruch, uśmiech wywoływał falę zachwytu i przyprawiał o szybsze bicie serca. Nie spojrzała ani razu w jego stronę i Agis był jej wdzięczny za to, bo lękał się, że się zdradzi, że wyczyta z jego oczu to uczucie, które przyszło nieproszone i niepotrzebne.

Sfajros z uśmiechem przyglądał się Agiatis. Nie byłby Grekiem, gdyby pozbawiony był wrażliwości na harmonię i piękno ludzkiego ciała. Patrzył na Agiatis jak na doskonale dzieło sztuki. Agezylaos obsypywał Agiatis komplementami, na co ona odpowiadała śmiechem. Nieświadomie była bohaterką wieczoru, skupiała na sobie spojrzenia wszystkich.

Czcigodna Archidamia przerwała te śmiechy i przekomarzania, zwracając się do Sfajrosa:

— Mówiono mi, że jesteś bardzo mądry. Chciałam ci zadać kilka pytań, czy zechcesz mi odpowiedzieć?

— Słucham cię, dostojna pani — odpowiedział Sfajros — pozwól jednak, że uczynię małe sprostowanie. Nie jestem człowiekiem mądrym, ja dopiero wspinam się mozolnie ku drodze mądrości. Człowiek mądry to jest ideał, o którym marzy każdy stoik, do niego dąży, ale nigdy go nie osiąga. Prawdziwa mądrość musi być zgodna z mądrością bożą.

— No dobrze, Sfajrosie, ale kiedy ja poznam, co jest zgodne z mądrością bożą, a co nie?

— Trzeba żyć zgodnie z naturą. To jest pierwszy nakaz mądrości bożej. Trzeba żyć uczciwie, unikać zła i czynienia krzywdy. Sama intencja czynienia zła jest równoznaczna z czynieniem zła. To jest drugi nakaz mądrości bożej: sumienie. Nie czyń zła.

— Czy postępowanie według twych nauk da człowiekowi to, do czego zawsze dąży: szczęście?

— Prawdziwy mędrzec, dostojna pani, jest samowystarczalny. Bez względu na to, co spotka go w życiu, w jednej dziedzinie świątynie ma nad nim władzy: filozof może schronić się do własnej duszy i znaleźć spokój, bowiem tu nie może zaszkodzić mu nikt prócz niego

samego.

— Czy uważasz, że szczęście to schronienie się do własnej duszy?

— Tak.

— Takie odosobnienie się, według mnie — powiedziała z namysłem królowa Archidamia — prowadzi do obojętności dla świata, dla człowieka. Prawdziwemu mędrcomu nic, co ludzkie, nie powinno być obce.

Sfajros nie znalazł odpowiedzi. Patrzył na starą damę trochę zakłopotany i zaskoczony jej logiką. Przecie ona wskazała bezbłędnie słabą stronę ich filozofii, na którą już inni stoicy zwracali uwagę.

— Nie myślałem, babko — wtrącił Agezylaos — że jesteś tak biegła w sztuce filozofowania. Musiałas czytać wiele uczonych ksiąg, że tak odważnie rozprawiasz ze sławnym filozofem.

— Nie trzeba czytać wielu ksiąg — odpowiedziała Archidamia — wystarczy przeczytać te najlepsze. One dają wiedzę.

— Mnie niepotrzebna wiedza — roześmiał się lekceważąco Agezylaos. — Wino, muzyka, ładna flecistka, weseli przyjaciele — oto jest szczęście. Cóż mnie obchodzi los innych.

Posypały się okrzyki oburzenia na Agezylaosa. Agis dowodził, że prawdziwy człowiek nigdy nie będzie czuł się szczęśliwy, jeśli będzie widział wokół siebie ludzi nieszczęśliwych. Królowa Archidamia powiedziała, że zgubna jest dla Greków chęć ciągłej zabawy i używania. Każdy Grek, jak bachantka, chciałby przebiec życie tańcząc i śpiewając, z tysem w jednej, a kubkiem wina w drugiej dłoni. Każda okazja jest dla niego dobra, aby urządzać uczyty i zabawy. Zarówno smutek, jak radość Grek topi w winie.

Królowa Agezystrata milczała, przyglądając się uważnie gościom. Wieczór ten przyniósł jej wielką radość. Zauważyła kilkakrotnie, jak mieni się twarz Agisa, kiedy spogląda na żonę, i pomyślała, że dobrze zrobiła wtajemniczając synową w historię klejnotów boskiej Heleny i namawiając, by jak najczęściej je zakładała. Jeśli zwycięstwo Agiatis będzie całkowite, boska Helena dostanie należne jej ofiary. Pójdą z Agiatis do jej świątyni, by złożyć w ofierze białe gołębie. I trzeba ostrzec Agisa, by z dala od swego domu trzymał tego siłacza. Zachowuje się po prostu nieprzyzwoicie. Plotkowano, że Lizandros chciał wykraść Agiatis, pewno się ludziom pomyliły imiona. Lizandros jest zupełnie obojętny, nawet na nią nie spojrzął, odkąd przyszedł. Ale chyba już gości zmęczyła uczona debata, pora im dać odpoczynek.

— Czy nie zechciałbyś nam zaśpiewać, Amfaresie — zwróciła się do śpiewaka królowa Agezystrata — tak dawno nie słyszałam twego głosu. Bezbarwny pozostanie dla wszystkich w pamięci ten wieczór, jeśli go nie uświetnisz swoim głosem.

Amfares od dawna czekał na zaproszenie. Nudziły go uczone rozmowy, to dobre w gronie przyjaciół w gaju oliwnym Sfajrosa, gdzie pragnienie można ugasić najczęściej kubkiem wody źródlanej, a nie u królowej, która częstuje tak znakomitymi winami. Po zwykłym winie chce się śpiewać, a cóż dopiero po tak boskim trunku jak wino z Chios.

Zdjął ze ściany lutnię i zaczął śpiewać ludowe piosenki lakońskie. Wszystkie mówiły o miłości, o szczęściu, kiedy w gorące noce gymnopediów dziewczęta spartańskie są łaskawe dla swych chłopców i tancerzy. Chóralne partie piosenek i refreny śpiewali wszyscy, a najradośniej królowa Agezystrata. Główna bitwa z losem o szczęście syna została wygrana.

Około północy goście rozeszli się. Królowa chciała dać zaprzęgi dla dalej mieszkających, ale podziękowali jej. Noc tak ciepła i cudownie pachnąca wiosną, miła będzie przechadzka pod blaskiem gwiazd.

Przed bramą swego dworu Agis pożegnał przyjaciół i poszedł razem z Agiatis. Kiedy odzwierny zamknął za nimi bramę, Agis nieśmiało ujął rękę żony.

— Agiatis, chciałem ci coś powiedzieć... Nie wracaj jeszcze do swoich komnat...

Skierowali się bez słowa na ścieżkę wiodącą do ogrodu. Kiedy się znaleźli w cieniu

rozkwitłych drzew, Agis objął ją silnie i powiedział głucho:

— Wybacz mi, Agiatis. Byłem ślepy i głupi. Walczyłem z sobą, unikałem ciebie, a przecież tak cię kocham. Nie chciałem cię unieszczęśliwić.

— Kocham cię, Agisie. Czekałam z tęsknotą.

Zaczął ją całować delikatnie, nieśmiało. Zdawało się jej, że to płatki jabłoni sypią się na jej twarz.

Szeptali sobie najczulsze słowa, oboje niezmiernie szczęśliwi.

Łaskawa, cicha, wiosenna noc czuwała nad ich miłością.

POLOWANIE

Ucichły rozmowy o reformie. Cieszyli się bogacze, że młody król się ustatkował, biedakom los wydał się jeszcze cięższy, bo opuściła ich nadzieja. Agis wszystkie wolne chwile spędzał teraz z żoną, która promieniała jak obłok wiosenny prześwietlony słońcem.

Lato nastąpiło niezwykle upalne. Biały żar bił z nieba, życie w Sparcie zamierało na wiele godzin dnia. Ożywiało się dopiero wtedy, gdy słońce wędrowało za szczyty Tajgetu i chłodny wiatr spadał na znękaną ziemię. Gorący czas wszyscy spędzali w domu, bo nawet w ogrodach upał doskwierał i nie chronił przed nim cień drzew.

O świcie Agis z żoną szli nad Eurotas, gdzie znaleźli wśród gęstwiny oleandrów zaciszny kątek do odpoczynku po kąpielach. Jak dzieci pluskali się w wodzie, opryskując ze śmiechem jedno drugie, potem kładli się na piasku nadbrzeżnym. Agis słuchał śpiewu Agiatis, która kościanym grzebieniem rozczesywała swe jasne włosy i okrywała się nimi jak wilgotnym płaszczem. Czasem brał do ręki pasmo jej włosów i przesuwiał po swojej twarzy. Pachniało gorzkawo tatarakiem, który rósł w rozlewiskach Eurotasu. Łasiczka Lais zawsze towarzyszyła im w tych wyprawach, buszowała w pobliskich krzewach, czasem zmęczona przybiegała do Agiatis i kładła się spać przy jej stopach. Do Agisa już się przyzwyczaiła, pozwalała mu nawet głaskać się, ale były to raczej poprawne stosunki towarzyskie, nie miłość, którą niepodzielnie obdarzała swoją panią. Agis udawał, że jest zazdrosny o Lais, co Agiatis bardzo cieszyło i bawiło.

— Dobrze nam razem, Agisie — mówiła Agiatis kładąc głowę na jego kolanach — gdyby tak można było zatrzymać czas i śnić bez końca naszą miłość...

— Dlaczego chciałabyś zatrzymać czas?

— Boję się przyszłości, a dzień dzisiejszy jest tak szczęśliwy...

— Nie dla wszystkich jest szczęśliwy — odpowiedział Agis i popadł w zadumę.

Nie lubiła jego zamyśleń, które go napadały nieoczekiwanie, wywołane jakimś przypomnieniem, słowem niebaczonym, skojarzeniem. Czuła, że Agis odchodzi od niej, że zapomina o jej istnieniu. Nie robiła mu wymówek, nie przerywała ciszy, czasem tylko, gdy wydawało się, że Agisowi jest zbyt ciężko, zaczynała nucić ulubioną jego piosenkę:

*Syna Alkmeny trudy i znoje
Pieśni rozstawią po wieków wiek,
Uparte jego z krzywdą boje
Niechaj król wielbi i prosty człek.*

Ludowa, prosta pieśń opowiadała o dwunastu pracach Heraklesa, o jego życiu pełnym wyrzeczeń i bohaterskiej walki przeciw wszelkiemu łotrystwu i zbrodni. Był on dla Agisa

symbolem ludu cierpiącego i walczącego, ludu poddanego tyrańskiej władzy głupich i tchórzliwych władców. Gdyby ten lud uświadomił sobie swoją siłę...

Po południu jeździli kwadrygą w stronę Tajgetu. Zatrzymywali się u jego podnóży, czasem wdrapywali się na któryś z jego pierwszych stopni i błędzili w gęstwinie stuletnich pinii i dębów, czasem wchodzili do jednego z poszarpanych dzikich wąwozów, gdzie w jasny dzień panował zielony mrok, a nad głowami piętrzyły się urwiste złomy skalne.

Agis zaniedbał po trosze swych przyjaciół, nawet Sfajrosa odwiedzał rzadko. Z powodu upałów filozof przerwał dysputy, zresztą młodzi ludzie stracili zapał do filozofii i historii. Nie było żadnych widoków na poprawę stosunków w Sparcie. Nowi eforowie twardo trzymali władzę w rękach. Leonidas stał po ich stronie, Rada Starców składała się z przedstawicieli możnych rodów. Cóż znaczył Agis i garstka jego przyjaciół, zbyt młodych, aby brać udział w zgromadzeniu ludowym lub piastować jakieś stanowiska. Agis nie wyrzekł się marzeń o reformie. Tliła w sercu jak ogień przysypany popiołem. Wiedział, że ten ogień nigdy nie wygaśnie. Słusznie mówił Mandroklejdas, że dużo potrzeba czasu, aby przygotować i przeprowadzić reformę. Na razie nie pozostawało nic innego, jak czekać.

Po zbiorach znów część spartiatów odpadła z syssitii, w większości ci, za których udział zapłacił Agis i kandydaci na gerontów, ubiegający się o głosy wyborców. Agis wpłacił ponownie udziały za swoich, nowo wybrani geronci nie potrzebowali już ubiegać się o popularność, tak że w konsekwencji liczba równych zmniejszyła się.

Zbliżał się nowy rok spartański, a z nim wybory nowych eforów. Zwolennicy reformy wysunęli dwóch swoich kandydatów: Mandroklejdasę i Hippomedonta. Mimo popularności obu kandydatów, przeszła piątka bogaczy. Agis nie mógł zrozumieć, dlaczego. Wydawało mu się, że i podczas wyborów jego kandydaci mieli przytłaczającą przewagę, zaskoczył go więc wynik ogłoszony przez sędziów. Wybrani zostali:

Elatos — chciwiec żądny władzy, który dorobił się na kupowaniu zadłużonych klerosów. Jego imieniem nazwano ten beczynny dla Agisa rok spartański;

Gyllos — zdzieciniały starzec, który na zebraniach przeważnie chrapał i budzony przez sąsiadów klaskał w najbardziej nieoczekiwanych momentach;

Herripidas — dumny, zubożały arystokrata pochodzący z bocznej linii drugiego domu królewskiego, Agiadów;

Polybiades — koślawy dureń, którego opłatę za syssitię uiszczala wdowa po periojku, z którą miał kilkoro dzieci;

Arakos — jeden z szeregowych spartiatów, nauczony słuchać, a nie myśleć.

— Byłem pewien, że przejdziecie — mówił z goryczą Agis, kiedy wracał z wyborów w towarzystwie Mandroklejdasę, Hippomedonta i Lizandrosa. — Przecie cała apella była za wami. Jak to się stało, żeście nie przeszli?

— Przechodzą kandydaci sędziów, a nie apelli — cierpko uśmiechnął się Mandroklejdas. — Dopóki nie wybierzemy własnych sędziów lub nie kupimy sędziów bogaczy, nie ma mowy o naszych kandydatach.

— Smutne rzeczy mówisz mi, przyjacielu — westchnął Agis. — Nie przypuszczałem, że aż takie nadużycia dzieją się przy wyborach. To rok beczynności dla mnie, rok dalszej niedoli ludu.

— Nie rozpaczaj, Agisie, nie stracimy tego czasu. Lepiej się przygotujemy, uderzymy silniej. Trzeba jednak zdobyć paru wpływowych ludzi...

— Wpływowych?

— To znaczy bogatych.

— Moja matka powiedziała, że łatwiej biedakowi oddać życie, niż bogaczowi wyrzec się złota. Z tej strony nie znajdziemy sojuszników.

— Przecie ty też jesteś bogaty.

— Tak, ale ja tego bogactwa nie zdobywałem sam. Nie wydierałem go z gardzieli

innym, nie krzywdziłem wdów i sierot, nie rujnowałem ludzi lichwą. Mój majątek to dorobek wielu pokoleń, zdobyty na wrogach, pomnożony troskliwą gospodarką. Mam małe wymagania. Nie gram w kottabosa ani nie piję. Trudno mi stracić to, co posiadam, a posiadam za wiele. Jaką komu przyniesie korzyść, jeśli złożę w skarbcu Ateny jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści talentów złota? Mnie to nie przysporzy szczęścia.

Szli w stronę dworu Agisa. W Sparcie już się przyzwyczajono do widoku króla Agisa chodzącego tylko w gronie przyjaciół, bez świty i służby, z którą zawsze paradował drugi król, Leonidas. Mało było takich, którzy triumfowali z powodu przegranej stronnictwa reformy, wielu się martwiło i współczuło Agisowi.

— Zostaliśmy przy tobie tylko my trzej — powiedział Hippomedont, kiedy Agis umilkł — niewiele posiadamy, niewiele możemy ci pomóc. Nawet twój wierny Damochares odpadł. No i oczywiście Amfares.

— Wcale nie odpadli — żywo zaprotestował Agis. — Nie widujemy się teraz często, to prawda, ale kiedy zawołam, przyjdą. Opanowało ich zniechęcenie, czemu trudno się dziwić... Zaczniemy niedługo zbierać się u Sfajrosa, zobaczysz, zgłoszą się.

— Słuchaj, Agisie, może jednak spróbujesz jeszcze raz przekonać swego teścia Gilippo-sa.

— To bezcelowe — powiedział niechętnie Agis.

— W takim razie należałoby porozmawiać z Megistonusem, to wpływowy i bogaty człowiek.

— Jest uczciwy i kocha Spartę — wtrącił Lizandros. — To nie jest zła myśl, aby go przyciągnąć do nas.

— A ja myślę — powiedział Hippomedont — że trzeba szukać sprzymierzeńców w obozie Leonidas.

— Chyba szpiegów — roześmiał się Lizandros.

— Nie, przyjaciół. Leonidas ma zięcia, Kleombrotosa. Obaj się nienawidzą. Chilonida kocha ich obu i nieraz chciała pogodzić ojca z mężem, ale to jej się nie udało. Kleombrotos wie, że gdyby Leonidas zginął lub został wygnany, on ma szansę zostania królem.

— Leonidas ma dwóch synów — wtrącił Agis.

— Obaj są nieletni. Za nich musiałyby rządzić regent. A dzieci królewskie są śmiertelne, może nawet bardziej niż dzieci zwykłego obywatela. Leonidas opiekował się przeciw małym spadkobiercą Kleonima — Areusem. No cóż, królewicz umarł przedwcześnie, jak następcy tronu, sierocie, wypadło.

— Nie — powiedział Agis. — Jestem przeciwny wszelkim gwałtom i zbrodniom.

— Rewolucja nie obejdzie się bez krwi.

— Nasza będzie bezkrwawa. Gdyby udało się przeprowadzić eforów przychylnych reformie...

— Ja jednak rozmawiam z Kleombrotosem — upierał się Hippomedont. — Może on nam się przydać w stosownym momencie.

— Sojusznik nigdy nie zawadzi — zgodził się Agis. — Zapraszam was jutro na polowanie. Wybierzemy się nad Eurotas na kaczki. Zaprosiłem już Amfaresa i Damocharesa, a nawet wuja, twego ojca, Hippomedonczie. Wydaje mi się jednak, że wstanie z łoża przed świtem będzie zbyt ciężkim wyczynem dla dostojnego Agezylaosa.

Roześmieli się wszyscy. Rzeczywiście wuj Agezylaos brzydził się wszelkim trudem.

— Jesienne kaczki tłuste, smaczne, że tylko palce lizać — westchnął Hippomedont.

— Gdzie się spotkamy? — zapytał Lizandros.

— Przy Platanistas, o świcie. O żywność i łuki nie martwcie się, moja służba pomyśli o wszystkim, co nam będzie potrzebne.

Agis zatrzymał się przed bramą domu babki Archidamii.

— Żegnajcie. Odwiedzę jeszcze królową Archidamię.

Staruszka była sama. Wypoczywała na łożu biesiadnym, nogi miała nakryte narzutą z futerek zajęczych. Radośnie klasnęła w dłonie na widok wnuka. Agis schylił czoło do pocałowania.

— Jak się czujesz, babciu?

— Nogi mi dokuczają.

Agis popatrzył na babkę. Wydało mu się, że postarzała się od czasu, gdy ją widział kilkanaście dni temu. Policzki jakby bardziej zapadły, worki pod oczyma powiększyły się, cera żółkła. Tylko na ustach pozostał ten sam uśmiech pełen dobroci, słodczy i wyrozumiałości dla świata.

— Każę podać wino z roku eforatu Archytasa — powiedziała pani Archidamia i klasnęła na służebną, która zaraz się pojawiła — to był dobry rok dla winnej latorośli. Wino ma wyjątkowy smak i aromat. I ciasteczka z sezamu, które lubisz.

— Zawstydzasz mnie, babciu. Ciągłe mnie uważasz za małego chłopca?

— Nie za małego, za dużego, Agisie.

Agis roześmiał się i westchnął:

— Chciałbym być małym chłopcem, dla którego chowałaś przy posążku Pana koszyczek z rodzynkami, a ja wierzyłem, że to od niego upominek. Słodkie lata dzieciństwa...

— Ciężko ci, Agisie?

— Ciężko. Wracam właśnie z agory. Nie przeszedł żaden z moich kandydatów.

— Tak przewidywałam — powiedziała królowa Archidamia i pokiwała głową. — To niełatwa walka. Oni są silni, Agisie, mają praktykę wielu lat, a ty dopiero przyszedłeś. Nie zrażaj się przegraną.

— Jesteś po mojej stronie babciu?

— A po czyjej miałbym być? To zresztą nie tylko względy rodzinne. Znam ich i dlatego będę zawsze przeciw nim.

Dziewczyna wniosła kubki, wino i ciastka. Woda źródłana stała w amforze obok łoża królowej.

— Dopraw sobie wino wedle smaku — powiedziała do wnuka. — Dla mnie, niestety, wystarcza już tylko parę kropli na kubek wody. Lata swoje robią.

— Bez moich eforów w rządzie nie zrobię nic, dlatego tak mi dziś ciężko po tej przegranej.

— Ciągłe jeszcze marzysz o reformie?

— Nie przestałem ani na chwilę.

— Biedna Agezystrata, jak ona mało zna swego syna. Przekonana jest, że dałeś spokój.

— Nigdy babciu.

— Nie bardzo wiem, jak wyobrażasz sobie tę reformę?

Agis zaczął wyjaśniać. Zapalał się coraz bardziej, oczy mu płonęły, na twarz wystąpiły rumieńce. Nie mógł usiedzieć na trójnogu, wstał i zaczął chodzić po komnacie. Królowa Archidamia pomyślała, że tak mówić może tylko człowiek, który bez zastrzeżeń wierzy w słuszność swoich myśli, swojej idei. Spłonie jak Herakles, jeśli pozostanie sam ze swoją ideą, czyż można bowiem brać pod uwagę tych kilku młodzieńców, którzy się przy nim kręcą?

Milczała długo, choć umilkło już ostatnie echo słów wnuka. Agis zatrzymał się, spojrzął w oczy babki. Czy też potępi go jak matka? Trudno spodziewać się czegoś innego. Rzeczą młodości jest ryzyko i walka, starzy lubią spokój. Królowa Archidamia patrzyła na niego spokojnie, ale Agisowi wydało się, że jest wzruszona i przejęta.

— Przepraszam cię, babciu, jeśli cię zaniepokoiłem.

— Opętałeś mnie — uśmiechnęła się staruszka. — Kiedy mówiłeś, czułam, jak serce zaczyna mi bić młodzieńczo, jakby mi ubyło parę dziesiątków lat.

— Przyznajesz, że to słuszne, co mówiłem?

— To jest nie tylko słuszne, ale i szlachetne. Pokazałeś mi Spartę, o jakiej marzyłam,

odrodzoną Spartę. Uwierzyłam, że taką możesz stworzyć... I dlatego chcę stanąć przy twoim boku.

— Ty, babciu?! — Agis pochylił się, chwycił obie dłonie staruszki i zaczął całować. — Zawsze wierzyłem w wielkość twojej duszy!

— No, no, nie przesadzaj. Stara już jestem, co mi tam marzyć o wielkości. Często myślałam o Sparcie mojej młodości, porównywałam ją z obecną. Chociaż minęło zaledwie pół wieku, wydaje mi się, że Sparta posunęła się bardziej ku starości niż ja. Bardziej zniedołężniała, osłabła, przygasła jak ciężko chory. Człowiekowi młodości nie wróci nikt, nawet bogowie, ale państwo można odrodzić, tak jak je odrodził Likurg.

— Jakże szczęśliwie kończy się ten nieszczęśliwy mój dzień!

— Obyś ich miał w życiu jak najwięcej. Trzeba jeszcze porozmawiać z Agezystratą.

— Matka nie pójdzie z nami. Powiedziała mi, że chcę przekroczyć granicę dozwoloną człowiekowi. Przecież to, co ja chcę przeprowadzić, leży w zasięgu ludzkiej ręki, ludzkich możliwości. Ludzie, moich współbraci, chcę wyrwać z niedoli, a nie bogów.

— Nie trać nadziei, Agisie. Twoja matka jest mądrą kobietą i kocha Spartę. Trudniej będzie z innymi kobietami.

— Po co nam inne?

— Kobiety w Sparcie mają dużo do powiedzenia, Agisie, choć wydaje się, że rządzą w niej mężczyźni.

— Są próżne, lekkomyślne, dbają tylko o szaty i świecidełka.

— Nie wszystkie, mój drogi. Spróbuję niektóre przekonać.

— Będę ci bardzo wdzięczny. Taki sojusznik, jak ty, to połowa zwycięstwa.

— Pochlebco — uśmiechnęła się królowa Archidamia, zadowolona niezmiernie z pochwały — będę ci pomagać w miarę moich sił i majątku. Sił, co prawda, niewiele, za to majątek duży, co się w tym wypadku liczy, może nawet podwójnie.

— Wszystko się liczy, babciu — powiedział Agis całując staruszkę na pożegnanie. — Bądź zdrowa.

Jesienny, mglisty świt wylaniał się z mroków nocy, kiedy myśliwi spotkali się przy Platanistas. Ku zdumieniu Agisa nie brakowało nikogo, nawet wuja Agezylaosa. Pojechali kłusem, przed nimi radośnie poszczekując biegło kilka psów słynnej lakońskiej rasy myśliwskiej, o długich pyskach, ostrej, krótkiej sierści.

U swego ujścia Eurotas tworzył szerokie rozlewisko, po obu jego stronach rozciągały się bagna i mokre łąki, pełne wszelakiego wodnego ptactwa. W ciemnym nurcie Eurotasu kłębiło się tysiące ryb, łatwy żer dla ptactwa.

Po zbiorach pola wyglądały jesiennie, rdzawo i płowo, wypalone przez letnie skwary. Na tych, które tego roku leżały odłogiem, odpoczywały po zeszłorocznym trudzie wydania plonów, kręcili się ludzie paląc suche chwasty, orząc już oczyszczone pola.

Z pyska Wichra spadło parę płatów piany. Agis przytrzymał konia za cugle, zwolnił biegu. Podjechał do niego wuj Agezylaos.

— Rozmawiałem niedawno z twoją matką. Ucieszyłem się z tego, co mi powiedziała o tobie.

— Cóż to było aż tak pocieszającego?

— Powiedziała mi, że zrezygnowałaś ze swoich światoburczych projektów.

Agis odburknął coś niechętnie. Nie zrażony tym Agezylaos prawił dalej:

— Najszluszniejsza jest moja maksyma: trzeba brać z życia wszystko przyjemne, to co daje rozkosz, bo gdy się tak przeżyje swoje lata, nie żal będzie iść do Hadesu.

— Nie dla wszystkich przydatna ta twoja maksyma, wuju. Jakie radości mogą czerpać z życia, ci co cierpią głód?

— Cudzy głód pobudza mój apetyt. Cóż ja się będę troszczył o cały świat.

— To tylko o Spartę chodzi.

— I co z tego, że o Spartę. Powiedz, czy którykolwiek ze Spartan martwi się o moje długi, poza moimi wierzycielami oczywiście? Więc po co ja mam się martwić o innych?

— W moim projekcie jest kasacja długów.

— To jest interesujące. Ale co mi z tego przyjdzie? Skasujesz moje długi, zabierzesz moje ziemie. Czy tak?

— Tak.

— No to ja już wolę, żeby pozostało po staremu.

Agis skrzywił się. Cóż innego mógłby mu powiedzieć ten wuj — hulaka, utracjusz, pozeracz babskich serc, pan wielkich, ale po uszy zadłużonych, włości. Mimo to cieszył się popularnością w Sparcie. Miał szeroki gest. Potrafił po jakimś święcie czy zawodach wydać ucztę dla wszystkich Spartan, sprawić nowe peplosy wszystkim dziewczętom z chóru, jeśli mu się podobały w śpiewie i tańcu. Słyszał poza tym z daru płynnej wymowy, umiał na zgromadzeniu ludowym wzruszyć słuchaczy do łez, umiał zręcznym słowem przyciąć niepopularnemu eforowi. Uznawał, że najlepszą bronią w walce z przeciwnikiem jest śmiech. Rany otrzymane w bójkę zagoją się, zapomną o nich ludzie, zapomni sam pokrzywdzony. Ale człowiek wyszydzony, ośmieszony, nie pozbędzie się swego urazu nigdy, ta rana przy każdej okazji będzie się jąrzyć. I niejedną raz ludzie przypomną sobie szyderstwa, traktując ośmieszonego jak niewydarzonego błazna. Bano się więc Agezylaosa i ustępowano mu z drogi.

— Zacznieś swoją reformę od umarzania długów czy dzielenia gruntów? — zapytał Agezylaos nie zrażony wrogim milczeniem, siostrzeńca.

— Aby stawiać dom na tym samym dziedzińcu, trzeba usunąć stary albo ruiny po starym — odpowiedział Agis. — Nowe klerosy, które będę tworzył, muszą być czyste, wolne od zobowiązań.

— To jest piękna idea, Agisie, pomyśl jeszcze nad tym. Może będę ci mógł służyć jakąś radą, ale nie licz na mnie, bym przystąpił do twoich zwolenników.

— Nie spodziewałem się tego, wuju.

— Chciałem cię jeszcze ostrzec, Agisie. Chodzi o twego bezbożnego Sfajrosa.

— On bezbożny? — oburzył się Agis.

— To mu zarzucali poprzedni eforowie i myślę, że nowi nie zmienią zdania. Grozili mu wypędzeniem ze Sparty. Nic ci nie mówił, prawda? Nie chciał cię martwić. Dlatego przede wszystkim prosił o przerwanie na jakiś czas wykładów. Eforowie sądzą, zresztą nie tylko oni, że zbrodnią jest mówić o równości ludzi. I o tym, że bóg jest jeden. Pomyśl tylko, jak można głosić, że żaden człowiek nie ma prawa ciemnieć drugiego człowieka ani go zabijać? W jakim świetle przedstawia to eforów, którzy ogłaszają wojnę przeciw helotom albo skazują na śmierć bez sądu niewygodnego periojka?

— Przekonania Sfajrosa są również moimi przekonaniem. Pytia delficka już dawno ogłosiła równość wszystkich ludzi, nie mówimy nic nowego. Pytia powiedziała, że wszyscy rodzą się wolni, więc nie powinno być niewolników i wolnych. Widziałem na własne oczy tablicę z tym orzeczeniem boga.

— Ludzie mogą być równi wobec bogów, wobec eforów nigdy, to sobie zapamiętaj, Agisie. I radzę ci, by twój filozof był ostrożniejszy.

— Dziękuję za ostrzeżenie — odpowiedział Agis.

Skręcili z bitego traktu na ugory ciągnące się nad Eurotasem. Dziko tu było i pusto, tylko krzyk ptactwa przerywał ciszę sennego krajobrazu. Agis zarządził postój. Rozsiedli się pod oleandrami. Towarzyszący im chłopcy z drużyny królewskiej rozłożyli na trawie kawał płachty, na której poukładali placki, sery, wędzone mięso, bukłak wina. Kroili, każdym własnym nożem, grube plastry mięsa i sera i zjadali łakomie, przegryzając plackiem i popijając winem. Wszyscy byli głodni, bo wyruszyli z domu na czczo.

Po posiłku zostawili konie pod opieką straży, a sami pieszo ruszyli nad brzeg rzeki. Grząsko było, między szuwarami błyskały okienka ciemnej, połyskliwej wody. Za nimi z

pyskami wyciągniętymi nisko nad ziemią ruszyły psy. Labes, pies Agisa, szedł tuż przy jego nodze. Załopotało nagle w szuwarach, krótkie wystraszone kwaknięcie i stadko cyranek poderwało się w górę. Agis naciągnął łuk, puścił strzałę. Pomknęła ze świstem i ciężki plusk do wody dał znak, że strzał nie był daremny. Labes przyniósł po chwili trzepocącą się jeszcze kaczkę.

Ptactwa były nieprzebrane ilości. Strzelali do podrywających się stadek prawie nie celując i prawie zawsze z pomyślnym skutkiem. Psy znosiły łup: ciężkie, tłuste krzyżówki, brązowozłociste podgorzałki, zgrabne cyranki, długodziobe bekasy i kwiczoły.

Agisowi wydało się, że na rzece gęgają dzikie gęsi. Podmokła łąka zmieniła się tu w bagnisko. Rosła na nim wiklina i gęste szuwały. Agis skakał z kępy na kępę, omijając rude kałuże. W pewnym momencie pośliznął się i upadł na jedno kolano. I w tej samej chwili tuż nad jego głową świsnęła strzała i utkwiała w kępie szuwarów. Bardziej zdziwiony niż przerażony Agis rozejrzał się. Usłyszał pospieszny oddech uciekającego człowieka i ostry szelest wikliny roztrącanej w biegu. Wydostał strzałę z szuwarów i zawrócił do przyjaciół. Stali przy wuju Agezylaosie, który coś opowiadał z ożywieniem.

— Jak myślisz, Agisie — zapytał Agezylaos — czy nie warto by było pojechać jeszcze kawałek dalej na południe. Tu nastrzelaliśmy sporo, reszta spłoszona uciekła.

— Można. Czy są wszyscy?

— Damocharesa nie ma — powiedział Lizandros i spojrzał na strzałę, którą Agis trzymał w ręku.

— Chyba to nie twoja strzała, Agisie?

— Nie. Znalazłem ją. A gdzie Damochares?

— Zranił kaczora i poszedł z psem go ścigać. Ale już powinien wrócić.

W tej samej chwili wyskoczył z wikliny pies, niosąc w zębach trzepocącą się kaczkę, a za nim wysunął się Damochares zabłocony, ze wzburzoną czupryną.

— Już się niepokoił o ciebie — powiedział Agis.

— Podprowadziłem psa na miejsce, gdzie padł ten ranny kaczor. I bardzo się zdziwiłem, gdy nagle zobaczyłem uciekającego obcego człowieka. Z ciekawości pogoniłem za nim, ale mi znikł w gęstwinie.

— Czy był uzbrojony?

— Miał łuk. Dlaczego o to pytasz, Agisie?

— Interesuje mnie, kto jeszcze poluje na moczarach — zagadkowo uśmiechnął się Agis.

Zabite ptactwo przytroczyli do koni i mieli ruszyć dalej, gdy Agezylaos zmienił zdanie.

— Może wrócimy już do Sparty? Zdobycz mamy całkiem dobrą, a w godzinach południowych źle się poluje. Jak sądzisz, Agisie?

— Możemy wracać — obojętnie zgodził się Agis.

Lizandros tak manewrował swoim koniem, że znalazł się obok Agisa. Jechali w milczeniu i kiedy Lizandros upewnił się, że nikt go nie dosłyszy, powiedział do Agisa:

— Niepokoi mnie ta strzała. Dziwne mi się wydaje, że ją znalazłeś. Nie gniewaj się, że jestem taki wścibski.

— Nie gniewam się, przyjacielu. Ktoś do mnie strzelił, ale nie trafił, i w ten sposób ją znalazłem.

— Nie podobał mi się Damochares. Podejrzany jest jego spóźniony powrót i zmęczenie.

— Fantazja cię ponosi, Lizandrosie. I brzydko, że takim strasznym posadzeniem obarczasz Damocharesa. Kto jest mi bardziej oddany niż on? Zresztą, z jakiego powodu? Nic nie ma ci naszej przyjaźni.

— Przepraszam cię, Agisie. Pewno się mylę. Może to ludzie Leonidasa?

— Nie rozstrzygniemy tego. Winowajca z pewnością się nie zgłosi.

— Czy mógłbyś mi podarować tę strzałę? Chciałbym ją zbadać.

— Oczywiście. Jest mi niepotrzebna. O tym, co się przydarzyło, nie opowiadaj nikomu.

— Rozkaz, Agisie. Pozwól jednak, że będę szukał właściciela tej strzały. Jest tak inna od naszych, że to powinno ułatwić mi poszukiwania.

— Po co ci ten kłopot?

— Pamiętasz naszą rozmowę w dzień twego ślubu? Wtedy poprzysiągłem sobie, że cię nie opuszczę ani w dobrej, ani złej doli, że będę cię strzegł jak oka w głowie. Jesteś mi najbliższy na świecie, wiedz, że w każdej chwili gotów jestem życie oddać za ciebie.

— Wzrusza mnie to, co mówisz, mój drogi. Ale ja takiej ofiary nie mogę przyjąć.

— Przyjmiesz ją dla Sparty. Twoja sprawa jest moją sprawą, twój los, moim losem. A twój los nierozdzielnie związany jest z losem Sparty.

— Tak, dziękuję ci, wierny druhu. Myślę, że nic nie zamąci naszej przyjaźni.

Przerwali rozmowę, bo podjechał do nich Damochares.

— Wiesz, Agisie, zgłosiło się do mnie kilku ejrenów, abym uczył ich walk zapaśniczych. Jak się na to zapatrujesz?

— Oczywiście, powinieneś uczyć. Szkoda, by się taki talent marnował.

— Tak też myślałem. Ci chłopcy mają dobrze w głowie. Mogą się przydać w twoich planach.

— Każdego chętnego przyjmujemy otwartym sercem, prawda Damocharesie?

Wjeżdżali już do miasta. Upolowane ptactwo Agis kazał odesłać do Domu Mężczyzn. Przyda się na najbliższą syssitię.

SPRZYMIERZEŃCY

W dzień urzędowania Agisa jako sędziego przyszedł do niego Ksenares.

— Przypomniałeś sobie nareszcie, że istnieję — powiedział szczerze ucieszony Agis.

— Sam sobie też robię wyrzuty. Już dawno obiecałem Sfajrosowi, że was poznam, no i odwlekło się.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, Agisie.

— Zaraz to uczynimy — Agis zawołał herolda, który przy drzwiach sali przyjmował zgłoszenia petentów i zapowiedział, że kończy już urzędowanie. Herold z prawdziwą radością spełnił polecenie.

Z mrocznej sali wyszli na zalany słońcem świat.

— Może pójdziemy do Sfajrosa?

— Wolałbym, Agisie, dziś porozmawiać z tobą bez świadków. Tak dawno cię nie widziałem.

— Dobrze, chodźmy do mego ogrodu. A czemuś się usunął ze świata?

— Piszę historię wychowania.

— Spartańskiego?

— Nie tylko. Jak wiesz, sporo podróżowałem, byłem wychowawcą nie tylko w Sparcie, ale w Atenach, Pergamonie, Aleksandrii.

— Wrócisz na stanowisko pajdonoma, ciągle myślę, jak to najprościej przeprowadzić.

— Nie to jest ważne w tym czasie. Dzięki twemu ojcu mam z czego żyć.

— Memu ojcu? — zdziwił się Agis.

— Kiedy mnie eforowie usunęli z urzędu, twój ojciec z rezerw państwowych przyznał mi kleros. Jestem oszczędny, żona pracowita, możemy żyć spokojnie.

— Mimo to musisz wrócić do gimnazjonu. Gdzie indziej takiego człowieka, jak ty,

noszono by na rękach, tylko nasza Sparta jest niewdzięczna.

— Na razie, Agisie, nie kłopotz się moimi sprawami, są ważniejsze. Oprócz historii wychowania chcę napisać teorię wychowania, opracować nowoczesny system wychowawczy.

— To niełatwe zadanie. Zdaje się, że nikt jeszcze tego nie próbował zrobić?

— Trochę Arystoteles, na uboczu swoich wielkich prac. No, ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Przyszedłem ci ofiarować swoje usługi. Jestem za twoją reformą, królu Agisie, i będę ci pomagał w miarę moich sił.

— W mojej reformie i wychowanie będzie uwzględnione. Chciałbym przywrócić stare, surowe wychowanie spartańskie.

— Zgadzam się z tym. Niech będzie surowe, ale mądre. Jednak od czasów Likurga świat się zestarzał. I dawne wychowanie też się zestarzało. Wprawdzie ideał wychowania kalos-kagathos — piękny i szlachetny — nie uległ zmianie, ale inaczej teraz obrabia się marmur, inaczej trzeba podejść do tak delikatnej sprawy, jak formowanie duszy młodego człowieka.

— Dziwny stał się świat. Poszukiwania innego boga, poszukiwania nowych form władzy, nowych sposobów kształtowania duszy człowieka. Myślałem, że tylko we mnie jest niepokój, ale wszyscy szukają, wszyscy błądzą.

— Zdaje się, że nie wszyscy, Agisie. Gdybyż tak było, więcej miałbyś już sprzymierzeńców.

— Sami się do mnie zgłaszają, bo ja widocznie za słabo szukam. Twoja pomoc będzie bardzo cenna. Znają cię i szanują wszyscy. Zbieramy siły do nowych wyborów. Agituj za moimi kandydatami, Ksenaresie. Albo wiesz co? Wystawimy twoją kandydaturę, nie będzie pudła. Zgadzasz się?

— Mamy jeszcze dużo czasu, ale nie zawadzi już teraz rozpocząć starań i rozmów. Oczywiście zgadzam się na wysunięcie mojej kandydatury, jeśli to się przyda sprawie reformy.

— Poza tym chcę wysunąć Lizandrosa i Amfareasa.

— Nie chciałbym kandydować razem z Amfaresem.

— Czemu?

— Nie wiem. Nie lubię go, choć podziwiam jego talent śpiewaczy.

— A co myślisz o Damocharesie?

— Stanowczo za młody, nie przejdzie. Jest popularny, ale sam wiesz, geronci nie zgodzą się na takiego młodego efora.

— Ponownie wysuniemy Hippomedonta.

— Zgoda. A Mandroklejdas?

— Eforowie z pewnością nie dopuszczą, by kandydował. Wyślą go z jakimś poselstwem tak, by nie zdążył wrócić na czas wyborów.

— To możliwe. A może, Agisie, sięgnąć do szeregowych spartiatów.

— Nie sądzę, aby któryś z nich przeszedł.

— Nasi eforowie i bogacze lubią chodzić w maskach demokratów. W każdych wyborach wśród kandydatów jest jeden lub dwóch ludzi całkiem biednych. Wyborcy na nich głosują, bo to są ludzie z ich środowiska. Niestety, żaden z tych „szeregowych” nie ma żadnego wpływu. Zawsze go przegłosuje czwórka czy trójka pozostałych, zgranych z sobą eforów.

— Świetna myśl — ucieszył się Agis. — Jeśli przejdzie Lizandros i ty, a może nawet Hippomedont, tamci pójda za nimi...

Potem rozmawiali o Sfajrosie, o jego pracy nad historią Sparty. Ksenares powiedział, że od dłuższego czasu nosił się z zamiarem poznania filozofa i nawiązania z nim przyjaźni, więc jeśli Agis nie ma nic przeciw temu, jutro złoży Sfajrosowi wizytę.

— Świetnie. Ja też jutro miałem zamiar go odwiedzić.

Z ogrodu królewskiego przeszli na taras, Agis kazał podać wino i owoce. Przed bramą

zatrzymał się jakiś pojazd i kiedy odzwierny otworzył, wjechała kwadryga z samotnym aurigą.

— Wuj Agezylaos — zdziwił się Agis.

Agezylaos rzucił lejce nadbiegającemu chłopcu stajennemu a sam swobodnym, lekkim krokiem skierował się w stronę tarasu.

— Witaj, Agisie! — zawołał z daleka i z rezerwą skłonił się przed Ksenaresem. — Dobrze, że ciebie zastałem, chciałbym z tobą pomówić.

— Pozwolisz, królu, że cię pożegnam? — zapytał Ksenares wstając z krzesła.

— Czemu się tak spieszysz? Sądzę, że Agezylaos nie przynosi żadnych tajemnic.

— Oczywiście — odpowiedział nieszczerze Agezylaos.

Ale Ksenares zaczął się żegnać. Nie lubił tego hulaki i utracjusza. Raził go wypielegnowany wygląd Agezylaosa, jego wielkopańskie maniery, chęć błyszczenia i czarowania słuchaczy dowcipem i sentencjami. Kiedy Ksenares odszedł, Agezylaos pochylił się nad Agisem i powiedział uroczyście:

— Zwyciężyłeś mnie, Agisie.

— Nie rozumiem.

— Interesuje mnie twoja reforma. Po przemyśleniu tego wszystkiego, o czym rozmawialiśmy na polowaniu, postanowiłem zerwać z dotychczasowym życiem i też coś zdziałać dla Sparty.

— Ty, wuju? — krzyknął Agis.

— Nie wierzysz? Ja sam się zdziwiłem, że mogę z siebie wykrzesać iskrę zapału dla czegoś innego niż zabawa w wesołym gronie.

— Nie do wiary — Agis kręcił w zdumieniu głową.

— Gdybyś się choć trochę interesował swoim wujem, wiedziałbyś, że już od dłuższego czasu zerwałem z dawnym trybem życia — z odcieniem goryczy w głosie powiedział Agezylaos, a jego zmysłowe usta ułożyły się w grymas jak u płaczącego dziecka.

Zwiesił smutnie głowę i westchnął.

— Ależ, wuju — Agis zawstydził się stawianych mu zarzutów — twoje zasady życiowe mogły mnie do tego upoważnić.

— To prawda, nie mam do ciebie żalu. Przemiany fizyczne w człowieku łatwiej dostrzec niż duchowe.

— Jeszcze na naszym ostatnim polowaniu głosiłeś chwałę uciech zmysłowych — nie ustępował Agis — więc skąd ta zmiana? Chory może jesteś?

— Fizycznie czuję się zupełnie dobrze, ale dusza była chora. Szukając ratunku poszedłem do Sfajrosa. Dużo dała mi rozmowa z nim. Poznałem, że idę fałszywą drogą. Bardzo mi do serca przypadł ideał „Mądrego Człowieka”, jaki on mi zobrazował. Chciałbym choć trochę zbliżyć się do tego wzoru, bo na doskonałość mnie nie stać.

Agis słuchał uważnie, przypatrując się nawróconemu wujowi. Typowy okaz sybaryty: okrągła, tłusta twarz, małe, zmysłowe usta, oczy patrzące zachłannie, otyły, ramiona zaokrąglone jak u kobiety, ręce pulchne, wypielegnowane. Czy taki człowiek zdolny będzie do wyrzeczeń na rzecz bliźnich, do skromnego, prostego życia?

— Nie gniewaj się, wuju, ale twoje zainteresowanie filozofią i reformą wydaje mi się chwilowym kaprysem wielkiego pana.

— Mylisz się, Agisie. Przeżyłem głęboki wstrząs i przykro mi, że nie chcesz mi wierzyć.

— Może teraz wierzysz w to, co mówisz, ale powiedz mi, czy potrafisz wytrwać? Całe życie spędziłeś na przyjemnościach, czy będziesz w stanie ich się wyrzec?

— Łatwiej będzie mnie, niż takiemu, co żył skromnie i nagle otworzyły się przed nim możliwości używania. Wszystkie przyjemności życia poznałem, przesycałem się, czuję nawet wstręt. Jestem już dość stary, aby się usatkwować i coś wreszcie zdziałać dla Sparty.

Taka dostojność, przekonanie i szczerłość była w głosie Agezylaosa, że Agis uwierzył.
— Przekonałeś mnie, wuju. Wybacz, że tak nieufnie przyjąłem twoje oświadczenie, ale zaskoczyło mnie ono.

— Nie gniewam się. Cieszę się, że uwierzyłeś. Od jutra zacznę agitować za tobą.

— Raczej za reformą, wuju. Ja jestem tylko rzecznikiem sprawy odrodzenia Sparty.

— Odrodzenie Sparty zrośnie się z twoim imieniem jak retra z Likurgiem.

— Nie zależy mi na tym. Może być bezimienna, byle została przeprowadzona.

— Nie wiem, co bardziej podziwiać, Agisie, czy twoją skromność, czy szlachetność twojej duszy.

— Daj spokój, wuju — skrzywił się niechętnie Agis. — Wiesz, że nie lubię pochlebstw.

— To nie pochlebstwa, ale mniejsza z tym. W związku z agitacją na rzecz reformy muszę cię prosić o pomoc.

— Pomoc przy agitowaniu? — zdziwił się Agis.

— Najłatwiej przekonać ludzi przy czarce dobrego wina i muzyce flecistek — westchnął Agezylaos. — Cóż robić, słaba jest natura ludzka.

— Prześlę ci parę amfor wina — zaofiarował się Agis. — Do nowego daleko, a ty już nic nie masz w piwnicach?

— Nie mam. Lubię ugaszczać przyjaciół. Dziękuję ci za wino... Jeszcze kłopot z flecistkami... trzeba im płacić, a ja jestem w chwilowych kłopotach.

Agezylaos był zażenowany, zmieszany.

— Mogę ci pożyczyć dziesięć min. Więcej nie mam pod ręką w tej chwili.

— Och, to na razie w zupełności wystarczy. Zapewniam cię, że te pieniądze nie pójdą na marne. Zyskam dla ciebie przyjaciół oddanych na śmierć i życie.

Agis powątpiewał trochę w przyjaźń w ten sposób zdobytą, ale nie protestował. Lepiej, że Agezylaos zgłosił się na sprzymierzeńca, niż miałby szkodzić.

— Słyszałem, że królowa Archidamia sprzyja twoim planom — Agezylaos znowu zabrał głos, nie doczekawszy się podziękowania za ofiarowaną pomoc. — W Sparcie aż dudni o tym. Nie wierzysz w moją przemianę, a nie zdziwiła cię przemiana babki?

— Babka Archidamia nie zmieniła się. Ona zawsze kochała Spartę i gotowa była dla niej do wszelkich poświęceń. Zresztą powinienes o tym pamiętać, wuju. Kiedy Pyrrus ze swoją armią wkroczył w granice Sparty...

— Wiem, wiem. Znam tę historię aż do znudzenia. Bohaterka. A skąpa, a nieużyta... Zwracałem się do niej w swoich kłopotach. Myślisz, że poratowała chociaż obolem? Wykpiła mnie...

— Królowa Archidamia potępiała twój styl życia. Pewno dlatego była taka nieustępliwa. Teraz, gdy się zmieniła...

— O pożyczkę się do niej nie zwrócę. Jako skromny spartiata będę miał małe potrzeby.

— Zdziwiasz mnie, wuju. Dziękuję ci. Bardzo mnie cieszy twoja decyzja.

— Nie przyszło mi to łatwo. Najtrudniej pokonać samego siebie, wierz mi. Stare nałogi nie poddają się bez walki. Ale przemogłem się.

— Tym cenniejsza jest dla mnie twoja pomoc.

Agezylaos uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Przekonasz się, że wkrótce moja praca przyniesie nieoczekiwane efekty. Na mnie już czas. Bądź zdrow.

OFIARY DLA TYCHE

Agezylaos mówił prawdę. Przystąpienie do obozu reformy cieszącej się ogromnym szacunkiem królowej Archidamii głośnym echem odbiło się w całej Sparcie. To był sojusznik, z którym należało się liczyć. Niepokój ogarnął przeciwników, lichwiarze wstrzymali udzielanie pożyczek, niektórzy zażądali zwrotu pożyczonych sum, a gdy zrozpaczeni dłużnicy nie mogli uiścić należności, rozpoczęły się licytacje i zagrabianie zadłużonych klerosów. Znow kilkanaście rodzin spartiatów straciło podstawę egzystencji.

Tylko jeden człowiek zachował całkowity spokój. Król Leonidas. Dzień u niego rozpoczynał się zwykle od ciepłej kąpieli w wannie, potem niewolnicy namaszczeni go, masowali przywiedle ciało, trefili perukę, różowali twarz, malowali paznokcie u nóg i rąk, ubierali w cienki żółty chiton i wełniany płaszcz obszyty kolorowymi pasami. Po tych zabiegach, leżąc na miękkim łożu, jadł wyszukane śniadanie, a ochmistrz dworu i zaufany sługa Kleostenes bawił pana najświeższymi plotkami i anegdotami. Jeśli to był dzień jego obowiązków kapłańskich lub sędziowania, Leonidas udawał się w lektyce do świątyni czy do urzędu w asyście oddziału zbrojnej straży. Nie mógł Agisowi darować jego pieszych spacerów i pospolitowania się w towarzystwie zwyczajnych spartiatów na syssitiach i przy innych okazjach. Cóż to za król, który nie uznaje granicy dzielącej go od prostaków. Niedopuszczalnie rozzuchwalił tę hołotę, zapominając o boskim pochodzeniu swego rodu.

Popołudniowy odpoczynek trwał do zmierzchu, potem król przyjmował przyjaciół, przyjaciółki i znakomitych cudzoziemców. Sute biesiady przeciągały się do późna w noc.

Królowa Kratezykleja nieraz w swoim skrzydle pałacu słyszała pijackie śpiewy, muzykę fletów i lutni, grube śmiechy mężczyzn i piskliwe chichoty flecistek. Płoszyło to jej sen, ale nigdy nie zwracała Leonidasowi uwagi, ani nie wtrącała się w jego sprawy. Chociaż mieszkali pod jednym dachem, trudno było w Sparcie znaleźć ludzi bardziej sobie obcych i bardziej się nienawidzących. Kratezykleja mimo skończonych lat trzydziestu pięciu była jeszcze kobietą piękną. Czarne oczy o wesołym spojrzeniu, gładka śniada cera i puszyste czarne włosy dodawały jej wiele wdzięku. Szczupła, niewysoka, o figurze dziewczęcej, ruchliwa i żwawa wydawała się znacznie młodsza. Pochlebcy mówili, że wygląda jak młodsza siostra swojej najstarszej córki, Chilonidy, złośliwi zaś, że Chilonida dogoniła wiekiem matkę. Kratezykleję wydano za mąż wbrew jej woli, ale powszechnie uważano, że zrobiła karierę, wychodząc za mąż za członka królewskiego rodu. Niektórzy współczuli zawiedzionej miłości Megistonusa, młodego spartiaty, który po ślubie Kratezyklei opuścił Spartę na wiele lat.

Leonidas, po urodzeniu się drugiego syna, Euklejdasa, uciekł ze Sparty do Azji zostawiając żonę z trojgiem nieletnich dzieci. Kratezykleja nie załamała rąk. Energicznie zabrała się do oczyszczania majątków z długów, sama wszystkiego doglądała, administrowała, tak że kiedy Leonidas po paru latach wrócił z włóczęgi, zastał bogate gospodarstwo, zdrowe i piękne dzieci i kwitnącą urodą żonę. Leonidas przywiózł z sobą dużo złota i klejnotów zrabowanych Azjatce, córce satrapy perskiego, z którą miał kilkoro dzieci. Kratezykleja dowiedziała się o tym i do reszty go znienawidziła. Leonidas wrócił, aby zaopiekować się nieletnim następcą tronu, swym bratankiem. Opieka była tak troskliwa, że mały Areus zmarł, opróżniając tron dla Leonidas. Kilkuletnie wspólne królowanie z Eudamidasem minęło spokojnie. Jego śmierć nie przejęła Leonidas. Miał nadzieję, że łatwo pokieruje i nagnie do siebie młodzieutkiego i niedoświadczonego Agisa. Ale się zawiódł.

Kiedy Agis zaczął snuć projekty reformy, Leonidas zwietrzył niebezpieczeństwo. Postanowił przeciwdziałać. Przeworsowanie własnych eforów i utracenie kandydatów Agisa kosztowało sporo, a Leonidas nie lubił takich wydatków. Trzeba inaczej rozegrać tę bitwę.

Wkrótce po wyborze eforów Leonidas wybrał się do Kratezyklei. Była to wczesna godzina, Kratezykleja doglądała ogrodników, przesadzających krzewy różane. Zdziwiła ją

nieoczekiwana wizyta. Odpowiedziała z godnością na pozdrowienie Leonidasa i milcząco czekała, z czym przyszedł.

— Pięknie wyglądasz, Kratezyklejo — zaczął Leonidas — tobie, zamiast przybywać, ubywa lat.

Lekki rumieniec przesunął się po twarzy Kratezyklei i znikł. Przybladła i zacisnęła usta. Leonidas, widząc, że się nie odzywa, ciągnął dalej:

— Ja natomiast starzeję się chyba za nas oboje. Coraz mniej cieszę mnie zabawą. Jedno mam tylko pragnienie: aby Kleomenes zdążył urosnąć, zanim ja zamknę oczy...

— Cóż za ponure myśli w tak słoneczny ranek — powiedziała zdawkowo Kratezykleja.

— Wiesz zapewne, Kratezyklejo, z dziejów obu rodów królewskich, że nieletni królowie nie dożywali lat męskich.

— Ty wiesz, dlaczego — mruknęła mściwie.

— Wiem i nie wstydę się tego — odpowiedział chętnie Leonidas. — Trzeba przede wszystkim dbać o swój ród.

— Gniew bogów ściga zabójstwo, czasem nawet w drugim lub trzecim pokoleniu — powiedziała królowa smutno, półgłosem, jakby tylko do siebie.

— Chciałem z tobą mówić o przyszłości, a nie wspominać stare dzieje — przerwał niecierpliwie Leonidas.

— Słucham, mów.

— Ten szalony młodzik, Agis, jak zapewne słyszałaś, chce ugodzić w nasze majątki, w naszą własność.

— Słyszałam, że chce przywrócić sprawiedliwość i uczciwość w Sparcie.

— Sprawiedliwość, uczciwość... Bzdury. Sami bogowie stworzyli niesprawiedliwość, dając jednym wszystko: zdrowie, urodę, majątki, rozum, na innych zsyłając nędzę, choroby, brzydotę ciała i duszy...

— Gdybyś ty był bogiem, zapewne obdarowałbyś ludzkość wedle swego wzoru. Na szczęście rozum i szlachetność częściej mieszkają pod wytartym płaszczem nędzarza, uroda — w ubogiej lepiance niż w pałacach.

— Odbiegamy od zasadniczego tematu, Kratezyklejo. To filozofowanie do niczego nas nie doprowadzi. Jeśli Agis otumani więcej ludzi, musisz być przygotowana, że dla Euklejdasza pozostanie tylko jeden kleros, Chilonida nic już więcej nie otrzyma po nas, Kleomenes zaś, gdy zostanie królem, będzie musiał zadowolić się dochodem z przydzielonych mu gruntów państwowych i danin od periojków. Będzie królem niewiele co zamożniejszym od zwykłych obywateli.

— Dawni królowie Sparty, niewiele co bogatsi od zwykłych obywateli, szeroko rozslawili Spartę po całej ziemi, dokąd sięga mowa grecka...

— Dawniej było co innego i obecnie jest co innego. Teraz się liczy tylko złoto. I król, który nie będzie miał...

— Więc czego ty chcesz ode mnie, Leonidasie?

— Abyś mi pomogła w walce z Agisem.

— Nie.

— Musisz. Dla dobra własnych dzieci.

— Dobro Sparty jest wyższym prawem.

— To, co chce uczynić ten szalony młodzik, obróci się przeciw Sparcie.

— Sparta jest jak ciężko chory człowiek. Jeśli dobry lekarz przyjdzie do chorego i uzdrowi go, czyż to jest rzecz godna potępienia?

— Ten lek, który Agis chce podać Sparcie, to trucizna.

— Dla garstki nierobów i hulaków jak ty.

— I ty żyjesz okazale dzięki temu hulace. Ale zaprawdę nie chcę się z tobą dziś kłócić. Chcę, abyś zaczęła zapraszać do siebie wszystkie szlachetne i zamożne Spartanki. Tu, u cie-

bie, łatwiej byłoby mi prowadzić z nimi dyskusje, ośmieszać Agisa, krytykować jego plany. Sama mogłabyś się nie angażować.

— Nie. Nie lubię zgiełku zabaw, wesołych uczt...

— Więc odmawiasz?

— Odmawiam.

— Dobrze. Policzymy się jeszcze. A do spartańskich dam dotrę bez twojej pomocy.

Leonidas odszedł bez pożegnania, wymachując gniewnie swoją laską ze złotą gałką. Pomyślał o Niczylli, wdowie po Brasidasie, jednej z onej górnej setki.

Dostojna Niczylla prowadziła życie światowe. U niej codziennie bywały znakomite damy, u niej skupiała się złota młodzież obu płci do gry w piłkę na obszernym stadionie w ogrodzie lub wieczorem w kottabosa w gościnnych komnatach wspaniałej willi. Doskonałe warunki do zorganizowania koalicji przeciw Agisowi. Niczylla z pewnością przykłaśnie temu projektowi. Kobiety jej pokroju kochają luksus, wygodę, lubią błyszczeć i być podziwiane.

Udając się na poranne nabożeństwo do ołtarza Zeusa Lacedemońskiego w lektyce, którą niosło czterech rosnących Libijczyków, Leonidas rozmyślał intensywnie. Zarysował się przed nim pewien plan.

Ofiarę rozpoczął od palenia kadzidła przed ołtarzem Zeusa. Obiecywał mu w duchu wspaniałą hekatombę, jeśli pomoże w rozgrywce z Agisem. Kogo jeszcze zjednać dla tej sprawy? Chyba boginię losu, wszechwładną Tyche. Ofiaruje jej niezrównane kadzidła arabskie z doliny Dhofar, które niedawno zakupił. Zaiste, królewska to ofiara. Widocznie dobra intencja udobruchała Tyche, bo kiedy Leonidas siadał do lektyki, by wrócić do dworu, podszedł do niego Alketas, przyjaciel Niczylli i jej doradca.

— Bądź pozdrowiony, królu Leonidasie. Składam również wyrazy szacunku od szlachetnej Niczylli.

— Witam cię, Alketasie, i dziękuję za pozdrowienia. Jak zdrowie czcigodnej Niczylli?

— Czuje się dobrze. Szlachetna Niczylla rozkazała mi powiedzieć, dostojny, że byłby to dla niej wielki zaszczyt, gdybyś zechciał odwiedzić ją w dniu trzydziestej rocznicy jej urodzin, które odbędą się za cztery dni. Czy mogę zakomunikować jej tę szczęśliwą nowinę?

Leonidas uśmiechnął się. Na Zeusa, ile jeszcze dziesiątków lat Niczylla obchodzić będzie trzydziestą rocznicę urodzin? Niedawno, podobno ułożony przez Amfaresa, krążył po Sparcie złośliwy epigram:

Mówią, żeś ty, Niczyлло, włosy uczerniła.

Kłamstwo. Tyś je na rynku już czarne kupiła.

Alketas patrzył wyczekująco. Król Leonidas uśmiecha się, a więc przyjmuje zaproszenie.

— Chętnie odwiedzę szlachetną Niczyllę w dniu tak uroczystym — odpowiedział Leonidas.

— Dzięki ci, dostojny.

Porozmawiali jeszcze chwilę o błahych sprawach i Leonidas odjechał. Alketas patrzył za nim chwilę. Podrapał się za uchem, parsknął śliną.

— Spartańskie łoże i czarna polewka, którą Agis chce uszczęśliwić wszystkich! Przecież ten Leonidas wołałby trzy razy umrzeć, niż zgodzić się na takie życie! Albo szlachetna Niczylla! Niełatwą przeprawę z nimi będzie miał ten pomyślony „uszczęśliwicz” ludzi. Prawdę powiedziawszy, też nie chciałbym zamiany i ile będę mógł przysłużyć się Leonidasowi, choć go nie cierpię.

Po tym cichym monologu Alketas wrócił do swojej pani i złożył sprawozdanie z pomyślnego załatwienia misji. Zaczęły się więc gorączkowe przygotowania do wystawnego przyjęcia. Kucharz przygotowywał zimne mięsiwa pieczone i wędzone, piekarz wypiekał

przeróżne łakocie z mąki, sezamu, miodu, oliwy, jaj i mleka, bułeczki pszenne i placki. Głośno było o tych przygotowaniach w całej Sparcie. Zaproszone damy prowadziły długie narady ze swymi fryzjerami, przeglądały skrzynie z odzieżą i rozpaczały, że nie mają się w co ubrać. Z kłopotu wybawili je kupcy z Kos, którzy pojawili się w tym czasie w Sparcie, przywożąc prześliczne jedwabne tkaniny, przezroczyście jak skrzydełka ważek latających nad Eurotasem, a tak barwne, jak grządki wiosennych kwiatów. Zakotłowało się w niewieścim świątku. Każda chciała mieć suknię jedwabną. Nie lada to był wydatek: najskromniejsza kosztowała jeden talent.

Kiedy Agisowi doniesiono o szaleństwie, jakie opanowało kobiety, wybrał się na najbliższe zebranie eforów. Jego pojawienie się wywołało zdziwienie. Obie strony starannie się unikały i tylko w czasie uroczystości występowali razem. Eforowie omawiali sprawę niewywiązywania się z obowiązków podatkowych periojków z terytoriów nadmorskich. Zastanawiali się, jak ich ukarać przykładnie, aby to złamało nie tylko ten upór, ale i chęci innych osad do pójścia w ich ślady.

— Szlachetni mężowie — wtrącił Agis — wszak wiecie, że w tym roku była powódź na wiosnę. Eurotas wylał szeroko jak nigdy i zniszczył zasiewy wielu gmin.

— To nikogo nie zwalnia z obowiązków płacenia — powiedział surowo Elatos. — Powódź była karą bogów, więc my nie mamy prawa zwalniać periojków, byłoby to wystąpienie przeciw woli bogów.

— Nie słyszałem, by periojkowie dopuścili się jakichś przestępstw — odpowiedział Agis.

— My możemy o tym nie wiedzieć, ale bogowie wiedzą i sądzą — powiedział drugi efor Herripidas.

— Czym możemy ci służyć, królu Agisie — zmienił temat efor Elatos. — Zdaje się, że przyszedłeś do nas z jakąś sprawą.

— Tak. Kobiety spartańskie opanowało szaleństwo zbytków. Waszą sprawą, jako stróżów moralności, jest ukrócenie tej rozrzutności. Kupcy z Kos wywiozą za swe fatałaszki parę worków złota. Poza tym kobiety spartańskie chodzą obsypane złotem i klejnotami. Według prawa Likurga tylko królewska rodzina ma prawo nosić złote ozdoby. Nie nosi ich ani królowa Kratezykleja, żona Leonidasa, ani królowa Agezystrata, moja matka, ani królowa Archidamia.

— Królowa Agiatis nosi złoty naszyjnik — powiedział zjadliwie Elatos.

— Tak. Ale to jest talizman, poza tym królowa Agiatis ma do tego prawo, a damy spartańskie nie mają. Jeśli wydacie zakaz noszenia złotych ozdób, zyskacie uznanie ogółu, który potępia zbytek. Żegnam was, szlachetni.

Agis wyszedł. Na wzburzonych twarzach eforów odmalowała się ulga.

— Smarkacz — wybuchnął Herripidas — jak on śmie nam, eforom, dyktować, co mamy robić!

— Tak, to oburzające — przyświadczył Polybiades, rozczesując chudymi palcami zmierzwioną brodę.

— Nasze dostojne za dużo sobie pozwalają — nieoczekiwanie poparł wystąpienie Agisa Elatos, który od dwóch dni prowadził nierówny bój ze swoją małżonką o jedwabną suknię na ucztę do Niczylli. — Smarkacz to on jest, ale mądrze mówił.

— Więc mu ustąpimy? — wzburzył się Herripidas.

— Nie on wydaje prawa, tylko my. Nie ustąpimy, tylko zastanowimy się, co jest dla Sparty najlepsze. Przecie nam na sercu leży przede wszystkim dobro Sparty.

— Właśnie, dobro Sparty — zawtórował Gyllos, który ocknął się z drzemki. — Dobro Sparty naszym najwyższym prawem.

— I ja tak myślę — głuchym basem bąknął Arakos, który zawsze się bał, że pozostali eforowie zignorują jego opinię, jako człowieka najmniej wśród nich znaczącego.

— Więc jesteśmy wszyscy jednomyślni — oświadczył Elatos. — Jednomyślni co do tego, że trzeba ukrócić zbytek kobiet spartańskich.

— A one nam urządują piekło w domu — mruknął Herripidas.

— Trzeba będzie rozpuścić wiadomość, że Agis sprawę rozrzutności niektórych dam spartańskich chciał wnieść na zgromadzenie ludowe, my zaś nie dopuściliśmy do tego. Żadna kobieta spartańska nie życzyłaby sobie, by o niej mówiono na apeli, więc będą nam wdzięczne, że do tego nie doszło — mówił Elatos, uderzając lekko w stół krótką laseczką zakończoną głową Fobosa, boga strachu, oznaką władzy. — Jak zapatrujecie się na to, czcigodni mężowie?

— Jeśli zabronimy kobietom noszenia świecidełek, zamienią się we wściekłe Erynie — westchnął Herripidas.

— Nikt nie mówi o takim zakazie — Elatos wykrzywił w uśmiechu wąskie wargi. — Kupcom z Kos wydamy dziś nakaz opuszczenia miasta, ten sam nakaz może dotyczyć złotników Atambosa i Kritona, to są przecie Ateńczycy. Nie będzie źródeł, skąd można czerpać przedmioty zbytku, nie będzie zbytku w strojach kobiet.

— Świetnie pomyślane — klasnął w ręce Arakos. — Nasz efor eponymos to naprawdę genialny człowiek.

Elatos uśmiechnął się z wyższością. W tym gronie błyszczał jak gwiazda pierwszej wielkości. Tylko czy nie pospieszył się z projektem wypędzenia złotników? Co na to powie Niczylla? Zdaje się, że ma pokaźne udziały w firmie Atambosa. Kriton znowu ma różne kombinacje z Megistonusem, jednym z wielkich potentatów Sparty. O, może być niedobrze.

— Dziś wydamy zarządzenie o wygnaniu kupców z Kos — powiedział po namyśle. — Za dwa, trzy dni w sprawie złotników. Nie można zbyt gnębić szlachetnych dam w jednym dniu. A teraz wrócimy do tych nieuczciwych periojków.

Zdecydowali, że do uśmierzenia periojków i ściągnięcia podatków należy wysłać straż miejską i oddział najemnych żołnierzy pod wodzą sierżanta Menaskosa, który znany był z surowości i nienawiści do periojków. Jego jedyny syn, Etymokles, zakochał się w biednej dziewczynie z gminy periojków, Neobuli. a gdy ojciec zabronił mu tego małżeństwa, uciekł ze Sparty i słuch o nim zaginął.

Wydali jeszcze kilka zarządzeń niższym urzędnikom, obejrżeli plany świątyni bogini Tyche, które im przedstawił do zatwierdzenia architekt Linos, wysłuchali raportu głównego opiekuna wód spartańskich, Efudiona, i rozeszli się.

Elatos wybrał się do pani Niczylli. Szedł z niepokojem w sercu. A jeśli skrzyczy go za tych złotników? Kapryśna, uparta, łatwo popadała w gniew. Był od niej zależny, nieraz korzystał z jej pożyczek, nieraz podsuwała mu intratny majątek w dzierżawę. Zastał ją w gronie licznej służby i plenipotentów, którym wydawała rozkazy, odbierała sprawozdania, kwitowała odbiór wpłaconych pieniędzy. Zobaczywszy efora, pani Niczylla wstała, ruchem ręki odprawiła wszystkich dworaków i służbę, skinęła zyczliwie kłaniającemu się z godnością ministrowi.

— Witaj, dostojny gościu. Jaki dobry bóg sprowadza cię dziś w moje skromne progi?

Elatos uśmiechnął się. Niczylla zawsze mówiła o skromnych progach w swoim pałacu, gdzie nawet podłoga w służbowych pokojach była z marmuru.

— Przyszedłem poradzić się ciebie w trudnych sprawach. Dziś na zebraniu eforów postanowiliśmy wydalić z miasta kupców z Kos.

— Na cóż ci moja rada, jeśli już wydaliście zarządzenie — skrzywiła usta pani Niczylla.

— Wiedziałem, że na tej sprawie ci nie zależy — odpowiedział Elatos — natomiast chciałem poradzić się w sprawie złotników...

— Też ich chcecie wydalić?! — wykrzyknęła Niczylla. — Oni są mi potrzebni...

— Powodem tego całego zamieszania jest Agis — zaczął wyjaśniać Elatos. — Chce

zabronić kobietom spartańskim noszenia klejnotów i posiadania złota...

— Z jakiego powodu?

— Jak wiesz, dostojna Niczylllo, w dawnych czasach prawo posiadania złota miał w Sparcie tylko król. Potem prawo to objęło również eforów...

— Raczej eforowie przywłaszczyli sobie to prawo — roześmiała się Niczylla. — No i co z tego?

— Agis chce wrócić Spartę do pierwotnej prostoty obyczajów i skromności strojów.

— Czasy się zmieniły. Dawniej rzeczywiście tylko króla stać było na posiadanie złota, ale dziś, gdy złoto tak spowszedniało...

— Na co więc się decydujesz, dostojna Niczylllo?

— Namówię wszystkie Spartanki, aby obwiesiły się złotem, założyły jedwabne suknie, złocone sandaiki... I w tym stroju udamy się rankiem do ołtarza Zeusa, kiedy Agis będzie składał ofiarę. Po tej ceremonii przyjdą do mnie...

— Świetny pomysł! Agis się wścieknie! — zawołał Elatos.

— A co do złotników, daj spokój. Odlóż tę sprawę do skrzynki niewykonalnych projektów. Zasięgnij rady wieszczków, oni też pewno będą przeciwni.

Elatos spuścił głowę, przygryzł wargi. Należało się tego spodziewać, refleksja przyszła za późno. Na szczęście sprawa nie wyszła poza szczupłe grono kolegów, można ją będzie utrać bez wielkiego wysiłku. Wieszczek Samios stwierdzi, że bogom się nie podoba ta decyzja.

Porozmawiali jeszcze o sprawach handlowych, Elatos wypił znakomitego wina z piwnic Niczyllli i wyszedł. Kłaniali mu się uniżenie i z wyszukaną serdecznością spotkani w drodze spartiaci, z godnością zamożni periojkwowie, chowali się przed nim heloci. Widział, jak w popłochu skręcali w boczne uliczki lub za bramy domów swych panów. Minał obszerny dwór Leonidasa, skręcił przez gaj oliwny do swego małego i zniszczonego domku. Pomyślał z ulgą, że w przyszłym roku zbuduje sobie lepszy, z kolumnami, a ten przeznaczy dla służby. Rok eforatu wystarczy na zebranie potrzebnych pieniędzy...

W dniu ofiar dla Zeusa Lacedemońskiego tłumy wiernych podążały z wieńcami i darami do świątyni boga. Uboższe kobiety szły, bogate jechały w lektykach strojne w jedwabne suknie, obwieszzone klejnotami, pachnące jak ogrody wiosną.

Jak zwykle ceremonie i obrzędy rozpoczęły się od ofiar, które tego dnia składał król Agis. Przy dźwięku fletów chór śpiewał pean ku czci Zeusa. Kobiety były zdumione: król Agis, który głośno potępiał noszenie klejnotów, sam miał na szyi ciężki, złoty łańcuch, chiton zaś spięty na ramieniu cenną, kutą ze złota i ozdobioną szafirami agrafą.

— Widzisz, kpił z nas, że lubimy świecidełka jak sroki, a sam się obwiesił złotem — szepnęła ironicznie Niczylla do swej przyjaciółki Andromedy.

— Pewno doszły go słuchy, że na złość jemu wystroimy się w nasze najlepsze klejnoty, więc też nie chciał być gorszy — odpowiedziała Andromeda.

Kiedy król Agis sypnął ostatnią garść kadzidła na ołtarz, zza świątyni wyszło czterech młodych kapłanów z dużymi dzbanami i stanęło obok niego. Obecni zdziwili się, cóż to za nowość w odwiecznym rytuale? Agis uniósł rękę. Uciszyło się, tylko dopalające się na ołtarzu drwa trzaskały rzucając w górę iskry.

— Drodzy moi przyjaciele, czcigodni mężowie i niewiasty — rozpoczął uroczyste Agis — starodawny zwyczaj spartański każe, by każdy nowy król pomnażał chwałę bogów. Nie zapomniałem o tym zwyczaju. I oto po wysłuchaniu wyroczni Delfiosa, po ustaleniu miejsca i planu oznajmiam wam, co następuje: — Wszyscy wielcy bogowie, jako też i pomniejsi oraz herosi są już uczczeni w Sparcie przez świątynie, kaplice, ołtarze. Jedna tylko bogini, której kult i chwała narasta w całej Helladzie, nie jest godnie u nas uczczona. W Atenach, w Delfach, w Olimpii i wielu innych miastach bogini ta ma piękne posągi i domy, w

których zamieszkuje. Nam łaskawa Opatrzność, dobra bogini losu jest szczególnie potrzebna, bez jej opieki nie zdołamy do niczego dojść i osiągnąć zamierzonych celów. Wzniesiemy więc godną jej chwały świątynię bogini Tyche. Jako pierwszy wkład na budowę oddaję złoto, jakie mam na sobie: łańcuch, agrafę, pierścienie. Myślę, że wszyscy pójdziecie za moim przykładem, bo każdemu potrzebna jest łaska Tyche, nikt też nie zechce jej obrazić skąpstwem. Kapłani, zbierajcie ofiary i zapisujcie na woskowych tabliczkach. Imiona ofiarodawców będą wyryte na frontowej ścianie świątyni.

Agis zdjął ozdoby i z brzękiem wrzucił do dzbanu. Kapłan stojący obok zapisał jego imię i jakość ofiary.

Szmer przeleciał przez szeregi stojących. Ktoś zaśmiał się złośliwie, ktoś zaklął, nie zwracając uwagi na bliskość świątyni i ołtarza boga. Za tylnymi szeregami stanęli kapłani. Trudno było myśleć o wycofaniu się, tym bardziej że złośliwa młodzież, wśród której rej wodzili Amfares, Damochares i Lizandros, wykrzykiwała głośno ku uciesze gawiedzi:

- Śliczna Aglaio, nie chowaj tego złotego łańcucha!
- Czcigodna Lampetio, ucieszysz boginię swymi nausznkami.
- Patrzcie, patrzcie Galateia ukryła swoje pierścienie!

Jakiś dowcipniś zaczął śpiewać piosenkę o chciwej wdowie, która poskaąpiła bogini ofiary, za co bogini zesłała jej męża pijaka, który przehulał cały majątek. I nieszczęśliwa wprawdzie nie jest już wdową, ale nie ma za co kupić garści prażonego bobu.

Kapłani zbierający datki szybko zapisywali imiona ofiarodawców, w dzbanach szlachetnie podzwaniało złoto i srebro, młodzież głośno wychwalała hojnych, a kpiła ze skąpców. Trzeba więc było robić dobrą minę do złej gry, kobiety z bólem w sercu i wściekłością w duszy, z kwaśnym uśmiechem wyzbywały się klejnotów. Bogini Tyche miała hojny dzień.

W ogrodach szlachetnej Niczylly zeszli się wszyscy wzburzeni, z poczuciem przegranej. Tak, ten łagodny Agis pokazał pazury! Skąd się dowiedział o złotej manifestacji kobiet? I kiedy zdążył się przygotować? I kapłanów, i chłopców śpiewających piosenki, i swoich przyjaciół pokpiwających z dam?

— I tak musielibyśmy złożyć ofiary na budowę świątyni — pocieszała wszystkich Niczylly. — Nie podoba mi się tylko ten prawdziwie wojenny rodzaj zbierania. Jak okup na wrogu...

— Dalibyśmy ofiary w naturze: jęczmień, pszenicę, pracę naszych helotów, oliwę — utyskiwała Aglaia. — A tu trzeba było wyrzec się najulubieńszych klejnotów. Ten mój naszyjnik...

— Podobno Agis chce przywrócić stary obyczaj zakazujący zwykłym kobietom noszenia złota — przerwała jej Niczylly. — Tylko królowe będą miały to prawo.

— Coś takiego! — zapiszczały z przejęciem wszystkie damy. — Czy istniało kiedykolwiek takie prawo? Jeśli istniało, to było niesprawiedliwe, oburzające.

Jeszcze długo byłyby panie rozprawiały na ten temat, ale Alketas dał znać, że ukończono już przygotowania do wystawienia sztuki. Goście udali się w głąb ogrodu do teatru, który Niczylly niedawno kazała zbudować. Zwykle ćwiczył tu chór dziewcząt, którymi opiekowała się Niczylly, przygotowując się do świąt Gymnopediów lub Karneiów, ale uroczystość swoich urodzin Niczylly chciała godnie uczcić, więc zaprosiła grupę wędrownych aktorów. Już i do Sparty dotarła sława Menandra, więc nic dziwnego, że goście byli niecierpliwi i przejęci. Wzruszająca historia młodego Charizjosa i pięknej Pamfili doprowadziła widzów do łez. „Wysadzone” dziecko, szlachetnego rodu dziewczyna uwiedziona w czasie uroczystości ku czci Artemidy, jakże to znane i smutne sprawy, chociaż, co prawda, w Sparcie nie patrzono tak surowo na panieńskie grzeszki dziewcząt.

Niczylly nie mogła skupić uwagi, przeżywała nie lada niepokój. Dlaczego król Leonidas, który obiecał uświetnić swoją obecnością biesiadę, do tej pory nie przybył? Tak na to

liczyła i tyle poniosła kosztów dla uhonorowania znakomitego gościa, a wszystko na nic. Cóż warta ta cała czereda gości? Nikt z nich nie stoi wyżej od niej ani bogactwem, ani znaczeniem w Sparcie. Nawet efor Elatos boi się jej i tak skacze, jak ona mu każe. I teraz, widząc zniecierpliwienie Niczylli, Elatos stara się zabawić ją rozmową i pocieszyć. Król Leonidas nie zawiedzie.

Kiedy na scenie perypetie młodej pary dobiegły szczęśliwego końca i chór odśpiewał ostatnią pieśń, przybiegł Alketas i zameldował wzruszony, że król Leonidas nadjeżdża.

Niczylla i parę znakomitych dam szybko opuściły teatr i wyszły na dziedziniec przed dom, aby godnie przywitać dostojnego gościa. Leonidas wyświeżony, pachnący, wysiadł z lekytki i z uniesioną powitalnie dłonią, uśmiechnięty szedł ku nim.

— Wybacz, dostojny, że nie czekaliśmy ze sztuką do twego przyjazdu — zaczęła Niczylla — lecz aktorzy mają wkrótce iść do teatru ludowego i nie mogli dłużej czekać.

— Znam tę sztukę, piękna Niczylllo. Przyjm moje życzenia długich lat urody i młodości. Sprawy państwowe nie pozwoliły mi przybyć wcześniej.

— Wzrusza nas twoja troska, dostojny królu, o sprawy państwa — powiedziała Andromeda.

— Teraz szczególnie masz, dostojny, dużo kłopotów i ciężarów — ze współczuciem powiedziała Niczylla i westchnęła. — Ten nieopatrzny i szalony młodzik...

— On wie, co robi — w oschłym głosie Leonidasa zabrzmiała nienawiść. — Odbieram wam złoto, chce was zapędzić do gynajkonu. Myślicie, że o dobro Sparty mu chodzi?

— Tym się zaślania — wtrąciła słodko Aglaia.

— To dobra zaślona. Ale on dąży do odebrania nam naszych swobód demokratycznych. Dlaczego jego żona, Agiatis, nigdzie się nie pokazuje, nie utrzymuje przyjaźni ze szlachetnymi damami Sparty? Myślicie, że to jej duma do tego ją skłania?

— A więc co? — zakrzyknęły przejęte damy.

— Agis już ją zamknął w gynajkonie. Nie pozwala jej nigdzie bywać.

— Biedna mała — z przesadnym współczuciem westchnęła Niczylla.

— To prawda, że biedna. Wy będziecie też biedne, jeśli Agis odbierze wam majątki. Nie mając czym rządzić poza kuchnią, popadniecie w niewolę jak ateńskie kobiety.

— Straszne! — jęknęła Lampetia.

— Nie dopuścimy do tego — stanowczym tonem powiedziała Niczylla. — Agis chce wytoczyć wojnę kobietom spartańskim, będzie ją miał.

— Pięknie powiedziane — uśmiechnął się Leonidas.

— Pozwól dostojny, do sali biesiadnej — skłoniła się znowu Niczylla. — Tam odpocznesz i omówimy sposób walki.

— Nie będzie to takie trudne, szczególnie dla was, pięknie panie — żartobliwie powiedział Leonidas. — Agis ma garstkę młodych przyjaciół wrażliwych na wdzięki niewieście. Jeśli zechcecie mu odebrać tych przyjaciół, na pewno wam się to uda.

Uczta przeciągnęła się do rana. Zakończyła się całkowitym potępieniem Agisa i cichym przymierzem zebranych.

KRÓLEWSKA RODZINA

Kiedy królowa Agezystrata dowiedziała się o decyzji królowej Archidamii, wpadła w niepohamowany gniew. Jak rozjuszona lwica biegła po komnacie, rzucając obelgi na nieobecna i zapowiadając, że nie będzie przebierać w sposobach walki, aby ją pokonać. Wreszcie

uspokoiła się, zawstydzila sama przed sobą. Dobrze, że poza wierną Persiną nie było świadków jej wybuchu. Chciała pójść do królowej i rozmówić się z nią, ale na razie była zbyt wzburzona i obawiała się, że nie potrafi wytoczyć wszystkich zasadniczych argumentów przeciw jej decyzji. Wreszcie usiadła i napisała sążnisty list z wymówkami. Dlaczego królowa nie porozumiała się z nią przed rozmową z Agisem? Jeśli nie cofnie się przed tym zgubnym krokiem, Agezystrata zerwie z nią i znać jej nie będzie do końca życia. Podobny list napisała do Agisa, zapowiadając, że dopóki Agis nie wyrzeknie się swoich mrzonek, nie chce go widywać i nie życzy sobie, aby ją odwiedzał. Po wysłaniu tych listów przez Persinę poczuła się tak wyczerpana, że musiała położyć się do łóżka. Oczy ją piekły, ale nie płakała. Spartanki rzadko poddawały się łzom.

Agisa bardzo rozgoryczył list i nieustępliwe stanowisko matki. Jakie to ciężkie, że drogi się ich rozeszły i przestali się rozumieć. Trudno, on się nie cofnie.

Agezystrata zaczęła szukać pomocników. Zaprosiła do siebie Gilipposa i prosiła go, by wpłynął na Agisa. Gilippos słuchał grzecznie, chwilami potakiwał, ale reformy nie ganił. Jest słuszna i potrzebna, należy tylko czekać na dogodną chwilę. Przecież Agis ma przed sobą długie lata panowania. Królowa zgodziła się z tym rozumowaniem i skłoniła Gilipposa, by powtórzył mu ich rozmowę.

Gilippos starannie przygotował się do tej misji. Kiedy wyczerpał wszystkie argumenty przeciw pośpiechowi, zapowiedział, że skłonny jest przystąpić do reformy, ale nie wcześniej niż za kilka lat, aż sprawa dojrzeje i zaistnieją warunki do jej realizacji. Agisa nie przekonał, pożegnali się bardzo oziębło, obaj rozgoryczeni. Najbardziej zabolalo Agisa zastrzeżenie Gilipposa, że nie zgadza się na naruszenie posagu Agiatis w razie reformy, Gilipposa zaś nieufność zięcia w szczerłość jego sympatii dla reformy.

Rozżalony, przygnębiony, bo łatwo przechodził od ufności i wiary w zwycięstwo do całkowitego załamania, Agis wybrał się do babki Archidamii. Staruszka jak zwykle przyjęła go serdecznie i wysłuchawszy skarg na matkę radziła mu nie zaogniać sprawy, nie odpisywać ani nie kłócić się z matką. Niech Agezystrata ochłonie i w spokoju przemyśli swój postępek. Znając jej szlachetność i wielkoduszność, Archidamia pewna jest pomyślnego zakończenia sporu.

Te niesnaski w najbliższym otoczeniu Agisa sprawiły niemałą radość w obozie Leonidasa i spartańskich bogaczy. Leonidas triumfował: własna matka potępiła syna.

Królowa Agezystrata cierpiała. Jak trudno jest występować przeciw własnemu synowi, kiedy się wie, że serce jego jest wielkie i sprawa czysta. Co przeciwstawić jego szlachetności i trosce o los państwa? Sprawę własnego małego bezpieczeństwa i bytu rodziny, nawet gdy tą rodziną jest ród królewski Heraklidów? Gniew królowej ustępował i coraz tęskniej spoglądała ku niedalekiemu dworowi syna. Serce bolało, gniew mijał, ale upór trwał. Instynkt samozachowawczy nakazywał ostrożność, trzymanie się obranej linii.

Któregoś popołudnia babka Archidamia uznała, że czas porozmawiać z Agezystratą. Trzeba odłożyć na bok małe ambicje, kiedy dochodzą do głosu sprawy wielkie. Wsiadła w trzcinową lektykę i kazała się zanieść do jej dworku. Ten wielkoduszny gest wzruszył i zawstydził Agezystratę.

Siwa pani, mimo ciężących na niej lat, zawsze wyprostowana, energiczna, z uśmiechem niewysłowionej dobroci i słodczy na zapadniętej, suchej twarzy, podeszła do zaskoczonej niespodziewanymi odwiedzinami synowej i objęła ją serdecznie.

— Stęskniłam się za tobą, Agezystrato. Różnica poglądów nie powinna rozrywać więzów rodzinnych. Dlatego, choć żywisz do mnie urazę, pierwsza wyciągam do ciebie rękę na zgodę.

— Przyznasz, że żal mój słuszny. Zamiast go odwieść od szalonych zamiarów, jeszcze go zachęcałaś i zbuntowałaś przeciw mnie.

— Agezystrato, nie wolno być niesprawiedliwą. Gniew twój czyni cię ślepą. Nie bunto-

wałam Agisa przeciw tobie, broniłam twojej postawy, uzasadniałam twoje racje. To, że się nie zgadzamy, nie znaczy, że nie możemy się zrozumieć.

— Nie przypuszczałam, że tak łatwo dasz się zwieść jego mrzonkom o reformie Sparty.

— Ściśle mówiąc, o ratowaniu Sparty. I to nie są mrzonki. Sparta nieuchronnie idzie ku zagładzie. Tylko ślepi bogacze spartańscy tego nie widzą. Podcinają gałąź drzewa, na której siedzą. Czymże jesteśmy teraz? Nędzną mięściną z sześciuset nędzarami-spartiatami i setką rodzin bogaczy. Wśród tych bogaczy dwie dziesiątki wodzą za nos resztę.

— W silne argumenty uzbroił cię Agis przeciwko mnie.

— Ciągłe jesteś niesprawiedliwa, Agezytrato.

— Bronię syna przed nieszczęściem.

— W ten sposób go nie obronisz. Gdy byłaś dzieckiem, opowiadałam ci nieraz o wojnie Sparty z królem Pyrrusem. Przypomnę ci jeden epizod z tej wojny. Armia Pyrrusa podchodziła już do pierwszych domów Sparty, bo Sparta wtedy nie miała innych murów prócz piersi swych obrońców. Mój ojciec, król Kleonimos, jako wódz naczelny zdecydował, że wszystkie kobiety spartańskie i dzieci mają opuścić miasto i ukryć się w bezpiecznym miejscu w Tajgocie. Opuścić świątynie, nasze domy i domowe ogniska, kto wie, wydać je może na splugawienie przez wrogów... Nie usłuchałam rozkazu. Wezwałam wszystkie kobiety, aby stanęły do walki u boku swych mężów, braci i ojców... Albo legnąć w boju, albo zwyciężyć wraz z mężczyznami. A spartiaci, wiedząc, że my jesteśmy w trzeciej linii falangi, bili się jak lwy. Jakby bóg Ares i Herakles pomnożyli ich siły. Jeden stawał przeciw dziesięciu i zwyciężał. Mówię ci to dlatego, Agezytrato, byś rozumiała, co to znaczy poparcie, co znaczy świadomość, że za tobą stoi ktoś gotów cię podeprzeć ze wszystkich swoich sił w trudnej walce. Agis potrzebuje poparcia. Podeprę go moim doświadczeniem, moim majątkiem.

— To szaleństwo, matko.

— Szalonym i szlachetnym pomagają bogowie.

— Gdybyś ty, matko, wiedziała jak obmierzłe plotki krążą już na temat Agisa... Gdybyś wiedziała, jak Leonidas kupuje sobie wyborców, jakie podarki posyła wpływowym ludziom.

— W słusznej sprawie możemy walczyć jego bronią. Stać nas na kupowanie wyborców. Agitacją wśród uczciwych zajmiemy się ty i ja.

— Przecież się jeszcze nie zdecydowałam.

— Zdecydujesz się w imię dobra Sparty, w imię pomyślności swego syna.

— Zastanowię się jeszcze, matko — powiedziała Agezytrata głuchym, smutnym głosem — posłucham wróżb.

— Wróżby na dwoje wróżą — roześmiała się królowa Archidamia, przekonana już o ustępstwie synowej. — Tyle lat żyję, że nabrałam wątpliwości co do nieomyślności wróżb. Ale to nic nie szkodzi, pytaj wieszczków.

Pomoc przyszła nie od wróżbiarzy, lecz z zupełnie nieoczekiwanej strony. Królowej Agezystracie złożył wizytę brat Agezylaos. Zaczęła mu z żalem i gniewem opowiadać o uporze, z jakim Agis dąży do własnej zguby. Dopomaga mu w tym babka Archidamia. Agezylaos słuchał jej skarg, bawiąc się wisiorcami swej bransolety. Kiedy królowa umilkła wyczerpana i wzburzona nieuwagą brata, powiedział, jak zawsze, w sposób wytworny i niedbały:

— Wysłuchałem bardzo uważnie twego oskarżenia, siostrze królowo. Całkowicie się z tobą zgadzam, że pomysł Agisa jest szalony, niebezpieczny. Niemniej jednak jest to jedyny sposób ocalenia Sparty. Ten młodzieniec zadziwił mnie i oczarował. Rozmawiał ze mną o swoich projektach. Początkowo byłem również przeciwny, ale przekonał mnie. Wiedz o tym, że przystąpiłem do obozu reform Agisa.

— Ty? — królowa osłupiałym wzrokiem wpatrywała się w brata, jakby nagle jakiś bóg zamienił go w niezwykle monstrum.

— Ja — wyniośle odpowiedział Agezylaos. — Mnie również droga jest przyszłość Sparty.

Ten brat, odwiedzający ją tylko po to, aby wyludzić pożyczkę, której nigdy nie zwracał, zwolennikiem reformy? To nie mieściło się w głowie! Przyglądała mu się nieufnie i podejrzliwie, nie mogła dociec przyczyny nagłej zmiany. Hulaka, rozpustnik, wygodniś, który myślał tylko o tym, jak najweselej i najprzyjemniej przeżyć życie — w roli surowego reformatora! Nie, to przechodzi ludzkie wyobrażenie!

— Drwisz sobie ze mnie, bracie — powiedziała Agezystrata, opanowując się z trudem. — Ty i surowe życie spartańskie...

Zaczęła się śmiać spazmatycznie. Przeczekał spokojnie ten wybuch.

— Prawda, piłem, hulałem, grałem w kości. To wszystko prawda... ale doprowadził mnie do tego Sparty idącej nieuchronnie ku ruinie. Nie jestem człowiekiem silnym, o niezłomnych zasadach. W młodości marzyłem, by pójść śladami Kinadona... Nie mówiłem ci o tym? Marzyłem i na marzeniu się skończyło. Nie należę do odważnych, ale gdy stanę ramię w ramię z odważnymi... Wiesz, że nieraz na zgromadzeniu ludowym podbijałem serca wyborców pięknym przemówieniem. Mimo gruboskórności Spartanie wrażliwi są na czar słowa mówionego. Mój dar wymowy wnoszę do grupy zwolenników reform, bo poza tym nic więcej nie posiadam. A właściwie mam kupę wierzycieli na karku, którzy duszą mnie jak szarańcza.

— Więc ty naprawdę pójdziesz za Agisem?

— Rzekłem, nie cofnę się.

— Nazwałam projekt Agisa szalonym — zaczęła królowa cicho, jakby rozmawiała sama z sobą — jest rzeczywiście szalony, ale jest wzniosły, piękny, porywający. Podnieść z upadku Spartę, postawić ją na czele wszystkich plemion i państw greckich... Ateny, zależne od Macedonii, żyją tylko przeszłością, chwałą przodków, rozgadane, przeżarte filozofowaniem, a raczej mędrkowaniem... Ateny się nie liczą. Tylko Sparta, silna Sparta może odrodzić Helladę.

— Więc widzisz, siostrzo, dochodzisz do tych samych wniosków, co i my.

— Daruj, ale ciągle nie mogę uwierzyć. Przyznaj się, to znowu jakiś podstęp. Chcesz mnie naciągnąć na pożyczkę?

— Obrażasz mnie, Agezystrato. Nigdy nie byłem bardziej bezinteresowny niż w tej chwili. Czy mając zamiar naciągnąć cię, jak to nazwałaś, na nową pożyczkę, deklarowałbym swoje przystąpienie do Agisa?

Królowa zastanowiła się. Rzeczywiście, znał jej nieprzejednane stanowisko, mógłby więc liczyć na pożyczkę wygadując na Agisa i jego projekty.

— Matka opowiedziała się za Agisem — powiedziała po chwili.

— Tak, sprawa przybrała poważny obrót. I mnie, i tobie nie pozostaje nic innego, jak połączyć się z nimi. Siła w gromadzie. Pomyśl, ilu ludzi skłoni do pójścia za Agisem twoje wystąpienie. Reforma może być bardziej bliska urzeczywistnienia, niż przypuszcza sam Agis.

— Tak sądzisz? Naprawdę w to wierzysz?

— Jestem przekonany.

— Kocham Agisa, kocham go więcej niż życie. Nie raz, ale po trzykroć oddałabym za niego własną głowę, dałabym utoczyć krew do ostatniej kropli. Sprzeciwiałam się, bałam się, ale tylko przez wzgląd na niego. Jeśli teraz pójde z nim, to wszystko uczynię, aby doprowadzić do zwycięstwa. Nie cofnę się przed niczym.

— Brawo, siostrzo. Wiedz, że Agis bardzo cierpiał nad waszym poróżnieniem.

— Cierpiał? Ja też cierpiałam. Ale chciałam go uchronić przed większym cierpieniem, przed klęską reformy. Pomyśl, nas jest zaledwie czworo, a przeciw nam sto bogatych rodzin spartańskich.

— Za nami sześciuset ubogich spartiatów, ich rodziny, spartiaci niżsi, nawet periojkwie i heloci.

— Mylisz się. Połowę z nich mogą tamci kupić. Zresztą, cóż to za siła. Tamci mogą

wystawić parę pułków najemnych żołnierzy.

— Po co tak tragizujesz, siostrze. Do wojny domowej nie dojdzie. Wystarczy, abyśmy przeprowadzili wybory po własnej myśli. Trzech eforów naszych — zwycięstwo pewne. Kto się ośmieli stanąć przeciw królowi i eforom?

— Jest jeszcze Leonidas. I geruzja — rada przeżytych starców.

— Z Leonidasem walka nie będzie trudna. Mamy na niego haczyk. Niektórych gerontów kupimy, inni pójdą za nami dobrowolnie. I wśród nich są tacy, których synowie nie mają klerosów.

Jeszcze długo omawiali plan czekającej ich walki. Agezylaos umiał znaleźć trafne odpowiedzi na wszystkie wątpliwości. W jego oświeceniu droga wydawała się prosta, łatwa, zwycięstwo pewne. Królowa poweselała.

— Dzięki tobie dziś pierwszą noc spać będę spokojnie. Jak ja się męczyłam ostatnio, ile udręki przeżyło moje biedne serce! Dziękuję ci.

— Gdybym i ja mógł powiedzieć, że będę spał spokojnie. Ale Morfeusz nie zawita dziś w podwoje mojej komnaty!

— Dlaczego? — zdziwiła się królowa.

— Jutro muszę zapłacić Megistonusowi pięć talentów, inaczej będę musiał mu oddać dwa moje najlepsze folwarki! Strata tych dwóch folwarków to ruina!

— Pięć talentów! — zgorszyła się królowa. — Przecie nie tak dawno wzięłeś ode mnie dziesięć. Tobie nie na długo starczyłby skarbiec Ptolemeuszów.

— Ma się to szczodre serce — westchnął Agezylaos. — To jeden przyjaciel prosi o pożyczkę, to drugi...

— Nie kłam, bo przestanę wierzyć w to wszystko, coś mi mówił przedtem. Wątpię, czy w całej Sparcie znalazłby się człowiek, któremu pożyczyleś obola.

— Nie pożyczylem, to dałem, cóż za różnica. Długów i tak nikt mądry nie zwraca.

— W ładnym świetle stawiasz pożyczających: durnie, że dają... I o mnie tak myślisz?

— Och, siostrze, nie bądź taka małostkowa. Z wielkim szacunkiem odnoszę się do moich wierzycieli. Zresztą, przecie nie proszę cię o pożyczkę. Mówię tylko, że szkoda dwóch ładnych folwarków. Chcesz, to je zabierz, ale musisz zwrócić Megistonusowi te pięć talentów. Myślę, że przed reformą szkoda pozbywać się takich ładnych kawałków ziemi. Lepiej będzie, gdy z naszych rąk przejdą do reformy. Obydwa folwarki warte są co najmniej dwadzieścia talentów. Ale gdy się ma sznur na gardle...

— Dobrze, zapłacę te pięć talentów. Powiedz, kiedy ty się wreszcie usatkuje?

— Kiedy Agis przywróci dawną Spartę. Wszyscy wtedy będziemy żyć uczciwie, wstrzeźliwie... po spartańsku.

Wydało się królowej, że usłyszała drwinę w głosie brata. Ale on zawsze ze wszystkiego kpił, nawet z siebie samego. Nie trzeba zwracać na to uwagi.

— Nie sądzę, że ci podaruję te folwarki — powiedziała surowo. — Jeśli pójdą do reformy, to z moich rąk, a nie twoich. Nie będziesz wspaniałomyślny z cudzej szkatuły.

— Nie mam łaski w twoich oczach. Pozwól mi tylko zachować je do zbiorów. Winien jestem coś niecoś helotom i moim dostawcom, trzeba będzie wyrównać...

— Nie wierzę w twoje dobre chęci. No, ale trudno, zgadzam się, zatrzymaj je do zbiorów.

— Dziękuję ci, królowo. Dobra jesteś i wyrozumiała dla swego brata-hulaki. Gdzież wreszcie znajdę pomoc, jeśli nie u ciebie? Archidamia jest nieużyta jak skała Tajnaron. A ty jesteś cichą przystanią dla okrętu miotanego na wzburzonych falach morza.

— Przestań wreszcie drwić i idź już sobie. Jestem bardzo zmęczona.

Agezylaos skłonił się dość pokornie i w milczeniu opuścił komnatę siostry.

Królowa Agezystrata wyszła do ogrodu i długo w noc przechadzała się po wyżwirowanych alejkach. Noc była piękna. W kwitnących bzach kłaskały słowiki. Szczyty Tajgetu lśniły

srebrzyście resztkami śniegu, szedł od nich ożywczy powiew.

— Jakże mi bez ciebie ciężko, Eudamidasiu — szepnęła królowa. — Byłeś sprawiedliwy i mądry. Widziałeś nędzę Sparty, a jednak nie pokusiłeś się o reformę... Nie byłeś tchórzliwy, więc dlaczego? Odpowiedz mi. Kochałeś Agisa i mnie. Jeśli widzisz, jak się męczę, pomóż, daj radę zbawienną.

Królowa wsłuchiwała się w ciszę nocy. Tylko słowiki śpiewały...

GYMNOPIEDIE

Pojawienie się Syriusza w mroku poranka zapowiadało najgorętszą porę roku, kiedy to „kozy są tłuste, kobiety rozpustne, a mężczyźni do niczego”. W ten najupalniejszy czas obchodzono w Sparcie święto Gymnopediów, „święto nagich chłopców”. W tych samych gorących dniach, co cztery lata odbywały się igrzyska olimpijskie i zapewne konkurencja Gymnopediów spowodowała, że Spartanie przestali wysyłać swoje ekipy do Olimpii. Na owe igrzyska można było wysłać kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu zawodników, w Gymnopediach popisywali się wszyscy, od dzieci do starców. Poza tym, co było nie do pomyślenia w Olimpii, w popisach gimnastycznych, chóralnych, tanecznych brały udział dziewczęta, współpracując między sobą i zdobywając nagrody.

Skryta i zamknięta dla obcych Sparta, w czasie tych świąt otwierała szeroko wrota dla zaproszonych gości, przyjeżdżających ze wszystkich stron Hellady i całego świata. Uroczystości rozpoczęły się o świcie złożeniem ofiar dla Apollina, aby ubłagać urodzaj i płodność zwierząt. Obaj królowie w uroczystych, bogatych szatach czynili ofiary w asyście kapłanów niższych stopni. Chóry chłopców śpiewały pean, lud zebrany odświętnie powtarzał refren. Spojrzenia wszystkich kierowały się ku Agisowi. Był nadzieją Sparty. Wieść, że Agis nie zrezygnował ze swoich planów, że mobilizuje siły, zbiera zwolenników, szeroko rozniosła się po całej Lakonii. Agis zdołał przekonać dwie bogate kobiety: matkę i babkę. Podobno nawet teść, Gilippos przychylnie wyraża się o projektach zięcia i ma zamiar go poprzeć. Odradzał tylko zbyt pośpieszne działanie. Pod dobrymi wróżbami rozpoczynały się Gymnopedie.

Po złożeniu ofiar wspaniała procesja ruszyła ku agorze, na której odbywała się dalsza część różnorodnego świątecznego programu. Na czele niesiono najładniejsze dziewczęta uwieńczone kwiatami w koszach w kształcie starożytnych wozów ozdobionych fantastycznymi zwierzętami. Za nimi w tanecznych pługach poprzebierani za wilczków szli najmłodsi wychowankowie gimnazjonu, potem starsi, ejreni, w maskach, czasami śmiesznych, to znów nieprawdopodobnie potwornych, wzbudzających lęk i obrzydzenie. Wszystko w tym dniu było nastawione na to, by zadziwić, rozśmieszyć, zabawić. Dlatego kobiety przebierały się za mężczyzn, przyczepiały sobie brody z owczej wełny lub końskich grzyw, mężczyźni kładli kobiece peruki i szaty. Wesoły korowód śpiewał swawolne, a nawet sprośne pieśni, tańcząc i skacząc przy wtórze piszczałek, fletów i bębnów. Na ostatku, w otoczeniu gwardii jechali na kwadrygach dostojnicy Sparty i zaproszeni goście.

Uroczystości na agorze rozpoczęły się od defilady zawodników. I znów pierwsze, rytmicznie wywijając wiazańkami kwiatów lub bębenkami, przeszły dziewczęta, od najmłodszych do najstarszych. Należące do chórów niosły lutnie, na których przygrywały skoczne melodie. Za dziewczętami maszerowali chłopcy, zachowując tę samą kolejność według wieku. Ejreni i hoplici zamykali pochód. Wszyscy byli uzbrojeni, wszyscy odziani w żołnierskie płaszcze.

Dzień pierwszy poświęcony był na popisy dziewcząt. Rozpoczęły od tańców na podium

ustawionym w przedniej części agory. Ubrane w obszerne, suto fałdowane peplosy, na głowach miały wysokie rozszerzające się ku górze wiklinowe kosze oplecione girlandami kwiatów i liści. Wyglądały wdzięcznie i tańczyły lekko, wykonując różne skomplikowane piruety, ustawiając się w mistyczne figury, rozumiały tylko dla wtajemniczonych. Taniec nie był jedynie popisem zręczności i kunsztu tanecznego, ale jednocześnie ofiarą czynioną bóstwu i modlitwą do bóstwa. Wyciągając rozwarte dłonie ku niebu tancerki prosiły Heliosa, by zawsze obsypywał swym blaskiem pola i winnice lakońskie, czyniąc szybkie, drobne ruchy palcami, naśladowały strugi deszczu, który Zeus zsyłał na nigdy niesytą wilgocę ziemię lakońską.

Kiedy tańce-modlitwy dobiegły końca, na podium pojawiły się chóry dziewczęce. Chórów było kilka, wykonywały te same odwieczne pieśni Alkmana, Tyrteusza, Terpandra, ale do ostatniej rozgrywki o palmę pierwszeństwa stanęły tylko dwa: chór Amfaresa „Skowronki” i chór „Plejady” ćwiczone przez Kallinosa z Aten, oba wyróżniające się doborem pięknych głosów. Jednakowo głośno klaskano i skandowano nazwy zespołów, sędziowie mieli trudne zadanie do rozstrzygnięcia, komu przyznać pierwsze miejsce. Szalę na niekorzyść chóru Amfaresa przeważał geront Tibrachos. „Plejady” otrzymały pierwszą nagrodę: błękitne peplosy dla wszystkich dziewcząt, Kallinos zaś lirę. „Skowronki” musiały zadowolić się koszem owoców, Amfares dzbanem miodu. Ale ta słodka nagroda nie usmierzyła jego gniewu. Nawymyślał wystraszone dziewczęta i zapowiedział, że rozwiąże taki nieudany chór. Dopiero kiedy się dowiedział, że to głos geronta Tibrachosa wpłynął na niższą ocenę jego chóru, zrozumiał, kto zawinił. Pokłócił się raz w winiarni z synem Tibrachosa, Gorgopasem, nazwał go parszywym osłem i pomiotem zmory Empusy. Żonę Tibrachosa posądzano w Sparcie o praktyki czarnoksiężskie, co było karalne, więc obelga Amfaresa była szczególnie dotkliwa. Stary Tibrachos nie chciał pozywać Amfaresa przed sąd, bo wiadomo, wyroki bywają rozmaite i nie zawsze pokrzywdzony znajdzie sprawiedliwość, ale czekał na okazję i doczekał się.

Po zawodach śpiewaczych odbył się konkurs na najpiękniejsze dziecko i najpiękniejszą dziewczynę. Dopuszczone do konkursu nagie dzieci od roku do lat dwu przedefilowały na ramionach matek przed zgromadzonymi. Intensywność okrzyków i oklasków decydowała o wyborze, wątpliwości rozstrzygali sędziowie, więc i tu często do głosu dochodziły osobiste sympatie i niechęci. Za najpiękniejsze dziecko uznano synka Chilonidy, córki króla Leonidasasa. Chilonida cieszyła się ogólnym szacunkiem i nawet najzawziętsi wrogowie Leonidasasa cenili jej skromność, prostotę i miłość dla rodziny. Zgromadzeni uznali wyrok sędziów i oklaskami poświadczali słuszność decyzji.

Chilonida była rozpromieniona, wybór sprawił jej taką radość, że nagrodę, dwa kosze brzoskwiń, ofiarowała dla chłopców z gimnazjonu, dodając od siebie trzy kosze jabłek. Szczodrość królewskiej córki podobała się ogólnie. Znow klaskano i wykrzykiwano jej imię.

Kandydatki na królową piękności —: dziewczęta od dwunastu do piętnastu lat — wyszły razem na podium. Wszystkie miały wieńce z kwiatów na głowie, wszystkie były w króciutkich, białych peplosach z cienkiego sydońskiego płótna. Zgromadzeni nie mieli wątpliwości: od czasu zamążpójścia Agiatis za najpiękniejszą dziewczynę uchodziła Chione, siostra posła Mandroklejdasasa. Czarnooka, dobrze zbudowana, silna, mimo swych czternastu lat doskonale jeździła konno, umiała strzelać z łuku, stawiała do zapasów z chłopcami i niejedną raz zwyciężała. Podobno Arkezylaos, dowódca jazdy królewskiej Agisa, zwrócił uwagę na czarnooką Chione, ale ojciec dziewczyny Ekfanos uważał, że konkurent jest nieodpowiedni, bo pochodzi z niskiego rodu. Tak więc Chione czekała na odpowiedniego kandydata, tymczasem zdobyła wieniec najpiękniejszej.

Wybory skończyły się ogólną zabawą i tańcami na agorze.

Następnego dnia od świtu rozpoczęło się prawdziwe święto „nagich chłopców”. Kobie-

ty ani dziewczęta udziału w nim nie brały.

Na Platanistas zebrał się męski świat Sparty i całej Lakonii. Współzawodniczyły ze sobą drużyny miast, oddziały hoplitów z twierdz granicznych, oddziały wilczków i ejrenów z gimnazjonu. Każdy chętny miał okazję do popisania się siłą, zręcznością, wytrzymałością w walce. Widzów było dużo: spartiaci, którzy z powodu wieku lub pełnionych funkcji nie brali udziału w żadnych popisach publicznych, cudzoziemcy, obywatele niższej klasy — periojkiowie, a nawet heloci. Wśród ćwiczącej i popisującej się młodzieży trafiali się zresztą synowie periojków i helotów, którzy ze względu na zasługi ojców dostąpili zaszczytu państwowego wychowania. W pięcioboju, jak zwykle, triumfy wśród dorosłych święcił Damochares, pokonując kolejno najlepszych przeciwników. Rozentuzjzmowani świadkowie jego wyczynów zgotowali mu niebywałą owację. Kiedy miał nastąpić moment wieńczenia i nagradzania zwycięzców, zanieśli go na podium wśród triumfalnych wrzasków. Różnorodne zawody i konkurencje trwały cały dzień, z przerwą na południowy posiłek i odpoczynek.

Wieczorem, kiedy od Tajgetu spłynął chłód na spieczoną ziemię, rozpoczęły się tańce wojenne. Zapłonęły ogniska, w wesołych płasach przebiegli chłopcy z pochodniami i ustawili się za areną, na której rozpocząć się miały popisy ejrenów.

Najpierw pojawili się najmłodszy ejreni, nadzy, bez broni, i na dźwięk fletów parami rzucili się do walki. Taniec polegał na tym, że wszyscy jednocześnie w takt melodii wykonywali te same ruchy, symbolizujące atak i odpieranie napaści. Taniec miał również znaczenie mistyczne, był wstępem do wtajemniczeń, które stopniowo, od szesnastego roku do dwudziestego przechodzili ejreni.

Następne roczniki wykonywały coraz trudniejsze ewolucje taneczno-wojenne, nie obeszło się bez bolesnych uderzeń i chwytów, wszystko w takt fletu, przy entuzjastycznych okrzykach widzów.

Słynny taniec pyrryjski wykonali ejreni kończący w tym roku gimnazjon. Był to teatralny popis sztuki szermierczej, bo młodzieńcy walczyli bez broni, żywa mimika i gesty symbolizowały radość celnego uderzenia lub smutek nieudanego ataku. Tak wyglądał ostatni ich występ jako wychowanków gimnazjonu. Jako dwudziestoletni młodzieńcy po złożeniu przysięgi przechodzili do klasy obywateli. Odtąd mieszkać mieli w Domach Mężczyzn, uczestniczyć w syssitiach i wypełniać wszystkie obowiązki żołnierzy.

Agis szczególnie interesował się tą grupą ejrenów. Zapowiedział, że wpłaci udział za nie mogących wywiązać się z tego obowiązku. Młodzieńcy manifestowali gorąco na jego cześć, odśpiewali pean własnej kompozycji, w którym nazwali Agisa euergetes — dobroczyńca.

Ostatni dzień Gymnopediów przeznaczono na popisy artystyczne mężczyzn, występy solowe i chórów, na muzykę, tańce i przedstawienia teatralne. Tego dnia znowu bawili się wszyscy bez różnicy wieku i płci, zabawy na agorze trwały całą noc. Swawolne orszaki w dziwacznych przebraniach przebiegały miasto, śmiech i wesele brzmiały w najpoważniejszych domach. Surowi strażnicy obyczajów, eforowie, mieli w te święta opaski na oczach, jak bogini Temida i nie widzieli, nie chcieli widzieć, swobody, lekkomyślności i pustoty, jaka nawiedzała ich gród. Wiedzieli, że po tych kilku szalonych dniach i nocach, Sparta jak wół strudzony pozwoli się wprząc w twarde jarzmo nakazów i zakazów, znowu posłuszna, pobożna i cicha.

Agis po przedstawieniu teatralnym, na którym był wraz z Agiatis, wrócił do dworu. Przyjaciele jego zostali na agorze, by uczestniczyć w zabawie. Podszedł do nich Kleostenes, wierny sługa i zausznik Leonidasa. Zaczął wychwalać piękne zwycięstwa Amfaresa i Damocharesa, zachwycać się ich wierną przyjaźnią dla Agisa, a gdy wreszcie zniecierpliwiony Lizandros zapytał, czego sobie życzy, Kleostenes powiedział, że ma zaszczyt w imieniu króla Leonidasa prosić ich na ucztę. Lizandros oburzył się. Nie ma zamiaru chodzić do człowieka, który wrogo odnosi się do jego przyjaciela. Kleostenes w ugrzeczionych słowach wyraził

ubolewanie, ale widać było, że rad jest z odmowy. Zaprosił Amfaresa i Damocharesa do czekających nie opodal kwadryg i odjechali. Lizandros kręcił się bezcelowo wśród rozbawionego tłumu, chociaż nie miał humoru i ochoty na zabawę. Nagle usłyszał dźwięcznie wymówione swoje imię i ktoś pociągnął go za płaszcz. Odwrócił się i zdążył uchwycić cofającą się małą rękę.

— Czego szukasz, piękna? — zapytał żartobliwie, choć nieznajoma była w masce.

— Skąd wiesz, że jestem piękna?

— Dziewczyna, która posiada tak gładkie i małe ręce, sama musi być również urodziwa. Uchyl maseczkę, przekonamy się.

— O, nie. Zabawa przestałaby być zabawą, gdybyś od razu mnie poznał. Musisz zgadnąć.

— Głos twój wydaje mi się znajomy.

— Chyba się mylisz — zaśmiała się wdzięcznie nieznajoma.

— Nie mam wprawdzie takiego słuchu jak Amfares, ale zazwyczaj pamiętam głosy znajomych. Tak zabawnie wymawiasz „rr”, aż w uszach dzwoni.

— To „rr” zmieniłam, abyś nie mógł zgadnąć. Zwykle inaczej je wymawiam. Chodźmy gdzieś z tego tłoku.

Pociągnęła go za sobą w boczną uliczkę od agory, śmiejąc się obiecująco. Lizandros coraz bardziej zaintrygowany pomyślał, że okazja sama pcha mu się w ręce. Kto to może być? Ubrana bogato we wzorzysty płaszcz z cienkiej wełny, na czole błyska jej złoty czy pozłacany diadem, na rękach bransolety. Nie flectistka, ani nie hetera, bo te noszą włosy krótko strzyżone, dziewczyna zaś ma je ułożone w modny, kunsztowny „melon”, cesał ją więc mistrz biegły w tej sztuce. Jest to jeszcze jeden dowód, że nie jest prostytutką. Trochę go to oburzyło, że dziewczyna z bogatego, a więc szlchetnego domu w ten sposób szuka przygód. Kiedy odbiegli kilkadziesiąt kroków ku pobliskim ogrodom, Lizandros chwycił ją wpół, przycisnął silnie i powiedział zduszonym głosem:

— Nie myśl, że będę całował maskę. Tylko brzydkie dziewczyny powinny kryć swoje oblicza. Pokaż się.

Dziewczyna ze śmiechem zerwała maskę i rzuciła w krzewy. Lizandros oniemiał. Ujrzał córkę efora Herripidasa, Kalligonę.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co czynisz? — zapytał chłodno.

— Podobasz mi się — odpowiedziała Kalligona.

— A czy ja będę się podobał twemu ojcu?

— Ojciec powiedział, że chętnie ujrzy cię swoim zięciem.

Lizandros zastanowił się. Herripidas chce dla córki zwolennika Agisa? Jak na to spojrzysz Leonidas, u którego Herripidas tkwi po uszy w długach!

— Nie przesłyszałaś się, uroczą Kalligono?

— Zamiast mnie całować, zadajesz głupie pytania — oburzyła się Kalligona. — A mówili mi, że lubisz uwodzić dziewczęta.

— Lubię. Ale ty, Kalligono, jesteś córką znakomitego rodu i efora. Przez szacunek nie ośmieliłbym się całować ciebie, nie będąc twoim narzeczonym.

Kalligona stropiła się i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lizandros skorzystał z tego, ujął ją za rękę i powiedział:

— Chodźmy się bawić. Widzisz, złożyłem ślub Atenie, że nie ożenię się prędzej niż w trzydziestym roku życia. A to jeszcze kawał czasu, wątpię, czy zechcesz na mnie tak długo czekać.

— Pojadę do domu — odpowiedziała chmurnie Kalligona i klasnęła w ręce.

Od niedalekiej świątyni Fobosa oderwały się dwie postacie. Kalligona nie zważając na Lizandrosa pobiegła ku nim. Lizandros zatrzymał się. Służba Herripidasa. Czyżby to było uplanowane? Ale po co? Dlaczego Herripidasowi zależało na tym, by oddać mu córkę? O

Kalligonie opowiadano, że jest dość swobodnych obyczajów, czym w Sparcie nie gorszono się zbyt. Mimo że była ładna, Lizandrosowi nie podobała się. Pomyślał, że jeśli kiedykolwiek będzie musiał się żenić, poszuka narzeczonej tak skromnej, jak Agiatis. Zamyślony poszedł wolno w stronę swego domu. Mijając dwór Leonidasa przystanął. Aż na ulicy słychać było wesołe śpiewy i muzykę. Zdało mu się, że wśród śpiewających wyróżniał się głos Amfaresa. Splunął niechętnie i pomyślał, że może źle zrobił, wymawiając się od zaproszenia. Byłby się przekonał, co znaczy ta nagła gościnność chytrego Leonidasa.

Sz szczególnie Amfares świetnie się bawił, oszołomiony i zachwycony łaskawością króla. Usłyszał tyle zachwytów nad swym głosem, że uwierzył w swoją wyższość nad Orfeuszem. Nie wydała Hellada dotąd i nie wyda w przyszłości śpiewaka, który by mu dorównał. Damochares też się nasłuchał tylu pochwał, że poczuł się równy królom.

Kiedy Amfaresowi dobrze już szumiało w głowie od znakomitego wina i nadmiernej porcji komplementów, podszedł do niego efor Herripidas i zaczął mu w tajemnicy zwierzać, jak wielkie wrażenie jego głos i muzyka wywarły na szlachetnej Andromedzie, córce Kleobuła. Dziewczyna rozplakała się ze wzruszenia i nie chciała potem słuchać żadnych innych śpiewaków.

Andromeda, córka jednego ze stu „najlepszych”, była bardzo posażną panną i niezbyt dobrze sytuowani młodzieńcy, w rodzaju Amfaresa, nawet nie mogli marzyć o posłaniu do niej swatów.

Amfares był na tyle jeszcze przytomny, że powiedział spokojnie:

— Andromedzie to ja się mogę podobać, ale nie jej ojcu.

Herripidas odpowiedział znacząco:

— Rozmawiałem z Kleobulem, kiedy odeszła Andromeda. Wyrażał się bardzo pochlebnie o tobie. Twierdził, że człowiek tak utalentowany, jak ty, powinien zająć odpowiednie stanowisko w państwie.

— Za młody jestem — mruknął Amfares.

— Oczywiście, z tym należy poczekać, ale posłuchaj mojej przyjacielskiej rady: nie zapomnij o Andromedzie.

Amfares do końca uczty myślał o rozmowie z Herripidasem. Tak się tym przejął, że aż wytrzeźwiał. Ciągłe widział szczupłą, niepokazną Andromedę i wspaniałe trzy klerosy, które miała dostać w posagu.

Pod koniec biesiady Leonidas klasnął w dłonie i służebni wnieśli przyrządy do kottabosa. Były one trochę odmienne niż powszechnie używane w Atenach. Służebni ustawili na stołach pionowo długie kije, na końcu ich położyli małe metalowe talerzyki. Gra polegała na tym, by resztką wina z pucharu strącić talerzyk. Ale prawdziwym triumfotorem był ten, kto strącając talerzyk spowodował jednocześnie zrzucenie małego kubeczka odwróconego do góry dnem, uczeponego na wysokości dwóch trzecich kija. Zabawa ta była doskonałą okazją do wróżb. Przy strącaniu talerzyka należało głośno wymówić imię osoby ukochanej, a pomyslny wynik świadczył, że osoba ta nie jest obojętna.

Amfares trzykrotnie próbował swojej zręczności, wymawiając imię Andromedy, i trzykrotnie talerzyk spadł strącając kubeczek.

Goście klaskali i cieszyli się, jakby to był ich własny wyczyn zręczności.

Efor Herripidas pochylił się do ucha Amfaresa:

— Afrodyta daje niewątpliwy znak. Nie wahaj się, Amfariesie.

Amfares uśmiechnął się szeroko, zmarszczył czoło i poruszył uszami, co było u niego oznaką niezwykłego zadowolenia.

Późną nocą wracał z Damocharesem do domu, podśpiewując pijackim głosem piosenkę o swawolnej wdowie Fanion. Damochares szedł milczący, jak zwykle ponury i zamyślony. Amfares w przystępie pijackiej szczerości zwierzył mu się z rozmowy z Herripidasem.

Damochares dumiał chwilę, a potem powiedział z namysłem:

— Ojciec Andromedy jest wielkim wrogiem Agisa i reformy.
— Myślisz, że nie da mi córki? — zapytał zaniepokojony Amfares.
— Myślę, że to nieładnie wchodzić do obozu wrogów Agisa. Lizandros mądrze zrobił, że nie przyjął zaproszenia Leonidasa. A my to jesteśmy świnie.
Amfares nie dał po sobie poznać, że uraziły go słowa przyjaciela. Zapytał spokojnie:
— A tobie nie proponowali jakiejś narzeczonej?
— Nie — burknął Damochares. — Ani myślę się żenić.
— Każdy z nas to mówi, do czasu. Agisowi wytłumaczę, że Kleobul będzie mniej twar-
dy, jeśli jego zięciem zostanie wybitny artysta, zwolennik reformy. Może uda mi się zjednać
go dla naszych celów?
— Spróbuj — mruknął Damochares.
— Żebyś wiedział, że spróbuję. Poślę swaty do Kleobula.
— Herripidas z pewnością cię nabiera, aby potem wyszydzić i ośmieszyć. Kleobul
może dostać lepszego zięcia. Ze szlachetniejszej i bogatszej rodziny.
— Jako pierwszy śpiewak w państwie mam dobre dochody, lepsze niż niejeden z paru
klerosów. A co do szlachectwa... Talent daje szlachectwo. Wiedz, że znakomici artyści nawet
w Sparcie mieli zawsze uznanie. A u Ptolemeuszów albo Seleucydów mają więcej bogactw i
znaczenia niż królowie spartańscy razem wzięci.
— To jedź do nich — obojętnie poradził Damochares.
— Pojadę, jeśli nie zostanę tu tym, kim chcę być.
— Parszywa ta Sparta, chciałbym stąd zwać — westchnął Damochares — za ciasna dla
mnie.
— Rozumiem cię. Ale jeśliś mój przyjaciel, nie gadaj o tych projektach małżeńskich
nikomu.
— Nie należę do gadatliwych — gniewnie odpowiedział Damochares.
— Popatrz — zawołał Amfares — co za ruch na dziedzińcu u Mandroklejdas!
Przystanęli zaciekawieni. Na dziedzińcu panowała jakaś krzątanina, gwar, ognisko na
ołtarzu płonęło jasno. Podeszli do bramy, aby się dowiedzieć, co się stało. Odźwierny powie-
dział, że pan wrócił z podróży.
— Świetnie! — krzyknął Amfares. — Wpuść nas, chcemy powitać twego pana.
Odźwierny zawahał się. Przywołał chłopca stajennego, by zawiadomił pana o przybyciu
gości.
Mandroklejdas wyszedł natychmiast z głębi domu.
— Kogo to bogowie prowadzą o tak późnej porze?
— Ja i Damochares! — krzyknął Amfares.
Mandroklejdas zawołał ucieszony:
— Bywajcie! Otwórz bramę.
— Dobrze, żeście przyszli — mówił prowadząc gości do megaronu. — Stęskniłem się
za Spartą i rad będę wiadomościom z pierwszej ręki.
Opowiedzieli mu o sukcesach Agisa i przystąpieniu do obozu reformy obu królowych,
wuja Agezylaosa i Gilipposa.
— Gilippos? — z niedowierzaniem powtórzył Mandroklejdas.
— Jeszcze nie całkowicie się zdecydował, ale chwali zamiary Agisa i mówi, że gotów
jest przystąpić, jeśli Agis nie będzie się zbyt spieszzył.
— W takim razie jeszcze nic pewnego. Ale co z wujem Agezylaosem? Czego on szuka
w reformie? Trudno uwierzyć, by zapachniała mu nagle spartańska polewka i twarde łoże.
— Jego majątki są tak zadłużone — powiedział Amfares — że nic nie straci oddając je
państwu.
— I za darmo będzie chodził w chwale dobroczyńcy — dodał Damochares — zyska
tytuł „euergetes”.

— Możliwe — niezdecydowanie przytaknął Mandroklejdas. — A jak Gymnopedie? Można wam wieszować?

— Można. Obaj dostaliśmy wieńce.

— W takim razie każę podać najlepsze wino z naszej piwnicy. Wypijemy na wasze zdrowie.

— Myśmy dziś już dość wypili — powiedział Damochares.

— U Agisa?

— Nie. U Leonidasa.

Mandroklejdas zmarszczył się, bardzo mu się to nie podobało.

— Jako przyjaciele Agisa nie powinniście byli tam chodzić.

— I ja tak myślałem — usprawiedliwił się pospiesznie Amfares — ale tak nas zapraszali... Czasem trzeba przejść nad osobistymi niechęciami dla dobra ogółu.

Mandroklejdas parsknął śmiechem.

— To wcale nie takie śmieszne — obraził się Amfares. — Przekonywałem kilku wpływowych obywateli, że Agis chce słusznie postąpić.

— I przekonałeś ich?

— Powiedzieli, że się namyślą. Nie sądzisz, że dobrze czasem w obozie wroga szerzyć swoją ideę?

— Może i dobrze — powiedział z wahaniem Mandroklejdas.

Pili znakomite wino z Samos i długo w noc rozmawiali o sprawach Sparty.

ZWYCIĘSKIE WYBORY

Nadeszły znów wybory eforów. Trzecie od czasu objęcia przez Agisa królewskiego urzędu. Agis i jego główny współpracownik Mandroklejdas starannie przygotowywali się do tej rozgrywki z obozem Leonidasa. Agis w całej pełni ocenił trafną uwagę wuja Agezylaosa, że najłatwiej przekonywać przy kubku dobrego wina. Goszczono więc wyborców w domu Mandroklejdas, Agezylaosa, Lizandrosa, obie królowe zapraszały do siebie znakomite damy, które bądź same, bądź przez swych mężów mogły prowadzić skuteczną propagandę. Nigdy Sparta nie była tak rozpolitykowana, jak w owym czasie. Szczególnie kobiety z prawdziwą namiętnością rzuciły się w wir polityki, zarówno przeciwniczki, jak i zwolenniczki Agisa. Nadarzyła się świetna okazja do błyszczenia pięknymi strojami, dobrą kuchnią i okazania swego patriotyzmu. Obie strony z jednakową stanowczością twierdziły, że chcą dobra Sparty, tylko obie strony inaczej to pojmowały. Na tej fali przedwyborczej nieoczekiwanie wypłynął Amfares. Zarobki jego potroiły się. Każdy szanujący się dom miał ambicję zapraszania znakomitego śpiewaka na ucztę, ale on cenił się i nie zadowalał się byle jakim podarkiem. Zbierał więc złote pierścienie, łańcuchy i inne klejnoty. Swatów do Andromedy nie posłał, uważał, że zwlekanie jest na razie wygodniejsze, i ze względu na Agisa, i na własną godność. W tej chwili byłby to zaszczyt dla niego, a on liczył, że w niedługim czasie będzie to zaszczyt dla Andromedy i jej ojca Kleobuła. Co to będzie za satysfakcja, kiedy ludzie będą cmokać z zachwyty, mówiąc zazdrośnie:

— Patrzcie, ta mała Andromeda robi świetną karierę wychodząc za znakomitego Amfaresa.

Gdy go pytali, co myśli o reformie, odpowiadał z namaszczeniem:

— Jestem przyjacielem Agisa i tak jak on pragnę dobra Sparty. Wielkie szczęście, że już niedługo kończę trzydzieści lat, będę pełnym obywatelem, będę mógł więcej działać dla

Sparty, chociaż i teraz robię, co mogę.

Oczywiście rozmówcy nie omieszkali wspomnieć jego wiekopomnych zasług jako genialnego śpiewaka, co niemało sławy przynosi całej Lakonii.

W dzień wyborów przed świtem tłumy brodatych mężów, starych, zgrzybiałych i młodych, którzy ukończyli trzydziestkę, podążały z latarniami lub pochodniami ze wszystkich stron ku agorze, obok której znajdował się budynek zgromadzeń ludowych zwany Skias.

Wyborcy rozsiadali się wygodnie na podłodze, naprzeciw stołu, przeznaczonego dla ustępujących eforów, po bokach były krzesła dla gerontów, wśród nich dwa ozdobne, z podwyższonym oparciem, zwane „tronami”, dla królów. Agis przyjechał dość wcześnie, kiedy krzesła dla gerontów były w połowie puste, a za stołem stał efor Elatos, rozmawiając z sędziwym gerontem Astyochosem. Zobaczywszy zbliżającego się Agisa, którego entuzjastycznie witała sala, efor szybko usiadł, aby zaznaczyć równorzędność swej godności z godnością króla. Dopóki Agis nie zajął miejsca na tronie, wszyscy, nawet najstarsi geronci, stali, dopiero przyzwalając ruch ręki króla upoważnił ich do siadania.

Sala wypełniała się szybko, już nie było na podłodze miejsc do siadania. Przyjechali wszyscy geronci i eforowie, z niewielkim opóźnieniem przybył Leonidas. Honorowe miejsca zajęli kapłani poszczególnych świątyń, wieszczkowie, dowódcy wojskowi, posłowie zagraniczni.

Z Agisem przyjaźnie rozmawiało kilku gerontów, dopytując się o szczegóły projektowanej reformy. Agis odpowiadał z ożywieniem, uszczęśliwiony, że ma chętnych i życzliwych słuchaczy.

Heroldowie zagrali na fletach, wszyscy podnieśli się z miejsc, obaj królowie podeszli ku ołtarzom, aby złożyć ofiary bezkrwawe, czyli libacje, Zeusowi Lacedemońskiemu i Apollinowi Pytyjskiemu, po czym wieszczkowie oznajmili, że wróżby wypadły pomyślnie, bogowie zezwalają na rozpoczęcie wyborów. Najpierw królowie w imieniu geruzji zgłosili swoich kandydatów na sędziów, potem eforowie zgłosili swoich. Razem dziesięciu, z czego zgromadzenie miało wybrać pięciu, którzy rozstrzygali wybór eforów.

Przewodniczący zgromadzenia, efor eponymos Elatos, wzywał kolejno kandydatów, aby przedstawili się ludowi. Każdy kandydat miał prawo wygłoszenia krótkiej mowy, którą mierzył przesypujący się w klepsydrze piasek. Po tej prezentacji przewodniczący czytał według kolejności wylosowanej przez kandydatów ich imiona, a zgromadzenie krzykiem i oklaskami dawało znać, którego kandydata przyjmuje. Rada Starców oceniała intensywność krzyku i na tej podstawie dokonywano wyboru. Tylko co do dwóch pierwszych kandydatów nie było wątpliwości: Aristolochos, powszechnie lubiany polemarcha, znany z bohaterskiej walki przeciw Pyrrusowi, przyjęty został tak ogłuszającymi okrzykami i brawami, że nie budziło to żadnych wątpliwości, zaś Terimachosa, zgłoszonego przez eforów, przyjęły głuche pomruki i gwizdy, tak że odpadł od razu. Resztę kandydatów wybierano licząc głosy, zwolennicy udawali się na prawą stronę sali, przeciwnicy na lewą. W wyniku głosowania przeszło dwóch zdecydowanych zwolenników Agisa, dwóch przeciwników i bezstronny, uczciwy Aristolochos.

Teraz, w uroczystej procesji, odprowadzono wybranych sędziów do małej świątyni obok Skias, gdzie zamknięci, nie widząc głoszących ani nie będąc widziani, na podstawie okrzyków zgromadzenia mieli ustalić listę wybranych eforów. Zarówno ustępujący eforowie, jak też Rada Starców pod przewodnictwem królów mogli zgłosić razem dziesięciu kandydatów, z których znów wybierano pięciu.

Agis zgłosił Lizandrosa i Ksenaresa, król Leonidas — Pasimachosa i Kleobula, geronci przychylni reformie — Hippomedonta, kandydatami eforów byli Aleksis, Androklejdas, Euksenos, Polis i Pasimachos. Wszyscy oni należeli do arystokratycznych rodów Sparty.

Przysłuchując się wyborom Agis rozmyślał, że słusznie Arystoteles nazwał spartański system wyborczy dziecinny i naiwny. System naiwny, a wyborcy? Wierzą, że ich głosy i

krzyki decydują. Jakie bogi pomagają zamkniętym sędziom, trudno było dociec, ale Agis wiedział, że zawsze przechodzili kandydaci mili sędziom. Od ich decyzji nie było odwołania. Kiedy wychodzili ze świątyni i odczytywali zgromadzeniu kolejny numer, a przewodniczący odczytywał imię kandydata, nikt nie miał prawa sprzeciwić się pod groźbą surowych kar. Agis zdawał sobie sprawę, że wynik wyborów zależał od Aristolochosa: złamię jego uczciwość przedstawiciele bogaczy, czy też oprze się naciskowi i oceniać będzie bezstronnie? Wola ludu była wyraźna: każdy kandydat z obozu reformy otrzymywał ogłuszające brawa i wyborcy krzyczeli do zdarcia gardzieli, opozycji zaś nie pomogło nawet drobne oszustwo — aby wywołać większe wrażenie i hałas, niektórzy zdjęli sandały i trzymając je w dłoniach klaszali zapamiętale. Z niepokojem więc czekały obie strony na ocenę sędziów. A oni namyślali się długo. Widocznie nie było jednomyślności.

Wreszcie ukazali się, pod maską dostojności kryjąc wzburzenie. Aristolochos okazał się godny sławy najuczciwszego człowieka Sparty, jaką posiadał. Przeszło trzech zwolenników Agisa: Lizandros, Hippomedont i Ksenares. Dwaj pozostali eforowie to Euksenos i Pasimachos, przedstawiciele spartańskich bogaczy. Nowo wybrani eforowie mieli objąć władzę za trzy dni, w dzień Nowego Roku, po złożeniu przysięgi przed królami. Eforem eponymos, od którego miał otrzymać nazwę Nowy Rok spartański, został Ksenares.

Agis z przyjaciółmi wracał do dworu upojony zwycięstwem. Szli pieszo, a towarzyszyły im rzesze wyborców, wiwatując na cześć młodego króla i jego przyjaciół.

— Teraz — mówił pełen otuchy — musimy zjednać Radę Starców. Jeśli w geruzji postawimy wniosek o reformie i wniosek ten przejdzie, to na zgromadzeniu ludowym nie będzie żadnych trudności. Widać, że lud jest za nami.

— Czego nie można powiedzieć o gerontach — odpowiedział Ksenares. — Większość z nich należy do tej górnej setki.

— To będzie trudne — dodał Lizandros — ale nie niemożliwe. Sam podejmę się zjednać kilku dla naszej sprawy. Przekonałem już mojego ojca...

— I nic o tym nie mówiłeś? — zdziwił się Mandroklejdas. — Przecie to już część zwycięstwa. Autorytet twojego ojca...

— Tym milsza jest ta wiadomość teraz — przerwał Agis. — Zaczynam wierzyć, że wielu ludziom w Sparcie dobro ojczyzny leży na sercu.

Zbliżyli się do bramy dworu Agisa. Widocznie wieść o zwycięstwie wyborczym dotarła przez gońców królewskich, bo brama obwieszona gałązkami oliwnymi i wawrzynowymi otwarła się, zanim Damochares zdążył pociągnąć za kołatkę.

Na głównym dziedzińcu stały trzy królowe w otoczeniu dworu. Fletniści zagrali zwycięski pean.

Towarzysze Agisa zatrzymali się przed bramą, ale on wyciągnął ku nim rękę gestem zapraszającym:

— Chodźcie, wypijemy po kubku wina w ten szczęśliwy dzień.

— Kazałam rozstawić stoły w ogrodzie — powiedziała królowa Agezystrata. — Przyjm, synu, i wy, dostojni eforowie, najlepsze życzenia z okazji szczęśliwych wyborów. Cały czas, gdyście byli w Skias składaliśmy ofiary za pomyślność i bogowie wysłuchali naszych prośb.

— Wasza radość jest naszą radością — dodała babka Archidamia.

Agiatis uśmiechała się tylko, patrząc z miłością na męża. Wziął ją za rękę i wszyscy poszli do ogrodu. Był to dzień winobrania. Duże wiklinowe kosze pełne były złocistych i ciemnofioletowych winogron. W dwóch wielkich, drewnianych kadziach młodzi mężczyźni, nadzy, w przepaskach na biodrach, deptali winne jagody. Inni w drewnianych prasach wyciskali sok, który kobiety zlewały do ogromnych pitosów. W uroczystym i wesołym pochodzie niesiono potem zamknięte pitosy do piwnic, gdzie moszcz fermentował aż do miesiąca Gerastios, drugiego miesiąca zimy. Dzień „otwarcia pitosów” był świętem.

Dzień winobrania był uroczystością wesołą. Każda czynność odbywała się przy wtórze fletów, dziewczęta, noszące w koszach na głowach winne jagody z pobliskiej winnicy, śpiewały dźwięcznie:

*Złociste dary boskiego Dionizosa
Niesiemy tobie, gospodarzu nasz,
Piękną ofiarę uczynić nam każ,
Złóż libację wdzięczną z każdego pitosa.
Łaskawym bogiem jest Dionizos nasz.*

Podano Agisowi srebrny kubeczek, a on z nie zamkniętych do tej chwili pitosów czerpał moszcz i recytując: — „Przyjm boski wyzwoliciele Dionizosie Lyseusie, dawco wina i radości, pierwszą miarkę moszczu z naszych winnic i zachowaj nasze wino zdrowe i godne ofiar dla ciebie, chroń je od octu, pleśni i goryczy” — wylewał libację u stóp posągu boga, umajonego liśćmi winnej latorośli.

Kilka dziewcząt służebnych ujęło się za ręce i zatańczyło wokół ołtarza taniec dziękczynienia i radości.

Dostojni gospodarze nie czekali na napełnienie wszystkich pitosów. Libację z następnych Agis kazał składać staremu szafarzowi, on bowiem miał stałą pieczone nad królewskimi piwnicami, dlatego musiał zyskać przychylność boga, wynalazcy wina.

Agis, królowe i goście poszli w głąb ogrodu do cienistej pergoli oplecionej różami i bluszczem. Przygotowane tam były wygodne trzcinowe fotele, małe stoliczki, kubki, amfory z zimną wodą i winem. Agiatis kazała służebnej przynieść kosz najdorodniejszych winogron, a sama dyskretnie się oddaliła. Czuła się zbyt młoda i nieśmiała, by uczestniczyć w rozmowie o najważniejszych sprawach państwowych.

Agis opowiedział matce i babce o zebraniu, krytykując i ośmieszając system wyborczy. Mandroklejdas żywo potakiwał jego wywodom, Ksenares zaś opisywał, jak będzie wyglądać ten system zreformowany przez nich. Będzie bardziej demokratyczny i bardziej sprawiedliwy niż ateński. Wszyscy się rozmarzyli i naprawiali tę swoją Spartę, czyniąc z niej wyspę szczęśliwą, o której opowiadały baśnie.

ROZGRYWKA

Mimo ostrego sprzeciwu Pasimachosa i Euksenesa Lizandros przeprowadził na radzie eforów wniosek o konieczności zwołania Rady Starców. Wuj Agisa, Agezylaos, długo przedtem naradzał się z dostojną siostrą, królową Agezystratą. Wynik tych porad zakończył się wręczeniem mu dwóch woreczków złota na przekupienie niezdecydowanych gerontów: Mindarosa i Astyochosa. Trzeci niezdecydowany, Derkilidas, odpadł: był zbyt zamożny, aby przemówiło do niego złoto, był poza tym niebywałym fantastą, motywów jego postępowania nigdy nie można było przewidzieć. Geront Mindaros ma wnuczkę na wydaniu: woreczek złota wydatnie poprawi jej szansę dobrego zamażpójścia. Astyochos zaś, zdzieciniały starzec zbliżający się do ósmej dziesiątki, był zachłanny i skąpy, jak większość stojących nad grobem starców, nie będzie się więc wahał klaskać za reformą, gdy mu za to zapłacą. Poza tym Agezylaos liczył, że bez większych wydatków uda mu się pozyskać jeszcze kilku członków Rady.

Królowa prosiła brata, by nie wspominał Agisowi o złocie. Agis może się oburzyć i zakazać przekupstwa. Agezylaos obiecał milczeć. Niestety, nie obiecał — bo królowa takiej

obietnicy nie wymagała — uczciwie wywiązać się z powierzonego zadania. Przeliczył złote areusy i doszedł do wniosku, że nie należy tym staruchom tyle dawać. Odłożył po pięć sztuk, resztą załatał nowe dziury w swoim budżecie: hetera Plango, o której łaski stale zabiegał, była bardzo wymagająca, ostatnio zrujnował się dla niej na pachnidła i jedwabną suknię. Mindaros był uszczęśliwiony z otrzymania pięciu areusów. Wnuczka pragnęła wyjść za mąż za Toraksa, ale nie stać ich było na urządzenie uczyty weselnej. Przysięgał na Herę, że nawet bez tych pięciu sztuk głosowałby za reformą. Przecie to jedyna szansa polepszenia losu jego wnuczki i przyszłego zięcia. Agezylaos był wściekły: niepotrzebnie zmarnował pięć areusów. Plango miałaby za to złote nausznicze z niebieskimi kamieniami. Astyochos równie chętnie obiecał głosować za reformą. Wprawdzie ten skromny podarek, który otrzymał od Agezylaosa, do niczego go nie zobowiązuje, ale żywi dużo przyjaźni dla młodego króla i jego zamiarów polepszenia doli biedaków. Rozstali się w najlepszej komitywie. Astyochos tak się rozczulił, kiedy Agezylaos wspomniał jego bohaterskie wyczyny na stadionie, że chciał nawet poczęstować gościa kubkiem kwaśnego wina, ale Agezylaos zdołał wykręcić się od poczęstunku. Siostrze — królowej doniósł, że obie sprawy załatwił pomyślnie. Mniej pomyślnie nowiny przyniósł Mandroklejdas, który starał się przekonać Derkilidasa. Zwariowany starzec powiedział, że nie wierzy, by udało się przywrócić do życia reformę Likurga. Inne teraz czasy, inni ludzie — nie dadzą się wciągnąć w te twarde łańcuchy. Zresztą obiecał, że jeszcze przemyśli całą sprawę. Ojciec Mandroklejdas zdołał przekonać trzech.

Połowa gerontów była zdecydowanie za reformą. Dowiedział się o tym Agis, prowadząc z nimi indywidualne rozmowy. Starcy mieli zrozumienie dla projektów Agisa. Sparta ich młodości była lepsza, gorszyła ich Sparta obecna. Gotowi są wszystko zrobić, aby przywrócić dawny ład, dawną miłość ojczyzny i pogardę prywaty. Przed świtem, jak to było w zwyczaju spartańskim, w dwa tygodnie po wyborach nowych eforów, z czterech dzielnic Sparty wyruszyli do geruzji dostojni starcy, odprowadzani z domu przez pachołków z pochodniami. Budynek narad mieścił się obok eforejonu przy agorze. Był skromny jak wszystkie budynki rządowe, nieco okazalszy rozmiarami niż domki prywatne. Na ławach sali obrad rozesłane były maty, aby mogli siedząc wygodnie omawiać sprawy państwa. Pod ścianą na wprost drzwi wejściowych stał stół z pięcioma drewnianymi krzesłami dla eforów, z boku, po przeciwnych stronach stołu — dwa ozdobne krzesła dla królów. Przed stołem mieścił się mały ołtarz, gdzie jeden z królów, wyznaczony losem, palił kadzidło na cześć bogów. Ze wznoszącego się dymu wieszczkowie wróżyli pomyślność obrad. Stawili się wszyscy geronci, przybył również Leonidas. Wyglądał źle. Spod warstwy różu przebijała żółta, niezdrowa cera, worki pod oczyma podpuchły bardziej niż zazwyczaj. Nie spojrzął na Agisa ani na eforów, skinął ledwo dostrzegalnie głową gerontom opozycji. Agis wylosował prawo złożenia ofiary. Zwolennicy reformy poczytali to za dobry znak, a gdy wieszczek Eudios oznajmił, że bóg zezwala na rozpoczęcie obrad i czuwać będzie, aby obrady te przyniosły korzyść Sparcie, nabrali otuchy.

Obradom przewodniczył Ksenares. Zdecydował, że najlepiej będzie, gdy dostojni starcy rozpatrzą najpierw kilka mniej ważnych spraw, a dopiero potem Lizandros przedstawi im projekt reformy. Leonidasa zwiódł ten manewr, uspokoił się, poweselał.

Kiedy Ksenares udzielił głosu Lizandrosowi, na sali zapanowała śmiertelna cisza. Wydało się, że wszyscy wstrzymali dech w piersiach. Lizandros mówił krótko. Przedstawił słabość wewnętrzną Sparty, słabość militarną. Dowodził, że odrodzenie Sparty może przyjść tylko wtedy, gdy zginie prywata i żądza złota, która opanowała tych, co mienia się najszlachetniejszymi. Mówił o drodze, na którą wprowadzić chce Spartę król Agis i jego zwolennicy. Po tym krótkim przemówieniu przystąpił, zgodnie z wolą króla Agisa i dwóch eforów, Ksenaresa i Hippomedonta do zgłoszenia prześwietnej Radzie projektu reformy, wyrażając nadzieję, że dostojna Rada przyjmie go i przedstawi do ostatecznego zatwierdzenia zgromadzeniu ludowemu. Lizandros wyciągnął zwój pergaminu, rozwinął, spojrzął przelotnie na gerontów i zaczął

czytać:

„Główne postanowienia nowej ustawy, opracowane przez Agisa, syna Eudamidasa, Lizandrosa, syna Libisa, Mandroklejdas, syna Ekfanesa, Ksenaresa, syna Lakkratidasa, oraz kilku innych troszczących się o los ojczyzny spartiatów są następujące:

Wszystkie długi należy dłużnikom odpuścić.

Należy przeprowadzić nowy podział gruntów.

Ziemia, ciągnąca się od doliny Pellene między górami Tajget z jednej strony, a linią idącą od miejscowości Sellazja do przylądka Malea z drugiej strony, ma tworzyć cztery tysiące pięćset tak zwanych losów, to jest części przydzielonych obywatelom w drodze losowania.

Ziemia leżąca na zewnątrz tego pasa ma obejmować piętnaście tysięcy losów i ma być przydzielona tym periojkom, czyli wieśniakom przyległych krajów lacedemońskich, którzy są zdolni do noszenia broni.

Wewnętrzny pas ziemi ma być rozlosowany między samych spartiatów, których liczba ma być uzupełniona periojkami i ludźmi z innych krajów, wychowanymi w dobrych obyczajach, pochodzącymi z dobrych domów, odznaczającymi się piękną i zdrową budową fizyczną i będącymi w kwiecie wieku.

*Spartiaci mają być zorganizowani w piętnastu wspólnie stołujących się grupach po czterystu i dwustu ludzi i prowadzić tryb życia taki, jaki prowadzili ich przodkowie *.*

Lizandros skończył i usiadł. Śmiertelna cisza na sali pękła, wybuchła prawdziwa burza. Starcy pozrywali się z miejsc i krzyczeli, gwizdali, klaskali w dłonie. Niektórzy podnosili rękę na znak, że proszą o głos, ale w ogólnym tumultcie było to niemożliwe.

Agis przyglądał się im zaskoczony i przerażony. Nie przypuszczał, że w starych ludziach może się obudzić tyle energii, złości, uporu. Więc aż tylu jest przeciwników? Głosy krzyczących za reformą toną w gwizdach i sprzeciwach wrogów. Ksenares na próżno stuknął łaską w stół, pragnąc uciszyć wrzawę. Nic nie pomagało. Trzeba było sprawę odłożyć.

Ksenares wśród niemilknącego tumultu wstał, podniósł obie ręce na znak, że zamyka posiedzenie rady.

Agis podniósł się również, podnieśli się jego zwolennicy i przyjaciele i skierowali się ku wyjściu. Była ich mała grupka. Szli zgnębieni. Przeliczyli się. Instynkt posiadania jest silniejszy niż poczucie sprawiedliwości.

— Nie martw się, Agisie — pierwszy zabrał głos Mandroklejdas. — Pokażemy im, że tego, co ty proponujesz, żąda lud. Muszą się ugiąć przed wolą ludu.

— Zgromadzenie ludowe nie ma prawa uchwalić takiej ustawy.

— Ma prawo. Uchwalone przez lud wróci do zatwierdzenia przez geruzję. Geronci dobrze się spocą, jeśli zechcą uchylić decyzję ludu. A jeśli my przyprzemy ich do muru, nie odważą się.

— Mandroklejdas słusznie mówi — powiedział Lizandros. — Za trzy dni zwołamy zebranie ludu.

Przez te trzy dni Sparta żyła jak na wulkanie. Oburzano się na gerontów, wysławiano Agisa i jego przyjaciół. O świcie wszyscy dorośli Spartanie przybyli do Skias. Uprawnionych do głosowania heroldowie wpuszczali do wnętrza, młodzież i niepełnoprawni obywatele rozsiedli się wokół budynku.

Kiedy Agis pojawił się ze swoimi przyjaciółmi, wszyscy Spartanie zerwali się z miejsc i długo, klaszcząc zapamiętale, skandowali jego imię. Uśmiechał się do nich zażenowany i szczęśliwy, podnosząc powitalnie prawą rękę. Przyjazd Leonidasa powitano ponurym milczeniem. Szedł wyprostowany, pogardliwie wysuwając dolną wargę, ale targała nim wściekłość i

* Plutarch: *Żywoty sławnych mężów*.

nienawiść. Pokaże jeszcze tej hołocie i temu smarkaczowi. Chcą walki, będą ją mieli.

Ksenares, przewodniczący apelli, udzielił głosu eforowi Lizandrosowi, który wstał z krzesła, pozdrowił ręką zebranych. Powitała go burza oklasków. Budził podziw i miłość ten młody, przystojny efor, zwycięzca pytyjski. Ksenares stuknął laską w stół, sala uciszyła się. Lizandros zaczął przemawiać. Krótko omówił projekt ustawy, przeczytał jej treść, tę samą, którą czytał w Radzie Starców, i przedstawił korzyści, jakie obywatelom i państwu da uchwalenie jej przez apellę. Ksenares długo nie mógł uciszyć radosnej wrzawy, jaka wybuchła po przemówieniu Lizandrosa.

Kiedy wszedł na mównicę wuj króla, a sala w dalszym ciągu hałasowała, Agezylaos zastosował swój znany chwyt. Stojącym najbliżej powiedział złośliwy dowcip o Leonidasie, ci zaczęli się śmiać, klepiąc się z uciechy po udach. Krzykacze przycichli, aby się dowiedzieć o przyczynie wesołości, ale zagadnięci nie wyjaśniali, tylko wskazywali na Agezylaosa. Ściągnąwszy w ten sposób uwagę słuchaczy, Agezylaos rozpoczął od krytyki Leonidasa, którego przedstawił jako chciwego złota zwolennika tyranii. Wzorem dla niego byli absolutni władcy wschodni, bo długo przecie błąkał się po Azji i wiele złych przyzwyczajęń przywiózł stamtąd. Dlatego jest takim wrogiem reformy i szczęścia ludu.

Leonidas i przeciwnicy reformy milczeli. Zdawali sobie sprawę, że każde ich wystąpienie spotka klęska. Ci ludzie na sali byli jak żywoł poruszany dłonią Zeusa. Przeciwstawić się im? Zmiażdżą i zetrą wszystko, co stanie na drodze. Są jak głodna wataha wilków, która obskoczyła stado owiec i liczy na łatwy żer.

Wreszcie Agis poprosił o głos. Oznajmił krótko, że dla dobra sprawy, którą rozpoczął, oddaje cały swój majątek, ziemię orną i pastwiska oraz sześćset talentów w złocie. I z upoważnienia matki, dostojnej królowej Agezystraty, i babki, królowej Archidamii, oświadcza, że one też oddają swe wielkie majątki dla dobra Sparty.

Sala oszalała. Ściskano się, całowano, obdarzano Agisa nazwą — soter — zbawca i euergetes — dobroczyńca. Oto po wielu dziesiątkach lat zjawił się król godny Sparty. Nie znikczemniał naród, który wydaje tak wielkich synów. Niektórzy płakali.

Gdy fala entuzjazmu opadła, Ksenares oświadczył, że wobec wyczerpania się listy mówców, zarządza głosowanie nad projektem ustawy. Trzykrotny okrzyk „tak” ma oznaczać, że apella ustawę przyjmuje. Nie było wątpliwości co do zgody, ale Ksenares oznajmił, że jeśli ktoś się sprzeciwia, niech podniesie rękę. Nie podniosła się ani jedna dłoń, nawet Leonidas nie ośmielił się jawnie przeciwstawić woli ludu. Ksenares zamknął zebranie. Uchwała powzięta przez lud miała teraz wrócić na posiedzenie Rady Starców.

Mandroklejdas uważał, że należy kuć żelazo, póki gorące, więc namówił eforów i Agisa, by zwołać radę na trzeci dzień po apelli.

Dzień był upalny i duszny. Zbierało się na burzę. Ksenares czuł się zmęczony i wyczerpany walką ostatnich dni, ale mimo to nie żałował, że zwołał Radę Starców. Przybyli obaj królowie, cała geruzja i pozostali eforowie. Ksenares popatrzył na salę: nikogo już nie brakuje. Otarł pot z czoła, chrząknął, rozpoczął:

— Witam dostojną Radę, witam czcigodnych eforów. Na porządku dziennym mamy jedną sprawę: przyjęcie lub odrzucenie uchwały ludu. Czy ktoś chce zabrać głos w tej sprawie?

Milczenie. Starcy siedzieli nieruchomo jak figurki wyciosane w drzewie. Ksenares popatrzył na ich twarze: zimne, milczące... nie, kilku uśmiecha się przyjaźnie. To zwolennicy reformy. Libis, ojciec Lizandrosa, Mindaros, Pantaklas, Hieraks, ojciec Damocharesa, Ekfanos, ojciec Mandroklejdas, Gilippos, ojciec Agiatis, Derkilidas, ojciec Amfaresa. Jak postąpią? Mindaros przechylił się ku Derkilidasowi i coś mu szepnął, widocznie chciał go przekonać, ale Derkilidas niechętnie kręcił głową.

— Czcigodni geronci i eforowie — powiedział Agis wstając z krzesła — sprawa dotyczy najżywotniejszych interesów Sparty. Chcemy z wami dyskutować, chcemy was przeko-

nać, że tylko dobro Sparty i wzgląd na jej przyszłość dyktuje nam te twarde dla posiadaczy postanowienia. Tylko drogą wyrzeczeń się możemy dźwignąć Spartę na wyżyny, jakie zajmowała kiedyś, za naszych wielkich przodków. Chwila historyczna jest dogodna, Hellada może stanąć na czele wszystkich ludów, Sparta zaś na czele Hellady. Zareczam wam, że nikt, żadne miasto greckie nie jest w tej chwili zdolne do przewodnictwa. Odrodzona i wzmocniona Sparta może się tego podjąć na chwałę wszystkich plemion greckich. Czcigodni mężowie, zastanówcie się, rozważcie nasz projekt. Powiedzcie, co jest zdrożnego w naszych zamiarach?

Ale czcigodni starcy nadal milczeli. Agis nie mógł pojąć tej zatwardziałej obojętności. Niechby krzyczeli, kłócili się, wysunęli swoje argumenty. Oto on spala się jak ogień na ołtarzu Zeusa potrzebą działania i czynienia dobra, a ci wybrańcy, których lud uznał za najlepszych, którym przyznał „medal cnoty”, wybierając ich do rady państwa, milczą, jakby im usta zamurowano.

Nie zabierają głosu również zwolennicy reformy. Czyżby nie umieli znaleźć argumentów na poparcie swojej decyzji?

Wstał Libis, ojciec Lizandrosa.

— Projekt reformy znam już od dawna dzięki memu synowi, Lizandrosowi. Uważam tę reformę za słuszną i potrzebną, dlatego popieram ją z całego serca.

— Ja też popieram, choć przemawiać nie umiem! — zawołał Pantaklas.

— Dalsze przemówienia są niepotrzebne — powiedział Ekfanos, ojciec Mandroklejdas — sprawa jest jasna i oczywista, nie potrzebuje dalszych uzasadnień.

— Dla mnie nie jest tak oczywista — z krzesła podniósł się Leonidas i zwracając się do Agisa zapytał, mrużąc złośliwie oczy: — Powiedz mi, czy Likurg był sprawiedliwym i poważnie myślącym człowiekiem?

Agis potwierdził żywo.

— Powiedz mi więc, Agisie, czy Likurg wydałby prawo o wciąganiu obcokrajowców do grona obywateli i o znoszeniu długów? On, który orzekł, że Sparta nie może mieć zdrowej organizacji wewnętrznej, jeśli nie usunie z swych granic ludzi obcego pochodzenia?

Agis wstał, uśmiechnął się. Przeciwnik sam nadstawiał mu się pod ciosy. Nietrudno go obalić.

— Nie dziwimy się, Leonidasie, że ty, któryś się wychowywał na obczyźnie i któryś płodził dzieci z córkami satrapów perskich, nie znasz Likurga i nie wiesz o tym, że usuwając z państwa naszego pieniądź, tym samym zniósł wszystkie długi i zlikwidował pożyczanie pieniędzy. Nie wiesz także, że bardziej niż obcych ludzi w miastach lacedemońskich nie znosił samych obywateli, mianowicie tych, którzy nie chcieli stosować się do uświęconych prawem obyczajów i zasad życia spartańskiego. A tamtych, obcych, jeśli zwalczał i usuwał, to nie ze względu na ich pochodzenie; bał się tylko, by się obywatele przez styczność z nimi, z ich sposobem życia i obyczajami, nie zarażali ich żądzą zbytku, chciwością i brakiem tężyzny życiowej. Przecież Terpander, Taletas i Ferecydes byli także obcokrajowcami, a jednak za to, że zawsze w swych pieśniach myśleli tak samo jak Likurg, doznawali w Sparcie wyjątkowej czci.

— Ty, Leonidasie, wyrażasz się z uznaniem o Ekprepesie, który jako efor odciął siekierą muzykantowi Frynisowi dwie struny spośród dziewięciu. Chwalisz również tych, którzy to samo zrobili Tymoteuszowi. A dla nas, którzy chcemy wykorzenić ze Sparty zbytek, rozrzutność i pustą zarozumiałość, znajdujesz jedynie słowa nagany! A przecież i tamci chcieli się tylko ustrzec tego, co w muzyce jest zbyt wystawne i zbyt wyszukane. Obawiali się bowiem, że posunie się to zbyt daleko, że brak rytmu i pięknej melodii może mieć zły wpływ na kształtowanie życia i obyczajów i doprowadzić państwo do wewnętrznego rozstroju i dysharmonii*.

* Plutarch: *Żywoty sławnych mężów*.

Leonidas zacisnął wąskie wargi. Cóż odpowiedzieć temu zarozumiałemu chłystkowi, który ośmiela się go pouczać? Nie na tej płaszczyźnie go zwycięży. Jednak nie można mu pozwolić na ostatnie słowo. To uczyniłoby złe wrażenie na sojusznikach. Zresztą najzamożniejsi obywatele Sparty byli po jego stronie i czekali na jego głos.

— Zdaje ci się, Agisie, że występujesz w obronie interesów Sparty. A ty działasz na jej szkodę. Nie można burzyć bezkarnie tego, co jest. A ty chcesz z młodzieńczą nierozważą przewrócić całą Spartę do góry nogami. Nie wyjdzie to Sparcie na dobre, ostrzegam!

Ostatnie zdania wykrzykiwał łamiącym się, przechodzącym w pisk głosem. Szukał na sali oczyma tych, którzy by go chcieli poprzeć przemówieniami. Ale wszyscy milczeli. Na próżno Ksenares zachęcał do zabierania głosu. Geronci, zwolennicy Leonidasa, uważali, że lepiej po cichu działać niż głośno protestować. Przecież ustawa jeszcze nie przeszła. Mimo że reprezentował ich interesy, nie lubili go. Nie mogli wybaczyć mu przeszłości perskiej, przypomnianej teraz przez Agisa. Nie lubili go za otaczanie się kopijnikami, za wystawny tryb życia, za zarozumiałstwo i pychę. Ale walczył twardo o ich interesy, bronił całości ich majątków. I miał nad nimi tę przewagę, że był z rodu Heraklidów. To otaczało go niewidzialnym nimbem, kazało zapomnieć o przywarach człowieka.

Mimo kilkakrotnych wezwań do zabierania głosu geronci milczeli. Eforowie naradzali się przez chwilę po cichu.

Potem Ksenares wstał i oznajmił:

— Jeśli szlachetni mężowie uważają dyskusję za wyczerpaną, przejdziemy do głosowania. Czcigodni geronci, kto jest za reformą, stanie po lewej stronie, obok tronu króla Agisa, kto jest przeciw, obok króla Leonidasa.

Starcy sapiąc z wysiłku ciężko podnosili się ze swoich mat. Przechodzili na lewą lub prawą stronę, jedna lub druga miała przewagę jednego lub dwóch głosów, ale zaraz się to wyrównywało. Dziesięciu na lewo, dziesięciu na prawo, jedenastu, dwunastu, trzynastu — równo po obu stronach, tylko pośrodku sali został jeden człowiek: stary, zdziecinniały Astyochos. Na zebranie nie przybył obłożnie chory Andokos. Więc od starego Astyochosa zależał w tej chwili los Sparty. Wstał już, ale zachwiał się i usiadł ponownie, mrużąc coś bezzębnyimi ustami. Skoczyło mu na pomoc od razu dwóch ludzi: od stołu eforów Pasimachos, z ław gości, mających prawo przysłuchiwać się obradom, wuj Agisa, Agezylaos. Pasimachos był młodszy i szybszy i zanim Agezylaos dopadł starca, Pasimachos ciągnął go za ramiona ku grupie Leonidasa.

— Zostaw go — warknął Agezylaos — on będzie głosował za reformą.

— Przeciw — syknął Pasimachos.

— Za — powtórzył Agezylaos.

— A ja ci mówię, że przeciw.

Zaczęli go szarpać. Astyochos jak słomiana kukła przechylał się raz w tę, raz w drugą stronę. Spłowiałe oczka w obramowaniu czerwonych powiek latały mu niespokojnie.

— Zostawcie go — krzyknął Agis — niech on sam powie, gdzie chce stanąć!

— Pójdiesz ze mną, prawda, czcigodny Astyochosie? — powiedział przymilnie Agezylaos i wpił mu paznokcie w ramię. — Rozmawialiśmy przecie i opowiedziałeś się za reformą.

— On jest z nami! — groźnie warknął Pasimachos. — Rozmawiał ze mną i z królem Leonidasem. Potępił reformę.

— Tak... tak... Ja z nimi — zaseplenił Astyochos. — Agis chce obrabować porządnych ludzi.

— Pożałujesz tego — syknął Agezylaos wprost do ucha starca.

— Nie pożałuję — odpowiedział Astyochos. — Oni są bardziej honorowi niż ty.

I z zadziwiającą wprost żywością podreptał do grupy Leonidasa.

Wybory były skończone. Reforma upadła. Jeden głos bezzębnego Astyochosa przewa-

żył szalę na korzyść Leonidasa.

Bardziej honorowi! A więc zapłacili Astyochosowi więcej niż on, Agezylaos. Czemu oszczędzał na tym chciwcu? Dla kilku areusów przegrał sprawę. Co będzie, gdy dowie się o tym Agezystrata? Ale właściwie skąd ma się dowiedzieć? Przecie Astyochos nie będzie się chwalił, że zarobił na wyborach od obu stron, że Agezylaos był skąpy, a Leonidas dobrze zapłacił. Nie na rękę mu ta przegrana. Teraz zlecą się hieny-wierzyciele, którzy przycichli ze strachu w ostatnim czasie. A jak by to było przyjemnie palić na agorze nieszczęsne klaria — tabliczki z zapisami długów! Stanowcza nie opłacił się ten zarobek na Astyochosie.

Agezylaos nie śmiał spojrzeć na Agisa. Zwycięzcy wyszli z sali obrad z opuszczonymi głowami. Ale i zwycięzcy nie szli butnie i dumnie. To nie było ostateczne zwycięstwo. Walka dopiero się zaczęła.

NOC POD GWIAZDAMI

Gorycz zawiedzionych była duża. Oskarżono po cichu kilku gerontów, że dali się przepić Leonidasowi, ale nikt nie śmiał oskarżeń sformułować głośno.

Szczególnie burzyli się młodzi, którym miraż szczęśliwej Sparty i własnych klerosów spać nie dawał. To rozgoryczenie postanowili wykorzystać zwycięzcy tymczasowi by rozprawić się z Agisem. Za namową Etymoklesa, wygadanego młodzieńca pozostającego po cichu na usługach Leonidasa, kilkunastu młodych przyszło do Agisa z prośbą, by dokonał zamachu stanu: rozpędził geruzję, wygnał Leonidasa, zrzucił z urzędu dwóch eforów bogaczy: Pasimachosa i Euksenesa. Cała młodzież pójdzie za Agisem, nie tylko spartiaci, lecz i periojkowie. Agis łagodnie im wytłumaczył, że na zamach stanu się nie zdecyduje. Jego sprawa jest słuszna, więc nie powinien posługiwać się gwałtem. Słuszna sprawa musi zwyciężyć drogą legalną, inaczej należałoby zwątpić w sprawiedliwość i w moc bogów, którzy przecie czuwają nad poszanowaniem praw.

Kiedy Etymokles uparcie obstawał przy swoim zdaniu, że pozostała im już tylko droga gwałtu, Agis utkwiał w nim swe świetliste oczy i długo milczał. Etymokles zmieszał się pod tym spojrzeniem i urwał wpół słowa.

— Wydaje mi się, przyjacielu — powiedział Agis — że kierują tobą inne pobudki niż dobro ogółu. Przyznaj się, kto cię tu przysłał?

Ręce Etymoklesa zaczęły drżeć, więc schował je w fałdy płaszcza, choć to nie uchodziło w obecności króla. Przysięgał, że jego intencje są szczerze, ale to wzbudziło nieufność w jego towarzyszach. Skąd u Etymoklesa ta troska o innych, przecie był zawsze nieużyty, nieżyczliwy. Zresztą, po co mu reforma, jeśli jest posiadaczem dobrze prosperującego klerosu?

— Widzicie, drodzy przyjaciele, jak pochopnym działaniem mogliście dobrą sprawę narazić na szwank. Jeszcze trochę cierpliwości — Agis podniósł obie ręce ku górze gestem kapłana składającego ofiarę — a Zeus nas wysłucha i wynagrodzi. Zapowiadam wam, że nasze zwycięstwo już niedalekie. Idzie ku nam z woli Zeusa pod boską opieką Apollina. Zwycięstwo, na którym nie będzie krwi...

Natchniona, jasna twarz Agisa wzbudziła w nich nabożny lęk i wiarę. Wszak ród Heraklidów od bogów pochodzi, może król Agis działa pod ich tchnieniem i stąd ta pewność zwycięstwa? Skłonili mu się z szacunkiem i odeszli, zlorzecząc Etymoklesowi.

Agis jednak przeżywał chwile ciężkich załamań i zmagania z samym sobą. Nie tylko ci młodzi zwracali się do niego o energiczniejszą akcję, tak samo naglili najbliżsi przyjaciele i współpracownicy. Posprzeczał się nawet z rozsądnym Mandroklejdasem, który również był

przekonany, że bez rozlewu krwi reformy nie uda się przeprowadzić. Ale Agis trwał nieugięcie przy swoim zdaniu:

— Pięknej idei nie splamimy krwią. Jestem królem, który nie wydał jeszcze żadnego wyroku śmierci i nigdy nie wyda. Żmudna jest droga przekonywań i namowy, ale my właśnie tak zwyciężymy. Będziemy dotąd kołatać do ludzkich serc, aż zdobędziemy wszystkie.

Tylko Sfajros Borystenita i Ksenares przyznawali bezwzględną słuszność Agisowi. Wierzyli w potęgę wychowania i dobrego przykładu. Nadejdzie dzień, że przeciwnicy zawstydzą się swego samolubstwa i pójdą drogą wytkniętą przez ulubieńca bogów, promiennego Agisa.

Praktyczny i trzeźwy Mandroklejdas, porywczy i pełen inicjatywy Lizandros, maltretowany przez wierzycieli wuj Agezylaos debatowali nieraz w trójkę nad wynalezieniem sposobu, legalnego sposobu pokonania przeciwników.

Bez Agisa, którego przecie pominąć nie można, bo cześć i miłość dla niego wśród ludu rosła mimo niepowodzenia reformy, nie uda się nic zdziałać. Legalna rewolucja? Tego nikt nie potrafi dokonać. Miesiące biegły, mijały święta jedno po drugim, a sprawa nie ruszyła ani o krok naprzód. Król Agis nie chce gwałtu, ale czyż nie jest gwałtem to, że garstka złamała wolę większości?

Przypadek naprowadził Lizandrosa na sposób rozwiązania trudności. Zaszedł raz do świątyni Fobosa, której kapłan, stary Praksitos, był kiedyś jego wychowawcą w gimnazjonie. Lubił starego, czasem przynosił mu trochę owoców, czasem dzban wina, woreczek mąki lub kawał wędzonego mięsa. Stary wychowawca radośnie przyjmował te skromne dowody pamięci. Kapłan Fobosa nie cieszył się w Sparcie, tak jak i jego bóg, wielką popularnością. Unikano tej świątyni, budziła strach jak i pobliski budynek, eforejon. Praksitos, tak jak kapłani innych świątyń, był zwolennikiem reformy. Przyczyna była prosta: bogacze zawsze mieli węża za pazuchą, jeśli trzeba było dać ofiary bogom, biedacy nie mieli się czym dzielić. Ale biedacy przeniesieni do klasy średniozamożnych nie poskąpią bogom ofiar. A przy sytych bogach i kapłani będą syci. Praksitos nieraz rozmawiał z Lizandrossem o potrzebie zmian w Sparcie, cieszył się, gdy zarysowały się pomyślniejsze perspektywy dla reformy Agisa, martwił niepowodzeniem. Ostatnia klęska wzburzyła go.

— Dlaczego nie utracicie Leonidasa? — zapytał, kiedy Lizandros opowiedział mu o przebiegu zebrania. — Przecie to jasne, że on przekupił większość gerontów.

— Dobrze, ale jak?

— Jesteś eforem? Więc coś może być łatwiejszego dla ciebie, Ksenaresa i Hippomedonta.

— Pozwać go przed sąd? Nie mamy dowodów, że uprawiał przekupstwo.

— To niepotrzebne. Jest stary zwyczaj, że eforowie co dziewięć lat w noc gwiazdzistą zasiadają na stopniach świątyni Pazyfae i obserwują niebo. Jeśli znaki na niebie pokażą, że król zawinił, można go pozwać przed sąd i zawiesić w sprawowaniu władzy do chwili, aż wyrocznia delficka lub olimpijska wyda swoje orzeczenie.

Jeszcze nie bardzo rozumiał Lizandros, do czego może mu się przydać ten starożytny zwyczaj, ale słuchał uważnie i wypytywał o szczegóły.

— My, kapłani, prowadzimy dokładne obliczenia czasu i mogę ci powiedzieć, że właśnie teraz mamy dziewiąty rok.

Lizandros podziękował Praksitosowi i zamyślony wrócił do domu. Długo rozmawiał ze swym ojcem Libisem, potem posłał konie po Ksenaresa i Hippomedonta, aby raczyli w ważnej, niecierpiącej zwłoki sprawie przybyć do niego.

Następnego dnia podczas urzędowania w eforejonie Lizandros zgłosił wniosek o sprawdzenie, czy bogowie są zadowoleni z urzędujących królów i czy któryś z nich nie zawinił przeciw nim. Euksenos, wietrząc w tym jakiś podstęp, próbował wniosek odrzucić, Pasimachos wahał się i wreszcie zapytał, czy rzeczywiście były jakieś objawy gniewu bogów.

— Dzieci wiosną chorowały na biegunkę — przypomniał cicho Ksenares — dużo zmarło. Zmarła moja córeczka. Żadne leki ani zamawiania nie pomagały.

— Prawda, w zimie znowu był pomór na bydło! — zawołał Pasimachos.

— A jesienią na kury i kaczki — dodał Hippomedont. — Wiem, że później nawet na ofiary trudno było kupić choć jedną sztukę drobiu.

— Więc widzicie, dostojni mężowie, że możemy słusznie podejrzewać gniew bogów.

— Zawaliła się świątynia Hiakintosa — uzupełnił Lizandros.

— Stropy spróchniały — powiedział Euksenos, który ciągle wietrzył podstęp.

— Naszym obowiązkiem jest przestrzegać praw i zwyczajów — zakończył Lizandros.

— Nadszedł dziewiąty rok, rok próby, musimy tę próbę przeprowadzić. Nie chciałbym, kiedy się skończy moje urzędowanie, odpowiadać przed ludem za zaniedbanie swoich obowiązków.

Groźba odpowiedzialności poskutkowała. Zdecydowano, że następnego dnia wszyscy eforowie poddadzą się oczyszczeniom, złożą ofiary, a wieczorem zasiądą przed świątynią Pazyfae, czekając w skupieniu na znak bogów.

Letnie niebo skrzyło się od gwiazd, kiedy eforowie zasiedli u stóp świątyni Pazyfae. Byli sami. Nikt nie miał prawa znajdować się w pobliżu na odległość dwóch stadionów. Odprowadzono ich w uroczystej procesji, dym kadzidła z ołtarza Pazyfae snuł się wonną, długą smugą przez całą Spartę. Selene — „Świecąca dla wszystkich bogini” była łaskawa, noc była widna, seledynowoperłowa, pachnąca żywicznym powietrzem z lasów Tajgetu, które sphywało w dolinę przyczajoną w trwożliwym czuwaniu. Tej nocy nikt w Sparcie nie spał, ważyły się losy królów. Królowa Agezystrata z Agiatis składały ofiary przed ołtarzem Zeusa Domowego Ogniska, by czuwał nad Agisem. To samo czyniło wielu ludzi przychylnych młodemu królowi i jego reformie. Tylko Agis był spokojny, położył się wcześniej spać, nie troszcząc się o wynik rozmowy eforów z bogami. We dworze Leonidasa też nikt nie spał, król Leonidas miał poważne podstawy do obaw, dlatego sam składał ofiary i rozkazał całej służbie uczestniczyć w modłach.

Eforowie zasiedli na kobiercu przyniesionym z eforejonu, skupili się w poważnym milczeniu i zapatrzyli w gwiazdy. Dalekie, nieodgadnione, pełne tajemnic mrugały ku dostojnym mężom, niepostrzeżenie dla oczu przesuając się po nieboskłonie. Zmęczenie ogarniało eforów, coraz niżej opuszczali głowy, dając ulgę znużonym niewygodną pozycją karkom. Czasem któregoś zmorzył krótki sen, ale po chwili budził się ze strachem, czy nie przeoczył znaku boga. Świat uciszał się, umilkły ostatnie piewiki w ogrodach, zasnęły ptaki. Boski Hypnos bezszelestnie stapał po ziemi spartańskiej zdziwiony opieszałością ludzi. Zwykle o tej porze brał w swe władanie ostatnich maruderów, a dziś...

Lizandros krzyknął nagle, zrywając się z ręką wyciągniętą ku górze:

— Szlachetni mężowie, widzicie?

— Co? co? — beładnie odpowiedzieli rozespiani eforowie.

— Gwiazda... Przebiegła z zachodu na wschód... i zgasła...

— Widziałem — uroczyście przyświadczył Hippomedont. — Gwiazda była niezwykle jasna i nie spotykanej wielkości.

— Zobaczyłem ją w ostatnim momencie — powiedział Euksenos, który chciał zatuszować, że się zdrzemnął. — To znaczy, że jeden z królów obraził bogów.

— Agis! — zawołał porywczo Pasimachos. — Jego zamiary są sprzeczne z wolą bogów, są obrazą dla bogów i ludzi.

— Czy pamiętasz, Pasimachu — z naciskiem powiedział Lizandros — co Pytia powiedziała Likurgowi? Chyba nie trzeba ci przypominać? Agis zaś niczego innego nie pragnie, tylko przywrócić święte prawa Likurga. Jak więc ośmielasz się mówić, że on obraził bogów? Czyż nie jest obrazą dla bogów życie Leonidasa, tego rozpustnika, wycierającego łoża córek perskich żołdaków. Przypomnij sobie, ile nieszczęść spadło na Spartę, odkąd on został królem. Już samo pojawienie się jego w Sparcie przyniosło nieszczęście, bo wkrótce zmarł

prawowity następca tronu, mały Areus, ten, którego on otoczył zbyt troskliwą opieką. Dlaczego Sparta powierzyła jego brudnym ręką niewinne królewskie dziecko?

— Lizandrosie, masz prawo wezwać Leonidasa przed sąd, a my cię poprzemy całą mocą naszych świętych praw — powiedział uroczyście Ksenares. — Czyń, co do ciebie należy, abys nie został pozwany przed sąd po skończonym urzędowaniu.

— Wola bogów jest wyraźna — dodał Hippomedont. — Sprawca gniewu bogów też wiadomy, wszyscy spartiaci są tego samego zdania. Jeśli, szlachetni mężowie, macie jakieś wątpliwości, możecie odwołać się do apelli.

Pasimachos i Euksenos woleli nie odwoływać się do apelli. Wynik był wiadomy. Euksenos pomyślał, że przecucia go nie myliły, ale w tej chwili nie mógł nic przeciwdziałać.

Lizandros wezwał Leonidasa przed sąd. Oskarżył go, że opuścił Spartę bez zgody eforów i że jako członek królewskiego rodu Heraklidów obraził bogów płodząc dzieci z Azjatką, kiedy przebywał na dworze Seleukosa. Za karę bogowie zesłali dużo nieszczęść na Spartę i jeśli Leonidas nie oczyści się, nieszczęścia będą nadal ścigać kraj. Na pierwsze wezwanie Leonidas nie odpowiedział. Na drugie również, ale kiedy Lizandros wysłał do niego trzecie wezwanie i jednocześnie zięć Leonidasa, Kleombrotos, wystąpił na zebraniu eforów, zgłaszając swoje pretensje, jako potomek rodu Heraklidów, do tronu, Leonidasa ogarnęło przerażenie. Nie czekał na powrót poselstwa z Delf, gdzie Pytia miała zawyrokować ostatecznie w jego sprawie, tylko schronił się do świątyni Ateny Chalkoikos, „Mieszkającej w Spizowym Domu”, i przywdziawszy strój błagalnika, u stóp ołtarza bogini błagał o opiekę.

W domu Kleombrotosa rozegrała się w tym samym czasie tragedia rodzinna. Jego żona, Chilonida, córka Leonidasa, stanowczo sprzeciwiała się apetytom męża na tron królewski. Najpierw błagała w imię ich wielkiej miłości, by nie wykorzystywał okazji i nie zdobywał tronu w tak nieuczciwy sposób. Potem prosiła, aby przez wzgląd na jej brata, młodego Kleomenesa, nie hańbił się i nie narażał, bo gdy Kleomenes dorośnie, z całą pewnością wystąpi, by odebrać nieprawnie zagarnięty tron. Kleombrotos trwał uparcie przy swoich zamiarach. Chilonida zagroziła mu zemstą bogów. Tak skończyła się ich ostatnia burzliwa sprzeczka.

W tym czasie, kiedy Kleombrotos składał na ręce eforów swoje pretensje do tronu, Chilonida ucałowawszy swoje dzieci, synka Areusa i córeczkę Chione, ubrała się w strój pokutnicy i poszła do świątyni Ateny podzielić jako błagalnica los ojca.

Ten czyn wstrząsnął Spartą. Tłumy ludzi podążyły do świątyni współczując Leonidasowi i podziwiając cichą, skromną Chilonidę, która w imię miłości dla ojca odrzuciła największy zaszczyt, jaki mógł przypaść kobiecie w Sparcie: godność królowej. Wyrzekła się również kochającego męża i dzieci, więc Leonidas nie jest zapewne całkowicie złym człowiekiem, jeśli córka obdarza go tak wielkim uczuciem.

Wkrótce przyszła odpowiedź z Delf. Pytia powiedziała, że kto nie szanuje praw ojczy-
stych, niegodzien jest być obywatelem swego polis. Oczywiście tę dwuznaczną odpowiedź przetłumaczono na niekorzyść Leonidasa. Ale dużo czasu upłynęło, zanim zebrał się sąd. Geronci, przychylni Leonidasowi, sprytnymi manewrami przesunęli kilkakrotnie termin zwołania władzy, która miała prawo sądzić króla. Szło im to o tyle łatwiej, że w obozie reformy nie było zgody. Tylko Mandroklejdas i Lizandros upierali się stanowczo przy konieczności stawienia Leonidasa przed sądem. Agisowi żal było Leonidasa i Chilonidy, miał nadzieję, że Leonidas zmęczony rolą błagalnika dobrowolnie opuści Spartę. Ksenaresa trapiły wątpliwości, czy należy sądzić króla, który właściwie nie popełnił zdrady ani nie nadużył władzy. Wreszcie Hippomedont i Kleombrotos doszli do przekonania, że czas skończyć z wyczekiwaniem na skruchę Leonidasa. Wspólnie z Mandroklejdasem i Lizandrosem dopięli tego, że sąd się zebrał w pełnym składzie. Uczestniczyło w nim zgromadzenie ludowe, większość gerontów i trzech eforów. Po wysłuchaniu zeznań kilku spartiatów, którzy byli z Leonidasem w Azji, sąd uznał całkowicie winę występnego króla, w jawnym głosowaniu pozbawił go godności królewskiej i skazał na atimię, wygnanie ze Sparty z pozbawieniem praw. Leonidas

jednak w dalszym ciągu korzystał z azylu w świątyni Ateny, odwiedzali go przyjaciele, wrogowie reformy.

Kleombrotos składał przysięgę królewską na kilka dni przed upływem kadencji eforów. To niemało zaważyło na przebiegu dalszych wypadków. Zajęci przygotowaniami do uroczystości przejęcia władzy przez Kleombrotosa, zwolennicy reformy zapomnieli, że wróg nie został rozgromiony. Za pomocą pieniędzy i oszustwa stronnicy Leonidasa przeprowadzili wybór sędziów posłusznych ich woli. Ani jeden z kandydatów obozu reformy nie został eforem, mimo że wyborcy opowiedzieli się i tym razem za Agisem i jego ludźmi. Było to krzyżące pogwałcenie uczciwości wyborów.

Nie czekając na zaprzysiężenie, nowi eforowie pozwali przed sąd Lizandrosa i Mandroklejdas, oskarżając ich o nadużycie władzy. Nie mieli prawa wnieść ustawy o zniesieniu długów i podziale ziemi.

Nad reformą i jej zwolennikami zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Leonidas uznał, że teraz może bezpiecznie opuścić świątynię Ateny i wrócić do swego dworu. Zabral z sobą Chilonidę. Chciała ona wprawdzie wrócić do męża, ale Leonidas siłą zatrzymał ją u siebie. W ogólnym zamieszaniu i niepokoju wywołanym ostatnimi wydarzeniami nikt nie zwrócił uwagi, że król błagalnik zdjął szaty pokutnicze.

Nowi eforowie energicznie zabrali się do rozgromienia przeciwników. Mając na usługi oddziałek kopijników Leonidasa w ciągu jednej nocy dokonali masowych aresztowań. Wśród aresztowanych znalazł się Amfares i Damochares, których kopijnicy wyciągnęli z winiarni.

Hippomedont, Mandroklejdas i Lizandros, ostrzeżeni w porę, znaleźli schronienie w „Domu Mężczyzn” wśród młodych żołnierzy, którzy ubóstwiali Agisa i jego przyjaciół.

Ręce Leonidasa nie sięgały jeszcze do „Domu Mężczyzn”.

ZAMACH STANU

Naradzali się krótko, chwila nie była odpowiednia do wahań i zastanawiania się. Pod osłoną oddziału hoplitów wiernych Hippomedontowi udali się do Kleombrotosa. Zastali go w pokoju dziecięcym, bo Chilonida nie wróciła, mimo że opuściła wraz z Leonidasem świątynię Ateny. Dzieci były rozgrymaszone, tęskniły do matki, chłopiec miał gorączkę.

— Widzicie, jaką mam podłą żonę, a dzieci matkę. Gorsza niż wilczyca — zaczął się skarżyć.

— Przyszliśmy, Kleombrotosie, porozmawiać w ważnej sprawie. Zostaw niańkom opiekę nad dziećmi, bo nie pora, byś się zajmował tak błahymi sprawami — surowo powiedział Mandroklejdas.

— A co mam robić? — płaczliwie jęknął Kleombrotos. — Dzieci mi szkoda...

— Człowieku, czy nie rozumiesz, że głowa twoja w niebezpieczeństwie? W Dechas są jeszcze wolne miejsca! — zawołał Lizandros. — Chodźmy na naradę.

Przeszli do megaronu Kleombrotosa. Lizandros przedstawił mu przebieg ostatnich wydarzeń.

— Znasz dobrze swego teścia — powiedział Hippomedont — wiesz, co cię czeka, jeśli on wróci do władzy.

— Więc co mam robić?

— Już ci powiedzieliśmy. Domowe kłopoty zostaw na później, teraz musisz nam pomóc w zwaleniu nowych eforów.

— To zamach stanu. Ja się do tego nie nadaję.

— Musisz. Do spółki z Agisem. Macie swoje oddziały straży przyboocznej...

— Ech — machnął ręką Kleombrotos. — Jeszcze nie zdążyłem zorganizować swojej... Ta Chilonida tak mnie urządziła... — Kleombrotos omal znowu nie zapłakał.

Lizandros uśmiechnął się ironicznie. Dziwne, że dopiero teraz go rzuciła. Czy godzi się mężczyźni zajmować dziećmi? I to w dodatku królowi! Nic dziwnego, że Ateńczycy śmieją się ze Spartan za ich uległość wobec żon.

— Na jutro zwołacie wspólnie z Agisem zgromadzenie ludowe. Agis oskarży eforów o nadużycie władzy, a ty go poprzysz. Zgadzasz się? — powiedział Hippomedont.

— Oczywiście, ale jak on uzasadni, że nadużyli władzy?

— Jeszcze nie zaprzysiężeni, a już powołują przed sąd Lizandrosa i Mandroklejdas. Poza tym wybory nie były uczciwie przeprowadzone.

— Tego im nie udowodnimy — westchnął Lizandros. — Nieoficjalnie nasi ludzie mogą o tym opowiadać, to wzburzy lud.

— Jeśli opuszczę dwór na kilka godzin — powiedział wstydliwie Kleombrotos — Chilonida może wykraść mi dzieci.

— Postaw straż.

— Na bogi, gdzie znajdę straż tak wierną?

— Przyślę ci dzisiaj kilku moich ludzi — zaofiarował się Mandroklejdas. — Mogę ci również przysłać niańkę moich dzieci. Jest uczciwa, potrafi być wierna.

— Dziękuję ci, teraz będę spokojny. Nie dziwcie się, że nie opuszczałem domu, chociaż zdawałem sobie sprawę, że jestem potrzebny. Moja służba po cichu sprzyja Chilonidzie...

— Usuń z otoczenia dzieci wszystkich, których podejrzewasz. Zobaczysz, że zaraz będą zdrowsze.

Kleombrotos westchnął. Żałował, że dał się namówić do walki o tron. Żył sobie cicho, szczęśliwie z Chilonidą, cieszył się zdrowymi dziećmi, zasobnym domem i nagle wszystko to przysło. Godność królewska przyniosła mu same kłopoty, utratę Chilonidy, rozgardiasz w domu, chorobę dzieci. Doprawdy, zbyt wysoką zapłacił cenę. I nie ma drogi odwrotu, trzeba brnąć dalej.

Zgromadzenie ludowe udało się zwołać, bo Lizandros i Mandroklejdas działali przez zaskoczenie przeciwnika. Zaufani posłańcy rozesłani w tajemnicy, zawiadomili wszystkich pełnoprawnych spartiatów, a dopiero później, niemal w ostatniej chwili zawiadomienie otrzymali eforowie. Nie zdążyli się przygotować, ale na apellę przyjść musieli. Może uda się chociaż częściowo odparować ciosy? Przewodniczącym zebrania jest zawsze efor, a to dużo znaczy. Ledwo eforowie zasiedli za stołem, Agis poprosił o głos. Efor Lakratidas wstał i oznajmił, że on pierwszy zabierze głos, bo tak postanowił przewodniczący, ale na sali rozległy się wrzaski i gwizdy, wybuchła taka burza, że Lakratidas usiadł zmieszany i bezradny. A wtedy zebrani zaczęli skandować imię Agisa.

Agis pozdrowił ich ręką, a gdy owacja nie milkła, wziął ze stołu wieniec mirtowy i założył sobie na głowę. Był to znak, że chce mówić. Sala uciszyła się. Agis przemawiał krótko. Zarzucił eforom prywatę, łamanie praw, dążenie do tyranii i do zguby ludu. Celem ich jest unicestwienie reformy. Zgłasza wniosek o usunięcie niegodnych eforów i wybór nowych. Przemówienie Agisa sala przyjęła długotrwałymi brawami i okrzykami. Na próżno efor przewodniczący stukał swą laską w stół i starał się uciszyć zebranych. Znowu Agis musiał uśmiezczać entuzjazm. Powiedział, że apella powinna najpierw wysłuchać innych mówców, a dopiero po zamknięciu dyskusji może powziąć decyzję. Zerwał się Agezylaos i oświadczył, że niepotrzebne jest dalsze omawianie tej sprawy, jeśli apella już się zdecydowała. Sala znowu klaskała, niedwuznacznie manifestując swoją wolę. Agis poprosił jeszcze raz o głos. Bardzo się cieszy, że wyborcy są tak jednomyślni, ale on uważa, że w Sparcie powinna zapanować prawdziwa demokracja, a więc nawet przeciwnikom nie wolno zamykać ust. Niech zgłoszą swoje racje i uzasadnienia, taka jawna polemika tylko na dobre wyjdzie sprawie.

Ponownie wystąpił na mównicy efor Lakratidas. Zaczął mówić długo, rozwlekle, widocznie grając na zwłokę i licząc na zmęczenie wyborców. Nagle wbiegł na salę jeden z najwierniejszych hoplitów Agisa, Diades, pochylił się nad uchem króla i coś mu szepnął. Agis wstał szybko, skinął ręką na Lizandrosa i wyszedł ze Skias. Wyborcy popatrzyli na siebie z niepokojem, ale nikt się nie ruszył. Lakratidas tokował dalej, ale nikt go nie słuchał.

Diades doniósł Agisowi, że hoplici opuścili „Dom Mężczyzn” i poszli do Dechas. Rozbili więzienie i wypuścili wszystkich więźniów politycznych. Uzbrojony tłum podążył do Skias, aby rozprawić się z bogaczami i eforami. Agis z Lizandrosiem śpiesznie dosiedli koni i pomknęli w stronę Dechas. Nie ujechali daleko. Może o dwa stadiony od agory zobaczyli tłum ludzi. Kiedy Agis nadjechał, urządzili mu burzliwą owację. Czekał uśmiechnięty, pozwalając im się wykrzyzczyć, wreszcie podniósł rękę na znak, że chce mówić. Uciszyło się.

— Drodzy moi — powiedział donośnie — oto prawdziwy władca Sparty, lud, usuwa niegodnych eforów. Pozwólmymy apelli dokończyć w spokoju doniosłych obrad.

— Na szubienicę ich, do Dechas! — podniosły się wrzaski w dalszych szeregach.

Agis patrzył na ten zbiedzony, falujący tłum i myślał, że teraz już nic nie stanie na przeszkodzie jego zamiarom podniesienia ich do klasy równych obywateli. Zrozumiała jest żądza pomszczenia krzywd, ale musi im to wyperswadować. Trzeba jeszcze przemówić. Bliżej stojący widzieli, że Agis chce coś powiedzieć, zaczęli sykać i uciszać innych. Powoli wrzawa wygasła.

— Słyszałem tu głosy żądające, aby powiesić eforów...

— Tak... powiesić! Powiesić!

Z dalszych szeregów przepychali się ku Agisowi Amfares i Damochares i oni właśnie najgłośniej krzyczeli. Agis skrzywił się, ci dwaj mają najmniej powodów do zemsty. Gdyby nie pili w winiarni, zapewne nie zostaliby aresztowani.

— Uciszcie się! — krzyknął niecierpliwie. — Słuchajcie, co powiem.

Lizandros zeskoczył z konia, dotarł do rozwrzeszczanych przyjaciół i zdołał ich uciszyć.

— Przyjaciele — powtórzył Agis — zwycięzca powinien być wspaniałomyślny. Nie będziemy karać eforów... Nie zdążyli jeszcze nabroić.

— A nasze aresztowanie? — krzyknął jeden z byłych więźniów.

— Włos ci z głowy nie spadł mimo aresztowania! — odkrzyknął Agis.

Śmiech przetoczył się po tłumie. Krzyżącym był łysy Echeteles, jemu rzeczywiście nie mógł spaść z głowy ani jeden włos.

— Kto z was jest uprawniony do zasiadania na apelli, niech idzie ze mną — powiedział Agis. — Wy, przyjaciele, idźcie do domu. Tu nie macie na razie nic do roboty. Wkrótce wezwiemy was.

Przed Skias był tumult. Wypędzeni eforowie opuszczali właśnie budynek wśród gwizdów i wymysłów. Grupa młodzieży zaczęła w nich rzucać kamieniami. Pojawienie się Agisa w otoczeniu przyjaciół, ulubieńców Sparty, zmieniło nastrój. Uwolnienie więźniów z Dechas przypisano Agisowi, więc wybuchła nowa owacja. Eforowie zdołali umknąć wraz ze swymi zwolennikami, z gmachu obrad wyszli pozostali wyborcy.

— Przyjaciele! — zawołał Agis. — Idźcie w spokoju do domu! Jutro was wezwę, bo czeka nas wielka praca. Będziecie mi potrzebni, a dziś odpocznijcie i zbierzcie siły.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Byli rozentuzjasmowani i powtarzali, że jutro Agis wezwie ich, bo będą potrzebni.

Agis wracał do dworu spokojny i szczęśliwy. Nie wiedział, że jego słowa o zbieraniu sił ludu wzniciły popłoch w obozie przeciwników. Obawiali się, że szykuje krwawą rozprawę z przeciwnikami, że zaczną się areszty, sądy, posypią się wyroki śmierci, atimia, która jest gorsza od śmierci. Co lękliwi i bardziej winni zaczęli uciekać ze Sparty, kierując się na południe, do portu Gytyon, lub na północ, by znaleźć schronienie poza granicą Lakonii, w Tegei.

W liczbie uciekinierów znalazł się Leonidas.

Na tarasie nad megaronem siedzieli zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością Agisa królowa Agezystrata, Agiatis i Sfajros. Kiedy zobaczyli na drodze króla w otoczeniu przyjaciół, odprowadzanego przez wiwatujący tłum, zrozumieli, że Agis odniósł zwycięstwo. Królowa podniosła obie ręce ku niebu gestem dziękczynnym, Sfajros odetchnął z ulgą, Agiatis zaś po stopniach zbiegła na dziedziniec i zarzuciła ręce na szyję Agisa.

— Cieszę się twoim zwycięstwem, Agisie. Tak się bałam.

Agis pocałował ją w oba policzki.

— No widzisz, no widzisz, Łasiczko — powtarzał idąc z nią na taras — teraz już nic nam nie przeszkodzi budować wielkiej Sparty. Cieszę się, że jesteś ze mną.

— Unikałeś mnie ostatnio, Agisie — poskarżyła się Agiatis.

— Miałem wiele zmartwień, nie chciałem obciążać cię nimi. Niemilo jest patrzeć na zgębną twarz męża.

— Niemilo jest nic widywać męża — odpowiedziała Agiatis. — Twoja twarz zawsze jest mi najdroższa, choć wolę ją widywać tak radosną, jak teraz.

— Teraz już zawsze będzie radosna — uśmiechnął się promiennie Agis. — Przeprowadzimy reformę, znikną powody do trosk.

— Oby tak było — szepnęła Agiatis. — Niech bogowie czuwają nad nami.

Królowa Agezystrata i Sfajros cieszyli się równie gorąco, jak Agiatis, ze zwycięstwa Agisa. Opowiedział im o uwolnieniu więźniów z Dechas, między innymi Amfaresa i Damocharesa.

— Przybędą tu wieczorem, zaprosiłem również Mandroklejdasę, Ksenaresa, Lizandrosa i wuja Agezylaosa. Omówimy plan dalszej akcji. Zostaniesz również, Sfajrosie?

— Oczywiście, jeśli się mogę przydać.

— Może odpoczniesz, Agisie, przed czekającą cię rozmową — wtrąciła królowa Agezystrata. — Ostatnio mało sypiałeś.

— I teraz bym nie usnął. Posiedzę z wami, to dla mnie najlepszy odpoczynek.

Siedzieli rozmawiając pogodnie pewno ze dwie godziny, gdy nadjechał na koniu Damochares. Agis zdziwił się. Cóż go tak prędko przyznało?

— Agisie! — zawołał biegnąc po schodach na taras. — Leonidas uciekł!

— Uciekł? — zdziwił się Agis. — Dokąd?

— Pewno do Tegei. Agezylaos wysłał za nim pościg pod dowództwem Isanora.

— Po co go kazał ścigać? — zachmurzył się Agis.

— Aby go zabić — odpowiedział Damochares. — Szkoda, że nie pojechałem z nimi... Agezylaos posłał zbyt mało ludzi. Leonidas ucieka pod osłoną swoich kopijników.

— Ci się za Leonidasa bić nie będą — wtrąciła królowa Agezystrata — nie był dla nich zbyt miłym panem.

— Daj mi, Agisie, paru hoplitów — powiedział Damochares — skoczmy na pomoc Isanorowi.

— Właśnie o tobie pomyślałem, dziękuję ci. Dogonisz Isanora i powiesz mu, że zakazuje tego morderstwa. Jeśli nie usłucha, zostanie skazany na atimię. Weź z sobą paru hoplitów z mojej straży.

— Jak? — zapytał Damochares i cofnął się patrząc z osłupieniem na Agisa.

— Spiesz się. Powiedziałem: nie pozwalam zabić Leonidasa. Puścisz go wolno, odprowadzisz do granic Sparty.

Królowa Agezystrata zawołała z rozpaczą:

— Agisie, cofnij rozkaz! Gdybyś jadowitą żmiję puścił wolno, uczyniłbyś lepiej. Jadowita żmija unikałaby ponownego spotkania z tobą, ale nie on!

Sfajros powiedział cicho:

— Zostaw go, Agisie, jego losowi. Złemu psu dasz kawałek chleba, zjednasz go. Złemu człowiekowi ocalisz życie — przy najbliższej okazji zamorduje cię.

Agis powtórzył łagodnie, ale stanowczo, kładąc rękę na ramieniu Damocharesa:

— Posłuchaj mego rozkazu, przyjacielu. Jest nieodwołalny.

— Nie rozumiem — wyjąkał Damochares. — Ja mam ratować Leonidasa?

— Tak jest.

— Nie rozumiem — Damochares popatrzył pytająco na obecnych — to... to...

— Dobroć jest najbardziej niepojętą rzeczą dla większości ludzi — szepnął Sfajros, patrząc z litością na pobladłą Agezystratę i wyleknioną Agiatis.

— Idź już, przyjacielu. Musisz się spieszyć.

Damochares skłonił się i wyszedł. Na dziedzińcu zobaczył stajennego chłopca i hoplitów ze świty królewskiej.

— Konia! Szybko! — wrzasnął z gniewem. — A wy ze mną!

Chłopak wyprowadził ze stajni jednego z królewskich koni. Damochares w galopie wyskoczył za bramę i znikł w tumanie kurzu. A za nim kilku hoplitów.

Z tarasu nad megaronem śledziło ich kilka par oczu.

— Może za pięćset, może dopiero za tysiąc lat ludzie ocenią twój czyn — powiedział Sfajros patrząc ze smutkiem na swego ucznia i przyjaciela. — Zanim wyprzedziłeś swój wiek, Agisie.

— Oby się dobroć twoja nie zemściła na tobie, synu — królowa Agezystrata pokiwała głową i westchnęła.

Agis milczał. Twarz miał spokojną i cichą, natchnioną, jakby za złotą smugą blasku ścielącego się przez konary drzew widział jasną przyszłość budowanej przez siebie Sparty.

Leonidas rozumiał, że lista jego występków jest wystarczająca, aby nie liczyć na pobłażanie. Nie było celu czekać. Dowiedziawszy się o zwołaniu zgromadzenia ludu, zaczął powoli sposobić się do drogi, ale kiedy mu doniesiono o wypędzeniu i pobiciu eforów, rzucił skrzynię, kazał podać konie i w towarzystwie sług i córki Chilonidy puścił się w drogę, zabierając tylko woreczek złota. Wprawdzie Chilonida nie chciała jechać bez dzieci, stawiała opór, ale Leonidas kazał ją związać i przytroczyć do konia. Nareszcie miał okazję zemsty na znienawidzonym zięciu. W Sparcie została żona, królowa Kratezykleja, i dwóch synów: Kleomenes i Eukleidas, ale Leonidas nie martwił się o nich. Kochał jedynie córkę i gorycz ucieczki sładziła świadomość, że Chilonida idzie z nim razem na wygnanie.

Minęli już ostatnie zabudowania Sparty, kiedy jeden ze sług spostrzegł, że pędzi za nimi grupa jeźdźców. Leonidas obejrzał się — nie ulega wątpliwości — to pościg. Krzyknął na swoich i ruszyli klusem. Pędzili chyląc głowy do karku koni, przekonani, że zaraz posypią się na nich strzały. Ale ścigający nie strzelali. Konie mieli dobre, widocznie wypoczęte, sami zapewne byli dobrymi jeźdźcami i od razu zdobyli przewagę nad uciekającymi. Leonidas i jego słudzy rzadko jeździli konno, przywiązana Chilonida stanowiła dodatkowy kłopot, jej konia prowadził za uzdę jeden ze służących. Przestrzeń dzieląca oba oddziały zmniejszała się.

— To ludzie Agezylaosa! — krzyknął Proksenides, obejrzawszy się po raz wtóry. — Poznają Satyrosa.

Leonidas wstrząsnął się. Jest gorzej, niż przypuszczał. Agis może by go aresztował, może skazał na atimie, ale Agezylaos... Temu nie zadrży ręka, nawet gdyby sam wykonać miał wyrok.

Leonidas zapiszczał przeraźliwie bijąc piętami konia i wysunął się naprzód. Jego koń najlepszy, może tamci nie zorientują się, zatrzymają Chilonidę i służących, a on wtedy zdoła uskoczyć dalej. Peruka spadła mu z głowy, poły płaszcz fruwały, hamując bieg konia, zrzucił więc płaszcz i pędził dalej. Jego świta pozostała za nim, odgłos kopyt końskich oddalił się. Leonidas odetchnął. Nie zwalniając biegu obejrzał się. Grupka goniących otoczyła jego

orszak. Ale widocznie spostrzegli, że go nie ma, bo trzech spośród nich popędziło dalej.

Koń dyszał ciężko, płaty białej piany padały mu z pyska. Biegł jeszcze, ale Leonidas pojął, że koń słabnie. Poczul się zgubiony. Za sobą usłyszał chrapliwy oddech najbliższego jeźdźca. Jeszcze się nie poddawał. Klepnął konia w kark, nogami uderzył w brzuch. Koń potknął się. I w tej samej chwili twarda ręka chwyciła Leonidasa z tyłu za chiton. Leonidas ściągnął cugle. Zwlekli go z konia. Przerażony spojrzal w twarz swoim prześladowcom — to wszystko ludzie Agezylaosa, zabijaki i hultaje, tacy jak ich pan.

— Długich zachodów z tobą robić nie będziemy — powiedział jeden z nich, widocznie dowódca. — Satyros, dawaj sznur.

— Dion ma sznur — odpowiedział Satyros. — Niechaj tu go podciągną, mamy dobrą sosnę dla tego wieprza.

Leonidas spojrzal na pinię stojącą przy drodze i nagle zrozumiał.

— Nie macie prawa skazywać mnie na śmierć! — krzyknął rozpaczliwie. — Jam król! Heraklida!

— Zwycięzeni nie mają praw — odpowiedział ironicznie dowódca Isanor. — A ty darowałbyś zwyciężonemu?

Leonidas nie odpowiedział. Zobaczył, że nadjeżdża reszta jego świty i oddziału ścigających. Wśród nich była Chilonida.

— Masz woreczek złota — drżąc, łamiącym się głosem powiedział Leonidas. — Weź go i daruj mi życie.

— Dawaj.

Leonidas skwapliwie wyjął spod chitonu woreczek.

Dowódcy Isanorowi zaśmiały się oczy. Potrząsnął woreczkiem.

— No, chłopcy, wieszajcie wieprza. Zaraz dostaniecie nagrodę.

— Zapłaciłem ci! — krzyknął rozpaczliwie Leonidas, a Chilonida wybuchnęła płaczem.

— Pędzą ku nam jacyś jeźdźcy! — zawołał Proksenides.

— To Damochares, poznaję go — spokojnie powiedział Isanor — i hoplici króla Agisa. Widocznie przywozi wyrok na piśmie.

Damochares zatrzymał spienionego konia.

— Z rozkazu króla naszego, Agisa, mam ciebie, były królu Sparty, odprowadzić do granicy państwa, abyś opuścił ziemię, której nie jesteś godny.

— Za pozwoleniem! — krzyknął Isanor. — Mam rozkaz powiesić go.

— Działam w imieniu króla Agisa — zimno odpowiedział Damochares. — Któż jest teraz wyższy w Sparcie, by rozkazywać?

Leonidas już zdążył oprzytomnieć i zrozumiał, że jest ocalony. Wróciła mu dawna pycha.

— Oddaj, łotrze, mój woreczek — krzyknął do Isanora — bo każę cię wychłostać!

— Powolutku, malowany królu — parsknął śmiechem Isanor. — Nie masz na nową perukę? W Tegei usiądziesz przed świątynią Ateny i uzebrzesz na nową.

— Łotrze! — wrzasnął Leonidas.

Ale Isanor już nie słuchał. Podciął konia i zawrócił w stronę Sparty. Za nim popędzili jego żołnierze.

Leonidas spojrzal na swój krótki chiton, owłosione nogi i pomyślał, że to mu nie przysparza dostojenstwa. I ta przeklęta peruka!

— Daj mi swój płaszcz — rozkazał ostro jednemu z kopijników — a ty, Chilonido, swoją chustę z głowy.

Przyodział się w płaszcz, z chusty zrobił zawój na głowę.

— Nie znoszę słońca — powiedział wyjaśniająco do Damocharesa — muszę osłonić głowę. A teraz odprowadzisz mnie do Tegei.

— Mam rozkaz odprowadzić cię do granic państwa. Dlaczego związałeś swoją córkę,

Leonidasie?

— Aby nie spadła z konia.

— Może chcesz wrócić do Sparty? — zapytał Damochares, patrząc na nią z litością. — Tam czeka cię twój małżonek.

— Pójdę tam, gdzie mój nieszczęśliwy ojciec — odparła cicho Chilonida. — Wpierw byłam córką niż żoną.

— Zapominasz, Chilonido, że przede wszystkim jesteś matką — odpowiedział Damochares.

Chilonida spuściła głowę. Po twarzy płynęły jej łzy.

— Niepotrzebnie ją drażnisz — ze złością powiedział Leonidas — i tak jej nie puszcę. Nasza rozłąka ze Spartą niedługa. Ja tu wrócę, a wtedy policzymy się.

Chilonida wstrząsnęła się. W głosie ojca zabrzmiała taka nienawiść, że ze strachem i współczuciem pomyślała o Agisie. Chociaż pomysły ma szalone, ale to dobry i szlachetny człowiek. Szkoda go.

— Grozisz? — zapytał z gniewem Damochares. — Za groźby przeciw królowi mogę cię aresztować i oddać pod sąd ludu. A ten nie będzie dla ciebie tak łaskawy, jak Agis.

— Ja tylko mówię o wyrównaniu długów. W przeciwieństwie do waszego wodza Agisa i wuja Agezylaosa, zawsze płacę swoje długi.

— Jedziemy! — Damochares pomyślał, że nie sprostą ciętością języka Leonidasowi, więc nie warto się rozgadywać. Trzeba spełnić do końca rozkaz królewski, chociaż to niemiłe, i odprowadzić tego wypędka do granicy. Żałował, że się tak pospieszył. Po co gnał konie i ludzi? Ta żółta gęba o obwisłych policzkach, wykrzywiona złością i nienawiścią, budziła obrzydzenie i lęk. Gdyby jechał trochę wolniej, zobaczyłby starego łotra dyndającego na sośnie i skończyłyby się wszelkie kłopoty.

Konie wolno sunęły ku granicy. Były zmęczone. Ludzie także. Droga stale pięła się w górę, z obu stron wysokie ściany górskie zamykały horyzont. Kiedy dojechali do wąwozu Klisura, Damochares zatrzymał się.

— Żegnaj, Leonidasie. Spełniłem już rozkaz.

— Moja droga tu się nie kończy. Odprowadź mnie do Tegei. Dopiero tam będę bezpieczny pod opieką potężnego Związku Achajskiego i mego przyjaciela, znakomitego wodza Aratosa.

— Nie mogę cię odprowadzić dalej. Muszę wypełnić rozkaz mego króla.

— Wynagrodzę złotem ciebie i twoich hoplitów. Mam w skarbcu w Tegei sporo złota.

Damochares zawahał się. Przydałby się woreczek złota! Leonidas widząc jego wahanie kusił dalej:

— Zastanów się. Jestem królem, który umie nagradzać za przysługi. Jeśli zechcesz zostać ze mną w Tegei, wyślę ciebie do Olimpii na każde wielkie igrzyska, jakie urządzać będą w Helladzie. Jesteś największym, a będziesz i najslynniejszym mistrzem świata.

— Ojczy, nie namawiaj go, aby złamał rozkaz królewski — wtrąciła Chilonida. — Przecież on jest przyjacielem króla Agisa.

— Dobrego przyjaciela sobie znalazł — parsknął Leonidas. — Dużo zarobiłeś na tej przyjaźni? Przy mnie byłbyś jednym z najbogatszych ludzi Sparty.

— Sam wszystko straciłeś, a mnie obiecujesz złote góry — roześmiał się Damochares. — No, bywaj zdrów.

— Żegnaj — odpowiedział Leonidas. — Pamiętaj, że jestem ci życzliwy, chociaż nie chcesz spełnić mojej prośby.

— Niepotrzebna mi twoja życzliwość — roześmiał się Damochares i zawrócił w stronę Sparty. Za nim podążyli królewscy hoplici.

— Ja też tam wrócę — powiedział Leonidas patrząc za odjeżdżającymi. — Wrócę, a wtedy pogadamy z Agisem.

I pogroził pięścią.

CHWAŁA CI, AGISIE!

Spodziewano się surowych represji, a nawet wyroków śmierci, ale ani jeden z wrogów Agisa, ani jeden z przeciwników reformy nie został aresztowany.

Na próżno wuj Agezylaos dowodził, że Agis źle robi, bo wrogów należy niszczyć i miażdżyć, a dopiero potem, gdy się załamią, okazać im łaskę. Agis był nieprzejednany, a z nim razem jego doradcy i przyjaciele: Sfajros, Lizandros, Mandroklejdas. Przytakiwał im nawet Amfares i mrukliwy Damochares.

Sfajros Borystenita głośno wyznawał wiarę w dobroć ludzi, głosił potrzebę pojednania i wybaczeń. Agis na wszelkie wywody Agezylaosa odpowiadał, że tylko miłość do ludzi zdolna jest odbudować świat.

Po uroczystych dziękczynieniach za bezkrwawe rozgromienie przeciwników odbyły się na apelli wybory nowych eforów. Wybrani zostali wuj Agezylaos, Amfares, dowódca hippeis — Arkezylaos oraz dwaj zwykli spartiaci: Naubates i Archytas. Obaj słynęli z niezwykłej szlachetności i prostoty obyczajów, mieli po jednym klerosie, po kilkoro dzieci. Umorzenie długów nic im nie przyniosło, bo klerosy mieli czyste, nie zadłużone. Dzieci Naubatesa były nieletnie, dwóch chłopców wychowywało się w gimnazjonie, córka mieszkała razem z rodzicami. Archytas miał dwóch synów dorosłych, starszy ożenił się i mieszkał razem z ojcem, młodszy opuścił Spartę szukając szczęścia w zacieężnej armii egipskiej. Dwukrotnie przez bank Gilipposa przekazał rodzicom spore sumy pieniędzy i przysłał list, że gdy tylko zbiera na kleros, rzuci wojaczkę.

Ich bezinteresowność najlepiej świadczyła o nich, kiedy zgłosili swoje przystąpienie do obozu reform.

Pociągnęli za sobą wielu chwiejnych, ale uczciwych Spartan. Wybór ich na eforów dawał gwarancję, że reforma zostanie doprowadzona do końca.

Wypadki potoczyły się teraz szybko. Nowi eforowie zwołali znów apellę. Agis odczytał projekt reformy, przyjęto go nie milknącymi długo brawami i okrzykami.

— Chwała ci, Agisie!

— Żyj wiecznie, dobroczyńco nasz!

— Dzięki ci, zbawco!

Na agorze przed ołtarzem Zeusa rozpalono ogromne ognisko. Agis, królowa Agezystrata, królowa Archidamia w obecności całego ludu Sparty rzucili w ognisko drewniane tabliczki, tak zwane klaria, na których były zapisane długi. To samo pod naciskiem opinii musieli uczynić bankierzy, lichwiarze i wielcy właściciele ziemscy. Stos tabliczek płonął, a oszaleli z radości tańczyli wokół niego triumfalny taniec zwycięstwa. Najwięcej chyba rozradowany był Agezylaos, wuj Agisa. Oto na własne oczy widział, jak tabliczki z jego niezliczonymi długami stają się nagle snopem iskier i kupką popiołu.

— W życiu swoim nie widziałem jeszcze tak jasnego światła i tak cudownego ognia! — zawołał do bankiera Pellesa, któremu winien był najwięcej.

Pelles nie odpowiedział. Splunął pod nogi Agezylaosowi i poszedł do domu. Agezylaos zapamiętał sobie to splunięcie.

— Od jutra rozpoczniemy podział gruntów — zapowiedział Agis następnego dnia po spaleniu klariów, kiedy wspólnie z eforami obradował nad realizacją reformy.

— Dobrze, Agisie — skwapliwie zgodził się Agezylaos — ale pozwól, że ja się tym

zajmę. Pracy jest dużo.

— Dużo pracy? — zdziwił się Agis. — Przecie to taka prosta sprawa. Każdy z nas wie, ile ma ziemi...

— My wiemy — odpowiedział Agezylaos — ale ci, co nie godzą się z reformą, będą chcieli ukryć niektóre swoje grunty.

— Nie wydaje mi się to możliwe. Pójdziemy w pole ze spartiatami, a oni już potrafią wykryć każde oszustwo.

— Zgadzam się z tym, ale według mnie należy wszystkie grunty ponownie zmierzyć i spisać.

— To niepotrzebne — upierał się Agis. — Zresztą możemy rozpocząć dzielenie klerosów od posiadłości moich i mojej matki.

— To niesłuszne — zaperzył się Agezylaos. — Twoje dobra mają najlepszą ziemię, więc wszyscy będą chcieli je dostać. Od razu zaczną się niesnaski...

— Nie widzę powodu do niesnasek. Najlepsze klerosy przydzielimy najbardziej zasłużonym.

— Pozwól, Agisie, że wypowiem swoje zdanie — odezwał się Amfares. — Twój wuj słusznie radzi zacząć od nowych spisów i pomiarów.

— Ja też jestem za ponownym spisem gruntów. Dawno tego u nas nie robiono — poparł obu eforów Arkezylaos.

Dwaj pozostali eforowie też byli za dokonaniem pomiarów, więc Agis ustąpił.

— Przekonaliście mnie. Ale skąd weźmiemy tylu mierniczych?

— Głupstwo — z widoczną ulgą powiedział wuj Agezylaos. — W Sparcie mamy jedno, Kritona, w ciągu kilku dni sprowadzimy z Olimpii kapłanów-mierniczych. Od jutra może pójść w pole Kriton z pomocnikami.

— Jutro nie — sprzeciwił się Amfares. — Jutro musimy wystawić na agorze tablice z rozporządzeniem królów o podziale ziemi. Pojutrze można zacząć.

Przygotowanie tablic przeciągnęło się kilka dni, mimo ponagień Agisa. Agezylaos dziwnie nieudolnie zabierał się do wykonania ustawy. Piętrzyły się przed nim ciągle nowe przeszkody. Nawet przyjazd mierniczych z Olimpii nie przyspieszył akcji. Na zoranych polach wyrosła pszenica i jęczmień, trzeba było pomiary odłożyć na czas po żniwach. Nawet najbardziej niecierpliwi zgadzali się, że plony zbierze się wspólnie i podzieli między wszystkich spartiatów.

Nagła i nieprzewidziana sprawa zaprzątnęła umysły wszystkich i odsunęła na plan dalszy zabiegi wokół reformy. Przybyło poselstwo ze Związku Achajskiego, wzywając Spartę na pomoc przeciw Etołom, którzy wkroczyli zbrojnie na Peloponez i szli przez krainę Megary, niszcząc, paląc i mordując, ku Przesmykowi Istmijskiemu, będącemu kluczem między Grecją środkową i południową. Kto miał w swym ręku Przesmyk Istmijski i twierdzę Akrokoryntu, ten stawał się panem całej Grecji.

W Sparcie ogłoszono mobilizację. Rada Starców i eforowie naczelne dowództwo w wyprawie powierzyli Agisowi. Wprawdzie nie miał on ochoty wyruszać ze Sparty przed dokonaniem reformy, ale nie protestował. Płaczliwy i niezaradny Kleombrotos nie nadawał się na wodza naczelnego. Doradcą Agisa z ramienia eforów został Hippomedont, mianowany strategiem, i Lizandros, który otrzymał dowództwo pułku. Agis był zadowolony z tych nominacji, lękał się, że eforowie zechcą mu towarzyszyć, a przecie z nich żaden nie znał się na strategii. Co innego doświadczony Hippomedont i dzielny Lizandros. Miał również wyruszyć z nim Damochares, ale w przeddzień wyjazdu spotkało go nieszczęście: podczas ćwiczeń na stadionie złamał nogę. Został w domu z nogą w drewnianych łupkach.

Mandroklejdas również opuścił Spartę. Wyjechał w poselstwie do Egiptu na dwór Ptolemeuszów, by wyjednać pożyczkę na wojnę.

Żegnając się z eforami, Agis zobowiązał ich do przypilnowania reformy. Wszyscy

przrzekli mu, że postarają się jak najrychlej dokonać podziału ziemi. Tylko dwaj eforowie mówili to szczerze: Naubates i Archytas. Agezylaos, Amfares i Arkezylaos zawarli ciche trójprzymierze. Wszyscy byli przeciwni podziałowi gruntów. Agezylaos miał olbrzymie dobra, wolne teraz od wszelkich obciążeń, Amfares posłał swaty do Kleobula, jednego z bogaczy spartańskich, właściciela kilkunastu klerosów, i został przyjęty. Dowódcy królewskiej świty, Arkezylaosowi, wuj Agisa, Agezylaos, obiecał majątek ziemski bankiera Pellea. Zaledwie Agis ze swoją armią przekroczył granicę Sparty, posypały się konfiskaty majątków i wyroki na przeciwników reformy. Więzienie Dechas, które w ciągu krótkiego czasu rządów Agisa stało puste, zapelniało się coraz gęściej. Wielu opozycjonistów ratując się przed więzieniem uciekło potajemnie ze Sparty.

Dobrana trójka eforów grabiła opuszczone mienie, konfiskowała majątki uwięzionych, czyniąc to wszystko „w imieniu prawa i na rozkaz króla Agisa”. Początkowo to zasłanianie się królem Agisem nie budziło w nikim wiary, ale w miarę jak król ze swą armią oddalał się od Sparty, rodziły się wątpliwości i niechęć do niego rosła.

Początkowo konfiskaty mienia opozycji przyjęto w Sparcie jako naturalny dalszy krok rewolucji. Wiadomo, nadmiar ziemi musi być każdemu zabrany, aby dostali ci, którzy nic nie mają. Ale całkowite konfiskaty, wraz z rabunkiem mienia ruchomego, sprzętów domowych, stad bydła i owiec, zaczęły wszystkich oburzać. Tym bardziej że zrabowanym mieniem dzielili się między sobą trzej eforowie.

Naubates porozumiał się z Archytasem i postanowili położyć kres nadużyciom. Na najbliższym posiedzeniu eforów Naubates w gwałtownych i ostrych słowach zaatakował postępowanie dobranej trójki. Agezylaos odpowiedział mu drwinami. Naubates zagroził mu gniewem i sądem ludu. Agezylaos roześmiał się i powiedział, że miecze jego przybocznej straży potrafią ten gniew uśmierzyć.

Małomówny Archytas potakiwał wywodom Naubatesa i razem z nim opuścił zebranie na znak protestu.

Dwaj eforowie udali się do króla Kleombrotosa. Wprawdzie z potulnym, królem Kleombrotosem nikt się nie liczył, ale Archytas i Naubates znali jego uczciwość i na to liczyli. Kleombrotosowi powierzono tylko pieczę nad świątyniami i składanie bogom ofiar. Kleombrotos nie protestował. U bogów szukał pociechy i rozwiązania dręczącej zagadki, dlatego Chilonida go opuściła, chociaż tak ją kochał i był dla niej dobry. Zostawiła go i wybrała tułaczkę z tym starym, wstrętnym rozpustnikiem, który na nieszczęście był jej ojcem. Czy kiedykolwiek wybaczy jej tę zdradę? Tęsknota, żal, rozpacz prześladowały nieszczęśliwego króla. Nieraz robił sobie gorzkie wyrzuty, że poślakomiał się na tron królewski. Ale i to przecie zrobił dla niej, dla tej niewdzięcznej i okrutnej. Dobroduszny poczcwiiec przeraził się, gdy mu opowiedzieli o sytuacji w Sparcie. Zgodził się, że trzeba zwołać zgromadzenie ludowe i zwalić nieuczciwych eforów, a potem pociągnąć ich do odpowiedzialności. Trzeba jeszcze znaleźć poparcie u gerontów. Jeśli choć kilku się zgodzi, nikczemnym eforom nie pomoże nawet straż przyboczna.

Naubates był energiczny, po kilku dniach znalazł już potrzebną liczbę gerontów, którzy uznali, że zwołanie zgromadzenia jest konieczne. Następnego dnia miał złożyć wniosek o zwołanie zgromadzenia w eforejonie. Kiedy wracał o zmierzchu do swego domu leżącego w dzielnicy Pitane, napadło na niego kilku ludzi i zamordowało go. Zanim przybyła straż miejska, zaalarmowana przez sąsiadów, napastnicy ulotnili się nie rozpoznani. Zabicie tak uczciwego człowieka, efora, wywołało w Sparcie przynębnienie. Ludzie zaczęli się bać.

Sprawa zwołania apelli odwlokła się. Archytas nie miał tyle energii, co jego zamordowany kolega, ale mimo to nie zrezygnował. Jeszcze raz udał się do Kleombrotosa, odwiedził wszystkich gerontów. Przerażeni szerszeniem się w Sparcie gwałtów i rozprężenia geronci jednomyślnie wypowiedzieli się za zwołaniem apelli.

Agezylaos oskarżył Archytasa o bezbożność i oskarżenie skierował do Kleombrotosa.

Na agorze ktoś znieważył posąg Dioskurów, utracając boskim bliźniakom ręce. Dwaj ludzie ze straży przybocznej Agezylaosa zeznali pod przysięgą, że tego właśnie wieczoru widzieli Archytasa idącego przez agorę. Prawdomówny Archytas przyznał, że rzeczywiście tamtędy przechodził. Agezylaos uznał to za przyznanie się do winy, choć Archytas utrzymywał, że oskarżenie jest fałszywe. Nieszczęsny Kleombrotos nie wiedział, jak postąpić. Był przekonany, że Archytas jest niewinny, ale nie umiał przeciwstawić się Agezylaosowi. Zdecydował, że sprawę tę należy odroczyć do powrotu Agisa. Trzej eforowie skwapliwie skorzystali z tej decyzji. Orzekli, że bezpieczniej będzie zatrzymać Archytasa w Dechas, aby nie uciekł.

Do Ksenaresa, który dzięki Agisowi został ponownie mianowany pajdonomem w gimnazjonie, dość późno dotarły wiadomości o tych wypadkach. Przerażony wybrał się do Sfajrosa na naradę. Zastał filozofa zapracowanego nad swoją historią. Opowiedział mu o bezprawności, jakich dopuszczają się trzej zaufani ludzie Agisa. Konfiskaty, areszty, zamordowanie efora, prawdziwego zwolennika reformy, uwięzienie drugiego.

— Rewolucja pożera swoje dzieci, Sfajrosie. Radź, co czynić.

— Mylisz się. To nie rewolucja pożera swoje dzieci. To wszetecznictwo, które ubrało się w maskę rewolucji. My dwaj nie zdziałamy nic, Ksenaresie, nawet z tą garstką uczciwych, którzy jeszcze zostali. Ci, którzy mogliby przepędzić zdrajców, są na wojnie razem z Agisem. Jedyne co nam zostało — to czekać.

Ksenares nie zgadzał się z tą bierną postawą, ale nie miał innego wyjścia. Zwolennicy reformy byli słabi i rozproszeni, eforowie mieli straż przyboczną.

Dobrana trójka pod różnymi pretekstami zaczęła grabić nawet przyjaciół i rodzinę Agisa. Postanowili zemścić się na Gilipposie, ojcu Agiatis, który nie przystąpił do reformy, ale nie był jej przeciwnikiem i oświadczył parokrotnie, że przystąpi do obozu Agisa w odpowiednim czasie. Gdy eforowie zaczęli popełniać nadużycia, Gilippos kilkakrotnie publicznie skrytykował ich i zapowiadał zemstę ludu. Agezylaos postanowił ukarać Gilipposa i ośmieszyć go. Istniało kiedyś w Sparcie prawo, że eforowie mogli zganić i upomnieć ludzi o nadmiernej tuszy, by przestali hołdować obżarstwu. Agezylaos z Amfaresem spisali ludzi otyłych i okazało się, że znaleźli się między nimi albo ludzie nieprzychylni reformie, albo ci, którzy głośno krytykowali, jak Gilippos. Eforowie nałożyli na nich dość pokaźny podatek i przykazali, by w ciągu trzech miesięcy wrócili do normalnej tuszy, w przeciwnym razie podwoją karę. Ośmieszenie było dla ukaranych trudniejsze do zniesienia niż strata pieniędzy. Gilippos poczuł niechęć, a nawet nienawiść do swego zięcia.

— Po przyjaciółach poznałem Agisa — oświadczył. — Mam go dość.

Ofiarą Amfaresa padła nawet matka Agisa, królowa Agezystrata. Kiedy Agis szedł na wojnę, prosił matkę, by czuwała nad Agiatis, która była w ciąży i chorowała. Z tego względu królowa przeniosła się do dworu Agisa. Amfares wybrał się do niej z wizytą. Przyjechał wieczorem na rydwaniu, jego świta na koniach i paru wozach. Królowa przyjęła go w megaronie. Zaczęła mu robić wyrzuty, że tak niecień nadużył zaufania Agisa. Amfares bezczelnie oświadczył:

— Agis zostawił nam wolną rękę w rządzeniu. Przed nim, a nie przed jego matką będziemy składać sprawozdanie z naszych rządów.

— Zaprzepaściliście jego ideę, jak on to przeżyje — rozpaczła królowa. — Amfariesie, błagam cię, cofnijcie się ze złej drogi. Zgubicie Agisa, Spartę, i sami pogrążycie się w tym odmęcie, który stworzyliście.

Błagała go, przekonywała, zaklinała w imię bogów, przeświadczona w głębi duszy o bezowocności swoich wysiłków. Amfares słuchał bez oznak zniecierpliwienia, raczej obojętnie. Wydało się jej, że Amfares zachowuje się jak zły chłopak, który złapał skowronka i wrywa mu piórka jedno po drugim, aby nasycić się widokiem cudzej męki. Nie uwierzyła też i nie zrozumiała początkowo, kiedy Amfares oświadczył nagle:

— Zgadzam się z tobą, dostojna królowo. Postępowaliśmy może nie tyle nieuczciwie

względem Agisa, co lekkomyślnie.

— Co, co ty mówisz?

— Mówię, że się zgadzam z tobą, dostojna. Trzeba się cofnąć z tej drogi, na jaką weszliśmy. Biorę na siebie Arkezylaosa, ty królowo musisz rozmówić się ze swym bratem.

— Rozmawiałam niejedną raz — królowa z rozpaczą machnęła ręką — błagałam, przekonywałam go. Prędzej bym skruszyła skały Tajgetu niż jego serce.

— Pomów, dostojna, jeszcze raz. Powiedz mu, że ja stanąłem po twojej stronie.

— A ty nie możesz mu o tym powiedzieć? — królowa popatrzyła podejrzliwie na Amfaresa.

— Oczywiście, powiem mu. Będę się z nim widział jeszcze dziś, powtórzę mu naszą rozmowę i powiem, że ty chcesz się z nim zobaczyć.

Królowa zawahała się. Jeśli Amfares powtórzy tę tragiczną rozmowę, Agezylaos na pewno nie przyjdzie. W rozterce i niepewności wyłamywała palce.

— Nie, Amfaresie, tego mu nie można mówić, nie zechce przyjść. Powiedz mu, że jestem chora i chcę się z nim widzieć... albo nie, powiedz mu, że dostałam list od Agisa z ważnymi nowinami...

— Co pisze Agis? — żywo przerwał jej Amfares.

— List jest bardzo spóźniony. To z pierwszego etapu drogi, gdy armia zatrzymała się w Tegei. Odpisałam mu zaraz i czy uwierzysz? Do tej pory Agis nie odpowiedział ani słówka. Pełna jestem niepokojem i złych przeczuć...

— Meldunki wojskowe przychodzą regularnie. Pewno wspominał ci o tym, dostojna, Agezylaos. Agis zajęty sprawami wojny i armią nie ma czasu na prywatne listy, to zrozumiałe.

— Czy ja tak wiele wymagam? — szepnęła królowa ze smutnym uśmiechem. — Niechby tylko co parę dni przysłał wiadomość o swoim zdrowiu.

— A ty byś mu napisała o sprawach Sparty, wywołując jego niepokój. Wódz na wojnie musi myśleć tylko o wojnie i o zwycięstwie.

— To prawda. Mimo że nie odpisywał, słałam mu wieści o waszych rządach.

— I źle robiłaś, królowo. Ale prawdopodobnie Agezylaos przeglądał twoją korespondencję i zatrzymywał ją.

— Bogowie! I ten człowiek jest moim bratem! Czyż to możliwe, aby rodziła nas jedna matka?

— Wszystko da się naprawić — powiedział uspokajająco Amfares. — Przyjdę do ciebie z Agezylaosem. Może we dwoje zdołamy go przekonać? Sama wiesz, że wiele zła, które się stało, jest dziełem twego brata. Ani ja, ani Arkezylaos nie pochwalaliśmy tego. On od nas starszy, mądrzejszy, pochodzi przy tym z rodu Heraklidów, zawsze zdołał przeprowadzić to, co chciał.

— Ale cudze majątki zagarniecie tak samo, jak on.

— Aby je ochronić przed zniszczeniem przez Agezylaosa. Gdy Agis wróci, oddamy je do skarbu państwa nienaruszone. Czy słyszałaś, królowo, że się żenię? — Amfares nieoczekiwanie zmienił temat rozmowy.

— Tak — królowa jakby się ocknęła. — Przepraszam cię, Amfaresie, że nie złożyłam ci życzeń. Dobrą narzeczoną sobie wybrałaś. Słyszałam same pochwały o Andromedzie.

— Przyszedłem cię zaprosić na wesele.

— Nie mogę — królowa uśmiechnęła się z przymusem. — Doprawdy teraz nie mogę. Wiesz, że Agiatis spodziewa się dziecka. Ciągłe niedomaga. Muszę czuwać nad nią, aby Agisa ochronić przed jeszcze jednym zmartwieniem. Podarki twej narzeczonej prześlę...

— Ślub wyznaczyłem na dzień powrotu Agisa. Ale mam kłopoty z weselem.

— Jakże? — zdziwiła się królowa.

— Buduję nowy dom dla swej przyszłej żony. Ukończony będzie w ciągu najbliższych

dni. Zakupiłem łoża biesiadne i stoliki, ale już na nic więcej mi nie starcza. Nie proszę cię o pieniądze — dodał prędko, widząc, że królowa chce coś odpowiedzieć — pożycz mi kilka kobierców i zastawę stołową, abym miał na czym ugościć moją żonę i przyjaciół. Oczywiście na parę dni, bo Agis zawiadomił nas, że już wraca, a więc wkrótce wyznaczę termin wesela.

— Wypożyczę ci nasze rodzinne srebra — odpowiedziała królowa rozradowana wiadomością o rychłym powrocie syna — a kobierce sam wybierz.

— Dam ci, królowo, rewers na wypożyczone przedmioty — odpowiedział Amfares. — Może masz pod ręką jakąś tabliczkę?

— Przyjaciołom Agisa wierzę na słowo. Kiedy ci przysłać srebra?

— Och, nie chciałbym cię trudzić po raz drugi, królowo. Przed bramą czekają moi ludzie, mogą zaraz wszystko zabrać.

Królowa spojrzała na niego bystro i przygryzła wargi. Na twarzy jej odbiło się wahanie. Zmarszczyła brwi i odpowiedziała spokojnie:

— Dobrze, bierz swoich ludzi i chodź ze mną do komory. Kobierce są tam zabezpieczone od moli, takie przewietrzenie im się przyda.

Kobierce Amfares zabrał wszystkie. Aż mu się ręce trzęsły, kiedy je oglądał. W oczach paliła się chciwość. Następnie królowa wydała mu skrzynię srebrnych, połączonych kubków. Amfares zażądał, aby wypożyczyła również złote puchary Agisa, ale Agezystrata wytłumaczyła mu, że one znajdują się w skrzyni królewskiej w komnacie Agisa, od której klucz Agis zabrał z sobą na wojnę. Amfares udał, że uwierzył w to tłumaczenie.

Pomyślał, że dopóki ojciec Agiatis żyje, trudno mu będzie dobrać się do tamtych skrzyń.

Po tej rabunkowej wizycie zboliała i przerażona Agezystrata wybrała się do królowej Archidamii. Staruszka wysłuchiwała ją uważnie, długo zastanawiała się, wreszcie powiedziała:

— Nie płacz, moja droga. To przecie nic strasznego. Agis samym swoim pojawieniem się przechyli szalę na swoją stronę. Lud go kocha, mimo że ci niewdzięcznicy tak go oczerniają. Zobaczysz, wróci i zrobi porządek. Jest przy nim jego wierna armia, jego prawdziwy druh, Lizandros, dobry wódz, Hippomedont, którego armia też kocha.

Długo jeszcze rozmawiały i pocieszały się. Agezystrata trochę spokojniejsza wróciła do domu.

Następnego dnia nowa wieść uderzyła jak piorun we wzburzoną Spartę. Agezylaos, powołując się na zgodę Agisa, ustanowił trzynasty miesiąc płacenia podatków. Teraz już nie było w całym państwie człowieka, który by nie kłął i nie złorzeczył Agisowi. Przecie ten uciążliwy podatek płaciło się tylko w wyjątkowych, przestępnych latach i tylko na doraźne, pilne potrzeby, gdy Sparta była w niebezpieczeństwie. Teraz taki wypadek nie zachodził.

Do zgnębionej królowej Agezystraty nie zgłosił się ani Agezylaos, ani Amfares. Aby dopełnić miary niepokoju, zaufani ludzie donieśli jej, że do Sparty po kryjomu wrócił król Leonidas z kilkoma pułkami zacieźnych żołnierzy. Królowa zdecydowała się na ucieczkę ze Sparty, aby ostrzec wracającego Agisa. Przygotowania do wyjazdu czyniono w najgłębszej tajemnicy.

W nocy, w towarzystwie kilku najwierniejszych sług, królowa Agezystrata wyjechała na koniu w stronę granicy.

Sparta spała. Pojechali bocznymi ścieżkami, aby uniknąć spotkania ze strażami miejskimi czuwającymi przy głównych traktach. Zbliżał się świt, gdy dotarli do granicy państwa. Stary Killas radził ominąć posterunki graniczne, bo jak wiadomo, nikomu bez wiedzy eforów nie wolno opuszczać państwa. W razie spotkania straży zostaną zatrzymani i oddani do dyspozycji eforów. Królowa zgodziła się, chociaż to niepomiernie przedłużało podróż. Wiernemu helocie Sosiasowi królowa rozkazała, aby posuwał się za nimi w pewnym oddaleniu. W razie spotkania z posterunkami granicznymi niech ucieka i na własną rękę próbuje przedrzeć się do Agisa. Jako dowód, że poselstwo jest od niej, dała chłopcu sygnet królewski, o którym

Agis wiedział, że tylko w chwilach największego niebezpieczeństwa służył rodowi Eurypon-tydów jako znak porozumiewawczy. Chłopiec, który niemal bałwochwalczą miłością otaczał Agisa, obiecał, że polecenie wykona. Tylko śmierć mogłaby mu w tym przeszkodzić.

Posuwali się wąską ścieżyną leśną wśród gór. Wszyscy szli pieszo, prowadząc konie za uzdy, tylko zmęczona i wyczerpana królowa jechała konno.

Jutrzenka rozpinała na drzewach srebrną przędzę świtu, gdy ujrzeli przed sobą w dole skapaną w porannej mgle rudą ziemię Argolidy. Już tylko parę stadionów dzieli ich od tej ziemi. Nagle zza drzew wyszło kilku strażników spartańskich. Wycelowali łuki w ich stronę. Trzeba było się zatrzymać. Podoficer, który dowodził oddziałkiem, zapytał, kim są i dokąd dążą. Czy mają zezwolenie eforów na wyjazd ze Sparty? Killas powiedział, że są pątnikami, którzy jadą do Olimpii. Podoficer grzecznie, ale stanowczo zakomunikował, że ich nie puści, jeśli nie okażą tabliczki zezwalającej na wyjazd. Jeśli stawią opór, aresztuje ich. Trzeba było zawrócić. Królowa zastanawiała się, czy nie przyznać się, kim jest. Ale jeśli to byli ludzie eforów, tylko pogorszyłaby sprawę. Żadnego z nich nie znała, więc nie byli związani z ich królewskim domem. Rozejrzała się: Sosiasa nie było wśród służby.

WÓDZ NACZELNY

Armia spartańska maszerowała w zwartych szeregach. Lśniły w słońcu hełmy i pancerze, metalowe okucia na tarczach i rękojeściach mieczy w skórzanych pochwach. Jak zawsze, Spartanie budzili podziw karnością, sprawnością i dumną postawą. Znali swoją wartość bojową hoplici Sparty, znali ją wszyscy, jak Grecja długa i szeroka. Zawsze legenda szła przed wspaniałą armią spartańską, legenda czyniła ją niewyciężoną.

Prowadził armię smukły młodzieniec o twarzy łagodnej i zadumanej, o głębokich, czarnych oczach, patrzących na świat z niewysłowioną dobrocią i ciepłem. Kontrast tej młodzieńczej postaci z marsowymi twarzami starych wojaków, z czupurną zadzierzystością młodych, był uderzający. W mijanych miasteczkach i wioskach wiwatowano na ich cześć, na ich widok lęk przed dzikimi Etolami przeradzał się w poczucie bezpieczeństwa i ulgi. Taka armia da skuteczną odprawę rozbójniczym bandom najeźdźców.

W górach Arkadii gwałtowna nawałnica poczyniła szkody w szeregach. Nie mieli gdzie się skryć, żołnierzom zamokły woreczki, w których mieli trzydniowe zapasy żywności. Z jęczmiennych placków i mąki zrobiła się kleista maź, którą trzeba było natychmiast zużyć. Rezerw ogólnych nie mieli do połączenia się z głównymi siłami wojsk Związku Achajskiego pod Koryntem, gdzie był wyznaczony punkt zborny, było jeszcze daleko.

Hippomedont po naradzie z Lizandrosem i dowódcami oddziałów przedstawił Agisowi trudną sytuację finansową: eforowie przyznali na wyprawę niewystarczające środki. Twierdzili, że należy nakładać kontrybucję na sprzymierzone miasta, przez które będą przechodzić. Kontrybucjami i rabunkiem żywi się każda armia, a Spartanie mają do tego szczególne prawo, bo idą bronić sprzymierzonych przed etolskimi rozbójnikami. Dowódcy i archonci miast powinni dobrowolnie dostarczać potrzebnych armii środków żywności.

— Weź moje osobiste fundusze, Hippomedoncie.

— To starczy na jeden dzień. W związku z rozpoczynającą się wojną żywność szalenie podrożała, zapasów ludzie mają niewiele, żniwa dopiero się zaczęły.

— Kiedy oczekują naszego przyjscia Aratos i sprzymierzeni?

— Za trzy, cztery dni. Nie przypuszczają, że armia spartańska może się tak szybko zmobilizować i w ciągu jednego dnia osiągnąć sprawność bojową.

— Zauważyłeś, Hippomedoncie, że w miastach i wsiach, które mijaliśmy, nie ma wcale mężczyzn? Tylko kobiety, młodzież nieletnia i starcy bezradnie kręcą się po polach, na których dojrzały już zboża?

— To zrozumiałe. Wszyscy zdolni do noszenia broni poszli do wojska. Żniwa opóźniają się, część zbiorów się zmarnuje.

— A więc — powiedział Agis po chwili zastanowienia — proponujemy mieszkańcom pomoc przy żniwach w zamian za żywność.

— Agisie — oburzył się i zgorszył Hippomedont — wiesz przecie, że spartiatom nie przystoi praca fizyczna. Nawet u siebie, w domu, mają do pracy helotów i niewolników. Okryłoby to hańbą naszą armię.

— Sądzisz, że morderstwa i rabunki popełniane na wojnie nie są hańbą? Zresztą innego wyjścia nie ma. Nie pozwolę zabrać za obol tym biednym ludziom. Pomaszerujemy na głodno.

— Niedobrze, Agisie, rozpoczynamy naszą wyprawę.

— Czyń, co ci każe.

Żołnierze ruszyli w dalszą drogę bez posiłku. Po kilku godzinach marszu Agis zarządził postój. Zbliżało się południe, upał stawał się nie do zniesienia. Hoplici rozeszli się po lesie w poszukiwaniu wody, część legła pod piniami. Oficerowie zgłosili się do Hippomedonta, że trzeba żołnierzy nakarmić. Hippomedont opowiedział im o propozycji Agisa. Oficerowie zachnęli się. Ale jeden z nich, stary, doświadczony Brasidas, powiedział po chwili:

— Nasz wódz naczelny słusznie postanowił. Pomożemy tym biedakom w żniwach. Ogłoszę w swoim oddziale, że tylko na ochotnika mogą się zgłaszać jako żniwiarze. Spartiaci w naszej armii to oficerowie, prości hoplici to periojkwowie i heloci. Oni są przyzwyczajeni do pracy, sądę, że żaden z nich nie odmówi.

Rada miasta Orchomenos, do którego wkroczyły oddziały spartańskie, z wdzięcznością przyjęła pomoc przy żniwach. Rzeczywiście, ziarno się sypie, wydziobują je ptaki, a kobiety i starcy nie mogą podołać pracy. Ustalono, że za dzień pracy dostaną na dwa dni żywności.

Hoplenci poszli na pola. Opowiadali ludziom o zmianach, jakie zaszły w Sparcie. Król Agis skasował długi, zabrał bogaczom ich ziemię, oddał także swoje, bo w Sparcie przeprowadza się wielką reformę. Nie będzie już nędzarzy i bogaczy, wszyscy będą mieli jednakowo, wystarczająco, aby spokojnie żyć. Ci, którzy się zasłużą w tej wojnie, chociaż są periojkami i helotami, przejdą do klasy obywateli równych, czyli spartiatów. Hoplici spodziewają się, że nieraz wykażą swe męstwo, więc też każdy ma nadzieję na otrzymanie klerosu. Lud pracujący na polach Orchomenos nie należał do warstwy uprzywilejowanych, toteż opowiadania hoplitów robiły potężne wrażenie. Jeśli dumna, arystokratyczna Sparta zdecydowała się dać pełne obywatelstwo ludziom drugiej, a nawet trzeciej klasy, to czyż ich rodzinne miasto, które uważa się za demokratyczne, nie powinno pójść śladami Sparty? Gdy żołnierze wrócą z zwycięskiej wojny, muszą zażądać nowego podziału ziemi i kasacji długów.

W drodze z Orchomenos dogonił armię goniec ze Sparty. Eforowie donosili królowi, że wszystko układa się pomyślnie, przygotowania do podziału gruntów są na ukończeniu. Agisowi było przykro, że matka nie odpowiada na list. Czyżby była chora? A może Agiatis? Ale wuj Agezylaos podkreśla, że wszyscy są zdrowi i że w domu wszystko w porządku.

Przed królem Agisem kroczyła sława. Najmniejsze wsie i miasteczka uważały za zaszczyt, jeśli armia spartańska ich nie ominęła. Ludność wynosiła owoce i wino dla strudzonych wojaków, czyniono owacje na cześć młodego króla. Niektóre miasteczka wystawiały bramy triumfalne. Takiej armii ludzie nie widzieli, najstarsi ludzie nie słyszeli o czymś podobnym. Przemarsz wojsk, nawet własnych czy sprzymierzonych, był nierozłączny z rabunkiem, gwałceniem kobiet, wypijaniem cudzych beczek wina, z awanturami i grubiaństwem. Opowiadano sobie, że w Orchomenos hoplici spartańscy pomogli przy żniwach, gdzie indziej przewieźli materiały na budowę świątyń, że król Agis dotknięciem ręki uleczył umierającego

na wrzód w uchu. Król Agis znajduje się pod szczególną opieką bogów, bo każdy jego zamiar natychmiast się spełnia, hoplici patrzą w niego jak w tęczę, posłuszni, karni, gotowi za niego przelać krew.

Takiego wodza naczelnego też jeszcze ludzie nie widzieli. To nie mężczyzna w sile wieku, a wdzięczny młodzieniaszek, piękny jak Ganimedes, ubrany w żołnierski czerwony, szorstki płaszcz i twarde sandały. Od prostych żołnierzy różni go jedynie biała opaska na czole, oznaka królewskiej godności.

Ze sprzymierzonymi wojskami Związku Achajskiego doszło do spotkania pod Koryntem. Naczelną wódz Związku Achajskiego, strateg Aratos, rozłożył się tu olbrzymim obozem. Na szerokiej równinie wyrosło tysiące namiotów i szałasów. Dowództwo zajęło twierdzę na górze Akrokoryntu, wspaniałym punkcie obronnym, którego zdobycie otwierało drogę na Korynt i do środkowej Grecji.

Akrokorynt został wzmocniony obwarowaniami. Najlepsze oddziały najemnych łuczników kreteńskich, procarzy i kopijników stanowiły załogę tej twierdzy, której żadna moc ludzka nie mogła pokonać. Zdobycie Akrokoryntu od strony lądu było niemożliwe, od strony morza broniła przesmyku i Koryntu potężna flota Ptolemeusza, któremu Związek Achajski oddał się pod opiekę.

Aratos z wyszukaną uprzejmością przyjął bitne, karne wojska spartańskie i ich wodza, młodego króla Agisa.

Dziwne wrażenie wywarł na Agisie i jego przyjaciółach strateg Aratos: niski, o wielkiej kwadratowej głowie, o oczach burych, chytrych, skrzących się złośliwością. Jego szerokie i wypukłe czoło podwyższała łysina. Gęsta, ciemna broda poprzetykana była siwymi nitkami. Głos miał przyjemny, dźwięczny, niemal pieszczotliwy, a jednocześnie rozkazujący, władczy.

Był ujmująco grzeczny, a jednak było coś w jego grzeczności odpychającego, drażniącego prostolinijnych spartiatów. Chodził w sławie pogromcy Nikoklesa, tyrauna swego rodzinnego miasta, Sykionu, którego rozgromił podstępny atakiem, rozbroiwszy w nocy nie spodziewających się niczego najemników tyrauna.

Do Związku Achajskiego należały w tym czasie wszystkie miasta Achai, Sparta i miasto Korynt ze swą niezdobytą twierdzą, Akrokoryntem. Aratos łączył w sobie cechy lisa i wilka. W czasie pokoju napadł na Korynt i zajął go, co było jawnym naruszeniem prawa sprzymierzonych. Ale Aratos głosił zasadę, że zwycięzców nikt nie pyta o prawo.

To niezwykle wzmocnienie Związku Achajskiego bardzo rozgniewało Etołów. Porozumieli się z królem Macedonii w sprawie podziału terytoriów Związku Achajskiego i rozpoczęli kroki wojenne, maszerując przez Peloponez na Korynt. Drogę ich znaczyły pożary, mordy i rabunki.

Armie miast sprzymierzonych pospieszyły ku Koryntowi, aby dać odprawę Etołom i odwiecznemu wrogowi wolności greckiej — Macedonii. Spodziewali się wszyscy, że Aratos poprowadzi wojska na spotkanie z Etołami, ale wódz naczelną nie spieszył się. Żołnierze więc tracili bezczynnie czas, a do namiotu wodza wciąż przybywali gońcy z wiadomościami o posuwaniu się nieprzyjaciela i zajmowaniu bezbronych miast.

Przybycie Spartan ożywiło obóz. Hoplici spartańscy chętnie opowiadali o swoim królu, o reformie. Wśród wojska zawrzało.

Aratos po kilku dniach zwołał naradę wodzów. Ze swadą wytrawnego mówcy przedstawił stan sił Związku, podziękował miastom i wodzom, którzy stawili się ze swymi wojskami, potem długo rozwódził się nad bitnością Etołów. Agisowi to się nie podobało, ale milczał, onieśmielony obecnością tylu starych, sławnych strategów.

Treść wielogodzinnego przemówienia sykionczyka była mniej więcej taka:

Nic nie szkodzi, że Etołowie idą bezkarnie w głąb Peloponezu. Nie zniszczą zbiorów, bo wieśniacy ukończyli już prace żniwne i zapasy schowali. Wróg zmęczy się długim marszem, rozproszony i odcięty od swoich baz, stanie się słabszy, nie zasila go nowe zastępy

wojowników. Atak na osłabionego wroga z pozycji dla niego niewygodnej daje szansę zwycięstwa. Im dłużej odwlekać się będzie wydanie walnej bitwy, tym łatwiej pokona się wroga. Swoje przemówienie zakończył przysłowiem: „Kto wolniej jedzie, dalej zajedzie”.

Autorytet naczelnego wodza był widocznie tak wielki, że nikt nie ośmielił się zaatakować jego koncepcji. Zabierali głos poszczególni wodzowie, ale tylko po to, aby do zasadniczego planu dorzucić mniej lub więcej ważkie szczegóły.

Agis oburzony i nie przekonany zabrał głos ostatni.

Wprawdzie chylił głowę przed autorytetem naczelnego wodza, stratega Aratosa, ale wyraża mu się, że można znaleźć inne rozwiązanie. On, jako przeciwnik rozlewu krwi greckiej, uważa, że należałoby Etołom zaproponować zgodę, kto wie, może nawet utworzenie jednego wielkiego związku Greków, wymierzonego przeciw Macedonii, głównemu wrogowi całej Hellady. Etołowie są ludźmi trzeźwymi, oceniają w lot korzyści stąd płynące. Wprawdzie oni już od dawna dążą do hegemonii nad całą Helladą, sprzymierzyli się teraz z Macedonią, ale zbyt rozbieżne mają interesy, aby ta przyjaźń mogła się utrzymać dłużej. Na razie, dopóki nie rozpoczną się rozmowy dyplomatyczne, należy nie czekać, lecz wysłać przeciw nim wojska sprzymierzone, aby nie dopuścić do dalszego niszczenia miast i wsi.

Przemówienie Agisa wywołało wielkie wrażenie. Jakby pękła nagle tama, która zamykała ludziom drogę do krytyki. Przedstawiciele miast zajętych lub zagrożonych bezpośrednio przez Etołów zaczęli wołać, że jeśli Aratos natychmiast nie zarządzi marszu na wroga, oni sami pójdą do walki. Wiadomość o bestialstwach popełnianych przez Etołów na prawie pozbawionych obrony ich współziomkach od dawna burzy im krew w żyłach. Dość już mają zwlekania i beczynności Aratosa. Sojuszu z Etołami nie chcą, bo to ludzie wiarołomni i dzicy.

Inni mówcy podtrzymywali projekt sojuszu. Król Agis słusznie mówi, że zbyt długo i niepotrzebnie lała się grecka krew w bratobójczych walkach. Pięknie by było, gdyby inicjatywa pojednania wyszła ze Związku Achajskiego.

Aratos ponownie zabrał głos. Mówił, że Związek Achajski dzięki przymierzu z królem egipskim jest tak potężny, że nie boi się ani Etołii, ani Macedonii. Król Sparty, Agis, mimo młodzieńczego wieku przemawiał jak doświadczony polityk i wódz, ale on, Aratos, uważa, że Agis nie zna dobrze sytuacji, dlatego dał się unieść fantazji. Bo trudno inaczej ocenić jego projekt sojuszu z Etołami czy marszu przeciw nim i walki w niedogodnych warunkach.

Ale inni mówcy znowu poparli Agisa i zażądali rozmów dyplomatycznych, na co w końcu Aratos musiał się zgodzić. Powiedział, że nie bierze odpowiedzialności za życie posłów, bo Etołowie mogą ich zamordować, zanim oni zdążą otworzyć usta. Tak samo jest przeciwny stoczeniu bitwy, bo to grozi klęską. Zależy mu na utrzymaniu Koryntu i twierdzy dla Związku Achajskiego, ale nie za cenę straty armii, co może się zdarzyć w wypadku wielkiego starcia.

Teraz wystąpił Eperatos z Farai, który do tej pory milczał ku zdziwieniu Agisa i innych wodzów:

— Więc za cenę uniknięcia bitwy chcesz Korynt i twierdzę wydać Etołom?

— Tak jest — odpowiedział Aratos.

— To tchórzostwo! — krzyknął Eperatos.

— I ja uważam, że to tchórzostwo! — zawołał Filopojmen z Megalopolis.

— Nie zarzucajcie mi tchórzostwa — odpowiedział dumnie Aratos. — Jestem naczelnym wodzem i musicie mi się podporządkować. Jeśli zawinię, sędzić mnie będziecie po skończeniu mego urzędowania. Na razie przychyliam się do wniosku króla Sparty, aby wysłać posłów.

Po kilku dniach posłowie przywieźli obraźliwą odpowiedź Etołów: dopóki Aratos jest naczelnym strategiem Związku Achajskiego, rozmawiać o sojuszu nie będą. Aratos jest krzywoprzysięcą, nie szanuje sojuszków i prawa międzynarodowego. Nieszczęsny Korynt, który

zaufał sojuszowi z Achajami, srogo zapłacił za to, wzięty podstępnie przez wiarołomnego stratega Aratosa. Z krzywoprzysięzcami można się tylko bić, nie można zawierać pokoju.

Agis w tym czasie odsunął się od narad w dowództwie, robił inspekcje wśród pułków, naradzał się z Hippomedontem i Lizandroszem, składał ofiary bogom, słał listy i pisma do Sparty, zaniepokojony milczeniem matki i Agiatis oraz coraz bardziej skąpymi wiadomościami od eforów. Tymczasem jego żołnierze w rozmowach z Achajami i wojskami zaciężnymi szerzyli propagandę idei Agisa, opowiadając o wielkiej reformie i zrównaniu ludzi. Zyskiwali coraz więcej słuchaczy. Kraj prawdziwej demokracji, Sparta, był na ustach wszystkich. Nie-nawiść do własnych rządów rosła. Donosiciele, których cały sztab zorganizował sobie Aratos, codziennie składali alarmujące meldunki o rewolucyjnych nastrojach w armii.

Aratos postanowił z tym skończyć. Na tajnym posiedzeniu swego przybocznego sztabu zakomunikował o nastrojach panujących w wojsku i oświadczył, że jedynym wyjściem z sytuacji jest pozostawienie Agisa i jego wojska do obrony Koryntu i wycofanie z Istmu wszystkich wojsk sojuszniczych. Etolowie szybko wykończą Spartan i w ten sposób urżnie się zawczasu łeb hydrze rewolucji. Strategowie oponowali, ale Aratos umiał postawić na swoim.

Kiedy straż doniosły, że do Koryntu zbliżają się przednie oddziały wojsk etolskich i macedońskich, Aratos dał rozkaz odwrotu. Wśród żołnierzy wybuchły zamieszki. Aratos był na to przygotowany. „Stróże porządku” szybko wyłowili z szeregów niezadowolonych i wyzywających Aratosa od tchórzów i zdrajców.

Aratos nie omieszkął popełnić ostatniej złośliwości względem Agisa. Podziękował mu za przyjsię z pomocą, chociaż ta pomoc okazała się niepotrzebna. Teraz pozostawia Spartanom wspaniałą okazję do wykazania męstwa. Mogą powtórzyć wielki czyn Leonidasa spod Termopil.

Agis ze spokojem odpowiedział, że Korynt nie jest Termopilami, ale gdyby zaszła taka potrzeba, to Spartanie nie uciekną jak wodzowie achajscy. Hippomedont, który był przy tym pożegnaniu, dodał, że tchórzom i wiarołomcom armia spartańska nie pospieszy więcej z pomocą.

Hoplenci achajscy opuszczając twierdzę wiwatowali na cześć Agisa i oddawali mu honory wojskowe. Stał ze swymi dowódcami na murze obronnym Akrokoryntu i żegnał ich przyjaznym gestem ręki, uśmiechając się smutnie. Przejrzystość powietrza była niezwykła i Agis widział w dole piękne, białokamienne, bogate miasto Korynt, a dalej, na drodze wiodącej ku niemu, posuwającą się ogromną armię etolską. Przed nocą zajmą Etolowie nieobronny Korynt, o świcie uderzą na Akrokorynt. Było ich z pewnością dwadzieścia razy więcej niż Spartan.

— Jak sądzisz, Hippomedoncie, czy Akrokorynt musi być naszymi Termopilami?

— Sądzę, Agisie, że jeśli tygrys zostawia swoją zdobycz wilkowi, my nie mamy potrzeby się w to mieszać i nadstawiać naszych piersi. W Sparcie czekają na nas ważniejsze sprawy.

— Dobrze mówisz, mój drogi. Każ żołnierzom przygotować się do odmarszu. Zaraz po północy ruszymy. Ten rozlew krwi byłby naprawdę niepotrzebny.

Spartanie odeszli serdecznie żegnani przez zrozpaczony garnizon koryncki. Żołnierze nie mieli do nich żalu, wiedzieli, że jest ich zbyt mało, by obronić twierdzę. Pozostało tylko jedno wyjście: poddać się.

Kiedy Agis ze swoim wojskiem odpoczywał w lesie po całonocnym marszu, straż doniosły, że przybył posłaniec ze Sparty. Agis ujrzał młodego Sosiasa, sługę królowej Agezystaty. Chłopak był wyczerpany, słał się na nogach. Pokłonił się przed Agisem i wyciągnął rękę:

— Oto, dostojny królu, posłanie od pani Agezystaty.

I podał mu królewski pierścień Eurypontydów ze świętym symbolem Dioskurów wykutym w ametyście.

Agis kazał podać posłańcowi kubek wina, wezwał Hippomedonta i Lizandrosa, by

wysłuchali nowin. Kiedy zasiedli w cieniu olbrzymiego platana, Agis zapytał:

— Co przynosisz od matki mojej?

— Królu mój, dostojna matka twoja, pani Agezystrata, błaga, abyś nie wracał do Sparty.

— Mów — rozkazał krótko Agis.

Posłaniec opowiedział o strasznych rządach Agezylaosa, Amfareasa i Arkezylaosa, o konfiskatach majątków, nawet tych, które należały do zwolenników reformy, o ździerstwach, aresztach i podatku nadzwyczajnym. W Sparcie płacz, narzekania, przekleństwa.

— A gdzie dwaj pozostali eforowie?

— Naubates został skrytobójczo zamordowany. Ludzie mówią, że opierał się tym trzem i chciał zwołać apellę, aby ich zrzucano i wybrano nowych eforów. Archytas siedzi w Dechas oskarżony o bluźnierstwo.

— Czemu królowa nie zawiadomiła mnie wcześniej?

— Pisała, królu, wiele listów. Sam je codziennie odnosiłem do efora Agezylaosa, który wysyłał do ciebie pocztę. Pani Agezystrata martwiła się, że ty, dostojny królu, w nawale spraw wojskowych zapomniałeś o niej.

„Wuj Agezylaos... Jakże mogłem uwierzyć w jego nawrócenie... Czy to możliwe, żeby on się tak poniżył? — Agis przymknął oczy, jakby światło dnia stało się nagle zbyt jasne i bolesne. — Uciekać i nie wracać do Sparty? Zapewne nie jest bezpieczny ten powrót, ale wyrzec się swojego dzieła? Dać wrogom do ręki argument przeciw sobie? Zdradzić własne przekonania? Bo zdradą własnej idei, zdradą tych, którzy mu zaufali, będzie ucieczka, znalezienie bezpiecznego schronienia”.

Ktoś chrząknął, ktoś głośno westchnął. Agis otworzył oczy. To Hippomedont i Lizandros zaniepokoiili się jego milczeniem. Posłaniec stał przed nim, chwiejąc się z osłabienia. Agis klasnął w dłonie, przybiegł żołnierz ze straży przybocznej.

— Nakarmcie posłańca i dajcie mu miejsce na którymś z wozów. Dopóki nie odpocznie, niech jedzie razem z taborem.

Kiedy zostali sami, Agis zapytał:

— Co myślicie, przyjaciele?

Hippomedont odezwał się pierwszy:

— Pozwól mi natychmiast wrócić do Sparty. Wezmę jednego jeźdźcę i cztery konie. Może o dzień wyprzedzę naszą armię, a każdy dzień jest drogi. Tam się wiele rzeczy stać może...

— Dobrze, jedź.

Hippomedont pożegnał się i poszedł w stronę łąki, gdzie odpoczywały konie. Za chwilę usłyszeli tętent na drodze wiodącej ku Sparcie.

— A ty, Lizandrosie, co myślisz?

— Mamy armię, która pójdzie za tobą w ogień — odpowiedział po głębokim namyśle Lizandros. — Jeśli się znajdziemy w Sparcie, sam twój widok odmieni umysły ludzkie. Przywrócimy porządek. A ci trzej odpowiedzą za swoje czyny.

— Więc sądzisz, że należy wracać — z widoczną ulgą powiedział Agis. — I mnie się zdaje, że nie wszystko stracone. A może matka z lęku o mnie przesadziła, może sytuacja nie jest aż tak groźna?

— Może — westchnął niepewnie Lizandros. — Musimy się pospieszyć.

— Wydaj rozkazy do marszu — polecił Agis.

Posłaniec nie miał nakazu milczenia, toteż złe nowiny szybko rozeszły się po obozie. Wojsko było wzburzone. Żołnierze wracali pewni, że dostaną klerosy, które im dadzą możliwość życia w ludzkich warunkach, a w Sparcie chwieje się reforma, nim weszła w życie. Wystarczyło, że armia i król oddalili się na tak niedługi okres czasu, by bogacze jak złe psy spuszczone z łańcucha rzucili się na nią, aby ją zagryźć. Za plecami trzech zdrajców stoją właściwi rządcy Sparty — bogacze. Nie odważyliby się eforowie tak postępować, gdyby nie

czuli mocnego zaplecza.

CHILONIDA

Leonidas poczuł, że nadszedł czas jego panowania. Rano składał wspaniałe ofiary bogom. Potem ciągle — w otoczeniu dwóch pułków swoich kopijników — jechał do eforejonu, gdzie grzecznie i przyjacielsko rozmawiał z pozostałymi przy władzy eforami: Amfaresem i Arkezylaosem. Czas południowego odpoczynku spędzał w swoim pałacu, a po południu, kiedy słońce słało już mniej gorące blaski, kazał zaprzęgać kwa-drygę i w otoczeniu swoich kopijników przejeżdżał przez miasto. Była to manifestacja siły i bogactwa. Wojsko zaciężne ubrał na sposób tracki: w czerwone spodnie i niebieskie bluzy. Towarzyszyli mu zawsze żołnierze w pełnym uzbrojeniu: część — z oszczepami i krótkimi mieczami przy boku, część — z łukami i sakwami pełnymi strzał. Nikt nie manifestował na jego cześć. Jechał w ponurym milczeniu i pustce miasta, które jakby wymarło. Nawet agora była pusta. Leonidas czuł tylko, że zza płotów i murów, zza drzew i krzewów śledzą go nienawistne, bojaźliwe spojrzenia. Strach — to najsilniejszy oręż władzy. Zastanawiał się nieraz, jadąc wolno przez wymarłe ulice miasta, czy nie postawić obok swego pałacu świątyni boga strachu — Fobosa. Można by w tym celu zużytkować materiały z rozpoczętej przez Agisa budowy świątyni Tyche. Jeszcze nie ma, na szczęście, kapłana tej bogini, nie będzie miał kto czynić gwałtu i protestować. A bogowie nie dochodzą swoich praw. Łatwiej zyskać przebaczenie bogów niż kapłanów, którzy się nimi opiekują.

Tego popołudnia kazał się zanieść ku świątyni Posejdona, leżącej na południu Sparty.

Jak zwykle, nikt nie interesował się przejazdem „malowanego króla”. Minęli świątynię Ateny, agorę, budynki miejskie.

Nagle Leonidas zobaczył przed sobą człowieka, który mimo że utykał na nogę, biegł, widocznie chcąc uciec przed orszakiem królewskim. Na nieszczęście dla niego z obu stron drogi ciągnęły się ogrodzone sady, nie miał gdzie skręcić ani skryć się. Leonidas poznał uciekającego, kazał woźnicy podciąć konie. Odległość między uciekającym a powozem królewskim zaczęła się gwałtownie zmniejszać. Kiedy już najwyżej pół stadionu dzieliło go od uciekającego, Leonidas krzyknął:

— Damochares, hej, Damochares!

Uciekający zatrzymał się i odwrócił. W nabrzmiałej i czerwonej z wysiłku twarzy malowała się wściekłość.

— Bywaj — powiedział uprzejmie Leonidas. — Gdzie się tak spieszysz, znakomity siłaczu?

Damochares przełknął ślinę. Na jego twarzy pojawił się jakiś bolesny skurcz i znikł. Uspokoił się trochę.

— Czy trzeba teraz prosić króla o pozwolenie na każde wyjście z domu? — zapytał zjadliwie.

— Damocharesie, uważam cię za swego przyjaciela — wyraz uprzejmości na twarzy Leonidasa pogłębił się — a ty jesteś dla mnie tak opryskliwy.

— Ale ja ciebie, królu Leonidasie, nie uważam za przyjaciela.

— Szkoda. Myślę jednak, że zmienisz zdanie. Siadaj ze mną, podwożę cię.

Damochares zawahał się. Siadać do wozu z Leonidasem? Co się kryje za przylepny uśmiechem tej obleśnej gęby? Może Dechas? Udaje przyjaciela, żeby zagłuszyć czujność i podstępem aresztować. Damochares obejrzał się. Nie ma możliwości ucieczki. Nim przebie-

gnie pięćdziesiąt kroków, złapią go ci rzeźnicy w czerwonych portkach.

Leonidas przez chwilę bawił się zaniepokojeniem siłacza. W głęboko osadzonych, twar-
dych oczach ukazał się wesoły błysk. Powtórzył monotonnym, bezdźwięcznym głosem:

— Na co czekasz, przyjacielu? Chciałem omówić z tobą sprawę obiecanych klerosów.

Damochares spojrział bystro. Prawda, kiedy go ocalił z rąk Agezylaosa, uciekający
Leonidas obiecał mu dziesięć klerosów. Szczęśliwy pomysł pozwolił mu wybrnąć z dwuzna-
cznej sytuacji.

— Obawiam się, królu Leonidasie, że nie zasługuję na zaszczyt zasiadania w wozie
Heraklidy.

Leonidas uśmiechnął się z wyższością.

— Nie ma zbyt wielkiego zaszczytu dla tak znakomitego siłacza, jak ty. Jesteś chwałą
Sparty.

— Przestałem już być — ponuro odpowiedział Damochares i oczy mu się zaszkliły.

— Ubolewałem nad twoim nieszczęściem. A jeszcze bardziej ubolewałem nad nie-
szczęściem Sparty. Ileż to lat mógłbyś jeszcze rozślawiać ją na wszystkich stadionach świata!

Damochares spuścił głowę. Oto pierwszy człowiek, który odczuł i zrozumiał, jak wie-
lkie nieszczęście spadło na Spartę razem z jego kalectwem, a on uważa tego człowieka za
wroga.

Leonidas wziął lejce z rąk woźnicy, dał mu znak, by opróżnił miejsce i powtórzył
miętko, niemal pieszczotliwie:

— Siadaj, przyjacielu.

Teraz już się Damochares nie wahał. Usiadł obok króla, konie ruszyły.

— Słyszałem o twoim nieszczęściu — rozpoczął po chwili Leonidas. — Pytałem kilka-
krotnie Amfaresa, co się z tobą dzieje, ale niewiele umiał mi powiedzieć.

— Leżałem najpierw w domu — odpowiedział Damochares — a potem poszedłem w
pole do stad mojego ojca. Ludzie mi zbrzydli i nie chciałem nikogo widzieć.

— Doskonale cię rozumiem, przyjacielu. Kto ci zestawiał nogę?

— Czarownik Bakis.

— Dlaczego nie zwróciłeś się do lekarza Damiadesa?

— Poradzili mi Bakisa. On leczy choroby czarami.

— A Damiades zestawia nogi bez czarów — powiedział Leonidas. — Szkoda, że nie
posłałeś najpierw po niego. Później można było zawołać Bakisa, by okadził zestawioną nogę i
uczynił inne czary. Jeśli chciałbyś mieć znowu prostą nogę, musiałbyś jechać na wyspę Kos,
tam są znakomici lekarze. Opłacę za ciebie koszt podróży.

— Wyprostowaliby nogę? W jaki sposób?

— Musieliby najpierw złamać ją na nowo w tym samym miejscu.

— Nie! — krzyknął desperacko Damochares. — Za nic!

— Zgadzam się z tobą. Ból to przekłeta historia — powiedział łagodnie Leonidas i
położył swoją szczupłą, żółtą jak kość słoniowa rękę na dłoni Damocharesa. — Nie wiem,
dlaczego chcesz zrezygnować z życia, usuwasz się w cień? Co zamierzasz zrobić?

— Żyję tylko dla ojca — odpowiedział ponuro Damochares. — Całował moje ręce i
nogi, abym go nie opuszczał. Jedyakiem jestem...

— Rozumiem — szepnął Leonidas — ojciec chce mieć wnuków. To bolesna rzecz
oddawać dziedziczny od wielu pokoleń kleros w obce ręce lub na skarb państwa...

— Nie ożenię się — mruknął Damochares. — Która Spartanka nie będzie pogardzać
kuternogą? Chce ojciec wnuka? Mogę mieć syna z helotką.

— Hefajstos, ten kulawy bóg, jak wiesz, miał za żonę najpiękniejszą z bogiń,
Afrodyte...

Damochares spojrział na Leonidasa, ale nic nie wyczytał z tej uróżowanej, martwej jak
maska teatralna twarzy. Czego od niego chce ten azjatycki wieprz? Chyba kpi?

Nieoczekiwanie Leonidas zaczął mówić o Agisie. Jak niewdzięczny i głupi jest ten smarkacz. Co uczynił dla najwierniejszego ze swoich przyjaciół, Damocharesa? Jak mu odplacił za wielką, szczerą miłość? Kiedy Damocharesa spotkało nieszczęście, on, ten przyjaciel udający zarozumiały młodzik, zamiast zająć się nogą Damocharesa, poleciał na wojnę. Wojennej sławy mu się zachciało, jak przedtem chciało mu się sławy aurigi, potem sławy dobroczyńcy-euergetesa. Mógł przecie wysłać stratega Hippomedonta, a sam zostać w Sparcie, dopilnować w chorobie przyjaciela, dopilnować rozpoczętej reformy. Ale jemu wcale o reformę nie chodzi, on dąży do tyranii. O nikogo i o nic nie dba, nawet o tę nieszczęsną Agiatis...

Leonidas zrobił wiele mówiącą pauzę. Oszołomiony Damochares nie wiedział, co odpowiedzieć. Poruszyła go do głębi wzmianka o Agiatis. Dlaczego nieszczęśliwa? Może chora?

— Co mówisz, królu, o Agiatis? Chora?

— Chora od dnia ślubu — ponuro oświadczył Leonidas — kiedy porównała swego wątłego małżonka ze wspaniałym mężczyzną, którego wybrało jej serce...

— Jaaak... to? — wyjąkał Damochares. — Więc Lizandros?

— Jaki tam Lizandros — zniecierpliwiał się Leonidas. — Nawet najgłupszy zauważyli, za kim ona wypatruje oczy...

— Za... za... kim? — wymamrotał Damochares, a serce zaczęło mu bić, jakby piersi chciało rozsadzić. Zaciśnął pięści, aż zbieleły i zachrząściły mu kości.

— Tylko zakochani mogą być tak niedomyślni i ślepi, jak ty — powiedział uśmiechając się pobłaźliwie Leonidas. — Przecież ona ciebie kochała... Gilippos skarżył się do mnie, że miał dużo kłopotu, zanim zmusił Agiatis do małżeństwa z Agisem.

— Biedna Agiatis — jęknął Damochares. — Gdybym był wiedział!

— Więc teraz wiesz — powiedział twardo, oschle, król.

— I co z tego? Jest żoną mojego najlepszego przyjaciela.

— To ty jesteś najlepszym jego przyjacielem. Z jego strony nie miałeś dowodów przyjaźni...

— Ale Agiatis dla mnie stracona... stracona...

— Kto ci to powiedział? Każda mężatka może zostać wdową, a wtedy...

— A wtedy... — powtórzył jak echo Damochares i nagle rozżościł się. — Przestań mnie czarować, Leonidasie, kulawiec jestem... żadna Spartanka nie zechce kuternogi.

— Hefajstos był kuternogą, a pokochała go najpiękniejsza z bogiń, sama boska Afrodyta — powtórzył Leonidas. — No, ale podjechaliśmy do twego domu, a na mnie czas wracać.

Damochares podziękował Leonidasowi i pożegnał go. Szedł ścieżką wiodącą do ojcowskiego domu, zataczając się jak pijany, z zamętem w głowie i ogniem w sercu.

Leonidas patrzył za nim chwilę i uśmiechał się drwiąco. Agis stracił jeszcze jednego sojusznika. Trzeba się zabrać do następnego. Z tym jednak będzie trudniejsza sprawa. Najlepiej byłoby złowić go podstępem, ale żaden fortel nie przychodził Leonidasowi do głowy. Agezylaos zamknął się w swym dworze niby w twierdzy, otoczony swoją drużyną. Siły Leonidasa były wystarczające, aby pokonać Agezylaosa, ale Leonidas brzydził się jawną walką. Agezylaos jest jeszcze eforem, zwalić go przed terminem może tylko apella, ale Leonidasowi też nie odpowiadała ta koncepcja. Wreszcie wymyślił: w imieniu geruzji wezwie Agezylaosa, aby się stawił na zebranie. Pośle po niego spartiatów najbardziej go nienawidzących. Postarają się, aby Agezylaos nie dojechał żywy na naradę gerontów.

Agezylaos był już przygotowany do ucieczki ze Sparty, kiedy wysłannicy Leonidasa zastukali do bramy. Ku ich zdumieniu na ich spotkanie wyszedł z dworu Hippomedont, o którym wiadano, że jest z Agisem na wyprawie wojennej. Zaskoczenie było zupełne, wysłannicy stracili język w gębie.

Hippomedont uśmiechnął się do nich przyjaźnie.

—Przyjechaliście do mnie na wino, chłopcy? — zagadnął wesoło. — Witam was. Zaraz każę przynieść beczułkę z piwnicy. Popijemy sobie, przypomnimy żołnierskie piosenki...

— My — rozpoczął niepewnie jeden — Leonidas przysłał nas...

— A czego ta malowana małpa sobie życzy? Szminekami nie handluje...

Spartiaci roześmieli się. Kpić z Leonidasa, kiedy on wrócił do władzy? Tylko Hippomedont potrafi być tak odważny.

Na dany przez Hippomedonta znak służba przyniosła dwa pitosy wina i spore kubki. Świeża woda była w studni na dziedzińcu.

— Przyszliśmy wezwać Agezylaosa, by się stawił przed geruzją i królem Leonidasem — powtórzył jeden ze spartiatów.

— Bzdura — roześmiał się Hippomedont. — Geruzja teraz się nie zbiera. Cwany lis, Leonidas, chciał wyciągnąć za bramę mego ojca, aby go zamordować.

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Hippomedont trafnie odgadł zamiary Leonidasa.

— Nie radzę wam podnosić ręki na efora ani na króla — przyjaźnie tłumaczył im Hippomedont. — Wiedźcie, że Leonidas zawsze się wykręci, a wy będziecie pić ocet, który zrobicie. Nie mówię wam tego odnośnie swojego ojca, bo dopóki ja żyję jemu się żadna krzywda nie stanie. Nie ma w Sparcie rąk tak długich, które by go dosięgły.

Spartiaci dali się namówić na poczęstunek. Byli wdzięczni, że Hippomedont ich ostrzegł. Leonidas chce popełnić bezprawie, a potem na nich zwalić winę. Hippomedont wznosił zdrowie jedno po drugim: za pomyślność Sparty, za dzielnych spartiatów, za ładne dziewczęta, i wiele innych. Cóż było robić, pili, a wino było słabo rozcieńczone.

Kiedy wracali do Leonidasa podchmieleni i niepewni, jak ich przyjmie, Agezylaos pod opieką Hippomedonta z oddziałkiem swej gwardii pędził ku granicy.

Jeszcze tego samego dnia Leonidas wściekły, że Agezylaos wymknął się jego zemście, na czele hufca najemników wyruszył aresztować swego zięcia, Kleombrotosa.

Brama dworu Kleombrotosa była zamknięta, nikt nie odpowiadał na głośnie kołatanie. Leonidas rozkazał żołnierzom wyważyć bramę. Na dziedzińcu cicho i pusto, tak samo puste były pokoje służbowe, do których wdarli się kopijnicy. Leonidas poszedł do megaronu, gdzie znajdowało się ognisko domowe. W półmroku zalegającym salę spostrzegł jakąś sylwetkę przy ołtarzu, na którym tliło się trochę węgla. Jakież było jego zdziwienie, kiedy podszedł i w osobie szukającej schronienia u stóp ołtarza bogów domowych poznał swoją córkę Chilonidę, tulącą do piersi dwoje dzieci.

— Ty tutaj, ty? Jak śmiałaś przyjść do tego przeklętego domu?

— Dom moich dzieci i mojego męża, Kleombrotosa, nie może być przeklęty — odpowiedziała Chilonida. — Jak śmiesz tak mnie znieważać, królu Leonidasie.

— Zabroniłem ci wychodzić z domu. Zapłacisz mi za złamanie rozkazu.

— Jeszcze nie wiadomo, ojczu, kto komu będzie płacić.

— Gdzie jest ten bandyta?

— O kim, królu, mówisz?

Leonidas skoczył ku niej z pięściami, ale powstrzymał go płacz wnuków. Stał chwilę dysząc ciężko. Kto by przypuszczał, że w tym jagniątku mieszka jadowita żmija?

— Gdzie jest Kleombrotos?

— Mój mąż, Kleombrotos, jest tam, gdzie nie sięgają twoje ręce. Zasiadł u stóp ołtarza Posejdona jako błagalnik.

— Mój mąż, Kleombrotos — zjadliwie powtórzył Leonidas. — Na wygnaniu, które jemu zawdzięczałaś, ani razu nie wymówiłaś jego imienia, a tu jak papuga...

— Wtedy tyś cierpiał, ojczu.

— Idiotka — mruknął Leonidas. — Masz natychmiast wrócić na dwór królewski. A my, chłopcy, jedziemy do świątyni Posejdona.

Całą drogę żuł przekleństwa na swoją głupią córkę i spluwał za każdym złym słowem, aby odwrócić od niej zły urok.

Kleombrotos rzeczywiście siedział w świątyni, z głową posypaną popiołem i przewiazaną czarną wstążką. Leonidas stał chwilę w drzwiach i przyglądał się swemu zięciowi. To za mało, by nasycić zemstę. Zmiażdżyć tego łotra, widzieć jego trupa u swych stóp... Ale pod groźbą wygnania z kraju nie wolno położyć ręki na błagalniku. Zamurować go w świątyni, jak kiedyś zamurowano króla Pauzanasza? To byłaby piękna zemsta, Leonidas aż cmoknął z zachwytu. Trzeba na razie świątynię obstawić strażami i czekać na odpowiedni moment. Ten łobuz żywy z jego rąk nie wyjdzie.

Kiedy odwrócił się, by zejść ze stopni, zobaczył ze zdziwieniem, że z wszystkich stron podążają ku świątyni ludzie. Czyżby się bali, że Leonidas ośmieli się podnieść rękę na błagalnika? Wśród tłumu kobiet spostrzegł ze złością swą córkę, Chilonidę. Włosy miała rozpuszczone, na nich czarną wstążkę, nie przewiazaną niczym suknią. Prowadziła za rękę dwoje swoich dzieci.

Leonidas wzburzony rozkazał kopijnikom, by zagrodzili sobą wejście do świątyni. Żołnierze niechętnie ustawili się w cztery szeregi. Kobiety szły śpiewając pean na cześć Hery, patronki domowego ogniska. Dotarły do szeregu żołnierzy i jakby to nie była żadna przeszkoda, pchnęły ich na boki. Szeregi żołnierzy zafalowały, załamały się i cofnęły tworząc szpaler dla kobiet. A one ustawiły się dwoma sznurami, czyniąc pośrodku przejście dla Chilonidy. Leonidas postąpił krok ku córce, ale w porę się opamiętał. Te Erynie gotowe go rozszarpać, jeśli jej dotknie. A Chilonida szła spokojnie w swej pokutniczej szacie, nie widząca nikogo, zapatrzona w niebo ponad dachem świątyni. Po twarzyczkach wystraszonych dzieci płynęły łzy.

Widok ten wzruszył żołnierzy. Pochrząkiwali niepewnie, patrząc spode łba na kobiety i Chilonidę, dopóki nie zniknęła w głębi świątyni. Leonidas pomyślał z żalem i gniewem, że już teraz nie uda mu się zgotować Kleombrotosowi losu Pauzanasza.

Z tłumu przepychało się ku Leonidasowi kilku jego przyjaciół, między innymi były efor Elatos.

— Co czynić teraz, Elatosie? — zapytał go Leonidas.

— Wejźmy do świątyni, może nam się uda przekonać Kleombrotosa, by zrzucił strój błagalnika.

— On tego nie uczyni.

— A gdy zaręczysz mu wolność?

— Nie uwierzy w moje zapewnienia. Zresztą nigdy mu tego nie zaręcę. Wejźmy do świątyni.

Chilonida usadowiła się przy Kleombrotosie u stóp posągu boga, tuląc wystraszone dzieci.

„A to się upozowała — pomyślał Leonidas. — Niobe rozpaczająca. Nic, tylko rzeźbić tę wdzięczną grupę”.

Kleombrotos siedział ze spuszczoną głową, apatyczny i jakby senny. Nigdy nie był energiczny i przedsiębiorczy, ale teraz był załamany i bezwolny, zdawać się mogło, że go opuszcza resztką życia.

— Wracaj do domu, Chilonido — powiedział niegłośnie, ale z naciskiem Leonidas — nic tu po tobie.

— Gdzie mój nieszczęśliwy mąż, tam i ja, jego nieszczęśliwa żona — odpowiedziała Chilonida.

— Na nim, jako uzurpatorze, spoczęła już ręka sprawiedliwości — powiedział Leonidas. — Nie ujdzie kary za sprzyjanie buntownikom i przywłaszczenie sobie godności królewskiej.

— Dzieciobójca! — krzyknął Kleombrotos, jakby budząc się ze snu. — Ja po niczym

trupie nie wdrapałem się na tron.

Krew zalala zawsze blade, obrzmiałe policzki Leonidasa, wystąpiła plamami na czole i karku. Chwilę dyszał ciężko, a potem odwracając się do drzwi, krzyknął:

— Hej, straż, brać tego bluźniercę!

Ale nikt się nie ruszył z miejsca.

— Uspokój się, Leonidasie, to błagalnik — szepnął Elatos — pod klątwą bogów nie wolno uczynić mu nic złego.

Leonidas milczał. Spośród swych dzieci kochał jedynie Chilonidę. Zły wilczek, Kleomenes, mazgajowaty Euklejdas, dzieciuch jeszcze, pozostawali pod wpływem ich matki, dumnej wilczycy, Kratezyklei. Uciekali przed nim, a siłą sprowadzani przed jego oblicze zachowywali się buntowniczo. Tylko słodka Chilonida umiała okazać mu miłość, zawsze znalazła dla niego pieszczotliwe słowo, pocałunek, uśmiech. I nie opuściła go w dzień nieszczęścia. A teraz, kiedy wrócił w triumfie do Sparty, kiedy życie mogło się znowu ułożyć szczęśliwie, ona opuszcza go. Bogowie, czyż dzień triumfu musi być zatruty taką goryczą?

— Chilonido — powiedział łagodnie, ze smutkiem — popatrz, stary już jestem, znękany życiem. Myślałem, że umilisz mi ostatnie dni, jakie mi jeszcze pozostały. Córeczko, wiesz przecie, czym jesteś dla mnie...

Chilonida milczała.

— Zrozum, nie wolno opuszczać starego ojca. Kochasz mnie przecie. Niech Kleombrotos idzie na wygnanie, ale ty zostań. Będziemy wychowywać twoje dzieci. Czemu milczysz?

Chilonida podniosła oczy na ojca i powiedziała powoli, z namysłem, ukrywając starannie uczucia, które ją nękały:

— Popatrz, mój ojcze, jaka jestem zaniedbana i jak nędznie wyglądam. Od chwili, gdy na ciebie spadły nieszczęścia i niedola wygnańca, do dziś dnia trwa bez przerwy mój smutek i moje cierpienie. Czyż teraz, gdy ty jesteś królem Sparty i zwycięzcą, mam nadal żyć w tej żalosej doli? Albo może mam się ubrać we wspaniałą królewską szatę i patrzeć, jak człowiek, z którym mnie śluby małżeńskie złączyły, ginie z twych rąk? *

Już pierwsze słowa nieszczęsnej Chilonidy sprawiły na słuchaczach wielkie wrażenie. Coraz więcej ludzi cisnęło się do wnętrza świątyni, rósł też tłum na placu świątynnym. Rodziła się wrogość do Leonidasa, pełna współczucia dla błagalników. Zawsze nieszczęśliwi budzą współczucie tłumu, tu zaś były specjalne ku temu powody. Niezaradny Kleombrotos nie miał żadnych wrogów, oprócz swego teścia, Chilonida cieszyła się w Sparcie wielkim szacunkiem.

— Nie przeciągaj struny, Leonidasie — szepnął Elatos — skaz ich na wygnanie. Czy nie czujesz, jak narasta gniew ludu?

— Ogłoś wygnanie w moim imieniu — zduszonym głosem powiedział Leonidas. — Ja nie mogę.

Elatos donośnym głosem, w imieniu króla Sparty i najwyższego kapłana, Leonidasa, wyrecytował urzędową formułę, skazującą króla Kleombrotosa na wygnanie.

Kleombrotos podniósł się, podniosła się również Chilonida. Oboje ucałowali ołtarz boga i chwilę modlili się cicho. Potem Chilonida podała mężowi synka, sama zaś wzięła za rączkę córeczkę i skierowali się ku jasnemu prostokątowi drzwi. Rozstąpił się przed nimi szpaler milczący, wstrząśnięty. Duża grupa ludzi w ciężkim milczeniu poszła za wygnańcami. Leonidas wiedział, że odprowadzą ich do granic miasta, tam przekażą najbliższej wsi. I znowu tłum ludzi powiedzie ich do następnego etapu. I tak będzie do granic Lakonii. Nikt nie odmówi nieszczęsnym kubka wody, nikt nie odmówi dzieciom garnuszka mleka ani kawałka jęczmiennego placka. A biada temu, kto zechciałby skrzywdzić nieszczęśliwych.

Nieodwołalnie wymykała się Leonidasowi krwawa zemsta nad zięciem. Odchodziła od niego Chilonida, jedyna miłość, do jakiej zdolne było jego serce.

* Plutarch: *Żywoty sławnych mężów*.

POWRÓT AGISA

Kiedy Agis ze swoją armią wkroczył w granice miasta, nikt nie wybiegł mu na spotkanie. Domy były pozamykane, puste ulice i place. Głucho i smutno dudniły w tej pustce kopyta końskie i twarde żołnierskie sandały.

„Sława — rozmyślał Agis, rozglądając się z miłością po rodzinnym mieście — sława, czczy dym... I miłość ludu... Gotowi byli kłaść się pod kopyta konia, na którym jechałem, za mało było kwiatów, w które tak bogata jest Sparta, a teraz? Kulawy pies chyłkiem umyka w opłotki, jakby i on bał się widoku wyklętego króla... Wyklęty? Za co? Cóż ja im złego zrobiłem? Czy może mniej ich kochałem niż Likurg, szczęśliwszy ode mnie reformator, który odrodził Spartę?”

Lizandros jechał tuż za nim. Agis słyszał, jak przyjaciel miele w ustach jakieś przekleństwo. Małomówni zazwyczaj hoplici też sapali i kłęli.

Część wojska Agis zwolnił przy agorze. Odeszli wiwatując na jego cześć i zapewniając go, że staną z bronią w rękę na każde jego wezwanie. Niech tylko da znak.

Zbliżali się wolno ku dworowi Agisa. Tam widocznie spostrzeżono przybywających, bo brama otworzyła się szeroko, zanim podjechali. Na głównym dziedzińcu w otoczeniu całej służby stały trzy kobiety. Agis patrzył na nie z czułością. Babka postarzała się, bruzdy na jej twarzy się pogłębiły. Matka schudła, przez co stała się jeszcze bardziej wyniosła, królewska. Agiatis... To nie dziewczeczka nieśmiała i zalęknioma, lecz kobieta rozkwitła pierwszą młodością, zatroskana rychłym macierzyństwem. Agis rzucił lejce chłopcom stojącym i skoczył, aby się przywitać. Ścisnęły go i całowały po spartańsku opanowane i dostojne. Tylko Agiatis drżały usta i szklły się wielkie, pełne oddania oczy.

— Jak twoje zdrowie, Łasiczko?

— Dobrze. Ale o ciebie martwiłam się dzień i noc. I modliłam się...

— Trzeba sypiać po nocach, Łasiczko, a nie martwić się — powiedział czule, całując ją po raz wtóry.

Lizandros też witał się z dostojnymi paniami. Babka i matka pocałowały go w głowę, jak syna. Przed Agiatis skłonił się głęboko, dziwnie onieśmielony i przygnębiony. Agisowi zrobiło się przykro: a więc nie zapomniał biedny Lizandros, mimo upływu czterech lat. Tak, Agiatis nie można zapomnieć.

— Dano mi znać, że dziś wracasz — powiedziała królowa Agezystrata — dlatego kazałam upiec dużo placków i zabić kilka baranów dla twojej drużyny. Będziesz ich przyjmować?

— Tak, mam, dziękuję ci serdecznie. Zawsze jesteś przewidująca i troskliwa. Lizandros pomoże mi ugościć żołnierzy.

Lizandros już był spokojny, opanowany i skory do pomocy.

— Oczywiście, wszyscy jesteśmy głodni jak wilki.

Żołnierze myli się pod fontanną, służba rozstawiła ławy i stoły. Agis z Lizandrosem poszli do łazienki.

— Żołnierze są ci wierni. I w dalszym ciągu wierzą, że przeprowadzisz reformę. Słyszałeś, co mówili w szeregach?

— Słyszałem — krótko odpowiedział Agis.

Zbiło to z tropu Lizandrosa. Coraz mniej rozumiał swego przyjaciela. Kiedy namawiał go, by nie rozpuszczał do domu żołnierzy, a trzymał ich w gotowości bojowej, Agis odpowiedział, że to niepotrzebne. Mimo to ciągle miał nadzieję, że Agis się namyśli, kiedy przekonana się, jak sprawy wyglądają. A on nic, mimo tego bolesnego wjazdu do pustego miasta. Czy jak dziecko nic nie rozumie?

Stanęli nago w wannach, wpuszczonych w posadzkę łazienki. Służebni heloci oblewali

ich zimną wodą i nacierali skórę gliną z Komolos. Brud spływał wraz z wodą i wraz z nią spływało zmęczenie. Agis westchnął, roześmiał się pogodnie. Kiedy Lizandros zwrócił na niego zdziwione oczy, Agis powiedział:

— Nigdzie się człowiek nie umyje tak przyjemnie, jak w domu.

Służebni wytarli ich prześcieradłami, natłuszcili oliwą obcięli im paznokcie u rąk i nóg, uczesali mokre włosy. W świeżych, krótkich chitonach, boso wyszli na dziedziniec. Byli już tylko mężczyźni, kobiety wróciły do swoich komnat.

Agis podszedł do ołtarza Zeusa, złożył dziękczynną ofiarę za szczęśliwy powrót. Żołnierze rozpalili kilka ognisk, nad nimi w trójnogach bulgotała spartańska polewka, na roznach piekły się baranie uda. Na stołach służba rozkładała placki i półmiski z zimnym mięsiwem, ochmistrz mieszał w olbrzymim kraterze wino z wodą.

Agis zasiadł na ławie wśród swoich ulubionych żołnierzy. Jadł z apetytem proste potrawy spartańskie, spokojny i opanowany rozmawiał przyjaźnie z żołnierzami. Zdawać by się mogło, że nic złego w czasie jego nieobecności w Sparcie się nie wydarzyło.

— Co nam teraz rozkażesz, królu nasz i wodzu? — zapytał jeden z oficerów, kiedy posiłek dobiegał końca.

— Czas wam odpocząć po trudach marszu — odpowiedział Agis. — Kto ma blisko dom, może iść przywitać się z rodziną, kto nie, może tu przenocować lub iść do Domu Mężczyzn.

— Jak to, królu, mamy cię opuścić? — przeraził się oficer.

— Bardzo was lubię, ale nie jesteście mi potrzebni. W Sparcie nie ma wojny, ani wróg nie wkracza w nasze granice.

— Panie — zaczął oficer i spojrzał z rozpaczą na Lizandrosa — czy myślisz, że będziemy spać spokojnie, wiedząc jaki wróg czyha na ciebie?

— Myślisz o królu Leonidasie, przyjacielu?

— Tak. Ale są inni jeszcze...

— Pamiętasz, że Leonidasowi ocaliłem życie?

— Ale on tego nie zechce pamiętać.

— Gdybym stracił wiarę w dobroć i szlachetność ludzką, nie chciałbym żyć — powiedział spokojnie Agis.

Oficer popatrzył na niego, potem na zapatrzonych w Agisa żołnierzy, wreszcie przeniósł wzrok na Lizandrosa, jakby u niego szukając pomocy.

— Agisie, sam wiesz, jaki jest Leonidas — powiedział ponuro Lizandros. — To zresztą nie jest ważne. Ważne jest, abyś mógł przeprowadzić reformę, a wiesz, że Leonidas będzie ci przeszkadzał wszystkimi dostępnymi środkami. Nie wystawiaj się, bezbronny, na jego uderzenie.

— On mnie nie dosięgnie, przyjacielu. Za krótkie ma ręce.

— Agisie, błagam cię, nie oddalaj od siebie najwierniejszych żołnierzy. Leonidas zgromadził wielkie siły najemników, pieniądze na ten cel dali mu bogacze, twoi wrogowie. Jeśli przyjdą cię aresztować, mogą skrzywdzić najbliższe ci osoby: matkę, babkę, Agiatis.

— Nie będę czekał, aż oni przyjdą. Wypłacisz z mojej szkatuły po dziesięć sztuk złota każdemu żołnierzowi, aby mieli za co żyć, zanim nie załatwi się reformy.

— Agisie — Lizandros aż uniósł się z ławy — ty wierzysz w rychłe przeprowadzenie reformy?

— Reforma jest koniecznością. Im prędzej, tym lepiej. Bez niej Sparta udusi się jak ptak bez powietrza, jak ryba bez wody. O tym, że tak jest, wie każdy żołnierz, każdy człowiek, niemal każde dziecko w Sparcie. Nie myśl, że tego nie wiedzą nasi bogacze.

— I cóż z tego, że wiedzą? Ale do przeprowadzenia jej nie dopuszczają...

Agis nie odpowiedział. Siedział skupiony, zdawało się, że toczy z sobą jakąś walkę. Parę razy uniósł głowę, odchylił ją ku tyłowi, podnosząc podbródek, jakby komuś na

natarczywe pytanie odpowiadał: nie. Wpatrzonym w niego żołnierzom wydało się, że ich wódz rozmawia z bogami. Wreszcie podniósł się od stołu. Zerwali się wszyscy żołnierze. Lizandros spojrział w twarz przyjaciela. Była jasna, pogodna, choć oczy pozostały mroczne i smutne:

— Wiesz, druhu, zmęczony już jestem, chodź, przejdziemy się. Odprowadzisz mnie do świątyni Ateny Chalkoikos. To tak niedaleko.

— Chcesz zostać błagalnikiem? — krzyknął przerażony Lizandros. — Agisie, na bogi, co ty robisz!

— To jest najszluszniejsza decyzja, jaką mogę podjąć. Nie chcę rozlewu krwi. Do mnie, błagalnika, wróć ludzkie serca. Pamiętasz, nawet Leonidas wzbudzał współczucie ludzi, gdy był błagalnikiem. Wybaczone mu jego występki, zapomniano o zbrodniach. Czyżbym ja, który tyle już dałem ludowi, któremu tyle okazywałem miłości, nie wskrzesił w nim na nowo miłości do mnie, zostając błagalnikiem? Będą wiedzieli, dlaczego cierpię. Uwierzą mi.

Spośród żołnierzy wyskoczył młody Andokos:

— Wodzu nasz! Do ostatniej kropli naszej krwi...

Andokos zmieszał się, urwał i pochylił do kolan Agisa. Pozostali zaczęli chrząkać, otaczać kołem swego króla.

— Wodzu, my twoi! — zaczęli wołać jeden przez drugiego. — Zostań z nami!

W tej chwili zarządca majątków Agisa wniósł sporą, drewnianą, pięknie rzeźbioną skrzynkę.

Agis skinął na ulubionego oficera:

— Zajmiesz się, Geranorze, wypłatą dla żołnierzy, wspólnie z zarządcą. Po dziesięć sztuk dla każdego z mojej drużyny.

Lizandros stał z boku i niewidzącymi oczyma wpatrywał się w żołnierzy. Nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Czuł się nieszczęśliwy i bezradny jak dziecko. Jednego był pewien: Agis popełnia błąd. Ba, ale jak mu to wytłumaczyć? Agis mimo całej swej szlachetności i dobroci jest uparty, jeśli coś postanowi, nikt nie odwiedzie go od spełnienia zamiarów. Gdzie szukać rady? Nie ma nikogo w tej ciężkiej chwili oprócz garści wiernych żołnierzy. Ktoś położył mu lekko dłoń na ramieniu. Agis.

— Chodźmy, przyjacielu.

Szczęśliwa myśl wpadła do głowy Lizandrosa.

— Chciałbym jeszcze porozmawiać z królową Agezystratą. Pozwolisz, Agisie? Serce się wzdyga przed twoją decyzją.

— Idź i prędko wracaj.

Służebna helotka powiedziała mu, że królowa jest w komnacie Agiatis. Poszła ją zawiadomić, że Lizandros wzywa ją w pilnej sprawie.

Królowa wyszła po chwili. Była niespokojna, rumieńce barwiły jej policzki, ciągle patrzyła w stronę komnaty Agiatis. Wysłuchiwała uważnie Lizandrosa. Milczała chwilę.

— Ja też jestem przeciwna rozlewowi krwi spartańskiej. Tyle jej przez wieki wypuszczono z żył narodu. Została nas garstka. Może rzeczywiście dobrze będzie, jeśli Agis poczeka kilka dni w świątyni jako błagalnik, aż odwróci się od niego zły los? Leonidas nigdy nie budził sympatii ludu, teraz go zniechęcą...

— W ciągu tych kilku dni Leonidas rozprawi się z Agisem.

— Nawet jego ręce nie sięgają do ołtarza boga...

— Boję się — wyznał Lizandros. — Nigdy, na polu walki nawet, nie wiedziałem, co to jest taki paralizujący serce lęk...

— Ty jesteś bardziej narażony, Lizandrosie. Agisa chroni jego królewski majestat. Wiesz przecie, co to znaczy w Sparcie podnieść rękę na króla. Nad tobą wisi niebezpieczeństwo.

Lizandros czuł podświadomie, że króla, który idzie przeciw drugiemu królowi oraz

interesom bogaczy, nie chroni nic i nikt, nawet bogowie. Ale nie umiał ubrać swoich myśli w słowa.

— Nie będę szukał schronienia w świątyni, królowo. Mam taką skrytkę, z której mnie nie wyciągną. A przebywając na swobodzie, będę niósł pomoc Agisowi i wam, jeśli zajdzie potrzeba.

— Szlachetny jesteś, Lizandrosie.

Z komnaty Agiatis wybiegła służebna i coś szepnęła do ucha królowej. Agezystrata zmieszała się, Lizandros poczuł, że królowa chce kończyć rozmowę.

— Więc mam odprowadzić Agisa do świątyni Ateny?

— Uczyn to. I spieszcie się, bo czas nagli. — Królowa przerwała na chwilę, zniżyła głos — Agiatis ma bóle...

Lizandros zbladł, zdało mu się, że stopy przyrosły mu do posadzki. Patrzył nieruchomo na twarz królowej.

— Jutro o świcie bądź przy świątyni Ateny. Przez Mysa dam ci znać, czy bogowie nam błogosławili. Tylko błagam, nie mów nic Agisowi. Niech tę noc prześpi spokojnie.

Lizandros skłonił się i powlókł na dziedziniec. Ogniska już przygasły, dziedziniec opustoszał, żołnierze królewskiej gwardii odeszli. Służba uprzątała stoły i ławy. Agis stał na dziedzińcu przed tolosem. Ubrany był w szary płaszcz pokutny, na nogach miał sandały. Lizandros stanął opodal. Widocznie Agis modlił się do swoich przodków, oddaje cześć zmarłemu ojcu. A może pyta go o radę? Niechby go mądry król Eudamidas odwiódł od szalonego pomysłu.

Agis odwrócił się po chwili do Lizandrosa:

— I jak cię przyjęła moja matka? Przekonałaś ją?

— Nie. Zgadza się z tobą.

— No, widzisz.

— Jest przekonana, że w ciągu kilku dni ogół obywateli stanie po twojej stronie.

— Moja matka to naprawdę mądra kobieta — ucieszył się Agis — i trzeba liczyć się z tym, co ona mówi.

— Ale ciągle nie liczysz się z tym, o czym nie mówi Leonidas.

— To nie jest człowiek zdolny do czynu.

— Do czynu nie, ale do podłości tak.

— Daj spokój z tym krakaniem.

Lizandros nie odpowiedział. Ze spuszczoną głową wyszedł przez bramę za Agisem. Kiedy odzwierny ryglował bramę, Lizandros pomyślał, że dom ten przez kilka dni będzie niezdobyty jak twierdza. Dopóki nie nastąpi oczyszczenie po urodzeniu dziecka, nikt obcy nie będzie śmiał przestąpić jego progę. Za murem czekała królewska drużyna.

— Co robicie tu, chłopcy? — zdziwił się Agis.

— Odprowadzimy cię, królu, do Ateny. Dopóki ona nie roztoczy nad tobą swoich ramion, jesteśmy twoją strażą — odpowiedział oficer Geranor.

— Dziękuję wam.

Szli w milczeniu. Każdy przeżywał na swój sposób postanowienie Agisa, który szedł łagodnie uśmiechnięty, ufny, zapatrzony w koronkowy rysunek Tajgetu na jasnym tle nieba. Żołnierze nie rozumieli Agisa; ale nie potępiali go. Słusznie, że nie chce rozlewu krwi spartańskiej, ale czy przez to nie upadnie reforma? Oni woleli reformę, nawet za cenę krwi. To jedno wiedzieli wszyscy: niepotrzebnie lała się krew grecka na ziemiach greckich przez wieki wytaczana rękami samych Greków. Mówił im o tym Agis w czasie wyprawy pod Korynt, rozmawiali o tym z żołnierzami Aratosa. Inne to były nauki niż te, którymi karmiono ich w spartańskim gimnazjonie. Tam ich uczono, że najważniejszym obowiązkiem żołnierza jest zginąć w walce, Agis mówił, że wojny są niepotrzebne.

Świątynia Ateny Chalkoikos błyszczała w słońcu swymi spizowymi dachówkami i

złoceniami na kapitelach kolumn pomalowanych jaskrawymi barwami.

Zbliżała się gorąca pora południowa. Powietrze nagrzane słońcem drgało.

Ulice opustoszały. Święty okręg Ateny Chalkoikos otoczony był murem, oplecionym dziką winoroślą. Miedziana brama była otwarta. Agis wszedł z Lizandrossem. Żołnierze zatrzymali się na placu przed murami świątyni.

Z bocznego budynku wyszedł im na spotkanie stary kapłan Chilon. Uśmiech rozjaśnił jego twarz na widok Agisa, którego lubił niezmiernie, ale gdy spojrzał na jego strój błagalnika, posmutniał.

— Nie w takim stroju pragnęłam cię widzieć przed obliczem bogini — szepnęła z żalem.

Agis skłonił się przed ołtarzem. Z małej amfory, którą przyniósł z sobą, wylał na ołtarz libację. Przyjemny zapach nasyconej nardem oliwy rozszedł się wokół. Agis stał chwilę z uniesionymi w górę rękoma, modląc się do bogini, a potem skierował się ku świątyni.

Kapłan otworzył ciężkie drzwi. Wewnątrz świątynia obita była spiżowymi płytami, na których wryto sceny z życia bogini. Światło, jak zwykle w świątyniach greckich, padało tylko od drzwi, nieduża cella tonęła w łagodnym półmroku, w którym jarzyły się jaspisowe oczy, pozłacana tarcza, włócznia i fałdy na sukni bogini. Atena stała w postawie, w jakiej zwykle przedstawiano ją jako Promachos, Przodowniczkę Szeregów. Bose stopy, na których miała lekkie sandały, wysunęła z bogatych fałd himationu. Na hełmie bogini siedział jej ptak — sowa. Takie same dwie sowy spoczywały u jej nóg.

Agis stał chwilę, pozdrawiając boginię uniesionymi dłońmi, prosząc ją o opiekę i pomoc. Potem usiadł na pierwszym stopniu posągu i powiedział do asystujących mu Lizandrosa i kapłana:

— Odpocznę tu, porozmawiam z boginią. Bardzo mi brakowało samotności i chwil rozmyślań tam, wśród zgiełku obozu i szczęku broni.

— Wiem, że nie lubisz sztuki wojennej — odpowiedział Lizandros — potępiasz wojnę, rozlew krwi. Ale powiedz mi, czy można sobie wyobrazić świat bez wojen?

— Można. Gdyby ludzie nie pragnęli posiadania więcej, niż im potrzeba do życia, czy wojna mogłaby wybuchnąć? Po co? Wojna rodzi się z żądz władzy, z żądz posiadania cudzej własności. W marzeniach zawsze widzę taką Spartę: każdy ma tyle, ile potrzebuje, nikt nie zagarnia cudzego majątku, wszyscy są równi i wolni.

— Nawet heloci?

— Nawet. Chciałbym ich wszystkich podnieść do godności równych.

— A kto zatem na tych równych będzie pracował?

Agis zamyślił się.

— Wydaje mi się — powiedział po chwili — że równi też mogliby pracować. Przecież praca na roli to szlachetne zajęcie. Powiedz, jaki widok może być piękniejszy od widoku oracza za pługiem lub siewcy rzucającego ziarno?

— Na to się nikt nie zgodzi, nikt! — zawołał zapalczywie Lizandros. — Jeśli równi pójdą orać pola, to kto za nich będzie walczył, kiedy napadnie kraj chciwa Macedonia albo jeszcze silniejszy wróg? Słyszałem o Rzymianach, którzy wywodzą swój ród od wilczycy. Podobno strasznie drapieżny i chciwy to lud!

— Wilczyca wychowała dwóch założycieli Rzymu: Remusa i Romulusa — łagodnie wyjaśnił Agis. — Gdyby oni, czy kto inny, napadli nasz kraj, będziemy się bić. I zwyciężymy. Napastnik bije się o niesłuszną sprawę, obrońcy biją się o swoje życie, o życie swych żon i dzieci, o swoich bogów i ogniska domowe. I zwyciężają.

— Gdybyż tak było w życiu, Agisie...

— Dziękuję ci, przyjacielu. Wrócisz na mój dwór?

— Nie, Agisie. Jeśli tam będą samotne, opuszczone kobiety, żaden Spartanin nie podniesie na nie ręki. Nawet Leonidas, który mało ma w sobie ze Spartanina. Gdybym ja tam się ukrywał, Leonidas znalazłby prawo do wkroczenia, kto wie, czy nawet nie z obnażonym

mieczem. Z tym mieczem, który nazwałby mieczem sprawiedliwości. Żegnaj, drogi Agisie. Pójdę teraz do Sfajrosa, dowiem się, jak on się czuje i co myśli.

— Przyślij go do mnie.

— Nie wiem, czy to będzie bezpieczne dla niego. Droga do ciebie nie jest teraz najbezpieczniejsza. Pozdrowię go od ciebie.

Lizandros skłonił się i wyszedł. Zmrużył oczy od nadmiaru słońca. Przed świątynią zebrał się niespokojny, podniecony tłum. Byli to mieszkańcy Sparty, kobiety, starcy, mężczyźni, dzieci. Szeptali między sobą, pokazując wnętrza świątyni. Ale w tych szeptach Lizandros nie wyczuł nic nieprzyjemnego. Zaciekawienie, współczucie, kto wie, może nawet miłość dla Agisa, w której powrót on tak wierzył.

Sfajrosa nie zastał. Niewolnica, którą do usług filozofa przydzielił Agis, powiedziała, że jej pan gdzieś się ukrył, bo już dwukrotnie przychodzili po niego siepacze Leonidasa. Gdzie się schronił, nie wie. Pytali się o niego dostojni panowie Amfares i Damochares, ale też nie mogła dać im żadnych wyjaśnień. Lizandros wyczuł w jej głosie kłamstwo. Prawdopodobnie wiedziała, gdzie ukrywa się jej pan, ale nie chciała go zdradzić, nie ufała nikomu.

„W biały dzień mnie na ulicach nie złapią — rozmyślał Lizandros, wychodząc z domu Sfajrosa — ale w domu nocować nie mogę. Trzeba rozejrzeć się za przyjaciółmi Agisa i zbadać sytuację. Zacznę od Amfaresa”.

Zastał go w ogrodzie, gdzie Amfares pilnował ustawiania posagu Afrodyty. Piękny, nowy dom z kolumnami korynckimi jaśniał świeżością farb na tle ciemnej zieleni pinii.

— Witaj — powiedział Amfares do zbliżającego się Lizandrosa. — Już wróciliście?

— Czyżbyś o tym nie wiedział?

— Jestem bardzo zajęty — odpowiedział wymijająco Amfares. — Żenię się, przygotowuję dom.

— Wspaniale się urządziłeś, bogato.

— Zapożyczyłem się.

— Są jeszcze chętni do pożyczania?

— Jak widzisz, są. Mnie pożyczą. Ma się ten kredyt.

— U kogo?

— A, to już moja sprawa.

— Od biedaka trudno pożyczyć, bo sam nie ma — powiedział sentencjonalnie Lizandros. — Chciałbym z tobą porozmawiać.

— Proszę bardzo, chodźmy do komnat.

Po dwóch marmurowych stopniach weszli do wnętrza domu. Amfares wprowadził go do izby gościnnej. Na wprost wejścia stał ołtarz poświęcony bóstwom opiekuńczym domu, posadzka była ułożona w mozaiki, na ścianach wisiały bogate kobierce. Kilka trójnogów i ławy z rzeźbionymi poręczami stały pod ścianami, pośrodku stół.

Kobierce wydały się Lizandrosowi znane. Podeszedł bliżej i zdziwił się: królewskie kobierce Eurypontydów!

— O, widzę u ciebie nowe nabytki. Znam te kobierce.

— Pożyczyłem je od Agezystraty na czas uroczystości weselnych. Pożyczyłem też zastawę stołową, srebrne kubki i tace.

Lizandrosowi to wyjaśnienie nie przypadło do smaku. Czy parę miesięcy temu Amfares ośmieliłby się niepokoić królową i żądać takiej pożyczki? Skarby królewskie w ręku zwykłego obywatela? Aby uświetnić wesele z córką dorobkiewicza?

— Co zamierzacie robić? — zapytał Amfares udając, że nie spostrzega niezadowolenia Lizandrosa.

— Co to znaczy: „wy”?

— No, Agis, ty — Amfares zmieszał się. — Ja się przecie zastosuję do waszej decyzji.

— Nie wiem. Właśnie przyszedłem usłyszeć twoje zdanie.

— Gdzie Agis?

— Pytasz, jakbyś nie wiedział. W Sparcie wszelkie nowiny rozchodzą się z szybkością najlepszego biegacza. Po co udajesz? Jaka jest twoja rada?

— Myślę, że... na razie sprawa reformy upada. Trzeba dążyć do pojednania z Leonidasem.

— Tyś się już pojednał. Do spółki rabujecie.

— Jak śmiesz tak mówić, nie zbadawszy przedtem sprawy! — oburzył się Amfares. — Kto ci naopowiadał o moich nadużyciach?

— Byli tacy.

— A tyś im od razu uwierzył. Ot, przyjaciel. Wiesz przecie, że z ramienia eforów miałem nadzór nad wychowaniem, nad moralnością społeczeństwa, nad policją.

— Tak pilnowałeś tej moralności, że nie zauważyłeś wszystkich draństw Agezylaosa i swoich własnych.

— Nie zauważyłem? Dobrze widziałem. Ale czyż mogłem wygrać, ja, prosty Spartanin, w walce z wujem Agisa? Wszyscy mówili, że Agis umyślnie zostawił wuja, aby mu uutorował drogę do tyranii. Sam nie popełniałem draństw.

— Przestań czekać — Lizandros zacisnął pięści i skoczył ku niemu — bo ci zęby powybijam.

Pohamował się i po chwili dodał z goryczą:

— Znasz Agisa od wielu lat, a uwierzyłeś, że się zmienił w ciągu miesiąca?

— Ludzie zmieniają się — odpowiedział Amfares uspokojony już, że Lizandros go nie uderzył. — Nie miałem żadnych poleceń od Agisa. Za godnego listów uważał tylko swego szlachetnego wuja. Do mnie nie napisał ani słówka.

— Kłamstwo! — krzyknął znowu popędliwie Lizandros. — Sam widziałem, że pisał do ciebie, do Damocharesa, do Arkezylaosa.

— Nie otrzymałem ani świstka.

Lizandros zawahał się: czy rzeczywiście Agezylaos zatrzymywał wszystkie listy, czy Amfares kłamie? Jak dojść prawdy? Amfares widząc jego zakłopotanie, zaczął opowiadać o przykrościach, jakie czynił im, Amfaresowi i Arkezylaosowi, niegodny wuj Agisa. Kłócili się z nim, nie pozwalali na różne draństwa, których byłoby dwa razy tyle, gdyby nie oni. Wreszcie złękli się losu Naubatesa i Archytasa. Z utęsknieniem czekali na powrót Agisa.

— Czemu nie posłałeś swoich rączych do Agisa, jeśli tak cierpiełeś na widok bezprawia?

— Chciałem, ale rozmyśliłem się. Skąd mogłem wiedzieć, że wojna z Etolami rozejdzie się po kościach? Słać złe wieści do naczelnego wodza przed bitwą? Wydaje mi się, że równałoby się to zdradzie.

— Mając te wszystkie skrupuły i wątpliwości, dobrze jednak dbałeś o swoje dochody. Sądząc z tego, jakieś się urządził, zostałeś bogaczem.

— Wiesz przecie, że żenię się z bogatą jedynaczką.

Lizandros doszedł do wniosku, że nie dogada się z Amfaresem. Wymyka mu się jak wąż, śliski i obleśny. Od kogo dowiedzieć się prawdy? Sfajros odpadł, co będzie wiedział Ksenares lub Damochares? Jakiej mogą udzielić rady? Ksenares zajęty gimnazjonem i wychowaniem młodzieży nie ma czasu na inne sprawy, Damochares chorował, na pewno do niczego się nie wtrącał.

— Co słyhać u Damocharesa?

— Kuleje. Noga źle się zrosła. Jego kariera sportowa skończona.

Lizandros pokiwał ze smutkiem głową. Znowu jeden odpadł. Jeszcze tylko jedna wątpliwość do wyjaśnienia:

— Czy jako efor będziesz ścigał prawem Agisa za nadużycie władzy? Mów bez wykrętów.

— Jeśli do tego dojdzie, uprzedzę Agisa i ciebie. Ale dlaczego z taką nieufnością rozmawiamy ze sobą? Chodźmy do Agisa. Nie chciałbym, aby on myślał o mnie tak źle, jak ty. On mnie usprawiedliwi i zrozumie, jeśli nawet coś złego było w moim postępowaniu. Nie umiem sprawować władzy. Wasza wina, żeście mnie wybrali na efora. Nie chciałem tego.

W drodze spotkali Damocharesa. Szedł wolno, podpierając się laską. Utykał dość mocno. Lizandrosowi zrobiło się przykro. Co za nieszczęście dla tego chłopca, który niczym innym być nie potrafi, tylko pięściarzem.

Damochares skrzywił się, zobaczywszy przyjaciół. Pewna dzikość i sztywność w jego zachowaniu świadczyła, że odwykł od rozmów z ludźmi.

— Idziemy do Agisa, który został błagalnikiem — powiedział Amfares i Lizandrosowi wydało się, że w jego głosie zadrgała drwina. — Chodź z nami, Damochariesie.

— Wracam do domu.

— Agisowi będzie przykro, żeś o nim zapomniał, ty, jego najwierniejszy druh i przyjaciel — nie ukrywając już drwiny powiedział Amfares.

Damochares bez słowa zawrócił. Przed świątynią Ateny stała gromada ludzi. Kapłan przyjmował i zapisywał na tabliczce intencje oraz rodzaj ofiary, którą ludzie pragnęli złożyć u stóp bogini.

„Zdaje się, że kapłani obłowią się dzięki pobytowi w świątyni Agisa — pomyślał Lizandros. — Na cudzym nieszczęściu najłatwiej zarabiać”.

Amfares i Damochares przywitani Agisa z wylewną serdecznością. Obaj zapewniali go o swoim gorącym przywiązaniu i chęci dalszej służby dla niego. Amfares szybko i bezładnie zaczął mówić o krzywdzie, jaka go spotkała ze strony Lizandrosa. Jak mógł go posądzić o nieuczciwość, o łajdactwa, które popełniał Agezylaos. Początkowo protestował, ale potem, szczerze mówiąc, zląkł się. Każdy jest tylko człowiekiem i dlatego odważny jest do pewnych granic. Ma niezbite przekonanie, że chwilowe niepowodzenie minie i znów pędzie z całym zapalem pracował dla swego najmilszego przyjaciela, Agisa.

— Pracujecie nie dla mnie, ale dla idei, która była i jest bliska mnie i wam — odpowiedział cicho Agis, trochę oszołomiony i zbity z tropu gadulstwem Amfaresa.

— Oczywiście — zapewnił Amfares, bijąc się w piersi — ale dla mnie ty jesteś wciele-
niem idei.

— Ładnie to powiedziane i górnolotnie — uśmiechnął się po raz pierwszy Agis — lecz wierzcie mi, zawsze uważałem się za sługę ludu spartańskiego i dla jego dobra chciałem poświęcić życie. Godność królewska o tyle tylko jest mi potrzebna, że ułatwia mi pracę. Jako zwykły obywatel znacznie mniej mógłbym dokonać.

Damochares przyglądał się Agisowi spode łba, ponury i małowówny. Nie odezwał się ani razu od chwili powitania, które chociaż było serdeczne, wydało się Lizandrosowi wymuszone. I tym razem odpowiedział Amfares swoim dźwięcznym i melodyjnym głosem, który umiał być tak pieszczotliwy, że słuchającemu wydawał się słodki jak muzyka fletu:

— Zawsze ceniliśmy twoją bezinteresowność i kochaliśmy cię za to. Wytycz nam plan działania. Będziemy się bić z Leonidasem?

— Bić się z Leonidasem, to znaczy na własny kraj sprowadzić nieszczęście — odpowiedział Agis w zadumie. — To znaczy skazać na śmierć wielu niewinnych ludzi, mężczyzn, kobiet, może nawet dzieci. Nowy upust krwi spartańskiej, której jest tak mało...

Widoczna ulga, a nawet radość odmalowała się w oczach Amfaresa. Lizandros obserwował go skrycie. Czy temu śpiewakowi chodzi naprawdę o to, by nie było rozlewu krwi?

— Więc co zamierzasz, Agisie?

— Sam nie wiem, co robić. Wy mi nic nie umiecie doradzić... Kiedy wraca Mandroklejdas?

— Podobno jest w drodze.

— A ty, Amfaresie, co sądzisz?

— Wydaje mi się, że najlepiej będzie poczekać parę dni. Wróci Mandroklejdas... Może Leonidas złagodnieje, pójdzie na ustępstwa...

— Wierzysz w to? — ostro zapytał Lizandros.

— Nie wiem. Spróbuję z nim porozmawiać. Jutro przyjdę do ciebie, królu, z Arkezylaosem, zdam ci relację z moich wysiłków. Teraz pozwól mi odejść. Mam jeszcze różne sprawy do załatwienia. Pójdiesz ze mną, Lizandrosie?

— Nie. Jeszcze rozmawiam z królem. Zresztą, kto wie, może sam się udam pod opiekę bogini.

— Zbyt ostrożność, Lizandrosie — roześmiał się Amfares. — Ty, taki odważny, tchórzysz? Cóż tobie może grozić, jeśli my z Arkezylaosem, zwolennicy Agisa i współodpowiedzialni za reformę, zostaliśmy mimo matactw Leonidasa do tej pory eforami?

Lizandros nie odpowiedział. Jeszcze nie wszystko rozumiał, ale czuł, że nie należy ufać nikomu. Czas przyniesie rozwiązanie. Tylko jak uchronić od niebezpieczeństwa to ufnie, bezbronne dziecko, Agisa? Czy sowie oczy Ateny dostrzegą w porę czające się w mroku wrogie siły?

Po odejściu Amfaresa i Damocharesa nie pozostał długo. Pożegnał Agisa i udał się do rodzinnego domu.

Zastał rodziców w ogrodzie przy zbiorze śliwek. Matka ucieszyła się i popłakała na jego widok, ojciec był niezadowolony:

— Lepiej byś, synu, nie wracał do Sparty. Czasy niedobre dla takich, jak ty.

— Nie mogłem Agisa zostawić samego. W ciężkich chwilach nie opuszcza się przyjaciela. Tak mnie uczyłeś.

— I Agis nie powinien wracać. Za miękki na czasy, które idą na Spartę.

— Dlaczego, ojcze, boisz się czasów, które idą. Agis nie chce wojny domowej. Eforowie Amfares i Arkezylaos chcą porozmawiać z Leonidasem.

— Tak samo możecie porozumiewać się i godzić z jadowitą żmiją. Leonidas ustąpi tylko przed siłą. Wracajmy do domu. Zjesz coś, odpoczniesz i pójdziesz w Tajget do naszych trzód. Tam jest kilku wiernych nam pastuchów. Możesz na nich liczyć w każdej godzinie.

— Słuchaj, ojcze, czy nie chciałbyś pomóc Agisowi w reformie? Przecie byłeś nam przychylny.

Ojciec zamyślił się:

— Cóż ja mogę zrobić? Spróbuję porozmawiać z kilku obywatelami. Gdyby tak udało się zwołać apellę...

Lizandros przesiedział u rodziców do zmierzchu, potem wymknął się przez żywopłoty ogrodu w pole na ścieżkę wiodącą do Tajgetu. Kiedy dotarł do ojcowskich stad, zobaczył wśród pastuchów starca z jasnosrebrzystą brodą i długimi opadającymi włosami. Rozpoznał go z daleka. Sfajros! Więc tu szukał azylu! Ucieszył się, ale filozof był wyraźnie zaniepokojony. Zaraz po przywitaniu zapytał:

— Czy mówiłeś komu, że tu jestem?

— Sam nie wiedziałem. Rodzice mnie nie uprzedzili.

— To dobrze, to dobrze. Błagam cię, milcz. Ani Amfaresowi, ani nawet Agisowi, nie mów nikomu, nikomu.

Lizandros pomyślał ze smutkiem, że i tu dobrej rady nie znajdzie.

Po wieczerzy składającej się z owczego mleka i placka jęczmiennego, zasiedli na słomianej macie w pobliżu dogasającego ogniska. Lizandros opowiedział o wyprawie do Koryntu, o zdradzie Aratosa i smutnym powrocie do domu. Sfajros słuchał nie przerywając ani słowem. Lizandros zerknął parę razy niepewny, czy filozof przypadkiem nie usnął. Ale Sfajros czuwał.

— I co myślisz, Sfajrosie? Poradź, co zrobić?

Sfajros chwilę dumał, a potem zaczął mówić wolno, urywając co parę słów:

— Nie chciałbym, abyś mnie źle zrozumiał. Nie z tchórzostwa się ukryłem... Pracuję nad *Ustrojem Lacedemończyków* i pragnę tę książkę skończyć, zanim Parki przetną nić mego żywota. Będą w niej i dzieje Agisa, o ile uda mi się przeżyć ten ciężki czas. Moja rada: nie czekać biernie. Przecie Agis ma za sobą armię spartańską, Leonidas tylko płatnych najemników.

— Tak, ale Agis nie chce rozlewu krwi.

— To trudniejsza sprawa. Szkoda, że rozpuściliście wojsko.

— Nie mogłem nic poradzić. Agis tak zarządził.

— Kto ma prawo wezwać żołnierzy?

— Strateg Hippomedont, ale po zezwoleniu eforów.

— Z tego, co mówiłeś, wynika, że nie należy zbyt ufać naszym przyjaciółom eforom. Zresztą nie zachowali się dobrze w czasie nieobecności Agisa.

— Wraca Mandroklejdas.

— To pocieszająca wiadomość. Wierzę w rozum tego męża. Może on przekona Agisa, że trzeba wystąpić?

— Trudno przekonać Agisa, gdy się uprze.

— Można by bez rozlewu krwi — wolno powiedział Sfajros — ale to kosztowne...

— Jak to? — żywo zapytał Lizandros.

— Najemnicy idą zawsze za tym, kto więcej płaci. Można by było ich przekupić. Myślę, że nie zatrzyma ich miłość do Leonidasa...

— Agis nie ma pieniędzy. Może królowa Agezystrata i Archidamia... A może Gilippos zechce ratować zięcia...

— Nie licz na niego. Agezylaos tak mu dokuczył, że was znienawidził. Obie królowe...

— Tu też przeszkoda — przerwał Lizandros. — Przez parę dni trudno będzie się z nimi porozumieć...

I Lizandros opowiedział o Agiatis. Możliwe, że już urodziła dziecko, może dopiero jutro...

— Z tego wniosek, że kilka dni trzeba jednak poczekać. Do powrotu Mandroklejdas i możliwości rozmowy z królową. Wydaje się, że Agis jako błagalnik jest chwilowo bezpieczny. Postaraj się przez ten czas zebrać najbardziej zaufanych żołnierzy. Aby byli w każdej chwili gotowi. Rozumiesz mnie?

— Tak, mistrzu.

— To już dzisiaj nic więcej nie uradzimy. Kładźmy się spać.

Ułożyli się na matach, przykryli płaszczami. Po chwili Lizandros usłyszał równy oddech śpiącego filozofa. Lizandros wiercił się, sen nie przychodził, zbyt dużo zmartwień dręczyło serce. To dobrze, że odnalazł Sfajrosa. Wbrew Agisowi trzeba dokonać zamachu stanu. Ale ten nie będzie bezkrawawy. Jeśli się nie uda — śmierć. Jeśli go nie będzie — też śmierć. Leonidas i bogacze nie darują ani Agisowi, ani jego prawdziwym zwolennikom. Pozostaje działanie. Z tym postanowieniem usnął. Spał jednak niedługo. Po północy wstał cicho i polami poszedł ku domostwu ojca. Nie wszedł do wnętrza domu. Z ołtarza na dziedzińcu wziął ostry nóż ofiarny i poszedł do ogrodu. Ściął wszystkie róże, które z takim zamiłowaniem i znanstwem hodowała jego matka, i przez pola poszedł ku dworowi Agisa. Było jasno, drogę oświecał mu księżyc, który na srebrnych chmurach żeglował nad szczytami Tajgetu. Sparta spała.

ZDRADA

Kiedy Lizandros zbliżał się do świątyni Ateny Chalkoikos, pusto było wokoło. Rosa szklila się na kamieniach i trawach. W pobliskich drzewach poranną pieśń gwizdały kosy, śpiewała cała plejada różnorodnego ptactwa, którego pełno było w lasach i na polach Sparty.

Z daleka widać pierwszych zdążających ku świątyni pątników, na dziedzińcu świątynnym kręcą się kapłani, przygotowując drzewo na stos ofiarny, czyszcząc basen do świętych ablucji. Tuż przed bramą ujrzał Lizandros siedzącego na kamieniu starego człowieka, odzianego w szary exomis. Poznał służącego Mysa. Lizandrosowi zabiło mocno serce. Przyspieszył kroku. Stary sługa wstał na jego widok. W rękę trzymał trzy pąsowe róże.

— Mów — rozkazał szybko Lizandros.

— Pani moja, królowa Agiatis, urodziła syna. Taki chłopak — pokazał radośnie rękoma wielkość noworodka. — Zdrow, silny. A krzyczy! — Stary roześmiał się uszczęśliwiony.

— Królowa? — wykrztusił Lizandros.

— Młoda pani czuje się dobrze. Czuwa nad nią królowa Agezystrata, babka Archidamia i lekarz Damiades. Chcieliśmy chłopaka, wedle zwyczaju, kapać w winie, ale Damiades nie pozwolił. Powiedział, że jeśli dorosłym starcza woda z winem, to dla takiej kruszyny też będzie dosyć, jeśli się do ciepłej wody doda trochę wina.

— Mądry ten lekarz — powiedział zduszonym głosem Lizandros, aby coś powiedzieć. W ustach mu zasychało i słowa przychodziły z trudem.

— A to — stary wyciągnął rękę pokazując róże — dobry znak. Wróżba chyba zesłana przez bogów. Wychodzę przed dom, odźwierny otwiera mi bramę, a w tym miejscu, gdzie wedle tradycji zawiesiłem o północy gałązkę oliwki na znak, że się urodził chłopiec, widzę pęk róż. Jeszcze w życiu swoim nie widziałem podobnie pięknych kwiatów, chociaż u mojej pani w ogrodzie też są niegorsze. Pobiegłem do pani z kwiatami. Młoda pani tak się ucieszyła, aż się popłakała z radości... I kazała mi te trzy róże zanieść panu, królowi Agisowi.

Twarz Lizandrosa drżała, oczy się zamgliły, ale wnet się opanował. Wziął róże z rąk Mysa i powiedział spokojnie:

— Powtórzę to wszystko twemu panu, królowi Agisowi. Dzięki ci za dobre nowiny. — I wetknął staremu srebrną monetę w garść.

Starego oszołomił hojny datek, którego się nie spodziewał. Schylił się w podzięcie do nóg Lizandrosa, potem wsadził monetę do ust, aby jej nie zgubić, i podreptał ku dworowi królewskiemu.

Lizandros wszedł do świętego okręgu Ateny. Na dziedzińcu, przy basenie służącym do świętych ablucji, mył się Agis. Był rzeźwy, uśmiechnięty.

— Witaj, druhu! — zawołał zobaczywszy Lizandrosa. — Nie spodziewałem się tak wczesnie twoich odwiedzin.

— Ważne nowiny przynoszę — szepnął Lizandros.

Agis szybko dokończył mycia, podszedł do przyjaciela.

— Chodź, usiądziemy na stopniach świątyni, tam świetnie przygrzewa słońce. Ranki są u nas chłodne.

— Bo i pora zimnych ranków się zbliża — odpowiedział Lizandros. — Masz róże, to dla ciebie.

Agis roześmiał się wesoło.

— Przynosisz mi róże, jak dziewczynie.

— To nie ode mnie. Od Agiatis.

— Od Agiatis? — zdziwił się Agis. — Tak rano ją widziałeś?

— Zostałeś ojcem — powiedział uroczyście Lizandros.

A kiedy Agis popatrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, jakby nie zrozumiał, Lizandros powtórzył:

— Zostałeś ojcem, masz syna.

Agis zerwał się ze stopnia, na którym siedzieli, i chwycił w objęcia Lizandrosa.

— Błogosławioną nowinę przynosisz mi, przyjacielu. Co za radość! A jak się czuje Agiatis?

— Mówił mi Mys, który właśnie podążał w tę stronę z różami, że młoda pani czuje się dobrze. Czuwają przy niej matka, babka i lekarz Damiades. Możesz być spokojny.

— Miła Agiatis — szepnął z rozczuleniem Agis. — Nawet w takiej chwili o mnie pamiętała. Daj te róże, zaniosę Atenie. Pewno ona rzadko otrzymuje podobne ofiary. Poproszę ją, by czuwała nad Agiatis.

— To raczej zakres pracy Artemis — uśmiechnął się Lizandros. — Jeszcze się boginie pokłócą o kompetencje.

— Nie pokłócą się. Artemidzie oddam należny jej hołd, kiedy stąd wyjdę.

— Oby zbyt długo nie czekała — westchnął Lizandros.

Agis nie odpowiedział. Wszedł do wnętrza świątyni, gdzie zabawił chwilę. Gdy wyszedł twarz miał uśmiechniętą, promienną. Zmrużył oczy przed nadmiernym słońcem, które teraz całym swym blaskiem zalało święty okrąg.

— Żartujemy trochę z tych naszych bogów — powiedział siadając obok przyjaciela — ale się bez nich obejść nie możemy. Zdecydowany byłem już ich przegnać ze swego życia. Sfajros mnie przekonał, że nie warto. Więc jeśli mam szukać nowych bogów, znaleźć i przekonać się, że to w gruncie rzeczy to samo, tylko pod innym płaszczem, to już lepiej pozostanę przy starych.

Lizandros słuchał w milczeniu. Dręczyło go pytanie: — Powiedzieć czy nie powiedzieć Agisowi o rozmowie ze Sfajrosem?

Wreszcie zdecydował: jeśli mnie zapyta, powiem, jeśli nie, będę milczał.

— Chciałbym zobaczyć mojego synka — westchnął Agis. — Tam, pod Koryntem, ciągle myślałem, aby znaleźć się w Sparcie, bo bałem się, że dziecko przyjdzie na świat podczas mojej nieobecności. Jestem w Sparcie — i dziecka swego nie mogę zobaczyć.

— Podobno duży i ładny chłopak. Tak mówił Mys. Wykąpali go w wodzie z winem. Damiades nie pozwolił kapać chłopca w czystym winie. Nowa medycyna mówi, że to niezdrowo. A chłopak głos ma donośny, krzyczy na cały dom.

Agis znów się roześmiał.

— To wielka radość zostać ojcem zdrowego, silnego synka.

Podszedł do niego jeden z niższych kapłanów usługujących w świątyni; skłonił się przykładając ręce do piersi:

— Najwyższy kapłanie i królu Sparty, kapłan Nikostrat zapytuje, gdzie zechcesz zjeść śniadanie?

— Powiedz czcigodnemu świętemu mężowi, że usłyszałem tak szczęśliwą nowinę, że aż mi się jeść odechciało. Syn mi się urodził.

— Powtórzę to kapłanowi Nikostratowi.

Po chwili kapłan wrócił niosąc ostrożnie kubek z napojem i placek jęczmienny.

— Kapłan Nikostrat powiedział, że pewno nie chcesz odejść na śniadanie, bo masz gościa, dostojny królu. Dlatego tu przysyła ci posiłek.

Agis podziękował, rozłamał placek na dwie części, jedną zatrzymał sobie, drugą dał przyjacielowi. Jedli w milczeniu, gryząc małe kęsy, i popijając łykami wody zaprawionej sokiem z dzikich malin.

— Byłeś u Sfajrosa? — zagadnął Agis.

— Byłem — odpowiedział Lizandros i spojrzał niespokojnie na dziedziniec, który wypełniał się pobożnymi.

Agis zauważył jego spojrzenie i powiedział wstając:

— Chodźmy do wnętrza świątyni, mniej będziemy narażeni na wścibskie spojrzenia.

— Sfajros powiedział — Lizandros postanowił mówić bez ogródek — że tylko siłą możemy zwyciężyć Leonidasa. Inaczej przegramy. Leonidas należy do ludzi, którzy mają respekt tylko przed zaciśniętą pięścią. I ja podzielam zdanie Sfajrosa.

Usiedli na stopniu pod posągiem bogini.

— Nie mogę... zrozum, nie mogę... Dusza moja się wzdryga.

— Masz obowiązek — powiedział twardo Lizandros. — Masz syna, masz żonę. Ze względu na nich nie wolno ci przegrać i ze względu na ludzi, którzy ci zaufali.

— Wszystko to rozumiem. Ale być królem-mordercą własnych obywateli...

Agis ścisnął dłońmi głowę i zaczął się kołysać w tył i w przód, jak helota, który stracił żonę. Lizandros patrzył na niego ze współczuciem. Nie rozumiał, dlaczego Agis tak się boi straty kilkunastu czy kilkudziesięciu nawet spartiatów. Przecie luki w szeregach będzie można uzupełnić silnymi helotami, którzy odznaczyli się w boju, którzy ukończyli spartańską agogę. Nie dojdzie z nim do ładu. Trzeba będzie wbrew niemu wywołać powstanie. Lizandros cierpiał bardzo, bo nie wiedział, jak się do takiej sprawy zabrać. Nie ma nikogo, kto by stanął u jego boku w chwili przewrotu, podparł dobrą radą, swoim autorytetem. Nikt mu nie pomoże. Gdybyż Mandroklejdas prędzej wrócił! Ale on może zatrzymał się po drodze na którejś z wysp, zawsze ma tyle spraw do załatwienia w czasie swoich podróży. Lizandros westchnął. Pozostała mu jeszcze królowa Agezystrata i próba przekupienia kopijników Leonidasa. Ale i na to trzeba poczekać.

Pożegnał się z Agisem i powiedział, że przyjdzie za dwa, trzy dni, o ile coś nie stanie na przeszkodzie. Ojciec kazał mu sprawdzić trzody w górach, musi więc wybrać się już jutro. W rzeczywistości miał zamiar jechać do kilku osad periojków, aby się porozumieć z hoplitami wiernymi Agisowi. Trzeba to robić ostrożnie, nocami, aby ktoś nie wypatrzył i nie zdradził.

Po południu odwiedzili Agisa dwaj przyjaciele-eforowie, Amfares i Arkezylaos. Byli weseli, wieszali Agisowi syna, opowiadali o błahych sprawach, a gdy Agis przerwał im, chcąc się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w mieście, odpowiadali wykrętnie i ogólnikowo.

— Wyjdiesz stąd, przekonasz się. Nic się ciekawego nie wydarzyło. Leonidas zaniebdał urządowanie, tylko rano jeździ, jeśli to jest dzień ofiar, do świątyń. Tak zresztą czyni od dawna, prawie od swego powrotu, kiedyś ty wymaszerowałeś na wojnę — powiedział Amfares.

— Zwołajcie apellę — powiedział Agis — tam wyjaśnię ludowi wszystkie moje zamiary. Lud mnie wysłucha, zrozumie i przyjdzie mi z pomocą.

— Nie możemy zwołać apelli — ponuro oświadczył Arkezylaos.

— Dlaczego?

— Wiesz przecie, że do pełni księżyca daleko. Nie mamy prawa zwoływać apelli.

— Możecie zwołać zebranie nadzwyczajne. Jest takie prawo, gdy sprawy państwa tego wymagają.

— To twoje sprawy — wyrwał się nieopatrznie Arkezylaos.

Agis oburzył się, a potem zaczął ich gorąco przekonywać. Zdawało mu się, że miękną, że przychylają się do jego zdania. Jakoż gdy Agis skończył, Amfares powiedział:

— Dobrze. Pomyślimy nad tym. Ale musisz poczekać parę dni.

— Parę dni się nie liczy — ucieszył się Agis. — Mogę poczekać. Jak to dobrze, że nie zawiodłem się na was. Przychodźcie do mnie, jak możecie najczęściej. Nie będzie mi się tak bardzo dłużyć czas.

Rozmawiali jeszcze długo, wypytyując Agisa o wyprawę koryncką, o wojska Aratosa. Opowiadał chętnie, szczegółowo. Odchodząc zapytali, czy czegoś nie brak, czy nie czuje się głodny. Podziękował za troskliwość. Wystarcza mu skromne świątynne jadlo. Kapłani dbają o niego.

Odwiedzali go odtąd codziennie po południu, kiedy już kończył się czas modłów i ofiar dla bogini. Obecność Agisa jako błagalnika ściągала wielu ludzi. Każdy przynosił coś w ofierze dla Ateny: owcę, kozę, czasem tylko skromny placek, trochę mleka lub wina, na co kogo było stać. Kapłanom Ateny zaczęło się dobrze powodzić.

Któregoś popołudnia przyjaciele namówili Agisa, by poszedł z nimi do Eurotasu, zażyć kąpieli. Droga, którą go poprowadzą, jest odludna, nie ma obawy spotkania kogokolwiek. Agis zgodził się z radością. Tylko z samego rana mył się w basenie do ablucji, do którego kapłani codziennie przynosili świeżą wodę ze świętego źródła. Ale po całodziennym nagrzewaniu słońcem i ablucjach wiernych woda była brudna i ciepła i Agis brzydził się myć w niej. Kapłan Nikostrat zaniepokoił się, gdy usłyszał, że Agis chce iść nad Eurotas. Odwołał go na stronę i powiedział zniżając głos:

— Poza obrębem hieronu przestajesz być nietykalny, pamiętaj o tym. Jeśli ci zależy na świeżej wodzie, każę niewolnikom chodzić do źródła dwa razy dziennie.

— Niepotrzebnie chcesz zadać im tyle trudu uśmiechnął się Agis. — Idę przecież z przyjaciółmi, którzy obronią mnie przed napaścią.

— A gdy wrogów będzie przeważająca liczba?

— Idziemy pustą okolicą. Łatwo nawet z daleka spostrzec zaczajonego wroga. Zdąży-
my uciec.

Kapłan Nikostrat nie miał jednak takiej pewności. Kiedy Agis i eforowie wyszli, posłał za nimi kilku silnych pomocników świątynnych. Wrócili jednak bez żadnych przeszkód. Agis był niezmiernie zadowolony, że przechadzka była tak udana i kąpiel wyśmienita. Humor mu się znacznie poprawił. Z domu otrzymywał każdego dnia wiadomości, że dziecko chowa się dobrze, a Agiatis wraca do zdrowia. Ludzie przynoszący ofiary Atenie okazywali mu wiele serdeczności, słyszał słowa zachęty do wytrwania. Lizandros wpadł któregoś dnia na chwilę i powiedział, że nastrój w mieście zmienia się wybitnie na korzyść Agisa. Jego zwolennicy już głośno wołają, że dzieje mu się krzywda. Na agorze zbierają się grupki spartiatów i debatują, jak przyjść młodemu królowi z pomocą.

— A widzisz, przyjacielu. Słodkie będzie to bezkrwawe zwycięstwo — powiedział uszczęśliwiony. — Prawdziwie dobre nowiny mi przynosisz. Amfares i Arkezylaos tak, widać, zapracowani, że nie wiedzą, co się wokół nich dzieje. Powiem im o tym, coś mi dziś przyniósł.

— Proszę cię, Agisie, nie mów do nich o sprawach, o których ja ci mówię.

— Nie rozumiem, dlaczego ciągle darzysz ich nieufnością — powiedział cierpko Agis. — Żywisz do nich niechęć, a nawet wrogość.

— Mam podstawy. Nie zachowali się jak twoi przyjaciele w czasie naszej nieobecności. Łatwo teraz zwać wszystko na twego wuja, gdy on daleko.

— Mój wuj popełnił wiele błędów — szepnął Agis.

— Popełnił, ale oni przecież mogli go powstrzymać. Dlaczego się nie sprzymierzyli z tamtymi eforami? Czterech — przeciw jednemu. Przyznasz, że łatwo go było zwyciężyć.

— Kiedy ty zaczynasz mówić, mój spokój pryska jak dojrzałe winne grono pod stopami ubijaczy — poskarżył się smutno Agis. — Zaczynam się trwożyć i lękać o przyszłość Sparty.

— Przepraszam cię, Agisie — powiedział skruszony Lizandros. — Tobie rzeczywiście potrzebny spokój. Myślę, że to potrwa jeszcze kilka dni, może dwa lub trzy.

— Sądzisz, że zbierze się apella?

— Może apella, może coś innego — odrzekł wymijająco Lizandros. Nie chciał mówić, że już przygotował do wystąpienia dwa wierne pułki. Posłał do portu Gytion zaufanego człowieka, aby pilnował przybycia Mandroklejdasza.

Człowiek ten miał go uprzedzić o sytuacji i bocznymi drogami przeprowadzić do Sparty. Lizandros nie wiedział, że od kilku dni w porcie czuwali wysłannicy Leonidasa, aby pojmać niebezpiecznego przyjaciela Agisa, gdy tylko zejdzie na ląd. Ale czujne oczy perioj-

ków przychylnych Agisowi to wypatrzyły. Naprzeciw przybywającemu statkowi ruszyły łodzie rybackie i Mandroklejdas nie dojechał do portu. Przesiadł się na łódź rybacką i zawinął do przystani na wyspie Cyterze, niedaleko brzegów Peloponezu.

Wysłannicy wrócili do Sparty z próżnymi rękoma. Leonidas zaniepokoił się. Mandroklejdas to człowiek czynu i gorący przyjaciel Agisa. On nie zaprzepaści reformy i gotów wszystko postawić na jedną kartę. Trzeba uprzedzić jego uderzenie. Leonidas wezwał do siebie kilku gerontów, wrogów Agisa i reformy. Narada nie trwała długo. Postanowili uderzyć, tym bardziej że zbyt jawnie zaczynają działać zwolennicy Agisa i zjednywać lud. Przeprowadzili też uzupełniające wybory eforów. Do czasu wyborów na apelli zastępczo mieli sprawować tę funkcję Ilarchos i Alypetos. Nadal pozostali eforami Amfares, Arkezylaos i uwięziony Archytas.

Lizandros też zdecydował się na przyspieszenie uderzenia. Projekt przekupienia kopijników Leonidasem uznał za niepewny i kosztowny. Mogą wydać sprawę przed Leonidasem, mogą zabrać pieniądze i też zdradzić, jak to z najemnikami bywa. Lepsza prostsza droga. Spodziewał się przybycia Mandroklejdasza za dwa dni. A więc za trzy dni będzie można uderzyć. Około północy, gdy kopijnicy Leonidasem śpią, zajmie eforejon, zwoła apellę i obsadzi swym wojskiem Skias. Ogłosi Leonidasem wrogiem ludu, aresztuje Amfaresa i Arkezylaosa. Przekonany był, że oni dwaj w głównej mierze odpowiadają za obecną sytuację w Sparcie. Postanowił nie wtajemniczać Agisa w swoje plany. Może go później Agis wygnać ze Sparty, ale jemu będzie zawdzięczał powrót do władzy i reformę.

Uzupełniające wybory eforów zaniepokoiły Lizandrosa. Kiedy przyszedł do świątyni Ateny, opowiedział Agisowi o tym manewrze Leonidasem. Po co wybierał eforów, kiedy już wkrótce upływa ich kadencja? Nie czekał do nowego roku, aby wybrać pięciu, a teraz wybrał tylko dwu?

— Oni właściwie nie są eforami — uspokajająco powiedział Agis. — Przecie trudno jest rządzić państwem, gdy tylko jeden król sprawuje władzę oraz dwóch eforów zamiast pięciu. Byłoby to niewłaściwe i sprzeczne z prawami, gdyby zarządził nowe wybory, zwołując przed czasem i upływem terminu pozostałych eforów.

— Nie wierzę, by kierowała nim troska o dobro państwa i praworządność — odpowiedział Lizandros. — Boję się, bo nie wiem, co się za tym kryje. W każdym bądź razie nic pomyślnego dla nas. Niepokoję się, że od Mandroklejdasza nie mam wiadomości.

— Może go zła pogoda zatrzymała gdzieś w porcie? Wiesz, matka dała mi znać, że Agiatis wstała już z łóżka. Chciała się tu wybrać do mnie z synkiem, ale powiedziałem, by poczekała jeszcze ze dwa dni. Niech nabierze więcej sił. A może do tego czasu wróć do domu?

Lizandros zaczął się żegnać, obiecując, że przyjdzie, jeśli tylko będzie miał czas.

— Mało masz czasu dla mnie — odpowiedział z żalem Agis. — Amfares i Arkezylaos znajdują go więcej. Nawet Damochares, który stał się jeszcze bardziej ponury i unika ludzi, częściej mnie odwiedza.

— Nie gniewaj się, Agisie, tak się układają moje sprawy. Bądź jeszcze trochę cierpliwy.

Agis pokiwał ze zrozumieniem głową. Żaden z nich nie przeczuł, że to była ich ostatnia rozmowa.

Następnego dnia zaraz po południu trzech przyjaciele zjawili się u Agisa. Wydało mu się, że są pijani. Przygnębiło go to jeszcze bardziej. Od rana był jakiś przybity, mówił, że źle spał. Przyjaciele zaczęli go pocieszać, że już kończy się jego niedola, bo Amfares i Arkezylaos uzgodnili z nowymi eforami termin zwołania apelli. Za cztery dni. Agis poweselał. Za cztery dni jego prawda zwycięży. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zaczęli go namawiać na codzienną kąpiel w Eurotasie, ale Agis po raz pierwszy, odkąd tam zaczął chodzić, nie miał ochoty. Odmówił. Zobaczył, że się zmartwili, zrobiło mu się przykro. Przynieśli mu taką szczęśliwą wiadomość, a on im odmawia przyjemności. Więc gdy Amfares zaczął go ponownie namawiać, ustąpił, tym bardziej że od przyjaciół zalały go przykrym zapachem wina i

czosnku. Wydało mu się, że przyjaciele uwłaczają świętemu przybytkowi Ateny. Ostatecznie jemu też się przyda ta kąpiel. Wróci zachwianą równowagę ducha i da sprężystość omdlałemu z niewygód ciała. Sen na kamiennej posadzce w chłodnej świątyni, gdzie podglówek stanowił twarde stopień ołtarza, nawet przywykłemu do spartańskiego życia królowi nie dawał należytego odpoczynku. Wyszli z mrocznej świątyni w złoty zmierzch dnia. Amfares śmiejąc się opowiadał o jakichś przygodach z dziewczętami przy zbiorze winogron. Wtórowali mu rubasznie Damochares i Arkezylaos. Agis milczał. Raził go ten pusty śmiech w uroczystej ciszy zmierzchu.

Woda była ciepła, mieniła się złotem i purpurą. Agis poczuł, że zmywa z niego gnuśność ciała i ociężałość myśli.

— Dziękuję wam, przyjaciele, za tę kąpiel. Wam ją zawdzięczam. Jesteście osłodą moich ciężkich dni. Tak troskliwie nade mną czuwacie. — Agis przystanął na chwilę. — Popatrzcie, jak cudnie goreją szczyty Tajgetu. Piękna jest nasza Lakonia! Namawiano mnie, bym uciekł ze Sparty, a przecież ja nie umiałbym żyć bez widoku majestatycznego Tajgetu, różowego Parnonu, bez Eurotasu, bez was... Na bogi, co się wam stało?

Takich twarzy przyjaciół nie widział jeszcze nigdy. Oczy mieli złe i zimne.

Amfares położył ciężką rękę na jego ramieniu, zacisnął mocno, aż Agis poczuł ból.

— Co tobie, drogi przyjacielu?

— Aresztuję cię, Agisie. Musisz odpowiadać przed eforami za swą działalność polityczną — odpowiedział twardo Amfares.

— Żartujesz, Amfaresie?

Nie usłyszał odpowiedzi. Zobaczył nagły ruch Damocharesa, który zarzucił mu płaszcz na głowę i uderzył go w kark. Rzucili go na ziemię i powlekli wąską ścieżką wśród pól, która prowadziła do więzienia.

Nie bronił się, zaskoczony, zmiażdżony zdradą przyjaciół. Cóż zresztą znaczyły jego mięśnie wobec tytanicznej siły Damocharesa? Nie krzyczał o pomoc. Choć go wlekli w pyłe drogi jak ofiarnego wołu, wydawało mu się, że krzyk czy prośba uwłaczałyby jego królewskiej godności. Kto by go zresztą usłyszał w tej pustce, na ciernistej ścieżce, wiodącej do miejsca, z którego rzadko kto wychodził na wolność. Świadcami bezprawia były tylko zarosłe chwastami, zarzucone kamieniami samotne kopczyki, miejsca spoczynku tych, którzy opuścili mury Dechas. Budziły lęk te małe kopczyki, przeklęte były wszystkie ścieżki, które wiodły do Dechas.

Puścili go dopiero wtedy, gdy zatrzasnęła się za nimi brama więzienna. Agis otarł połą płaszcz zakurzoną twarz, przygładził wzburzone włosy. Czynił to nieświadomie, z przyzwyczajenia, bo kapłan i wódz, zawsze, nawet w najcięższej chwili życia musi mieć schludny i przyjemny wygląd. Rozejrzał się. Na dziedzińcu Dechas stał elegancki powóz Leonidasa i kilka mniejszych wozów, widocznie gerontów i eforów. Mur wokoło obstawiony był kopijnikami Leonidasa.

„Przygotowali się — pomyślał Agis — a więc przegrałem”.

Trzej zdrajcy stali za nim. Słyszał głośnie sapanie Damocharesa. Amfares nucił coś pod nosem, jak po wypiciu większej ilości wina. Ten trzeci milczał. Kilku żołnierzy pod płotem gryzło pestki słonecznika i spluwało przed siebie. Inni czyścili konie i broń.

— Bogowie, czemu zwracam uwagę na takie drobiazgi — Agis potarł ręką czoło zbierając myśli. — Co się ze mną dzieje? Trzeba się skupić. Zdaje się, że oni zamierzają urządzić komedię sądową. Tak, na to wygląda. Aby mnie zamordować, wystarczyłoby dwóch żołnierzy. Albo jeden Damochares. — Agis wstrząsnął się. Bogowie, jak on kochał tego Damocharesa!

Skrzypnęły drzwi maleńkiej świątyni Fobosa, w której ogłaszano przestępcom wyroki śmierci. Na progu stanął Leonidas. Na widok Agisa parsknął śmiechem.

— Mamy cię, buntowniku. Zaprowadźcie go do celi.

Damochares kulakiem w plecy pchnął Agisa ku budynkowi na prawo. Było tam kilka dużych sal i parę cel pojedynczych, ciemnych, nie szerszych i dłuższych niż spartańskie łóżko. Damochares uchylił drzwi jednej z tych klitek i pchnął Agisa. Agis potoczył się dwa kroki i uderzył głową o ścianę. Drzwi się za nim zatrzasnęły.

SĄD

Lizandros spieszył się. W południe przybył do niego wysłannik z Gytion z niepomyślnymi wieściami. Ludzie Leonidasa czekali na powrót Mandroklejdas, ale ktoś go uprzedził i Mandroklejdas lądował na Cyterze, skąd pewnie ucieknie dalej. Jeśli będzie przedzierał się do Sparty, to zjawi się nie prędzej niż za kilka dni. Trochę później przybiegł chłopiec, któremu polecono obserwację pałacu Leonidasa. Otóż Leonidas zaraz po południu wyjechał ze swoimi kopijnikami w pełnym uzbrojeniu. Kilku gerontów, wrogów Agisa, i dwaj nowi eforowie też opuścili swoje domy. Wszyscy podobno jechali drogą wiodącą do świątyni Ateny Chalkoikos. Czyżby Leonidas był tak zuchwały, że zdecydował się napaść na świątynię? Lizandros kazał chłopcu zawiadomić kilkunastu hoplitów z drużyny królewskiej, by podążyli do świątyni. Zdawał sobie sprawę, że to zbyt słaba siła, aby przeciwstawić się Leonidasowi, ale gdyby zdążyli zatarasować się w świątyni! Miał nadzieję, że kapłani w porę spostrzegli Leonidasa, zamknęli bramę i nie pozwolili wejść kopijnikom. Zdziwił się, zobaczywszy już z daleka, że wokół świątyni pusto, a na dziedzińcu kręci się kilku kapłanów. Kiedy zbliżył się do bramy, jeden z bliżej stojących zapytał zdziwiony:

— Lizandrosie, wracasz bez Agisa?

— Jak to? — przeraził się Lizandros. — Nie ma Agisa?

— Myślałem, że i ty poszedłeś z nim do kąpieli. Było ich trzech, nie zwróciłem uwagi kto, bo myłem ołtarz.

— To byli Amfares, Damochares i Arkezylaos — wyjaśnił drugi kapłan, podchodząc do rozmawiających. — Słyszałem, jak gorąco namawiali Agisa na kąpiel. Agis się źle czuł i nie miał ochoty. Dziwimy się, że tak długo nie wracają. Arcykapłan zaniepokoił się i wysłał dwóch młodszych kapłanów nad Eurotas.

Lizandros nie słuchał dłużej. W najwyższym niepokoju pobiegł ku ścieżce wiodącej nad Eurotas. Spotkał wkrótce wracających młodych kapłanów.

— Gdzie Agis? — krzyknął.

Kapłani byli wystraszeni, zadyszani od szybkiego marszu.

— Nad wodą spotkaliśmy rybaka — odpowiedział jeden — który widział Agisa kąpiącego się razem z przyjaciółmi.

— A potem?

— A potem zawrócili w stronę świątyni. Ale tam, gdzie drogi się rozwidlają, pastuch, który pasł owce, widział, jak trzech mężczyzn wlokło kogoś w stronę Dechas. I widział, że jechało tam przedtem kilka wozów i maszerowało dużo wojska, kopijników Leonidasa.

— Bogowie, o bogowie! — jęknął Lizandros i zataczając się jak w omroczeniu powłókł się przekłętą ścieżką. Doszedł do rozstajów. Coś białego zamajaczyło wśród chwastów. Podniósł, rozpoznał. Zerwana z głowy, biała królewska wstążka Agisa. Powłókł się dalej, chociaż mu się wydało, że przyczepiono mu do obu stóp ciężkie bloki marmuru.

Na dziedzińcu więziennym ujrzał Lizandros najemników Leonidasa. Przy bramie stał stary strażnik, którego Lizandros znał. Ten sam, który pomagał kiedyś przy otwieraniu cel, kiedy wypuszczali więźniów po ogłoszeniu przez Agisa reformy.

— Słuchaj, Tribonie, czy mógłbyś zanieść królowi Agisowi wiadomość ode mnie?

— Postaram się.

— Powiedz królowi, że ja jestem gotów i że jego drużyna też gotowa. Niech się broni na sądzie jak najdłużej, abyśmy mieli czas się tu zebrać. Zapamiętałeś? I doręcz mu tę wstążkę.

— Oczywiście. Otworzę bramę, gdy nadejdziecie. Wszyscy strażnicy są za królem Agisem.

— Cieszę się, przyjacielu. Nie zapomnę ci tego.

Strażnik pobiegł i wkrótce wrócił. Był przerażony, ledwo mógł mówić.

— Śpiesz się, Agisa prowadzą na sąd.

— Rozmawiałeś z nim?

— Rozmawiałem. I doręczyłem mu wstążkę.

— I co?

— Powiedział, że zabrania rozlewu krwi. Głośno, tak że słyszeli wszyscy kopijnicy. Ale ty nie zważaj na to, ratuj go...

Lizandros zawrócił najkrótszą drogą do miasta. Nie mógł biec szybko. Za każdym szybszym krokiem jakiś gwałtowny, ostry ból przeszywał mu piersi. Pierwszy raz w swoim życiu doświadczał podobnego uczucia. Był raczej zdziwiony niż zaniepokojony tym bólem. Oby jak najprędzej zebrać swoich hoplitów. Spotkał wkrótce trzech, których zdążył zawiadomić wysłany przedtem chłopiec.

— Zawróć, Polytroposie, na agorę. Weź od któregoś straganiarza kocioł i bij na trwozę. Kiedy ludzie się zlecą, wołaj, że w Dechas mordują Agisa. Ty, Alkimosie, biegnij do gimnazjonu, powiedz Ksenaresowi, niech przyśle najstarszych ejrenów. A ty, Tlemonidasie, biegnij do królowej Agezystraty. Niech uzbroi wszystkich helotów i służbę i niech podążają tutaj. Zaczekam tu w zaroślach, przynieś mi miecz i tarczę.

Lizandros usiadł pod krzewami w pyle drogi. Ból w piersi wzrastał się, chwilami trudno mu było oddychać.

„To chyba serce — pomyślał — ale zanim nadejdą moi ludzie, uspokoi się. Nie przypuszczałem nigdy, że serce może sprawiać takie cierpienie”.

Zaledwie Agisowi przeszło zamroczenie wywołane uderzeniem głową o ścianę, wyciągnęli go na sąd. Damochares i Amfares poprowadzili go ku świątyni Fobosa. Ze wszystkich stron dziedzińca zbiegli się kopijnicy i otoczyli idących, aby obejrzyć uwięzionego króla, i dlatego strażnikowi Tribonowi udało się wręczyć Agisowi wstążkę i przekazać słowa Lizandrosa. A on głośno powiedział, że zabrania rozlewu krwi. Dziwili się kopijnicy, że w obliczu śmierci ten niezwykły człowiek nie myśli o swojej obronie. Podobał się im i żalowali go. Podobno występował przeciw bogaczom, dlatego oni pojмали go i chcą się zemścić. Niejeden z tych obieżyświatów i hultajów pomyślał, że nie stawiałby oporu, gdyby ktoś wystąpił w obronie nieszczęśliwego.

Kiedy Agis stanął na stopniu wiodącym do świątyni Fobosa, szybkim ruchem założył na głowę opaskę królewską. Drzwi świątyni były otwarte, Agis jednym rzutem oka zobaczył jej wnętrze. Białe, nie malowane stolik pośrodku, za nim pięć krzesel eforów, po obu stronach trony królewskie i sześć krzesel dla gerontów. Obok stołu, na przedzie, klęcznik dla podsądnych. Ktoś już w świątyni był. Stał przy małym posążku Fobosa i gdy Agis wszedł, odwrócił się. Agis poznał Leonidasę.

— Klęknij! — rozkazał Leonidas i wskazał na klęcznik dla podsądnych, ale Agis przeszedł spokojnie, pełnym królewskiego majestatu krokiem i usiadł na jednym z „tronów”. Leonidasę zalała wściekłość: zobaczył na głowie Agisa królewską opaskę. Co za durnie ci trzej płatni pomocnicy! W drzwiach zrobił się ruch i zamieszanie. To ku krzesłom sędziowskim przeciskali się wśród kopijników geronci i eforowie. Pierwszy szedł Amfares, potem

Arkezylaos, dwaj dobrani przez Leonidasa eforowie: Ilarchos i Alypetos, i ktoś piąty, pod opieką strażników. Agis poznał: to uwięziony szlachetny efor Archytas. Jednak złamali go. Też będzie sądził — może za cenę własnej wolności? Wśród gerontów Agis ujrzał zdziecinniałego starca Astyochosa, tego, o którym opowiadano, że za większy woreczek złota przeszedł na stronę Leonidasa podczas pamiętnego głosowania w geruzji nad projektem reformy. Ujrzał także Derkilidasa o długim nosie i włochatych nozdrzach, Mindarosa o niskim czole i kudłatej głowie, bogatego Skytesa o mętym spojrzeniu i dostojnej, siwej brodzie, ponurego Sotiadasa i przygarbionego wiekiem Anaxibiosa. Ten ostatni go zadziwił: tamci wszyscy to zapamiętali wrogowie reformy, ale Anaxibios? Głosował nie przekupiony za reformą, zawsze okazywał dużo życzliwości Agisowi i jego przyjaciółom. Co go skłoniło do przybycia na ten koszmarny sąd?

Zanim rozpoczęła się rozprawa, Leonidas pochylił się ku Damocharesowi, siedzącemu na trójnogu obok jego tronu, i coś mu szeptnął. Damochares wstał, podszedł do drzwi, grubiańsko pchnął cisnących się kopijników i zatrzasnął drzwi. Mroczną świątynię rozjaśniały teraz tylko nikle płomyki lampy oliwnej, wiszącej nad posągiem Fobosa, straszego bóstwa o otwartych w krzyku ustach, wytrzeszczonych oczach i wykrzywionej w panicznym przerażeniu twarzy.

Amfares podniósł się z krzesła, podszedł do lampki oliwnej, rozpałił jedną drzazgę z pęczka przygotowanego na ten cel, leżącego u stóp bożka. Od płomienia drzazgi zapalił lichtarze umieszczone po obu stronach posągu. Znajdowały się tam, starannie ułożone, wysuszone smolne drewnienka. Płomyki skoczyły w górę, zatrzeszczały rozpalające się drzazgi, w świątyni zrobiło się prawie widno. Amfares stuknął trzy razy laską efora w stół. Zabrał głos Leonidas jako oskarżyciel. Oskarżenie było krótkie: Agis podczas swego czteroletniego urzędowania jako król kilkakrotnie próbował nadużyć władzy, aż mu to się wreszcie udało i skasował długi, krzywdząc szlachetnych wierzyteli, i rozpoczął zgubną reformę, przez co naraził państwo na niepokój wewnętrzny i straty. Dzięki niemu niegodny Agezylaos, hulaka i naciągacz, został eforem i potem niecnie rabował obywateli, aby złotem obsypać nierządnicę. Obydwaj doprowadzili Spartę do ruiny. Agis robił to celowo, dążył bowiem do tyranii. Za takie zbrodnie należy karać śmiercią.

Agis słuchał spokojnie oskarżenia. Przyglądał się Leonidasowi, jakby szacował jego królewską opaskę, nabijaną złotymi blaszkami i drogimi kamieniami, kosztowny płaszcz, złoty, ciężki łańcuch na szyi, cenne pierścienie, którymi miał ozdobione palce.

— Skończyłeś, Leonidasie? — zapytał, kiedy tamten umilkł. — Czy pamiętasz, co Pytia powiedziała Likurgowi? Przypomnę ci: „Nic, tylko żądza bogactw zgubi Spartę”. Czy w całej Sparcie znajdzie się drugi człowiek tak chciwy bogactw, jak ty? Po trupach ludzi niewinnych doszedłeś do swoich olbrzymich majątków. Proroctwo Pytii na tobie się sprawdza. Ty zgubisz Spartę.

— Milcz! — krzyknął zrywając się z miejsca Leonidas. — Zamuruję ci tę gębę.

— Niech mówi — zaseplenił, budząc się ze snu, zdziecinniały geront Astyochos. — Król spartański ma prawo przemawiać do obywateli.

— Zamiast atakować króla Leonidasa — powiedział długonosy Derkilidas — powinieś się bronić, Agisie.

— To nie ja, to wy powinniście się bronić — odpowiedział spokojnie Agis. — Moja sprawa jest słuszna i wy o tym dobrze wiecie. Dlaczego nie oddajecie jej pod sąd ludu, tak jak każe prawo?

— Hardy jesteś, Agisie — surowo zgromił go kudłaty Mindaros. — Zamiast zjednać nas swoją skruchą...

— Wyście skazali mnie na śmierć, zanim weszliście do tej sali i jeszcze żądacie ode mnie skruchy?

— Agisie, opamiętaj się — zacinając się powiedział ponury milczek Sotiadas.

— Opamiętać się? A czy wyście się opamiętali? Podstępem ściągnęliście mnie do więzienia, depreczując najświętsze prawa Sparty, sędzicie mnie teraz w pośpiechu. Moja sprawa, wedle odwiecznych praw Sparty, powinna być sądzona na zgromadzeniu ludu, w obecności wszystkich gerontów.

— Prawa dyktują silni — powiedział Leonidas.

— Tak, wasze prawa karzą nie winnych, lecz pokrzywdzonych. Wasze prawo to interes silnych. Wasze prawo to głód wydziedziczonych spartiatów, to setki niemowląt zrzucanych ze skał Tajgetu, bo ojcowie nie mają dla nich nic, ani koszuli, ani kromki placka jęczmiennego. To jest wasze prawo dla ludu. A dla was nie kończące się pijackie uczty, pachnidła zamorskie dla waszych kochanek i kochanków, skrzynie pełne złota. Nie dajecie odebrać sobie tego, coście zrabowali. Dlatego posługujecie się zdradą, przekupstwem, przemocą. Dlatego skazaliście na śmierć mnie, dlatego zabijacie moją reformę. Wy, zbrodniarze, ubraliście się w szaty sędziów. To wy powinniście znajdować się na tym klęczniku, a powinien was sędzić lud.

Agis mówił gwałtownie, szybko, podniesionym głosem. Wiedział, że jeśli na moment przerwie, nie pozwoli mu dokończyć. Za drzwiami słuchają kopijnicy, niech szeroko po ziemi greckiej rozniosą jego słowa.

Spojrzał na zgnębioną, wynędzniałą twarz efora Archytasa i zasmucił się. W oczach jego czytał ogromne współczucie, ale i coś więcej jeszcze. Tak, efor Archytas zgadzał się z nim, ale milczał. Wielka jest cena odwagi i Archytas nie śmiał jej płacić.

Na trójnogu obok Leonidasa kiwał się Damochares. Agisowi wydało się, że jest on bardziej pijany, niż kiedy przyszedł do świątyni Ateny, aby go wyprowadzić na ten ostatni spacer. Agis umilkł wyczerpany. A wtedy chrząknął przygarbiony wiekiem Anaxibios i poprosił o głos. Ale nie wiedział, od czego zacząć. Znalazł się w Dechas przypadkowo. Szedł ulicą do swojej córki, kiedy zaczepił go Lakratidas i powiedział, że w jakiejś nagłej, ważnej sprawie jego ojciec Derkilidas pojechał na zebranie gerontów w Dechas. Zdziwił się Anaxibios, że go nie zawiadomiono, ale pomyślał, że może nawet był u niego posłaniec, tylko nie zastał go w domu. Podreptał więc spieszenie do Dechas i przeraził się, usłyszawszy, że ma się odbyć sąd nad Agisem. Zląkł się przede wszystkim o siebie: w Sparcie wie każdy, co myśli drugi. O jego przychylności dla Agisa wiedzą wszyscy. Skażą Agisa na śmierć — wyrok skazujący nie ominie i jego, Anaxibiosa. Siedział więc jak na rozżarzonych węglach i lęk twardą garścią ścisnął mu gardło. Czemu nie cofnął się sprzed bramy, kiedy dowiedział się o sprawie? Nie przypuszczał, że wszystko odbywać się będzie w tak gwałtownym pośpiechu. Patrzył na przemawiającego Agisa, i serce mu się krajało na myśl, że ten młody, wdzięczny jak boski Ganimedes chłopiec zawiśnie na pętli w kaźni Dechas. Chrząknął parę razy i sam się zdziwił, kiedy usłyszał swój głos zmieniony, drżący, nieśmiały:

— Przyznaj się, Agisie, żeś działał pod przymusem. To zgubny nacisk Agezylaosa i Lizandrosa stał się przyczyną twoich nieszczęsnych poczynań. Ejrenem zaledwie byłeś wkraczającym w wiek męski, kiedy się ta sprawa zaczęła. Nie mogłeś sobie zdawać sprawy ze swych błędów. Otumanili cię, zgubili.

Wzruszenie przebiegło lekkim drżeniem po twarzy Agisa. Anaxibios odważył się go bronić. Jeśli się przyzna, że był narzędziem w rękach Agezylaosa, może się ocalić, a przynajmniej odwlec sąd do zwołania apelli.

— Pomnij, Agisie — po raz pierwszy zabrał głos efor Archytas — że w domu oczekuje cię żona i synek maleńki, któregoś jeszcze nie widział.

Agis ukrył twarz w dłoniach i po drżeniu ramion Archytas poznał, że cierpi. Ale trwało to nie dłużej niż krótka modlitwa do Zeusa. Agis podniósł głowę. Był znów spokojny.

— Tchórz tylko w obliczu śmierci wyrzeka się swoich przekonań. Nie gniewaj się, Anaxibiosie, wiem, że twoje intencje były szlachetne. Reforma, odrodzenie Sparty i przywrócenie jej dawnej potęgi to był mój pomysł i cel mojego życia. Nie wyrzeknę się jej, jak nie wyrzekam się wiary ojców moich i mojej ziemi ojczystej.

Brzmiało to jak uroczysta przysięga.

— Gubisz się, Agisie — szepnął smutno efor Archytas. — Wiesz przecie, że przegrałeś.

— To nie ja przegrałem, lecz oni — Agis wskazał palcem Leonidasa, Amfaresa, Damocharesa i Arkezylaosa. — Boicie się. Lęk przed gniewem ludu dyktuje wam ten pośpiech, z jakim mnie sądzą. Fobos będzie waszym towarzyszem do końca waszych dni.

— Mamy wojsko na twój lud. Nie strasz nas — powiedział Leonidas.

— Macie najemników. Obcy żołdacy to słaba obrona przed gniewem własnego ludu.

— Milcz, bankrucie! — wrzasnął Leonidas i twarz jego stała się odpychająca w gniewie. Na policzkach wykwitły mu ciemne plamy wypieków. Zwracając się do eforów zapytał chrapliwie: — Czy długo mamy jeszcze gadać z tym szaleńcem?

— Nasze prawa pozwalają oskarżonym bronić się — powiedział Derkilidas, który nienawidził Leonidasa i rad był, że Agis szczególnie go atakuje.

— Głosujemy — warknął Amfares. Było to pierwsze słowo, które wymówił w tej sali.

— Tajnie? — zapytał dzieciętniały Astyochos.

— Jawnie — odpowiedział Amfares. Bał się, że mimo wszystko sędziowie nie będą zgodni w głosowaniu.

— Król Leonidas! Ty, królu, głosujesz pierwszy.

— Śmierć — powiedział Leonidas — i atimia dla Agezylaosa.

— Śmierć — powtórzyli kolejno geronci Derkilidas, Mindaros, Astyochos, Skytes, Sotiadasi i dwaj niedawno wybrani eforowie Ilarchos i Alypetos.

Amfares za każdym wyrokiem brał z glinianej wazy czarne ziarenko fasoli i kładł je na białej desce stołu.

— Śmierć — powiedział Arkezylaos. — Byłem dowódcą drużyny królewskiej. Wiem, że tam Agis też szerzył swoje teorie. Zgubną jest rzeczą, gdy wojsko zamiast ćwiczyć swoją sprawność bojową politykuje.

— A ty, Archytasie — Amfares spojrzał groźnie na znękanego efora — czemu nie głosujesz?

Archytas milczał chwilę, spuściwszy oczy. Na twarzy jego odbiła się straszna męka, ale kiedy spojrzał na Amfaresa, wzrok miał dziwnie jasny i czysty.

— Nie splamiłem się w całym moim życiu żadnym niegodnym. I przy schyłku moich lat nie będę maczał rąk w krwi niewinnego. Głosuję za uwolnieniem szlachetnego króla Agisa. Odprowadźcie mnie z powrotem do celi więziennej.

— Idiota — syknął Leonidas.

— A ty, Anaxibosie?

— Głosuję za oddaniem sprawy króla Agisa pod sąd apelli — odpowiedział spokojnie.

— Głosuję za wyrokiem śmierci — powiedział Amfares i położył ostatnią, czarną fasolę na stół. — A więc dziewięć ziaren czarnych, jedno białe. Wniosek Anaxibiosa upada, bo nikt go nie poparł. Ogłaszam wyrok śmierci na Agisa, króla Sparty. Termin wykonania wyroku...

— Natychmiastowy! — krzyknął Leonidas.

— Wyrok ma być wykonany natychmiast — powtórzył Amfares, pochylił się do Leonidasa i chwilę coś szeptał. Potem wyszedł na dziedziniec i sprowadził trzech kopijników.

— Słuchajcie, hoplici — zwrócił się do nich, jak najprzyjemniej modulując swój głos — macie wykonać karę śmierci na tym oto skazańcu.

— Kiedy nas dostojny król Leonidas godził na służbę, nie zastrzegął, że mamy pełnić funkcje katów — powiedział śmiało podoficer. — Nie podejmujemy się wykonania wyroku.

— Zrobicie to dodatkowo — pospieszył z wyjaśnieniem Amfares. — Każdy z was dostanie po pięć monet srebrnych.

— Tak nisko szacujecie głowę waszego Heraklidy? — roześmiał się drwiąco podoficer. — W byle jakiej potyczce z wrogiem więcej się zarabia.

— Dam wam po pięć monet złotych — wtrącił Leonidas. — Jestem zadowolony z waszej służby.

Żołnierze popatrzyli po sobie. Wiedzieli, kim jest skazaniec. Sława jego spod Koryntu maszerowała szybciej niż sandały żołnierskie. To ten król, który szanuje w żołnierzu człowieka. Pięć złotych monet... Piękna suma... Podoficer przeciął ich wątpliwości:

— Życie człowieka jest igraszką w ręku bogów, a żołnierza w szczególności. Nie chcemy obrażać boskiego Heraklesa, mordując jego potomka. Klątwa bogów to straszna rzecz. Znajdźcie sobie innych katów.

I żołnierze wyszli. Amfares wybiegł na dziedziniec. Wrócił po chwili wzburzony. Żaden ze strażników nie chce podjąć się wykonania wyroku. Wszyscy wykręcają się Heraklesem.

Leonidas położył rękę na kolanie Damocharesa, pochylił się do jego ucha:

— Jeśli Agis przeżyje do północy — powiedział dobitnie — pożegnaj się na zawsze z myślą o Agiatis.

Damochares wstał, kopnął zdrową nogą krzesło, aż potoczyło się pod ścianę, odbiło, upadło z głuchym hukiem i podszedł do Agisa:

— Chodź — powiedział przez zaciśnięte zęby, i ścisnął go za ramię.

Agis spokojnym ruchem uchylał się od tego uścisku.

— Zostaw, sam pójdę.

Wstał z krzesła, postąpił ku sędziowskiemu stołowi i powiedział:

— Dzień mego zwycięstwa nadejdzie. Mściciele wyjdą z waszych szeregów. Apollo włoży im swój łuk i strzały do ręki. Strzeżcie się.

I skierował się ku drzwiom. Za nim sapiący jak rozjuszony byk Damochares i zwinny jak tancerz Amfares. Sędziowie siedzieli nieporuszeni. Nawet Leonidas poczuł na twarzy oddech Fobosa. W godzinę śmierci bogowie dają skazańcom dar jasnowidzenia. Jaką przyszłość zobaczył skazany, wieszcząc im o swoim zwycięstwie i ich przegranej? Czy zapowiedział im śmierć z rąk własnych sojuszników? Stenelaos pomyślał, że warto by było go zawrócić, aby myśl swoją wypowiedział jaśniej, ale zląkł się. Niech lepiej przyszłość pozostanie ciemna, jak ciemne jest życie.

Na dziedzińcu wśród kopijników stali strażnicy więzienia. Jeden z nich, Tribon, zalany łzami schylił się do nóg Agisa i chciał coś powiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa, jęknął tylko głucho. Usłyszał spokojne słowa:

— Nie płacz nade mną, człowiecze. Bo chociaż ja ginę wbrew prawu i sprawiedliwości, i tak jestem wyższy od sprawców mojej śmierci *.

Agis spojrzał na niebo czyste i pogodne, na koronkowe szczyty Tajgetu oblane łuną zachodu i na drogę biegnącą ku świątyni Ateny Chalkoikos. Ujrzał tam tuman kurzu i posłyszał ciężki tupot, jakby z gór pędzono stada owiec. Domyślił się, że to jego ukochany lud spartański pędzi z pomocą, ale już nie zdąży oddać za niego swojej krwi. Od drzwi domu śmierci, Dechas, dzieliło go zaledwie parę kroków, od ludu spieszącego na odsiecz — ze dwa stadiony. Nie przeczuł, że w pierwszym szeregu biegnących była jego matka Agezystrata i babka Archidamia.

Damochares otworzył drzwi domu śmierci. Agis spojrzał ostatni raz na błękitne niebo, na purpurowe szczyty Tajgetu. Uczuł piekący ból pod powiekami, obraz zamazał się, odsunął jakby we mgle, przed oczyma stanęła czarna pustka Dechas. Przystąpił próg, za nim wszedł jego najukochańszy do niedawna przyjaciel, sławny mistrz stadionów, najznakomitszy siłacz Hellady, Damochares. Amfares zatrzasnął za nimi drzwi, stał chwilę, a potem zawrócił ku bramie.

Było tam jakieś poruszenie. Kopijnicy chwyтали spod murów swoją broń, dowódca

* Plutarch: *Żywoty sławnych mężów*.

Charnidad wydawał rozkazy, których w ogólnym tumultcie nie można było zrozumieć. Amfares przyspieszył kroku. Poprzez bramę zobaczył tłum biegnących kobiet, dzieci, wyrostków. Uśmiechnął się drwiąco i czekał spokojnie. Tłum przybliżał się szybko, Amfares odróżniał już poszczególne okrzyki:

— Nie mordujcie Agisa!

— Agis nasz!

— Lud go będzie sądzić!

— Pod sąd apelli Agisa!

Ku swemu zdumieniu i uciesze poznał wśród biegnących królową Archidamię i Agezystratę. Przynął twarz do krat bramy, aby go zobaczyły i poznały. Agezystrata zauważyła go pierwsza.

— Ratuj go, eforze, wszak jesteś jego przyjacielem!

I upadła na kolana wznosząc błagalnie ręce.

Była śmiertelnie blada, włosy jej się rozwiały, w oczach paliła się rozpacz.

— Nie martw się, królowo! — dźwięcznym, donośnym głosem zawołał Amfares. — Czuwam nad Agisem, nic mu się złego nie stanie. Jeśli chcesz, możesz się z nim zobaczyć!

— Dzięki ci, eforze. Niech cię bogowie nagrodzą. Pozwól wejść i mojej matce.

— Z przyjemnością — skwapliwie powiedział Amfares. — Hej, strażniku, uchyl bramę.

Tribon wsunął ciężki klucz w zasuwę i wyszeptał schylając się ku Agezystracie:

— Na bogi, pani, nie wchodź tutaj. To zdrada.

Spojrzała na niego nie rozumiejącymi oczyma, ale za nią już wsunęła się królowa Archidamia i Amfares przyciągnął skrzydło bramy.

— Gdzie Agis? — królowa Agezystrata rozejrzała się po dziedzińcu. — Nie znam przeznaczenia tych strasznych budynków.

— Agis przebywa w najcichszym z nich — odpowiedział Amfares. — Chodźcie. — I skierował się z nimi do małego budynku bez okien, z którego w tej chwili wyszedł Damochares. Królowa podbiegła ku niemu, ale Damochares nie widział nikogo. Patrzył przez chwilę na swoje ręce, otarł je jedną o drugą, wydało mu się to widać niewystarczające, rozejrzał się wokoło, jakby w poszukiwaniu wody oczyszczającej, ale kiedy jej nie znalazł, wytarł ręce połą płaszczą i ciągle nie widząc nic wokoło poszedł, kulejąc, przed siebie.

— Co mu się stało, Amfaresie? — zapytała strwożona Agezystrata.

— Och, nic, dostojna. Trochę zgłupiał przez swoje kalectwo. — I kłaniając się nisko przed Archidamią, powiedział unizenie: — Wejdz, czcigodna królowo, zobaczyć Agisa. A potem wpuszczę cię, królowo Agezystrato. Lizandros mówił, że jestem niewdzięcznikiem, a patrz, spłacam dług wdzięczności — i lekko popchnął Archidamię w drzwi Dechas.

— Ja tego nie mówiłam. Ani Agis — zastrzegła się królowa Agezystrata. — Jestem ci wdzięczna, Amfaresie.

Roześmiał się chrapliwie, złowrogo i wszedł do Dechas, zamykając za sobą drzwi. Królowa wstrząsnęła się i rozejrzała wokoło. Na twarzach zbliżających się strażników i kopijników widziała zgrozę i przerażenie. Ale nic nie rozumiała. Skorzystała skwapliwie z zaproszenia Amfaresa, gdy ten po chwili otworzył drzwi i powiedział grzecznie:

— Wejdz, proszę.

Leonidas skrzywił się, kiedy mu oficer Charnidad zameldował, że Amfares rozprawia się z królową Archidamią i Agezystratą. Ale uspokoiła go myśl, że ogromne majątki obu królowych przechodzą w spadku na maleńkiego syna Agisa i jego matkę. O, Leonidas miał dalekosiężne plany, a jego durni sojusznicy przynosili mu nieocenioną pomoc. Jak łatwo będzie udowodnić teraz na apelli, że on nie maczał palców w żadnej z tych zbrodni! Do świątyni Fobosa, gdzie Leonidas jeszcze odpoczywał po trudach sądenia, wtoczył się Damochares.

— Załatwiłem go — wychrypiał ponuro. — Kiedy mi dasz Agiatis?

— Jak tylko skończy się żałoba państwowa — odpowiedział Leonidas. — Będzie to piękne weselisko tessalskiego byka z gazelą.

Tak wysoka ocena jego męskich walorów pochlebiła Damocharesowi, tylko co to jest ta gazela?

— Dlaczego obrażasz moją przyszłą żonę? — zapytał z gniewem.

— To jest najwyższa pochwała, jaką mogę złożyć jej urodzie i skromności — odparł Leonidas. — Gazela to piękne stworzenie, bardziej smukła i zręczniejsza niż sarna, żadne żywe stworzenie nie dorównuje jej urodą i wdziękiem.

Wszedł Amfares. Oczy miał przekrwione, w kącikach ust pianę. Wyglądał jak podrażniony ryś, który rzuci się zaraz na każdego, kto ośmieli się go zaczepić. Ale Leonidas nie zwracał na niego uwagi. Rozmawiał w dalszym ciągu z Damocharesem. Amfares usłyszał koniec zdania:

— ...a więc twoje zasługi, przyjacielu, powinny być uczczone osobnym ołtarzem na agorze. Damy ci przydomek: Soter — Zbawca.

„Zgrywa się, stary błazen — pomyślał Amfares. — W ciągu jednej nocy nieznani sprawcy zwał ołtarze takich zbawców, jak Damochares”.

— Gdzie się podzieli nasi dostojni sędziowie — rozejrzał się Leonidas. — Czyżby już opuścili Dechas?

— Boją się wyjść, bo przed bramą wzburzony tłum. Siedzą z tyłu świątyni na stopniach — odpowiedział Amfares. — Jesteśmy tu uwięzieni nie wiadomo na jak długo.

— Zbliża się czas wieczerzy — przypomniał Leonidas — wielu rozejdzie się dobrowolnie do domów. Każ wypuścić efora Archytasa, tę słodką bułkę dla ludu, ich ulubieńca. Z nim odejdzie sporo. A inni uciekną, gdy spostrzegą, że ich tak mało.

Leonidas trafnie ocenił sytuację. Zapłakani ludzie zaczęli się rozchodzić. Wielu przepędzało strach. Niedobrze się znaleźć w pobliżu straszego Dechas, gdy zapada ciemność wieczorna. Tu władzę ma Hekate i tańczą upiory.

Leonidas kazał przywołać oficera kopijników, Charnidada:

— Obejmiesz straż nad Dechas. Ktokolwiek chciałby zbliżyć się do domu śmierci, zatrzymaj go, nawet gdybyś musiał użyć broni, i osadz w celi do mego powrotu. Przyjedziemy tu po północy, aby sprawić godny pogrzeb zgładzonym przestępcom.

— Rozkaz, królu — odpowiedział Charnidad i wyszedł.

— Co zamierzasz zrobić, królu Leonidasie? — zapytał z niepokojem Amfares.

— Nie wiesz, jak się w Sparcie grzebie przestępców? — drwiąco odpowiedział Leonidas. — Osobiście chcę przypilnować transportu do Kaiadas.

Amfares zatrwożył się. Można człowieka zamordować, złożyć się ofiary oczyszczające i przebłaga bogów. I można potem spokojnie chodzić po świecie. Ale odmówić pogrzebu wedle praw boskich? Aby potem do końca życia ściagały sprawcę straszne Erynie?

— Jak chcesz, Leonidasie, ale mnie zwolnij od tego obowiązku. W związku ze zbliżającym się ślubem mam dużo roboty — Amfares był w strachu, nie wiedział jak Leonidas przyjmie niezręczny wykręt. Zdziwił się, gdy ten powiedział przyzwalająco:

— Możesz nie przychodzić. Ale Damochares musi mi towarzyszyć.

— Dobrze — odparł krótko Damochares. — Do północy daleko, więc chyba pójdę do domu przespać się trochę. A ty, Amfaresie, nie wykręcaj się. Mordę ci zbiję, jeśli nie przyjdiesz.

Amfares zachnął się, ale nic nie odpowiedział.

Leonidas kazał zaprząć wozy. Zapraszał do swego pojazdu Damocharesa, Amfaresa chciał wpakować razem z eforem Arkezylaosem, ale obaj przyjaciele odmówili. Przejdą się trochę, do domów mają niedaleko. Leonidas okazał nadzwyczajną troskliwość. Jako ochronę dał Amfaresowi dwóch kopijników, dla Damocharesa przeznaczył dwóch swoich najbardziej zaufanych służących: Amfiona i Meletosa.

Wprawdzie Damochares nie chciał ochrony i pokazał swoje pięści, które starczą za dziesięciu cherlawych służących, ale Leonidas był szczerze zatroskany, by przyjaciółom nie przytrafiła się jakaś przygoda.

— Wszyscy wracają ze strażą przyboczną — powiedział — dlaczego mam się niepokoić o was, moich drogich przyjaciół, kiedy sami, w ciemności, będziecie wracać do domu?

Wzruszeni troskliwością wszechwładnego teraz w Sparcie króla przyjaciele wzięli się pod ręce i wyszli w towarzystwie czterech swoich opiekunów. Damochares milczał, tylko Amfares zaczął się zwierzać:

— Oddałem Leonidasowi przysługę wykańczając te dwie baby, no nie? Mogły brudzić, pozywać przed sąd... a tak... umarli nie potrafią się bronić... Stara pisnęła jak ranna kuropatwa i koniec... Tylko Agezystrata... bohaterka... Najpierw wzięła na ręce Agisa, ułożyła go na deskach, potem starą, przykryła ich swoim białym płaszczem, a potem...

Przystanął i powtórzył, udatnie naśladowując głos Agezystraty:

— „Synu, twoja to wielka oględność, twoja łagodność i dobroć dla ludzi zgubiła cię, a z tobą nas!” * — I po chwili dodał tragicznym tonem: — „Oby to tylko wyszło na szczęście Sparty”! * Dumna Spartanka, he... he...

W tej chwili Damochares odepchnął go silnie od siebie i zawołał z pasją:

— Nie kpj ze Spartanek! Zęby ci wybiję... Ja cię... bo ja... — splunął w stronę Amfaresa i cisnął obelgę — świnią!

— A ty to nie świnią? — zjadliwie zapytał Amfares.

— Świnią... Tak samo świnią... Gorzej niż świnią! Zdrajca!

I nieoczekiwanie oparł się o pień przydrożnej dzikiej oliwki i zaczął wymiotować.

Amfares spojrzał na niego z pogardą, splunął kilkakrotnie i poszedł przed siebie. Za nim, jak cień, przydzieleni mu dla bezpieczeństwa kopijnicy.

Damochares chwilę odpoczywał opierając się plecami o drzewo, potem spojrzał na stojących bezradnie Amfiona i Meletosa:

— Idźcie precz, sam dojdę do domu — i zaczął iść szybko.

— Król nam rozkazał, panie, strzec cię jak źrenicę oka — odpowiedział Meletos biegnąc za nim.

— Musimy wypełnić rozkaz króla — dodał Amfion. — Nie gniewaj się, panie.

— Więc wypełniajcie... — zgodził się Damochares. — Mądry jest król Leonidas... mój przyjaciel... Wiecie, dlaczego to zrobiłem? Nie wiecie, bo to tajemnica... On mi obiecał... Leonidas tylko wie i ja... Ale teraz mogę wam powiedzieć... Wszyscy będą wiedzieli za parę dni... Leonidas obiecał mi najpiękniejszą i najbogatszą kobietę Sparty... Najpiękniejszą... Hefajstos i Afrodyta... byk i gazela...

Stanął, zamruczał coś jeszcze. Amfion jakby chciał dokładniej zrozumieć ten bełkot, przysunął się blisko do niego, oparł się pierś o pierś. W rękę jego błysnęło ostrze wąskiego sztyletu, Damochares nie poczuł nawet lekkiego draśnięcia.

— Najpiękniejsza — powtórzył — rozumiesz? — I zwał się do nóg Amfiona.

Lizandros nie czekał długo na swoich hoplitów. Nim zapadł zmierzch, miał ich przy sobie dwie setki. Wszyscy byli uzbrojeni. Uformował ich w szyk bojowy i ruszyli na Dechas. Wprawdzie kopijników jest więcej, ale może nie dojdzie do bitwy. Zażąda tylko wydania Agisa. Obieca im nawet okup. Będą durniami, jeśli się nie zgodzą.

Dzieliło ich od Dechas może półtora stadionu, kiedy na placu przed więzieniem zobaczyli tłum ludzi głośno lamentujących. Lizandros wstrząsnął się. Takie zawrodozenie słyszy się tylko na pogrzebie. Mały chłopiec wybiegł im naprzeciw.

— Nie idźcie tam! Król Agis nie żyje! I pani Archidamia nie żyje, i królowa Agezystrata!

* Plutarch: *Żywoty sławnych mężów*.

— Tyś rozum postradał! — zawołał przeraźliwie Lizandros i potrząsnął za ramiona wystraszonego chłopca. — To kłamstwo!

— Strażnicy krzyczeli tak przez bramę więzienną. I wszyscy ludzie płaczą.

W ciszy wieczornej, po rosie, głosy zawodzących rozchodziły się daleko.

Lizandros stał chwilę, ściskając aż do bólu miecz w obu dłoniach. Szeregi jego hoplitów falowały niespokojnie. Lizandros słyszał gniewne pomruki i sapanie. Tak szykuje się do skoku podrażniony niedźwiedź.

Lizandros zwrócił ku nim pobladłą twarz:

— Słuchajcie, hoplici. Miłowaliśmy wszyscy Agisa. Miłowałem go goręcej może niż wy, bo znałem go bliżej, bo był moim druhem i przyjacielem. Zapamiętajcie dobrze imiona morderców: Amfares, Arkezylaos, Damochares, i zbrodniarza wśród zbrodniarzy największego: Leonidasa. Musimy skryć się tu, wśród pobliskich krzewów i gdy uspokoi się trochę, pójdziemy zabrać zwłoki zamordowanych, aby im sprawić należyty pogrzeb. Zgadzaście się?

— Tak jest — przetoczył się okrzyk jak grom przez szeregi.

Zaszyli się w gąszczu dzikich oleandrów i pistacji rosnących przy murach więziennych. Lizandros rozkazał, by wszyscy stanęli wokół niego. Podniósł miecz w górę i powiedział:

— Słuchajcie mnie, hoplici. Oto przed murami Dechas, w waszej obecności złożę przysięgę. Jeśli jej nie wykonam, każdy z was ma prawo zabić mnie jak parszywego psa. Słuchajcie i zapamiętajcie: — Przysięgam na Zeusa Mściciela, na Atenę Mścicielkę, na Apollina Mojragetesa, na Enyaliosa Mściciela, na Hekate, na straszne córki Gai, karzące boginie zemsty, Erynie, że nie zaznam spokoju, nie spocznę w ciepłe domowego ogniska, że nie zaznam szczęścia i radości, dopóki mordercy Agisa nie poniosą kary za swe czyny. Wysłuchaj mnie, boże jasności i sprawiedliwości, Zeusie Gromowładny!

— Weź od nas przysięgę i chodź z nami dokonać zemsty! — zaczęli wołać żołnierze wskazując na Dechas.

— Czy wiecie, jaka była ostatnia wola króla Agisa? — powiedział Lizandros. — Zabronił rozlewu krwi spartańskiej. Dał się zamordować, aby was oszczędzić. Kopijników Leonidasa jest kilkakrotnie więcej, jeśli będziecie się z nimi bić, dużo z was zginie.

— Gotowi jesteśmy oddać krew, aby pomścić Agisa! — zawołał jeden zapalczywie, a inni zaczęli szczekać bronią.

— Agis nie przyjąłby tej ofiary. Zresztą kopijnicy są niewinni. Musimy pomścić się na prawdziwych sprawcach śmierci Agisa.

— Więc co mamy robić? — zawołał drugi żołnierz z rozpaczą.

— Czekać. Najpierw musimy sprawić godny pogrzeb zamordowanym. Zabierzemy ciała, gdy ludzie się rozejdą i Leonidas odejdzie z częścią kopijników. Musimy czekać nocy.

Plac przed więzieniem zaczął pustoszeć. Widzieli triumfalne wyjście uwolnionego z więzienia efora Archytasa, potem odjazd Leonidasa, gerontów i eforów. Czekali jeszcze jakiś czas, a kiedy kopijnicy rozeszli się, jedni poić konie w Eurotasie, inni w poszukiwaniu chrustu na ogniska, Lizandros uznał, że czas uderzyć. Zaczął wydawać instrukcje i rozkazy, gdy usłyszeli turkot kół na drodze. Dwa samotne, pojedyncze wozy, ukwiecone gałęzmi i kwiatami jechały w stronę Dechas. Lizandrosa to zaskoczyło. Zdecydował się przepuścić je. Kiedy pierwszy wóz skręcał w bramę więzienną, Lizandros rozpoznał woźnicę i zadrżał. To była Agiatis. Za późno na cofnięcie jej, za wcześnie na walkę. Ze wszystkich stron nadbiegli zaciekawieni kopijnicy. Lizandros rozkazał kilku najmłodszym hoplitom zostawić broń i wmieszać się między kopijników. Niech obserwują, co się będzie działo na dziedzińcu więziennym i dają znać.

Agiatis przygotowywała się do odwiedzenia Agisa w świątyni. Przewinęła w czyste pieluszki niemowlę, ubrała się starannie w różowy peplos, który Agis tak lubił, wysoko nad czołem upięła swoje jasne włosy.

Wysłała starego służącego Mysa, by uprzedził Agisa o jej wizycie. Mys już nie zdążył. Kiedy dotarł do świątyni, dowiedział się, że Agisa uprowadzono do Dechas. Nie pytał o nic więcej, tylko z prędkością, na jaką pozwalały mu jego stare nogi, zawrócił do królewskiego dworu. Królowa Agezystrata i babka usłyszawszy straszną nowinę, wybiegły przed dwór lamentując, zwołały całą służbę i podały do więzienia.

We dworze została tylko Agiatis, stara służebna File, chłopak stajenny i odzwierny przy bramie.

Ciężkie były chwile oczekiwania. Zaszło już słońce, mrok otulał ziemię, na niebie zalśniły pierwsze gwiazdy, a spod Dechas nikt nie wracał. Agiatis chodziła niespokojnie po komnatach, wyszła parę razy na taras, ale nie ujrzała nikogo w burej przestrzeni pól i drogi. Czuła się jeszcze bardzo słaba, chodzenie zmęczyło ją. Położyła się na łóżku. Przybiegła do niej Łasiczka Lais, wskoczyła na jej piersi i zaczęła poszturchiwać ją noskiem w podbródek. Agiatis zniecierpliwionym ruchem zdjęła ją i puściła na posadzkę. Łasiczka popatrzyła na swą panią uważnie, jakby zdziwiona, fuknęła i pomknęła za drzwi. Agiatis nie mogła długo uleżeć. Wstała, poprawiła kołderkę śpiącego synka i wyszła na taras. Mimo chłodnego wieczoru twarz ją paliła, a przez dłonie przebiegały gorące ognie. Starła się myśleć o synku, o sprawach codziennego dnia, ale wszystko, przywołane nakazem woli, rozplątywało się, mózg i serce wypełniało jedno rozpaczliwe wołanie: Agis!

Wreszcie oczekiwanie stało się tak ciężkie, że zeszła na dziedziniec, przywołała chłopca stajennego i rozkazała mu pójść do więzienia i natychmiast wracać z wiadomościami. Wróciła na taras, usiadła na ławeczce, bo nogi się pod nią uginały z osłabienia.

Po długim czasie, który wydał się Agiatis wiecznością, chłopak wrócił razem z Mysem. Z tarasu widziała ich przy bramie, stary ciągnął chłopaka w stronę domu, ale ten wyrwał się i głośno płacząc pobiegł do stajen. Mys stał na dziedzińcu. W świetle księżyca wydał się jej jakiś nieporadny, skurczony, jakby mu przybyło parę dziesiątków lat. Zeszła szybko z tarasu i podbiegła do starego.

— Mów, Mysie.

Mys rzucił się jej do nóg i zaczął tłuc głową o ziemię, jęcząc głucho. Powtórzyła zduszonym, nieswoim głosem:

— Rozkazuję ci, mów.

— O gołąbko moja najmilsza., o królowo złotowłosa — zaszlochał Mys — o biedna ty, biedna, gwiazdko świetlista...

— Mysie! — krzyknęła Agiatis. — Co się stało?

— Zamordowali sokoła jasnego... — zaszlochał Mys. — Zamordowali nasze dobre królowe...

Agiatis poczuła, że krew z serca odpływa jej do nóg, a serce staje się zimne i twarde jak kawałek lodu. Przed oczyma zatańczyły różowe światła.

Kiedy się ocknęła, leżała na ławie, a stary Mys nacierał jej skronie zimną wodą. Obok płakała cicho wierna niania File. Agiatis zbierała rozproszone myśli. Co ją dręczyło całe popołudnie i w ten przerażający pusty wieczór? Prawda, myśl o Agisie. Usiadła raptownie na ławie i ścisnęła dłońmi czoło, bo wydawało się jej, że pęknie.

— Muszę mieć siłę, muszę mieć dużo sił. Muszę.

Wstała z ławy i spojrzała na służebną.

— Słuchaj, nianiu. Weź ciepłą chustę, zawiń małego, ubierz się w ciemny płaszcz. Zaniesiesz dziecko do mego ojca, Gilipposa. Wyjdź przez furtkę w ogrodzie. Staraj się iść tak, aby cię nikt nie spostrzegł.

File przestała szlochać i w osłupieniu wpatrzyła się w swoją panią.

— Zrozumiałaś, File? Masz natychmiast iść — powtórzyła niecierpliwie Agiatis.

Kiedy File poszła wypełnić rozkaz, Agiatis powiedziała do Mysa:

— Idź do stajni i każ chłopcu zaprząć dwa wozy gospodarskie. Sam natnij dużo gałęzi oliwnych i laurowych. I kwiatów z ogrodu. Spiesz się, Mysie.

Mys spojrział z lękiem na Agiatis.

— Gołąbko jasna, co chcesz uczynić?

— Spiesz się, Mysie, czasu mamy mało — odpowiedziała spokojnie i stanowczo.

Mys nagle zrozumiał i znów padł do jej stóp.

— Pani nasza najmiłsza, zamordują cię! Nie chodź tam, nieszczęsna! Gwiazdeczko jasna, posłuchaj starego!

— Rozkazuję, Mysie — powtórzyła twardo Agiatis i skierowała się w stronę domu.

Wiedział, że na nic nie zdadzą się jego błagania. Rozumiał decyzję Agiatis. To prawdziwa córka Sparty. Nieulekła i nie cofająca się nawet przed śmiercią. Mys zerwał się i płacząc pobiegł do stajen. Potem wziął ostry nóż ofiarny z ołtarza Zeusa i poszedł w stronę tolosu, gdzie rosły oliwki i drzewka laurowe.

Chłopak stajenny zaprzął konie-, Mys naciął gałęzi i kwiatów, rozdzielił na dwa wozy, kiedy na dziedzińcu ukazała się Agiatis. Założyła biały, długi, powłóczysty chiton kapłański, włosy rozpuściła na plecy, głowę przewiązała czarną wstążką. Na wstążce jaśniała plama popiołu z domowego ogniska. Przez rękę Agiatis przewiesiła parę prześcieradeł.

Odźwierny otworzył bramę. Agiatis ruchem ręki wskazała chłopcu, by wyprowadził pierwszy wóz. Drugi poprowadził Mys.

Na drodze chłopak zatrzymał konie, Agiatis weszła na wóz, ujęła lejce w dłonie i skierowała konie w stronę Dechas. Mys ruszył za nią. Chłopak stajenny stał chwilę, drapiąc się z zakłopotaniem w głowę, potem dogonił odjeżdżających i usiadł z tyłu wozu Mysa.

Niebieska, cicha noc ogarnęła świat. Wierzono, że w takie noce bogowie schodzą na ziemię, by błogosławić ludziom. Ale w tę noc wszystkie bogi opuściły Spartę, Tam, gdzie rządzi zbrodnia i gwałt, wstają upiory.

Przed więzieniem było pusto. Wszyscy rozbiegli się w popłochu, kiedy jawna się stała potrójna zbrodnia. Kopijnicy, wedle rozkazu Leonidasa czekać mieli do północy. Część z nich popędziła konie nad Eurotas, aby wykapały się i napiły wody, reszta kręciła się na placu przed więzieniem. Nikt nie miał ochoty przebywać wewnątrz murów więziennych. Nawet zaprawieni do mordów żołdacy czuli lęk. Czy osłanianie swymi mieczami zbrodni mogą uważać za udział w niej? Do paskudnej roboty się wynajęli. Płonęło parę ognisk, mimo to żołnierze nie kwapili się z przyrządzaniem posiłku. Usłyszeli turkot na drodze, zobaczyli dwa wozy.

— Leonidas spieszy popelnić zbrodnię po raz drugi — powiedział podoficer, który odmówił wykonania wyroku na Agisie.

Kiedy wozy podjechały bliżej, ze zdumieniem ujrzeli na pierwszym wyprostowaną postać kobiecą. Na drugim wozie jechał stary człowiek, pewno służący.

Kobieta nie zatrzymując się przejechała obok ognisk i wóz potoczył się z łoskotem po twardych płytach więziennego dziedzińca. Za nią na dziedzińcu wjechał starzec.

Było to tak nieoczekiwane, że żaden z żołnierzy nie uprzytomnił sobie, że wozy należy zatrzymać. Dopiero na krzyk oficera Charnidada zerwali się od ognisk i wbiegli na dziedzińiec. Charnidad był pierwszy przy wozie. Spojrzął z bliska na twarz kobiety i przymknął oczy. Wydało mu się, że widzi jeden z posągów bogiń Akropolu. Ta biała, jakby wycięta z alabastru twarz nie miała w sobie ani śladu życia. Fałdy białego, kapłańskiego chitonu ułożyły się w linie proste, sztywne, połyskujące na załamaniach seledynem jak światło księżyca.

— Selene — szepnął w nabożnym skupieniu jeden z żołnierzy.

— Artemis — sprostował drugi.

Nieziemska zjawa rzuciła lejce i wolno, jakby każdy ruch sprawiał jej niewysłowione cierpienie, zeszła z wozu. Urok prysł. To ziemianka.

— Agiatis, żona Agisa — powiedział strażnik Tribon i pobiegł, aby otworzyć drzwi Dechas.

Charnidad pojął nagle, że dzieje się tu coś złego, niezgodnego z rozkazami, które otrzymał.

Agiatis milcząc szła w stronę Dechas. Charnidad zabiegł jej drogę.

— Pani... Królowo... tam nie wolno.

Podniosła na niego oczy nieprzytomne z rozpaczy. Charnidadowi zadrżało serce, poczuł suchość w gardle. Milczała chwilę, jakby zbierając rozpierzchłe myśli:

— Jesteś Grekiem?

Słowa wymówione były niegłośno, ale usłyszeli je wszyscy, nawet stojący dalej.

— Tak, pani.

— Powiedz, czy na całym świecie znajdziesz Greka, który ośmieliłby się zakazać spełnienia najświętszego obowiązku Greczynki — pogrzebania zwłok najdroższych jej osób?

— Mam rozkaz, pani... — rozpoczął rozdygotanym głosem Charnidad, ale nie słuchała go. Weszła w drzwi Dechas. Któryś z litościwszych żołnierzy poświecił jej pochodnią. Na dziedzińcu zapanowała taka cisza, że słychać było brzęczenie komarów i odległe cykanie piewików. Znad Eurotasu rozległo się przytłumione rżenie koni.

Charnidad stał bezradnie przed drzwiami domu śmierci. Czy jest Grekiem? Bogowie, któż bardziej może być Grekiem, jeśli nie on, „dziecko państwa”, sierota po żołnierzu, który zginął w obronie kraju wychowany na koszt Aten. Zapytała, czy odważy się zabronić jej spełnienia najświętszego obowiązku każdego Greka, pogrzebania zwłok bliskich. A on musi ją aresztować... Taki jest rozkaz tego, który zapłacił mu za jego posłuszeństwo, sumienie, wolność woli. Wszystko jest nieprawdziwe jak koszmar. Śmierć tego szlachetnego młodzieńczego króla, śmierć dwóch królowych...

Wydaje się Charnidadowi, że już kiedyś, we wczesnej młodości przeżył podobny, straszny sen. Akropolis. Teatr Dionizosa wykuty w zboczu skały... Pierwszy raz w życiu Charnidad, młodzieniec kończący efebų, w teatrze... Z mroków pamięci wypływa nagle imię, które nim wstrząsnęło. Antygona. Tak, już wie. Bohaterska dziewczyna, grzebiąca zwłoki zabitego brata wbrew zakazowi tyrana. Zapłaciła życiem za spełnienie świętego, przez bogów nakazanego obowiązku. Odważyła się złamać rozkaz królewski. I teraz jest to samo. Agiatis, niešťeśliwa żona, chce pogrzebać swego zamordowanego męża... Wypowiada posłuszeństwo rozkazowi królewskiemu. Poniesie za to karę, chyba śmierć... Taka młoda...

— I mnie też ukarzą — uprzytamnia sobie Charnidad z przerażeniem — za niewykonanie rozkazu. Ktokolwiek tu wejdzie, mam go osadzić w celi, nawet przy użyciu broni...

— Pamiętasz przysięgę efebów? — „Będę słuował zwierzchników w przepisach prawa... jeśli ktokolwiek zechce je zwalić, ja mu przeszkodzę ze wszystkich moich sił”...*

— Kto mi przypomina przysięgę? Dlaczego? — myśli tępo Charnidad. — Moim obowiązkiem jest posłuszeństwo. Król, który zapłacił mi za służbę, wydał rozkaz. Jeśli go nie spełnię... Surowo karze prawo żołnierzy łamiących rozkazy...

— Nawet takich, które godzą w odwieczne prawa bogów?

— Nie dręczcie mnie, bogowie, wåtpliwościami... natchnijcie myślą szczęśliwą... Co robić? Co robić?! Zeusie Wszzechmogący!

Okrzyk zamiera na ustach Charnidada.

Wzdryga się. W drzwiach Dechas staje Agiatis z pochodnią. Mówi cicho, ale słychać ją w najdalszych krańcach dziedzińca:

— Pomóócie mi zawinąć ich w całun śmiertelny.

Charnidad widzi, że kilku żołnierzy wchodzi do Dechas. Po chwili wychodzą i niosą białe całuny, w które spowite są ciała zamordowanych. Pieczółowicie układają je na wozach, przysypują kwiatami i gałazkami. Starzec i nieduży chłopak zawracają konie ku bramie. Za

* Fragmenty tekstu przysięgi efebów.

nimi idzie biała dziewczyna. Charnidad chce krzyżeć, zabronić, ale widocznie bogowie zamurowali mu usta, bo chociaż je otworzył, nie wydają żadnego dźwięku. Kopijnicy ustawiają się w długi szereg i stoją wyprostowani oddając zmarłym honory wojskowe. Wszystko odbywa się w tak upiornej ciszy, że Charnidadowi wydaje się nagle, że śni.

Kiedy żałobny kondukt dotarł do bramy, na drodze, tuż przed więzieniem, ukazał się oddział hoplitów. Kilku z podniesionymi oszczepami stanęło na czele konduktu. Te podniesione oszczepy to symbol krwawej zemsty dla morderców. Pojawienie się hoplitów było nieoczekiwane, wydawać się mogło, iż wyrosli spod ziemi. Blask księżyca zaśnił na ich hełmach, tarczach i mieczach.

Charnidad zrozumiał. To drużyna królewska przyszła po zwłoki swego króla. Gdyby nie jasna Agiatis, połalaby się krew spartańska, której upustu tak bał się zamordowany król.

I ku zdumieniu swoich żołnierzy Charnidad powtórzył głośno słowa niezapomnianego poety:

*— Czas to wyjaśni, bowiem czas jedynie
Sprawiedliwego najszuszniej oceni.
Jeden dzień może przekonać o winie.*

MŚCICIELE

Tolos, skromny przedsionek wspaniałych grobowców rodu Eurypontydów, w czasie swego kilkunastowiecznego istnienia po raz pierwszy gościł pod swoim dachem aż trzech członków królewskiego rodu. Z powodu ciasnoty ustawiono trzy paradne łóża ściśle jedno przy drugim. Pośrodku, przybrane w strój hoplity, spoczywały zwłoki króla Agisa, po prawej stronie — spowite w białe całuny zwłoki matki, królowej Agezystraty, po lewej — babki Archidamii. Mary przybrano kwiatami, które znosili ludzie z całej Sparty. Na dziedzińcu bez przerwy palił się ogień na ołtarzu Zeusa, kapłani czynili ofiary. Przed drzwiami tolosu honorową straż pełnili hoplici z drużyny królewskiej, zmieniając się co pewien czas, mierzony zegarem wodnym, ustawionym na dziedzińcu. W tolosie na podłodze siedziały płaczki z włosami przysypanymi popiołem, ale nie krzyżały ani nie zawodziły. Lęk dławiał im gardła. Na ogromnym dziedzińcu również było cicho, mimo że zebrało się tam ponad trzystu ludzi, w tym większość z drużyny królewskiej, poza tym bliżsi i dalsi krewni królewskiego domu, służba, dzierżawcy.

Na krużganku królewskiego dworu ukazał się Lizandros. Był we wspaniałym, błyszczącym hełmie, na piersiach miał pancerz połyskujący jak rybia łuska, przy boku miecz. Wracał z komnat młodej królowej, gdzie lekarz Damiades, Gilippos i niania File czuwali u łóża nieprzytomnej, rozgorączkowanej Agiatis. Od straszego Dechas szła za wozami, nie przyjęła ofiarowanego jej konia. W tolosie przypilnowała ustawienia mar, sama przybrała głowy zmarłych kwiatami. Potem kazała przynieść sobie nożyce. Zgarnęła dłonią rozpuszczone włosy i ścięła je krótko, nad uszami. Położyła je na ręce Agisa i powiedziała głośno:

— Kochałś warkocze moje, niech idą z tobą w zaświaty.

Oczy miała suche, nienaturalnie błyszczące i mimo że szeroko rozwarte, jakby niewidzące. Pochyliła się nad marami Agisa, ukłękła u jego stóp. Myśleli, że się modli, nie przeszkadzali jej, dopiero kiedy osunęła się na ziemię, Lizandros skoczył ku niej, podniósł ją. Była nieprzytomna. Lizandros z nienawiścią myślał o Gilipposie. Gdyby Gilippos stanął przy Agisie we właściwym czasie, nie byłoby tego tragicznego dnia. Odwłóczył decyzję, lawiro-

wał, a potem obraził się, kiedy Agezylaos przyduślił go podatkami i konfiskatami. Dopiero lęk o córkę zmusił go do przyścia w znienawidzony dom zamordowanego zięcia.

Lizandros wszedł do tolosu. Po raz ostatni chciał popatrzeć na twarz przyjaciela. Można odejść, tu już wszystko pójdzie swoim torem. Przygotowania do pogrzebu zakończone, jeźdźcy na koniach roznieśli tragiczną wieść po wszystkich zakątkach lakońskiego państwa, na dziedzińcu czuwa wierna straż. Lizandros wiedział, że musi już odejść, jeśli jeszcze tej nocy pragnie wykonać część zadania, które sobie wyznaczył. Zwlekał do północy, chciał zobaczyć, jak zachowa się Leonidas, kiedy wróci do Dechas, aby zabrać na zbeczeszczenie zwłoki Agisa. Straże Lizandrosa rozstawione w ukryciu, od Dechas aż do dworu królewskiego, miały dać znać o przybyciu Leonidasa. Rzeczywiście przyjechał zaraz po północy, szalał, gdy dowiedział się o wywiezieniu zamordowanych, ale kopijnicy zgodnie zeznawali, że Spartan była ogromna liczba, więc gdyby doszło do bitwy, rzeź byłaby wielka. Przybyli do Dechas również Amfares i Arkezylaos, chociaż odmawiali przedtem uczestnictwa w tej sprawie. Obaj byli uzbrojeni i na koniach, ale odjechali szybko, gdy Leonidas ruszył ze swoimi kopijnikami z Dechas.

Migotliwy blask od lampek oliwnych pełzał po twarzy Agisa, ożywiał ją, i Lizandrosowi wydawało się, że Agis się uśmiecha. Może się cieszy, że obyło się bez rozlewu krwi? Ale krew się jeszcze poleje... Po raz pierwszy w swoim życiu Lizandros uczył pod powiekami piekące łzy. Stał, zaciskając zęby, aż łzy wyschły, bo słabością niegodną Spartanina byłoby, gdyby im pozwolił spłynąć po twarzy. Jutro, nocą, jak każde obyczaj, zawiozą przyjaciela do grobowca, ale Lizandros będzie już stąd daleko. Nie złoży mu libacji na grobie, ale będzie za to składał inne ofiary, których spełnianie rozpocznie jeszcze dziś.

Wyszedł z tolosu i rozejrzył się. Na kupie kamieni nie opodal stajni siedzieli dwaj najwierniejsi chłopcy z gwardii Agisa: Diades i Eperatos. Oni dwaj najbardziej rozpaczali i rwali się do bitwy, oni dwaj najgłośniej wyklinali Leonidasa. Nie utrzymają się w Sparcie, grozi im, tak samo jak jemu, Lizandrosowi — atimia, a może nawet kaźń w Dechas. Muszą jeszcze dzisiejszej nocy uchronić ze Sparty.

Młodzieńcy wstali na widok zbliżającego się Lizandrosa. Zauważył, że obaj mieli zapuchnięte oczy, a więc i dla nich boleść była ponad miarę męskich sił.

— Czy wiecie, że musimy opuścić Spartę? — zagadnął Lizandros podchodząc do nich.

— Tak.

— Czy chcecie iść razem ze mną?

— Jeśli nas tylko zechcesz zabrać ze sobą, wodzu.

— Zaostrzcie się w długie noże i miecze, załóżcie ciemne płaszcze i pójdźcie na koniec ogrodu. Tam jest mała furtka, zaczekajcie na mnie. Idźcie każdy z osobna, aby nikt was nie zauważył.

— Bez zbroi? — stropił się Diades.

— Kupię wam zbroję, gdy okaże się potrzebna. Na dziś i najbliższe dni wystarczą noże i miecze.

Młodzieńcy spojrzeli po sobie i skłonili się w milczeniu. Lizandros kręcił się jeszcze chwilę po dziedzińcu, rozmawiał z hoplitami, wydawał drobne polecenia. Potem poszedł ku stajniom, zniknął w jednej z nich. Po pewnym czasie wyszedł ze stajni jakiś mężczyzna w szarym tribonie, rozejrzył się wokoło i skręcił w stronę ogrodu. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Diades i Eperatos czekali w krzewach w pobliżu furtki. Usłyszeli jego kroki i wyszli na spotkanie. Lizandros wyjął kołki, które zamykały furtkę od wewnątrz, wyrzucił, czy nikt się nie kręci, przepuścił najpierw obu młodzieńców, a potem wyszedł sam, starannie zamykając furtkę. Szli kilkadziesiąt kroków w milczeniu. Wreszcie Lizandros zatrzymał się przy jakiejś przydrożnej kapliczce:

— Czy chcecie pomścić śmierć Agisa?

— To jest celem naszego życia — odparł Diades, a Eperatos dodał: — Chciałbym rozpocząć dzieło zemsty jeszcze dziś.

— Dobrze. Ale najpierw złożycie przysięgę. Tę przysięgę, którą składałem pod murami Dechas. Zgadzacie się?

— Tak — odpowiedzieli jednogłośnie.

Powtarzali za nim groźne słowa przysięgi uroczyście i z mocnym postanowieniem wypełnienia jej co do joty.

— Teraz wam wyjaśnię mój plan. Leonidas za parę dni ogłosi zapewne atimię na wielu przyjaciół Agisa. Ogłosi ją w pierwszym rzędzie na nas. Naszym zadaniem będzie bronić wyjętych spod prawa i pomagać im. Dlatego nie możemy od razu odjechać ze Sparty. Pójdziemy w Tajget. Mam ludzi, którzy będą nam donosić o wszystkim. Ale jeszcze dzisiaj nocy postaramy się odwiedzić trzech zdrajców: Amfaresa, Arkezylaosa i Damocharesa. Przyjmujecie mój plan?

— Przyjmujemy całym sercem — powiedział Diades, a Eperatos powtórzył: — Tak, przyjmujemy.

Nim świt ozłocił szczyty gór, ze wszystkich stron Sparty podążały gromadki ludzi ku świątyni Apollina Oczyszcziciela. Niesiono bogu w ofierze kozły, baranki, owoce, wino, oliwę, co kto miał. Każdy czuł się w pewnym stopniu współwinny, każdy drżał, że bóg ukarze grzeszne miasto i ześle zarazę, ogień lub inny dopust boży. Trzeba boga przebłagać darami i modłami.

Mimo wczesnej pory kapłani i ich pomocnicy kręcili się po dziedzińcu świątyni. Dziwnie się jednak zachowywali. Zamiast rąbać drwa na ogień ofiarny, ostrzyć noże, starannie uprzątnęli resztki poprzednich ofiar, opróżnili basen z wodą, wreszcie weszli na stopnie ołtarza, ugasił ogień i zmietli popiół. Słudzy świątyni zaczęli myć ołtarz wodą z hyzopem. Ludziom z przerażenia zmartwiały serca. Kapłani wygasili święty, wieczny ogień Apollina. Czyż jeszcze sroższe nieszczęście może spaść na lud spartański? W grobowym milczeniu rozległ się nagle zawodzący płacz niewieści, zawtórował mu płacz innych i głośnie jęki.

Z domku kapłańskiego, położonego na terenie świątynnym, wyszedł stary, siwy kapłan Timoteos. Znali go ludzie jako wielkiego przyjaciela zmarłego króla Eudamidasa i zwolennika reformy. Kapłan podszedł do ołtarza Apollina, stanął na pierwszym stopniu, podtrzymywany przez dwóch młodych kapłanów. Twarz miał smutną, zgaszoną.

Kiedy uciszyły się jęki, szepty, a nawet westchnienia, i martwa cisza powiała nad tłumem, kapłan podniósł dłoń i ogłosił wyrok boga:

— Wystawiony ma być ołtarz Zeusowi Daleko Słyszalnemu, ale ofiary na nim czynione być nie mogą, póki w całym kraju ogień nie będzie wygaszony. Skażony bowiem jest i przez morderców zgwałcony. Niechajże się z delfickiej świątyni, ze wspólnego ogniska, Spartanie o czysty ogień postarają.

Tłum milczał. Surową karę wyznaczył bóg. Kapłan zszedł ze stopnia ołtarza, skierował się ku świątyni, za nim niżsi kapłani i służba świątynna. Szli zamknąć świątynię. Tama milczenia pękła. Ludzie z krzykiem i płaczem rozbiegli się po Sparcie. Wszędzie za nimi szedł nakaz boga: „Wygasić ogień”, aż oparł się o granice państwa. Dnia tego ustały procesje, umilkły hymny, ani jeden dym ofiarny nie szedł ku niebu. Nigdzie nie pieczono codziennych placków, nie gotowano żadnej stawy. Kto tylko miał, założył żałobne szaty, niektórzy za przykładem młodej królowej obcięli sobie włosy.

Nie uspokoiły się jeszcze umysły i serca po strasznym wyroku Apollina, kiedy nowe, przerażające wieści obiegły miasto. Przed bramą własnego domu znaleziono siny trup Damocharesa. Żadnych śladów walki, żadnych ran, tylko na piersiach, tam, gdzie biło serce, czarna kropla krwi. Taki ślad zostawia strzała Apollina Mściciela. Za zdradę przyjaźni, najświętszego uczucia, jakie bogowie dali ludziom, Damochares poniósł zasłużoną karę z rąk boga. Co

do tego nikt nie miał żadnych wątpliwości. I nikt nie żałował słynnego zapaśnika, chluby Sparty.

Drugi wypadek był dziełem ludzkich rąk. Przy posągu Afrodyty we własnym ogrodzie leżał porąbany mieczami Amfares. Wokoło były zdeptane kwiaty, odciski licznych sandałów na wilgotnych grządkach. Na piersiach trupa leżała szkolna, woskowana tabliczka z napisem: „Za śmierć Agisa — śmierć tobie, zdrajco!” Zamiast podpisu narysowany był trójkąt, przecięty dwoma skrzyżowanymi mieczami.

Dwóch ludzi równie odpowiedzialnych, jak Damochares i Amfares za śmierć Agisa uniknęło na razie swego przeznaczenia: Arkezylaos i Leonidas.

Arkezylaos ocalał przypadkowo. Kiedy wrócił z Dechas, zjadł bez apetytu wieczorny posiłek. Czuł się źle, dokuczał mu ból głowy, wyszedł więc na dziedziniec, potem do ogrodu, a stamtąd — w pole. Zdecydował, że w tak ciepłą noc najlepiej przespać się z pastuchami przy ognisku. I to go ocaliło. Rano, na swoim łożu znalazł woskowaną tabliczkę z napisem: „Nie ujdiesz śmierci z rąk mścicieli, zdrajco!” I zamiast podpisu trójkąt przecięty dwoma mieczami. Arkezylaos uznał tabliczkę za głupi żart, ale kiedy mu doniesiono o tajemniczych zgonach Damocharesa i Amfaresa, założył zbroję, zabrał woreczek złota i konno umknął do Tegei.

Leonidas wstał rano w bardzo złym humorze. Nie mógł przeboleć straconej okazji zrzucenia zwłok Agisa w przepaść Kaiadas. Próbował nawet suto opłacić swoich kopijników, aby wykradli zwłoki z tolosu, ci jednak stanowczo odmówili. Zdawał sobie sprawę, że to mogłoby się i dla niego źle skończyć, ale zjadła nienawiść bywa chwilami ślepa.

Klasnął w dłonie. Kiedy do sypialni wszedł łaźiebny, Leonidas zapytał gniewnie:

— Czemu zwłóczysz z kąpielą?

— Kąpieli nie będzie, dostojny władco.

— Co? — wrzasnął Leonidas. — Każę cię oćwiczyć!

— Kapłani Apollina dostali rozkaz od boga, aby wygasić ogień w całym Lacedemonie.

Ogień jest nieczysty.

Leonidas powiedział zduszonym głosem:

— Możesz odejść. Przywołaj masażystę.

„Ogień nieczysty — pomyślał z pasją. — Dam ja im ogień nieczysty! Skazony przez zbrodnię! A to był sąd! Sąd, w którym sądziłem ja i eforowie! Sąd, a nie zbrodnia”.

Podniecał się w gniewie, ale wiedział, że przeciw kapłanom nie uczyni żadnych nieprzyjaznych kroków, bo to by go zgubiło. Musi się ugiąć przed nimi, on, kapłan najwyższy, sam jeden przeciw tej bandzie. Będzie im dawał ofiary, będzie słuchał ich wróżb i rozkazów bogów. Większe potęgi, niż on ugięły się przed kapłanami.

Wszedł masażysta i Leonidas poddał się jego zabiegom. Masował mu ręce, nogi, brzuch, nacierał wonnymi olejkami całe ciało, wreszcie upudrował i uróżował mu twarz, przyczernił brwi, poprawił loki peruki. Potem narzucił na niego lekki, żółty chiton, na to niebieski cienki płaszcz obszyty kolorowymi pasami, ułożył w piękne fałdy, nałożył sandały, pierścienie i bransolety.

Leonidas wyszedł na taras przed domem. Usiadł na miękkim, wyściełanym krześle i kazał podać śniadanie.

Usłyszał, że ktoś zastukał kołatką do bramy, po chwili przybiegł niewolnik, meldując przybycie gościa, dostojnego pana Elatosa, byłego efora.

— Proś — rozkazał Leonidas.

Elatos, niedawny efor, był jego najgorliwszym pomocnikiem w dziele obalenia reformy. Pozdrowił króla i usiadł na wskazanym fotelu.

— Zjesz ze mną śniadanie, Elatosie?

— Chętnie, królu. Wyszedłem na czczo z domu.

— Czy tak pilne sprawy skłoniły cię do tego?

— Tak. Dlatego pośpieszyłem do ciebie.

Służba wniosła dwa stoliki i zimne dania: półmiski z pieczonymi kaczkami, ser owczy, kuropatwy gotowane w winie, pszenne bułki w koszyczkach, amfory z wodą i winem.

Jedli w milczeniu. Obyczaj nakazywał nie pytać gościa o nic, zanim się nie posili. Przestrzegano tego zarówno w domach prostych ludzi, jak i na dworach bogaczy. Kiedy skończyli główny posiłek, służba wniosła świeże owoce, prasowane figi i daktyle.

— Jakie nowiny przynosisz? — zapytał Leonidas, gdy zostali sami.

— Niestety, nie są pomyślne. Wygaszono ogień w całym kraju, kapłani mają wysłać delegację do Delf z bogatymi darami dla przebłagania boga. Musimy dołożyć się do tych ofiar.

Leonidas skinął głową. Trzeba złożyć bogu ofiary.

— Lud przywdział żalobę, pokutuje i pości. W całej Sparcie płacz i lament.

— Słusznie, lud powinien od czasu do czasu pokutować i pościć — obojętnie powiedział Leonidas. — Post i pokuta to dobre lekarstwo na buntownicze myśli.

— To nie wszystko — z wahaniem i ociąganiem się powiedział Elatos. — Są gorsze nowiny. W tajemniczy sposób zginął Damochares.

— Tak? — nieszczerze zdziwił się Leonidas. — A co ludzie o tym mówią?

— Mówią, że Apollo poraził go swoim srebrnym łukiem za złamanie świętych praw przyjaźni. Szkoda go.

— Jako zapaśnik nie przedstawiał już żadnej wartości. Sparta nic nie traci na jego śmierci. Najgorzej jest, gdy człowiek przeżyje swoją sławę. Śmierć dla takich jest wybawieniem.

Elatos zdziwił się i spojrzał ukradkiem w twarz króla, ale z niej nic nie wyczytał. Zdawało mu się, że Leonidas wielką przyjaźnią darzył siłacza. Jednak to chyba omyłka, jeśli tak zimno przyjął wieść o jego śmierci.

Leonidas jakby wyczuł rozterkę Elatosa, bo zadeklamował słowa Homera: „Od śmierci wszystkim jednakiej, nawet bogowie nie mogą obronić drogiego im męża, kiedy straszna Mojra powali go drętwą śmiercią”. Myślał przy tym, że tym razem Amfion nie zawiódł. Poszkapił wtedy sprawę, na polowaniu... Gdyby wtedy Agis zginął, ile kłopotów byłoby się uniknęło. Leonidas westchnął.

— To nie koniec. — Elatos mówił teraz bez wahania i obawy, że zmartwi Leonidasa. — Tejże nocy zginął również Amfares.

— Co? — krzyknął zaniepokojony Leonidas.

— Zamordowano go w jego własnym ogrodzie.

I Elatos opowiedział szczegółowo o wypadkach nocy i o dwóch tabliczkach podpisanych rysunkiem mieczy.

W miarę opowiadania spokój opuszczał Leonidasa. Niepokój, a nawet strach pojawił się w jego wyłupiastych oczach. Zaczął targać swoją brodę. Elatos miał uciechę, ale ją maskował smutną miną. Nie lubił Leonidasa, chociaż łączyła ich ścisła więź interesów.

„Boisz się, tchórze — myślał z satysfakcją. — Czekaj, to jeszcze nie koniec”. I dodał złośliwie:

— Ludzie mówią, że Agis przed śmiercią wieszczył. Zapowiedział, że mściciele wyjdą z naszych szeregów.

Leonidas zatrząsł się. Rzeczywiście, Agis to powiedział. Jakże mógł o tym zapomnieć! Przecie on sam jest mimowolnym pierwszym mścicielem! Czy nie pośpieszył się zbyt z Damocharesem? Ale bał się, że tamten za parę dni zacznie domagać się ślubu z Agiatis i roztrąbi na całą Spartę tę bądź co bądź dwuznaczną historię. Co by powiedział Gilippos, Elatos i inni sprzymierzeńcy na ten pomysł z ożenkiem? Tak, nie było innego wyjścia. Uspokoił się, postanowił odparować ten nieoczekiwany cios:

— Agis pomylił się. Mściciele nie wyszli z naszych szeregów. Ci dwaj mogli się nam jeszcze przydać. Jakiż byśmy mieli cel w zabijaniu ich?

— To prawda — skwapliwie przytaknął Elatos. — Miejmy nadzieję, że nie sprawdzi się i druga część wróżby.

— Jaka?

— Że on odniesie zwycięstwo zza grobu.

— O to, by się nie sprawdziła, już my się postaramy — odpowiedział Leonidas. — Trzeba tylko będzie wzmocnić naszą tajną policję. Obowiązkiem naszych donosicieli będzie nie tylko wiedzieć, co ludzie mówią, lecz i co myślą.

— Trafnie to ująłeś, królu. Tak właśnie powinna wyglądać władza w państwie: absolutna władza nad myślami i czynami ludzi. Niech nic nie ujdzie naszej uwadze, to będziemy spać spokojnie.

— Trzeba będzie zabezpieczyć kobierce i kosztowne naczynia, które Amfares wypożyczył od Agezystraty — przypomniał Leonidas.

— Kobierce i naczynia należą do synka Agisa — powiedział Elatos. — Opiekować się nimi powinien regent, który będzie rządził do czasu pełnoletności dziecka. Najbliższym krewnym Agisa, po ucieczce Agezylaosa, jest jego syn, Hippomedont...

— On regentem? Nigdy!

— Myślę, że to będzie dobry regent. Trochę go nastraszymy, zagrozimy mu atimią, potem okażemy swoją łaskę, będzie skakał, jak mu zagramy.

— Jestem jednak za tym, by kobierce i naczynia zabezpieczyć w skarbcu państwowym.

— Naturalnie. Trzeba to zrobić jak najprędzej, aby nie rozkradli ich w tym bałaganie, jaki powstał w domu Amfaresa po jego śmierci.

— Dziś wyślę urzędników i straż miejską — zakończył Leonidas. — A może regentem zrobimy Gilipposa. Przecie to dziadek następcy...

Elatos nie podtrzymał tego projektu.

Rozmawiali jeszcze o konieczności szybkiego zwołania apelli, bo trzeba wybrać nowych eforów. Rozważali zalety i wady swoich kandydatów, rozważali konieczność dalszego utrzymywania najemników. Za parę dni, może za miesiąc będzie można zwolnić połowę, resztę później, gdy wszystko wróci do normy. Spodziewali się, że to nastąpi wkrótce.

Dwór Leonidasa zbudowany był przy głównym trakcie Sparty, biegnącym z północy na południe. Siedząc na tarasie Leonidas i Elatos obserwowali ruch na drodze. Z południa i z północy, na ścieżkach od gór Tajgetu i znad Eurotasu wędrowały grupki ludzi. Jedni na osiołkach lub koniach, inni pieszo. Niby małe strumyczki ciekące wiosną spływali w jeden szeroki nurt, na drogę wiodącą ku najwyższemu wzgórzcu Sparty, gdzie w cieniu oliwek i białych topól jaśniał starodawny dworzec rodu Eurypontydów.

Z południa, stamtąd gdzie wśród drzew Platanistas kryły się domy i szałaszy młodzieży gimnazjonu, wypełził długi, biały wąż.

— Chłopcy z gimnazjonu maszerują — powiedział Elatos, który miał bystrzejszy wzrok.

— Pewno na ćwiczenia — spokojnie dodał Leonidas.

— Idą w tę stronę, coś niosą... drzewce jakieś...

— Oszczepy. Może idą na polowanie?

Obaj byli zaintrygowani i próbowali sobie wyjaśnić przyczynę wyjścia młodzieży z gimnazjonu.

Młodzież maszerowała sprawnie i szybko. Elatos dostrzegł już, jakie przedmioty niosą idący w pierwszej czwórce, i zbladł.

Zacisnął ręce na kolanach, wpił paznokcie w ciało, aby nie wybuchnąć przekleństwami. Oszczepy i belka Dioskurów, a więc zapowiedź krwawej zemsty. Rozróżnił też przywódców tej manifestacji: Kleomenes, syn Leonidasa, Polytropos, syn Derkilidasa, Sorgopas, syn Megistonusa, Koroibos, syn Ilarchosa.

Pierworodni najlepszych rodów spartańskich. Wystąpili przeciw własnym ojcom i zapo-

wiedzieli zemstę za zgłodzonego przez ich ojców króla-reformatora. Elatos opanował się i spojrzał na Leonidasa. Leonidas wiedział już też, co znaczy pochód młodzieży. Krew zalała mu kark, czoło i całą twarz. Elatos skoczył ku niemu z kubkiem wody. Leonidas wypił dwa łyki, odetchnął parę razy.

— Szczeniak — warknął. — Zmiażdżę go.

— To jest następca tronu, Leonidasie — uspokajająco powiedział Elatos.

— Mam drugiego syna!

— Sam wiesz, że następca jest zdolniejszy, bystrzejszy, silniejszy. To młody orzeł. Góruje nad całym gimnazjonem.

— Zdrajca!

— Mylisz się. To przekora młodości. Myśmy też naszym ojcom robili na złość. A potem nam przeszło.

Leonidas skrzywił się. Cóż za niepomysłny ranek!

— Musimy ukarać tych smarkaczy! Trzy dni gimnazjon nie dostanie przydziału żywności.

— Pójdą do cudzych ogrodów. Wiesz przecie, że teraz czas dojrzewania owoców. Więcej zniszczą niż ukradną. Połamią gałęzie, zniszczą płoty. Będą skargi i procesy. Stanowczo się to nie opłaci — powiedział z przekonaniem Elatos.

— Więc nie karać? — wzburzył się Leonidas.

— Ukarać trzeba. Wyślemy ich na dziesięć dni w Tajget. Żywić się będą tym, co upolują. Przywódcom wyznaczymy krypteię. Przyda się sprzątnięcie paru rozzuchwalonych helotów. Zanadto podnosili już głowę.

Leonidas z aprobatą kiwał głową. Uspokoił się. Ład i porządek znów zapanują w Sparcie. Mądrzy ludzie, jak Elatos, wezmą z nim razem cugle do rąk. Pójdą posłusznie konie spartańskie pod twardym batem eforów.

KONIEC

POSŁOWIE

Dzieje reformy króla Agisa (245—241 p. n. e.) przypadają na czasy, kiedy zmierzch zapadał nad dawną świetnością Grecji. Upadek polityczny i gospodarczy miast-państw greckich rozpoczął się w czasie wojny peloponeskiej (431—404 p. n. e.). Ta bratobójcza, długotrwała wojna w mniejszym lub większym stopniu wyczerpała wszystkie państewka greckie. Szczególnie ucierpiały Ateny, ale nawet zwycięska Sparta zaczęła wyraźnie odczuwać jej skutki. W wyniku wojny Sparta stała się największym zbiornikiem złota w Grecji. Było to jednak złoto martwe, nie pochodziło z pracy gospodarczej, tylko z łupów wojennych, z kontrybucji wyciśniętych z wrogów i sprzymierzeńców lub z perskich subsydiów. Spartańscy wodzowie i dowódcy wojskowi, w których skrzyniach to złoto się gromadziło, nie umieli użyć go gospodarczo, a raczej umieli tylko w jeden sposób: pożyczali na lichwę pod zastaw ziemi. Tak więc nieliczni posiadacze złota stali się w ciągu paru dziesiątków lat właścicielami prawie całej ziemi spartańskiej. Bogacze nadmiar ziemi zamieniali na pastwiska, hodowla znacznie lepiej się opłacała, wymagała też mniej rąk do pracy. Ziemia, nie uprawiana, jałowiała. Większość pełnoprawnych obywateli, spartiatów, straciła działki rolne, dziedziczne klerosy — podstawę egzystencji. Niektórzy szli szukać chleba w obcych zaciężnych armiach i na obcych dworach, przez co uszczuplała się i tak nieliczna kadra spartiatów. Ci, którzy pozostawali w kraju, wegetowali w warunkach częstokroć gorszych niż niewolnicy. Stąd rodziły się spiski i powstania przeciw niesprawiedliwości społecznej. Reforma społeczna stawała się więc palącą koniecznością.

Inicjatywa odrodzenia Sparty wyszła od króla, ale opierała się na żądaniach masy bezrolnych i zubożałych spartiatów.

Agis wystąpił z projektem przywrócenia ustroju likurgowego, odebrania bogaczom nadmiaru ziemi, skasowania długów, równego podziału gruntów. W walce tej Agis przegrał. Dzieło jego podjął i przeprowadził Kleomenes, syn Leonidasa, najzawziętszego wroga reformy.

Program obu królów reformatorów był postępowy, jednak ani Agis, ani Kleomenes nie wysunęli hasła zrównania w prawach obywatelskich najbardziej upośledzonych, pozostających w niewolniczej zależności helotów. Obaj reformatorzy nie wyprzedzali tak dalece czasów, w których żyli. Ustrój niewolniczy, choć w tym czasie w Grecji przeżywał kryzys, miał jeszcze przed sobą długie wieki trwania.

Oligarchia spartańska z całą bezwzględnością przeciwstawiała się dążeniom szlacheckich królów. Nie cofnęła się przed żadną zbrodnią, nawet przed zdradą państwa, aby zachować swą przewagę ekonomiczną i rozległe przywileje, jakie daje złoto. Opłacając najemnych żołnierzy bogacze topili we krwi swoich współobywateli dążenia wolnościowe i pragnienia sprawiedliwości społecznej. W walce tej ginęli najszlachetniejsi i najofiarniejsi, ale idea nie umierała. Z takim samym oddaniem i zapałem podejmowali ją następcy. Wrzenie rewolucyjne w starożytnej Sparcie nie ustawało.

Następna moja książka z dziejów Grecji opowiada o dalszych losach Sparty. Król Kleomenes, wstąpiwszy na tron podjął ideę Agisa i przeprowadził ją zwycięsko. Przywrócił wedle własnego mniemania prawdziwy ustrój likurgowy. Sprawa reformy kleomenesowej zyskała głośny odzew wśród ubogiej ludności państewek sąsiadujących ze Spartą, co z kolei wywołało niepokój warstw posiadających. Na Peloponezie zakotłowało się, wybuchły rewolucje i wojny.

Książka opowiadająca o tych wydarzeniach nosi tytuł *Syn Heraklesa*. Wkrótce ukaże się z druku.

Halina Rudnicka

OBJAŚNIENIA

A c h i l l e s — syn Peleusa i bogini morskiej Tetydy, jeden z głównych bohaterów *Iliady*. Matka wykapała go w wodach Styksu, dzięki czemu ciało jego z wyjątkiem pięty, za którą trzymała go matka, było nieśmiertelne. W to właśnie miejsce został trafiony strzałą Parysa i zmarł. Pięta Achillesa: w przenośni — słaba strona

A f r o d y t a — bogini miłości i piękności, córka Zeusa i Dione. Urodziła się z piany morskiej u brzegów Cypru. Małżonkiem jej był Hefajstos, bóg ognia i sztuki kowalskiej.

A i g o s p o t a m o i — miasteczko w Chersonezie trackim (dziś Gallipoli, półwysep między Morzem Trackim a Hellespontem), gdzie w 405 p. n. e. Lizander, wódz spartański, odniósł słynne zwycięstwo nad Atenami

A g o g e — wychowanie państwowe, które obowiązywało chłopców w Sparcie od siódmego roku życia. Zabierano ich rodzicom i umieszczano w gimnazjone, gdzie pozostawali do dwudziestego roku życia

A g o n — konkurs, zawody (gimnastyczne, muzyczne i in.)

A g o r a — plac-rynek, na którym skupiało się życie polityczne i handlowe, gdzie znajdowały się budowle miejskie i przeznaczone dla kultu bogów Akademia — gaj platanowy nad rzeką Kefisos w Atenach, poświęcony herosowi Akademosowi. Platon kupił tę posiadłość i założył tam szkołę filozoficzną, zwaną Akademią, która przetrwała dziewięć stuleci.

A k r o p o l i s — wzgórze warowne w starożytnej Grecji. Najsłynniejsze w Atenach, na którym znajdowały się wspaniałe świątynie i dzieła sztuki. Najpiękniejsza świątynia ze wspaniałym posągami Ateny ze złota i kości słoniowej, poświęcona tej bogini — Partenon

A l k m a n z S a r d e s — poeta z drugiej połowy VII w. p. n. e., przyczynił się w znacznej mierze do rozwoju liryki chóralnej

A l l i s — święty okręg Zeusa w Olimpii

A m f o r a — naczynie z gliny z dwoma pionowymi uchami, służące do przechowywania płynów, a także jako miara — 26,2 l

A m m o n — bóstwo egipskie, utożsamiane z bogiem słońca Ra, pod nazwą Ammon-Ra czczone jako najwyższe bóstwo Egiptu

A n a n k e — bogini losu, przeznaczenie

A n t y g o n G o n a t a s — król macedoński z dynastii Antygonidów (283—239 p. n. e.)

A p e l l a — zebranie ludowe w Sparcie, w którym uczestniczył każdy pełnoprawny obywatel po ukończeniu trzydziestego roku życia

A p o l l o — syn Zeusa i Latony, bóg słońca, światła i wyroczni, opiekun sztuk i nauk, przewodnik Muz. Miał wiele przydomków, np. Loimios (zsyłający zarazę), Musagetes (przywódca Muz) itd. Poświęcony mu był łabędź i wawrzyn. Główne ośrodki kultu: Delfy, Delos, Didima. W Delfach urządzano na jego cześć igrzyska pytyjskie co 4 lata

A r a t o s z S y k i o n u - (272—218 p.n.e.) wódz grecki, założyciel Związku Achajskiego Archont — archontami nazywano w Atenach 9 najwyższych urzędników

A r e s — syn Zeusa i Hery, bóg wojny

A r e u s — złota moneta spartańska

A r i a d n a — córka króla kreteńskiego Minosa, która pomogła herosowi ateńskiemu Tezeuszowi wydostać się z labiryntu dając mu kłębek nici

A r t e m i d a — Artemis, siostra Apollina, bogini łowów, księżycy, nocy, opiekunka dziewic i uroczystości weselnych. Poświęcona jej była łania. Jako strażniczka błotnistych nizin nosiła przydomek Limnesia. Rolnicy składali jej ofiary jako opiekunce zasiewów — Agrotera

A r y s t o t e l e s z e S t a g i r y — (384—322 p. n. e.) filozof, wielki uczyony i myśliciel, uczeń, a potem krytyk Platona, założyciel szkoły filozoficznej perypatetyków, zwanej tak od

przechadzek (peripatos — przechadzka) mistrza z uczniami po alejach gaju Apollina

A t e n a (P a l l a s A t e n a) — bogini mądrości, opiekunka rzemiosł i świętej walki za ojczyznę. Córka Zeusa, z którego głowy wyskoczyła w pełnej zbroi. Opiekowała się Atenami. Jej atrybuty: sowa, kogut, wrzeciono, tarcza, dzida, hełm

A t i m i a — utrata praw obywatelskich i wygnanie w Sparcie. Spartiata pokonany na wojnie zostawał skazany na atimieę

A t r o p o s — patrz Mojry

A u g i a s z — mit. syn Heliosa i Naupidame, król Elidy. Jego stajnie nie były czyszczone przez 30 lat. Oczyszczenie ich było jedną z 12 prac Heraklesa, który zmienił bieg rzeki Alfejos i w ciągu jednego dnia oczyścił stajnie, przepuszczając przez nie strumień wody

A u r i g a — woźnica wozów biorących udział w wyścigach na hippodromie

B a c h a n t k i — kobiety biorące udział w obrzędach ku czci Dionizosa

B a s i l e u s — król, zwierzchnik, władca, naczelnik rodu Boedromion — miesiąc wrzesień, obchodzono w nim oprócz innych świąt, „Boedromion”, święto Apollina Boedromios — „tego, który przychodzi z pomocą w walce”

C e l l a — główna część świątyni przeznaczona dla posagu bóstwa

C h a r y t y — boginie wdzięku, radości i młodości

C h e r o n e a — miasto w Beocji. W 338 r. p. n. e. Grecy ponieśli tam klęskę w walce z Filipem II, królem Macedonii, i utracili niepodległość

C h i t o n — szata lniana bez rękawów, zszyta na bokach, na ramionach spinana fibulami (zapinka podobna do agrafki)

C h o r e g — obywatel wyznaczony do wystawiania chóru, m. in. tragedii i komedii, do sprawiania kostiumów dla aktorów i pokrycia kosztów wystawianego widowiska

D a j m o n — duch opiekuńczy człowieka, który rodzi się wraz z człowiekiem, prowadzi go drogą dobrą lub złą, przynosi szczęście lub nieszczęście (łac. Geniusz)

D e j a n i r a — żona Heraklesa, chcąc odzyskać miłość męża, posłała mu w darze piękną szatę przesyconą krwią centaura Nessosa w przekonaniu, że to jest eliksir miłosny. Zatruta krew centaura, który chciał się zemścić na Heraklesie, spowodowała tak straszne męczarnie herosa, że Herakles kazał się spalić na stosie

D e m o s t e n e s — słynny mówca (384—322 p. n. e.), przywódca stronnictwa niezawisłości greckiej. Zachowało się 61 jego mów, m. in. sławne filipiki

D i o n i z o s — bóg wina i odradzającej się natury, syn Zeusa i Semeli. Czasem od terenu, na którym stała jego świątynia nadawano mu przydomki, np. „D. en Limnais” („D. na Bagnach”), „D. Kolonatas” („D. na Wzgórzach”)

D i o s k u r o w i e — Kastor i Polluks, bliźniacy, synowie Zeusa i Ledy. Zasłynęli czynami bohaterskimi. Byli symbolem braterskiej miłości i niezłomnej przyjaźni

E f e b — młodzieniec grecki w wieku lat 18—20 odbywający służbę wojskową

E f o r o w i e — najwyżsi urzędnicy w Sparcie, początkowo mianowani przez króla, potem wybierani przez lud, przewodniczyli zgromadzeniu ludowemu, mieli szeroki zakres władzy sądowniczej i administracyjnej — patrz Sparta

E j r e n i — młodzieńcy w Sparcie od 16 do 20 roku życia, skoszarowani, przechodzili ćwiczenia wojskowe, współzawodniczyli z sobą w zawodach lekkoatletycznych, przechodzili stopniowe wtajemniczenia

E l e k t r o n — tak starożytni nazywali zarówno bursztyn, jak też stop złota ze srebrem

E m p u z a — bogini strachu, ukazywała się w postaci cienia osoby zmarłej i zwiastowała nieszczęście

E n y a l i o s — przydomek Aresa, utworzony od imienia bogini wojny Enyo

E p a m i n o n d a s — (420—362 p. n. e.) wybitny polityk i dowódca tebański, pokonał Spartan w r. 371 p. n. e. pod Leuktrami i w r. 362 p. n. e. pod Mantineą, gdzie zginął

E r g a s t u l u m — więzienie dla niewolników Erynie — groźne, karzące boginie zemsty

F a u n — rzymski bóg pasterstwa i urodzajów, przedstawiany z kozłimi kopytkami i różkami.
Grecki — Pan, później Satyr, towarzysz Dionizosa

F e r e c y d e s z w y s p y S y r o s — (ur. około 600 r. p. n. e.), pierwszy prozaik grecki, autor mistycznego dzieła o bogach i powstaniu świata, ostrzegwał Spartan przed żądzą pieniędzy

F i d i a s z — największy rzeźbiarz grecki (500—432 p. n. e.) przyjaciel Peryklesa. Słynne posągi: Zeus Olimpijski (zaliczany przez starożytnych do siedmiu cudów świata), Atena Promachos, odznaczały się monumentalnością kształtu, harmonią i powagą kompozycji. Wykonane były techniką chryzelefantynową, tzn. ze złota i kości słoniowej

F o b o s — uosobienie strachu wzniesionego przez boga Aresa

F y l e — plemię wywodzące się od wspólnego przodka, składające się z wielu rodów. W Sparcie jednostka terytorialna

G a j a - Z i e m i a — Matka, pierwsza wyłoniona z Chaosu, uosobienie płodności i macierzyństwa. Matka wielu bogów oraz gigantów, cyklopów, tytanów

G a l a t e a — nimfa morska, córka boga Nereusa, dobrego boga morskiego

G a m e l i o n — (gr. gameo — żenić się) miesiąc zimowy przypadający od połowy stycznia do połowy lutego. Miesiąc zawierania małżeństw

G a n i m e d e s — syn króla Troi i Kallirroe, odznaczający się niezwykłą pięknnością. Porwany przez Zeusa i zamieniony w orła został podczaszym bogów na Olimpie

G e r a s t i o s — miesiąc spartański, który się rozpoczynał wg naszego kalendarza 27 lutego

G e r u z j a — w Sparcie rada starców, składająca się z dwóch królów i 28 gerontów, wybieranych spośród zasłużonych spartiatów, którzy ukończyli 60 rok życia. Władza prawodawcza, sądownicza w sprawach gardłowych — patrz Sparta

G i m n a z j a r c h a — mistrz ćwiczący młodzież w gimnazjonach

G i m n a z j o n — (gymnasion) miejsce ćwiczeń gimnastycznych, publiczny zakład, na który składały się budynki o różnym przeznaczeniu (do gier sportowych, szatnie, kąpieliska, sale wypoczynku itp.) oraz stadion — patrz palestra

G y m n o p e d i e — (gymnopaidiai) święto spartańskiej młodzieży obchodzone w lipcu (6—10 dni) na cześć poległych bohaterów sławnych bitew. Popisy w lekkoatletyce, w tańcu wojennym i w muzyce dzieci i młodzieży wobec starszyny i cudzoziemców

H a d e s — państwo zmarłych, miejsce, gdzie umarli odbywają karę za swe występki. Dobrzy przebywają w Elizjum

H e f a j s t o s — syn Zeusa i Hery, bóg ognia, małżonek Afrodyty

H e k a t e — bogini ciemności, córka Zeusa i Demetry, była także boginią pokuty i zemsty za przelaną śmierć, jak również magii i czarów. Władczyni świata widm i upiórów

H e k a t o m b a — ofiara ze 100 wołów; później każda ofiara, przy której zabijano kilka sztuk zwierząt

H e l i o s — bóg słońca. Powoził złotym rydwanem zaprzężonym w czwórkę koni. Rydwan wyłaniał się o świcie ze wschodniej części Oceanu, przebiegał całe niebo i o zachodzie zanurzał się w zachodniej stronie Oceanu. Heliosa czasem utożsamiano z Apollinem, również bóstwem słonecznym

H e l l a d a — (gr. Hellas, łac. Graecia) Grecja, kraj położony w południowo-wschodniej części Półwyspu Bałkańskiego, w szerszym znaczeniu wszystkie tereny, gdzie mówiono po grecku, a więc i wiele wysp rozrzuconych na Morzu Egejskim

H e l o t a — patrz Sparta

H e r a — córka Kronosa i Rei, siostra i małżonka Zeusa, dzierżyła z nim wspólnie władzę nad niebem i ludźmi, opiekunka małżeństwa i położnic

H e r a k l e s — syn Zeusa i Alkmeny, ulubiony bohater ludowy, symbol prawości i dzielności, obrońca pokrzywdzonych i cierpiących. Wykonał 12 nadludzkich prac

H e r m e s — syn Zeusa i tytanki Mai, jeden z dwunastu bogów Olimpu, posłaniec bogów,

odprowadzał dusze zmarłych do Hadesu, opiekował się kupcami i złodziejami, oprócz wielu wynalazków pierwszy wprowadził ćwiczenia gimnastyczne

H e r o d o t z H a l i k a r n a s u — historyk uważany za ojca historii. Opisał dzieje wojen persko-greckich (r. 489—425 p.n.e.)

H e r o s — potomek boga i śmiertelnej matki, bohater dokonujący wielkich czynów dla dobra ludzkości tryb życia, często wykształcona

H i e r o n — (temenos) okręg święty, poświęcony jakiemuś bóstwu

H i m a t i o n — płaszcz grecki noszony zarówno przez kobiety jak i przez mężczyzn

H i p o k r a t e s — (460—377 p.n.e) najwybitniejszy lekarz starożytności, zwany ojcem medycyny

H i p p o d r o m — (gr. hippodromos) plac do wyścigów konnych

H o m e r — najstarszy poeta grecki, twórca Iliady i Odysei. O jego życiu nic nie wiemy. Tradycja starożytna przedstawiała go jako ślepego śpiewaka

H o p l i c i — ciężkozbrojna piechota grecka

H y p e r b o r e j c y c y — mityczne plemię zamieszkujące według wyobrażeń Greków rajską krainę na dalekiej północy

H y p n o s — bóg snu, ojciec Morfeusza. Władzy jego podlegali bogowie i ludzie

H y p p e i s — jeźdźcy w Sparcie, w liczbie 300 stanowili straż przyboczną króla

H y z o p — krzew rosnący w środkowej Azji i w pasie śródziemnomorskim, z którego otrzymuje się wonny olejek eteryczny

I g r z y s k a p y t y j s k i e — uroczystości na cześć Apollina urządzone co cztery lata, w trzecim roku Olimpiady na równinie Krysańskiej obok Delf. Początkowo odbywały się tylko zawody muzyczne, później dołączono gimnastyczne i wyścigi na wozach. Zwycięzcy otrzymywali wieńce wawrzynowe

K a n t a r y d a — chrząszcz, którego krew zawiera trującą substancję, dawniej używaną do leków

K a r n e i e — narodowe święto spartańskie ku czci Apollina o przydomku Karneios, obchodzone przez 9 dni w miesiącu Karneios (sierpień — wrzesień od 7—13)

K i n a d o n — w 397 p.n.e. zorganizował spisek mający na celu obalenie oligarchii i nowy podział gruntów. Spisek wykryto, eforowie stracili Kinadona i jego zwolenników

K l e r o s — działka ziemi o różnej wielkości, zależnie od zdobytego terenu, przyznawana zwycięskim żołnierzom. Tak zwycięzcy Dorowie po zdobyciu Peloponezu podzielili jego ziemie między swoich żołnierzy

K o i n e — nazwa języka greckiego używanego w okresie hellenistycznym

K o t t a b o s — zabawa towarzyska, o wielu odmianach lokalnych, uprawiana w czasie uczt

K r a t e r — naczynie gliniane lub metalowe, służące do mieszania wina z wodą

K r y p t e i a — nocne polowanie urządzone przez młodzież spartańską na rozkaz eforów na podejrzanych helotów, których wolno było zabijać

K s e n o f o n t z A t e n — (432/353 p.n.e) historyk grecki. Przechowało się wiele jego dzieł historycznych, filozoficznych i in.

K w a d r y g a — dwukołowy wóz zaprzężony w cztery konie

L a k o n i a — Lacedemon — patrz Sparta

L e c y t — wydłużony dzbanuszek z wąską, u góry rozszerzoną, szyjką z jednym uchem

L e u k t r y — patrz Epaminondas

L i k u r g — król Sparty, legendarny prawodawca spartański i twórca jej ustroju. Wydał cztery rety (umowy, ustawy); pierwsza zabraniała stosowania praw pisanych; druga używania przy budowie domów innych narzędzi niż piły i siekiery; trzecia prowadzenia walk wciąż z tymi samymi wrogami; czwarta dotyczyła budowy państwa i ustroju

L i z y p z S y k i o n u — nadworny rzeźbiarz Aleksandra Wielkiego i twórca jego portretów. Wykonał wiele znakomitych posągów bogów, szczególnie ulubionym motywem

jego prac był Herakles

M a n t i n e a — patrz Epaminondas

M e l o n — modne uczesanie w czasach hellenistycznych. Włosy zaczesywano do góry i rozdzielano kilkoma przedziałkami wychodzącymi od czoła, a zbiegającymi się na potylicy, które zbierano z tyłu w kok

M e n a n d e r — (342—293 p.n.e.) komediopisarz, przedstawiciel tzw. nowej komedii attyckiej

M o j r y — trzy boginie losu, zwane także Parkami, córki Zeusa. Kloto przędła nić ludzkiego życia, Lachesis czuwała nad jego długością, Atropos (dosłownie: nieodwracalna) przecinała, tę nić

N e o d a m o d z i — w Sparcie heloci, wyzwoleni przez państwo, niekiedy otrzymywali pełne prawa obywatelskie — patrz Sparta

N e r e i d y — nimfy morskie niosły żeglarzom pomoc w niebezpieczeństwie

N i o b e — córka Tantalą, pychą obraziła bogów, za co Apollo zabił jej dzieci

O b y — jednostki podziału administracyjnego w Sparcie

O r f e u s z — mityczny poeta i śpiewak, czarował swym śpiewem ludzi, zwierzęta, rośliny i skały

P a j d o n o m — urzędnik w Sparcie, który kierował wychowaniem młodzieży i czuwał nad jej moralnością

P a l e s t r a — jedna z części składowych gimnazjonu. Palestre stanowiły 4 kryte portyki okalające centralne prostokątne podwórze. Mieściły się w nich aleje do przechadzek, bieżnie, miejsca wypoczynku, szatnie, kąpieliska, składy oliwy i piasku — patrz gimnazjon

P a n k r a t i o n — walka na pięści w rękawicach lub bez

P a r k i — patrz Mojry

P a u z a n i a s z — (408—394 p.n.e.) król Sparty

P a z y f a e — (świecząca dla wszystkich) bogini księżycy, czarodziejka Pedotriba — instruktor efebów

P e n t a t l o n — rodzaj zawodów lekkoatletycznych złożonych z pięciu konkurencji: skoku, rzutu dyskiem, biegu, rzutu oszczepem i zapasów

P e n t e l i k o n — góra w Attyce słynna z doskonałego marmuru

P e p l o s — prostokątny płat materii wełnianej, którym owijano ciało. Górną część zaginano i odrzucano zewnątrz tworząc odrzutkę. Po owinięciu ciała nie zeszyte brzegi układały się w fałdy schodkowe na prawym boku. Na ramionach spinano materię długimi fibulami

P e r i o j k o w i e — patrz Sparta

P i n a k o t e k a — galeria obrazów; najslawniejsza znajdowała się w Atenach

P i n d a r — (518—446 p.n.e.) grecki poeta liryczny, twórca słynnych pieśni chóralnych

P i t o s — naczynie gliniane do przechowywania żywności, nieraz dochodzące do dwóch metrów wysokości

P l a t o n — (427—347 p.n.e.) jeden z największych filozofów starożytności, uczeń Sokratesa. Twórca idealizmu filozoficznego

P l e j a d y — według mitologii greckiej siedem córek Atlasa zamienionych w gwiazdy

P l u t a r c h z C h e r o n e i — (50—125 n.e.) jeden z największych pisarzy greckich. Napisał *Żywoty sławnych mężów* — *Bioj paralleloj* obejmujące 50 biografii sławnych Greków i Rzymian oraz wiele innych dzieł z zakresu filozofii, religii, etyki i in.

P o l e m a r c h a — dowódca spartańskiego oddziału wojskowego, zwanego mora; urzędnik ateński zajmujący się sprawami wojskowymi

P o l i k l e t z A r g o s — znany rzeźbiarz grecki z drugiej połowy V w. p.n.e. Słynne rzeźby „Doryforos” (niosący włócznię) i „Diadumenos” (młodzieniec opasujący czoło)

P o l i s — w dawnej Grecji miasto-państwo powstałe z połączenia kilku gmin w jeden organizm państwowy, centrum handlowe, polityczne, kulturalne

P o s e j d o n — syn Kronosa i Rei, brat Zeusa, władca mórz, rzek, wysp i półwyspów. Atrybutem Posejdona był trójząb, którym mógł uciszać burzę i powodować trzęsienie ziemi

P r o p y l e j e — monumentalna brama z kolumnadą, wiodąca do okręgu boga lub miejsca świętego

P r y t a n — wysoki urzędnik w wielu państwach greckich; w Atenach członek rady miejskiej

P r y t a n e u m — miejsce urzędowania i zbiorów prytańców

P y t i a — (gr. Pythia) kapłanka Apollina w Delfach, która przepowiadała przyszłość zwracającym się do niej wiernym za pośrednictwem kapłanów

R e t r y — patrz Likurg

S a f o n a — najślawniejsza poetka grecka z VII w. p.n.e.

S e l e n e — bogini księżyca, siostra Heliosa i Eos, bogini jutrzeńki

S f a j r o s (Sferus) B o r y s t e n i t a — Borystenes nad Dnieprem — filozof uczeń stoika Zenona i Kleantesa. Napisał m.in. dzieła: *Ustrój lakoński*, *O Likurgu i Sokratesie*, *O prawach*. Zachowały się szczupłe fragmenty jego dzieł

S k o p a s — znakomity rzeźbiarz grecki z drugiej połowy IV w. p.n.e.

S o f i s t a — wędrowny nauczyciel i wychowawca pobierający pieniądze za udzielaną naukę

S o k r a t e s — (ok. 470/69 — 399 p.n.e) syn Sofroniskosa, wielki filozof starożytności. Nie pozostawił po sobie żadnych dzieł pisanych, jego poglądy przekazali w swych dziełach jego uczniowie, jak Platon, Ksenofont i inni.

S p a r t a — (gr. Spante, Lakedajmon, łac. Lacedaemon) stolica Lakonii (Lakoniki) główne miasto Peloponezu. Nazwy Sparta używano też dla określenia całego państwa. Państwo spartańskie miało charakter wybitnie arystokratyczny. Ludność Sparty stanowili spartiaci — zdobywcze plemiona doryckie, warstwa rządząca; periojkowie — mieszkańcy Lakonii, wolni, zajmowali się rolnictwem, handlem i rzemiosłem, bez praw politycznych; heloci — niewolnicy państwowi, dawna podbita ludność. Niekiedy za zasługi wojenne wyzwalamo helotów i nosili oni nazwę neodamodów. Władza w państwie: dwaj królowie, rada starców — geruzja, zgromadzenie ludowe — apella i kolegium urzędnicze, składające się z pięciu członków — eforów wybieranych corocznie na zgromadzeniu ludowym

S p o n d o f o r — wysłannik z Elidy, organizator igrzysk olimpijskich, który zapraszał do wzięcia udziału w uroczystościach i ogłaszał „pokój boży”. Spondoforów wysyłano na wiele dni przed rozpoczęciem igrzysk do najodleglejszych zakątków świata

S t a d i o n — miejsce zawodów lekkoatletycznych i dawna grecka jednostka długości (1 stadion attycki = 177,6 m.)

S t r a t e g — (dowódca) członek 10-osobowego kolegium do kierowania sprawami wojskowymi i dowództwa w Atenach. W Związku Achajskim w III wieku p. n. e. sprawował władzę wykonawczą

S t y l o b a t — rylec do pisania na tabliczkach woskowanych

S t y k s — według mitologii greckiej główna rzeka w świecie podziemnym, przez którą Charon przewoził dusze zmarłych

S y b a r i s — miasto na wybrzeżu Lukanii, kolonia grecka. Mieszkańcy Sybaris znani byli z bogactw i zamięłowania do zbytku

S y l e n y — bóstwa rzek i źródeł, przedstawiane w postaci półkoni, półludzi, później utożsamiane z satyrami

S y m p o z j o n — zebranie towarzyskie, połączone z rozmowami na tematy polityczne, filozoficzne, lub też uczta pijacka z grami, śpiewami i popisami aktorów

S y r i n g a — (syrings) ludowy instrument muzyczny, rodzaj fujarki

S y r i u s z — najjaśniejsza gwiazda gwiazdozbioru pd. Pies Wielki

S y s s i t i e lub f e j d i t i e — wspólne wieczerze publiczne u Spartan, obowiązujące obywateli od 20 r. życia. Każdy uczestnik dostarczał co miesiąc pewną ilość mąki, jęczmienia, wina, sera, fig oraz pieniądze na mięso. Główna potrawa: czarna polewka składała się z

mięsa wieprzowego z solą i octem, gotowanego we krwi

T a l e n t — jednostka wagi, wahająca się od 21 kg do 68 kg. Talent złoty królewski ciężki — 50,46 kg; lekki — 25,23 kg

T a l e t a s z G o r t y n y — na Krecie muzyk grecki z VII w. p. n. e. Twórca peanów i tańców wojennych na cześć Apollina w Sparcie w czasie gymnopediów

T a n a t o s — bóg śmierci, brat Hypnosa (boga snu)

T e m i d a — bogini obyczajów, sprawiedliwości, porządku

T e o r y j a — (ekipa) przedstawiciele miast wysłani na igrzyska wraz z darami dla boga

T e r m o p i l e — miejsce słynnej bitwy w r. 480 p. n. e. Król Sparty Leonidas wraz z 300 Spartanami poległ tam w walce z ogromną armią Kserksesa

T e r p a n d e r — muzyk działający w Sparcie w VII w. p. n. e

T e t y d a — boginka morska niezwyklej piękności, matka Achillesa

T e z e u s z — mit. królewicz ateński, heros, dokonał wielu bohaterskich czynów

T o l o s — budowla na planie koła, o różnym przeznaczeniu

T r i b o n — krótki płaszcz nakładany na chiton

T u k i d y d e s — (ur. około 460 r. um. ok. 404 r. p. n. e.) najwybitniejszy historyk starożytności. Jest autorem *Historii wojny peloponeskiej*

T y c h e — bogini losu i szczęścia

T y r s — prosta długa laska, zakończona szyszką z wstążkami lub pękiem winnych liści, różdżka Dionizosa

T y r t e u s z — poeta i twórca pieśni wojennych z połowy VII w. p. n. e.

Z e n o n z K i t i o n n a C y p r z e — (336—264 p. n. e.) założyciel szkoły stoickiej. Około 296 r. zaczął nauczać w Atenach w Stoa Pojkile, stąd wzięła się nazwa szkoły. Dzieła jego dotyczyły zagadnień etyki, literatury, fizyki i in.

Z e u s — ojciec bogów i ludzi, na złotej wadze ważący losy śmiertelnych. Władca żywiołów, opiekun gościnności, prześladowca krzywoprzysięzców

SPIS ROZDZIAŁÓW

Pierwsza podróż	002
Nad brzegami Styksu	015
Zeus Wszechmogący	029
Ateńskie niespodzianki	035
Igrzyska pytyjskie	048
Poszukiwania i wyrocznia	059
Żałoba	064
Przysięga królewska	071
Syssitia	080
Sędzia	085
Matka	090
Skarb rodu Eurypontydów	094
Królewskie gody	099
Agiatis	111
Polowanie	118
Sprzymierzeńcy	125
Ofiary dla Tyche	129
Królewska rodzina	136
Gymnopedie	141
Zwycięskie wybory	147
Rozgrywka	150
Noc pod gwiazdami	156
Zamach stanu	160
Chwała ci, Agisie!	167
Wódz naczelny	173
Chilonida	179
Powrót Agisa	185
Zdrada	195
Sąd	201
Mściciele	214
Posłowie	
Objaśnienia	